Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej

Krasnosielcki Zeszyt Historyczny Nr 19-21

ISSN 2080-024X październik 2014 rok

dodatek specjalny do miesięcznika „Wieści znad Orzyca” Nr 10(90)

www.tpzk.pl www.naszkrasnosielc.tpzk.pl

Wprowadzenie

Szanowny Czytelniku!

Krasnosielcki Zeszyt Historyczny jest Krasnosielckim już tylko z nazwy. Czy to źle?

Tak jak drzewo zapuszcza korzenie w konkretnym miejscu, by potem wzrastać i rozrastać się wkoło, tak Zeszyt - którego idea powstała na Ziemi Krasnosielckiej, żyje już życiem i innych ojczyzn. Pomysł zakładał publikacje drukiem tekstów historycznych, czynionych przez zwykłych ludzi, dla zwykłych ludzi, które będą rzeczywiście dostępne dla zwykłych ludzi – a zwykłych to nie znaczy zwyczajnych.

Dziękując niezmiernie gorąco autorom opracowań zawartych w niniejszym Zeszycie, dziękuję również mojej najbliższej rodzinie za cierpliwość i zrozumienie.

Drogi Czytelniku! Czytaj proszę, zastanawiając się jednocześnie, czy przeżyciami własnego bogatego życia nie chciałbyś podzielić się z innymi. Zachęcam.

Zwyczajowo proszę o pomoc w sfinansowaniu jedynego kosztu publikacji, jakim jest druk. Wpłaty proszę kierować na konto Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Krasnosieckiej: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu.

Z poważaniem
Redaktor Wydania Sławomir Rutkowski

Niniejszy numer Krasnosielckich Zeszytów Historycznych jest współfinansowany ze środków Powiatu Makowskiego w ramach realizacji przez Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej zadania publicznego pod tytułem „Opracowanie i druk czterech numerów Krasnosielckich Zeszytów Historycznych”.

Wsparcia finansowego udzielił również Urząd Gminy Krasnosielc oraz Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu.

Zeszyt zawiera strony poświęcone wykopkom ziemniaków – sfinansowane przez Fundusz Inicjatyw Obywatelskich – Mazowsze Lokalnie w ramach realizacji projektu „Dawne wykopki ziemniaków – jako próba odbudowania wspólnoty wiejskiej”.

Listy Jakóba Grabowskiego str. 5

Nie miała łatwego życia str. 12

Szkolnictwo w Bagienicach w latach 1925-80 str. 28

Uciekinierzy przed branką do armii carskiej str. 42

Suma lat … z biegiem dni … str. 46

Jestem synem Ziemi Makowskiej rzecz o … str. 86

Sielc Stary str. 94

Operacja Bagration str. 98

Przyczółek różański 1944/45 str. 100

Rok w ruskim cyrku cz. 3 str. 105

Scytowie i Sarmaci cz. 3 str. 124

Zwalczanie analfabetyzmu w pow. makowskim str. 129

Żołnierz wyklęty … str. 131

Obraz miasta Krasnosielca z roku 1860 str. 132

Historia z kartoflem w tle str. 134

Kościoły gminy Krasnosielc w fotografii str. 2-4

BANK SPÓŁDZIELCZY W KRASNOSIELCU
Grupa BPS

FIO Fundusz Inicjatyw Obywatelskich
Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej
MAZOWSZE LOKALNIE

Kościół parafialny w Krasnosielcu pw. św. Jana Kantego

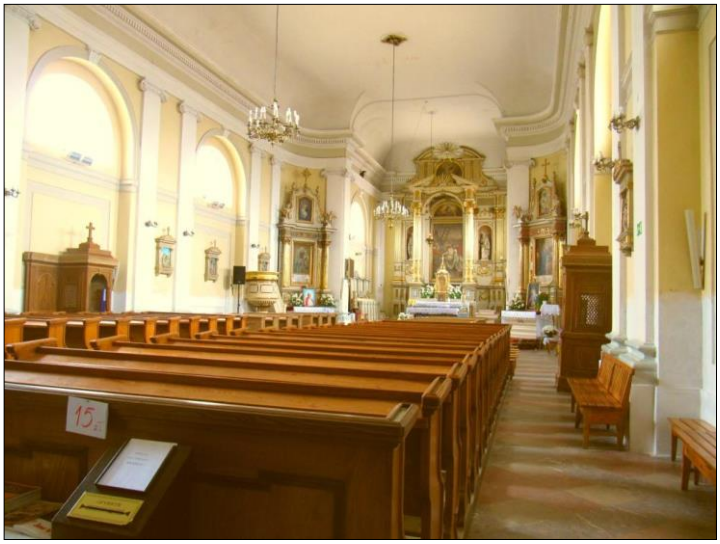

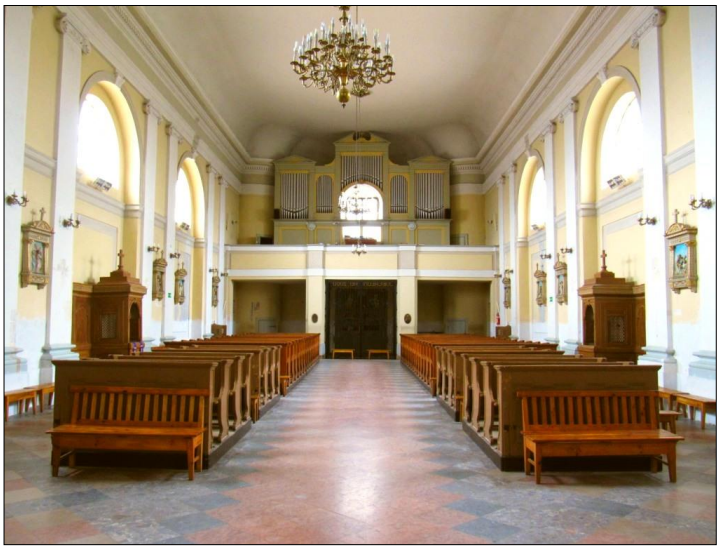

Kościół murowany pw. św. Jana Kantego w Krasnosielcu w stylu neoklasycystycznym wzniesiono w latach 1790-1792. Fundatorami byli: Kazimierz Krasiński, oboźny wielki koronny, starosta nowokorczyński, krasnystawski i przasnyski oraz jego żona Anna z Ossolińskich. Oboje byli w tym przypadku wykonawcami woli głównego fundatora Jana Kantego Krasińskiego.

W 1945 r. kościół uległ zniszczeniu, w latach powojennych został odbudowany. Nawa świątyni, zbudowana na planie prostokąta, ma węższe prezbiterium zbliżone do kwadratu, w jego przedłużeniu znajduje się dobudowana zakrystia. W ścianach znajdują się płytkie arkadowe wnęki zamknięte półkoliście, a w ich górnej strefie półkoliste okna. Na ścianach znajdują się stylowe stacje Drogi Krzyżowej ufundowane przez patafian. Wokół kościoła znajduje się szpaler starych drzew, wśród których znajdują się pomniki przyrody.

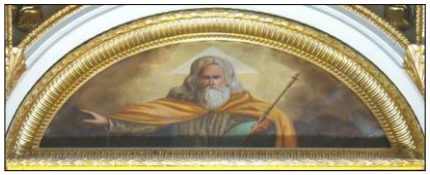

Wejście do świątyni zwieńczone jest odcinkiem gzymsu, a nad nim znajduje się tablica fundacyjna z datą 1792 i nazwiskami fundatorów, a jeszcze wyżej kartusze z herbami Krasińskich Ślepowron, oraz Ossolińskich –Topór. Wnętrze kościoła oddziela od przedsionka ozdobna kuta krata wykonana przez miejscowych rzemieślników dla uczczenia Jubileuszowego Roku 2000.

We wnętrzu kościoła znajdują się trzy ołtarze. Na głównym znajduje się obraz przedstawiający „Zdjęcie z Krzyża", na jego górze mamy obraz „Przemienienia Pańskiego". W ołtarzu głównym znajduje się złocone tabernakulum, po jego bokach złocone kolumny, a w głębi postacie św. Piotra i św. Pawła. Ołtarz boczny z lewej strony poświęcony jest Matce Bożej, na górze tego ołtarza znajduje się obraz św. Stanisława Kostki. Obok niego mamy stylową ambonę. Ołtarz boczny ze strony prawej posiada obraz przedstawiający św. Rocha. Obok tego ołtarza znajduje się zabytkowa chrzcielnica.

Do tekstu „Suma lat … z biegiem dni…: Herby rodziny Majkowskich: Jastrzębiec i Kościesza.

Kościół parafialny w Drążdżewie pw. Najświętszego Serca Jezusowego

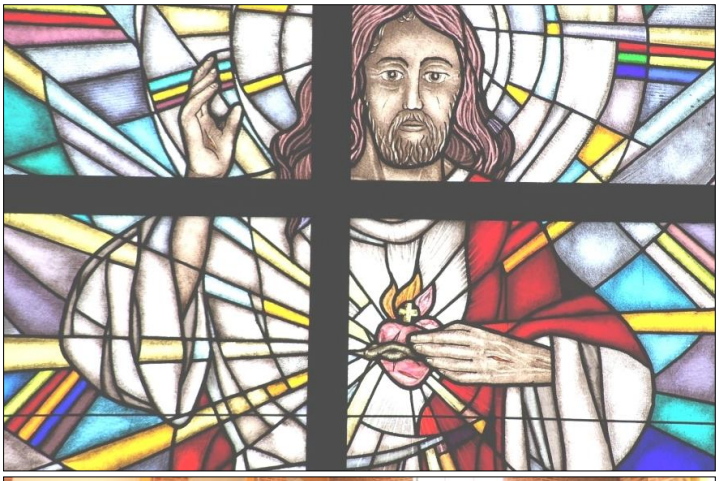

Kościół parafialny pod wezwaniem Najświętszego Serca Jezusowego w Drążdżewie został wybudowany w latach 1993-1997. Konsekracji dokonał biskup łomżyński Stanisław Stefanek 17.10.1997 r. Jest to druga świątynia w 103-letniej historii parafii. Poprzedni drewniany XVIII-wieczny kościół znajduje się w Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu.

Kościół parafialny w Amelinie pw. Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny

Kościół parafialny pod wezwaniem Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w Amelinie został wybudowany w latach 1984-1988. Konsekracji dokonał biskup płocki Zygmunt Kamiński 12.06.1988 r. Jest to pierwsza świątynia w 21-letniej historii parafii.

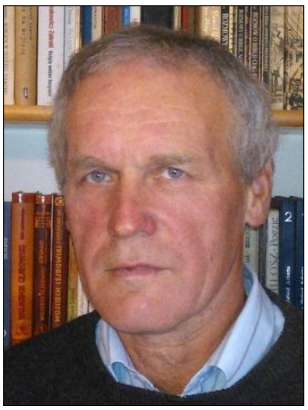

Listy Jakóba Grabowskiego z Przytuł do *Gazety Świątecznej*

Tadeusz SUSKI

„Gazeta Świąteczna” to tygodnik ukazujący się w latach 1881–1939. Było to pismo skierowane do szerokiej rzeszy czytelników z całego Królestwa Polskiego, a później II Rzeczypospolitej. Omawiane były w nim sprawy gminne, wiejskie i miasteczkowe, kościelne i parafialne, nowinki z zakresu gospodarstwa rolnego i domowego, handlu i rzemiosła. Publikowane były listy czytelników. Założycielem, wydawcą i redaktorem naczelnym „Gazety Świątecznej” był Konrad Prószyński, który w rzeczywistości pełnił w gazecie rolę znacznie większą - będąc w niej jedynym redaktorem, przygotowując i redagując prawie całą zawartość pisma.

Konrad Prószyński urodził się w 1851 r. w Mińsku w zubożałej rodzinie szlacheckiej. Jego ojciec, Stanisław prowadził w Mińsku zakład fotograficzny, jeden z pierwszych w Polsce (założony w 1839 r.). Został oskarżony o działalność patriotyczną, polegającą m.in. na umieszczaniu symboli narodowych Polski i Litwy na wykonanych przez niego fotografiach rodzinnych. W wyniku tego rodzina Prószyńskich (w tym młody Konrad) została zesłana do Tomska w Zachodniej Syberii. Po powrocie do kraju Konrad Prószyński osiedlił się w Warszawie. W 1875 r. założył tajne Towarzystwo Oświaty Narodowej mające na celu szerzenie oświaty wśród ludu. Był autorem elementarzy, m.in. pierwszego, nowoczesnego elementarza wydanego w 1875 r. pt. „Elementarz na którym nauczysz czytać w 5 albo w 8 tygodni” oraz „Obrazkowej nauki czytania i pisania” (1879 r.), uznanej na wystawie w Londynie za najlepszy elementarz świata. W 1878 r. założył księgarnię nakładczą. Było to jednocześnie wydawnictwo, skład księgarski oraz księgarnia wysyłkowa. Całość działała pod firmą Księgarnia Krajowa Konrada Prószyńskiego.

Aktywnym czytelnikiem i wieloletnim korespondentem „Gazety Świątecznej” był Jakób Grabowski z Przytuł, podpisujący się jako „kmieć” bądź „włościanin”. Jakób Grabowski był znanym w okolicach Krasnosielca społecznikiem i patriotą, wielkim propagatorem oświaty na wsi. Jego listy publikowane w gazecie są cennym źródłem informacji historycznych dotyczących Krasnosielca i okolic.

W opracowaniu niniejszym udostępniam Czytelnikom Krasnosielckich Zeszytów Historycznych 12 artykułów autorstwa Jakóba Grabowskiego, opublikowanych przez Gazetę Świąteczną pomiędzy czerwcem 1882 roku i listopadem 1920 roku. Jeden z tekstów zawiera piękny wiersz poświęcony kościołowi krasnosieleckiemu. Bogatą dokumentację fotograficzną do wiersza wykonał już współcześnie Tomasz Bielawski.

Tadeusz Suski

Rok XIV. Tydzień 27. № 705. Roku 1894.

GAZETA ŚWIĄTECZNA

Miesiąc Lipiec—Niedziela 2. DNIA 8 LIPCA 1894 roku. 27 CZERWCA

WARSZAWA

Wychodzi w WARSZAWIE na każdą NIEDZIELĘ

„Gazeta Świąteczna” nr 76 z 3 niedzieli czerwca 1882 r.

Z parafii Krasnosielca

(w powiecie Makowskim guberni Łomżyńskiej)

Jeżeli tyle ciekawych i pouczających rzeczy znajdujemy w Gazecie Świątecznej podawanych z różnych stron kraju i świata, to niechże i mnie będzie wolno napisać parę słów z naszej okolicy o tem, co u nas słychać. U nas lud jest dobry niemal w całej parafii wszyscy gospodarze zamożniejsi i małorolni mieszkają każdy osobno na swej osadzie wśród własnego gruntu. Odzwyczailiśmy się od dawnych pijatyk, i młodzież nie tylko mocno obałamucona, i obmowy mniej pomiędzy babami, i swarów nie ma tyle w sąsiedztwie, bo co wylezie z podwórza to na swoje. A jaka to teraz robota spora w polu latem! Dobrze by więc było, życzyłbym z całego serca, aby ci, którzy jeszcze mieszkają po staremu po wsiach, i pola mają zagonami w różnych działach po morgu, po dwa, aby wszyscy tacy mogli ułożyć się pomiędzy sobą i zgromadzić swe pola w jedno i każdy osiedlić się na swej włóce. Sprawiliby tem sobie i swym dzieciom korzyść i wygodę.

Powiem teraz o czem innem, o to że u nas grunta drogie, bo każdy ile ma możliwości i siły, stara się mieć choć kawałek ziemi. Niejeden i przypożyczy niemało, i później się dorabia, i zwraca pieniądze z procentem, a dożycie ma pewne, i swym dzieciom pamiątkę zostawi. […]

Rodzice umierający obdzielają dzieci starym zwyczajem: zwołują paru sąsiadów i mówią przy nich, że dzieciom przeznaczają – temu to, a tamtemu owo, podług uwagi ojcowskiej albo oznajmują, że już starsze dzieci niemal na czysto wyposażyli. Ale że to żaden rejentalnie nie pokwitował, więc po śmierci ojca czy kto co dostał, czy nie, to wszyscy rwą się do spadku. Kłócą się i prawują tak, że niech Bóg broni.

Nieraz ojciec złożony ciężką chorobą, czyni testament i rozporządza tak, jak już wyżej powiedziałem, - lecz sąsiedzi doradzają mu, aby sprowadzić rejenta, by już gruntownie wyposażył dzieci, bo dzieci po śmierci jego będą z grobu go wzruszać, gdy jedne od drugich pokrzywdzone zostaną. Jadą po rejenta, ale go nie zastają. Czasem nie mogą po niego wcale jechać nie mając sprzężaju, bo to nie milę, ani dwie, ale na trzy, cztery i więcej mil nie ma rejenta. Tak więc pozostaje bez testamentu. Mój Boże, co to się wyprawia! Chwytają, co kto może; czasem ten, co najlepiej wyposażony przez ojca i już 15 lat na ustroniu mieszka, najwięcej zyskuje, nie zważając na krzywdę młodszych braci i sióstr.

A znów na puszczy, jak to w parafii Baranowo i innych, zwykle ojciec nie wyposaża zawczasu starszego syna, ale lat 10, 15 albo i więcej trzyma go na jednym garnuszku z sobą, z jednej miski jedzą, dorabiają się razem i potem młodszych braci i siostry wyposażą na stronę, a ojciec obiecuje pierworodnemu synowi, że on będzie po nim gospodarzyć. Tymczasem po śmierci ojca opisują majątek, i przyznają go wszystkim dzieciom; wtenczas starszy brat lub siostra mając lat 40 srodze pokrzywdzeni bywają przez młodszego brata „palestrancika” co go ten starszy wypielęgnował.

A zatem byłby święty człowiek, który by co temu mógł poradzić, żeby testamenta ojcowskie przy śmierci były ważne – chociaż i prywatnie spisywane, albo tylko przez wójta.

Byłoby też dobrze, gdyby rejent mógł być gdzie bliżej w naszej okolicy.

Na koniec tego listu nasuwa mi się myśl, żeby rozgłosić w kraju, że na puszczy Płodowickiej przywykają napowrót do picia już tak dawno porzuconej gorzały. Nieszczęście to sprowadzili przemytnicy z zagranicy pruskiej i ich przywódcy, tak zwane „machry”, co do Prus wodzą. Żaden z nich poczciwy nie jest,

porobili się z nich pijaki, rozbójniki, złodzieje. Granoch już w Płocku czwarty rok gnije i Olender podobnież; jeden także, co był gospodarzem, szacunek u ludzi utracił; jednemu zdrowie strażnicy pograniczni odebrali i musi prosić kawałka chleba na starość; a i temu mądrali, co teraz jest machrem, nie wyjdzie to zajęcie na dobre, że go nawet szkoda.

Nie gniewajcie się na mnie, bracia, za tych parę słów; lepiej się poprawcie! Szczerze was kochający

Jakób Grabowski (włościanin)

„Gazeta Świąteczna" nr 88 z 2 niedzieli września 1882 r.

Złożyliśmy się we trzech gospodarzy na utrzymywanie gazety i to każdy z innej wsi. Cieszymy się nadzieją, że choć później da Bóg więcej przedpłacicieli. Zachęcamy innych do tego, a ksiądz wikariusz, miejsce proboszcza zastępujący, tłumaczy nieraz w kościele, jakie są korzyści moralne z czytania pism i wiadomości ze świata. Ale jakże to wiele ludzi u nas niemoralnych i ciemnych, że śmią niekiedy urągać nawet czytającym, jakoby z czytania ich nie było żadnego pożytku, a tylko bałamuctwo i strata czasu. Trzeba jednak wiedzieć, że ci sami, co tak niby żałują czasu na czytanie, to w niedzielę, święta, targi i w inne dnie, pojechawszy za jakim bądź interesem do miasteczka Krasnosielca, siedzą tam i piją bawara do nocy, a niekiedy i nocują w zajeździe i śpią tam do późna na drugi dzień. Oni tego nie uważają za bałamuctwo i za stratę czasu i pieniędzy. Niejeden przepije i przeje w karczmie rubla, a czasem dwa i więcej w jednym dniu; a drugi jeszcze się szczyci, że bawara pił, aż się upił. Młodzież też u nas zepsuta na papierosach i pijatykach. Winni temu rodzice, którzy nie mają dzieci pod dozorem, ale owszem, sami są zgorszeniem i złym przykładem dla nich. Tylko, dziękować Bogu, nie wszyscy są tacy rodzice i nie wszystkie dzieci. Są u nas i ludzie zacni, bogobojni, sprawiedliwi.

O parafii naszej śmiało mogę powiedzieć na jej pochwałę, że ludzie w niej na wezwanie księdza proboszcza chętnie dają wszystko, czego potrzeba do naprawy, odnowy i utrzymania w porządku kościoła. Najwięcej się odznaczyli ofiarami na kościół poczciwi starce stanu włościańskiego, małżeństwo Żedzcy (?) ze wsi Rakowa i Olendzcy ze wsi Grondów. Ich kosztem wystawiono ołtarz boczny z obrazem Niepokalanego Poczęcia N. M. P. za więcej niż 70 rubli i inne rzeczy drobniejsze.

(Dokończenie nastąpi.)

„Gazeta Świąteczna" nr 89 z 3 niedzieli września 1882 r.

Z parafii Krasnosielca

Gmina i parafia nasza składa się po większej części z włościan i szlachty, ale należy do niej i miasteczko Krasnosielc. Niektórzy gospodarze są zamożni, inni żyją przy swojem jako tako, ale jest do paru set i takich co długi mają do paru tysięcy złotych. Każdy z nich stara się jak może, uiścić dług zaciągnięty.

Ziemia u nas droga, w roku zeszłym rozkupili w obrębie naszej gminy folwark Bagienice po 20 tysięcy złotych za każdą włókę, a teraz już i drożej płacą.

Gmina nasza posiada wielu ochotników na urzędy, osobliwie na wójtów. Jest takich dziewięciu ze stanu wiejskiego i miejskiego, co dają bawara każdemu, kto tylko chce pić, aby potem dawał głos na nich na wyborach – Oj żal później nie jednemu tego wydatku, gdy nie zostanie wójtem, bodź dziewięciu wójtów być nie może. Dałby Bóg, żeby mieszkańcy naszej gminy nie zważali na piwo ale na sumienność i dobre postępowanie tego, kto ma być wójtem. Wójt nasz dawniejszy miał też wielką chęć pozostać i dalej na urzędzie, ale zginął nieborak marnie, bo jeszcze na dwa miesiące przed wyborami oddany został pod sąd. Za co? - zamilczeć muszę. […]

Są u nas dwie szkoły, ale często na zebraniach gminnych powstają ludzie na to, że do jednej z nich w Drążdżewie nie ma po co dzieci posyłać i proszą o jej skasowanie. (Dlaczego?)

Zabobonów i guseł nierozumnych u nas nie brakuje. Utrzymują, że kto najpierw w Boże Narodzenie do domu z kościoła przyjdzie to mu się pszenica urodzi, i że kto w zapusty miele, to gęsiaki mu się nie powiodą. Z siewem zboża nie patrzą na porę i czas, tylko mają takie złe dnie, w które Boże broń, żeby co robili; choćby czas było na nowiu miesiąca robotę zaczynać, gnoje wywozić, to czekają pełni. Ale też najpodlej się tym guślarzom i zabobonnikom wiedzie – Kto ma febrę, niech tylko idzie do starej i zabobonnej sąsiadki lub sąsiada na poradę, a wnet mu doradzą aby za granicę gdzie w drzewie zawiercił tę febrę albo powiesił, lub też żeby poszedł porachować gęsiaki, jak je kto najpierw wypędzi, albo miedzę na wspak rachować i t.p. W chorobie udają się nieraz do wróżek. Utrzymują, że w wigilię Bożego Narodzenia nie wolno iść boso do nikogo, bo w tamtym domu wrzody będą panować. Jest jeszcze wiele innych głupich i grzesznych przesądów, ale już nie mam śmiałości ich powtarzać.[…]

Proszę pana Pisarza poprawić, jeśli co w Mojem pisaniu niedorzeczne, albo i wcale odrzucić, boć ręka gospodarska od pracy, a umysł słaby. Przy ciągłej robocie nie mam czasu starannie pisać, ale kocham bardzo oświatę i wdzięczny jestem moim rodzicom co przy swem ubóstwie mogli mnie choć tyle nauczyć.

J. Grabowski, włościanin z Przytuł

„Gazeta Świąteczna" nr 163 z 17 lutego 1884 roku

Być może, że wy, Panie pisarzu Gazety Świątecznej, wolelibyście czytać list, jak to włościanie rządzą w gminie i parafii naszej? Ja i o tem pamiętam, tylko zostawiam to na koniec, a teraz piszę to , co mnie, katolika bardzo obchodzi.

Po śmierci ś. p. księdza Walentego Pęszyńskiego, która nastąpiła na początku zeszłego roku, długośmy myśleli, kogo władza duchowna przeznaczyć nam raczy na proboszcza. Nareszcie w lipcu doczekaliśmy się nowego proboszcza, księdza A. Białokosa, z którego wszyscy nadzwyczajnie jesteśmy zadowoleni. O, bo też i godzien czci i szacunku ten nasz pasterz! Z całem oddaniem się pracuje on nad wykorzenieniem błędów i poprawieniem obyczajów. Kiedyśmy go ujrzeli pierwszy raz na ambonie, powitał nas po chrześcijańsku słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" Następnie wyłożył nam obowiązki proboszcza względem parafian, i zarazem parafian względem proboszcza. Nie ma prawie ani jednego kazania, w któremby nie upominał pijaków; to też za łaską Boga jest już znaczna poprawa. Karczmarze nieraz już pytają się ludzi: „a do której karczmy panowie odwróciliście się ode mnie?" Tymczasem, Bogu dzięki, do żadnej, ale wyszedłszy z kościoła idą ludzie wprost do domu. Już teraz nawet sami ludzie zaczynają wyrachowywać, że ci a ci jeszcze w karczmie przesiadują, może więc Bóg da, że z czasem to złe odejdzie od nas zupełnie. Upomina też szanowny proboszcz, abyśmy książki i kalendarze kupując zwracali uwagę czy one są godne czytania, i wskazywał, jaki kalendarz jest najlepszy dla nas. Czytelnicy Gazety go znają. Upomina także, żeby dzieci do szkoły posyłać; zachęca, aby dobrze w święto czas spędzać i przynajmniej w każdej wsi po jednej Gazecie utrzymywać; radzi nam, żebyśmy zakazali palić niedorostkom fajki i papierosy, i wiele innych i pożytecznych dla dobra naszego rzeczy naucza. Jednem słowem o wszystkiem pamięta, za co niech mu Bóg udziela sił i zdrowia, i posila go swoją łaską. Aby tylko parafianie nasi umieli cenić zasługi szanownego księdza proboszcza, i chcieli iść za jego radami, a wówczas nie byłoby wśród nas i pojedynczych zgorszeń, które teraz niestety gdzieniegdzie zdarzają się. Na teraz nie wskazuję gorszycieli, bo może da Bóg, że wszystko pójdzie ku lepszemu.

A teraz o naszej gminie. Wójtem u nas jest Domiński. Zasługuje on na pochwałę. Nieład, jaki był z dawności w naszej gminie, pomału znika. Że zaś wójt nasz jest człowiekiem uczciwym i posiadającym potrzebną naukę, przeto stara się mieć i pisarzy dobrych i uczciwych. To też teraz możemy do wójta jako do gospodarza gminy z całem zaufaniem udawać się po radę we wszystkich sprawach. Doznaje on wprawdzie nieprzyjemności w wielu razach, bo nie jednemu przykro, że obecnie za poczęstunek nie może nic takiego u niego wskórać, co jest nieprawnie lub niesumiennie.

Drogi w naszej gminie już znacznie lepiej wyglądają od czasu, jak on jest na urzędzie. Biedę tylko mamy z mostami przy samym Krasnosielcu na rzece Orzycu; tak one są niebezpieczne, że kto tylko jedzie, to się ogląda, czy

się nie załamie. Ale temu wójt nasz poradzić nic nie może… (A dlaczego? P. G. Ś).

Pełnomocnikami gminnemi są u nas W. Pichała i P. Rasz. Są to dobrzy ludzie i naukę posiadają. Nie można ich nazwać zawalidrogami, jak gdzie indziej nazywają. Tylko żeby panowie pełnomocnicy przy uchwałach gminnych wspierali swym wpływem wójta, skoro ten słusznie i pożytecznie co radzi!

O gminiakach naszych – jak się zachowują i radzą na zebraniach gminnych – nie mam śmiałości i mówić publicznie. To tylko powiem, że i u nas ten, co nie ma żadnej nauki, najwięcej gada na wszystko, co kto wnosi pożytecznego na uchwałę; odpowiadają zgodnie: „nie chcemy" i kwita. A gdy się znajdzie taki, co zacznie im tłumaczyć, to wówczas tracą zaufanie do niego, a wszystkie swoje narady odbywają sekretnie. O dałby Bóg, żeby do nich doszedł głos tego, który zachęca wszystkich, aby utrzymywali Gazetę. Z niej by się nauczyli, jak mają radzić na zebraniach gminnych, jak porządek utrzymywać we wsi i gospodarce.

Jeszcze jedną wesołą nowinę muszę donieść. Znalazł się katolik jeden w mieście Krasnosielcu, który założył sklep z rozmaitemi rzeczami. Dobre to jest! Żeby tylko ludzie na tem się znali i popierali jego handel. Spodziewam się też, że i on sam będzie się starał, żeby mieć zawsze dobry towar i obsługiwać wszystkich jak należy.

Myślą też niektórzy obywatele o gospodzie. Potrzebna by na to była spólka, ale o tem ani mów nikomu, bo każdy się otrzącha i powiada: „ja za swoje pieniądze pić i u żyda dostanę." Widać jeszcze i my nie przejrzeli, i nie widzimy, co jest rzeczywistem dobrem naszem.

W parafii naszej jest trochę i przemytnictwa gorzały, co ją noszą z zagranicy pruskiej. Nieszczęście to wielkie i zaraza! Namnożylo się karczem tajemnych, i dziś już moknie w nich paru gospodarzy ze wsi sąsiadującej z miastem. Myślą, że o nich nikt nie wie, a ich dobrze palcami wytykają. To już wstyd straszny!... Chłystek, hultaj niech tam idzie i nurza się w tym kale, ale przynajmniej gospodarze wiejscy niech się wstydzą tam zachodzić.

Jakób Grabowski
włościanin z Przytuł

„Gazeta Świąteczna" nr 298 z 19 września 1886 roku

Z parafii i gminy Krasnosielc w powiecie Makowskim guberni Łomżyńskiej.

Z wielką niecierpliwością czekałem wolniejszej chwili aby napisać do Gazety Świątecznej. Są tu ludzie mający dość czasu ale obracają go na bałamutę i próżne gawędy. Sprawa ogółu wcale ich nie zajmuje – tylko swojemi zyskami głowę wciąż zaprzątają. […] Jeden z tutejszych czytelników odezwał się raz: „Ech! Cóż tam po tej Gazecie. Z początkiem roku przynajmniej o wojnie pisali, a teraz to tylko krajowe wiadomości i różne przygody. A toć my i bez gazety wiemy, że różnie się na świecie dzieje" – Na to tak mu odpowiedziałem „Jak by wojna była to z pewnością o niej by pisali: ale to, o czem teraz i ciągle piszą, co się w naszym kraju dzieje więcej jeszcze nas obchodzić powinno" – Jest u nas i paru takich co wyśmiewają gazetę a sami jakieś baje niedorzeczne, głupie i przesądne opowiadają drugim, dodając, że oni to od żydów słyszeli – dałby Bóg aby światło prawdy zabłysło w ich sercach.

W ciągu zeszłego roku mieliśmy w naszej gminie aż cztery pożary. Pierwszy we wsi Drążdżewie, - spaliły się dwie włościańskie stodoły ze zbożem. Ogień powstał z zapałek, któremi się bawiły dzieci. – Druga pogorzel wynikła u wójta naszego, Domińskiego, - spaliły się stodoły i chlewy, 95 kóp żyta, kilkanaście pszenicy, jarzyna, konie i sprzęty gospodarcze. Pożar rozpoczął się od sterty słomy, którą podobno źli ludzie podpalili. – Trzecia pogorzel zdarzyła się we wsi Grądach. Tu było najgorzej, bo zapaliło się w nocy, a ogień z wiatrem tak się rozszerzył, że zniszczył czterem gospodarzom wszystkie zabudowania. Nie wyratowano nic; konie, bydło, owce, świnie, odzież i wszelkie zasoby do życia spaliły się. Każdy wybiegł, jak kto spał. Jeden tylko gospodarz, jak mówią wszystkie swoje uratował, - powynosił on sprzęty i zapasy z góry i z komory, a żywy dobytek wygnał z obór, bo spostrzegł, jak u sąsiada zapaliło się w stodole. I w tej pogorzeli posądzają o podpalenie. Doprawdy aż strach pomyśleć co się dzieje. – Czwarty pożar zdarzył się w miasteczku Krasnosielcu. Zapaliła się słoma u brogu u jednego z obywateli. Ogień w paru godzinach zniszczył więcej niż 60 domów. Wiatr był, co prawda, niepomyślny, ale jeszcze więcej można narzekać na brak ratunku. Każdy latał jak głupi tam i sam, nie było ani bosaka, ani kubła, ani sikawki; w jednem podwórzu stała jakaś, ale od paru lat zepsuta. Zawdzięczać można tylko kilku ludziom, że reszta miasta od ognia ocalała.

Niektórzy, a szczególniej ksiądz proboszcz starali się o to, żeby gminiacy zawiązali pomiędzy sobą taką spółkę, iż każdy należący do niej płaciłby rocznie do ogólnej kasy pewną składkę, a jakby się co któremu spaliło, zapłacono by mu ze składkowego kapitału za wszystkie straty poniesione w pożarze. Tym sposobem nie byłoby wypadków podpalania, za pomocą którego podli ludzie tak często w tych czasach mszczą się na bliźnich. Projekt tej spółki był już ułożony, - ale cóż, kiedy gminiacy nie chcieli tego uchwalić.

W gminie naszej jest dwóch właścicieli folwarków, ale ci na zebraniach gminnych nie bywają wcale. Jeden z nich jest starozakonny. Bo to… tak często bywa, że z niektórymi ludźmi wtenczas tylko można coś poradzić i widzieć ich na zebraniu gminnem gdy są wybory na jakiś urząd; w innym czasie nikt ich tam nie zobaczy. Usłyszeć zaś można od nich jedynie to: „Gdybyście mnie obrali na urząd, to byście zobaczyli, jaki ja byłbym dla was dobry", albo też coś podobnego.

W gminie naszej rozkupiono 6 folwarków, a to: Pienice, Wola, Niesułowo, Bagienice, Zwierzyniec i Krasnosielc Leśny. Ale nowi właściciele biadają mocno, - szczególniej ci, co za pożyczone pieniądze kupowali grunta. Teraz za pół ceny odsprzedają je drugim, lub w zastaw wypuszczają, bo nawet procentu od zaciągniętych pożyczek popłacić nie mogą. Wiele zaś majątków zostanie sprzedanych za długi, a właściciele pójdą z nich precz.

A teraz powiem o parafii naszej. – Ludzie tu do ofiar na potrzeby kościoła nie są ostatni, - wszystko, co kościelnego, jest w porządku. Trzy lata temu obmurowaliśmy cmentarz wkoło kościoła, na co składaliśmy po rublu z włóki, a resztę – co kto mógł. Przeszłego roku obmurowano cmentarz grzebalny kamieniami z wapnem. Dziś jest on bardzo obszerny, bo o połowę został zwiększony. Dano też nową bramę i dwie furtki żelazne, a drogę obsadzono brzeziną. Materiał dostawili gospodarze. Składaliśmy z morga po pięć groszy i od pary sprzężaju po rublu. Plebanie murowaną zamierzyliśmy też stawiać; materiał prawie już gotowy, a plan na budowę zatwierdzony, ofiary zaś spływają z dobrowolnych składek.

W zeszłym roku odbyły się u nas wybory na urząd wójta. Władza, jako też i wszyscy urzędnicy naszej gminy trzymali za Domińskim, więc też on najwięcej miał głosów. Jego zastępcą został Ostaszewski. Kiedy Domiński był pod sądem, zarządzono drugie wybory, na których został wybrany wójtem Podgórski, a Goljaszewski zastępcą jego, lecz rząd zatwierdził Ostaszewskiego – z przeszłych wyborów i ten jest teraz wójtem.

Oj trudno o dobrego i zdatnego człowieka na ten urząd. Zdatniejszego nad Domińskiego prawie nie ma, to też ludzie teraz mówią: „Domiński byłby dobrym wójtem, ale nie chciał nim być…"

J. Grabowski, włościanin z Przytuł

„Gazeta Świąteczna" nr 489 z 18 maja 1890 roku

Z gminy Krasnosielca nad rzeką Orzycem w guberni Łomżyńskiej

W ostatnim liście donosiłem o porządkach zaprowadzonych w naszej parafii. Od tego czasu cmentarz grzebalny o połowę powiększono i murem kamiennym otoczono, plebanię wymurowano i zbudowania przy niej nowe z drzewa wystawiono.

Donosiłem zarazem, że w naszej parafii rozkupiono ostatniemy czasy sześć folwarków. Teraz jednak nowsi właściciele mocno biadają i mniej niż za pół ceny ziemi się wyzbywają, bo są tak obdłużeni, że nie starczy im na opłacenie procentów, często lichwiarskich.

Grunta u nas są średnie, żytnie. Przez ubiegłe sześć lat dał się nam we znaki nieurodzaj z powodu gradu, ulewy albo też suszy. Ale dziękować Bogu najwyższemu, nasi gminiacy jeszcze krzątają się jak mogą, jadni z drugich przykład biorą i nie upadają na duchu. Proszą Boga o szczęśliwsze czasy, urodzaje i sami starają się iść po trosze coraz ku lepszemu.

Z funduszów miejskich, składek gminnych i dobrowolnych ofiar kupiono narzędzia ogniowe – sikawki i beczki za rubli 500. Bruk rynku kosztował rubli 600, studnia i szopa potrzebne do narzędzi pożarnych rubli 730. Za naprawę mostów i wybrukowanie grobli zapłacono rubli 2700. Uchwaliła też gmina wybrukować w miasteczku trzy ulice wiodące do kościoła. Miasto daje na to pieniądze, a gmina kamienie. Pieniędzy na ten cel w ręku wójta już jest 600 rubli, a kamienie ułożone w sążnie czekały tylko wiosny. Do kościoła sprawiono ornat i kapę za rubli 400. Wszystkiego razem

było w obrocie w ciągu trzech lat rubli 5530, nie licząc w to roboty konnej i pieszej, oraz zwózki kamieni.

Bywa co prawda dość rozmaitych nieporozumień i wymówek przy każdej uchwale, że to za ciężko, że to niepotrzebne, i t.p.; ale jak wreszcie zgodzą się i każdy potem zobaczy porządek i wygodę to w końcu powie: „rubel nie znaczy nic, a dzień roboty konnej czy pieszej także niewiele". Więc każdy zadowolony i potem do innej dobrej rzeczy łatwiej da się namówić.

Teraz przedstawię drugi powód dzielności naszych gliniaków. Z ostatniego listu wiadomo czytelnikom Gazety, że znalazł się w naszym miasteczku kupiec katolicki, Stadnicki, który założył sklep korzenny i dobre miał poparcie od ogółu. W zeszłym roku znalazł się znowu drugi katolik, Goljaszewski, który założył także sklep korzenny i cieszy się dobrem powodzeniem. Tylko panowie kupcy katolicy powinni żyć zgodnie i dopomagać sobie wzajemnie, tymczasem nie zawsze tak się dzieje. Panowie ci osiedlili się tuż obok siebie, jakby na przeszkodę jeden drugiemu w interesach. Ponieważ jednak i tak im się wiedzie, bo chętniej ludzie kupują u nich niż w sklepach żydowskich, więc można się spodziewać, że na innej, dalszej ulicy znów ktoś założy sklep trzeci. W tymże czasie katolik założył piekarnię i także idzie mu dobrze. Pijaństwo też u nas prawie ustało a że jeszcze nie zupełnie, to pochodzi z biedy, która ostatniemy czasy daję się we znaki z powodu nieurodzaju. O porządek gminy i kościoła wszyscy u nas dbają. Dwie karczmy w ostatnich latach zamknięto, a spodziewać się można, że i więcej ich upadnie.

Sąd gminny, który się mieści w Krasnosielcu, służy czterem gminom: Krasnosielckiej, Sypniewskiej, Płoniawskiej i Sieluńskiej. W tej ostatniej najwięcej jakoś pieniactwa; widać lud tam mniej oświecony, a przy tem jest dużo pokątnych doradców, ludzi nieuczciwych, którzy, aby złapać złotówkę, ludzi do procesów namawiają.

Z gminy zaś Krasnosielckiej choć też nieraz wnoszą skargi, ale najczęściej potem godzą się, nie czekając wyroku, co jest najlepsze.

(Dokończenie podamy za tydzień)

„Gazeta Świąteczna" nr 490 z 25 maja 1890 roku

Z gminy Krasnosielca nad rzeką Orzycem w guberni Łomżyńskiej

(Dokończenie)

Jednemu z mieszkańców krasnosieleckich, którzy mają dobrą sposobność mówienia z ludźmi podałem myśl, żeby założyć czytelnię do rozpożyczania książek. Podobno podobało się to niektórym, więc jest nadzieja, że Bóg pozwoli skutku pomyślnego się doczekać. Chociaż wiele było pisano o zakładaniu czytelń w Gazecie, jednakowoż proszę pana pisarza Gazety doradzić nam: 1). Czy można użyć na kupno książek resztek pieniędzy gminnych? Czy gdyby składało się na czytelnię kilkadziesiąt osób, potrzebna jest uchwała gminna? Czy w uchwale wymienić, w czyim domu mają być umieszczone książki i kto ma mieć dozór nad niemi? 2). Czy sami założyciele czytelni wypożyczając książki płaciliby za wypożyczanie na równi z drugimi, i czy można pożyczać tym, którzy na to nie łożyli? Co robić w razie nie oddania w oznaczonym terminie książki lub jej zniszczenia? Jakie terminy mogą być oznaczone do wypożyczania książek?

A teraz jeszcze słówko do gminiaków. Panowie obywatele miasteczka i szlachta, i włościanie! Bierzmy się do czytelnictwa! Czytają u nas gazetę i sprowadzają jej kilkanaście egzemplarzy, ale tylko ci, można powiedzieć , co umieją czytać jako-tako i są biedniejsi. Ci zaś, którzy umieją dobrze czytać i pisać, dla których, zdaje się, rubel to niewielkie pieniądze, jakoś lekkomyślnie przy swoim dobrym bycie zapominają o tem, co najwięcej ich obchodzić powinno. Dziwię się jak to można obyć się (umiejąc czytać) bez czytania? Po co was rodzice wasi uczyli i po co wy swoje dzieci uczycie czytać i pisać, jeśli później nie chcecie z tej umiejętności korzystać? Każdy niby dba o swoje dobro, ale ogólne znać go nie obchodzi. […]

Jedni mówią, że nie mają czasu na czytanie. Na nic wasza wymówka! Widać macie dużo gruntu i przez to tyle zajęcia. Ale tydzień ma 7 dni, więc arkusza druku nie przeczytać przez ten czas – to już źle, to gnuśne lenistwo! Dobrze, że macie czas umyć się, wyczesać i pacierz zmówić; bo dopieróż by to ładnie wyglądało, gdybyście z rozczochranym i zapierzonym łbem chodzili cały tydzień. Wierzcie mi jednak, że nie czytając i nie sprawdzając żadnego pisma, wobec ludzi mających prawdziwą oświatę wyglądacie jak najgorsi rozkudłańcy. Jesteś gospodarzem na włóce, albo i na paru, to nieraz ci na myśl przyjdzie, że ty co więcej znaczysz od takiego, co ma tylko parę morgów. Myślisz sobie: „Jestem obywatelem". Jestem obywatelem, ale malowanym, czyli takim, jakiego na papierze można pędzlem nachlapać; taki będzie pokaźny, ale ani się ruszy, ani o czem myśli, ani jest czego ciekawy. To prawdziwy obraz twój!

Drudzy mówią: „Ciężkie czasy, pilniejszy wydatek na sól i na podatki". Prawda, czasy ciężkie, ale o życie i przyodziewek do ostatniego każdy się troszczy, żeby nie gorzej wyglądał od innych – i na to starczyć musi. Przy tam na tytuń choć kilkanaście groszy na tydzień znajdzie każdy, nie zważając, że to pożytku żadnego nie przynosi, tylko cygański nałóg. Nietrudno więc by mu było kilka groszy na tydzień zaoszczędzić, a za to miałby już pismo ciekawe i pożyteczne.

Inni znów mówią, że z uczonych robią się okpisze; prawda, trafi się i okpisz z uczonego, ale go źle nazywamy uczonym. On nie jest uczonym, tylko jest niedouczonym i rozpanoszonym człowiekiem. Z drugiej znów strony więcej jest złodziei i ludzi nieuczciwych, co nie umieją czytać ani pisać. A ja powiadam, że jeśli człowiek gazetę przeczyta wytrwale przynajmniej przez rok, albo przez dwa lata to, zaręczam na uczciwość, że z niego złodziej już nigdy nie będzie, bo natura mu się odrodzi. Taki co czyta zaczyna wstydzić się złego, obrzydzać złe, a myśleć o swoich obowiązkach względem innych ludzi, względem swej rodziny, swej gromady, parafii, gminy, społeczeństwa.

Inni znów powiadają: „Gazety dobre dla panów i dla księży, a chłop musi pracować; czytanie nam chleba nie da". Otóż zaręczam, że właśnie czytanie pożytecznych książek i gazet przysparza nam chleba, bo tam są rozmaite przestrogi, nauki, rady pożyteczne, jak co robić, zachęty do pracy uczciwej i życia cnotliwego. Czytając je stajesz się mędrszym, w pracy pilniejszym, lepszym, a w chwili wolnej masz się czem zabawić. Gdy masz dobrą książkę, to jest tak, jak byś miał dobrego nauczyciela i doradcę w domu. A człowiek zawsze dobrych rad, wskazówek i upomnień potrzebuje. Szkło jest czyste, rdza go się nie ima, a jednak przemywać je trzeba.

Nareszcie pomyślcie tylko, co by było, gdyby umiało czytać w gminie tylko paru albo nawet żaden. Wtedy ani listu, ani polecenia od wójta, ani świadectwa na bydlę nikt by nie potrafił przeczytać. Przyszliby jacy oszuści i okpiwaliby nas bez końca. U żydów i niemców i najbiedniejszy uczy swe dzieci czytać i pisać. Nie godzi się, żebyśmy byli głupsi od nich i dawali się przez to wyzyskiwać. Jeżeli jeden jest mądry, niech drugi stara się być nie gorszym od niego.

Co byś robił widząc, że ktoś trzyma dobry kij pod połą? Czybyś i ty nie oglądał się za takim samym kijem, bojąc się by cię tamten nie uderzył? A bywa i tak, że ten, co chciał uderzyć, wiedząc, że i ty masz kij, nawet złego słowa nie powie. Tak się rzecz ma i z nauką. Ktoś ma zamiar cię oszukać, ale wiedząc, żeś ty sam mądry i oświecony, nie próbuje nawet i odchodzi jak niepyszny.

Trudno jednak wytłumaczyć wszystkie pożytki z czytania. Od razu mało kto zasmakuje w niem. Dopiero jak czyta sam, to się dobrze przekona. Gdy butelkę miodu zachwalasz, a ktoś ci nie wierzy, daj tylko kroplę skosztować, to się od razu przekona żeś prawdę mówił. […]

Więc tak bracia, czem kto może, niech się do oświaty przyczyni, aby coraz chybciej wzrastała. Niech nam nic na przeszkodzie nie staje do sprowadzania i czytania gazet i różnych pożytecznych książek. Ciężko jednemu zebrać się na gazetę, to zmówcie się we trzech albo we czterech; ciężko i tak, zmówcie się cała gromadą. Nie umiesz sam czytać, niech dzieci twoje czytają, bo przyszedł czas, byśmy już dobrze przejrzeli. Są okolice, gdzie się wstydzą wioski, w której nikt nie czyta. I u nas Bóg da, że kiedyś nadejdzie pora, w której tak samo będzie, co daj Boże doczekać jak najprędzej!

Proszę pana pisarza Gazety poprawić to moje pisanie ciężką ręką od pługa nakreślone, i wydrukować. Radbym całą duszą zmusić swych współbraci do czytelnictwa, które na wielki pożytek im i dzieciom ich wyjdzie.

Jakób G., włościanin

„Gazeta Świąteczna” nr 932 z 13 listopada 1898 roku

Nowinki z Krasnosielca. W miasteczku naszem od dawna dawał się czuć brak doktora, lecz jakoś żaden nie miał chęci tu osiąść. Jeden przyjechał, ale niedługo pogościł. Próbowano uchwalić jakoś stałą płacę dla doktora, to się jednak nie udało. Posyłano potem z rąk do rąk zobowiązanie pisemne, aby się zapisywali, ile kto ofiaruje, ale i to się nie powiodło. Nareszcie samo miasteczko z zasobów kasy pożyczkowej uchwaliło rocznej płacy doktorowi 300 rubli i rząd tę uchwałę zatwierdził. Cieszy się więc teraz cała okolica, że niebawem pewnie doktor się zgłosi. Prócz wspomnianej płacy będzie on miał też dochody w okolicy i od bogatszych Krasnosielczan, bo co uboższym, to pewnie obowiązany będzie udzielać rad bezpłatnie. Z dawnych lat nie było w naszej okolicy akuszerki; ale już w zeszłym roku przybyła jedna upoważniona od rządu, a obecnie jest już i druga i obie zarabiają dość na swe utrzymanie. – Parę tygodni temu uchwaliliśmy założyć czytelnię. Z reszty zysku z kasy gminnej przeznaczono 30 rubli na książki i 15 rubli na szafę, a miasteczko ze swoich sum przeznaczyło 15 rubli. Mało to, ale na początek dobre i tyle, bo i to z wielkim mozołem aż na dwóch zebraniach gminnych ledwie uchwalono. – Z zaprowadzeniem rządowej sprzedaży trunków pijaństwo się dość znacznie zmniejszyło, a przy jarmarkach szachraje nie mają gdzie zgromadzić się do kupy. Piją ludzie osobliwie piwo, bo teraz tańsze niż było dawniej, a składów i sklepów piwnych dużo. Piją i gorzałkę, ale tylko po domach, więc przynęty jedni drugim nie czynią. Dobrego zatem choć pomału ale przybywa. – Z tem nam tylko bieda, że do miast: Ostrołęki, Makowa (gdzie jest urząd naszego powiatu), Przasnysza i Chorzel daleko, najbliżej 3 mile, a drogi bitej nie ma nigdzie, wszędzie prócz do Przasnysza, wielkie piaski. – Poczty nie mamy; stójka codzienna do powiatu kosztuje nas ze 150 rubli rocznie. Do najbliższej stacji kolejowej żelaznej w Ciechanowie mamy 6 mil drogi. Odległość ta nieraz staje na przeszkodzie do wykonania tego, co by człowiek chciał. Tak na przykład chcielibyśmy sprowadzić sztuczne nawozy, ale nie możemy, bo trudno taki kawał drogi jechać po nie do koleji. Cieszymy się, że będziemy mieli kolej z Ostrołęki do Mławy, ale kiedy to jeszcze będzie ?”

J. G. (Jakób Grabowski – dop. T. S.

„Gazeta Świąteczna nr 1057 z 25 marca/7 kwietnia 1901 r.

Z parafii Krasnosielckiej w powiecie makowskim guberni łomżyńskiej.

O kościele

Schludnie wygląda nasz kościółek Boży,
Chociaż parafia niebogata łoży
na te potrzeby; proboszcza staraniem
przyozdobiony pięknem malowaniem.
Trójcy Najświętszej – Ojca, Syna, Ducha,
obraz przy chórze tuż próśb naszych słucha,
i Wniebowzięcie Najświętszej Dziewicy
z mnóstwem aniołów – a któż je przeliczy?

A trzeci obraz ślicznie się przedstawia:
Wiarę, nadzieję i miłość wysławia,
z krzyżem, kotwicą i sercem płonącem
miłości Bożej uczuciem gorącem.
Dalej prześliczny Archanioł na przedzie
ten, który na sąd ludzi budzić będzie
po lewej stronie jest wymalowany:
poseł do Panny Najświętszej posłany
zwiastuje Syna Bożego Wcielenie
A tu Elżbiety Świętej nawiedzenie

Są też obrazy wielce zasłużonych
Doktorów Świętych i błogosławionych.
A przy ołtarzu wielkim z jednej strony
Jezus krzyż ciężki dźwiga uznojony:
z drugiej zaś strony już go obdzierają
z szat i do krzyża srodze przybijają.
Tu zmartwychwstania obraz nad ołtarzem;
tu Anioł z diabłem pod chórem jest razem.
Nad samym chórem też widzisz z daleka,
dwa wizerunki są Boga – Człowieka.
A tu z Betlejem ze żłobkiem stajenka,
tu znów z Synaczkiem w Świątyni Panienka.

W ołtarzu wielkim jest Jezusa Pana
obraz: tu martwy złożon na kolana
Matce Najświętszej; Święty Jan żałuje
i Magdalena też Go opłakuje.
Wspaniały ołtarz wielki zasługuje na wzmiankę,
aż się tu w oczach kołuje
od złota, srebra, którem ozdobione
figury Świętych, z drzewa wyrzeźbione.
Jest nadto wiele tu niewyliczonych
Obrazów Świętych i Błogosławionych
na tych chorągwiach, na proporcach nowych
z daru Olszewskich i z groszy składkowych.

Wszystko co w liście tym jest wyliczone,
pare lat temu dopiero sprawione.
Jest na co patrzeć, jest co naśladować,
Jest czem się wzmocnić i wiarę zachować.
Pociecho nasza o kościółku luby,
w którym składamy święte nasze śluby,
prośby zanosim do tronu Bożego,
aby odwracał od ludu swojego
wszelkie nieszczęścia, wszelkie złe przygody,
które ze szczęściem idą tu w zawody;
aby oddalał smutki i kłopoty;
aby po śmierci dał nam pokój złoty.
Tą myślą każdy czuje się przejęty,
który odwiedza Ten przybytek święty.

Wierzym, że Kościół to jest Matka nasza,
więc też od niego nic nas nie odstrasza,
bo któż to słyszał matki nie szanować,
z niej się urodzić, a jej nie miłować?
Wszyscy tu bracia; zbieramy się razem
w Boskim przybytku przed świętym ołtarzem,
gdzie w Sakramencie Jezus utajony,
wespół z Świętymi od nas uwielbiony.

W kościółku naszym jest sługą ołtarza
proboszcz Białokos – Niech go Bóg obdarza
zdrowiem i szczęściem, wszelką pomyślnością,
Za jego pracę z wielką gorliwością.
W konfesjonale i z ambony prawi,
że niegodziwca duszy Bóg nie zbawi.
Kto przestępuje Boskie przykazania,
na sądzie Boskim nie ujdzie karania.
Zachęca zawsze: - Nie słowem, lecz czynem
pokutę czyńcie z marnotrawnym synem.
Każe iść do stóp świętego ołtarza
Modły zanosi przed tron Przedwiecznego,
żeby zbawione były owce jego:
za dobrych, aby z drogi nie zbaczali,
za złych – ażeby życie poprawiali.

Takie to rzeczy dziś do druku piszę,
nic ciekawego, nowego nie słyszę,
zaś o strapieniach i niepowodzeniach
nie piszę, choć są w ludziach, nie w kamieniach
Smutki, odłóżmy, troski odejmujmy,
Żyjmy, jak można, a szczerze pracujmy
Bóg nam da życie spędzić po bożemu;
tego ja życzę sobie i każdemu
Pisanie moje zwrócone do tego:
sobie przypomnieć, pobudzić innego
do wiary w Boga, aby w przeciwności
wszelkiej zachować ufność w Opatrzności

O Boże wielki! ręce k’tobie wznosim
daj w dobrem wytrwać, o to szczerze prosim.
Jeśli Twa łaska, oddal od nas troski!
Pisał ten wierszyk kmieć

Jakób Grabowski

Od Redaktora wydania: Na kolorowych stronach niniejszego wydania Krasnosielckich Zeszytów Historycznych znajdziecie Państwo ilustrację aktualnego stanu świątyń znajdujących się na terenie Gminy Krasnosielc.

„Gazeta Świąteczna” nr 1841 z 14 maja 1916 roku

Z Krasnosielca w powiecie makowskim guberni łomżyńskiej.

„Z głuchego zakątka naszego dzielę się z ogółem wiadomościami, jak żyjemy, w jakim stanie pozostajemy.

Najprzód z niedowierzaniem czytaliśmy wieści o gotującej się wojnie, bo przedtem wiele podobnych nowin się rozpierzchało. Już rozpoczęta wojna wielką grozą nas nie przejmowała, bo światlejsi tłumaczyli nam, że wojna może być straszną rzezią wskutek nowoczesnych udoskonaleń wojennych, ale za to potrwa krótko; co zaś do rabunków, jakie za dawnych wojen bywały, to mówili, ze tego nie będzie, bo dziś inne, bardziej ludzkie już są obyczaje; i głodu też nie będzie, mówiono, bo z innych części świata dowiozą żywności. Teraz przekonaliśmy się, ze wszystko jest na odwrót: większą część potrzeb wojskowych zaspokojono z naszych gospodarstw nawet nie wydając kwitów; wojna trwa już prawie dwa lata, a końca jej przewidzieć nie można; drożyzna niesłychana; szkód wyrządzonych skutkiem wojny nikt nie jest w możności całkowicie wy-

nagrodzić. Tego wszystkiego doczekała wraz z całą ziemią polską i nasza okolica.

Zaraz w początkach wojny całe korpusy wojska rosyjskiego szły do Prus, a w parę tygodni potem powracały niedobitki i ranni. Zdawało nam się, że już doczekaliśmy ciężkości, karmiąc tyle wojska, koni i podwożąc darmo tyle rzeczy wojskowych het daleko. Wozy i konie wielu gospodarzom przepadły, wielu woźniców do obecnego czasu nie powróciło. W grudniu wojska biły się w Przasnyszu, a u nas stało wojsko zapasowe i objadało nas. W lutym i nas wojna dosięgła; prawie z całej gminy, kto jak mógł i z czem mógł, wyjechał lub wyszedł w głąb kraju pozostawiając niezabrane rzeczy na łup wojska i wszelakich rabusiów. Gdy wojna cofnęła się na Przasnysz to i myśmy wrócili do swych siedzib obrabowanych i od owego czasu aż do połowy lipca byliśmy 6 do 8 wiorst od wojsk walczących. Była nam nędza, bo dzień i noc mieliśmy do czynienia z wojskiem stojącem u nas załogą, z przewożeniem rzeczy i ranionych. Objedzeni zostaliśmy do szczętu, ale głód nam jeszcze nie dokuczał, bo żywność, choć drogo, można było dowozić z Rossji.

Tysiące zbiegów i wydalonych z parafij: Przasnyskiej, Świętomiejskiej, Jednoroskiej i Baranowskiej tuliło się u nas. Setki ludzi od Nowego Roku aż do połowy lipca budowało okopy dla wojsk rosyjskich na gruntach Krasnosielca i sąsiednich wiosek. Uważaliśmy te okopy za bardzo obronne, ale zarazem baliśmy się, że gdy wojska do nich się cofną, to walka tu będzie straszna, a spustoszenie naszego mienia zupełne. Jakoż zaczęło się to spełniać. Z początkiem lipca obiegły pogłoski, że wojska rosyjskie już cofają się na Krasnosielc. Prosiliśmy Boga, aby się to jeszcze kilka tygodni odwlekło, żebyśmy choć trochę żyta mogli zebrać na chleb. Nic z tego, próżne były nasze wzdychania. Nocą z 13 na 14 lipca całe wojsko armatnie z pod Jednorożca przybyło do nas. Dziwią się, czemuśmy jeszcze nie wyszli ze swoich siedzib i każą natychmiast się wybierać. Radzi byliśmy pozostać, bo żniwo już rozpoczęte, lecz trudno! Dnia 14 lipca z całej parafji, kto jak mógł i z czem mógł wyruszał w stronę Różana. Ach, jak straszne, bolesne jest dla mnie to wspomnienie, kiedy odchodząc żegnałem się z swoją zagrodą, domem, ogrodem, z dojrzewającymi owocami i złocistemi łanami zboża, bo pomimo wszystkiego jesienią i wiosną pola obsiane były należycie. I nie miałem serca jechać daleko. Ujechałem 5 wiorst od swojej zagrody i rozmyślałem: jechać dalej, czy nie jechać? Dwa dnie i noce przyglądaliśmy się pękającym bombom, łunom i pożarom. Na rozkaz wojsk rosyjskich, aby jechać dalej umknąłem w chruśniaki, i jazda do domu! I wielu innych zawróciło za mną. – Czwartego dnia już zobaczyliśmy wojska niemieckie i powróciliśmy do domu. Żywiny nie uchowamy, to pewna, - mówiliśmy sobie, - ale zawsze choć własnych kartofli upiec i zjeść będzie można. – Wielu z nas powróciło zaraz, inni po paru tygodniach; kto wcześniej wrócił, lepiej zrobił. Sporo jeszcze dotychczas nie wróciło, najwięcej brak tych, którzy mieli mniej przywiązania do ziemi świętej, naszej karmicielki.

Po powrocie do domu, choć zabrakło nam co lepszych koni i bydła, jednak o jakże Bogu Wszechmogącemu dziękujemy, że opór wojsk rosyjskich trwał tylko jedną dobę, bo z tego powodu spalono tylko cząstkę miasta, dwie wioski, i po kilka domów w różnych wsiach. Dużo zawdzięczamy i temu, że u nas większa część gminy pobudowana jest na całkowitych osadach, nie w skupieniu, oraz temu, że owego dnia nie było wiatru.

Z tego, co dotąd napisałem, widzicie, że od samego początku wojny odczuwaliśmy jej okropne skutki, a teraz najbardziej zadowoleni są ci, którzy mają dach nad głową. Pomimo wszystkiego ludzie u nas garną się do pracy starając się ulżyć sobie w tak ciężkim czasie. Bieda chorym i niedołężnym; tym pomagają komitety. Ale są i tacy, którzy mogliby jeszcze pracować, a natarczywie upominają się od komitetów, gdy zaś nie mogą nic wskórać, pomstują na nie i złorzeczą. Konie, bydło i świnie bardzo u nas drogie, handel końmi bardzo rozpowszechniony, niektórzy nawet duże pieniądze zarabiają, wyzyskując niemiłosiernie jedni drugich. Z tego powodu piją „litkupy", a tu w każdym domu sprzedają gorzałę i pijaństwo bardzo się rozszerza. – Szkół mamy w gminie kilka, ale utrzymywane są kosztem rodziców posyłających dzieci na naukę. Od dnia 15 lutego staraniem rady opiekuńczej jest u nas herbaciarnia, a od dnia 1 marca ochronka, która bardzo się nam podoba i bardzo zadowoleni jesteśmy z prowadzenia jej przez pannę Majkowiankę. – Ze smutkiem wspomnieć muszę, iż ludzie ciemni i źli szerzą głupie plotki jakoby herbaciarnię i ochronkę założono jedynie na to, aby ich kierowniczki pobierały płace. Nie rozumieją oni jakie korzyści duchowe z tych zakładów płyną dla ogółu. Bardzo to jest smutne!

Wspomnę jeszcze o tych nieszczęśliwych gospodarzach, którzy już na wiosnę roku przeszłego nie mogli obsiać swych pól, a zasiewów jesiennych nie zbierali. Zabudowania ich, nawet wszelkie sprzęty spalone; obecnie nie mają ani konia, ani krowy, ani wozu, a poza tem mało mają oświaty, a więc są niezapobiegliwi. Takich setki są w naszej okolicy, znam ich, bo w ich liczbie są moi rodzeni bracia, bratanki i. t. d. Tacy w żaden sposób wobec strasznej ogólnej drożyzny nie mogą rozpocząć na nowo gospodarki. Jałmużną takich nie wspomoże; trzeba by ich jakoś pomódz pożyczką. Niech o tem pomyślą rady opiekuńcze, komitety, bo nieszczęśliwy jest los naszej Ojczyzny. „Dziadów", czyli żebraków można chować rok, drugi, trzeci, można dochować ich do śmierci; spełni się przez to czyn chrześcijański, ale dla kraju mała z tego pociecha. Gdy zaś rolnik zacznie na nowo gospodarzyć, to przy nim żyć będzie biedak robotnik, i ubogi się pożywi, a kraj się wzmoże.

Jeszcze o jednej rzeczy, ale już wesołej rad wspomnę. Spotkałem się raz w podróży ze znajomym gospodarzem, niejakim Zarod., a ten mnie zapoznał ze swoimi dwoma znajomymi z drobnej szlachty, niejakimi Łysz. I Stepn. Poszliśmy na szklankę herbaty i taką wszczęliśmy rozmowę: - Dzisiaj nas dotknęła ręka boża przez tę straszną wojnę, powinniśmy się zespolić wszyscy razem; włościanie, szlachta, dwory, duchowieństwo, mieszczanie i. t. d. Przechwalanie się mianem „szlachcic" powinno zniknąć, bo to czyni rozdwojenie, a głuptasów ze szlachty nadyma niepotrzebnie. Szlachcic z urodzenia, gdy jest bez wykształcenia, to jak pozłacany guzik. Czyny tylko mogą nas zdobić i uszlachetniać. - Mówiliśmy także o tem, żeby prosić pisarzy gazet, aby uczyli się pisać bardziej po polsku, to jest, aby naleciałości cudzoziemskie stopniowo usuwali z polskiego języka, bo sławy ani pożytku nikomu one nie dają, a tylko niepotrzebne zachwaszczają piękną naszą mowę i czynią ją mniej zrozumiałą. […] Jednomyślnie stwierdziliśmy, że wszędzie, tak dawniej, jak i obecnie byli i są ludzie miłujący Ojczyznę i społeczeństwo, zdolni, czynni, poświęcający swe siły na pożytek Ojczyzny; obok nich zaś jest wielu sobków, którzy pracować radzi jedynie dla własnej korzyści i sławy. Stwierdziliśmy wreszcie, że były i są po wsiach urządzenia społeczne, gdzie jeden człowiek pełni naraz wszystkie urzędy: skarbnika, pisarza, gospodarza i przewodniczącego, co jest bardzo złe. Ludzie światli, prawdziwie miłujący kraj i naród powinni nie tylko sami pracować, ale nieumiejętnych nauczać i do pracy zaprzęgać, to jest przysposabiać. – Pogawędkę tą naszą obiecałem streścić i podać do wiadomości ogółu.

Na tem kończę to pisanie; proszę je wydrukować, a pamiętać o tem, że umysł mam sfrasowany, a rękę ciężką od pługa.

Kmieć, gospodarz małorolny
Jakób Grabowski"

„Gazeta Świąteczna" nr 1983 z 4 lutego 1919 roku

Z Sielca Kolonii pod Makowem w stronach łomżyńskich.

„Doczekaliśmy radosnej chwili: wojna się kończy, gnębiciele nasi pierzchli zdruzgotani i zmiażdżeni. Ojczyzna nasza rozdrapana zrasta się. Stał się cud! Więc korne dzięki składać Wszechmogącemu winniśmy za Jego Opatrzność i opiekę nad nami. – Doczekawszy tego wszystkiego powinniśmy zacząć nowe życie, - życie bojaźni Bożej, miłości bliźniego, powinniśmy przebaczać sobie wzajemne urazy i przewinienia. Tymczasem - o zgrozo! dzieje się wprost przeciwnie: chciwość, obłuda, niewiara, samowola, rozpasanie namiętności przybiera coraz większe rozmiary. Prawda, że znikczemnieliśmy bardzo w długiej niewoli. Od młodości nie znaliśmy, co to wolność, znikczemnieliśmy pod grozą nahajek, prawdziwej oświaty nie zaznaliśmy, poczucie obywatelstwa dla wielu z nas niezrozumiałe; z wielkim wysiłkiem tych z pośród nas, którzy najgoręcej miłowali Ojczyznę, ledwieśmy utrzymali ten najdroższy skarb, tę prześliczną mowę polską. – Drugą rzeczą smutną jest u nas to, że przewodnicy nasi w Warszawie kłócą się o rządy w kraju i walczą z sobą, zamiast się połączyć i działać spólnie. Smutno nam bardzo! Bo wszakże na licznych zgromadzeniach mówiliśmy zawsze: nie może jedna partja ani klasa ludzi dobrze rządzić krajem, powinni być w sejmie: właściciel folwarku, drobny rolnik, rzemieślnik, kupiec, przemysłowiec robotnik, bo tylko wtenczas będzie w kraju dobre powodzenie, jeżeli wszystkim dobrze będzie. Gdy będziemy wszędzie brali udział wszyscy nie będzie powodu do narzekań, że nas inni ciemiężą.

Przedstawiłem zarys myśli naszych o głównych sprawach rządu krajem, ale trzeba też wejrzeć w nasze rządy gminne i społeczne. Wiemy jacy byli wójci za czasów rosyjskich; zasadą było wykonać to, co z powiatu polecono, tylko to uchwalić, co naczelnik polecił. Dobrymi urzędnikami gminnymi byli tylko ci, którzy ściśle wykonywali rozporządzenia władzy; żadnych nowości, ani zamierzeń nie podawali; najczęściej wołano: nie dać, nie uchwalać, niech sami biorą, nam wszystko jedno. Płaca była niewielka, trzeba było liczyć na dochody, to też dochody te ciągnięto za każde pociągnięcie piórem, i to szerzyło zepsucie w naszem społeczeństwie. To też i za czasu pobytu Niemców, którzy niemiłosiernie zabierali nam bydło i świnie, umieliśmy tylko ukrywać dobytek, gdzie się dało, albo wykupywać go na powrót od żandarmów i ajentów braci Frankowskich, a oni za pieniądze zwalniali jednych, ale za to drugim więcej bydła zabrali i tem większa krzywda działa się społeczeństwu. Cielęta po kryjomu sprzedawali żydom na rzeź, a kraj się wyniszczał z żywiny. Toteż powstała myśl, żeby dawać dobytek dobrowolnie, żeby opodatkować się po 6 i pół funtów mięsa od morga, albo w tymże stosunku gotowizną. Ogół podzielił się na dwa obozy; niechcących dawać było bardzo dużo; od tych brano przymusowo. Z tego powstała ogromna zawiść, która po wyjściu Niemców jeszcze się powiększyła. Rzecz tę wyświetlić muszę bo ona i mnie piszącego to bardzo obchodzi i dotyczy. Mieszkam pod miastem, gospodarzę na 30 morgach, byłem pod okiem urzędników niemieckich; radem był chować co można z żywizny, która jest wszelkiem dobrem i podporą dla rolnika. Przybyli ajenci Frankowskich i zabrali mi od razu dwa wieprze. Na naleganie moje, żeby mi choć jednego zostawili nie zwracali uwagi, a nie przekupywałem ich łapówką, bo wiedziałem, że jeżeli mnie wieprza oddadzą, to za to drugiemu wezmą. Potem zabrali mi jałówkę, a drugą musiałem sprzedać za bezcen i zostałem z jedną krową. W niedługim czasie zabrali mi znów przychowane cielę i świnię; toteż uwzięliśmy się dostawiać żywiznę dobrowolnie i wyjednaliśmy pozwolenie na dowolny handel żywizną. Trwało to przez rok ubiegły. W tym czasie, co kto mógł, to przychował, dokupił i żywiny przybyło w gminie o połowę. Z chętnych do dobrowolnej dostawy utworzyła się komisja do rozkładu funtów żywej wagi mięsa podług posiadanych morgów ziemi. Niełatwe to było zadanie: mieszka ktoś i gospodarzy w jednej wsi, ale ma ziemię i w drugiej, a tu sołtysi żądają od komisji całego dokładnego rozkładu; nie dostarczył ktoś na czas, Niemcy zabierają żywinę przemocą; należy się od wsi 500 funtów, Niemcy przyjeżdżają i zabierają kilka krów wagi 5 tysięcy funtów. – wtenczas gwałt we wsi i huzia na członków komisji, że to oni tak wykierowali. Dwa folwarki: Drążdżewo i Niesułowo, których właścicielami są żydzi mieszkający gdzieś daleko i tego nie dawały dobrowolnie, co im wyznaczono, a Niemcy jakoś nie brali od nich przemocą, tylko ze wsi. Działo się to wbrew rozkładom i poleceniom komisji mięsnej, ale cóż, i tę winę z Niemców zdejmują, a na komisję wkładają. […] Z rozporządzenia Niemców nawoziliśmy drzewa z borów rządowych niby to na mosty. Mosty może by jakiś czas jeszcze potrwały, gdyby je naprawiano i podpierano, a drzewo to można by obrócić na pobudowanie szkół w gminie. Z tego drzewa było by jakie pięć, albo i więcej domów szkolnych, dokupić by tylko trzeba cieńszego drzewa na belki i krokwie. Warto by o tem pomyśleć.

Na tem kończę i proszę szanowną Redakcję o wydrukowanie. A ponieważ w mojej osobie mieści się członek zarządu stowarzyszenia spożywczego, członek komisji rewizyjnej kasy pożyczkowej, członek zarządu sklepu kółka rolniczego, pisarz kółka rolniczego, członek rady opiekuńczej, pełnomocnik gminny i członek komisji mięsnej. – to te obowiązki wszystkie składam. Urzędy, z których ustępuję niech obsadzą kim innym – młodszą, ruchliwszą siłą, a mnie proszę darować moje ułomności. Gdyby ktokolwiek poniósł przeze mnie szkodę, to uroczyście powiadam, że chcę i mogę zupełnie każdego wynagrodzić, kto tylko udowodni swoje słuszne zażalenie.

Jakób Grabowski”

„Gazeta Świąteczna” nr 2077 z 21 listopada 1920 roku

„ Mamy już siódmy rok wojny. Oswoiliśmy się z hukiem armat i terkotaniem karabinów maszynowych i latawców, zżyliśmy się z brudem i wszami nocujących u nas żołnierzy. Biedziło się przez te wszystkie lata, ale jak kto mógł i umiał, radę sobie dawał. Najciężej biedowali pogorzelcy. Były setki takich, którzy poszukiwali wsparcia u możniejszych, ale kolej przyszła i na możniejszych gospodarzy. Dnia 7 sierpnia weszły do nas bose i głodne wojska bolszewickie; zniszczyły nas one do szczętu. Chleb, mleko, kury, gęsi, oraz wszelką odzież, płótno i obuwie bolszewicy pozabierali prawie darmo, bo płacili swemi bolszewickiemi rublami, biorąc rubla za dwie marki, choć ich rubel nie wart nawet kilkunastu fenigów. Jak tylko weszli, zabrali co lepsze konie, dając w zamian różne kaleki ułomne lub zamęczone tak, że gdy się położyły, to już nie wstawały. Resztę koni z wozami zabrali na podwody i te już do nas nie wróciły. Od czasu przyjścia bolszewików aż do ich ustąpienia roboty w polu ustały, a była śliczna pogoda. Później przez dwa tygodnie padały deszcze i jarzyna gniła w polu, bo nie było koni aby ją zwieźć do stodoły. Żyto się nie dorodziło, a wcześniejsza jarzyna została spasiona i rozwleczona po świecie przez bolszewików. Byli i u nas tacy, co oczekiwali bolszewików i przepowiadali, że gdy przyjdą, to zrównają możniejszych z uboższymi i sprawdziły się te przepowiednie, tylko nie na korzyść uboższych ludzi. Myśleli ci przyjaciele bolszewików, że oni bogatszym zabiorą, a im dadzą; tymczasem bolszewicy dla siebie zabrali wszystko i nic ubogim nie dali. Nikogo nie zbogacili, a wszystkich zubożyli. I gdyby ich prędko od nas nie wypędziły nasze wojska, toby rzeczywiście zrównali wszystkich, ale nie w bogactwie. Jeno w ubóstwie i nędzy. Najwięcej ucierpieli gospodarze osiadli blisko miasta, gdzie był postój wojsk bolszewickich, oraz blisko większych dróg. Mieszkający dalej, na uboczu, zostali mniej skrzywdzeni, bo zabranie im chleba, mleka, drobiu nie naraża gospodarstwa na upadek. Najgorzej tym, którym zabrano konie, wozy, zboże i siano do szczętu. Do nich i ja należę.

Po ustąpieniu bolszewików odbyły się u nas wiece, na które przyjeżdżał niejaki pan Łada. Pocieszał nas, że rząd troszczy się o nasze gospodarstwa, dostarczy nam koni, których brak w naszej gminie z górą pięćset. I że dostaniemy je w cenie od 4 do 10 tysięcy marek. Oczekiwaliśmy radzi spełnienia tej obietnicy. Po dwóch tygodniach przysłano na naszą gminę aż trzy konie po 14 tysięcy marek. Pan Łada wyraźnie mówił, że koni pod Modlinem jest dosyć, ale minister Bardel ze stronnictwa ludowego dać ich nie chce. Postanowiliśmy prosić rząd o więcej koni i przysłano nam dnia 20 października jeszcze cztery. Późna pora do siewu, ale lepiej późno niż wcale. Wójt oznajmił, ze konie te są w cenie: jeden lichy 12 tysięcy i 100 marek; drugi, lepszy 21 tysięcy i 100 marek. Zdziwiliśmy się dlaczego ogłaszano, że konie będą po 10 tysięcy, a później żądano 20 tysięcy. Rozpacz ogarnia gospodarzy, którzy dla braku koni obsiać pola nie mogą, a tu podatki trzeba płacić. Na jednym z wieców urzędnik starostwa makowskiego objaśnił, że konie odebrane bolszewikom będą oddane do rozporządzenia komitetów gminnych, a one znając najlepiej potrzeby gospodarstw podzielą te konie między gospodarzy. Ale upłynął już miesiąc od czasu tego ogłoszenia i potwierdzenia na piśmie przez wójtów, a tymczasem końmi rozporządza się dalej policja. Kto sprytniejszy, ten dostał konia, obrobił swoje i jeszcze zarobił, bo koło Krasnosielca człowiek z jednym koniem zarabiał przy zwózce ziemniaków 450 marek dziennie. Niejeden gospodarz nie mający koni nie mógł tyle zapłacić i zboże zgniło na polu. Na wiecach gorąco zachęcano, aby mający konie pomagali tym, którzy ich nie mają. Nie powiem, żeby wszyscy byli twardego serca; owszem było paru, co innym pomagali. Ale było też tak, że nie można było doprosić się pomocy nawet od tych, co po trzy konie mają, choć widzieli, że trzeba koniecznie zwieźć z pola na przykład groch i grykę, bo się zmarnują; zboże leżało na deszczach parę tygodni, wyłuskało się i zrosło.

Skreśliłem ten list, aby pozostała pamięć z naszego zakątka o najeździe bolszewickim. Pragnę też zwrócić uwagę rządu, aby był wierny swym obietnicom i nie kazał płacić 20 tysięcy z kosztami dostawy tam, gdzie czarno na białem postanowiono brać tylko do 10 tysięcy. Nie powinno też być i takich rzeczy, które u nas się zdarzały; pierwszeństwo do kupna koni miało być dla żon żołnierzy, dla tych, co mają synów w wojsku i co dali pieniądze na pożyczkę rządową, a tymczasem u nas kupił konia taki, co nikogo z rodziny w wojsku nie ma i pożyczki nie dał, ale syna ma w urzędzie starosty; sprawdza się przysłowie, że kto bliżej miski siędzie, pewnie syty będzie.

Jakób Grabowski
stary czytelnik Gazety Świątecznej”

Nie miała łatwego życia

Pamięci Matki w 100-lecie Jej urodzin

Tadeusz KRUK

Wstęp

Florentyna Król z domu Bakuła, primo voto Ciuchta, secundo voto Kruk to personalia mojej Matki. W 2014 roku przypada stulecie Jej urodzin. Niniejsze opracowanie jest pobieżnym i wyrywkowym przypomnieniem jej osoby poprzez pryzmat trudnego życia i ciężkiej pracy. Była prostą, wiejską kobietą, żoną i matką, dla której największymi wartościami były: dom, rodzina, modlitwa, praca. Była osobą o silnym poczuciu więzi rodzinnych. Bezpośrednia w kontaktach międzyludzkich, może niekiedy nazbyt bezpośrednia. - *Prawdę to i w kościele powiem* - powtarzała, nie bacząc na osobę i stanowisko.

Miała świetną pamięć, wyjątkową bystrość umysłu i poczucie humoru. Niektóre riposty i celne uwagi weszły do kanonu anegdot rodzinnych. Oto próbki:

Jako stała bywalczyni jarmarków lubiła się potargować. Gdy na pytanie ile to coś kosztuje, sprzedający podawał za wysoką, według niej, cenę, słyszał w odpowiedzi: - *Chyba razem z tobą.*

Kiedyś biegł za nią jakiś piesek, ci widząc pani idąca z naprzeciwka pyta: - *Panin?*
- *Nie, sucyn.*
- *Pani to teraz dobrze* - zagadywano ją nieraz po przejściu na rentę..
- *Dobrze, robaków nie mam* - ucinała zaczepkę.

Życie doświadczało ją jednak wyjątkowo boleśnie. Wystarczy przypomnieć, że przeżyła wszystkich trzech swoich mężów i dwóch dorosłych synów, i synową, i dziewięcioro swego rodzeństwa, a troje dzieci pochowała już w niemowlęctwie. Po drodze były choroby własne i osób bliskich i mnóstwo problemów dnia codziennego. - *Kogo Pan Bóg kocha temu krzyże zsyła* - godziła się z losem. I szła dalej pełna temperamentu i sił witalnych. - *Zawsze miałam w życiu pod wiatr i pod górę* - mawiała. - Mimo to potrafiła sprostać przeciwnościom losu, pocieszając siebie (i innych), że *Pan Bóg ma więcej niż rozdał.*

Dane Jej było dożyć sędziwego wieku w gronie licznej rodziny. Wychowała 6 dzieci, doczekała się 18 wnuków, 37 prawnuków i praprawnuka.

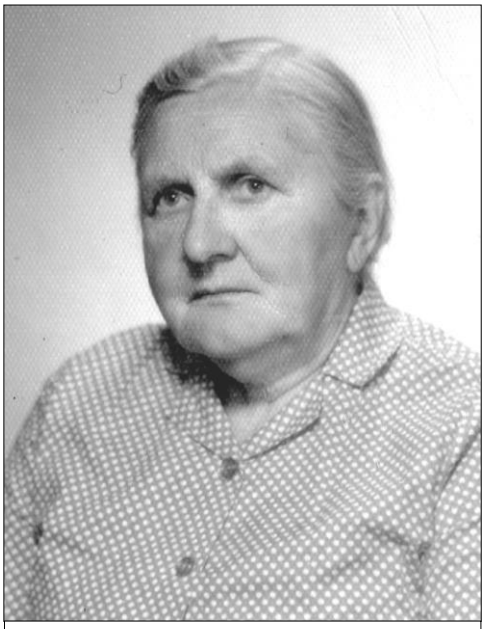

Florentyna Król, lata 80.

Metryka

„Działo się we wsi Drążdżewo trzydziestego pierwszego sierpnia (trzynastego września) tysiąc dziewięćset czternastego roku o godzinie piątej po południu. Stawił się Jan Bakuła gospodarz z Drążdżewa lat trzydzieści jeden w obecności Stanisława Walendziaka lat pięćdziesiąt sześć i Stanisława Mackiewicza lat

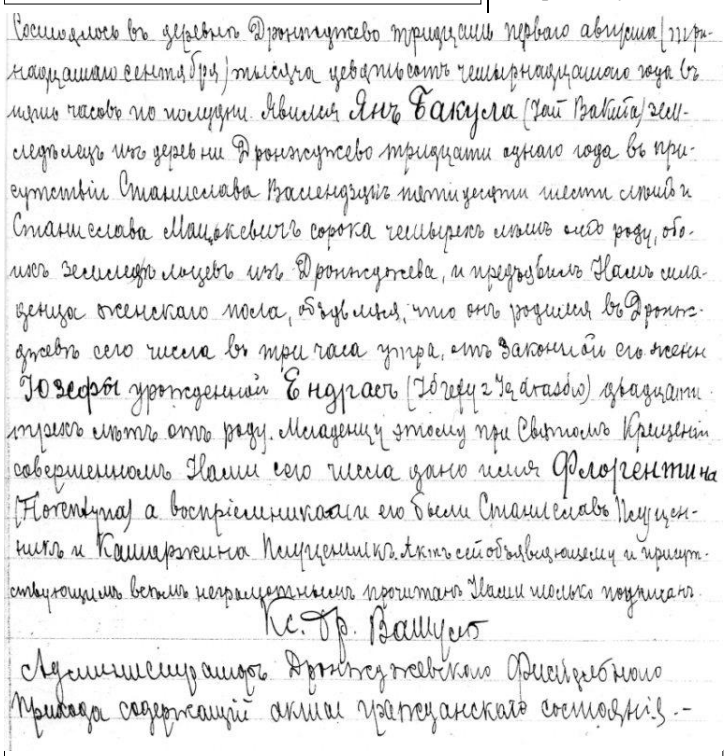

Metryka urodzenia Florentyny Bakuła

czterdzieści cztery mających obydwóch gospodarzy z Drążdżewa i okazał Nam dziecię płci żeńskiej oświadczając, iż takowe urodzone jest w Drążdżewie dnia dzisiejszego o godzinie trzeciej rano z jego małżonki Józefy z Jędrasów lat dwadzieścia trzy mającej. Dziecięciu temu na Chrzcie Świętym w dniu dzisiejszym przez Nas odbytym nadane zostało imię Florentyna a rodzicami jego chrzestnymi byli Stanisław Płuciennik i Katarzyna Płuciennik. Akt ten stawającym wszystkim nieumiejącym pisać przeczytany przez nas tylko podpisany został. Ks. B. Waszul.”.

Tak brzmi (w przekładzie z języka rosyjskiego) akt urodzenia i chrztu mojej matki, Florentyny z d. Bakuła. Został sporządzony po rosyjsku, zgodnie z obowiązującym wówczas prawem zaborcy, i zapisany w Księdze ochrzczonych parafii Drążdżewo pod numerem 50.

Wyjaśnienia wymagają dwie kwestie - miejsce urodzenia i data. W dokumencie figuruje Drążdżewo, gdy faktycznie chodzi o Drążdżewo-Kujawy. Otóż parafia Drążdżewo powstała w 1911 r. (obszar wydzielony z parafii Krasnosielc). Do 1920 r., w jej księgach parafialnych, pod wspólną nazwą Drążdżewo występowały cztery obecne wsie: Drążdżewo, Drążdżewo-Kujawy, Drążdżewo Małe, Drążdżewo Nowe i jego kolonia tzw. Kantor. Nazwa wsi Drążdżewo-Kujawy pojawiła się po raz pierwszy w Księdze Ochrzczonych dopiero 31 października 1920 r. (Spisano wówczas akt chrztu nr 56 dla Bronisławy Buczek).

Sprawa daty wygląda następująco: Dokument, aczkolwiek sporządzony jednego dnia, nosi dwie różne daty: 31 sierpnia (wg kalendarza juliańskiego) i 13 września (wg kalendarza gregoriańskiego). Podwójne datowanie było w zaborze rosyjskim praktyką powszechną. Różnica pomiędzy tzw. starym i nowym porządkiem dla lat 1900-2100 wynosi 13 dni. Jednak na takie niuanse sama zainteresowana nie zwracała uwagi, ponieważ o nich najzwyczajniej nie słyszała i nie wiedziała. - *Do szkół nie chodziłam* - powie po latach.

Na pewno też nigdy nie widziała tej metryki i nie znała jej treści. I nie dlatego tak sądzę, że o niej nie wspominała, tylko dlatego, że bez zastrzeżeń podawała przez całe życie nie 13 a 12 września 1914 roku, jako prawidłową datę swego urodzenia. 12 września 1914 r. zapisano także w dowodzie osobistym i we wszystkich

innych urzędowych dokumentach. Czy więc przypisano jeden dzień, czy raczej wstawiono ten właściwy? Jednoznacznej odpowiedzi już nie będzie. Zresztą podobne i inne nieścisłości wcale nie należały do rzadkości, np. ta sama osoba w dokumentach sporządzanych w jednym roku mogła być za każdym razem w innym… wieku. Zresztą warto dopowiedzieć, że nasi przodkowie żyli w zasadzie według kalendarza liturgicznego. Odliczali czas od świąt do świąt, a więc od Bożego Narodzenia (25 XII) do Wielkanocy (święto ruchome, III-IV), Zielonych Świątek (święto ruchome, V-VI) i Wszystkich Świętych (1 XI); od Matki Boskiej Gromnicznej (2 II) do Zielnej (15 VIII) i Siewnej (8 IX), a po drodze do poszczególnych świętych, jak Walenty (14 II), Grzegorz (12 III), Józef (19 III), Stanisław (8 V), Zofia (15 V), Jan (24 VI), Anna (26 VII), Jadwiga (15 X), Marcin (11 XI), Andrzej (30 XI), czy Barbara (4 XII). Pamiętano także o trzech zimnych ogrodnikach - Pankracym, Serwacym i Bonifacym (12-14 V), poprzedzających także zimną, jak oni sami - Zośkę. W dobrym tonie było więc posiadanie kalendarza z wydzieranymi kartkami. Znam to z autopsji. Wisiał na widocznym miejscu.

Stosowano również terminy odnoszące się do pór roku lub do prac polowych. Stąd mówiono, że ktoś się urodził, ożenił, umarł lub coś miało miejsce wiosną, latem, jesienią lub zimą, albo w same żniwa, po żniwach, omłotach bądź wykopkach. Uwzględniano doniosłe wydarzenia, np. wojnę, powódź czy inny kataklizm. Babcia Józefa odnośnie urodzin swoich i najstarszej córki mówiła tak: - *Mnie się lata kończą na Rozalię* (4 IX), *a Florce tydzień później.* Chodziło dokładnie o 1 i 12 września, ale to drobnostka. Najważniejsze, że wrzesień się zgadzał. Czasem żartobliwie spłycano doniosłość wydarzenia do czynności prozaicznych, nieistotnych i ulotnych. W rodzinie krążyła anegdota, że mama urodziła się wtedy, gdy… Sagała stóg stożył. No, cóż, i tak być mogło, a może nawet było. Sama zainteresowana, mająca wielkie poczucie humoru, chętnie to powtarzała, śmiejąc się przy tym do rozpuku.

Kujawianka

- *Urodziłam się i wychowałam na Kujawach, idę na Kujawy, byłam na Kujawach* - to najczęstsze odniesienia matki do rodzinnej wsi. Była z nią emocjonalnie związana poprzez rodzinę, sąsiadów, koleżeństwo i znajomych. Znała tu wszystkich i wszyscy ją znali. Wołali na nią z imienia Florcia lub Florka, albo z nazwiska - Bakulunka. A poza swoją wsią była jedną z kujawianek. Najstarsi mieszkańcy pamiętają ją do dzisiaj, jak np. Zofia Sztych z d. Szewczak (1918) z Drążdżewa Małego, z urodzenia też kujawianka: - *Tadziu, z twoją mamą Florcią miałyśmy wspólnych chrzestnych - Katarzynę i Stanisława Płuciennków z Kujaw.* Przypadek sprawił, że Katarzyna Płuciennik (†1946) spoczywa na drążdżewskim cmentarzu w bezpośrednim sąsiedztwie swojej chrześniaczki Florentyny.

Ona też pamiętała i znała wszystkich w okolicy. Po latach wracała pamięcią do lat dzieciństwa i młodości, podając szczegóły niektórych wydarzeń, ze wskazaniem osób z imienia, nazwiska, koneksji rodzinnych, itd. Najczęściej, co zrozumiałe, wspominała swoje koleżeństwo z Kujaw, a szczególnie rówieśniczki: np. Stanisławę Kowalewską (z męża Szmytkowska) i Henrykę Kuśmierczyk (z męża Topa) oraz nieco młodszą Stefanię Zega (z męża Kozerawska). Odwiedzały się nawzajem przy okazji i tak zwyczajnie. Jedną z okazji były np. potańcówki po domach, w sobotę lub w niedzielę. Na pewno nie w piątek, przed czym przestrzegało przysłowie: *Kto w piątek skacze, ten w niedzielę płacze.* Najczęściej takie zabawy odbywały się u Krajewskich i u Bakułów. Po pierwsze „izba musiała być głośna" - i w obu przypadkach taka była, a po drugie - dziadkowie chętnie się godzili na jej udostępnienie. - *Moje dzieci chodzą do kogoś, to i obcych trzeba wpuścić do siebie* - tłumaczył dziadek. No i schodzili się do graca (tak nazywano zabawę) z całych Kujaw, a nawet pojedynczy ludzie z okolicy, bo z Kantoru, i z Drążdżewa. Stałymi bywalcami byli np. Jan i Antonina Wójcikowie. Przychodzili z małymi dziećmi, żeby nie zostawiać ich w domu bez opieki - *Tancerze nie byli wymagający względem muzyki* - opowiadała matka. - *Wystarczył pierwszy lepszy grajek ze skrzypcami lub harmonią. Często nam przygrywał Wacek Kowalewski*. Należy dodać, że nie wszyscy, którzy mogli, godzili się na użyczenie lokalu. Powody odmowy były przeróżne, jak chociażby taki, że „dziadkowi hałas szkodzi", chociaż cała wieś wiedziała, że ten dziadek od dawna jest głuchy jak pień! Z tymi zabawami młodzi nie zamykali się tylko we własnej wsi. Bywali i w Lipie, i w Drążdżewie, czy Jednorożcu. I obcych przyjmowali u siebie. Matka opowiadała, jak pewnej nocy jej przyrodni bracia z kolegami wracali z zabawy z Lipy. Już od lasu biegli, bo w swojej wsi zauważyli łunę pożaru. Na miejscu zastali starszego pana, właściciela płonącej chałupy. Próbowali organizować pomoc, ale dziadzio z rozbrajającą szczerością prosił: - *Nie gaśta, będzie większa fajerkasa.*

- *Od najmłodszych lat nie miałam łatwego życia* - wspominała matka. - *Urodziłam się na początku wojny. Gdy miałam z miesiąc, rodzice i reszta rodziny musieli opuścić Kujawy i udać się na ucieczkę. Na żelaźniaku znalazły się najpotrzebniejsze sprzęty i różne toboły. Dorośli i dzieci szli obok. Mnie mama niosła w becie. Zmęczona dźwiganiem została ze mną w tyle. Po pewnym czasie dołączyła do wozu, ale beze mnie. - Gdzie dzieciak? - krzyknął tata. - Zostawiłam pod galą [sosną]. Na te słowa natychmiast wróciła po mnie ciotka Michalina i niosła mnie przez resztę drogi. W ten sposób mama zwróciła uwagę, że trzeba jej pomóc.*

Prawdopodobnie okoliczności ucieczki mogły być zbliżone do opisanej poniżej, a dotyczącej mieszkańców Jednorożca i Stegny: „Pierwsze walki w rejonie Jednorożca miały miejsce w listopadzie i grudniu 1914 r. (…) Ludność również odczuła skutki wojny. Według Stefana Wilgi wojska carskie zmusiły mieszkańców do ucieczki. Przeważnie ponaglani przez Kozaków, którzy z batami w ręku krzyczeli: „udzirajta polaki, jeto germaniec nadchodzi…", pakowali w pośpiechu swój dobytek. Wokół słychać było płacz kobiet i małych dzieci oraz ryk bydła i wycie psów. W takiej to atmosferze ludność zmuszona do ucieczki opuszczała swoje domostwa, udając się do sąsiednich wiosek".

Matka pochodziła z licznej rodziny. Miała pięciu braci i sześć sióstr. Pięcioro najstarszych to było jej rodzeństwo przyrodnie.

Ale po kolei…

Babcia Józia

Babcia Józefa bardzo hołdowała wspomnianej św. Rozalii. Przez długie lata, na początku września, pielgrzymowała na doroczny odpust do Świętej Rozalii, w parafii Szelków. Pielgrzymi przybywali tam już dnia poprzedniego na całonocne czuwanie. - *Bywałam tam z mamą* - wspominała matka. - *To był niewielki, drewniany kościółek. I bardzo stary. Jednego razu w nocy rozpętała się burza. Nie wszyscy zmieścili się do środka. Ulewa, błyskawice, pioruny i silny wiatr. Zdawało się, że tu wszystko runie. Ściany trzeszczały. A myśmy się modlili w głos. Miałam wtedy z 10 lat.*

O magiczności tego miejsca tak mówił podczas homilii w 1946 r. ks. Aleksander Brzózy: „23 razy już tu głoszę kazania, ale pamięcią wybiegam do lat dziecinnych. Moja Matka, już jako kilkunastoletniego chłopca prowadziła za rękę do św. Rozalii na odpust. I tak już tradycja od niepamiętnych czasów i pobożność ludu, gromadzi ojców i dzieci na to święte miejsce".

Zabytkowa, drewniana kaplica z 1709 r. przetrwała zawieruchy wojenne z wyjątkiem ostatniej. W 1944 r. została rozebrana przez Rosjan, a modrzewiowe bale „posłużyły na opał do polowej kuchni wojskowej". Po wojnie, na jej zgliszczach, wzniesiono nową, która służyła wiernym przez pół wieku. Od 1995 r. pątnicy gromadzą się w kaplicy murowanej. Babcia nawiedzała pobożnie również inne miejsca kultu religijnego. Poza Drążdżewem bywała na odpustach na Świętym Miejscu, w Jednorożcu, Krasnosielcu i Przasnyszu. Ten zwyczaj kultywowała potem moja matka. - *Czas poświęcony Panu Bogu nie jest stracony* - mawiała. Wspomniane pielgrzymki do miejsc świętych wymagały niezłej kondycji fizycznej. W obie strony pieszo. Nieraz obolałe nogi odmawiały posłuszeństwa. Dotyczyło to zarówno starszych, jak i młodych. Babcia wracała nieraz do pewnej historyjki z udziałem rezolutnej dziewczyny, towarzyszki tych pieszych wypraw. Otóż, pewnego razu, drogą przy maszerujących przejeżdżał jakiś obcy mężczyzna na rowerze. Gdy ich wyprzedzał, dziewczyna zwróciła uwagę na pusty bagażnik. Zaświtała jej myśl, że może by ją podwiózł. Bez zastanowienia wyraziła głośno swoją prośbę, kończąc ją mało eleganckim słowem. Zagadnięty cyklista, owszem, zatrzymał się z pytaniem: - *To którą mam wziąć…?* Babcia opowiadała, że ze wstydu o mało się pod ziemię nie zapadła. -

Zresztą babcia lubiła bywać w rozjazdach. W okresie międzywojennym była nawet w Warszawie. A tu, w rodzinnych stronach, chętnie odwiedzała bliższą i dalszą rodzinę, znajomych i sąsiadów. Trudno ją było zastać w domu. Była osobą towarzyską. Do realiów życia podchodziła ze spokojem. Nie zawracała sobie głowy drobiazgami. Do kościoła i - jak to mówiła - do ludzi, trzeba się ładnie ubrać. Przy okazji coś smacznego zjeść. - *Mama* - wspominała moja mama - *bardzo lubiła słodkie bułki. Najbliższe były w piekarni Żyda Erśka w Drążdżewie, po sąsiedzku z plebanią. Kawał drogi z Kujaw. Chodziłam nieraz z garncem zboża na wymianę na to pieczywo.*

Niejako w uzupełnieniu dodam, że w Drążdżewie mieszkało kilka rodzin żydowskich. We wspomnieniach matki pojawiały się nazwiska: Rafał Szajman (Fułka) - właściciel ziemi pofolwarcznej, Skierka (niekiedy jako Skórka; vis-á-vis byłej karczmy) - piekarz i sklepikarz oraz w pobliżu obecnego ronda: Berkowa - sklepikarka i Błękitny - krawiec. Znała ich osobiście. U Skierki, mającego problemy ze wzrokiem, pracował w charakterze piekarza jego rodak, niejaki Elo. Wymieniony już piekarz Ersiek handlował cielakami. Krawiec Błękitny świadczył usługi w domach klientów i nawet u nich mieszkał, po kilka dni. U moich dziadków w Kujawach też kwaterował. - *Uszyłem Bakułę w kożuch* - mówił po zakończeniu pracy, a np. kogoś innego *uszył w portki, palto*, itp. Sporo czasu poświęcał na modlitwę. Sam sobie przygotowywał posiłki.

Rodowód dziadka Jana

Mój dziadek Jan Bakuła, syn Franciszka i Franciszki z d. Kryszk urodził się 1 grudnia 1883 r. w Kujawach. Miał przyrodnie rodzeństwo: siostrę Antoninę (†1945) i brata Stanisława (†1930?) Wójcików, ponieważ, jego ojciec a mój pradziadek Franciszek ożenił się z wdową po niejakim Janie Wójciku. Prababcia - Franciszka z Kryszków, córka Walentego - pochodziła z Wólki Drążdżewskiej.

Antonina Wójcik, przyrodnia siostra dziadka, była dwukrotnie zamężna. Pierwszym jej mężem był Andrzej Dymowski (†1908). Małżonkowie Dymowscy mieli troje dzieci: Weronikę (†1964), Józefa (†1952) i Wiktorię (1908-2007). Owdowiała Antonina Dymowska ponownie wyszła za mąż w 1911 r. za Stanisława Rozickiego (†1937), wdowca po Małgorzacie Szewczak z d. Dudek. Weronika Dymowska wyszła za mąż za Rocha Berka (†1955) z Karolewa. Mieli siedmioro dzieci: Marcelę, Wiktorię, Władysławę, Józefa, Jana, Mieczysława i Irenę. Wiktoria zmarła w niemowlęctwie, a Mieczysław w wieku 17 lat. Najmłodsza, Irena w 1951 r. wyszła za mąż za Edwarda Wywigacza, a po jego śmierci za Henryka Jeziorka. Obaj mężowie, podobnie jak ona, pochodzili z Karolewa.

Józef Dymowski był żonaty z Zofią Modzelewską (†1976). Z tego związku było pięcioro dzieci: Wacława (†1969) - niezamężna, Anastazja (1923) - wyszła za mąż za Zygmunta Rybackiego w 1949, Aniela (1929) - wyszła za mąż za Józefa Andrzejczyka w 1952, Sabina (1925) - wyszła za mąż za Antoniego Rogalskiego w 1945 i Marian (1933-34).

Wiktoria Dymowska, podobnie jak jej matka Antonina, była dwukrotnie zamężna. Pierwszy raz wyszła za mąż w 1924 r., w wieku 16 lat, za Pawła Jastrzębskiego (†1926). Drugi raz, po 10 miesiącach wdowieństwa, wyszła za mąż w 1926 r. za Jana Wójcika (†1975). Z drugim mężem miała trzech synów - Czesława (1932), Stanisława (1935) i Jana (1944) - oraz córkę Otylię (1929). Wszyscy pozakładali rodziny. Otylia wyszła za mąż (1953) za Antoniego Topę (†2002).

I małżeństwo dziadka Jana

Dziadek Jan Bakuła w wieku 18 lat ożenił się ze starszą o trzy lata Florentyną Cychowską z Chłopiej Łąki, córką Franciszka i Marianny z d. Rogala. Ślub odbył się 26 maja 1902 r. Młodzi zamieszkali w Kujawach na gospodarstwie, razem z rodzicami. Doczekali się pięciorga dzieci. Najstarszy to Adolf (1903-1943), a po nim Antoni (1906-zg. na wojnie), Stanisław (1908?- 1936), Wacław (1910-zg. na wojnie) i Adolfa (1911-2003). Po 11 latach małżeństwa Florentyna zmarła. Miała niespełna 32 lata. To druga tragedia, jaka dotknęła dziadka wiosną 1913 r., na przestrzeni pięciu tygodni. Na początku kwietnia pochował swoją matkę Franciszkę, a w połowie maja - żonę. Został tylko z ojcem i piątką dzieci w wieku od 2 do 10 lat. Dwuletnią Adolfę wzięli do siebie na wychowanie wujostwo Pukas z Kalinowa. Pozostała u nich do czasu swego zamążpójścia. 26 lutego 1934 r. poślubiła Bolesława Zegę (1906- 1991) i zamieszkała u niego w Drążdżewie Nowym, czyli na Posileniu. Tam urodziły się ich dzieci: Wacław (1934), Edward (1937), Henryk (1939), Czesława (1941) i Zofia (1948).

Wacław Bakuła (brat Florentyny) z żoną Stanisławą z d. Małkowska.

II małżeństwo dziadka Jana

Owdowiały dziadek, przytłoczony nadmiarem obowiązków, postanowił poszukać kandydatki na przyszłą żonę i gospodynię, a przede wszystkim na matkę osieroconym dzieciom. I znalazł. Już 16 czerwca 1913 r. w drążdżewskim kościele wziął ślub z młodszą od siebie o osiem lat, 22-letnią panną Józefą Jędras. Moja przyszła babcia urodziła się 1 września 1891 r. w Drążdżewie, w części zwanej Ośmiórki. Nazwa wywodzi się od ośmioraków, czyli budynku o ośmiu mieszkaniach.

Babcia miała młodszą siostrę Michalinę (1894-1991). Ich rodzicami byli: Antoni Jędras (†1918) i Franciszka z Szewczaków (†1924). Prababcia Franciszka pochodziła spod Krasnosielca, z Wygody.

Z nowego związku dziadka Jana przyszło na świat siedmioro dzieci - pięć córek i dwóch synów - w następującej kolejności: Florentyna (1914; moja mama), Czesław (1915), Stanisława (1920), Władysława (1922), Marianna (1925), Czesława (1928) i Jan (1932). Razem, z dziećmi z pierwszego małżeństwa (Adolfem, Antonim, Stanisławem, Wacławem i Adolfą) było ich dwanaścioro. Różnica wieku pomiędzy braćmi, najstarszym i najmłodszym, wynosiła aż 29 lat. - *Bawili jedni drugich. Starsi opiekowali się młodszymi* - znam relację z matczynych wspomnień.

Rodzeństwo

Najstarsi bracia mojej matki, od najmłodszych lat, jak większość ich rówieśników, ciężko pracowali. Trudno tu wymienić wszystkie ciężkie prace, ale do takich należała na pewno traczka, czyli ręczne przecinanie kłód drzewa na bale i deski. Pomagali w rodzinnym gospodarstwie, albo szli na służbę do zamożniejszych gospodarzy. Instytucja służby przetrwała z powodzeniem do lat powojennych, do czego jeszcze powrócę.

Wacław np. służył aż w okolicach Płoniaw, m.in. w Chodkowie-Załogach. Tam poznał swoją przyszłą żonę Stanisławę Małkowską. Mieszkała i pracowała, wspólnie z matką, w sąsiednim Rogowie. Pochodziła spod Ostrołęki, z Białobrzegu. Ślub wzięli 10 stycznia 1932 r. w Płoniawach. Mieli cztery córki: Janinę (1932), Teresę (1934), Czesławę (1936) i Martę (1939). Najstarsza i najmłodsza zmarły w niemowlęctwie. Czesława przeżyła 51 lat. W 1954 wyszła w Giżycku za mąż za Witolda Kołakowskiego; mieli dwie córki: Barbarę i Lidię.. Czwarta z sióstr, Teresa, wyszła w 1956 r. za mąż za Zygfryda Reczko (†2004), również w Giżycku. Mieli troje dzieci: Ewę, Elżbietę i Piotra (†1960).

Również poza własną parafią, ożenił się drugi z braci Bakułów - **Antoni.** Jego wybranką serca była Marianna Dominik z Lipy, parafia Święte Miejsce. Po ślubie zamieszkali w Drążdżewie. Tu urodziły się ich córki: Irena Helena (1938) i Teresa (1939). Irena wyszła w 1957 r. za mąż za Ireneusza Kołodziejskiego (†2004) z Lipy, a Teresa w 1960 poślubiła Kazimierza Wojtasiaka (†2013). Obaj bracia - Wacław i Antoni - jako rezerwiści, zostali zmobilizowani w 1939 r. Zaginęli na wojnie. Nieznane są żadne okoliczności ich żołnierskich losów.

Adolf, trzeci z braci, najstarszy, ożenił się z Czesławą Merchel (†1996), z Wólki Drążdżewskiej i zamieszkał u żony. - *To tata wyprawił mu wesele* - często powtarzała matka. - *Pamiętam, jak tata jeździł na młyn do Silca* [Krasnosielca] *z pszenicą, jak robili u nas puchowe poduszki i pierzynę na prezent ślubny. Pamiętam całe ich wesele.*

Adolf, zanim założył rodzinę, był przez jakiś czas stróżem w sadzie u Żyda Rafała Szajmana o przezwisku Fułka. Sad znajdował się w Drążdżewie na obszarze pomiędzy starą szkołą, a tzw. kujawskim rowem i Orzycem. Od strony drogi był ogrodzony wysokim murem kamienno-ceglanym. Mur rozebrano w latach 30. XX wieku. Część gruzu trafiła pod Kopiec 1000-lecia. Drzewa w sadzie wymarzły podczas srogiej, wojennej zimy w 1940 r. Ale przed wojną sad dawał niezłe profity. - *Nosiłam Adolfowi jedzenie z domu* - słyszałem z ust matki. - *On zawsze przygotował torbę jabłek i odprowadzał mnie w pół drogi, nad rowem. Dalej radziłam sobie sama. Nieraz ktoś po mnie wyszedł i pomógł dźwigać.*

W małżeństwie Adolfa urodziło się troje dzieci: Henryk (1930-1996), Marianna (1932-1949) i Stanisław (1944, urodzony już po śmierci ojca, zmarł w niemowlęctwie). Wuj Adolf, oprócz prowadzenia niewielkiego gospodarstwa, zajmował się transportem konnym drzewa, tzw. kopalniaków. To zajęcie było pośrednią przyczyną jego przedwczesnej śmierci. W lesie spadła mu na nogę kłoda drzewa. Nie pomogły domowe sposoby leczenia. Działo się to podczas wojny. Wdała się gangrena i zmarł na początku września 1943 r. - *Nie byłam na pogrzebie Adolfa* - wspominała matka. - *Byłam chora, a Antoś miał wtedy ze dwa tygodnie. Widziałam tylko przez okno jak wieźli trumnę do kościoła.* Ciężar obowiązków spadł na wdowę i jej matkę Antoninę Stusińską (†1962), bo dzieci miały odpowiednio zaledwie 13 i 11 lat

Po wojnie gospodarstwo przejął i prowadził Henryk. Ożenił się z Jadwigą Sender (†1999), z Rycicy, spod Baranowa. Wychowali trzech synów o imionach: Henryk, Marian i Edward.

Wdowa po Adolfie, Czesława, po 27 latach od jego śmierci, wyszła za mąż (1970) za Teofila Misiarczyka (†1999). - *Pomagałam jej załatwiać w urzędach potrzebne papiery* - wspominała matka po latach. - *Jeździłam z nią w tych sprawach do Makowa. Składałam, jako siostra Adolfa, oświadczenia pod przysięgą o jego śmierci, bo nie było, przez wojnę, żadnych dokumentów, że on nie żyje Tak byłam przejęta swoją rolą, że jednego razu urzędnik nawet zapytał: - 'To wreszcie, która z pań chce wyjść za mąż'?*

Najmłodszy z czwórki braci Bakułów - **Stanisław** ożenił się z wdową Zofią Dąbrowską z d. Gacioch (†1992) z Bud Prywatnych (kolonia zwana Laski). Zofia urodziła się w USA, gdzie spędziła pierwsze kilkanaście lat życia. Do Polski przyjechała z rodzicami. Tu, w kościele parafialnym w Drążdżewie, zawarła w 1926 r. związek małżeński z Adolfem Dąbrowskim. Sześć lat później, pewnej niedzieli, 10 lipca 1932 r., Adolf Dąbrowski był jedną z trzech ofiar tragicznej kąpieli w Orzycu, w okolicach Polskiej Kępy. Miał 27 lat. Dwaj pozostali to jego brat Władysław, lat 25, i kolega Bolesław Burliński, lat 22; obaj kawalerowie. Wszyscy trzej byli mieszkańcami Bud Prywatnych. Dalszy ciąg dramatu w rodzinie Dąbrowskich nastąpił trzy lata później, gdy zmarł tragicznie trzeci z braci, 18-letni Julian.

Z małżeństwa z Adolfem Dąbrowskim urodziła się córka Marianna (1927), a po ślubie ze Stanisławem Bakułą przyszedł na świat syn Kazimierz (1934-2009). W 1936 r. Zofia, licząca zaledwie 27 lat, została po raz drugi wdową. Stanisław Bakuła zmarł w szpitalu po operacji nogi. Było to na dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem. Samotne gospodarowanie i wychowywanie kilkuletnich dzieci przypadło na trudne lata, w tym na czas wojny.

Stanisława (stoi po prawej, siostra Florentyny) i Franciszek (stoi pierwszy po lewej) Włodarczykowie z rodziną na weselu córki Teresy, 1970.

Córka Marianna w 1945 r. wyszła za mąż za Aleksandra Stolarczyka (†1993). Doczekali się pięciorga dzieci. Kazimierz ożenił się w 1957 r. ze Stanisławą Stursiak (1930). Wychowali także pięcioro dzieci. Notabene - Stanisława jest siostrzenicą Antoniego Ciuchty, pierwszego męża mojej matki Florentyny, a Kazimierz był matki chrześniakiem.

Siostra matki **Stanisława** (†1986) również wyszła za mąż, jeszcze przed wojną, za Franciszka Włodarczyka (1917-1988). Pochodził z Czerwińskich, zza Baranowa. Zamieszkali w Kujawach. Tu im przyszło na świat czworo dzieci: Antoni (1938), Elżbieta Jadwiga (1940), Danuta (1942; wstąpiła do zakonu) i Marianna (1944-1964).

Tuż po wojnie, wiosną 1945 r. Włodarczykowie całą rodziną, wraz z sąsiadami Szmytkowskimi, też z rodziną, wyjechali na tzw. Ziemie Odzyskane, potocznie mówiono - na Prusy. Tam osiedlili się za Szczytnem we wsi Dąbrowa, gm. Dźwierzuty. Objęli opuszczone gospodarstwa i rozpoczęli nowe życie. Podobnie, jak tysiące naszych rodaków w tamtych, trudnych czasach. Wszyscy mieszkańcy to była ludność napływowa. Wuja obwołali tam sołtysem. W kolejnych latach rodzina znacznie się powiększyła. Do czworga najstarszych dołączyli: Teresa, Zygmunt, Andrzej, Jan, Urszula i Grażyna. W ślad za Stanisławą podążyły na tzw. Prusy dwie następne siostry Bakułówny: Władysława i Marianna.

Władysława (†2002) wyszła za mąż za Romana Szymańskiego (1926-1998) z Dyszobaby, gm. Różan. Mieszkali w Trelkowie, pow. szczycieński, potem w samym Szczytnie. Mieli troje dzieci: Feliksa, Genowefę i Barbarę.

Marianna (†1971) wyszła w 1945 r. za Dionizego Piotrowskiego (1912-1971), wdowca z Krępy, par. Święte Miejsce. Początkowo mieszkali w Jezioranach (pow. olsztyński), potem w tej samej gminie - w Zerbuniu. Wuj Dionizy miał z pierwszego małżeństwa z Janiną Urbańską (†1945) dwie córki - Jadwigę i Danutę, a z drugiego związku urodzili się: Stanisław, Krystyna, Tadeusz, Elżbieta i Bogdan. Oboje Piotrowscy zmarli w jednym roku, 1971, w odstępie dwóch miesięcy.

Brat matki **Czesław** (†2011) ożenił się z Janiną Szewczak (1915-1956) z Kujaw na jesieni 1946 r. Młodzi zamieszkali w Karolewie. Od podstaw pobudowali dom i budynki gospodarcze na ziemi, którą babcia Józefa wniosła w posagu, wychodząc w 1913 r. za dziadka Jana. Urodziło się im troje dzieci: Wiesław, Andrzej i Janina (ur./zm. 1956, żyła 2 miesiące). W dniu narodzin córki Janiny zmarła jej matka Janina. Noworodkiem zaopiekowała się jedna z ciotek z rodziny Szewczaków. Po dwóch miesiącach wuj ożenił się z panną Stanisławą Dominik (1926-1998), także z Kujaw. Z tego małżeństwa przyszło na świat dwoje dzieci: Danuta i Ferdynand. Wuj Czesław przeżył 95 lat, w dosyć dobrym zdrowiu. Wiosną 2011 r., gdy zapadł na grypę, powiedział mi podczas odwiedzin tak: - *Jeszcze do dziewięćdziesięciu swoich lat czułem się dobrze. Ba, i później, bo nawet na jesieni* [2010] *porąbałem wszystko drewno ze ściętej lipy. A w tym, 95. roku życia, nie jest dobrze. Kości i wszystko boli, przeważnie na zmianę pogody.*

Marianna Piotrowska z d. Bakuła (siostra Florentyny) z mężem Dionizym.

Jan Bakuła (stoi z lewej), brat Florentyny.

Florentyna Król z siostrą Czesławą Szewczak (z lewej) i wnukami - Januszem, Tomkiem i Iwoną przy skubaniu gęsi, 1993.

Czesław Bakuła (brat Florentyny) z siostrzeńcem Tadeuszem Krukiem w przededniu swoich 95. urodzin, Karolewo, 26.10.2011

Najmłodsza siostra matki - **Czesława** (†2006) wyszła w 1951 r. za mąż za Ignacego Szewczaka (1907-1988). Ignacy Szewczak był bratem Janiny, pierwszej żony wuja Czesława. Urodziło się im sześcioro dzieci: Stanisław, Zdzisław (ur./zm. 1953, żył pięć miesięcy), Mieczysław, Barbara, Stanisława i Urszula. Mieszkali z moimi dziadkami w domu pobudowanym już po wojnie. Budulec pochodził ze stodoły kupionej od Nadwodnych z Przytuł. Przedwojenny dom dziadków, ten z „głośną izbą", spłonął w styczniu 1945 r. Front w Kujawach przechodził 18-19 stycznia. Od strony Drążdżewa spaliło się wtedy u Obrębskich, Włodarskich, Bakułów, Dymowskich i Krajewskich.

Jan (1989), drugi brat matki, najmłodszy z rodzeństwa, tuż po wojnie poszedł, śladem zamężnych sióstr, na Ziemie Odzyskane. Ale nie pozostał tam na stałe. Do domu rodzinnego zaglądał rzadko, stąd i kontakty z nim były wyjątkowo luźne. Spoczywa w Ostrowcu Świętokrzyskim.

Dzieciństwo i młodość

Gdy przyrodni bracia pozakładali rodziny i opuścili rodzinne pielesze, w domu pozostało jeszcze siedmioro dzieci. Najstarsza była Florentyna, moja matka. - *Imię wybrał mi tata na pamiątkę po swojej pierwszej żonie* - wspominała. - *Wołał na mnie Florcia. Od najmłodszych lat najchętniej mnie zabierał do pilno-*

Pogrzeb Janiny Bakuła z d. Szewczak. Od lewej: Czesław Bakuła z synem Andrzejem, Jan Bakuła z wnukiem Wiesławem, Zofia Grabowska, Józefa Bakuła, Antonina Soliwoda, Apolonia Piotrak (?), N.N., Grabowska (?), Soliwoda (?), Teresa Bakuła, c. Antoniego, Józef Kruk, Florentyna Kruk. Karolewo, 24.04.1956 r.

wania koni. - 'Florcia, rano pojedziesz ze mną do lasu po drzewo' - zapowiadał z wieczora. To była frajda - jechać, i jeszcze mieć tyle wolnego. Ale te wyjazdy to była zaledwie cząstka obowiązków, akurat w tym przypadku z serii miłych obowiązków. Jednak tych drugich, szorstkich zajęć, wraz z wiekiem, było zdecydowanie więcej. Chociażby opieka nad młodszym rodzeństwem, praca w domu, w zagrodzie i w polu. Starszeństwo, jak widać, było wątpliwym przywilejem. - *Byłam zwyczajna roboty i zręczna* - słyszałem wielokrotnie od matki. Dawała sobie radę u siebie i u ludzi. Już jako niespełna 18-latka opiekowała się chorym wujem Konstantym. Nabyte doświadczenie przydało się po kilku latach, gdy od połowy lat 30. była na służbie u Kazimiery i Stanisława Koziołków w Drążdżewie. Gospodyni była obłożnie chora, wymagała stałej pomocy i opieki. Opieki potrzebowała także kilkuletnia Sabina. - *Dziewczynka miała piękne, długie, czarne włosy* - wspominała matka. - *Czasem ją czesałam ja, nieraz pani Kazia. Zaprzyjaźniłam się z drugą z córek Wandą. Była ode mnie młodsza o pięć lat.* A tak Wandę Koziołek wspomina Zofia Sztych: - *Urodziła się w Ameryce. Tam spędziła pierwsze lata życia, więc po przyjeździe do Polski miała kłopoty z językiem ojczystym. Pomagałam jej w nauce. We wszystkich klasach siedziała ze mną w ławce. Po wojnie wyszła za mąż za Hilarego Szachtę, mieli syna Janusza. Przez jakiś czas mieszkali w moim rodzinnym domu.*

Niestety, los okazał się okrutny dla rodziny Koziołków. Na początku 1936 r. zmarła 6-letnia wówczas Sabina, a po roku - jej 37-letnia matka. Stanisław Koziołek (†1977) ponownie ożenił się z Heleną Zduniak (†2001). Mieli dwoje dzieci. - *Kiedyś uratowałem od utonięcia Edytę Koziołkównę* - wspomina mój brat - *wyciągnąłem ją z wody z Orzyca, z sitowia przy brzegu, miała ze trzy lata. Pasałem wtedy krowy u Olzackich, po sąsiedzku. Koziołkowa sprzedawała w sklepie, nieraz mnie czymś poczęstowała.*

Matka chodziła na zarobek i na odrobek: do żniwa, do siana, do sadzenia, pielenia, na wykopki. Jak trzeba było to kopała torf, rąbała drzewo lub roztrząsała obornik. Z wczesnych lat dziecinnych wspominała o pasaniu krów, np. w Katarzówce (w pobliżu Polskiej Kępy). *Szło się na pasionkę na cały dzień. Gromada bydła, gromada ludzi - dzieci małe i starsze, i dorośli. Z Kujaw, z Kaleni, z Kantoru. Na miejscu wspólne śpiewy przy ognisku z piecakami, zabawy, dokazywanie.* W latach dziewczęcych chodziła do choinki, tzn. do sadzenia i pielęgnacji lasu. - *Kawał drogi, nieraz aż tam, hen, pod Ciężara, albo gdzie dalej. Jeszcze rano, to jak cię mogę, ale gorzej z powrotem, po dniu pracy chyłkiem* - brzmiały wspomnienia. Płacono podobno całkiem nieźle, więc z tej racji las kojarzył się przyjaźnie. Natomiast przykre wspomnienia bywały z sezonu jagodowego, gdy strażnik leśny, w swojej bezmyślności, potrafił wysypać i podeptać cały zbiór, a pojemnik zniszczyć! Dlatego napełnione naczynia (dzbanki, kubki, kwarty) przezornie chowano w gęstwinie, by je w odpowiednim czasie bezpiecznie wynieść. Solidarność zbieraczek górowała jednak nad złośliwością zielonego ludzika. Część jagód zagospodarowywano na własne potrzeby, natomiast reszta szła na sprzedaż. Pewnym i najbliższym miejscem na zbycie nadwyżki, nie tylko jagód, był Krasnosielc. Dla większości po prostu Silc lub miasto. - *Idę* bądź *jadę do Silca, byłam w mieście* - słyszałem w domu i poza nim, na wsi. Pamiętano o dniach targowych (wtorek i piątek) i jarmarcznych: pierwszy wtorek po pierwszym dniu miesiąca i pierwszy piątek po piętnastym dniu miesiąca. Do czasu pobytu na jarmarku lub targu odkładano niezbyt pilne interesy w gminie. Jarmark, oprócz charakteru transakcyjnego, był okazją do spotkania bliższych i dalszych krewnych, zacieśnienia więzi rodzinnych, do podtrzymania znajomości i nawiązania nowych kontaktów. Tej zasady matka starała się przestrzegać. Wyniosła ją z domu rodzinnego. Zresztą z Krasnosielcem wiązały ją wspomnienia jeszcze z czasów wczesnego dzieciństwa.

Choroba

Był rok 1920. Mała Florentyna miała wtedy zaledwie sześć lat. Zachorowała na tyfus. Znalazła się w szpitalu w Krasnosielcu na jednej sali razem ze swoim ojcem, a moim dziadkiem, który zapadł też na tyfus. Wyzdrowiała, pomimo, że ta choroba zbierała śmiertelne żniwo. Dla przykładu podam, że w tymże 1920 r. w parafii Drążdżewo zmarło 88 osób, w tym 27 dzieci w wieku do 10 lat. Wyzdrowiał również dziadek. Tu przy okazji przytoczę szpitalne zdarzenie z dziadkiem w roli głównej. Chory, czyli dziadek, miał wysoką gorączkę. Majaczył, krzyczał, zrywał się z łóżka. Pewnej nocy, chodząc po sali, zażył jakieś leki, które znalazł w zasięgu ręki i - tak jak stał - uciekł na pobliski plac przykościelny. W szpitalu nie zauważono nieobecności pacjenta, więc go nikt nie szukał. Dostrzegł go jednak przypadkiem kościelny - Marceli Wronowski. Widząc w księżycowej poświacie białą postać, drepczącą wokół kościoła, zaalarmował księdza proboszcza Andrzeja Sękusa. Niebawem dołączyły jeszcze jakieś zbudzone osoby i postanowiono działać. Grupka zebranych, niepewnym krokiem, zbliżyła się do rzekomej zjawy.

- *Wszelki duch Pana Boga chwali!* - odezwał się ksiądz Sękus.

- *Ja ze szpitala…* - odpowiedział dziadek.

- *Janek, to ty?! Bakuła?!* - krzyknął z niedowierzaniem Wronowski, poznawszy znajomy głos..

- *Ja* - padła twierdząca odpowiedź.

Natychmiast odprowadzono chorego do szpitala, gdzie zatrzymano go na dalszą kurację. Po mniej więcej tygodniu oboje - ojciec i córka - wrócili do domu. Ale to nie był koniec kłopotów zdrowotnych małej Florentyny. Zachorowała na skrofulozę, czyli gruźlicę węzłów chłonnych. Choroba obecnie niezwykle rzadka, wówczas, w okresie międzywojennym, była bardzo rozpowszechniona. Leczenie farmakologiczne było mało skuteczne. Ktoś doradził, żeby udać się do znachorki w Popielarce (gm. Płoniawy). Prawdopodobnie zielarka nazywała się Bromska. Była to już starsza pani, drobnej budowy, bardzo rozmowna. Dziadek jeździł do niej z chorą kilkakrotnie, bo leczenie było długotrwałe. Za każdym razem znachorka odprawiała jakieś obrzędy, modliła się, dawała kolejne porcje ziół. Stopniowo rany się zabliźniły, potem zagoiły się całkowicie, ale pozostały na szyi blizny do końca życia. Z Kujaw do Popielarki jest ok. 20 km. Wieś leży na trasie Krasnosielc - Ulaski, czyli przy obecnej tzw. Tysiąclatce. Wówczas była to droga piaszczysta, a dziadek podróżował żelaźniakiem, więc konie miały co ciągnąć. Taki jeden wyjazd zajmował nieraz cały dzień, bo zielarka sporządzała wywary, robiła okłady i kazała czekać. Podczas jednej z takich wizyt, by nie marnować czasu, poprosiła dziadka o przywiezienie jej z lasu drzewa na opał. - *Koziołek zaopiekuje się małą* - wskazała na staruszka obecnego w mieszkaniu i wsiadła na wóz.. Kim był ów tajemniczy Koziołek - nie wiem. - *Nic się do mnie nie odzywał, tylko wyglądał przez okno, kiedy wrócą z drzewem* - skwitowała podopieczna.

Pewnego razu wybrał się z dziadkiem do Popielarki sąsiad Krajewski. Też po jakąś poradę zielarską. Podróż zaczęła się niefortunnie. Po przejechaniu znikomej części drogi, w Drążdżewie rozpiął się im wóz. Stracili sporo czasu na naprawę, ale ruszyli dalej. Gdy dotarli na miejsce, dziadek próbował wytłumaczyć spóźnienie. - *Wiem, wiem* - rzekła zielarka - *wóz wam się rozpiął, na zakręcie, ze 3 km od domu.* Na to Krajewski półszeptem do dziadka: - *Braciszku, ona diabłem nadrabia, wracamy!* Jednak zostali, żeby załatwić sprawy, z którymi przybyli. W drodze powrotnej wszyscy troje zachodzili w głowę, skąd mogła wiedzieć o ich przygodzie. Zagadka nierozwiązana do dzisiaj… Sąsiad już tam więcej nie jeździł.

A znów z bolącymi zębami do rwania jeździłam z tatą do Jednorożca do - jak mówili - Matusa - kontynuowała matka wątek zdrowotny. Mateusz Piotrak był felczerem.

Życie codzienne

Każde z dzieci, w zależności od wieku, miało i znało swoje obowiązki. Zajęć było pod dostatkiem, więc nikt się nie nudził. Na co dzień młodsi pasali bydło, pilnowali gęsi, wykonywali lżejsze prace. Starsze dzieci, pod okiem dorosłych, uczestniczyły we wszystkich cięższych pracach domowych, gospodarskich i polowych. Wymagało to wielkiego wysiłku, ponieważ nie było maszyn i urządzeń. Przede wszystkim nie było prądu, co wiele wyjaśnia. W okresie wzmożonych prac polowych, jak żniwa, sianokosy czy wykopki, gdy liczyła się każda para rąk, wszyscy z domu znajdowali zatrudnienie. Poza tym było mnóstwo zajęć okolicznościowych i towarzyszących. Dziewczyny uczyły się szycia, wyszywania, haftowania i tkactwa, nie mówiąc o praniu - praniu ręcznym, w balii, z użyciem tary, albo w rzece z użyciem kijanek. Bardzo wielką wagę przywiązywano do podstawowych umiejętności kulinarnych. - *Każda gospodyni powinna umieć ugotować i upiec chleb* - słyszałem w opowieściach. Chłopcy sposobili się do prac typowo męskich, jak orka, koszenie kosą, młócenie cepami. Każda pora roku była charakterystyczna dla danego rodzaju prac i przedsięwzięć. Już latem i jesienią myślano o zimie. Trzeba było przygotować opał, a więc drewno i torf. Gromadzono zapasy w spiżarni. Zbiory z pól i sadów uzupełniano runem leśnym. Zbierano jagody i grzyby. Z myślą o zapobieganiu i leczeniu różnych dolegliwości i schorzeń zbierano i suszono zioła. Warunek - na ziołach, podobnie jak na grzybach, trzeba się było znać, żeby skutek nie był odwrotny od zamierzonego. Zimą przygotowywano się do wiosny. Naprawia-

no i konserwowano sprzęty rolnicze i te domowego użytku. Wyplatano też kosze i opałki, wyrabiano grabie, kosiska i różnego rodzaju inne trzonki, i miotły itd. Kupowano tylko to, czego nie dało się zrobić domowym sposobem.

Ale praca nie mogła być i nie była celem sasamym w sobie. Dlatego też znajdowano czas na modlitwę i naukę, zabawę i rodzinne odwiedziny. A najpewniejszym środkiem lokomocji były własne nogi.

Tak było jeszcze przed stu laty na polskiej wsi, w zdecydowanej większości polskich rodzin. Podobnie było też w rodzinie Jana i Józefy Bakułów w Kujawach. Babcia dla miejscowych to po prostu Bakulina, dziadek to Bakuła, niektórzy obcy mówili mu - wuju. Posiadał standardowe, jak na tamte czasy, gospodarstwo. Ziemię obrabiał w parę zadbanych koni. Czynnie uczestniczył w życiu środowiska. Czasem ze szkodą dla siebie, jak w przypadku walki o drogę w połowie lat 30. ub. wieku z Kujaw do Drążdżewa. Taki po prostu był, prostolinijny. Życzliwy ludziom, pokorny wobec Boga i sił natury. Szczególnie ostrożny podczas burzy. Domownicy byli na nogach, gotowi do ratowania mienia. W oknie paliła się gromnica, szybry zasunięte, drzwi i okna pozamykane, mieszkanie pokropione wodą święconą, jakaś modlitwa - najczęściej cząstka różańca. Dziadek w tym czasie czuwał *w dachach*, czyli w obejściu, gotów ratować inwentarz żywy. Te środki ostrożności wyniesione z domu rodzinnego matka kontynuowała w swoim życiu. - *Bez Boga ani do proga* - powtarzała. Podróż i pracę rozpoczynała ze znakiem krzyża. Codzienny pacierz czy świętowanie niedzieli było u niej na porządku dziennym. Zasady religijnego wychowania wpajała swoich dzieciom od kołyski. Dorosłym dzieciom, gdy zaszła taka potrzeba, również o nich przypominała.

Szkoły smak

W 1922 r. ośmioletnia Florentyna Bakuła rozpoczęła naukę w klasie pierwszej w dwuklasowej szkole w Drążdżewie. Akurat od tego roku szkoła mieściła się w budynku zabytkowej karczmy pochodzącej z przełomu XVIII/XIX wieku. Budynek był usytuowany na tzw. krzyżówkach (obecnie rondo im. ks. Stefana Morki). Należał do Marianny Zakrzewskiej (†1956). Sam w sobie miał ciekawą historię. Na przykład w marcu 1863 r. zatrzymali się w nim powstańcy z oddziału generała Zygmunta Padlewskiego, a podczas pierwszej wojny został przez Niemców… skrócony, od strony północnej, ponieważ… wchodził w nowo budowaną drogę do Przasnysza. Stało się to - jak podaje Wacław Łada - w 1916 r. Mimo to karczma nadal prezentowała się okazale. „Miała piękne podcienie z oryginalnymi słupami - pisał po II wojnie Władysław Kocot. - Bale w ścianach były ośmiocalowe, obrabiane toporem, ze starodrzewek. Sama drzazga. Ściany wysokie. Pułap z desek dwucalaków. Cały żółty od plam tryskającego piwa z otwieranych antałków. Karczma początkowo była kryta gontem, a ostatnio słomą". Spłonęła 18 stycznia 1945 r. „Byliśmy na ucieczce w Gierówce, u Antoniego Kowalczyka - wspomina Jan Jóźwiak. - Stamtąd widziałem pożar wsi, w tym zabytkowej karczmy na krzyżówkach. W pewnym momencie stał jeszcze płonący szkielet budynku, i po chwili to wszystko runęło…".

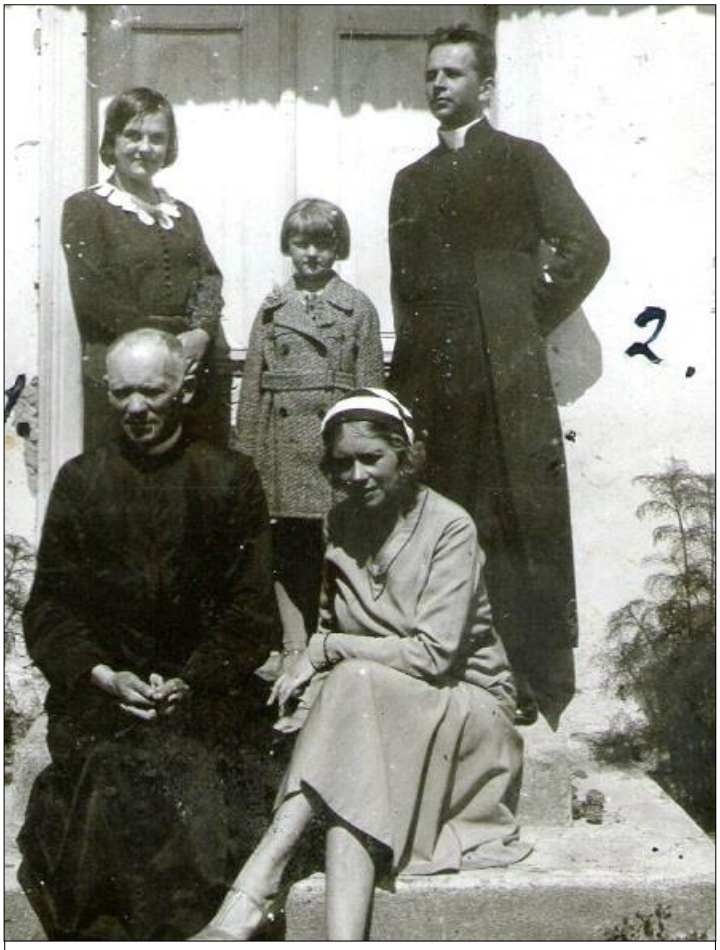

F. Bakuła z ks. Tyszką i ks. Walendziakiem

Szkoła zajmowała w karczmie dwie izby w części południowej: większą od frontu i mniejszą od podwórka. Resztę budynku zamieszkiwała rodzina Chrzanowskich. Senior rodu Józef Chrzanowski prowadził masarnię. W jednym pomieszczeniu z bufetem masarskim mieściła się szkolna szatnia. - *Patrzyliśmy na te kiełbasy, ale trzeba było obejść się smakiem* - słyszałem w matczynych wspomnieniach. W tym czasie kierownikiem szkoły był Stanisław Bartołd. Pracował w Drążdżewie w latach 1918-1924. Pochodził z miejscowości Budzyno-Lipniki, gm. Czerwonka. Był żonaty z Heleną Batogowską z Sypniewa. Mieli troje dzieci. Owdowiał w 1923 r. (Helena Bartołd spoczywa w Drążdżewie). Wrócił do rodzinnej wsi, ożenił się powtórnie. Zginął w obozie w Działdowie w 1939 r.

Od 1922 r., wraz z podniesieniem stopnia organizacyjnego szkoły, pracę podjęła Kazimiera Krauze, siostra księdza Wacława Krauze, ówczesnego proboszcza parafii Drążdżewo. - *Pani Kazimiera była moją nauczycielką* - wspominała matka. - *Była wymagająca, ale potrafiła nauczyć Nauka szła mi dobrze, byłam pozbadliwa* [zdolna]. *Siedziałam w pierwszej ławce. Szybko nauczyłam się czytać i pisać, i liczyć. Szkoda, że chodziłam tak krótko, bo tylko do pierwszej klasy…I to nawet nie do końca.*

Otóż, pewnego wiosennego dnia 1923 r., podczas lekcji, nauczycielka, wyciągając rękę w stronę jakiegoś ucznia, niechcący uderzyła matkę w ledwie zabliźnione rany na szyi, które zaczęły krwawić. Natychmiast odwieziono ją do domu. Zainteresowanie chorą uczennicą wykazała zarówno nauczycielka jak i ksiądz proboszcz. Odwiedzali chorą, przywozili jakieś wiktuały. Z biegiem czasu, po kolejnych wyjazdach do babci Bromskiej, rany znów się zagoiły, ale strach przed bolesną powtórką pozostał. Dobrze zapowiadająca się edukacja szkolna została zawieszona, a w rzeczywistości na zawsze przerwana. Obawa przed nawrotem choroby była tylko jednym z powodów zatrzymania dziecka w domu.

Wspomniany Władysław Kocot (1900-2000) był nauczycielem szkoły w Drążdżewie od 1928 r. Działał aktywnie w nowym środowisku. Był animatorem kultury. - *Przyjeżdżał do nas, na Kujawy* - wspominała matka. - *Zawsze z tatą długo rozmawiali. W naszej stodole urządzał przedstawienia dla całej wsi. A gdy szukał działki pod dom w Drążdżewie, to tata mu sprzedał ziemię w Ośmiórkach, po dziadkach Jędrasach.* Przestronny, drewniany dom rodzinny Kocotów powstał w 1932 r. Po 74 latach spłonął. Uwagę nadal przyciąga zadrzewiona posesja. - *Tu była kiedyś moja ojcowizna* - powtarzała wielokrotnie babcia z Kujaw.

Dziadek chętnie pozbył się tego pola z powodu uciążliwości, które znam z opowieści rodzinnych. Oto przykład: Jednego roku dziadek woził na to pole obornik. Jak przyjechał drugim kursem, to te pierwsze gromadki już były wyrzucone na drogę. Przy okazji wychodziły na jaw inne psikusy, przytaczane przez babcię i ciotkę Michalinę z czasów zamieszkiwania w Ośmiorkach, jak topienie lampy naftowej we wspólnej studni czy moczenie dziadkom mąki w komorze. podobno z żartownisiami świetnie sobie radził sąsiad Jędrasów, szewc Kowalczyk - po prostu miał na nich, pod ręką, solidny kij. - *Jak odwiedzałam dziadków* - mówiła matka - *to babcia Frania mi o tym opowiadała.*

W okresie międzywojennym drążdżewskie ośmioraki zamieszkiwały rodziny: Jędrasów, Daligów, Wójcickich, Szczepańskich, Płócienników; Kowalczyków, Prusików, Borzuchów, Wieczorków i Śmiecińskich.

Blisko kościoła

Bliższa znajomość z księdzem Krauze zaczęła się nieco wcześniej, bardzo prozaicznie - od osieroconej sarenki, którą dziadek znalazł w lesie. Wystraszone, a przede wszystkim wynędzniałe zwierzątko zabrał do domu. O nietypowym znalezisku dowiedziała się, od swojej uczennicy Florci, oczywiście, pani Kazimiera i przekazała wiadomość swemu bratu.- *Jeszcze*

tego samego dnia ksiądz Krauze poprosił tatę o podarowanie mu tej sarenki - wspominała matka. - *Z żalem się z nią rozstaliśmy. W obejściu przy plebanii miała duży wybieg z wysokim płotem, i również troskliwą opiekę. Po dojdojściu do zdrowia została wypuszczona na wolność.* Matka wspominała, że dziadek z polecenia ks. Krauzego, jeździł w konie do Myszyńca do apteki, którą prowadziła jedna z sióstr księdza. Fakt ten potwierdzał wuj Czesław, który uczestniczył w tych wyjazdach.

Za czasów księdza Krauzego matka przystąpiła do Pierwszej Komunii świętej i do bierzmowania. - *Na nauki przed bierzmowaniem* - wspominała - *chodziliśmy z Kujaw do kościoła wielką grupą wspólnie z przyszłym księdzem Antonim Kuśmierczykiem, który nas uczył. Wszyscy czuliśmy się zaszczyceni jego towarzystwem. Dużo rozmawiał z nami po drodze, mieliśmy okazję powtórzyć przerobiony materiał. Od nas z domu chodził też Czesiek.*

Bierzmowanie odbyło się w sierpniu 1926 r. Sakramentu udzielił, obecny błogosławiony, biskup płocki Antoni Julian Nowowiejski. Wtedy też pobłogosławił związek małżeński Ludwika Balickiego i Stanisławy Krauze. Pan Młody był nowym kierownikiem szkoły (po Bartołdzie), a Panna Młoda siostrą ks. proboszcza i pani Kazimiery (nauczycielki).

Ks. Krauze, po ośmiu latach posługi w Drążdżewie, przeszedł w sierpniu 1928 r. na probostwo w parafii, nomen omen, Proboszczewice, w powiecie płońskim. Ostatnią podniosłą uroczystością jaką przeżywał w drążdżewskiej parafii były, pierwsze w jej krótkiej historii, prymicje ks. Wincentego Walendziaka - 17 czerwca 1928 r. Nowym proboszczem w Drążdżewie został ks. Julian Tyszka. Niemal od razu przystąpił do budowy kamiennego pomnika ku czci powstańców styczniowych, w 65. rocznicę powstańczego zrywu. Oto relacja matki: - *Jako dzieci chodziliśmy przyglądać się tej budowie. Pamiętam, że wykopywali z grobów, co były z boku kościoła, kości i składali je do jednej mogiły. Teraz na niej stoi ten pomnik z kamienia.* W następnym roku parafia Drążdżewo przeżywała drugie w swoich dziejach prymicje. 29 grudnia 1929 r. swoją pierwszą Mszę św. odprawił w tutejszym kościele ks. Antoni Kuśmierczyk, z Kujaw (zginął w obozie w Działdowie w 1941 r.).

Matka często wracała w opowieściach do obu prymicji. Brała w nich udział jako uczestniczka procesji. - *Do asysty chodziłam od najmłodszych lat. Przez długi czas opiekował się nami Paweł Walendziak* (†1933), *stryj ks. Wincentego.* Natomiast babcia Józefa wspominała swoje pobyty w domu rodzinnym ks. Walendziaka z racji comiesięcznego odmawiania różańca. Mieszkała jeszcze wtedy, przed zamążpójściem, w Drążdżewie. Przynależność do kółka różańcowego była (i pozostaje) piękną polską tradycją. Pamiętam z dzieciństwa, jak matka, w pierwszą niedzielę miesiąca „szła na zmianę tajemniczki", czyli na różaniec w swojej Róży. Nieraz mnie zabierała ze sobą. Panie spotykały się w mieszkaniu Stanisławy Płuciennik (†1988), a różaniec prowadziła jej sąsiadka Apolonia Wójcicka (†1983).

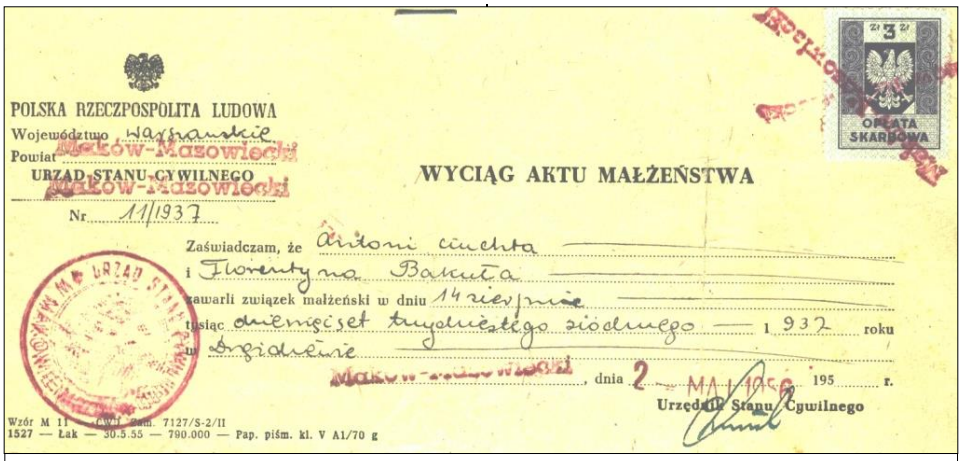

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
Województwo Warszawskie
Powiat Mława-Mazowiecki
URZĄD STANU CYWILNEGO Mława-Mazowiecki

WYCIĄG AKTU MAŁŻEŃSTWA

Nr 11/1937

Zaświadczam, że Antoni Ciuchta
i Florentyna Bakuła
zawarli związek małżeński w dniu 14 sierpnia
tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego — 1937 roku
w Drążdżewie
dnia 2 MAJ 1956 195 r.
Urzędnik Stanu Cywilnego

OPŁATA SKARBOWA

Wzór M 11 — Cywil. Sum. 7127/S-2/II
1527 — Łak — 30.5.55 — 790.000 — Pap. piśm. kl. V A1/70 g

Akt małżeństwa Antoniego Ciuchty i Florentyny Bakuła, 1937.

Rodzina Ciuchtów

Z całej siódemki dzieci Jana i Józefy Bakułów pierwsza wyszła za mąż najstarsza córka Florentyna (moja matka). Ślub wzięła 14 sierpnia 1937 r. z **Antonim** Ciuchtą z Wólki Drążdżewskiej i u niego zamieszkała.

Od tej pory znana jako Ciuchcina Antkowa. Ojciec Antoniego - Jan (†1935?) pochodził z Woli, parafia Krasnosielc. W 1899 r. ożenił się z Franciszką Dąbrowską (†1946). Jan i Franciszka Ciuchta mieli ośmioro dzieci: najstarszy to Franciszek (†1946), a następnie Stanisław (†1976), Leokadia (†2000), Antoni (pierwszy mąż matki, 1913-1945), Czesław (†1979), **Władysław** (ur./zm. 1918, żył 10 dni), Jan (†1975) i **Bronisław** (†1947).

Franciszek był żonaty (1923) z Marianną Białczak (†1953) z Bud. Mieli trzech synów: Franciszka, Stanisława i Eugeniusza.

Stanisław był żonaty dwukrotnie; pierwszy raz z Józefą Dudek (1903-†1942), a drugi raz z Pauliną Rochowicz (†2014). Z pierwszego małżeństwa był syn (ur./zm. 1931), a z drugiego dwie córki: Stanisława i Elżbieta. Paulina Ciuchta wyszła ponownie za mąż (1992) za Jana Dębka (†1999) z Pienic. Pierwsza żona Stanisława Ciuchty - Józefa był siostrzenicą mojego ojca Józefa Kruka.

Leokadia wyszła za mąż (1926) za wdowca Franciszka Stursiaka (†1946) z Bud. Franciszek miał z pierwszego małżeństwa z Rozalią Kowalczyk (†1925) dwoje dzieci: Julię (z męża Zapadka) i Jana (ożenił się z Teresą Mróz). Ze związku z Leokadią urodzili się: Jadwiga (z męża Białczak, †1985), Genowefa (ur./zm. 1929, żyła miesiąc), Stanisława (1930), Irena (z męża Wróblewska, 1932), Ryszard (†2012), Kazimierz (†1938, żył pół roku), Genowefa (z męża Kaczyńska, 1939) i Władysława (z męża Kopczyńska, 1941). Na ojcowiźnie pozostał Ryszard. Był, podobnie jego jak ojciec, dwa razy żonaty: pierwszy raz (1958) ze Stanisławą Zysk (†1973) z Jednorożca, a drugi raz (1974) z Kazimierą Orzoł (1933). Z obu małżeństw było ośmioro dzieci.

Czesław ożenił się (1937) z Cecylią Niesiobędzką (†2004) z Grabowa. Ich dzieci to: Marianna, Eugeniusz, Alina i Ryszard.

Jan był żonaty dwukrotnie; pierwszy raz z Heleną Kaczmarczyk (†1948) z Amelina, a drugi raz z Marianną Deptuła (†2010) z Rupina. Z pierwszego małżeństwa był syn Henryk (1946-1947, żył pół roku), a z drugiego związku dwie córki i trzech synów.

Czas wojny

Małżonkowie Antoni i Florentyna Ciuchta mieli czterech synów. najstarszy **Marian** (wszystkim znany pod imieniem Teniek, 1938), następnie **Roman** (1939-†2003), **Franciszek** (1942-†2012) i **Antoni** (1943-†1997).

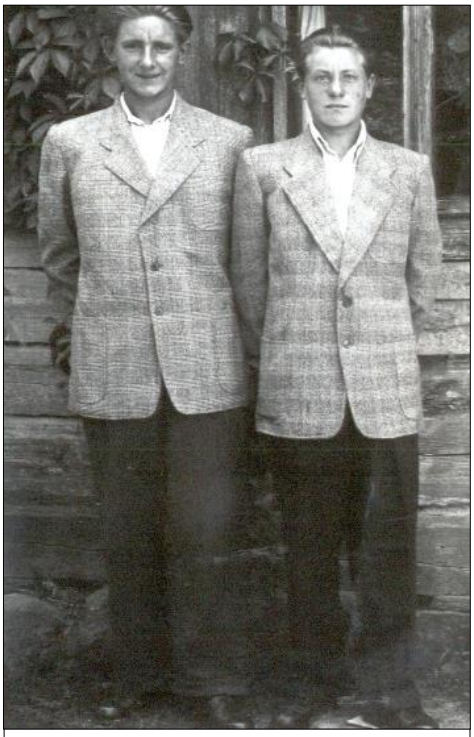

Bracia Marian (Teniek) i Roman Ciuchta, lata 60.

Antoni (ojciec) był pracownikiem fizycznym. - *Podczas wojny* - wspomina syn Marian (Teniek) - *ojciec posiadał rower na drewnianych obręczach, którym dojeżdżał za Przasnysz, do Mchowa, gdzie pracował przy budowie drogi. Miałem może z 5-6 lat. Był też szewcem i hodował gołębie. Pamiętam też* - kontynuuje Teniek - *jak pewnej nocy, ojciec ze stryjem Jankiem i kimś trzecim, robili dwie trumny, może dla kogoś z Perzank, w każdym razie z tamtych stron. Czterech chłopów pilnowało, żeby w porę ostrzec.*

A może - zastanawialiśmy się nieraz z bratem - trumny były dla ofiar zbrodni niemieckiej po głośnym zabójstwie żandarma w Grabowie w 1943?

Przez pewien czas Antoni był na przymusowych robotach w Królewcu. Tam wspomagał go żywnością Franciszek Koziołek z Krasnosielca. Koziołek z zawodu był masarzem. W czasie wojny, za namową burmistrza Rychtera, wyjechał wraz z grupą ludzi z Krasnosielca do pracy w nowo wybudowanych w Królewcu zakładach mięsnych. Po wojnie prowadził w Krasnosielcu piekarnię. Ciuchta też powrócił, ale z zaawansowaną gruźlicą. Wprawdzie doczekał końca wojny, ale wolnością się nie nacieszył.

Matka miała z okresu wojny wiele przykrych wspomnień. Na ogół wracała do nich niechętnie. Bardzo przeżyła zatrzymanie i tzw. badanie, a potem wywózkę ojca i syna Parzychów z Wólki. Nie powrócili już. Opowiadała również o męczeńskiej śmierci Aleksandra Kacprzyńskiego ze Zwierzyńca, który był wleczony za bryczką, a potem zastrzelony na Budach.

- *Byli i wśród Niemców różni* - mawiała. Jako przykład podawała żołnierza z obsługi kuchni polowej, który przynosił dla dzieci smakołyki, a przed wyjazdem na front przyszedł się… pożegnać. Płakał, że nie wróci do domu, na Śląsk, skąd pochodził. Mówił czysto po polsku.

A inny, jak przyszedł wyznaczać na okopy, to matkę pobił. Trzymała najmłodszego chłopca na ręku i powiedziała, że mąż nie może pójść, bo jest chory. Odpowiedzią było uderzenie w twarz. - *W takim razie ty pójdziesz* - powiedział. - *Poszłam z prośbą do komendanta. Wysłuchał i kazał dać zastępstwo i się nikomu przez cały dzień nie pokazywać. Przesiedziałam na górze, Antosia przynosili do karmienia. A ten wredny specjalnie przyszedł do domu i Antkowi śmiał się w oczy, że matkę od dzieci wysłał na roboty.*

Inny epizod wiąże się z nocnym najściem żandarmów. - *Był wieczór* - wspomina brat Teniek. - *Okna obowiązkowo zasłonięte czarnym papierem, a ojciec, stryj i młody Parzych grali w karty. Na stoliku było rozłożone szewstwo, że niby oni przyszli z butami do naprawy. Te podarte buty mieli naprawdę. W tym czasie ktoś zastukał w szybę, a stryj zapytał, co to za świnia łazi. Natychmiast dwóch żandarmów weszło do środka. Ustawili mas wszystkich na baczność. Winny od razu się przyznał. Matka tłumaczyła, że nieraz czyjeś dzieci pukają, ale to nie pomogło. Wyznaczyli pięć marek kary, termin do jutra. Babka nad ranem uzbierała u ludzi te pięć marek. Stryj Janek, wziął mnie ze sobą i poszliśmy na posterunek w Drążdżewie, do Chrzanowskich, żeby zapłacić. Żandarm wypisał kwit. Zapamiętałem też wielkiego psa, co leżał na posterunku, przy drzwiach.*

Z kolei Franek, jako dziecko, zapamiętał, że: *w wojnę jakieś wojsko zatrzymało się na Wólce przy stawku, ze stadem krów i kazali je doić; matka udoiła pełne czerwone wiadro.* Z krową w tle jest też inny pozytywny epizod przytaczany przez matkę, że gdy pędzono przez wieś bydło zabrane mieszkańcom, to ich krowa skręciła w uchyloną furtkę i została. Nikt po nią się nie wracał. - *To była moja krowa posażna. Naznaczone miałam jeszcze trzysta złotych, ale przez wojnę nigdy ich nie dostałam.*

Wspomnienia pozostały także po ucieczce przed frontem, w styczniu 1945 r. na Budy. - *Parę rodzin, my też, zatrzymało się w Murowance u Orłów* - opowiadała matka. - *Było groźnie, ale szczęśliwie wszyscy przeżyli. To była ciężka i mroźna noc. Szyby z okien wyleciały już z wieczora. Puste ramy ludzie pozatykali czym się dało. A rano, jak wracaliśmy, to widok był straszny. Spalone budynki, trupy po drodze. Dom nasz ocalał. Był tylko splądrowany. Kapusta z beczki na środku podłogi…*

Franciszek Ciuchta, lata 60.

Antoni Ciuchta s. Antoniego, lata 60.

Z tą ucieczką, a konkretnie z kuchnią polową ma pewne wspomnienie Teniek. - *Wysłali mnie z kanką po zupę. Był to kapuśniak. Przyniosłem raz, przelali w jakąś miskę i znów stanąłem w kolejce, i udało się. Jak stanąłem trzeci raz, to kucharz nalał mi do menażki, dał łyżkę i kazał jeść.*

Tuż po przejściu frontu dochodziły, z terenów tzw. Prus, wiadomości o masowej ucieczce tamtejszej ludności na zachód. Opuszczone mienie było łakomym kąskiem. W stronę Chorzel, Wielbarka i Szczytna ciągnęły z naszych terenów rzesze szabrowników. Razem z innymi udał się i Ciuchta. W sumie jego wyprawa była nieudana. Coś tam przyniósł, bo ludzie brali, co im w ręce wpadło. Byle co też brali, byle dużo i darmo. Tu oddam głos matce: - *To było pod Szczytnem. Kamińska uzbierała wtedy worek pustych słoików i mówi do Antka tak: - 'Zanieś mi to do domu, to dam kobicie packę mydliku* [proszku do prania]*'. - Antek ze złości podniósł te słoje do góry i postawił. Już nie trzeba było ich dźwigać.* Niebawem z Wólki zorganizowano drugi wyjazd, w kilkoro. Tym razem zabrała się matka. To, co widziała i przeżyła wspominała z niesmakiem i wstrętem. Gdzieś w okolicach Wielbarka zajechali na jakąś posesję na noc. W przestronnym domu zastali jedynie wystraszoną gospodynię z małą dziewczynką. Mówiła łamaną polszczyzną. Prawdopodobnie w obejściu byli ukryci mężczyźni. - *Wyobraziłam w jej położeniu siebie z dziećmi* - opowiadała matka. - *I tych żandarmów, co jeszcze niedawno mogli zrobić z nami, co tylko chcieli, i żal mi się zrobiło tej Niemki. Zaczęłam z nią rozmawiać. Nie miała chleba. Dałam jej pół blachy wzięte na drogę. Płakała, że musi zostawić swoje i uciekać. Wzięłam od niej tylko to, co sama dała, choć kazała brać. Inni w tym czasie załadowali cały żelaźniak. Przy okazji kradli jedni drugim albo robili na złość. Z pary butów zostawał komuś tylko jeden i już nie było pożytku. Po powrocie mieli do siebie pretensje. Wróciłam rozchorowana. Ja się do szabru nie nadawałam.*

Antoni i Florentyna próbowali, jak wszyscy zresztą, pozbierać się po wojennej zawierusze. Ale los okazał się bardzo okrutny. W sobotę 24 marca 1945 r., na tydzień przed Wielkanocą, Antoni Ciuchta zmarł. Miał 32 lata. - *Jeszcze wieczorem bawił się z dziećmi* - wspominała ze szczegółami matka. - *W nocy słyszałam, jak wstawał czegoś się napić, a nad ranem zmarł. Była to sobota przed Niedzielą Palmową. W jedną sobotę on robił komuś buty, a w drugą sobotę jemu zbijali trumnę* - kontynuowała. - *Deski na trumnę dał Dziąba, oderwał je od stodoły. To samo zrobił Stursiak, szwagier, jak zabrakło na wieko. Pogrzeb odbył się w poniedziałek. Pochował ksiądz Stefan Morko, który ledwie co nastał do Drążdżewa. Za pogrzeb cała obsługa nie chciała nic. Ale księdzu dałam tabakę, co została po Antku, bo wiedziałam, że proboszcz był palący. A kościelnej Krajewskiej dałam kurę. Gdyby nawet chcieli zapłaty, to nie miałam, jak wszyscy, grosza przy duszy. Zostałam z czwórką dzieci. Teniek miał 7 lat, a Antoś półtora roku. A całe moje zapasy to ćwiartka żyta i solniak kartofli, a w obejściu krowa i trochę drobiu.*

Z dalszych opowieści wiem, że zaraz po pogrzebie, z wydatną pomocą żywnościową, pospieszył osieroconej rodzinie ksiądz Morko. Wielkanoc była bardzo smutna, ale przynajmniej nie głodna. Wspomniana kościelna Józefa Krajewska, podczas wojny zastępowała nieobecnego męża Stanisława, faktycznego kościelnego. Radziła sobie jak mogła. Jesienią kopała na cmentarzu doły, sypała do nich liście, i zimą, w przypadku pogrzebu, miała mniej pracy z przygotowaniem grobu. W jednej z takich mogił spoczął Antoni Ciuchta.

Ludzie, owszem, współczuli, niektórzy w czymś pomogli, ale obowiązek utrzymania rodziny spadł na matkę.

Jednak po latach, nawet do wydarzeń traumatycznych, potrafiła podejść z dystansem, by np. opowieść o swoim, ciężkim wdowim życiu z gromadką dzieci, zakończyć rozbrajającym stwierdzeniem: - *On umarł i… zadowolony, a ty się morduj!*

To był dystans, po wielu latach. Ale z opowieści matki znam przypadek, gdzie nieistotne sprawy przyziemne rozstrzygano już w kondukcie pogrzebowym. Rzecz działa się w Krasnosielcu, w pierwszych latach powojennych. Chowano młodą kobietę. W kondukcie zdążającym na cmentarz, pomiędzy matką zmarłej, a wdowcem, czyli pomiędzy teściową, a zięciem wywiązała się ostra i dosyć głośna rozmowa, mniej więcej takiej treści:

- *Tę maszynę* [do szycia] *to mi oddaj!*
- *To posag, nie oddam…*

Organista, chcąc zagłuszyć kłótnię, odwraca się i mówi do obecnych: - *Śpiewajcie, ludzie*. Na to odzywa się siostra owego wdowca: - *Wziąłeś pieniądze, to śpiewaj, a tu się nie wtrącaj w rodzinne sprawy.*

Na Prusach

Wiosna i lato 1945 r. minęły owdowiałej matce niepostrzeżenie szybko, bo na pracy. Ciężkiej pracy za przysłowiową łyżkę strawy dla siebie i dla dzieci. U kogokolwiek, kto potrzebował rąk do pracy. Ale to było bez perspektyw na dłuższą metę. Dlatego skorzystała z propozycji wyjazdu na Prusy. Szwagier Franciszek, który już zasmakował Ziem Odzyskanych, zapewniał, że we wszystkim pomoże. Że ze znalezieniem dachu nad głową nie będzie problemu, a robota też się znajdzie. Pewnego sierpniowego dnia 1945 r. matka zostawiła mieszkanko na Wólce i wyruszyła z dziećmi za Szczytno, do Dąbrowy, wozem konnym. Nowo osiedleni mówili na tę wieś zdrobniale Dąbrówka. Dziadek i inni chętni pojechali tam na jesienne orki.

Pierwsze kilka dni spędziła gościnnie u siostry Stasi Włodarczykowej. W pobliżu zadomowiła się z rodziną Stasia Szmytkowska z domu Kowalewska, koleżanka z rodzinnych Kujaw. Obie Stanisławy uważały, że znalazły, właśnie tu, swoje miejsce na ziemi. One tam pozostały na zawsze. Moja matka nie potrafiła się tam odnaleźć. Wuj Włodarczyk (mówili na niego Włodarz) wywiązał się z obietnicy. Znalazł gdzieś na uboczu, może ze 300 m od siebie, wolne ale rozszabrowane gospodarstwo i tam przetransportował szwagierkę z dziećmi. - *Wywiózł nas w jakieś w oparcyska. Tam strach było siedzieć za dnia, a co mówić o nocy!* - wspominała matka po latach. - *Do ludzi daleko, do Boga wysoko. Chłopaki przepłakali - gdzie mama nas przywiozła? Chciałam zaraz wracać, ale nie było jak. Przemordowałam się tak miesiąc. Tata wracał parę dni wcześniej, to wziął ze sobą Romana*.

Sama z pozostałymi trzema synami wróciła tydzień później z Cychowskim z Chłopiej Łąki.

- *Moja mamusia kochana przyjechała* - wołał pośród nocy stęskniony Roman. Na nocleg przyjęli sąsiedzi Władysława i Antoni Kowalewscy. - *Niech im Pan Bóg da niebo* - wspominała matka ich życzliwość.. Od następnego dnia powrót na Wólkę do porzuconej, przed miesiącem, brutalnej rzeczywistości. Powrót z przeszkodami. Do tej samej jednej izdebki. Resztę domu, jak dawniej, zajmowała teściowa z synami - Bronkiem (kawaler) i Jankiem (żonaty). Teściowa i Bronek byli chorzy, wymagali pomocy i opieki. - *Na ile mogłam, na tyle się nimi zajmowałam* - wracała do tamtych lat matka. A jej z pomocą pospieszył znów ks. Morko.

Na plebanii

Znalazła zatrudnienie na plebanii, na najbliższe dwanaście lat, w tym sześć non stop. Wykonywała wszystkie prace fizyczne w domu i w obejściu: dojenie krów, doglądanie inwentarza, praca w polu i ogrodzie, pranie i sprzątanie. Sprzątała kościół i prała bieliznę kościelną (*pierwszą wodę wylewałam na cmentarz przykościelny*). Wszystko ręcznie. Bez dojarki, pralki i odkurzacza. A w międzyczasie mnóstwo zajęć dodatkowych, nieraz zbędnych, jak np. odrywanie guzików przed praniem i ponowne ich przyszywanie! Noc ją wygnała, noc przygnała. Ze sobą na plebanię brała dwóch najmłodszych: Franka i Antka. Mieli tu opiekę i całodzienne utrzymanie. - *Zawsze rano przy dojeniu piliśmy mleko, takie prosto od krowy* - wspominali po latach. Nieraz trochę drogi szli, a przeważnie matka ich nosiła. Najgorzej było przedostać przez rzekę. Mostek ba Orzycu był zerwany, a przechodziło się po jednym balu, z chwiejącą się żerdzią zamiast poręczy. Jak jednego przenosiła, to drugi czekał. I tak dzień w dzień. Nieraz któryś zostawał na noc na plebanii, czasami obaj. Pieczę nad chłopcami miała księdza matka - Anna, starsza, schorowana osoba. Ale na wszystko miała oko. W zdenerwowaniu używała zwrotu *psie prawo*. Na matkę mówiła Suchcina (nie Ciuchcina), a ksiądz zwracał się przez - per wy. Ks. proboszcz często korzystał z informacji matki przy poznawaniu parafii i uzupełnianiu dokumentacji po wojennej zawierusze. Podawała bezbłędnie po kolei mieszkańców każdej wsi. Znała w większości przypadków ich koneksje rodzinne.

Ksiądz Morko objął parafię 5 marca 1945 r. Pierwsze wrażenie jakie odniósł po przybyciu do Drążdżewa było przygnębiające. W Kronice parafialnej napisał: „Kościół zdemolowany wewnątrz, pozbawiony całkowicie bielizny kościelnej i niezbędnych szat liturgicznych. Dookoła kościoła stosy gruzu z rozebranego przez Niemców parkanu cmentarnego. Na placu przykościelnym rowy i okopy strzeleckie pełne śmieci. Plebania i wszystkie budynki gospodarskie prawie bez dachów, a właściwie z dachami krytymi w mozaikę: z gontów, papy, blachy, desek i słomy - a przez to wszystko razem, w czasie deszczu, ciekło jak przez sito". *Mimo to plebania tętniła życiem.* - przypominała matka. - *Ciągle byli jacyś interesanci - Szukali u księdza porady. Leczył choroby skóry. Robił maść i rozdawał ją.* Sam ks. Morko na ten temat napisał: „W pierwszych czterech latach powojennych przewinęło się przez plebanię w Drążdżewie co najmniej 2 tysiące chorych na różne choroby".

Matka pamiętała również przypadek odprawienia egzorcyzmów przez księdza Morkę. *Jednego razu* - opowiadała - *przywieźli wozem, spod Krasnosielca, kobietę opętaną. We czterech siłą wciągnęli ją do kościoła. Ksiądz czekał w kruchcie. Kobieta krzyczała w niebogłosy, przeklinała. Ale po zamknięciu wielkich drzwi zrobiło się ciszej. Po krótkim czasie ksiądz otworzył drzwi i poprosił mężczyzn, żeby ją wyprowadzili. Była tak słaba, że nie mogła iść, to ją zanieśli na wóz. Razem z księdza siostrą stałyśmy w tym czasie przy bramie kościelnej.*

Wspomniana siostra księdza to Apolonia Kulesza, wdowa, matka dwójki małoletnich dzieci: Krystyny i Tadeusza. Koordynowała pracę na plebanii i w gospodarstwie plebańskim. Kilka lat później Krystyna, wraz z przyszłym swoim mężem Tadeuszem Maszorkiem z Elżbiecina, została moją chrzestną. Częstym gościem na plebanii była też druga z sióstr Stefania Komor. W czasie świąt i wakacji odwiedzali księdza wujka inni członkowie rodziny. Organistą był Felicjan Szachta (pracował jeszcze za księdza Rzewnickiego), a kościelnym niejaki Depta, po nim - Stanisław Sito.

Po każdym znojnym dniu matka wracała do domu, do Teńka i Romana. Oni podczas jej nieobecności byli pod opieką babci Franciszki i stryja Janka. Siniaki i zadrapania, po całym dniu harców, były normalnością. Zdarzały się jednak poważniejsze kontuzje. Kiedyś na pastwisku czyjś koń chwytał Teńka za czuprynę i nim rzucał. Skończyło się na ogólnym poobijaniu. Sam poszkodowany z kolei wraca do kilku uzasadnionych, siłowych interwencji stryja wobec podopiecznych. Raz zamknęli go… w studni, gdy wszedł tam, by przebić się do wody przez gruby lód. Innym razem rozpalili w kuchni ogień, gdy stryj czyścił na dachu komin. Za trzecim razem Teniek, zamknął drzwi na haczyk i zapalił na kuchni proch. Ogień sięgał sufitu.

Bracia

- *W pierwszych latach po wojnie* - wspomina Teniek - *chodziliśmy z Wólki do szkoły w Drążdżewie. Obaj z Romanem przyprowadzaliśmy Antka i Franka do ochronki (przedszkola), które mieściło się u* Szewczaków. Z kolei Franek, o swoich czasach przedszkolnych, mówił tak: - *Obaj z Antkiem chodziliśmy przez groblę do przedszkola w Drążdżewie. Trochę do Szewczaków, resztę do Koziołków (w tym czasie budowali dom u Lijków). Uczyły nas siostry Szewczakówny. Na Wólce Ebingów stały jakieś popsute pojazdy wojskowe, a w rowie przy Misiarczykach stał zepsuty czołg. Nieraz z podwórza wyskakiwał do nas duży, czerwony kogut. Jako przedszkolaki mieliśmy przydzielone „działki" pod uprawę np. kwiatków, o wymiarach może z metr, półtora, tak dla zabawy. Moja była naprzeciwko Koziołków, tam, gdzie teraz rośnie taki duży krzak bzu.*

Dzieciństwo i młodość wszystkich czterech braci Ciuchtów nie były usłane różami. Najstarszy urodził się na rok przed wojną, pozostali już w czasie okupacji. Pisana im była praca już od najmłodszych lat. Było to ze szkodą dla nauki szkolnej.

W ich przypadku przysłowie, o jedzeniu chleba z niejednego pieca, należy rozumieć dosłownie. Oto przykłady miejsc (i gospodarzy), gdzie przebywali na tzw. służbie. Marian (Teniek): Drążdżewo (Olzacki, Ptak, Walendziak), okolice Czernic (Karpiński), Mirów (Kisiel), Bagienice-Tryłoga (Bagiński); Roman: Karolewo (Szczepański); Franciszek: Prace (Rzewnicki), Rogowo; Antoni: Batogowo (Batogowski), Główki. Bywało różnie. Miło, gdy po latach można usłyszeć taką opinię: - *U Ptaków to miałem bardzo dobrze, spałem w domu. Jada-*

łem z nimi przy stole. Albo podobną: - *Babcia Szczepańska myła mi nogi.*

Ale zawsze nad nimi czuwała ona - matka. - *Myślałam o każdym jednakowo* - powie we wspomnieniach. Była z nimi w zdrowiu i chorobie. Pamiętała chyba wszystkie ich dolegliwości i przebyte choroby. I te, z pozoru błahe, także. Po latach relacjonowała ze szczegółami wizyty lekarskie. - *Antoś miał może 10 lat* - mówiła o jednej z nich - *kiedy wyskoczył mu wielki guz pod kolanem. Bolała go cała noga. Z trudem kuśtykał. Lekarz w Przasnyszu rozłożył ręce, że może trzeba operować, ale nie wiadomo, czy będzie chodził. Wyszłam. W gabinecie obok trafiłam na starszego lekarza w mundurze. Obejrzał, przepisał maść i po paru dniach po guzie nie było śladu. Lekarz i lekarz* - kończyła z sarkazmem. Była zawsze tam, gdzie jej najbardziej potrzebowali.

- *Matka przychodziła z Wólki i myła mi nogi i opatrywała je, bo były pokaleczone. Chodziłem boso, jak wszyscy* - przyznaje Teniek. Tu warto podkreślić, że odzież i obuwie były bardzo szanowane, co potwierdza następująca relacja braci: - *W ciepłe dni szło się do kościoła, i z powrotem, z butami przewieszonymi przez ramię. Zakładało się je tylko na czas Mszy św., po obmyciu nóg w rowie za kościołem albo przy studni obok plebanii. Podobnie robili nasi koledzy.*

Józef i Florentyna Kruk

Po ponad 4 latach wdowieństwa matka wyszła powtórnie za mąż, za wdowca Józefa Bernarda Kruka. - *Wyswatał nas ksiądz Morko* - powtarzali przy kolejnych rocznicach. Ślub kościelny wzięli 5 listopada 1949 r., a cywilny trzy miesiące później - 8 lutego 1950 r. Ojciec, syn Józefa (†1920) i Petroneli z d. Dudek (†1918), pochodził z Bud.

W rodzinie Józefa i Patroneli Kruków przyszło na świat dziewięcioro dzieci, ale siedmioro zmarło w niemowlęctwie. Wychowała się tylko córka Józefa i młodszy od niej o sześć lat, jeden z bliźniaków, Józef (mój ojciec). Po zamążpójściu siostry, przez 14 lat pozostawał z rodzicami na gospodarstwie. 12 listopada 1916 r., mając 25 lat, ożenił się z Antoniną Ptaszyńską z Grądów (1893- †1940). Młodzi zamieszkali w Budach. Byli bezdzietni. Dziadkowie moi zmarli na przestrzeni dwóch lat (1918-1920). W lutym 1940 Antonina znalazła się w grupie ok. 500 zamordowanych w Sewerynowie za Makowem.

Niebawem ojciec związał się z Natalią Łada z Drążdżewa (†1947). W dwa lata, po jej nagłej śmierci, ożenił się z moją matką. Różnica wieku znaczna - 23 lata.- *Ja miałam 2 latka, jak ty się pierwszy raz żeniłeś* - pamiętam częste rozmowy rodziców. Zamieszkali w Drążdżewie, w sześcioro. Najpierw u Kuciejów, następnie u Szewczaków, Michalaków i Dudków. Chłopcy, z małżeństwa z Ciuchtą, byli w wieku od 6 do 11 lat. W nowym związku na świat przyszło czworo dzieci: Marianna (ur./zm. 1951), Józef (ur./zm. 1952), Tadeusz - to ja i Jadwiga. Marianna została pochowana w Przasnyszu, Józef w Drążdżewie. - *Z Wandą Surgałówną niosłyśmy na ręczniku trumienkę* - przypomina ten smutny fakt Wanda Budna.

W końcu lat 50. rodzice pobudowali się w Drążdżewie Małym na swoim, tzn. na 3-ha ziemi, którą przed wojną ojciec odkupił od Kordka z Wólki Rakowskiej, a wcześniej Kordek od Żyda Szajmana, a tenże nabył ją u progu XX w. podczas wyprzedaży dóbr drążdżewskiego folwarku. Głównym majstrem przy budowie domu był Władysław Dudek, siostrzeniec ojca.

Ojciec był człowiekiem spolegliwym; życzliwy ludziom, opanowany, sposobny. Zahartowany przeciwnościami losu, nie zrażał się byle czym. Żył w przykładnej zgodzie z rodziną i sąsiadami. Pamiętam niedzielne odwiedziny bliskich. Chociaż nogi bolały, to chętnie zabierałem się na te wyprawy. Zresztą wzajemne odwiedziny były na porządku dziennym. A już szczególnie w przypadku chorych. Ojciec chorował ponad pół roku. Odwiedzali go znajomi i rodzina, ale cały ciężar opieki spoczywał na barkach matki. Wszystko inne także było na jej głowie.

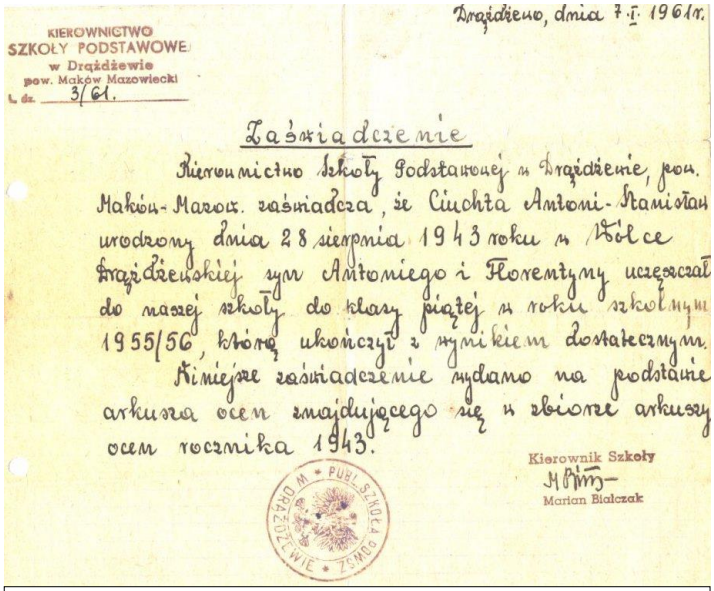

KIEROWNICTWO SZKOŁY PODSTAWOWEJ w Drążdżewie pow. Maków Mazowiecki
L. dz. 3/61.

Drążdżewo, dnia 7.I. 1961 r.

Zaświadczenie

Kierownictwo Szkoły Podstawowej w Drążdżewie, pow. Maków-Mazow. zaświadcza, że Ciuchta Antoni-Stanisław urodzony dnia 28 sierpnia 1943 roku w Wólce Drążdżeńskiej syn Antoniego i Florentyny uczęszczał do naszej szkoły do klasy piątej w roku szkolnym 1955/56, którą ukończył z wynikiem dostatecznym.

Niniejsze zaświadczenie wydano na podstawie arkusza ocen znajdującego się w zbiorze arkuszy ocen rocznika 1943.

Kierownik Szkoły
Marian Białczak

Antoni Ciuchta - zaświadczenie szkolne.

Ojciec zmarł 17 lipca 1963 r.

Józef Kruk (1891-1963).

Pogrzeb Józefa Kruka. Florentyna Kruk (pośrodku), ma przed sobą córkę Jadwigę i syna Tadeusza, po swojej prawej stronie ma synów: Franciszka i Mariana (przed nimi babcia Józefa), po lewej stronie - synowie Antoni i Roman (przed nimi synowa Jadwiga z córką Lidią na ręku, obok niej synowe Zofia i Jadwiga. Pozostali żałobnicy to siostrzeńcy zmarłego, bracia Dudek, od prawej: Stanisław, Władysław, Bolesław i Jan (za wdową) oraz ich siostra Kazimiera Kowalczyk (obok Mariana) wraz z rodzinami. Drążdżewo, 19.07.1963 r.

Rodzina Dudków

Józefa Kruk, siostra mojego ojca, wyszła w 1902 r. za mąż za Piotra Dudka (†1923) z Wólki Rakowskiej. Urodziły się im dzieci: Józefa (1903-1942; pierwsza żona Stanisława Ciuchty), Stanisław (1904-2001), Bolesław (1910-1996), Władysław (1913-1993), Jan (1919-2005) i Kazimiera (1917-1990).

Józefa Dudek wychodziła za mąż dwa razy: I raz (1924) za wdowca Jana Ptaka, II raz (1927) za Stanisława Ciuchtę (mieli syna ur./zm. 1931). **Stanisław** był żonaty też dwukrotnie: I raz (1933) z Julianną Szewczak, II raz (1951) z wdową Marianną Ptak z d. Stolarczyk. Z drugiego związku urodziły się dzieci: Jadwiga Marianna i Tadeusz. **Bolesław** ożenił się z Leokadią Dudek (1913-1999). Mieli dwie córki: Ewę i Justynę. **Władysław** był żonaty z Marianną Orłowską (1916-1995). Wychowali dwie córki: Janinę i Wandę. **Jan** ożenił się z Zofią Dębek (1928). Urodziły im się dzieci: Edward, Elżbieta, Wiesław, Mirosława i Anna. **Kazimiera** wyszła za mąż za Władysława Kowalczyka (1909-1983). Wychowali dwie córki: Jadwigę i Genowefę.

Florentyna Kruk z dziećmi na pogrzebie.

Florentyna Król na cmentarzu w Drążdżewie, poł. lat 90.

Śpiewać każdy może

Matka lubiła śpiewać, głównie pieśni religijne - maryjne, eucharystyczne, pasyjne itd. Znała je na pamięć. Jedną z pieśni pasyjnych pt. *Wisi na krzyżu,* w jej wykonaniu, zarejestrował ks. Morko na taśmie magnetofonowej. Nagranie odbyło się w połowie lat 60. na plebanii, na magnetofonie marki Grundig. Śpiewała w kościele, na pogrzebach, na spotkaniach modlitewnych, np. majowe, i przy pracy, i tak zwyczajnie, po prostu, dla siebie. Z upodobaniem śpiewała kolędy, od zwrotki pierwszej do końca.

Z dzieciństwa pamiętam, niedzielne popołudnia wielkiego postu, gdy rodzice wspólnie śpiewali gorzkie żale. Poza tym matka sama często coś nuciła. Z rana głównie fragmenty *Godzinek*. Ale bywało, że już od pobudki miała nastrój posępny. - *Dzisiaj od rana mi na pamięci pieśni pogrzebowe* - wyjaśniała. I wcześniej, czy później smutna wiadomość o czyimś zejściu docierała. Z reguły uczestniczyła w większości pogrzebów w parafii, tak w domu żałoby, jak też w kościele i na cmentarzu. - *Jak się pójdzie do ludzi, to i ludzie przyjdą* - mawiała.

Często nawiedzała cmentarz. Wyszukiwała groby dawnych sąsiadów i znajomych. Opuszczone i zaniedbane doprowadzała do porządku. Tak po prostu, z potrzeby serca. Na pytanie czy nie boi się sama przebywać na cmentarzu odpowiadała, że na żywych to trzeba uważać, a umarli krzywdy nie zrobią. Niekiedy na dłużej zatrzymywała się przy niektórych mogiłach, by po raz kolejny podzielić się wiedzą na temat spoczywającej osoby. Np. tyleż niesamowita, co tragiczna jest historia pewnej młodej Cyganki, która zmarła w Drążdżewie zimą 1929 r. i tu ją pochowano. Niemowlę wzięła na wychowanie Marianna Zakrzewska (właścicielka karczmy), a tabor pojechał… Po 10 latach chłopiec dołączył do swoich. Inne historie też były ciekawe i przejmujące, jak ta o trzech topielcach z 1932 r., o skandalicznym pochówku baptysty, czy o ofiarach okresu wojny, chowanych naprędce.

Chętnie opowiadała też swoje sny. Tłumaczyła ich znaczenie, że np. ogień - to złodziej, a pies - to zły człowiek, itp. - *Jak mi się coś śni, to przeważnie na Kujawach* - mówiła. Przesądna nie była, ale np. za namową sąsiadek, z rocznym Teńkiem za chustką, chodziła przed wschodem słońca, przez cztery kolejne dni, po miedzach, w czterech różnych kierunkach. - *Antek, z nim na rękach, schylił się napić wody* - wyjaśniała przyczynę choroby – *a on mu się chybnął do tyłu i się zdradził* (tzn. nadwyrężył kręgosłup). Trudno jednoznacznie stwierdzić co pomogło, ale dolegliwości ustąpiły.

Drugi przypadek, z końca wojny, dotyczy robienia okładów Frankowi na głowę z ciepłego ciasta, z zaczynu chlebowego, pobranego z czterech różnych dzież. To też za radą sąsiadek. Chłopcy - Roman i Franek - bawili się na podwórzu drewnianym kółkiem. Kulali je do siebie. Franek dostał nim w głowę i zaniemówił. Po zabiegach z ciastem doszedł do siebie, mowę odzyskał.

- *Tonący brzytwy się chwyta* - uczy przysłowie.

Większość zabobonów, jak np. dzwonienie w uchu, sroka na płocie czy pojawienie się pająka matka znała, jak każdy z nas, i objaśniała je na bieżąco. Podobnie było z prognozowaniem pogody, np. po zachodzącym słońcu, zachowaniu się zwierząt, ptaków, itp. Ponadto opowiadała o lunatykach, zaklęciach, czarach i czarownicach płci obojga, o zmorach, *co konie duszą* i o sposobach ich zwabienia (*przyjdź z łyżką na śniadanie*). I o cudownym dzwoneczku jednej z sąsiadek, którym odprowadzała nadciągające nad wieś chmury (fakt ten wspominał też wuj Czesław).

Z pieśni pozareligijnych nieraz śpiewała wyjątkowo rzewną, XIX-wieczną, ze słowami Syrokomli pt. ***Ponad lasy, ponad góry,*** gdzie jedna ze zwrotek brzmi:

Czarny kruku, z jakiej strony
Burza cię przywiała?
Skąd ten pierścień złotolity
I ta ręka biała?

Pamiętała ponadto mnóstwo zabaw i gier z dzieciństwa. Wszystko odtwarzała z pamięci. Słowem drukowanym posługiwała się przede wszystkim w książeczce do nabożeństwa, rzadziej sięgała po inne treści, a jeśli już - to religijne. Chociaż zdarzało się jej nieraz zagłębić w lekturze jakiegoś artykułu, szczególnie, gdy był opatrzony ciekawą ilustracją. (Dla równowagi dorzucę, że ojciec był stałym czytelnikiem

Florentyna Kruk przed cmentarzem w Drążdżewie, lata 70.

gazety *Gromada - Rolnik Polski*. Na krzyżówkach z tej gazety rozpoczynałem swoją przygodę z szaradziarstwem). Po pióro sięgała sporadycznie, głównie po to, by napisać list do kogoś z rodziny. Telewizji oglądała niewiele. Unikała filmów wojennych. - *Ja wojnę widziałam na własne oczy, to mi wystarczy* - kwitowała zaproszenie przed ekran. Chętnie słuchała radia. W ostatnich latach życia było to Radio Maryja (mówiła: Ave Maryja), bo w nim Msza święta, różaniec i inne modlitwy. Nie umiała jeździć na rowerze, więc wszędzie pieszo. Tuż po wojnie, w pewnej urzędowej sprawie, była pieszo w Makowie. - *Wyszłam o wschodzie słońca, przez Gościniec.* Dlatego wszystkie późniejsze zwroty w rodzaju: - *Idę do miasta* lub *Dowiem się do Zedzyny, co tam u niej słychać* - były na porządku dziennym i znaczyły, że - w pierwszym przypadku - poszła do Krasnosielca, a w drugim - na Posilenie. Doświadczałem w latach dziecięcych tych pieszych wypraw, z którymś z rodziców (czasem z obojgiem), żeby bliżej poznać rodzinę. Szliśmy więc np. na Papierny Borek, Wólkę Drążdżewską bądź Rakowską czy do Drążdżewa Nowego. Przypomnę, że mówiono Papierniak, Duża Wólka, Mała Wólka i Posilenie. Przy okazji, w odniesieniu do innej wsi, dodam, że częściej słyszałem nazwę Zabele niż Elżbiecin.

Poza tym, matka, wprawdzie rzadko, ale znajdowała czas na krótkie wyjazdy za Szczytno do sióstr, a więc moich ciotek: Stasi, Władzi, Marysi. One też czasami przyjeżdżały. Miło zapisały mi się w pamięci takie ciepłe, życzliwe odwiedziny.

Z synem Romanem i córka Jadwigą.

Z synem Marianem.

Z synową Marianną.

Dzieci mojej matki

Dzieci wyrastają z dzieciństwa, wkraczają w dorosłość, wychodzą za mąż lub się żenią. Dla każdej matki nadal pozostają dziećmi. Ich wiek nie ma tu znaczenia. Z czterech braci Ciuchtów, synów Antoniego i Florentyny, jako pierwszy ożenił się **Marian,** czyli Teniek. Ślub z Zofią Mordwa (1937) odbył się 17 listopada 1957 r. w Jednorożcu.

Młodzi zamieszkali na Stegnach. Wychowali troje dzieci: Janusza, Teresę i Marka. Doczekali się wnuków. W 2003 roku bratowa zmarła. Po niecałych trzech latach po Teńku ożenił się **Roman.** Ślub z Jadwigą Berg (1938), też ze Stegien, odbył się 24 kwietnia 1962 r. w Drążdżewie.

W tym związku urodzili się: Lidia, Andrzej, Jarosław i Beata. Założyli rodziny, mają swoje dzieci. Roman zmarł pół roku po bratowej Zofii. Jako trzeci w kolejności ożenił się **Antoni.** Ślub z Marianną Sielską odbył się 20 października 1963 r. w Jednorożcu.

Młoda pochodziła także ze Stegien. Mieli dwoje dzieci: Sławomira i Dorotę. Doczekali się wnuków. Nie żyją już oboje: Antoni zm. W 1997 r., a bratowa 13 lat później. Latem 1964 roku ożenił się **Franciszek.** Ślub z Jadwigą Żokowską (1946) z Jednorożca odbył się 16 sierpnia 1964 r. w miejscowym kościele. Urodziło się im troje dzieci: Marianna, Andrzej i Elżbieta. Doczekali się wnuków. Franek zm. w 2012 r.

Każdy z braci miał epizod śląski. Najwcześniej, bo na początku lat 60. wyjechali na Śląsk Roman i Franek. Pracowali przez dwa lata w kopalni „Nowy Wirek" w Rudzie Śląskiej. Franek wrócił. Roman z żoną tam pozostał, na kilka lat, w Rybniku. Przeszedł do budownictwa. W międzyczasie ściągnął do siebie Antka z rodziną. Antek pozostał tam na stałe. Oboje z Marysią spoczywają na chwałowickim cmentarzu. Przez pewien czas mieszkał i pracował na Śląsku także Teniek. Ostatecznie trzej bracia wrócili do punktu wyjścia. Teniek i Roman na Stegna, Franek na Piaski. Wszyscy od podstaw pobudowali się. Zawodowo pracowali w budownictwie, dwaj najstarsi jako murarze, Franek jako dekarz. Wzięci fachowcy. Świadczy o tym chociażby fakt, że np. Roman wybudował obecny kościół w Jednorożcu, o czym mówią zapiski: „W 1983 r. szukano majstra, który podjąłby się budowy świątyni. (…) Głównym majstrem został Roman Ciuchta ze Stegny". Wszyscy pytani o ilość wzniesionych budynków czy pokrytych dachów nie potrafili podać liczby. W każdym razie dużo, dziesiątki na pewno. Można je odnaleźć w Jednorożcu, w Drążdżewie, na Wólce i w Kujawach, na Mazurach i za Przasnyszem, i nawet w Łomiankach.

Gdy przyrodni bracia już dawno byli na swoim i w pełni usamodzielnieni, to myśmy z siostrą Jadwigą, jako dzieci Józefa i Florentyny Kruków, pozostawali jeszcze pod opieką matki. W dorosłość wkroczyliśmy w latach 70. **Jadwiga** wyszła za mąż za Leszka Grądzika z Elbląga. Ślub wzięli w Drążdżewie 5 sierpnia 1978 r. Wychowali czworo dzieci: Anetę, Tomasza, Iwonę i Magdalenę. Cieszą się siódemką wnuków.

W rok po siostrze i ja, **Tadeusz,** zmieniłem stan cywilny. 10 listopada 1979 r. w Baranowie zawarłem związek małżeński z Danutą Mydło. Mamy dwoje dzieci: Donatę i Janusza i czworo wnuków.

Opowieści z dreszczykiem

Zofia Bakułowa (Staśkowa z Lasków, ciotka z Lasków) odwiedzała nas dosyć często. Nieraz została na noc, najczęściej z racji rekolekcji czy innych szczególnych okazji. Pamiętam te niekończące się rozmowy z matką. Zwracały się do siebie nawzajem: *siostro*. Ciotka wielokrotnie powracała do niecodziennego zdarzenia, jakie, według jej relacji, miało miejsce około 1937 r. u niej, na posesji w Laskach.

- *Był piękny dzień* - opowiadała z przejęciem. - *Kazik miał wtedy prawie trzy latka. Bawił się sam na podwórku, ja byłam w mieszkaniu. Nagle Kazik wpada do domu z krzykiem, że… tata chce chleba! Kto? gdzie? - zaczęłam go przepytywać. Pokazał, że tam i ciągnął mnie za rękę. Poszłam z nim, ale nikogo nie było, żadnych śladów. Potem pytałam go często o to, żeby sprawdzić, ale za każdym razem powtarzał to samo, że to był tata i chciał chleba.*

Tutaj zazwyczaj ze swoją opowieścią, z nieżyjącym bratem Stanisławem w roli głównej, włączała się mama. Jej relacja brzmiała mniej więcej tak: - *Był późny zimowy wieczór. Zasnęłam na ślabanie, w domu, u nas na Kujawach. W mieszkaniu był tylko tata, bo inni domownicy jeszcze nie wrócili ze wsi. W pewnym momencie, co mi tata później powiedział, prowadziłam przez sen taką rozmowę: - 'Proszę…Na wieki wieków. Amen… Siadaj... A skąd ty idziesz?... A jak twoja noga?... Na wieki wieków. Amen.' Po tej drugiej pochwalonce tata mnie zaraz obudził i zapytał z kim rozmawiałam. Powiedziałam, że ze Staśkiem z Lasków. Że go przyprosiłam, a jak wszedł do mieszkania i zmówił pochwalonkę, to mu odpowiedziałam. Chciałam, żeby usiadł, ale wymówił się, że jest w drodze i się spieszy. Na pytanie skąd idzie odpowiedział, że wraca z Przasnysza, zaszedł do nas i musi iść do domu, do Lasków, i że noga już go nie boli.*

Rano nadeszła wiadomość, że Stasiek zmarł wczoraj wieczorem, 12 grudnia 1936 r.

Sprawa przedwczesnej śmierci Stanisława i pozostałych trzech braci, którzy zmarli równie młodo jak on, na przestrzeni zaledwie kilku lat po nim, powracała często w rodzinnych rozmowach. Niejako przy okazji odżywała sprawa przykrego zdarzenia z końca lat 20. XX w. z ich udziałem. Wbrew woli swego ojca postanowili podzielić ojcowiznę. Dziadek stanowczo zaprotestował. Padły ostre słowa. - *Obie z Władzią* [swoją siostrą] - opowiadała matka - *uprosiłyśmy wtedy tatę, żeby wszedł z nami do domu. Oni też się rozeszli.*

Trzecia niesamowita opowieść dotyczyła pierwszego wieczoru po pogrzebie Antoniego Ciuchty, pierwszego męża matki. - *Była widna noc, świecił księżyc. Uśpiłam chłopców, zmówiłam pacierz i też się położyłam. Nagle poczułam na twarzy dotyk ręki. Kto tam? - zawołałam. Na moje pytanie odezwała się zza ściany teściowa. - 'U mnie też Antek teraz był…'*

Ciotka Michalina

Niezwykle barwną i wyrazistą postacią była siostra babci Michalina. Wyszła za mąż 22 czerwca 1914 r. za starszego od siebie o około 10 lat Konstantego Dąbrowskiego (†1944?) z Wólki Drążdżewskiej. Od tego czasu, w rodzinie i w środowisku, od imienia męża, znana była jako Kostkowa. To ona przejęła ster rządów w nowym związku. O swoim zamążpójściu mówiła niechętnie i krótko: - *To ojce mnie ożenili, bo on miał trochę ziemi i umiał grać.*

Konstanty rzeczywiście posiadał kilka morgów ziemi, a ponadto był dość wziętym skrzypkiem. Z muzykowania czerpał jakieś tam dochody, głównie na własne wydatki. Małżonkowie Dąbrowscy mieli dwójkę dzieci: Bronisławę (1923) i Stanisława (1925-1980). Córka zmarła w niemowlęctwie. Wychował się tylko Stanisław. Od zawsze był bardzo związany z matką. Wspólnie z nią, po śmierci ojca, prowadził niewielkie gospodarstwo. Jego wizytówką była para dorodnych koni. Gospodynią, z głosem decydującym, była oczywiście matka. Rówieśnicy dawno pozakładali rodziny, a on trwał w kawalerskim stanie. Dopiero w wieku 35 lat wstąpił w związek małżeński z Ireną Staniszewską (1929-2012) z parafii płoniawskiej. Wspólnie wychowali pięcioro dzieci.

Florentyna Król z trzyletnią prawnuczką Darią, 5.04.2005.

Babcia Florentyna z wnuczkami - Iwoną i Magdą, 1993.

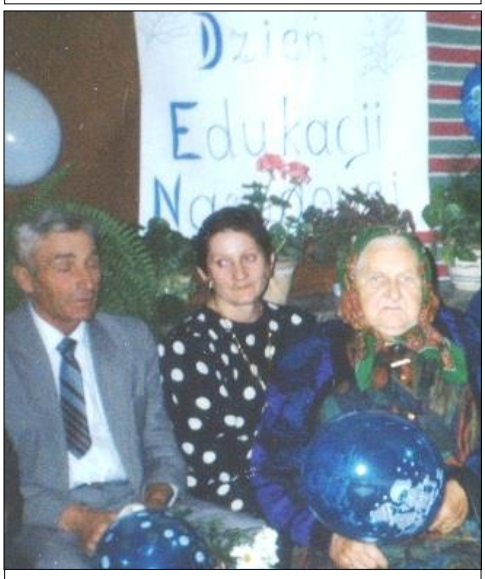

Florentyna Król na Dniu Nauczyciela w szkole, ok. 1995 r.

Florentyna Król z mężem Henrykiem, w przededniu swoich 80. Urodzin, 11.09.1994 r.

Ciotka Kostkowa była częstym gościem u mojej matki, a swojej siostrzenicy Florentyny w Drążdżewie (dokładnie w Drążdżewie Małym). Najkrótszą drogą, przez mostek za kościołem, miała do nas ze 2 km. Przychodziła także przy okazji, będąc np. w kościele, czy wracając z Krasnosielca z jarmarku lub z urzędu. Pamiętam charakterystyczny sposób wchodzenia ciotki do mieszkania. Po odpowiedzi *proszę* na pukanie, otwierała drzwi bardzo powoli i przekraczała próg mieszkania wchodząc… tyłem, zerkając w międzyczasie pilnie na boki w poszukiwaniu obecnych wewnątrz osób. Tym sposobem miała czas na podjęcie decyzji o ewentualnym wycofaniu się na widok *persona non grata*.

Obie kuzynki zawsze znalazły wspólny język. Nie pamiętam, żeby między nimi dochodziło do jakichś spięć, nawet gdy poruszały tematy sprzed lat, drażniące którąś ze stron. Po prostu się lubiły. Ich dobra znajomość, czy raczej zażyłość ugruntowała się na długo przed wojną, a szczególnie w początkach lat 30. XX wieku, pomijając epizod z ucieczki jesienią 1914 r. Tu powołam się na wspomnienia matki: - *Pewnego dnia przyszła do nas na Kujawy ciotka Kostkowa i mówi do mamy tak: - Daj mi Florkę do obchodzenia chłopa [wuja Kostka], bo zleciał z drągów w stodole i się mocno potłukł. - A po co tam wlazł? - zapytała mama. - Po… bułki, co miał zawieszone na jętkach. Wrócił z grania w nocy i po ciemku ich szukał. Golenie mu się obsunęły i zleciał. Mama się zgodziła, to poszłam. Miałam wtedy z 18 lat. Myślałam, że idę tylko do pomocy. Ale okazało się, że cały obowiązek opieki nad chorym spadł na mnie. Doglądałam wuja przez sześć tygodni. Dzień i noc. Początkowo leżał bez ducha, mocno poobijany. Był u niego i doktor, i ksiądz z olejami świętymi. W ciągu dnia ciotka, po obrządku, bywała przeważnie poza domem, w pilnych sprawach. Prawie zawsze brała ze sobą Staśka, i dobrze, bo był szkudny. Bo kiedyś, jak zmyłam podłogę, to przeciągnął po niej osmolony garnek. Jak dostał ode mnie za to wypłatę, to już nie chciał zostawać. Wuj powoli dochodził do siebie. Jednego razu, tak koło południa, rozmawiamy oboje, a tu się otwierają lekko drzwi i ciotka mnie pyta półgłosem: - Czy on jeszcze żyje? Wuj to też słyszy. Kiwam głową, że tak, ale ciotka pyta głośniej. Podeszłam więc do drzwi i mówię, że przecież ja bym tu z nieboszczykiem nie siedziała. A ciotka na to: - To ja wracam do Dziąbiny, bo ona szyje mu co trzeba na śmierć. I poszła. Na szczęście wuj wyzdrowiał i pożył jeszcze kilkanaście lat.*

Ciekawych opowieści z udziałem obojga wujostwa było dużo więcej (nie wszystkie nadają się do publikacji). Dorzucę więc jeszcze kilka. Było to gdzieś w połowie wojny. Matka, wówczas zamężna z Antonim Ciuchtą, mieszkała na Wólce. Gnieździli się w jednej izdebce z czworgiem dzieci. Wuj przychodził do nich codziennie, posiedział w cieple, porozmawiał, przy okazji coś zjadł. Spodobało mu się do tego stopnia, że postanowił u nich zamieszkać. - *Dużo miejsca nie zajmę* - prosił. - *Przyprowadzę też krowę, będzie mleko dla dzieci.* Oboje nagabywani byli w kropce, co na to powie ciotka. Jednak, po naleganiach, przyjęli tego wuja. Był zadowolony, oni mniej, bo ciasnota nie do opisania. Poza tym ciągle jacyś ludzie, ponieważ Antoni zajmował się szewstwem.

Po kilku dniach przyszła też ciotka, niby w odwiedziny do męża. Przymawiała się, że może by tak całą rodziną się do nich przykleić... Tego już było za wiele. Ciuchtowie stanowczo odmówili. Na to oburzona ciotka natychmiast chciała zabrać wuja do siebie. Konstanty opierał się, jak mógł, ale któregoś dnia, przekupiony pętem kiełbasy, uległ i poszedł. Krowę, oczywiście, też zabrał. Ale nadal szewca odwiedzał, a miał blisko, ze sto metrów.

Inny przypadek dotyczy wydarzenia z pierwszych miesięcy po wojnie. Było to na jesieni 1945 r. Powszedni dzień, przed południem. Matka miała przygotowane ciasto chlebowe na blachach, w piecu palił się ogień. I nagle potężny huk. Wyleciały szyby z okien. Natychmiast powiało chłodem, ciasto opadło. Okazało się, że to jacyś chłopcy wrzucili znaleziony pocisk do ogniska. Właściwie żadnemu z nich nic się nie stało. Główny sprawca, trochę draśnięty jakimś odłamkiem, uciekał z krzykiem: - *Zabiłem się, zabiłem!* Bardziej od niego był poszkodowany Kamiński, bo przez ten wybuch spadł z drabiny, gdy dekował słomą u siebie jakąś szopę. I wtedy ciotka dała siostrzenicy swoje oszklone okno. Ale radość nie trwała długo. *Pewnego dnia* - wspominała matka - *byłam na kopaniu. Wracam, w chałupie zimno, bo nie ma okna. Chłopaki płaczą, myślałam, że to oni wybili szybę. Ale zaraz się okazało, że ciotka wzięła swoją własność, bo akurat to okno było jej wtedy potrzebne.*

Jak widać, o ciotce Michalinie, można mówić w nieskończoność. Na każdy temat miała swoje zdanie. A więc również na temat rzekomego cudu na Wólce sprzed 54 lat.

Była wtedy niedziela 3 lipca 1960 r. Okolicę obiegła wiadomość, że na kapliczce u Kamińskich pojawiły się niezwykłe znaki i symbole religijne. Natychmiast zrobiło się tłoczno i ciekawskich przybywało. Piesi i nazwijmy umownie: zmotoryzowani ciągnęli zewsząd. Byłem również tam parę razy, podobnie jak rodzice i bracia. Osobiście wskazywałem drogę, przez mostek za kościołem, przyjezdnym ze Sławkowa i Batogowa (gm. Sypniewo). Każdy odbierał rzekomy cud na swój sposób. Poruszenie trwało przez kilka dni. Interweniowała Milicja Obywatelska, utrudniając dostęp nie tylko do kapliczki, ale w ogóle do wsi. Sprawdzano dowody osobiste, sypały się mandaty. W rozładowanie niezdrowej atmosfery zaangażował się ks. Morko. Poskutkowało. Władze państwowe zniosły posterunki utrudniające ludziom dostęp do kapliczki. Przybywających było coraz mniej. Po kilkunastu dniach wszystko ucichło i cała sprawa poszła w zapomnienie. Pamiętała ją natomiast przez długi czas ciotka, ponieważ tłum stratował jej zagon ziemniaków. - *Florka, ja to wtedy doznałam cudu* - żartowała nieraz w rozmowie z siostrzenicą. - *Kartofle same się wykopały, i to przed czasem.* Nikt nigdy jej za to nie przeprosił, a tym bardziej nie wyrównał strat. Sama próbowała na bieżąco przepędzać pątników, ale to nic nie dało. Po polu chodzili jak po drodze, napierali na płoty, wspinali się na drzewa, lekceważyli uwagi. Zamiast modlitewnego skupienia słychać było co jakiś czas rozmowy prowadzone kwiecistym językiem. A ciotka miała lekką wymowę, więc dawała sobie radę. Ciekawscy przychodzili i odchodzili, ale Kamiński pozostał, u siebie, naprzeciwko. I na nim skupiała się cała złość ciotki. Zresztą oni oboje, jako sąsiedzi, nigdy za sobą nie przepadali.

Ks. Morko na temat rzekomego cudu napisał w Kronice parafialnej m.in.: „…Wacław Kamiński (epileptyk) odnowił uszkodzoną w czasie działań wojennych przydrożną kapliczkę, pokrywając ją nowym tynkiem. Po paru dniach, gdy tynk już na dobre zasychał i utrwalał się, ukazały się na nim różne esy-floresy, z których ludzka wyobraźnia mogła sobie tworzyć różne obrazy".

Ciotka Michalina Dąbrowska dożyła sędziwego wieku - 97 lat. Była wprawdzie młodsza od siostry Józefy o trzy lata, ale przeżyła ją o lat 11. Pogrzeb mojej babci (babci z Kujaw) odbył się w bardzo mroźny, styczniowy dzień 1980 r. Ciotka Michalina, licząca wówczas 86 lat, wracając z cmentarza, tak skomentowała nagłe zejście starszej siostry: - *A wej, nawet się nie spodziewała.*

Praca zawodowa

Od 1 lipca 1964 r. matka podjęła pracę zawodową, na pół etatu, w charakterze sprzątaczki w Ośrodku Zdrowia w Drążdżewie. Lokalizacja placówki, do dzisiaj, ta sama. Kierowniczką była pielęgniarka Józefa Gogolińska (1908-1988). Osoba nadzwyczaj wymagająca, aczkolwiek ciepła, serdeczna i życzliwa. Paliła silesie (podobnie jak ks. Morko), piła gorzką kawę, zagryzając kostkami cukru. Pedantka w każdym calu. Wszystko, co powinno lśnić to lśniło. Cokolwiek podejrzane, nieprzydatne, zbędne należało „won wyrzucić". Bardzo lubiła kwiaty. Rosły więc nawet tam, gdzie w zasadzie nie powinny. A to za sprawą szczególnej dbałości o nie. Gdy się chmurzyło należało je podlewać (*A nuż się chmury rozejdą?*). Gdy deszcz pryskał, należało równolegle z nim podlewać (*A co to za deszcz!*). Wodę trzeba było czerpać wprost z rzeki i taszczyć ją pod górę. Raz w tygodniu, w sobotę, obowiązkowe czyszczenie rynsztoku i jezdni! Zimą palenie w piecu i odśnieżanie (lekarz Tondryk przyjeżdżał trabantem). Te i wiele obocznych czynności wykonywała Krukowa, czyli moja matka. Pamiętam te prace z detalami, ponieważ czynnie w nich uczestniczyłem. Dowoziłem nawet w wielkim czajniku przegotowaną wodę do gotowania strzykawek, ponieważ woda miejscowa jakoby się nie nadawała. Wyjątkiem, czasami uwzględnianym, była studnia na posesji Emilii Zawadzkiej.

Przez około 4 lata matka godziła pracę w ośrodku ze sprzątaniem w Gromadzkiej Radzie Narodowej. Łącznie to był cały etat. Przewodniczącym GRN był Zygmunt Szczepański, a urząd mieścił się u Franciszka Walendziaka, a potem u Zygmunta Szczepańskiego (rodzina z przewodniczącym). Roboty było pod dostatkiem. Zimą, żeby piece na 7.00 już grzały, trzeba było napalić w nich kilka godzin wcześniej. W 1970 r. Józefa Gogolińska przeszła na emeryturę i wyjechała do Warszawy. Uczestniczyłem w jej przeprowadzce, aż na miejsce. Meble i inne sprzęty przewoził żukiem Henryk Bąkowski.

Przez długie lata utrzymywała z matką dosyć ożywione kontakty. Oto przykłady z dwóch listów:

„Pani Krukowa

Dzwoniła do mnie nowa pielęgniarka i mówiła, że przyjeżdża do pracy, ale obiecała jak przyjedzie zadzwonić, ponieważ nic się nie odzywa, więc nie wiem, czy już jest, czy jeszcze jej nie ma.

Bardzo proszę niech Jadzia napisze do mnie, bo nie wiem jak ułożyć sobie plan na lipiec, ja z Leszkiem mam zamiar przyjechać po dwudziestym czerwca do Drążdżewa (…)

Czy nauczycielstwo przenosi się do nowej szkoły i kto z góry.

Zasyłam pozdrowienia

Gogolińska

13 VI 70 r.".

„Pani Krukowa

(…) U nas nic nowego, pomału jakoś się żyje. Nadchodzą Święta Wielkanocne, życzymy dużo zdrowia, pomyślności w życiu, Panu Tadkowi w pracy, a Jadwidze w nauce.

Zasyłamy pozdrowienia

i całujemy.

Gogolińska

z dziećmi.

Warszawa, 6 IV 77.".

Pytanie z pierwszego listu o nauczycielstwo jest zasadne, ponieważ w czerwcu 1970 r. oddana została do użytku nowo wybudowana szkoła wraz z mieszkaniami dla kadry pedagogicznej. Placówką kierował wówczas Marian Białczak, a następnie Kamila Kurowska. Od 1 września 1970 r. matka została zatrudniona na stanowisku woźnej w nowej szkole. Z tej posady, po kilku latach, przeszła na rentę, następnie na emeryturę. Chętnie korzystała z zaproszeń na szkolne uroczystości.

Migawki zdrowotne

Była lekka na nogach, ale i one stopniowo odmawiały posłuszeństwa. Szczególnie w ostatnich latach życia. Z tej racji wielokrotnie zasięgała porad lekarskich. Diagnoza brzmiała; zwyrodnienie stawu biodrowego. Niewiele pomagały serie zastrzyków, smarowanie, nagrzewanie, a nawet hospitalizacja. Szpitala się nie bała. Była święcie przekonana o skuteczności wyleczenia. Dodam, że miała ku temu podstawy. W 1971 r. trafiła z problemem onkologicznym do stołecznego instytutu. Wróciła po miesiącu. Regularne wizyty kontrolne, w następnych latach, potwierdziły wyjście z choroby. Ale wspomniane dolegliwości zwyrodnieniowe wraz z wiekiem się nasilały. Wtedy chora, przynajmniej w myślach, nosiła się, z zamiarem… amputacji nogi, o czym świadczy poniższa rozmowa z córką:

- *Idę do szpitala.*
- *Po co?*
- *Na ucięcie nogi.*

Rzeczywiście podczas jednego z pobytów na oddziale szpitalnym, gdzie trafiła z innym schorzeniem, zwierzyła się z tych myśli lekarzowi. Odradzał stanowczo, ale widząc desperację pacjentki, obiecał do sprawy powrócić na porannym obchodzie. Rozmowie przysłuchiwał się inny lekarz. I jemu udało się przekonać pacjentkę, że nawet z bolącą nogą jest o niebo lepiej niż bez niej. - *Bez wózka już pani sobie nie poradzi* - argumentował - *a tak, chociaż o kulach, ale pani chodzi.* Nazajutrz rano lekarz, który pamiętał o wczorajszej prośbie, zapytał wprost?

- *I co z tą nogą, ucinamy?*
- *Najpierw niech pan sobie utnie, a ja zobaczę jak pan będzie chodził* - brzmiała odpowiedź.

Z tematyki szpitalnej przytoczę jeszcze fragment rozmowy telefonicznej, jaką przeprowadziła moja siostra z pielęgniarką z oddziału:
- *Czy może pani poprosić mamę do telefonu?*
- *Proszę pani, nie poproszę, bo ja się boję tej pani zdenerwować.*

Jesień życia

Po przejściu na rentę nie próżnowała. Zawsze znalazła sobie jakieś zajęcie, u siebie i u ludzi. Hodowała drób *własnego chowu*, uprawiała ogródek. Bardzo lubiła kwiaty, miała do nich rękę. Rzadkością było, żeby jakaś roślinka się nie przyjęła. Pamiętam te *prymulki, jaśki, muszkatle, hortensje*. Pomagała sąsiadom w pracach polowych. Nieraz, do osób zaprzyjaźnionych, szła sama z siebie z uzasadnieniem: - *Pójdę, pomogę, kijem nie rzucą*. I nie rzucali. Ciągle coś cerowała i przeszywała. Chodziła do swoich krawcowych. Pamiętam, że były to, w różnym czasie, panie: Weronika Kaczorek, Honorata Kowalczyk, Elżbieta Mydło, Teresa Rykowska, Marianna Szewczak, Władysława Szczepańska. Do tej ostatniej udawała się także po zioła - miętę i marunę. A do pań: Marianny Bryknerowej i Franciszki Surgałowej po nabiał, głównie po śmietanę. Wspomnę, że z obuwiem do naprawy to do panów: Gorgoniusza Łady lub Tadeusza Bryknera, natomiast usługi kowalskie świadczyli panowie Franciszek i Wacław Pogorzelscy. Zaś w przypadku naprawy czegokolwiek, a nawet wykonania fotografii to jak w dym do Wincentego Lesińskiego.

Od końca lat 70. mieszkała samotnie. Nadrabiała zaległości w rodzinnych odwiedzinach, głównie tych dalszych. Chętnie podróżowała. Dosyć często wyjeżdżała do Elbląga, pociągiem, na uroczystości rodzinne i tak po prostu. Wcześniej, bo w 1973 r., była także jeden raz na Śląsku, na Komunii wnuczki.

Każda podróż z reguły upływała jej bardzo szybko, ponieważ miała dar nawiązywania kontaktów z ludźmi. - *Jak to można tyle jechać i do człowieka gęby nie otworzyć* - dziwiła się wszelkiej maści milczkom. Jednak z każdej, nawet najdłuższej podróży, wracała do pustego domu. Być może ta samotność była jedną z przyczyn kolejnego zamążpójścia. W wieku 73 lat zawarła, 7 grudnia 1987 r., związek małżeński z 80-letnim wdowcem Henrykiem Królem (1907-1995). Przyjęliśmy go w rodzinie jako Dziadka. Przez 5 lat Dziadkowie mieszkali w Drążdżewie, a potem w Karolewie.

10 kwietnia 1995 r. Henryk Król zmarł.

Matka owdowiała po raz trzeci. Liczyła 81 lat. Pozostała w Karolewie do końca życia. Na przestrzeni 55 lat zatoczyła krąg od rodzinnych Kujaw, przez Wólkę i Drążdżewo. Początkowo radziła sobie całkiem nieźle. Była w dobrych układach z sąsiadami, więc zawsze mogła liczyć na ich pomoc, jak np. drobne zakupy czy podwiezienie do sklepu. Jednak wraz z wiekiem podupadała na zdrowiu, pod każdym względem. Wówczas my miejscowi, bywaliśmy u niej, na zmianę, po kilka razy dziennie. Odpowiadaliśmy z żoną w pełni za przysłowiowy wikt i opierunek, a więc za bieżące zakupy, sprzątanie, pranie, opał na zimę, wizyty lekarskie, dojazd do kościoła itd. Ze swoim rodzeństwem - siostrą i braćmi - byłem na bieżąco w tych sprawach. Oni również, na miarę swoich możliwości, byli częstymi gośćmi u matki.

Również systematycznie odwiedzał siostrę wuj Czesław. Dobrze, że po latach, zagonieni pracą, znaleźli czas na rodzinne pogawędki. Oboje sięgali pamięcią do lat swego dzieciństwa. Czasem dołączała do nich ciotka Czesława z Kujaw. Pewnej niedzieli, ok. 2000 r., wszystkich troje zawiózł Roman do Drążdżewa Nowego, do ciotki Adolfy. Niebawem okazało się, że to było ostatnie spotkanie rodzeństwa w tym gronie. A z domu rodzinnego wyszło ich dwanaścioro...

Za życia Dziadka, i potem także, odwiedzała matkę ciotka Władzia. - *Ty siadaj tu, a ty siadaj tam* (sama siadała w środku) *i słuchajcie, co ja wam powiem* - zachęcała nas ciotka Szymańska. Były to opowieści, głownie z czasów pobytu na przymusowych robotach w Niemczech, ale nie tylko. - *Z niewoli wróciłam z niczym, ale cieszyłam się, że żyję* - mówiła z przejęciem. - *Dałam jej sukienkę, bo miała tylko jedną, tę co na* sobie - dodawała matka. I dalej siostry prowadziły rozmowy, nie bacząc na porę dnia i nocy. Płynęły potoki wspomnień.

Można powiedzieć, że wraz z upływem czasu matka żyła wspomnieniami. Dzieliła się nimi nadzwyczaj chętnie, szczególnie tymi z domieszką humoru. Miewała, jak większość, dni lepsze i słabsze. A czas płynął nieubłaganie i robił swoje. Światło życia powoli w niej gasło. Dane jej było dożyć sędziwego wieku w gronie licznej rodziny. Wychowała 6 dzieci, doczekała się 18 wnuków, 37 prawnuków i praprawnuka.

Coraz częściej uważała, że coś przeżywa po raz ostatni. Niestety, te przeczucia z przełomu lat 2005/2006 sprawdziły się. Była więc ostatnia Wigilia i Boże Narodzenie, ostatnia choinka i śpiewanie kolęd, i Nowy Rok - też ostatni, i ostatnia kolęda, i pobyt w szpitalu także ostatni. Tym razem wszystko w życiu mojej Matki było ostatnie…

Odeszła, pojednana z Bogiem i z ludźmi, w piątek 27 stycznia 2006 r., w 92. roku życia.

Pogrzeb odbył się następnego dnia w zimowej scenerii i przy trzaskającym mrozie. Spoczęła wśród swoich na drążdżewskim cmentarzu, który tak często nawiedzała za życia.

Tadeusz Kruk

Florentyna Kruk (druga z prawej) na I Komunii św. wnuczki Doroty, Rybnik, 20.05.1973

Florentyna Kruk (z lewej) z Michaliną Dąbrowską, 1977 r.

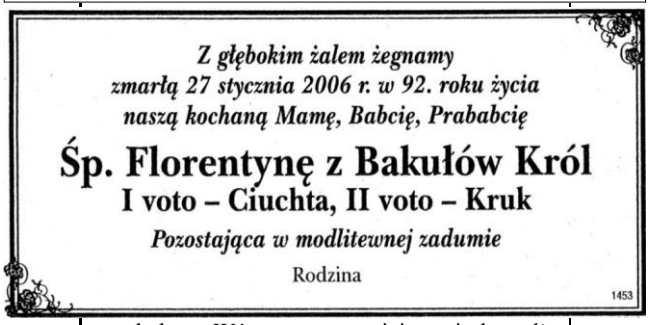

Z głębokim żalem żegnamy
zmarłą 27 stycznia 2006 r. w 92. roku życia
naszą kochaną Mamę, Babcię, Prababcię

Śp. Florentynę z Bakułów Król
I voto – Ciuchta, II voto – Kruk

Pozostająca w modlitewnej zadumie

Rodzina

1453

PS. W przypadku braku miejscowości w odnotowywanych faktach urodzenia, ślubu czy pogrzebu w rodzinach Bakułów, Ciuchtów, Dudków i Kruków z niniejszego opracowania, należy przyjąć, że dotyczy to parafii Drążdżewo lub Krasnosielc.

Druga uwaga dotyczy lat umieszczonych w nawiasach, np. (1991), (1913-1945), (†1956). Pierwszy przypadek dotyczy roku urodzenia lub wydarzenia, drugi - lat życia danej osoby, trzeci - roku śmierci.

Źródła

Kronika Parafii Drążdżewo (rkp).
Władysław Kocot, Moje wspomnienia (rps).
Wacław Łada, Wspomnienia (rps 1970).
Ks. Stanisław Marzec, Sanktuarium św. Rozalii, Święta Rozalia - Szelków 1990.
Rocznik jubileuszowy diecezji Łomżyńskiej, Łomża 2000.
Sławomir Rutkowski, Jak to dawniej bywało we święta Bożego Narodzenia, W10/2007, s. 3.
Zapiski Ziemi Jednorożeckiej, praca zbiorowa, s. 81, Jednorożec 2011
Relacje ustne: †Czesław Bakuła, †Franciszek Ciuchta, Marian Ciuchta, Jan Jóźwiak, †Stanisław Lipiński, Mirosław Szewczak, Zofia Sztych.

Szkolnictwo w Bagienicach w latach 1925 - 1980

Alina BIAŁCZAK

Wprowadzenie

Nasza pani, nasza klasa, moja szkoła - to zwroty słyszane najczęściej na szkolnym korytarzu, na ulicy lub w domu w rozmowach uczniów, szczególnie tych najmłodszych. To takie miłe i sympatyczne, takie prawdziwe. Wspomnienia ze swojej pierwszej szkoły zapadają głęboko w pamięć i pozostają, w zasadzie na zawsze. Dlatego tak chętnie wracamy do nich przy każdej nadarzającej się okazji, by w rozmowie z *panią od przyrody* czy *koleżanką z jednej ławki* wrócić do *tamtych lat*.

Lata spędzone w szkole budzą niezatarte wspomnienia, skłaniają do refleksji. Bo o swojej szkole i swoich nauczycielach można mówić (i pisać) w nieskończoność. A okazja zawsze się znajdzie - od dorocznej akademii z okazji Dnia Nauczyciela, po spotkanie absolwentów w kolejną rocznicę opuszczenia szkolnych murów.

Swoje szkolne wspomnienia można również spisać i opublikować, a tym samym trwale ocalić od zapomnienia, czego dowiodła **pani Alina Białczak**, emerytowana nauczycielka z Drążdżewa, w opracowaniu *Szkolnictwo w Bagienicach w latach 1925-1980*. Ciekawą treść ubogaca obszerna dokumentacja faktograficzna i fotograficzna. Jest to efekt żmudnej i czasochłonnej pracy. To stosy przewertowanych dokumentów, niezliczone wyjazdy, rozmowy, spotkania…

Autorka zgromadziła imponujący zbiór listów, wspomnień, zdjęć, dokumentów itp. archiwaliów. Ocaliła od zapomnienia szmat lokalnych dziejów. Bogate zbiory, wzbogacone autorską poezją, przybliżają czas miniony, a więc wydarzenia, ich autorów i bohaterów.

Pani Alina jest bardzo emocjonalnie związana ze swoją rodzinną miejscowością, co podkreśliła w wierszu pt. *Moje wspomnienia z Bagienic (Wieści 65)*. Oto fragment:

Wszystkie drogi dziś prowadzą do Bagienic -
od Drążdżewa, Krasnosielca i od Pienic.
Kiedyś piaski uciążliwe tutaj były,
teraz drogi w naszej gminie się zmieniły.
Po asfalcie jadą sobie limuzyny,
pieszo dzisiaj nikt nie chodzi już do gminy.

Doceniając imponujący wkład pracy pani Aliny Białczak w utrwalanie lokalnej historii włączyłem się z przyjemnością, podobnie jak przy Jej artykule pt. *Zatrzymać czas* (KZH 18), w prace redakcyjne (jak pisanie, skanowanie, etc.), co zaowocowało niniejszym artykułem.

Życzę przyjemnej lektury –

Tadeusz Kruk

Trudno jest dotrzeć do materiałów źródłowych mówiących w szerokim zakresie o sytuacji szkolnictwa w Bagienicach. Dokumenty w dużej mierze zostały zniszczone przez pożogę wojenną, przez wodę zalewającą piwnice archiwalne, przez pożary, a nawet przez zbyt małą troskę o dokumentację szkolną. Jedno jest pewne, że im bardziej cofniemy się w przeszłość - tym większy panował tu analfabetyzm oraz szeroko pojęta gwara środowiskowa. Używane były wyrazy, które dziś niejednych śmieszą i wprawiają w zakłopotanie, co mogły znaczyć? Spośród zebranych kilkuset takich wyrazów wybrałam niektóre. Przytoczę je bez wyjaśnienia ich znaczenia. Młode osoby mają okazję zapytać rodziców lub dziadków, co one znaczyły: ameryk, bujacka, faska, fawurek, fistuga, futer, glunek, jerc, kostur, kubeł, kulas, kum, kumle, letniak, na śtyrakach, obleka, pochlipajka, pociotak, przypołudniak, rejbaki, sacek, siabelak, skucka, sopuch, stecka, sychłać, ściunki, śtykolce, tygiel, ubzdurać, udziraj, ufurlić, unegdaj, wirzchunek, wychopieniek, wyrek, zabacuł, zafuzowane, załyżnik, zawdy, żelaźniak.

Wyrazy te są napisane fonetycznie, czyli poprawnie pod względem wymowy. Nie jest mi znana ich pisownia (ó czy u, ż czy rz, h czy ch, itp. oraz łączność lub rozdzielność), ponieważ w żadnym słowniczku ortograficznym nie występują. Dlatego nie należy doszukiwać się w nich błędów ortograficznych.

Z wypowiedzi ludzi starszych wiem, że używanie gwary ciągnęło się od czasów niepamiętnych. Gwara, poprzez wiek XIX i okres międzywojenny dotrwała aż do czasów powojennych. Gwary używali ludzie starsi, których poziom wykształcenia był bardzo niski lub zerowy. Początkowo dzieci (a i młodzież również) używały w mowie takich wyrazów, wszak młodzi wzrastali wśród dorosłych i słyszeli mowę swoich rodziców, dziadków i rodzeństwa.

Z biegiem rozwoju szkolnictwa, zwłaszcza podstawowego, gwara stopniowo zanikała, wypierana przez wyrazy, nazwijmy je poprawne używane w czytankach i wreszcie przez samego nauczyciela.

Dziś nie musimy używać starych wyrazów w codziennej mowie, ale miejmy obowiązek ocalenia ich od zapomnienia.

Ludzie przemieszczali się z regionu do regionu. Młodzi pobierali się, zakładali rodziny. Wraz z ich przemieszczaniem uzupełniały się naleciałości gwary. Gdyby nie zbierane materiały w postaci fotografii, dokumentów, a chociażby tak zebranych wyrazów - następne pokolenia nie miałyby możliwości poznania kultury i poznania życia w minionych latach. To

Adolf Gregorczyk (1902-1974), kierownik

dla potomnych niezła lekcja historii. Nie wstydźmy się dziś, że nasi rodzice, dziadkowie i pradziadkowie używali takiego słownictwa. Za to mniej w użyciu były słowa wulgarne, ordynarne, przekleństwa, bluźnierstwa, ponieważ tamte pokolenia z większym optymizmem i odpowiedzialnością podchodziły do życia

I chwała im za to!

W małych wioskach - dotyczy to i Bagienic - nie było mowy o nauczaniu masowym. Jako swój podpis ludzie - szczególnie starsi - stawiali krzyżyk (+), lub odcisk palca. Nie tak to znowu odległe czasy, skoro ja pamiętam to jako fakt. Z czasem podpis swój wyćwiczyli literka po literce - i tylko tyle umieli pisać, a czytać - w ogóle. Co światlejszy w rodzinie lub we wsi czytał na głos potrzebne teksty, reszta przyjmowała to na słuch. Jakże widoczne było pragnienie ludzi, by móc nauczyć się pisać i czytać. Jedni uczyli się od drugich. Liczyć potrafili według potrzeb, szczególnie pieniądze.

Na temat szkolnictwa w Bagienicach dotarłam do źródeł archiwalnych w Warszawie. Wyłuskałam dane statystyczne dotyczące Bagienic w roku szkolnym 1925/26, według stanu na dzień 1 grudnia 1925 r.: „Publiczna Szkoła Podstawowa w Bagienicach [gm. Krasnosielc, pow. makowski] mieściła się w jednej izbie wynajętej u rolnika. Powierzchnia tej izby wynosiła 28,5m^2. Uczył jeden nauczyciel 34 godziny tygodniowo, przez 6 dni w tygodniu. Do tej szkoły uczęszczało w tym czasie 45

POŚWIADCZENIE.

DRUH Adolf Gregorczyk

Urodzony w Pieniężach Wielkich dnia 7 kwietnia 1902 roku

JEST HARCERZEM

Wstąpił do Harcerstwa Polskiego dnia 18/XI 1918 r.

Złożył przyrzeczenie dnia 22/7 1919 roku

Numer krzyża

Komendant Okręgu K. O. Sekretarz Okręgu

Warszawa dn. 13. 6. 21 r.

(Miejscowość)

OPIS OSOBY:

Oczy

Włosy

Znaki szczególne

Podpis właściciela książki.

Gregorczyk Adolf

Karta urlopowa.

Po upływie urlopu ma powrócić do ... W miejscu pobytu melduje się chory w ...

do 30/9-1920 r. włącznie (w myśl dz. Roz. Wojsk. № 12. Rozkaz 435 r. 1919). Kartę urlopową należy przy zgłoszeniu się po powrocie do oddziału przedłożyć komendzie tegoż.

Warszawa, dnia 29 września 1920 r.

L. S.

Komendant szpitala

*) podać dokładny adres: wieś, miasto, powiat. W większych miastach podać ulicę i numer domu.

Druk T. Mieszkowskiego, Senatorska 17.

Adolf Gregorczyk - poświadczenie przynależności do harcerstwa oraz karta urlopowa z obozu jenieckiego.

Mackeim

A 06327

31. August 1948

Gregorczyk

Adolf

Lehrer

fehlen

fehlen

Schutzangehöriger (eingegliederte Ostgebiete)

Mackeim, den 1. September 1943

Der Landrat

1/ 817687

Uprawnia do przejazdów kolejami państwowymi według ulg taryfowych dla pracowników państwowych

(podpis posiadacza legitymacji)

Ważna na rok wystawienia 1972

Ważność legitymacji przedłużono na rok: 1973 r. 1974 r. 1975 r. 1976 r.

ZAKŁAD UBEZPIECZEŃ SPOŁECZNYCH

Legitymacja Nr

Gregorczyk (nazwisko)

Adolf (imię – imiona)

nauczyciel (tytuł służbowy)

W STANIE SPOCZYNKU

W-wa, dn. 23.X. 1972

m. p.

(podpis wystawcy)

CWD-Os-312

Adolf Gregorczyk - kenkarta (dowód tożsamości) oraz legitymacja ZUS.

uczniów. Wszyscy uczniowie zamieszkiwali w odległości od szkoły do 1 km". Wówczas nauczycielem był pan Adolf Gregorczyk, urodzony 7 kwietnia 1902 r. w Bagienicach. Pracę i dzieje życia pana Adolfa Gregorczyka przedstawię w dalszej części. Dokończę najpierw rozpoczęte dane statystyczne. Tak więc „w r. szk. 1930/31 w Bagienicach była szkoła podstawowa, jednoklasowa z dwoma kompletami uczniów".

Cały czas w Bagienicach - przez wszystkie lata - do 1980 roku nauka odbywała się w kla-

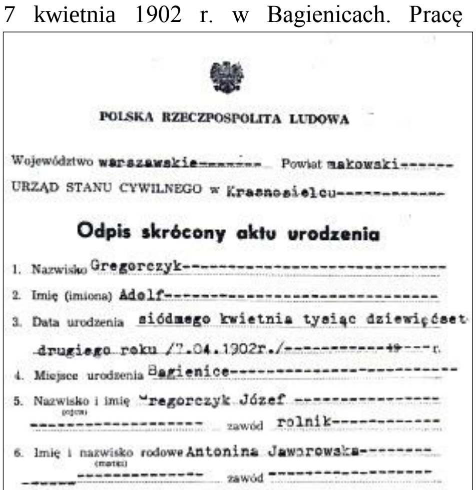

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA

Województwo warszawskie Powiat makowski

URZĄD STANU CYWILNEGO w Krasnosielcu

Odpis skrócony aktu urodzenia

1. Nazwisko Gregorczyk
2. Imię (imiona) Adolf
3. Data urodzenia siódmego kwietnia tysiąc dziewięćset drugiego roku /7.04.1902r./
4. Miejsce urodzenia Bagienice
5. Nazwisko i imię ojca Gregorczyk Józef zawód rolnik
6. Imię i nazwisko rodowe matki Antonina Jaworowska zawód

Poświadcza się zgodność powyższego odpisu z treścią aktu urodzenia Nr 113/1902

Krasnosielc dnia 11.07. 1974 r.

Z-ca KIEROWNIKA Urzędu Stanu Cywilnego

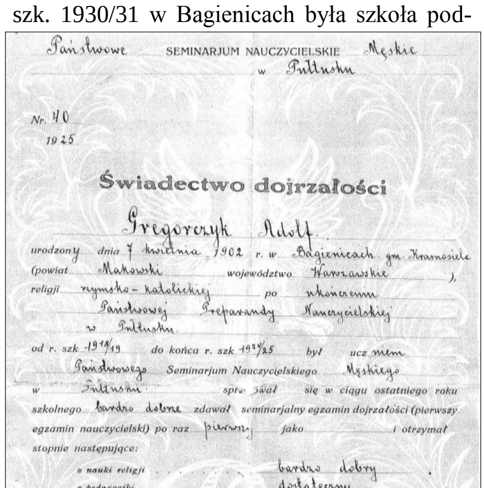

Państwowe SEMINARJUM NAUCZYCIELSKIE Męskie w Pułtusku

Nr. 40

1925

Świadectwo dojrzałości

Gregorczyk Adolf

urodzony dnia 7 kwietnia 1902 r. w Bagienicach gm. Krasnosiele (powiat Makowski województwo Warszawskie), religji rzymsko-katolickiej po ukończeniu Państwowej Preparandy Nauczycielskiej w Pułtusku

od r. szk. 1918/19 do końca r. szk 1924/25 był uczniem Państwowego Seminarjum Nauczycielskiego Męskiego w Pułtusku sprawował się w ciągu ostatniego roku szkolnego bardzo dobrze zdawał seminaryjny egzamin dojrzałości (pierwszy egzamin nauczycielski) po raz pierwszy jako ... i otrzymał stopnie następujące:

z nauki religji	bardzo dobry
z pedagogiki	dostateczny
z praktyki pedagogicznej	dostateczny
z języka polskiego	dostateczny
z języka niemieckiego	dostateczny
z języka	
z historji	dobry
z nauki o Polsce współczesnej	dobry
z geografji z kosmografją	dobry
z matematyki	dostateczny
z fizyki, chemji i mineralogji	dostateczny
z biologji	dostateczny
z higjeny	dobry
z rysunków	dobry

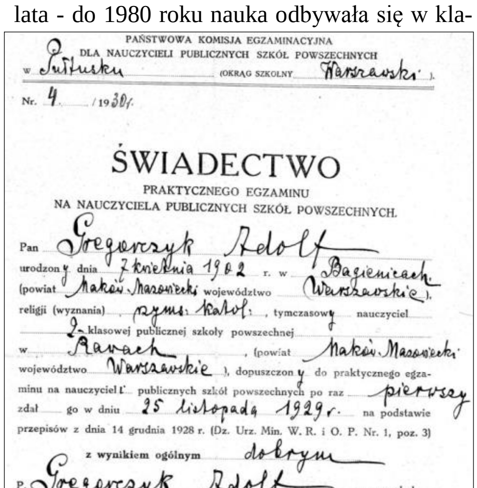

PAŃSTWOWA KOMISJA EGZAMINACYJNA DLA NAUCZYCIELI PUBLICZNYCH SZKÓŁ POWSZECHNYCH w Pułtusku (OKRĄG SZKOLNY Warszawski)

Nr. 4 /1930 r.

ŚWIADECTWO

PRAKTYCZNEGO EGZAMINU NA NAUCZYCIELA PUBLICZNYCH SZKÓŁ POWSZECHNYCH.

Pan Gregorczyk Adolf urodzony dnia 7 kwietnia 1902 r. w Bagienicach (powiat Maków Mazowiecki województwo Warszawskie), religji (wyznania) rzym. katol., tymczasowy nauczyciel 2-klasowej publicznej szkoły powszechnej w Rawach, (powiat Maków Mazowiecki województwo Warszawskie), dopuszczony do praktycznego egzaminu na nauczyciela publicznych szkół powszechnych po raz pierwszy zdał go w dniu 25 listopada 1929 r. na podstawie przepisów z dnia 14 grudnia 1928 r. (Dz. Urz. Min. W. R. i O. P. Nr. 1, poz. 3) z wynikiem ogólnym dobrym

P. Gregorczyk Adolf uzyskał tem samem kwalifikacje zawodowe do ustalenia w publicznych szkołach powszechnych w myśl art. 7 Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 6 marca 1928 r. (Dz. U. R. P. Nr. 28, poz. 258 i Nr. 53, poz. 512).

W Pułtusku, dnia 8 marca 1930 r.

EGZAMINATOROWIE: PREZES KOMISJI EGZAMINACYJNEJ INSPEKTOR SZKOLNY

Adolf Gregorczyk - odpis skrócony aktu urodzenia, świadectwo dojrzałości oraz świadectwo praktycznego egzaminu na nauczyciela publicznych szkół powszechnych .

Inspektor Szkolny
w Makowie
dn. 24 sierpnia 1925 r.
Nr. 1258
Nominacja.

Do Odpis
Pana Adolfa Gregorczyka
w Pienicach gm. Krasnosielc
pow. Maków

Na mocy art. 95 p.10 Przepisów Tymczasowych o szkołach elementarnych Dz. Urzęd. Nr. 1 z 1917 r. zatwierdzonych Ustawą z dn. 4 czerwca 1920 r. o tymczasowym ustroju władz szkolnych Dz. U.Rz.P Nr.50 z 1920 r. poz. 304. mianuję Pana ---- z dniem----1 września 1925 r. nauczycielem I-no klasowej publicznej szkoły powszechnej w Bagienicach gm. Krasnosielc z poborami według Ustawy z dn. 9 października 1923 r. o uposażeniu funkcjonarjuszów państwowych i wojska Dz. U. Rz.P Nr. 116 z 1923 r. poz. 924.

Celem objęcia obowiązków służbowych zgłosi się Pan do Dozoru szkolnego gm. Krasnosielc w Krasnosielcu

m. p. Inspektor Szkolny.
H Kaczorowski.

INSPEKTOR SZKOLNY
w MAKOWIE-MAZOW.
Nr. 1251

Maków-Mazow., dnia 12 sierpnia 1929 roku.

Do
Pana Adolfa Gregorczyka,
nauczyciela 2 klas.publ.szkoły powszechnej
w R A W A C H.

Powierzam Panu pełnienie obowiązków kierownika 2 klasowej szkoły powszechnej w Rawach, gm. Sypniewo, od dnia 1 września 1929 ro
Niniejsze zarządzenie może być cofnięte każdej chwili.

Inspektor Szkolny

Adolf Gregorczyk - nominacja na nauczyciela szkoły w Bagienicach oraz nominacja na nauczyciela szkoły w Rawach

sach łączonych: od godz. 8.00 - kl. III z kl. IV, potem kl. I z kl. II. Pracował jeden nauczyciel 34 godz. tygodniowo przez 6 dni w tygodniu, w jednej izbie lekcyjnej o powierzchni 20 m^2. Do tej szkoły uczęszczało 59 uczniów.

Źródło: *Marian Falski - Materiały do projektu sieci szkół w powiecie, Warszawa 1925 r., s. 135".*

Różne dane są także w *Atlasie sieci szkół* tegoż autora na różnych stronach.
Marian Falski, Szkoły Rzeczypospolitej Polski w r. szk. 1930/ 31, s. 157-158.

Do 1936 r. szkoły jednoizbowe mieściły się kolejno: u państwa Mossakowskich, Ostaszewskich, Królikowskich i Ferenców. W takiej izbie-klasie były 2-osobowe ławki drewniane, tablica stojąca, kreda, ścierka lub… królicza łapka do wycierania tablicy, mapa Polski, szafa na podręczne przybory oraz stół i krzesło dla nauczyciela. Z boku stał piec, który ogrzewał pomieszczenie. Do 1939 roku uczyli tu kolejno panowie: Adolf Gregorczyk, Michał Krywiak i Stanisław Tabaka.

Pan **Adolf Gregorczyk** urodził się 7 kwietnia 1902 r. w Bagienicach.

W 1918 r. wstąpił do Harcerstwa Polskiego.

Następny dokument to karta urlopowa, która świadczy o tym, że już w 1920 roku, a więc jako osiemnastolatek przebywał w obozie dla jeńców w Rembertowie i otrzymał 21 dni urlopu w celu poratowania zdrowia.

Jako młodzieniec miał z pewnością inne marzenia: uczyć się, zdobyć zawód, rozpocząć pracę, założyć rodzinę i realizować swoje plany życiowe. 20 czerwca 1925 r. otrzymał Świadectwo dojrzałości ukończonego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego w Pułtusku

Ten dokument dał panu Gregorczykowi uprawnienie do pracy z dniem 1 września 1925 r. w jednoklasowej Publicznej Szkole Powszechnej w Bagienicach. W tej placówce pracował w latach 1925-1929.

Z dniem 1 września 1925 r. wstąpił do Związku Nauczycielstwa Polskiego. Następnie, od 1 września 1929 r., przeniósł się do szkoły powszechnej w Rawach, gm. Sypniewo. W międzyczasie, 8 marca 1930 r., uzyskał Świadectwo praktycznego egzaminu na nauczyciela publicznych szkół powszechnych.

miejsce na fotografję

Związek Nauczycielstwa Polskiego w Krasnosielcu.

Własnoręczny podpis właściciela legitymacji

ZWIĄZEK NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA
№ 1388

Zarząd Główny Z. N. P. niniejszem stwierdza, iż
p. Adolf Gregorczyk
jest członkiem Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Sekretarz ZARZĄD GŁÓWNY Prezes

Warszawa, dnia 31. maja 1933 r.

Przebieg przynależności organizacyjnej

Wstąpił do Związku dnia 1 września 1925 r., jako członek Ogniska w Krasnosielcu

Zmiany w przynależności organizacyjnej:

1. W okresie od dnia ... 19 ... r. do dnia ... 19 ... r. był członkiem Ogniska w ...
2. W okresie od dnia ... 19 ... r. do dnia ... 19 ... r. był członkiem Ogniska w ...
3. W okresie od dnia ... 19 ... r. do dnia ... 19 ... r. był członkiem Ogniska w ...
4. W okresie od dnia ... 19 ... r. do dnia ... 19 ... r. był członkiem Ogniska w ...

do dnia 31-go grudnia 1932 roku.

5. W okresie od dnia ...

(podpis właściciela legitymacji)

Zarząd Ogniska (Oddziału) Z. N. P. w Krasnosielcu niniejszem stwierdza, iż od dnia 1 września 1925 do dnia 31-go grudnia 1932 r. należał do Związku i uiścił obowiązujące wkładki członkowskie.

Zarząd:
Sekretarz (pieczęć) Przewodniczący
dnia 6/IV 1933 r.

Strona tytułowa legitymacji harcerskiej

Adolf Gregorczyk - przynależność do ZNP.

INSPEKTOR SZKOLNY
w MAKOWIE-MAZOW.
Nr. 457.
Dekret ustalenia.

Maków-Mazow., dnia 18 marca 1930 r.

Do
Pana Adolfa Gregorczyka,
nauczyciela publicznej szkoły powszechnej
w R A W A C H.

Stwierdzam, iż na podstawie ustępu drugiego art. 6 ustawy z dnia 1 lipca 1926 r. o stosunkach służbowych nauczycieli w brzmieniu rozporządzenia z dnia 3 lutego 19.. roku (Dz.U.R.P. Nr.47, poz.402) z dniem 16 grudnia 1929. stał się Pan stałym nauczycielem publicznych szkół powszechnych.

INSPEKTOR SZKOLNY W MAKOWIE-MAZ.

Inspektor Szkolny

Data złożenia przysięgi służbowej.
Dnia 1 kwietnia 1930 roku.

Adolf Gregorczyk - stałym nauczycielem szkół publicznych.

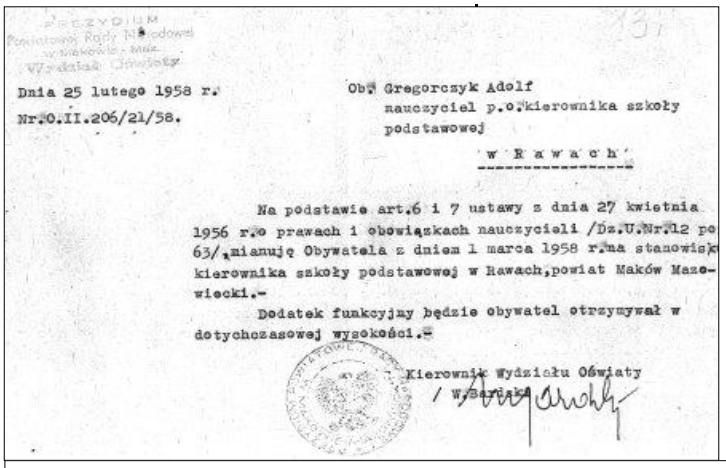

Dnia 25 lutego 1958 r.
Nr.O.II.206/21/58.

Obyw. Gregorczyk Adolf
nauczyciel p.o.kierownika szkoły
podstawowej
w R a w a c h

Na podstawie art.6 i 7 ustawy z dnia 27 kwietnia 1956 r.o prawach i obowiązkach nauczycieli /Dz.U.Nr.12 po 63/, mianuję Obywatela z dniem 1 marca 1958 r.na stanowisk kierownika szkoły podstawowej w Rawach,powiat Maków Mazowiecki.-

Dodatek funkcyjny będzie obywatel otrzymywał w dotychczasowej wysokości.-

Kierownik Wydziału Oświaty
/ W.Sarlak /

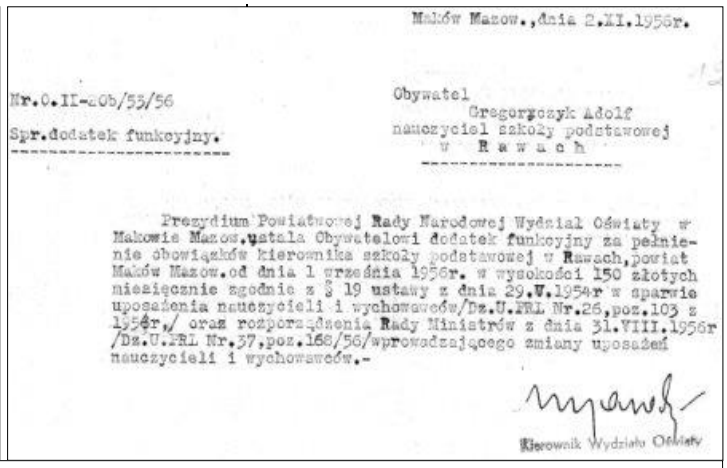

Maków Mazow.,dnia 2.XI.1956r.

Nr.O.II-2Ob/55/56
Spr.dodatek funkcyjny.

Obywatel
Gregorczyk Adolf
nauczyciel szkoły podstawowej
w R a w a c h

Prezydium Powiatowej Rady Narodowej Wydział Oświaty w Makowie Mazow.ustala Obywatelowi dodatek funkcyjny za pełnienie obowiązków kierownika szkoły podstawowej w Rawach,powiat Maków Mazow.od dnia 1 września 1956r. w wysokości 150 złotych miesięcznie zgodnie z § 19 ustawy z dnia 29.V.1954r w sprawie uposażenia nauczycieli i wychowawców/Dz.U.PRL Nr.26,poz.103 z 1954r./ oraz rozporządzenia Rady Ministrów z dnia 31.VIII.1956r /Dz.U.PRL Nr.37,poz.168/56/wprowadzającego zmiany uposażeń nauczycieli i wychowawców.-

Kierownik Wydziału Oświaty

Adolf Gregorczyk - kierownictwo szkoły w Rawach oraz dodatek funkcyjny.

Powyższe świadectwo dawało mu, z dniem 15 grudnia 1929 r., status stałego nauczyciela szkół powszechnych.

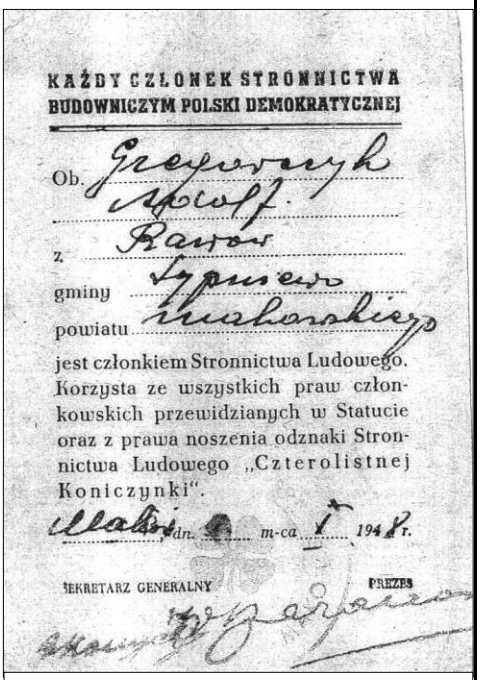

KAŻDY CZŁONEK STRONNICTWA BUDOWNICZYM POLSKI DEMOKRATYCZNEJ

Ob. Gregorczyk Adolf
z Rawy
gminy Tyszowce
powiatu Hrubieszów

jest członkiem Stronnictwa Ludowego. Korzysta ze wszystkich praw członkowskich przewidzianych w Statucie oraz z prawa noszenia odznaki Stronnictwa Ludowego „Czterolistnej Koniczynki".

Ulaki dn. 9 m-ca 1 1948 r.

SEKRETARZ GENERALNY — PREZES

Adolf Gregorczyk - przynależność do Stronnictwa Ludowego

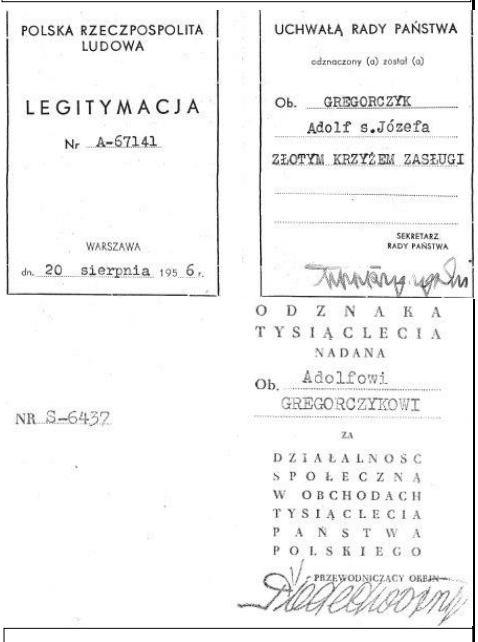

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA

LEGITYMACJA

Nr A-67141

WARSZAWA
dn. 20 sierpnia 1956 r.

UCHWAŁĄ RADY PAŃSTWA
odznaczony (a) został (a)
Ob. GREGORCZYK
Adolf s.Józefa
ZŁOTYM KRZYŻEM ZASŁUGI

SEKRETARZ RADY PAŃSTWA

O D Z N A K A
T Y S I Ą C L E C I A
N A D A N A
Ob. Adolfowi
GREGORCZYKOWI
ZA
D Z I A Ł A L N O S C
S P O Ł E C Z N Ą
W O B C H O D A C H
T Y S I Ą C L E C I A
P A Ń S T W A
P O L S K I E G O

NR S-6437

PRZEWODNICZĄCY OKRĘ...

Adolf Gregorczyk - Złoty Krzyż Zasługi i Odznaka Tysiąclecia.

Z dokumentów wojennych Adolfa Gregorczyka zachowała się kenkarta (dowód tożsamości) wystawiona przez władze niemieckie 1 września 1943 r.

W styczniu 1948 r. został członkiem Stronnictwa Ludowego.

20 sierpnia 1956 r. Adolf Gregorczyk uchwałą Rady Państwa został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi za pracę zawodową i działalność społeczną. Otrzymał również Odznakę 1000-lecia Państwa Polskiego.

Ze szkołą w Rawach był związany od 1 września 1929 r. Kierował tą placówką także po wojnie, co potwierdzają dokumenty z lat 50. XX w. o powołaniu go na stanowisko kierownika i o dodatku funkcyjnym.

Ostatni dokument, jaki się zachował, to legitymacja ZUS na przejazdy kolejowe. Adolf Gregorczyk zmarł 27 lipca 1974 r.

Pan **Michał Krywiak** był nauczycielem Publicznej Szkoły Powszechnej w Bagienicach w latach 1932-1936. Mieszkał w tym czasie u państwa Bronisławy i Aleksandra Ferenców. Szkoła mieściła się u państwa Maluchników. Pana Krywiaka, jako swojego nauczyciela i wychowawcę, miło wspomina Stanisław Ferenc. Pan Stanisław pamięta, gdy był jeszcze dzieckiem w wieku 6 lat, rozebrał na części panu Krywiakowi małe radio na kryształek. Dociekliwy Staś chciał zobaczyć tych panów, co tak ładnie grają i śpiewają. No i stało się. Pan Krywiak wrócił z pracy do domu i zastał Stasia przy częściach swojego radia. Nawet się nie zdenerwował i nie nakrzyczał na małego ciekawskiego chłopca. Wziął go na kolana i razem złożyli części w całość. Radio znów rozbrzmiewało muzyką, piosenką i słowami. Upomniał jedynie Stasia, żeby więcej tak nie robił, bo nic nie będzie słychać. Wszystko więc dobrze się skończyło. Pozostało tylko wspomnienie i nauczka dla Stasia.

Nie posiadam ani fotografii, ani żadnego dokumentu, które by mogły przybliżyć dzieje życia pana Krywiaka. W Internecie jest wzmianka, że Michael Krywiak wyjechał do USA. Ale nie wiadomo, czy dotyczy to tej, właśnie, osoby… Ponadto dodam, że pan Krywiak nie był bezpośrednim następcą pana Gregorczyka. Pracę obu pedagogów dzieli okres 1929-1932. Jednak, pomimo usilnych starań, nie udało mi się ustalić, kto przez te trzy lata prowadził szkołę w Bagienicach.

Od lewej: Krystyna Ferenc, Anna Stańczak, Bronisława Ferenc, Danuta Ferenc, Bagienice, lata 50. XX w.

Pan **Stanisław Tabaka** urodził się 1 października 1911 r. w Borbeck, w Niemczech. Posiadał obywatelstwo polskie, co poświadcza dokument z 1936 r.

Był nauczycielem jednoklasowej Szkoły Podstawowej w Bagienicach w latach 1936 - 1939 w nowo pobudowanym budynku szkolnym. Do pracy dojeżdżał rowerem, 4 km w jedną stronę. Następnie był nauczycielem Szkoły Podstawowej w Różanie, potem w Krasnosielcu. 5 lipca 1937 roku zawarł w Krasnosielcu związek małżeński z Zofią Kołakowską.

Życiorys pana Stanisława Tabaki jest bogaty, a dokumenty potwierdzają poniewierkę, ból i cierpienie daleko od rodziny. Wiele dokumentów przez okres wojny zaginęło, wiele jednak przetrwało i mówią one same za siebie. Stanisław Tabaka przebywał w obozie koncentracyjnym w Dachau, Mauthausen i Linz jako więzień polityczny i zawsze z odpowiednim numerem. Z obozu pisywał listy do żony, do rodziny. Zawsze na odpowiednim formacie papieru, tylko po niemiecku, tylko dużymi literami, tylko dobre wieści. Z pewnością trudno było pogodzić własne odczucie z tym, co można rodzinie przekazać. Oto przykład takiego listu: O pobycie pana Stanisława Tabaki w obozach koncentracyjnych świadczy również poniższy dokument: Zaś dokument z datą 25 czerwca 1945 r. stwierdza, że pan Tabaka przebywał w szpitalu Over Camp ze stwierdzeniem - jest zdrowy, bez infekcji.

Stanisław Tabaka (1911-1958).

Inne dokumenty są potwierdzeniem, że pan Tabaka przybył do Polski z terytorium Austrii, ale już z ciężką chorobą płuc, z obciążeniem utraconego zdrowia i rozłąki z rodziną przez cały okres wojny.

W 1945 r. otrzymał przepustkę na przyjazd do Krasnosielca

Stęskniona żona, z dwojgiem małych dzieci, znalazła się w bardzo trudnych warunkach. Niejednokrotnie zwracała się do odnośnych władz o jakąkolwiek możliwą pomoc: o uwolnienie męża - ojca małych dzieci, o przepustki na przyjazd do rodziny, o pracę na miejscu, w Krasnosielcu, w charakterze nauczycielki.

Od 2 grudnia 1947 r. do 3 stycznia 1948 r. Stanisław Tabaka z ciężką chorobą przebywał na leczeniu w szpitalu w Warszawie.

W 1948 r. jako nauczyciel szkoły podstawowej w Krasnosielcu złożył podanie o urlop zdrowotny, płatny, by móc utrzymać rodzinę.

I tak, ze straconym zdrowiem, zaliczając kolejne pobyty w szpitalach, będąc na urlopach zdrowotnych i zwolnieniach lekarskich, obciążony ciężką drogą życiową, zmarł w rodzinnym Krasnosielcu 16 sierpnia 1958 r.

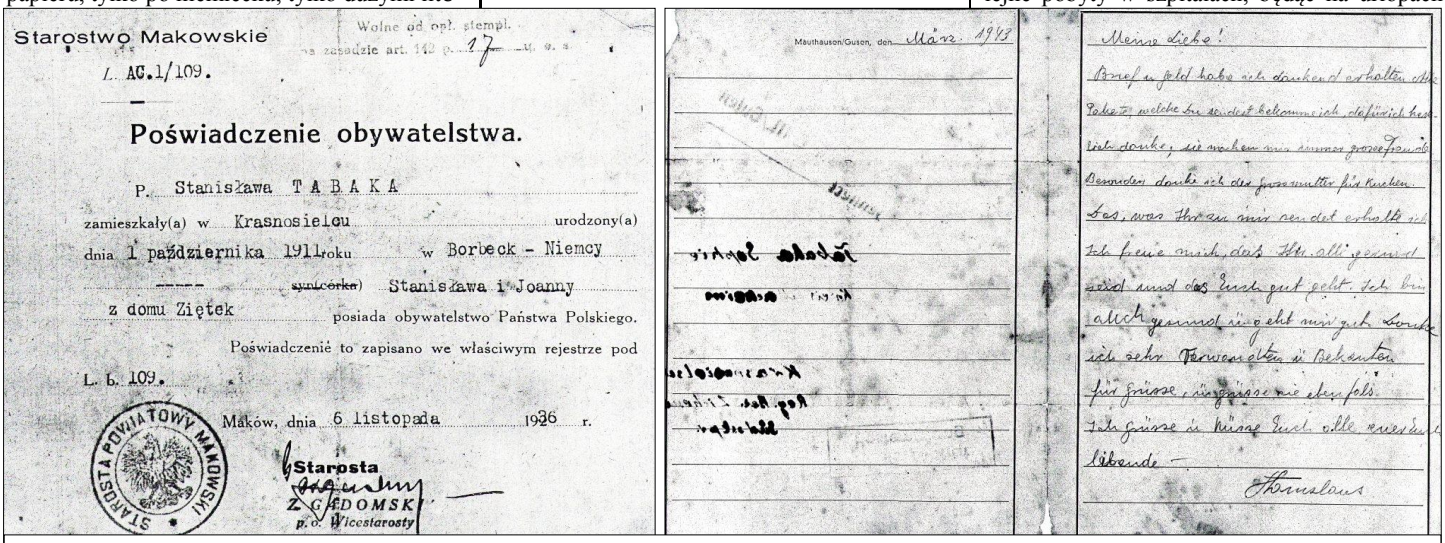

Starostwo Makowskie

L. AC.1/109.

Poświadczenie obywatelstwa.

P. Stanisława TABAKA

zamieszkały(a) w Krasnosielcu urodzony(a)

dnia 1 października 1911 roku w Borbeck - Niemcy

(syn/córka) Stanisława i Joanny

z domu Ziętek posiada obywatelstwo Państwa Polskiego.

Poświadczenie to zapisano we właściwym rejestrze pod L. b. 109.

Maków, dnia 6 listopada 1936 r.

STAROSTA POWIATOWY MAKOWSKI

Starosta

Z. GRODOMSKI

p.o. Wicestarosty

Mauthausen/Gusen, den März 1943

Meine Liebe!

Brief u. Geld habe ich dankend erhalten ...

Stanisław Tabaka - poświadczenie obywatelstwa oraz list z obozu Mauthausen-Gusen, marzec 1943

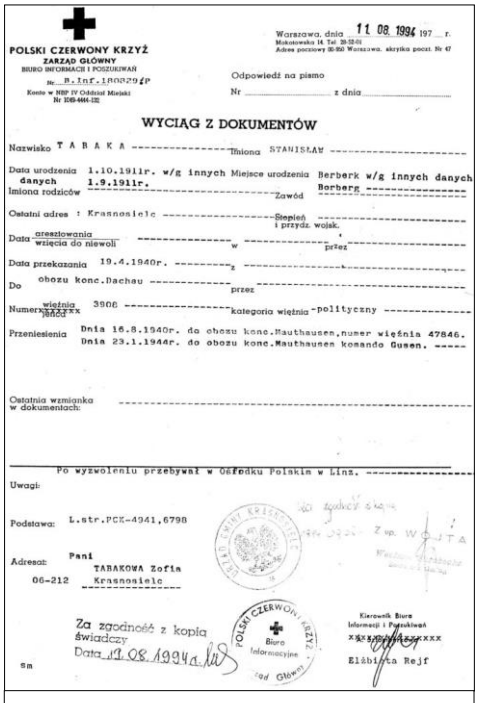

POLSKI CZERWONY KRZYŻ

ZARZĄD GŁÓWNY

BIURO INFORMACJI I POSZUKIWAŃ

Warszawa, dnia 11 08 1994 197 r.

Odpowiedź na pismo Nr ... z dnia ...

WYCIĄG Z DOKUMENTÓW

Nazwisko TABAKA Imiona STANISŁAW

Data urodzenia danych 1.10.1911r. w/g innych 1.9.1911r. Miejsce urodzenia Berbark w/g innych danych Borberg

Imiona rodziców ... Zawód ...

Ostatni adres : Krasnosielc Stopień i przyd. wojsk. ...

Data aresztowania wzięcia do niewoli ... w ... przez ...

Data przekazania 19.4.1940r. z ...

Do obozu konc.Dachau przez ...

Numer więźnia 3906 kategoria więźnia -polityczny

Przeniesienia Dnia 16.8.1940r. do obozu konc.Mauthausen,numer więźnia 47846. Dnia 23.1.1944r. do obozu konc.Mauthausen komando Gusen.

Ostatnia wzmianka w dokumentach: ...

Po wyzwoleniu przebywał w Ośrodku Polskim w Linz.

Uwagi:

Podstawa: L.str.PCK-4941,6798

Adresat: Pani TABAKOWA Zofia 06-212 Krasnosielc

Za zgodność z kopią świadczy Data 19.08.1994 r.

Elżbieta Rejf

Stanisław Tabaka - potwierdzenie pobytu w obozie

Stanisław Tabaka (drugi od lewej) w kilka tygodni po wyzwoleniu obozu Mauthausen-Gusen, późna wiosna 1945.

Rzeczpospolita Polska
Ministerstwo Administracji
Państwowy Urząd Repatriacyjny
Punkt Przyjęcia
w Dziedzicach

Wzór Nr. 4
(wydaje się kobietom, dzieciom i mężczyznom powyżej lat 50)

Przepustka Nr. 02182

Wydana ob. Tabaka Stanisław s. Stanisł.
Borbek 1 X 1911
(nazwisko, imię, imię ojca)
(data i miejsce urodzenia)
przybywającemu (cj) z terytorium Austrii
Ob. Tabaka przeszedł przez Punkt Odbiorczy
w Dziedzicach dnia „ 6.7 1945 r.
i udaje się do swojego miejsca zamieszkania w
Krasnosielce pow. Makow. Maz.
(dokładny adres)

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia 5-V-45r. wyżej wymieniony (a) ma pierwszeństwo i prawo jednorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkiemi środkami lokomocji do Krasnosielca.

Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej idącej pomocy okazicielowi (ce) niniejszego.

Kierownik Punktu Odbiorczego
Dziedzicach

Wydano dnia „ 6.7 w
Ważne do dnia 20.7 45r.

250 000 – VI. 45. – Druk. Min. Bezp. Publ. w Łodzi

RZECZPOSPOLITA POLSKA
Ministerstwo Administracji
Państwowy Urząd Repatriacyjny
Punkt Przyjęcia
w Dziedzicach

Wzór Nr. 3
(dla mężczyzn w wieku od lat 16 do 50)

Zaświadczenie Nr. 02182

Zaświadcza się niniejszym, że ob. Tabaka Stanisław
Borbek 1911 (nazwisko, imię, imię ojca)
(rok i miejsce urodzenia) i Stanisława
przybył do Polski z terytorium Austrii
i dnia „ 6.7 1945 r. zarejestrował się na Punkcie
Przyjęcia w Dziedzicach
Obecnie udaje się do Krasnosielca p. Maków Maz
(dokładny adres)

Na podstawie zarządzenia Rady Ministrów z dnia 5.V.45r.
ob. Tabaka ma pierwszeństwo i prawo
jednorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkiemi środkami lokomocji do
Krasnosielca

Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej idącej pomocy okazicielowi niniejszego.

UWAGA:
Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zameldować się Milicji Obywatelskiej w terminie do 14 dni od daty wystawienia zaświadczenia do 3 dni po przybyciu na miejsce zamieszkania. W upływie terminu ważności, zaświadczenie winno być wymienione w miejscu stałego pobytu – na dowód tożsamości.

Kierownik Punktu Przyjęcia
w Dziedzicach

Wydano d. 6.7 45 r.
Ważne do dnia 20.7 45r

250 000 – VI. 45. – Druk. Min. Bezp. Publ. w Łodzi

Stanisław Tabaka - zaświadczenie o powrocie z Austrii do Polski oraz przepustka

Tabaka Stanisław
nauczyciel stały podst. szkoły
w Krasnosielcu
pow. Maków-Maz.

Krasnosielc, dn. 7. XII. 1948 r.

Podanie o urlop.

Do
Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego
w Warszawie

W roku 1945 powróciłem z obozu koncentracyjnego gdzie przebywałem przez cały okres wojny i mimo wycieńczenia fizycznego przystąpiłem natychmiast do pracy w swoim zawodzie, mając na względzie brak nauczycieli w szkolnictwie. Po ciężkiej pracy, wskutek ciężkich warunków materialnych i pracy szkolnej zapadłem na gruźlicę lewego płuca. Choroba została odkryta w samych początkach i w grudniu 1946 r. zmuszony byłem poddać się leczeniu klinicznemu w Warszawie, gdzie do leczenia zastosowano zabiegi (pneumotorax). Wynikiem tego zastąpił wysięk opłucnej, co spowodowało, że 11 miesięcy przebywałem w szpitalu. Urlopu na ten czas udzielał mi Ob. Inspektor szkolny. Urlop ten zostanie wyczerpany z dniem 31. XII 48 r., a w myśl zaleceń lekarza powinienem chodzić do 30. IV. 1949 r. przebywać na leczeniu, celem zupełnego zabezpieczenia płuca.
Obecnie przebywam w domu i pozostaję pod obserwacją lekarską.
Wobec tego, że Ob. Inspektor szkolny nie może przedłużyć mi urlopu na dalszy okres leczenia, proszę prosz. Kuratorium Okr. Szk. o udzielenie mi urlopu płatnego na podstawie zaświadczenia lekarskiego. Nadmieniam, że z okresu czasu przemawianego w załączonym zaświadczeniu lekarskim na leczenie, na wstępie i grudzień 1948 r. otrzymałem urlop płatny od Ob. Inspektora Szkol. Wyrażam się, że Kuratorium Okr. Szk. przychylnie ustosunkuje się do mojej prośby i udzieli mi płatnego urlopu na czas od 1.I.1949 r. do 30.IV.1949.
Zwracam się z prośbą o płatny urlop, ponieważ gdybym takiego nie otrzymał, zostałbym pozbawiony warunków utrzymania siebie i rodziny.
Załączam zaświadczenie lekarskie.

Inspektor Oświaty
pow. Makowskiego
L. dz. 3230/48
20. XII

Stan Tabaka

Kierownictwo
Koły Powszechnej
w KRASNOSIELCU
75/48

Krasnosielc, 10. XII. 1948 r.

Do
Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego
w Warszawie

Przesyłam podanie ob. Tabaki Stanisława o dalszego urlopowania.

Kobakowska
p.o. Kierownik Szkoły

Stanisław Tabaka - podanie o urlop zdrowotny, 1948.

Odpis

Godło państwowe RZECZPOSPOLITA POLSKA Województwo Warszawskie-----
Powiat Makowski URZAD STANU CYWILNEGO w Krasnosielcu Nr.29/1937---
WYCIAG AKTU MAŁŻENSTWA Zaświadczam, że Stanisław Tabaka i Zofia---
Kołakowska zawarli związek małżeński w dniu piątego lipca tysiąc--
dziewięćset trzydziestego siódmego /5-VII.1937 roku w parafii-----
Św.Krzyża w Warszawie Krasnosielc, dnia 18 lipca 1950 r.w/z -----
Urzędnik Stanu Cywilnego: Podpis Z.Szczepański. Pieczęć okrągła---
z godłem państwowym i napisem URZAD STANU CYWILNEGO W KRASNOSIELCU

Zgodność odpisu z oryginałem stwierdzam:

Dyrektor Szkoły

Stanisław Tabaka - wyciąg z aktu małżeństwa.

Over Camp Hospital Linz 25. 6. 1945.

The bearer of this permission Tabaka Stanisław
born 1. 10. 1911 in Borbek has been
examinel in our hospital. He is healthy and without ony infectious
illnesses.

The Chiefdoctor.

Stanisław Tabaka - zaświadczenie ze szpitala Over Camp

Nr kartoteki głównej 43/48

SZPITAL

KARTA WYPISOWA

Ob. Tabaka Stanisław

przebywał na kuracji w szpitalu od dn. 2. XII 1947 r.

do dn. 3. I 1948 r.

Warszawa, dn. 3. I 1948 r.

Kierownik kancelarii

85.000 14.IV.47—95—Nr 53

Stanisław Tabaka - wypis ze szpitala, 1948.

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
Województwo Warszawskie
Powiat Makow-Maz
URZĄD STANU CYWILNEGO
w Krasnosielcu
Nr 22/1958

personalnych

Wyciąg z aktu zgonu

Zaświadczam, że Stanisław Tabaka
urodzony dnia pierwszego października 1911 roku
zmarł w dniu szesnastego sierpnia
tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku (16 VIII 1958 roku)
w Krasnosielcu
Stan cywilny zmarłego żonaty

Krasnosielc, dnia 19 lutego 1960 r.

Kierownik Urzędu Stanu Cywilnego

MSW-M-14 — CWD — zam. 1905/S/Łź — 1569 — Łak — 21.4.58 — 250.000 — Pap piśm. kl. IV A1/80 g

Stanisław Tabaka - wyciąg z aktu zgonu

Krasnosielc

Do
Pana Inspektora Szkolnego
Rej. Makow.
w Przasnyszu.

Podanie.

Przedkładając w załączeniu życiorys, zaświadczenie moralności, świadectwo zdrowia, zaświadczenie kolne i metrykę urodzenia, upraszam uprzejmie o nadanie mi tymczasowej posady nauczycielskiej w Krasnosielcu.

Podanie swe uzasadniam następującymi faktami:

1. mam na utrzymaniu dwoje nieletnich dzieci,
2. chorobą ojca, trwającą od roku,
3. rodzice moi mieszkają we własnym domu w Krasnosielcu
4. mąż mój Stanisław Tabaka, pracował jako nauczyciel w 1-klasowej Publicznej Szkole Powsz. w Bagienicach, gm. Krasnosielc, a obecnie znajduje się w obozie koncentracyjnym w Gissen od 8.I. 1940 roku.

Na podstawie wyżej wymienionych faktów, chciałabym pracować w Krasnosielcu i dlatego proszę o przychylne załatwienie mego podania.

Zofia Tabakowa.

Zofia Tabaka - podanie o pracę.

Stanisław Tabaka z żoną Zofią przed swoim domem w Krasnosielcu.

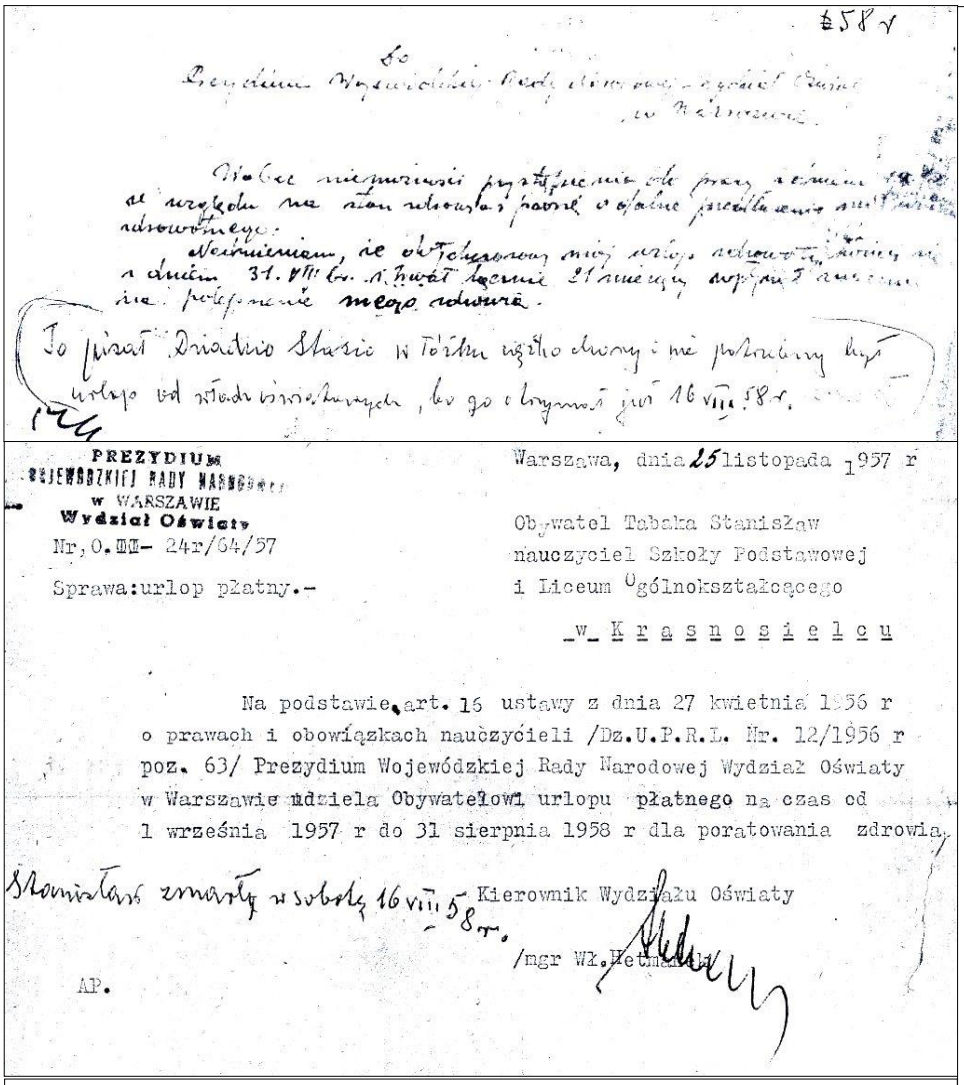

Do Prezydium
Wojewódzkiej Rady Narodowej
- Wydział Oświaty w Warszawie

Wobec niemożności przystąpienia do pracy z dniem 1 IX 1958 r. ze względu na stan zdrowia proszę o dalsze przedłużenie mi urlopu zdrowotnego.

Nadmieniam, że dotychczasowy mój urlop zdrowotny kończy się z dniem 31 VIII br. i trwał łącznie 21 miesięcy, wpłynął znacznie na polepszenie mego zdrowia".

To pisał Dziadzio Stasio w łóżku ciężko chory i nie potrzebny był urlop od władz oświatowych, bo go otrzymał już 16 VIII 58 r. Zmarł.

PREZYDIUM
WOJEWÓDZKIEJ RADY NARODOWEJ
w WARSZAWIE
Wydział Oświaty
Nr, O. III- 24r/64/57
Sprawa: urlop płatny.-

Warszawa, dnia 25 listopada 1957 r

Obywatel Tabaka Stanisław
nauczyciel Szkoły Podstawowej
i Liceum Ogólnokształcącego
w Krasnosielcu

Na podstawie art. 15 ustawy z dnia 27 kwietnia 1956 r o prawach i obowiązkach nauczycieli /Dz.U.P.R.L. Nr. 12/1956 r poz. 63/ Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej Wydział Oświaty w Warszawie udziela Obywatelowi urlopu płatnego na czas od 1 września 1957 r do 31 sierpnia 1958 r dla poratowania zdrowia.

Kierownik Wydziału Oświaty
/mgr Wł. Wetmański/

AP.

Stanisław zmarły w sobotę 16 VIII 58 r.

Stanisław Tabaka - zgoda na urlop zdrowotny.

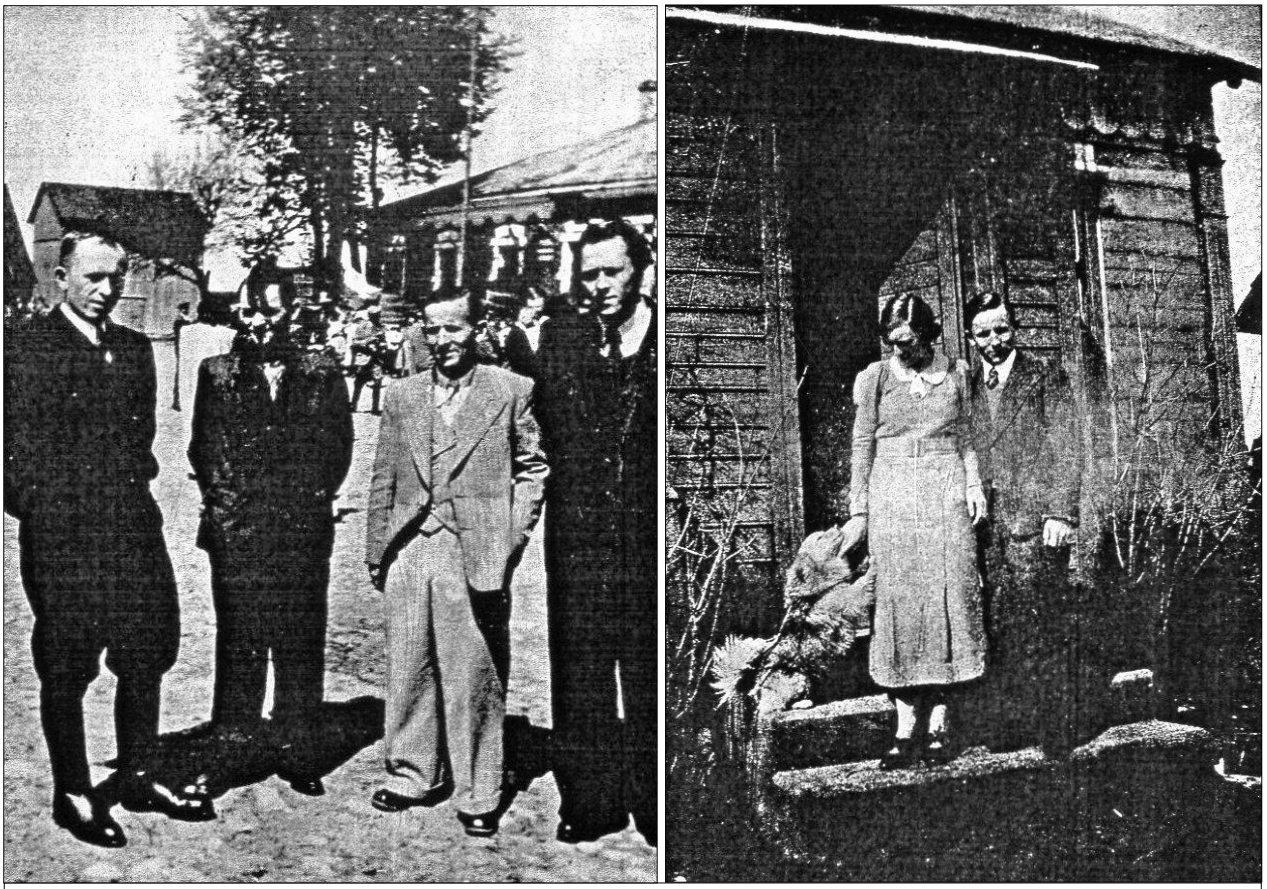

Stanisław Tabaka (trzeci od lewej), koniec lat 30. XX w. Obok Stanisław Tabaka z żoną i pieskiem.

Od góry:
1. Aleksander Ferenc (w środku), sekretarz Gromadzkiej Rady Narodowej w Krasnosielcu, inicjator budowy szkoły w Bagienicach.
2. Szkoła w Bagienicach w latach 50. XX w.
3. Alina Białczak z d. Piotrowska przed opuszczonym budynkiem swojej byłej podstawówki.
4. Budynek byłej szkoły w Bagienicach - stan obecny, 2 sierpnia 2014 r.

ZAŚWIADCZENIE SZKOLNE

Piotrowski Roman
(nazwisko i imię)

urodzony dnia 26 lipca 1938 r. w Bagienicach
gminy Krasnosielc, powiatu makowskiego,
uczeń klasy pierwszej w roku szkolnym 1945/46
przechodzi do klasy drugiej.

Publiczna Szkoła Powszechna
Nr — im. —
w Bagienicach powiat makowskiego.
dnia 28 czerwca 1946 r.

Nr 15

pieczęć

J. Stępowska
Opiekun klasy

J. Stępowska
Kierownik szkoły

P 1
PZWS 40/1430

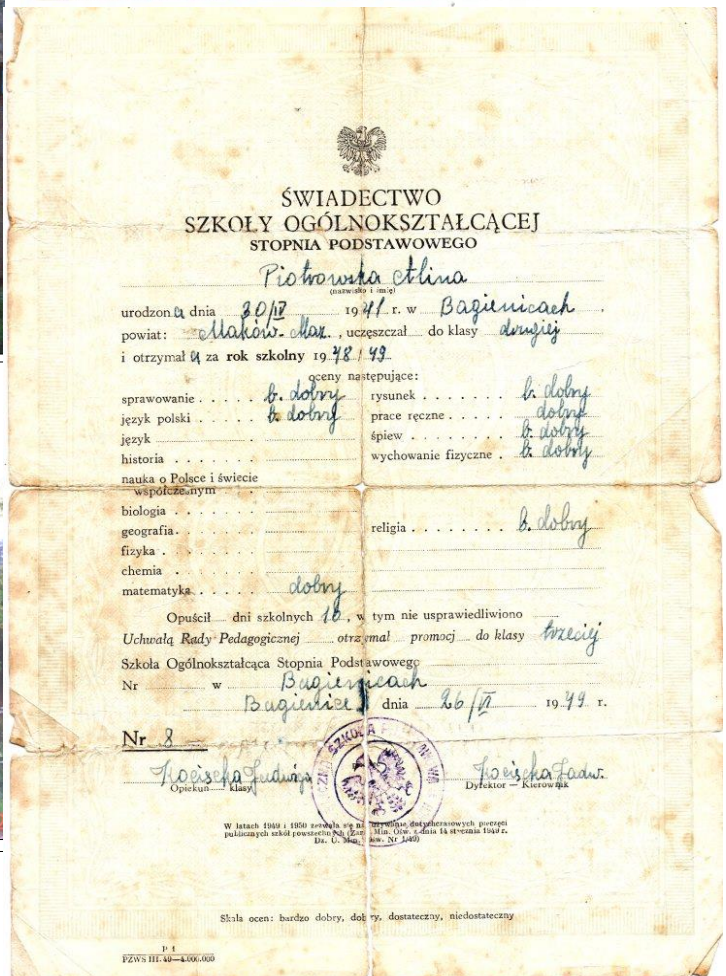

ŚWIADECTWO
SZKOŁY OGÓLNOKSZTAŁCĄCEJ
STOPNIA PODSTAWOWEGO

Piotrowska Alina
(nazwisko i imię)

urodzona dnia 30/IV 1941 r. w Bagienicach
powiat: Maków-Maz., uczęszczał do klasy drugiej
i otrzymał za rok szkolny 1948/49
oceny następujące:

sprawowanie	b. dobry	rysunek	b. dobry
język polski	b. dobry	prace ręczne	dobry
język		śpiew	b. dobry
historia		wychowanie fizyczne	b. dobry
nauka o Polsce i świecie współczesnym			
biologia			
geografia		religia	b. dobry
fizyka			
chemia			
matematyka	dobry		

Opuścił dni szkolnych 16, w tym nie usprawiedliwiono
Uchwałą Rady Pedagogicznej otrzymał promocję do klasy trzeciej
Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Podstawowego
Nr w Bagienicach
Bagienice dnia 26/VI 1949 r.

Nr 8

J. Kocięcka
Opiekun klasy

J. Kocięcka Zastęp.
Dyrektor — Kierownik

W latach 1949 i 1950 zezwala się na używanie dotychczasowych pieczęci publicznych szkół powszechnych (Dz. U. Min. Ośw. z dnia 14 września 1949 r. Dz. U. Min. Ośw. Nr 1/49)

Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny

P 1
PZWS III. 49—4.000.000

Świadectwa szkolne: Romana Piotrowskiego oraz Aliny Piotrowskiej, kl. II, z podpisem Jadwigi Kocięckiej.

Kl. IV z wychowawczynią Ireną Kowalską i inspektorem Władysławem Miłuńskim, rok szk. 1950-51. Od lewej. Siedzą na dole: Alina Piotrowska, Karolina Dudek, Elżbieta Bagińska. Pierwszy rząd: Zofia Milewska, Danuta Chrzanowska, Honorata Bobińska, Irena Kowalska - wychowawczyni, Władysław Miłuński - inspektor szkolny, Jadwiga Mosakowska, Irena Grabowska, Zofia Bagińska. Drugi rząd: Benedykt Grabowski, Władysław Grabowski, Zdzisław Chełchowski, Tadeusz Klik, Jan Grabowski, Aleksander Dzik, Tadeusz Grabowski, Władysław Ejdys.

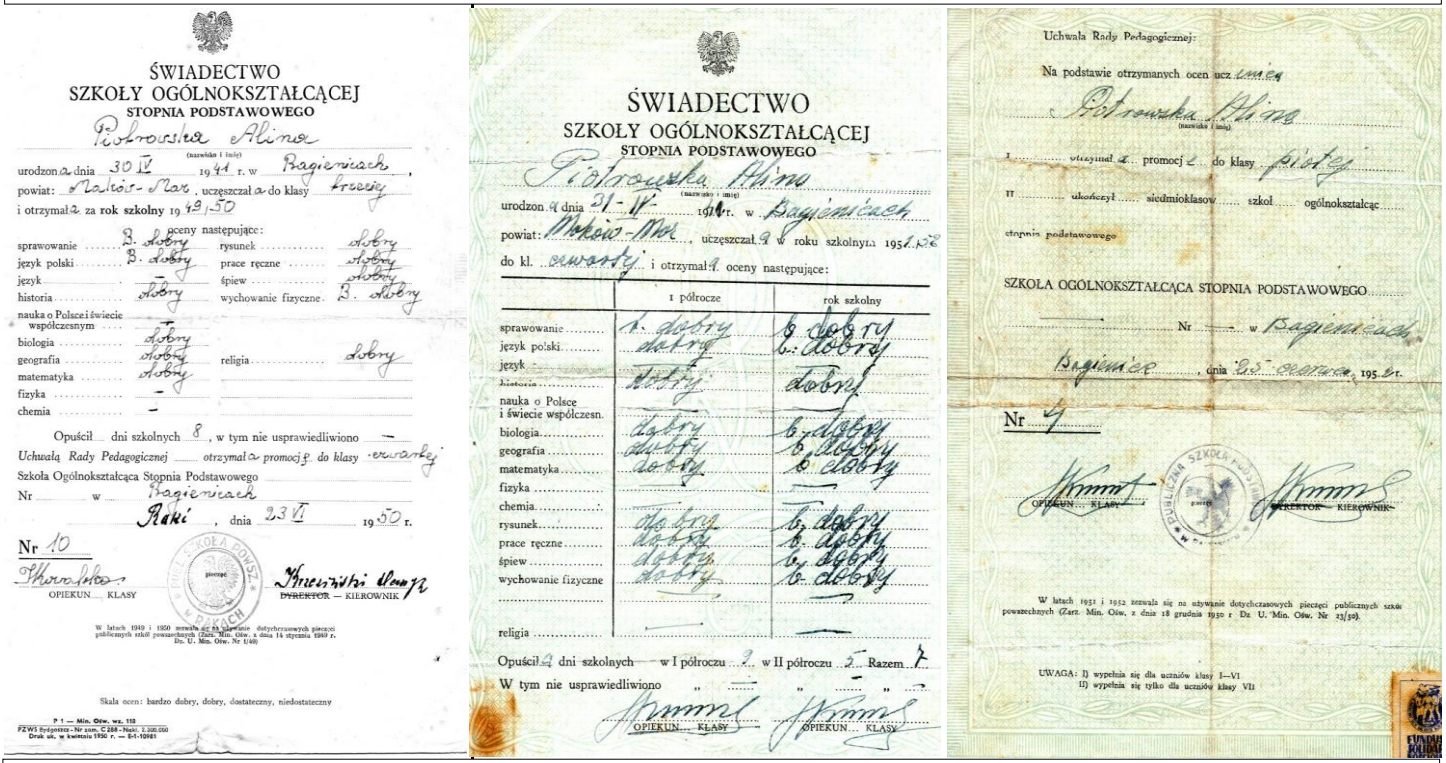

ŚWIADECTWO
SZKOŁY OGÓLNOKSZTAŁCĄCEJ
STOPNIA PODSTAWOWEGO

Piotrowska Alina
(nazwisko i imię)

urodzon a dnia 30 V 1941 r. w Bagieniach,
powiat: Mrągowo, uczęszczał a do klasy trzeciej
i otrzymał a za rok szkolny 1949-50

oceny następujące:

sprawowanie	b. dobry	rysunek	dobry
język polski	b. dobry	prace ręczne	dobry
język	–	śpiew	dobry
historia	dobry	wychowanie fizyczne	b. dobry
nauka o Polsce i świecie współczesnym	–		
biologia	dobry		
geografia	dobry	religia	dobry
matematyka	dobry		
fizyka	–		
chemia	–		

Opuścił 8 dni szkolnych, w tym nie usprawiedliwiono –
Uchwałą Rady Pedagogicznej otrzymała promocję do klasy czwartej
Szkoła Ogólnokształcąca Stopnia Podstawowego
Nr 10 w Bagieniach
Raki, dnia 23 VI 1950 r.

OPIEKUN KLASY — DYREKTOR — KIEROWNIK

W latach 1949 i 1950 zezwala się na używanie dotychczasowych pieczęci publicznych szkół powszechnych (Zarz. Min. Ośw. z dnia 14 stycznia 1949 r. Dz. U. Min. Ośw. Nr 1/49)

Skala ocen: bardzo dobry, dobry, dostateczny, niedostateczny

P 1 — Min. Ośw. wz. 110
FZWS Bydgoszcz. Nr zam. C 288. Nakł. 1.500.000
Druk ukończono w kwietniu 1950 r. — E-1-10981

ŚWIADECTWO
SZKOŁY OGÓLNOKSZTAŁCĄCEJ
STOPNIA PODSTAWOWEGO

Piotrowska Alina
(nazwisko i imię)

urodzon a dnia 21 - IV 1941 r. w Bagieniach
powiat: Mrągowo, uczęszczał a w roku szkolnym 1951/52
do kl. czwartej i otrzymał a oceny następujące:

	I półrocze	rok szkolny
sprawowanie	b. dobry	b. dobry
język polski	dobry	b. dobry
język	–	–
historia	dobry	dobry
nauka o Polsce i świecie współczesn.	–	–
biologia	dobry	b. dobry
geografia	dobry	b. dobry
matematyka	dobry	b. dobry
fizyka	–	–
chemia	dobry	b. dobry
rysunek	dobry	b. dobry
prace ręczne	dobry	b. dobry
śpiew	dobry	b. dobry
wychowanie fizyczne	dobry	b. dobry
religia	–	–

Opuścił 4 dni szkolnych — w I półroczu 3, w II półroczu 5, Razem 8
W tym nie usprawiedliwiono " — " — " —

OPIEKUN KLASY — OPIEKUN KLASY

Uchwała Rady Pedagogicznej:

Na podstawie otrzymanych ocen ucz. czwartej
Piotrowska Alina
(nazwisko i imię)

I ... otrzymał promocję do klasy piątej
II ... ukończył ... siedmioklasowe ... szkołę ... ogólnokształcącą
stopnia podstawowego

SZKOŁA OGÓLNOKSZTAŁCĄCA STOPNIA PODSTAWOWEGO
... Nr ... w Bagieniach
Bagieniach, dnia 23 czerwca 1952 r.

Nr 4

OPIEKUN KLASY — DYREKTOR — KIEROWNIK

W latach 1951 i 1952 zezwala się na używanie dotychczasowych pieczęci publicznych szkół powszechnych (Zarz. Min. Ośw. z dnia 18 grudnia 1950 r. Dz. U. Min. Ośw. Nr 23/50).

UWAGA: I) wypełnia się dla uczniów klasy I—VI
II) wypełnia się tylko dla uczniów klasy VII

Świadectwa szkolne Aliny Piotrowskiej z kl. III i IV.

Kl. III z wychowawczynią Ireną Kowalską, rok szk. 1949-50. Od lewej. Siedzą na dole: Kazimierz Milkowski, Stefan Szlaski. Pierwszy rząd: Tadeusz Klik, Jadwiga Mosakowska, Zdzisław Chełchowski, Irena Grabowska, Elżbieta Kłos, Irena Kowalska - wychowawczyni, Karol Piotrowski, Marianna Milkowska, Aleksander Dzik, Zofia Milewska, Elżbieta Bagińska. Drugi rząd: Henryk Milkowski, Zofia Bagińska, Jan Chodkowski, Irena Bobińska, Władysław Grabowski, Alina Piotrowska, Benedykt Grabowski, Grażyna Grabowska. Trzeci rząd: Jan Orzoł, Jan Grabowski, Andrzej Mosakowski.

W 1936 roku mieszkańcy wsi Bagienice, przy usilnej pomocy pana Aleksandra Ferenca (1903-1962), postawili drewniany budynek, 2-izbowy z oddzielnymi wejściami. Jedna izba to sala lekcyjna z korytarzem przeznaczonym na szatnię. Druga izba to tzw. sala z przeznaczeniem do wiejskich zebrań, różnych spotkań, zabaw i imprez kulturalnych, np. przedstawień.

Kto przed rokiem 1945 skończył cztery klasy szkoły podstawowej lub nawet cztery zimy (bo wiosną i jesienią była praca w gospodarstwie, do której wykorzystywane były nawet dzieci) -

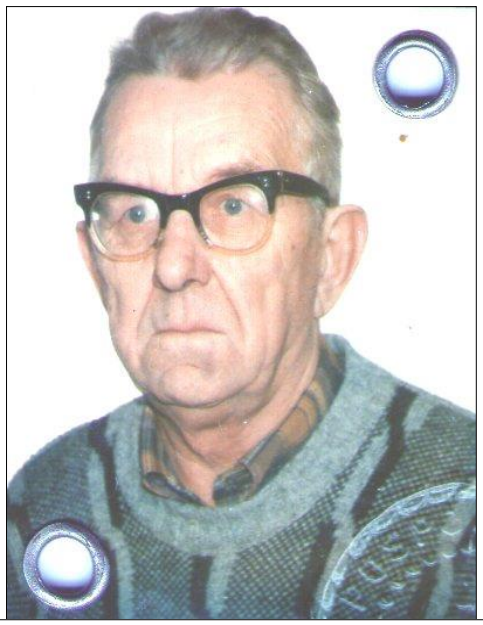

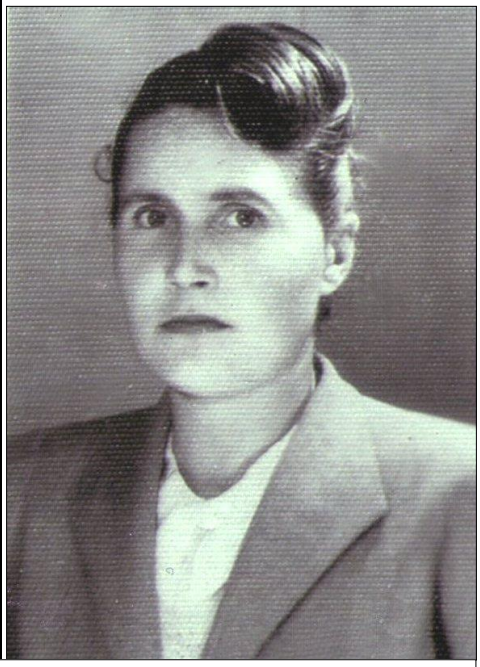

Od lewej: Anna Bogdańska (z d. Stańczak), Jan Kucharski (1932-1999) i Halina Głażewska.

Henryk Krzesiński z klasą V, Raki 1953. (Alina Piotrowska w okularach pożyczonych do tego zdjęcia od... pana kierownika Krzesińskiego).

to te cztery klasy, czy też cztery zimy w zasadzie stanowiły całą edukację. Reszta lat młodzieńczych polegała na pracy przy rodzicach w polu i w zagrodzie. Z powodu braku sprzętu i maszyn rolniczych liczyła się każda para rąk.

Po roku 1945 nastąpiła możliwość uczenia się w pełnej 7-klasowej szkole podstawowej oraz dalszego kształcenia. Szkoła stała się powszechna, obowiązkowa i bezpłatna dla wszystkich dzieci w wieku szkolnym (do 18 roku życia).

Wieś Bagienice dopiero po wyzwoleniu całkowicie wykorzystała postawiony wspólnym wysiłkiem budynek szkolny. Wróciły do szkoły dzieci i wrócili nauczyciele. Od lutego do czerwca 1945 r. uczył pan Henryk Krzesiński z Raków, nauczyciel z okresu przedwojennego.

Następnie, od 1 września 1945 r., uczyli tu kolejno państwo:

- **Halina Stepnowska**
- **Sabina Płocharczyk**
- **Jadwiga Kocięcka**
- **Irena Kowalska**
- **Jan Kucharski**
- **Anna Stańczak**
- **Henryk Krzesiński (ponownie)**
- **Halina Głażewska**

Co niektórzy, ze starszego pokolenia, w swojej młodości chodzili do szkoły tylko w okresie zimy. Na pytanie: *Ile skończyłeś klas?* - odpowiadali: - *2 zimy, 3 zimy* lub *4 zimy*. Wszak wiosna, lato i jesień to okres intensywnych prac polowych, gospodarskich. Nie było więc czasu chodzić do szkoły. Ale i po tym krótkim okresie nauki nauczyli się pisać, czytać i liczyć (rachować). Ta edukacja wystarczyła, by mogli radzić sobie na tyle, na ile to było im potrzebne.

Pamiętam też, jak wielkie starania czynili mieszkańcy Bagienic, by szkołę we wsi utrzymać. Ze względu na małą ilość uczniów placówka miała być zlikwidowana. Wobec tego rodzice wpadli na pomysł „pożyczenia dzieci" z innych miejscowości. W taki sposób zwerbowano dzieci z Pagórk (które powinny chodzić do Amelina), z Chłopiej Łąki (które powinny chodzić do Krasnosielca) oraz z innych wsi.

Budynek szkoły miał nr 20

Podczas wizytowania szkoły w Bagienicach na początku września okazało się, że uczniów jest wystarczająca ilość, by tę szkołę utrzymać. I ym sposobem szkoła pozostała. Tak było w roku szkolnym 1948/49. Na okres zimy „zapożyczeni uczniowie" stopniowo przenosili się do swoich obwodów szkolnych. W następnych latach uczniów przybywało.

Następną powojenną nauczycielką w Publicznej Szkole Powszechnej w Bagienicach - według relacji i wspomnień najstarszych mieszkańców - była pani **Halina Stepnowska.** Mieszkała u państwa Ferenców. Jedynym dokumentem świadczącym o jej pracy w Bagienicach jest zaświadczenie szkolne (dzisiejsze świadectwo) wystawione na nazwisko Roman Piotrowski (mój brat) z jej podpisem. Z tego wniosek, że uczyła w Bagienicach w roku szkolnym 1945/46. Świadectwa z następnych lat szkolnych podpisane są przez innych nauczycieli. Od dawna czyniłam usilne starania, aby odnaleźć panią Stepnowską lub jej rodzinę, ale to mi się nie udało.

Pani **Sabina Płocharczyk** uczyła w Bagienicach w roku szkolnym 1946/47. Mieszkała w Amelinie, w sąsiedniej miejscowości. Do pracy dochodziła pieszo, 3 km w jedną stronę. Codziennie przechodziła obok posesji Milkowskich (moich dziadków), którą jeszcze pamięta.

Szkoła w Bagienicach była jej pierwszą placówką. Przyszła tu po kursie przygotowującym do zawodu nauczycielskiego, zorganizowanym w Makowie Maz. Odnalazłam panią Płocharczyk. 23 marca 2004 r. rozmawiałyśmy przez telefon. Mile wspominała Bagienice, z których to przeniosła się do pracy na Ziemie Odzyskane. W zawodzie nauczycielskim przepracowała 9 lat. Wyszła za mąż. Nosi nazwisko Siwko. Mieszka w Lublinie. Od lat przebywa na emeryturze. Jest szczęśliwa.

Pani **Jadwiga Kocięcka** urodziła się 15 grudnia 1911 r. w Karniewie, jako córka Antoniego i Marceliny z Majkowskich.

Do Bagienic przyszła w 1947 r. Uczyła tu w latach 1947-1949. Przez te dwa lata mieszkała u państwa Aleksandra i Bronisławy Ferenców. Nauczyła mnie pierwszych liter, gdyż uczyła mnie w kl. I i II. Potem przeniosła się do innych miejscowości, by być bliżej rodziny. Pani Kocięcka do końca życia była osobą samotną. Poświęcała się swoim kuzynom, szczególnie siostrzenicom. Przeszła na emeryturę w 1970 r. Długo i ciężko chorowała. Ostatnie miesiące swojego życia spędziła w Zakładzie Opiekuńczo-Leczniczym przy szpitalu w Makowie Maz.

Jadwiga Kocięcka (1911-2003)

Zmarła 14 lutego 2003 r., mając 92 lata.

Pani **Irena Kowalska** urodziła się 3 lipca 1926 r. w Rzewniu. W 1949 r. otrzymała skierowanie do pracy w Szkole Podstawowej w Bagienicach jako nauczycielka. Uczyła w latach 1949-1951. Mieszkała u państwa Dudków, naprzeciwko szkoły. Pani Kowalska zadbała o to, by dzieci miały wspólną fotografię z wychowawczynią na tle budynku szkolnego. Jedna fotografia pochodzi z roku szkolnego 1949/50, druga - z 1950/51 z dedykacją: *Na pamiątkę swej wychowawczyni dzieci szkolne.* Stanowią one dla mnie cenną pamiątkę i przywracają najmilsze wspomnienia.

Zachowałam również świadectwo z kl. III szkoły podstawowej o nagłówku: Świadectwo Szkoły Ogólnokształcącej Stopnia Podstawowego podpisane przez panią Irenę Kowalską.

Wkrótce pani Kowalska wyszła za mąż za Józefa Mossakowskiego. Obecnie mieszkają w Milanówku. Oboje są na emeryturze. Niejednokrotnie rozmawiałyśmy przez telefon. Mile wspomina Bagienice - choć tamte lata nie należały do lekkich. Następne także. Przed laty bardzo boleśnie przeżyli tragiczną śmierć syna. Dziś państwo Mossakowscy cieszą się pięknym wiekiem i każdym szczęśliwym dniem.

Pan **Jan Kucharski** urodził się 24 czerwca 1932 r. w Karniewie. Uczył w Bagienicach w latach 1951-1954. Mieszkał u państwa Aleksandra i Bronisławy Ferenców.

Dużo czasu poświęcał pracy z młodzieżą starszą. Urządzał przedstawienia. Młodzież wystawiała różne sztuki, m.in. „Grubasek". Były przy tym również skecze, monologi, recytacje wierszy itp. Ja również brałam w tym udział. I miło wspominam liczne wspólne spotkania na próbach, i tę radość ze wspólnego przebywania. Pamiętam też wystawki prac uczniów: rysunki, zabawki, ozdoby i inne różne prace wykonane na lekcjach. To było ciekawe i zachęcające. Pamiętam także, jak pan Kucharski sadził z uczniami i starszą młodzieżą drzewka wokół szkoły. Dorodne topole pięknie wyrosły, ale do dzisiaj niewiele z nich zostało.

Pan Kucharski uczył mnie w klasie czwartej. Posiadam świadectwo z 1952 r. z jego podpisem.

Wkrótce ożenił się z Anną Mossakowską z Bagienic. W 1956 r. przeprowadzili się do Karniewa, do jego rodzinnej wsi.

Zmarł w Karniewie 6 stycznia 1999 r. i tam spoczywa.

Pani **Anna Stańczak** przyszła do Bagienic ze Strachocina, gm. Szelków, pow. makowski. Uczyła w latach 1954-1957. Mieszkała u państwa Aleksandra i Bronisławy Ferenców. Obecnie mieszka w Warszawie pod nazwiskiem Bogdańska. Jest wdową. Ma dwoje usamodzielnionych dzieci. Cieszy się dziećmi, wnukami i emeryturą oraz jako takim zdrowiem. Mile wspomina lata spędzone w Bagienicach, swoich uczniów i znajomych. Odnalazłam panią Anię. Rozmawiałyśmy przez telefon. Użyczyła mi fotografię z pobytu w Bagienicach, którą tu zamieszczam.

Dowiedziałam się również, że pani Ania wspólnie z koleżanką Zofią Wandą Walendziak z Drążdżewa-Kujaw, obecnie z męża Dominik, prowadziła w Bagienicach, podczas wakacji 1956 r., dzieciniec (zwany też ochronką).

Z Bagienic pani Ania przeniosła się do Sielca w gm. Rzewnie, pow. makowski, potem w okolice podwarszawskie i wreszcie do Warszawy. Do końca pracy pozostała wierna zawodowi nauczycielskiemu. W uznaniu zasług na niwie oświatowej otrzymała Złoty Krzyż Zasługi (1975), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1984) i Medal 40-lecia PRL (1984) oraz liczne nagrody.

Nie przy wszystkich nauczycielach pisałam o ich nagrodach, odznaczeniach czy wyróżnieniach, ponieważ nie miałam wiedzy w tym zakresie.

Bagienickie przedszkole, czyli ochronka

Jak już nadmieniłam wcześniej - przedszkola w Bagienicach nie było nigdy. Natomiast od czasu do czasu, w okresie żniw, organizowane były tzw. ochronki. Trwały one 2 lub 3 tygodnie. Nie dłużej. Obejmowały one dzieci do 10-11 lat. Ja też chodziłam do takiej ochronki. Dzień zaczynał się wspólnym śniadaniem w sali przyszkolnej.

Te dwa okna w szczycie i jedno okno z lewej strony - to sala przyszkolna. Obok okna widoczne drzwi do sali. Drugie drzwi, dalsze, prowadziły do klasy. Przed szkołą było boisko, plac zabaw, na którym często się bawiliśmy, np. w berka, w chowanego, w klasy, w państwa, gąski i wilki oraz różne zabawy z piłką.

Po śniadaniu mieliśmy zajęcia z panią, która się nami opiekowała. Były to wycieczki, gry i zabawy. Pani czytała lub opowiadała nam bajki. Uczyła wierszyków i piosenek. Po południu był obiad, który przygotowywały nasze mamy, kolejno, z każdego domu. Pamiętam doskonale obiad przygotowany przez ciocię Bronisławę Ferencową. Była to zupa grochowa z zielonego grochu, wprost z pola. W zupie były i ziarenka grochu i jego łupinki. Ciocia tak ładnie była ubrana, w ładnym fartuszku. Na głowie miała białą chusteczkę. Pamiętam jak dolewała nam tej zupy, bo wszystkim bardzo smakowała. Do dziś czuję jej smak i ten uśmiech zadowolenia cioci. Kucharki się cieszyły, jeśli dzieci ładnie jadły. Było

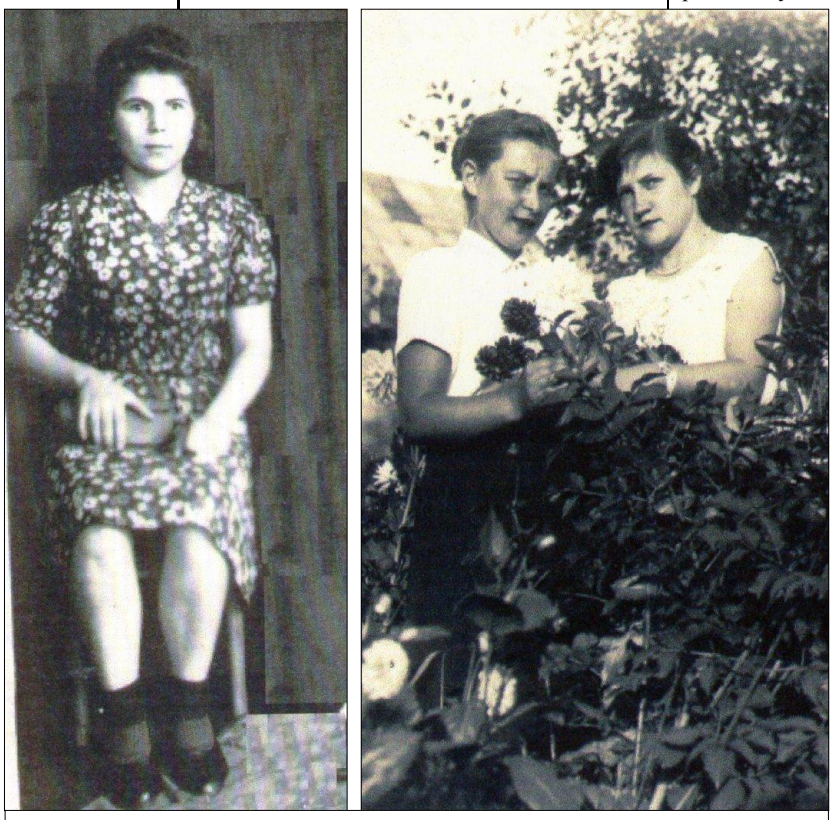

Sabina Płocharczyk. Zofia Wanda Walendziak (później Dominik) i Anna Stańczak.

jeszcze drugie danie i coś na deser.

Tych miłych wspomnień nie da się wymazać z pamięci. Szkoda, że ochronki trwały krótko, i nie co roku. Od dawna w Bagienicach nie było i nie ma żadnych innych form opieki nad dziećmi. Szkoda.

Pan **Henryk Krzesiński,** syn Józefa i Franciszki z d. Chylińska, urodził się 9 kwietnia 1903 r. w Krasnosielcu Leśnym. Zmarł 12 lipca 1984 r. Żył 81 lat. Spoczywa na cmentarzu w Krasnosielcu. Uczył w szkole podstawowej w Rakach w okresie międzywojennym. W 1945 r. był pierwszym kierownikiem w tejże szkole i jej filii w Bagienicach. Po kilku latach znów objął kierownictwo w Rakach, do 1953 r. W Bagienicach uczył najdłużej, bo ponad 13 lat - najpierw przez kilka miesięcy w 1945 r., a nieprzerwanie w latach 1957-1970. Mieszkał w Rakach. Do pracy przychodził pieszo lub przyjeżdżał na rowerze. Była to odległość ok. 2 km. Od 1 września 1970 r. przeszedł definitywnie na emeryturę. Jedno z moich zdjęć z panem Krzesińskim przywraca mi miłe wspomnienia. Był to rok 1953, czerwiec, koniec roku szkolnego. Kończyłam wówczas klasę piątą właśnie w szkole podstawowej w Rakach. Pan Krzesiński był kierownikiem tej szkoły, a pani siedząca obok to moja wychowawczyni - pani Irena Bystrzak. Był piękny słoneczny dzień. Ja zwróciłam się do pana kierownika, żeby pożyczył mi do zdjęcia swoje okulary, bo mrużę oczy, źle widzę, ponieważ słońce bardzo raziło. I, o dziwo, pan Krzesiński zdjął swoje okulary i założył je na moje oczy, i już było dobrze. Tym sposobem pan jest na zdjęciu bez okularów, co rzadko się zdarzało, a ja w okularach, choć nigdy ich nie nosiłam. Byłam zaskoczona reakcją i życzliwością nauczyciela, kierownika wobec dziecka, które może tylko miało taki kaprys. Mile wspominam i swoją wychowawczynię, i kierownika tej szkoły. Doznałam od NICH wiele dobrego i miłego. Dziękuję!!!

Henryk Krzesiński z żoną Stanisławą i młodszą córką Danutą.

Pani **Halina Głażewska** urodziła się 10 sierpnia 1925 r., zamieszkała w Przytułach. Ukończyła Liceum Pedagogiczne w Pułtusku (1954), Studium Nauczycielskie - nauczanie początkowe - w Warszawie.(1968), wyższe studia zawodowe - nauczanie początkowe - także w Warszawie (1979). 1 maja 1946 r. wstąpiła do ZNP. W Bagienicach pracowała od 1 września 1970 r. do 31 sierpnia 1980 r., a więc 10 lat. W 1974 r. została powołana na stanowisko nauczyciela dyplomowanego Troszczyła się o stwarzanie dzieciom jak najlepszych warunków do nauki i zabawy. Była życzliwa i opiekuńcza, znała środowisko swoich wychowanków, służyła radą i pomocą. Uczyła dzieci wrażliwości i pracowitości. Rozwijała też zainteresowania czytelnicze. Współpracowała z redakcją „Płomyczka". Jest autorką wielu wierszy przechowywanych we własnych zbiorach (załączam cztery z nich).

Za sukcesy i osiągnięcia w pracy zawodowej i społecznej otrzymała odznaczenia Odznaka ZNP (1995), Odznaka za 50 lat przynależności do ZNP (2005), Nagroda Ministra Oświaty i Wychowania (1974), Nagroda Kuratora Oświaty i Wychowania (1980), nagrody dyrektora szkoły.

Z dniem 31 sierpnia 1980 r. pani Głażewska przeszła na emeryturę. Szkoła w Bagienicach została rozwiązana w myśl oszczędności. Pozostał tylko budynek z numerem 20, wzniesiony w trudnych czasach z pomocą finansową i fizyczną wszystkich rodziców.

Po kilku latach budynek został sprzedany. Nowy właściciel dba o jego wygląd i estetykę.

Szkoda jednak, że młodzież z Bagienic nie mogła tego obiektu wykorzystać i do dziś wieś nie ma własnego kąta do spotkań.

Wiersze Haliny Głażewskiej

Nauczyciel

Nauczyciel szczytny zawód -
powierzają Ci w twe ręce,
na czas jakiś są oddane,
co najmilsze i najświętsze,
dzieciaki kochane.
Kwil, upraszaj, Basiu, Jasiu,
ucz się moje złotko.
Tak z pokorą i szczebiotem,
animuszem wieku,
uśmiechaj się słodko.
Z dnia na dzień pod twym okiem
młodzież szybko wzrasta.
Ciesz się jak pięknieje,
mężnieje, dorasta.
Popatrz okiem własnej duszy,
gdy odfruną w świat.
Rzadko wspomną o tym człeku,
może mu coś brak.
Nie narzekaj ni przez chwilę,
uśmiechaj się wciąż.
Składaj ręce i w podzięce
Bogu zawsze służ,
Bogu wdzięcznym bądź.

Halina Głażewska

wrzesień 1980

Ojczyzna

Każdy człowiek niech będzie drugiemu bratem
jeden nigdy nie zarządzi światem
w jedności siła i moc ducha
wówczas nie złamie nas zawierucha.
Tylko rozsądek, miłość do ziemi
sprawi, że na wieki będziemy wolnymi.
Niechaj w swym sercu Polak wyryje,
że uczciwość i praca w pokoju króluje.
Niech nigdy nie wrócą lata pożogi,
my nie zejdziemy z wytyczonej drogi,
bo tylko Polska, Ojczyzna rodzona
przytuli nas, dzieci, do swojego łona.
Jej cześć na wieki niech będzie sławiona
w niej życie, radość, nadzieja wzniecona.
Wszelkie zdradzieckie trucizny lud znosił
przez lata nad siły, by pokój zaistniał nam miły.

Halina Głażewska

14 kwietnia 1960

Polska

Kochani Rodacy zza oceanu
żyjący z dala od swej Ojczyzny
chcę Wam przypomnieć oraz zapewnić,
że Polska jest Waszą Matką Rodzoną
Ona nas żywi i karmi
od lat dziecięcych do późnej starości,
a Was żyjących daleko od Niej,
mile powita, szczerze ugości.
Chociaż sterana wojen pożogą
chyli się niby staruszka zgarbiona,
i znów się podnosi z trudów, upadków,
i woła - nigdy nie skonam!
I dzieci swoje wzywa do pracy,
darzy nadzieją, wspiera miłością
rozprasza smutek, zagaja rany,
serca napełnia radością.

Halina Głażewska

1962

Westchnienie

Boże który jesteś w niebiesiech
Pamiętasz o kwiatku i trawce
Pamiętaj o ludziach zmęczonych
Ufających tylko Twej Matce

Zlituj się Jezu nad nami
Użycz życiowej mądrości
By ludziom żyło się lepiej
W zdążaniu do wieczności

Uchowaj Matko niewoli
Oddalaj ciemiężców i wroga
Daj siłę nadzieję wiarę
Po śmierci zaprowadź do Boga

Halina Głażewska

maj 1969

Alina Białczak z d. Piotrowska
współpraca edytorska i techniczna:
Tadeusz Kruk i Sławomir Rutkowski

PS. Pomocy w pozyskaniu informacji i materiałów udzieliły mi: Wanda Błaszczak - Krasnosielc, Zofia Wanda Dominik - Drążdżewo-Kujawy, Bożena Głażewska - Przytuły, Maria Gregorczyk - Ciechanów, Barbara Kluczek - Krasnosielc, Anna Kucharska - Karniewo, Irena Pęczkowska - Pułtusk. Dziękuję.

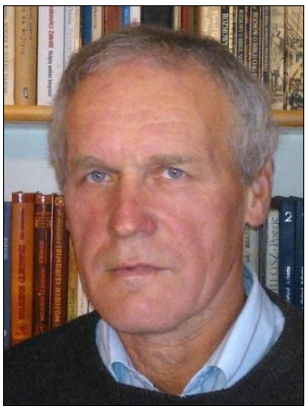

Uciekinierzy przed branką do armii carskiej z lat 1834-1855 z terenów obecnego powiatu makowskiego

Tadeusz SUSKI

W Krasnosielckim Zeszycie Historycznym nr 17, w artykule pt. *„Uczestnicy Powstania Styczniowego z terenów obecnego pow. Makowskiego*", wymieniłem zbiegłych przed branką z naszych terenów poszukiwanych przez carską policję w 1863 roku. Wtedy, w 1863 roku była to szczególna branka, w której poza ogólnie przyjętymi zasadami jakimi się kierowano przy sporządzaniu list rekrutacyjnych zastosowano kryterium polityczne. Policja carska posiadała informacje o przygotowywanym powstaniu. Na wyraźne żądanie władz carskich na listach zaciągowych do armii rosyjskiej znalazły się dodatkowo osoby podejrzane, które posądzano o przynależność do organizacji spiskowych. A jak było wcześniej?

W 1813 roku, po klęsce Napoleona w wyprawie na Rosję upadło Księstwo Warszawskie. Tereny Mazowsza znalazły się pod zaborem rosyjskim. Młodych mężczyzn z naszych terenów obowiązywał pobór do armii carskiej. W Rosji od czasów cara Piotra I, który w 1699 roku wprowadził regularną armię przeprowadzane były coroczne pobory rekrutów. Służba w armii carskiej była wtedy dożywotnia. Pod koniec XVIII wieku, w 1793 roku ówczesna władczyni Rosji caryca Katarzyna II okres służby zmniejszyła do 25 lat. Z kolei, w 1834 roku car Mikołaj I wydał ukaz skracający służbę z 25 do 20 lat. Czas służby określano wtedy na 20 lat z tym, że po wysłużeniu 15 lat w armii czynnej na następne 5 lat kierowano żołnierza na urlop nieograniczony.[1] Po Powstaniu Styczniowym okres służby wojskowej w armii carskiej skrócono do 6 lat. Za sumę 400 rubli można było wykupić się od służby. Z możliwości tej korzystali przede wszystkim synowie rodzin najzamożniejszych.

Ukaz rekrucki z 1831 roku wprowadził trzy kategorie poboru: zwyczajny, zwiększony i nadzwyczajny. Pobór zwyczajny miał miejsce wtedy, gdy do armii wcielono 6 osób spośród 1 tysiąca mężczyzn, zwiększony – gdy wcielono 7–10 osób, a nadzwyczajny - gdy do armii trafiło więcej niż 10 osób. Jak podaje W. Caban w latach 1834–46 miały miejsce jedynie pobory zwyczajne. Natomiast w czasie „wiosny ludów" (1848–49) przeprowadzono dwa pobory zwiększone, a w czasie wojny krymskiej (1853-56) trzy pobory nadzwyczajne. Z kolei w latach 1856–62 poboru nie przeprowadzano. Należy też dodać, że po klęskach żywiołowych jakie nawiedzały Królestwo Polskie w niektórych latach z poboru zwalniane były niekiedy całe okręgi administracyjne.

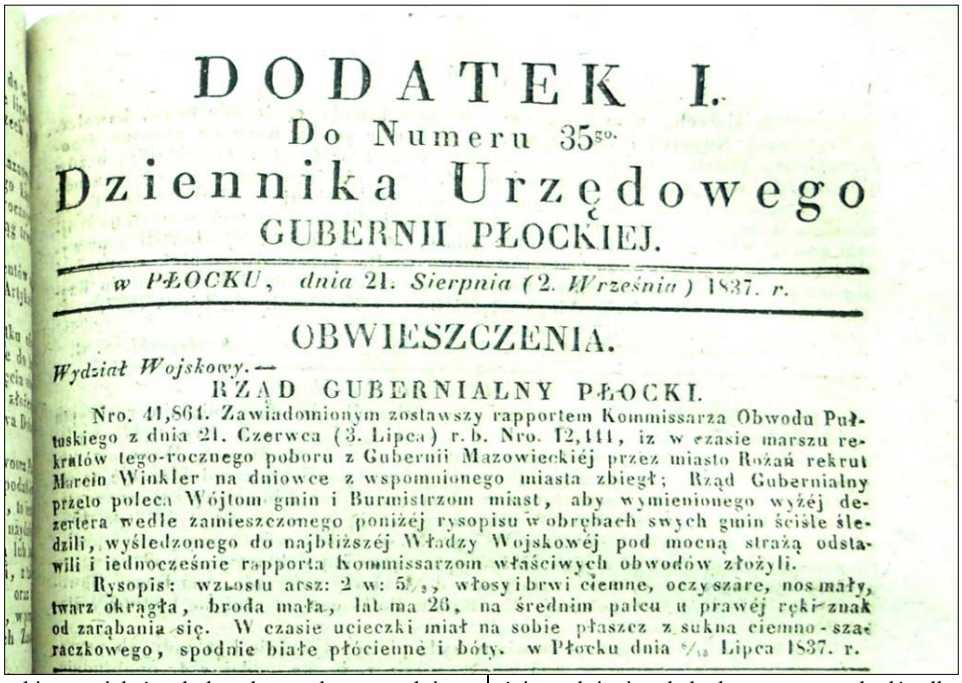

DODATEK I.

Do Numeru 35go.

Dziennika Urzędowego

GUBERNII PŁOCKIEJ.

w PŁOCKU, dnia 21. Sierpnia (2. Września) 1837. r.

OBWIESZCZENIA.

Wydział Wojskowy. —

RZĄD GUBERNIALNY PŁOCKI.

Nro. 41,864. Zawiadomionym zostawszy rapportem Kommissarza Obwodu Pułtuskiego z dnia 21. Czerwca (3. Lipca) r. b. Nro. 12,111, iż w czasie marszu rekrutów tego-rocznego poboru z Gubernii Mazowieckiéj przez miasto Rożań rekrut Marcin Winkler na dniowce z wspomnionego miasta zbiegł; Rząd Gubernialny przeto poleca Wójtom gmin i Burmistrzom miast, aby wymienionego wyżéj dezertera wedle zamieszczonego poniżéj rysopisu w obrębach swych gmin ściśle śledzili, wyśledzonego do najbliższéj Władzy Wojskowéj pod mocną strażą odstawili i jednocześnie rapporta Kommissarzom właściwych obwodów złożyli.

Rysopis: wzrostu arsz: 2 w: 5½, włosy i brwi ciemne, oczy szare, nos mały, twarz okrągła, broda mała, lat ma 26, na średnim palcu u prawéj ręki znak od zarąbania się. W czasie ucieczki miał na sobie płaszcz z sukna ciemno-szaraczkowego, spodnie białe płócienne i bóty. w Płocku dnia ⅝ Lipca 1837. r.

Całkowicie nietypowym był pobór w 1863 roku. Najpierw zorganizowano go w wysokości 5 osób z 1000 mężczyzn; później jednak, gdy władze carskie zorientowały się, że Powstanie Styczniowe może przysporzyć kłopotów (szczególnie poprzez ingerencję mocarstw zachodnich) przeprowadzono drugi pobór w wysokości 10 rekrutów na 1000 osób.[2] Jak pisze W. Caban 29 lipca 1863 roku do Moskwy przybyło 17 partii liczących od 211 do 266 ludzi, czyli w wyniku branki w styczniu 1863 roku wcielono do armii carskiej tylko ok. 4 tysięcy osób tj. 50% przeciętnego rocznego poboru z Królestwa Polskiego. Większość spisowych uciekła wcześniej chroniąc się w lasach. Zasilili oni później szeregi powstańców.

Zaciąg do armii carskiej składał się z dwóch części: spisu i poboru. Za jego przebieg odpowiedzialni byli urzędnicy szczebla lokalnego, tj. wójtowie i burmistrzowie. Za wszelkie nieprawidłowości i uchybienia w czasie przeprowadzania spisu i poboru urzędnicy ci mogli być ukarani grzywną w wysokości od 50 do 100 rubli, co wiązało się również z usunięciem ich od obowiązków. Już zimową porą każdego roku władze carskie zlecały wójtom gmin i burmistrzom miast aby na podstawie ksiąg ludności sporządzili listy spisowych. Poza tym musieli oni zebrać dowody wyłączeń, na podstawie których rozpatrywano później możliwości uwolnienia od służby na zawsze, bądź tylko czasowo. Wszystkie te zebrane dokumenty przekazywane były do delegacji spisowych powołanych na szczeblu powiatu. Następnie zatwierdzone przez delegacje spisowe listy spisowych i dowody wyłączeń przesyłano do Rządu Gubernialnego celem dokonania weryfikacji. Później dokonywano tzw. superrewizji. Czynność tą wykonywały urzędy rekruckie: powiatowe i gubernialne. W czasie superrewizji można było jeszcze składać dodatkowe dowody wyłączeń. Kiedy formalności zostały zakończone Gubernialny Urząd Rekrucki tworzył listę proponowanych na zaciąg, którą przekazywał Głównemu Zarządowi Spisu i Zaciągu Wojskowego. W celu wyłonienia rekrutów zarząd ten układał listę tych, którzy mają przystąpić do losowania. Ustalone listy trafiały do powiatów, miast i gmin. Wszystkie te czynności przeprowadzane były w wielkiej tajemnicy. W ustaloną noc – listopadową lub grudniową (określaną jako „sądną noc") wójtowie i burmistrzowie z przydzieloną im obstawą strażników i specjalnych pomocników udawali się do domów spisowych i sprowadzali poborowych do siedziby miejscowego urzędu celem odstawienia do okręgu. Przystępowano tam do losowania. Odbywało się ono w towarzystwie delegacji zaciągowej. Zanim przystąpiono do losowania spisowych dzielono na 4 kategorie: do pierwszej należeli wszyscy spisowi w wieku 20–22 lat, do drugiej – kawalerowie, żonaci nie posiadający dzieci i wdowcy w wieku 23–30 lat, do trzeciej – wszyscy spisowi w wieku 23–30 lat, którzy byli żonaci i posiadali dzieci, ale

[1] Caban W. *Służba rekrutów z Królestwa Polskiego w armii carskiej w latach 1831–1873, Warszawa 2001, s 30*

[2] Tamże, s 31

ich gospodarstwa rolne nie przekraczały 7,5 dziesiatyny (ok. 8,5 ha), do czwartej – wliczano wszystkich pozostałych. Losowanie przebiegało tak, że przystępowali do niego najpierw spisowi z pierwszej kategorii. Na każdy okręg wyznaczony był przez władze centralne określony kontyngent rekrutów. Jeżeli nie wystarczyło spisowych z pierwszej kategorii do jego wypełnienia przystępowali wtedy do losowania spisowi z następnych kategorii. Jak łatwo się domyśleć w najtrudniejszej sytuacji byli spisowi z pierwszej kategorii.[3] Tak wytypowani rekruci eskortowani byli następnie do stałych urzędów rekruckich, które mieściły się w siedzibach guberni. Tam też przystępowano do tworzenia konwojów.

Konwoje dzielone były na tzw. partie liczące od dwustu do pięciuset osób. Ich liczebność związana była z wielkością poboru. Cała partia przemierzała trasę pieszo (do okresu Powstania Styczniowego – później niektóre z partii podróżowały koleją).Trasy przemarszu dzielone były na etapy. Przeciętna długość między etapami wynosiła 22 wiorsty, tj. 23,5 km. Obowiązywała zasada, że po dwóch dniach marszu miał miejsce jednodniowy odpoczynek, a po przejściu 180 km partia odpoczywała przez 6 dni. Rekruci docierali do wyznaczonych im, docelowych garnizonów po kilku miesiącach marszu. Do garnizonów rozmieszczonych w europejskiej części Rosji docierali w ciągu 2-3 miesięcy. Rekruci kierowani do służby na Kaukazie musieli tam maszerować znacznie dłużej, bo ponad pół roku. Czasu tego nie wliczano im jednak do okresu służby.[4]

Bezpośrednio po upadku Powstania Listopadowego do armii carskiej wcielano byłych żołnierzy niższych rangą, służących wcześniej (w okresie Królestwa Kongresowego) w Armii Polskiej[5]. Postanowieniem Księcia Namiestnika Królewskiego z dnia 4 czerwca 1832 roku zostało rozwiązane Wojsko Polskie. Zgodnie z tym postanowieniem wojskowi niższych stopni służący wcześniej w tym wojsku przeznaczeni zostali do służby w armii carskiej. Mieli odsłużyć 15 lat. Od tego okresu odejmowany miał być im czas służby, którą odbywali w Wojsku Polskim przed wybuchem powstania. Oficerowie, którzy służyli w szeregach powstańczych zostali wyłączeni ze służby. Mówił o tym punkt 3 ww. Postanowienia: *„Oficerowie wszelkiego stopnia którzy służyli w szeregach rokoszan, tak ci, którzy zostali wzięci z orężem w ręku lub złożyli go w Królestwie Polskim po wzięciu Warszawy, jako i ci, którym w Łaskawości Swojej Nayjaśnieyszy Cesarz JMĆ i Król raczył Naymiłościwey dozwolić powrotu do kraju z Państw ościennych niemniej Urzędnicy z byłego wojska Polskiego i z Kommissyi Wojny, którzy mieli udział w rokoszu otrzymają świadectwa o uwolnieniu od służby, dopóki jednak takowe wydane im nie będą pozostają pod zarządem Głównego Sztabu Czynney Armii”.* [6] Car obawiał się powołania byłych oficerów Armii Polskiej i wcielenia ich do carskiej armii. Nie ufał im. Nie mógł liczyć na ich lojalność.

Perspektywa służenia w obcej, carskiej armii spotykała się wśród byłych żołnierzy Wojska Polskiego objętych poborem z wielką niechęcią. Wielu z nich zbiegło. 11 sierpnia 1832 roku w Dzienniku Urzędowym Województwa Płockiego ukazało się ogłoszenie o poniższej treści: *Komisja Województwa Płockiego umieszczając poniżej listę imienną byłych Wojskowych Polskich niższych stopni z obwodów: Pułtuskiego, Przasnyskiego, Ostrołęckiego i Płockiego przed poborem zbiegłych poleca urzędom Municypalnym i Wójtowskim iżby tychże w gminach swych śledziły, a wyśledzonych przyaresztowały i pod strażą do dalszego z nimi postąpienia do właściwych Kommissarzy Delegowanych odstawiły”.* Na liście tej znalazły się m. in. następujące osoby:

1. z Obwodu Przasnyskiego: z gminy Krasnosielc: Strusiak Stanisław (Raki), Dąbrowski Walenty i Krzyżanowski Józef (Drążdżewo), Dudek Józef (Wolka Drążdżewska), Kaczorek Walenty (Kucice), Lasocki Izydor (Biernaty Pienice), Baraniak Jan (Suche);
2. z Obwodu Pułtuskiego:
   - z gminy Smrock: Bloch Franciszek (Załuzie), Necer Krystian (Ulaski);
   - z gminy Ciepielewo: Zawadzki Aleksander (Wygoda).

Ponadto, miesiąc wcześniej (5 lipca 1832 roku) na liście zbiegłych wojskowych opublikowanej również w Dzienniku Urzędowym Województwa Płockiego znalazło się kilku żołnierzy z naszych terenów. Byli to:

- z gminy Ciepielewo: Milewski Antoni i Piszczaborski Ludwik;
- z gminy Magnuszewo Małe: Kilanowski Józef i Pudłowski Antoni;
- z gminy Zakliczewo: Ziółkowski Paweł [7]

Artur Grottger „Pobór w nocy” – rozpaczająca kobieta, której mąż wyprowadzany jest w więzach w nocy. Źródło: Wikipedia.

W 1834 roku została przeprowadzona w Królestwie Polskim branka do armii carskiej. Minęło niespełna trzy lata od stłumienia Powstania Listopadowego i tym samym pogrzebania marzeń Polaków o wolnej Polsce. Długoletnia służba we wrogiej armii, która pozbawiła nadziei Polaków na wolność była dla nich wtedy szczególną udręką. Nic dziwnego, że wielu z nich próbowało jej uniknąć.

Już 25 stycznia 1834 roku Wydział Wojskowy Komisji Województwa Płockiego opublikował w Dzienniku Urzędowym Województwa Płockiego następujące ogłoszenie: *„Komisja Województwa Płockiego poleca Wójtom gmin i Burmistrzom miast aby ludzi popisowych przed Delegacjami Zaciągowymi nie stawiających z gmin województwa tutejszego zbiegłych, a załączoną tu listą wymienionych najtroskliwiej śledzić i wyśledzonych przytrzymawszy pod pewną strażą właściwym Kommissarzom Obwodowym dostawili”.* Do ogłoszenia załączona została lista zbiegłych spisowych z całego województwa z podziałem na obwody.

Lista zbiegłych spisowych z 1834 roku z terenu obecnego powiatu makowskiego (uzupełniona ogłoszeniami z miesiąca lutego, czerwca i października):

- z gminy Krasnosielc: Walenty Dąbrowski i Józef Krzyżanowski z Drążdżewa, Józef Dudek z Wólki Drążdżewskiej, Walenty Kaczorek ze wsi Kucice, Walenty Leyk i Maciej Leyk ze wsi Żelazna;
- z gminy Biernaty Pienice: Izydor Lasocki i Michał Kołakowski z Pienic;
- z gminy Smrock: Franciszek Bloch ze wsi Załuzie, Krystian Necer ze wsi Ulaski;
- z gminy Ciepielewo: Wojciech Bladosz z wioski Sielc, Aleksander Zawadzki z wioski Wygoda k. Przeradowa, Wojciech Suski z wioski Jaciążek;
- z gminy Małki: Stanisław Kalinowski z Małk, Józef Piechowski z wioski Łachy, Stanisław Błaszczak i Mateusz Przeradowski z Drozdowa, Romuald Chmielewski z wioski Brzuze Duże, Michał Olszewski z Dzbędza, Wojciech Napiórkowski z Napiórk Ciężkich, oraz z wioski Zawady Ponikiew: Teodor Ziembiński, Tomasz Dylewski, Leon Dylewski;
- z gminy Żebry Perosy: Tomasz Długołęcki i Jakub Mamiński z wioski Ogony, Stanisław Strzemieczny z wioski Strzemieczne Heronimy, Ludwik Waskowski z wioski Kołaki, oraz Krystian Małachowski i Stanisław Płodzik z wioski Glinki;
- z miasta Różan: Roch Szamiray;
- z gminy Rzechówko: Antoni Pajarski i Szymon Bagniewski z Rzechowa Wielkiego, Józef Kamiński z Gut Dużych;
- z gminy Szczeglin: Jan Liwski z Chojnówka, Antoni Białobrzewski i Kazimierz Olkowski z wioski Biedrzyce Koziegłowy, Leon Rydzewski i Jan Milewski z wioski Bobino Grzybki, Jan Chodkowski z wioski Bobino Wielkie;
- z gminy Młodzianowo: Józef Sitarski z wioski Obłudzin, Felicjan Jeleński i Stanisław Rosiak z wioski Wólka;
- z gminy Czerwonka: Frydrych Krygier z Ciemniewa;
- z miasta Makowa: Jan Gorczyński i Walenty Oleyniczak[8] .

W 1835 i 1836 roku również przeprowadzono branki. Jednak na listach zbiegłych spisowych publikowanych w DZ. U. W. Pł. pojawiały się tylko nazwiska zbiegłych osób z poszczególnych obwodów bez wyszczególnienia miejscowości i gmin, z których pochodzili. Z obwodu pułtuskiego i przasnyskiego na listach tych znalazły się obok innych, znane już (z ogłoszeń zbiegłych z 1834 roku) następujące nazwiska: Ziembiński Teodor, Dylewski Tomasz, Dylewski Leon, Płodzik Stanisław, Bagniewski Szymon, Bladosz Wojciech.[9]

[3] Tamże, s 56
[4] Caban W…, s 106 - 109

[6] *Dziennik Urzędowy Województwa Płockiego* (dalej Dz. U. W. Pł.) nr 24 z 16 czerwca 1832 roku

[7] *Dz. U. W. Pł.* nr 31 i nr 32 z 1832 roku

[8] Dz. U. W. Pł. nr: 4; 9 i 29 z 1834 roku.
[9] Dz. U. W. Pł. z 1835 i 1836 roku.

W 1837 roku doszło do kolejnej branki. Komisja Województwa Płockiego – Wydział Wojskowy opublikowała w dniu 6 stycznia 1837 r. Obwieszczenie w Dodatku Nadzwyczajnym do numeru 1-go Dz. U. W. Pł, w którym informowała władze administracyjne o mającym się niezwłocznie odbyć (z zastrzeżeniem, że najpóźniej do 10 stycznia 1837 r.) spisie wojskowym na rok 1837 w całym Królestwie Polskim. W obwieszczeniu tym polecono wójtom gmin i burmistrzom miast sprawdzenie Ksiąg Ludności znajdujących się w Urzędach Gminnych i przygotowanie dokumentów w celu ułatwienia i przyśpieszenia spisu wojskowego oraz „*przysposobienie dogodnych i dobrze ogrzanych lokalów, w których Spisowi przy tak ostrej porze roku przez Delegacyą Spisową rewidowani bydź mogą”.* Ostrzeżono jednocześnie wójtów i burmistrzów, że w przypadku zauważenia niedokładności i niezgodności ze stanem faktycznym informacji o mieszkańcach gmin zamieszczonych w Księgach Ludności ww. Delegacje Spisowe sporządzą na ten temat raporty opisujące te nieprawidłowości, w których podadzą nazwiska wójtów (burmistrzów) dla pociągnięcia ich do surowej odpowiedzialności i ukarania. W obwieszczeniu podkreślono, że nie będą przyjmowane żadne usprawiedliwienia i tłumaczenia i w przypadku dostrzeżenia nieporządku w tych księgach winnych nie ominie kara. Podano dalej szczegółowe zasady postępowania przy wyłączeniach od zaciągu do armii. Spisowi, którzy podlegali tym wyłączeniom powinni złożyć w gminie najpóźniej w ciągu 6 tygodni od daty rewizji spisu dowody wyłączeń.

Zgodnie z ówczesnym prawem wyłączeni od zaciągu do wojska carskiego byli:

- jedynacy – tylko wtedy, gdy któryś z rodziców żył. Po śmierci rodziców jeżeli jedynak nie odziedziczył gospodarstwa rolnego, rękodzielni lub handlu podlegał tak jak inni spisowi.
- mężczyźni przed 20 rokiem życia.
- wdowcy, pod warunkiem posiadania nieletnich dzieci. Jeśli byli bezdzietni i nie ukończyli 30 roku życia podlegali spisowi.
- mianowani urzędnicy cywilni - wyłączenie dotyczyło ich dopóki pozostawali na urzędzie.
- wójtowie gmin, jednak tylko ci, którzy byli właścicielami dóbr ziemskich.
- właściciele fabryk i rękodzielni, majstrzy i ich czeladź.
- duchowni.
- osoby kalekie, niedołężne, niskie wzrostem (poniżej 156 cm).
- pocztylioni[10].
- nauczyciele.
- żydzi, którzy przyjęli religie chrześcijańską.

Poza tym prawo do wyłączenia z zaciągu do wojska przysługiwało dla jednego syna z każdej rodziny wybranego przez rodziców. Jeśli w rodzinie było kilku synów rodzice mieli prawo wybrać jednego z nich dla zapewnienia im na starość pomocy. Był on wtedy wolny od zaciągu do wojska. Po śmierci rodziców wybrany syn do wyłączenia wracał w obowiązek należenia do spisu, chyba że został prawnie powołany na opiekuna nieletnich braci i sióstr, ukończył 30 lat, lub przejął po rodzicach gospodarstwo.

Wójtowie mieli obowiązek podawać na piśmie powód nieobecności na spisie osób zobowiązanych do stawienia się. W przypadku ukrywania się przed spisem musieli podać jak dawno spisowy oddalił się z gminy i gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa może się ukrywać.

Szlachta nie była wyłączona od zaciągu do armii. Posiadała jednak specjalne prawa i przywileje. W przeciwieństwie do chłopów i mieszczan, których służba w wojsku trwała wtedy 15 lat przedstawiciele szlachty służyli tylko 10 lat. Posiadali łatwiejszą możliwość awansu na stopnie oficerskie w armii. W ciągu odbywania służby wojskowej byli wolni od kar cielesnych. Trzeba tu podkreślić, że kara chłosty była w ówczesnej armii carskiej powszechnie stosowana.

Również w 1837 roku wiele osób zbiegło i nie stawiało się na komisję spisową nie chcąc służyć tak długo w obcej, wrogiej i znienawidzonej przez siebie armii.

W ogłoszeniu opublikowanym w Dodatku nr I do numeru 23 Dz. U. G. Pł. z 1837 roku[11] Wydział Wojskowy Rządu Gubernialnego Płockiego nakazał wójtom gmin i burmistrzom miast „*ażeby spisowych z powodu zbiegostwa lub innych nieusprawiedliwionych przyczyn nie stawiających się przed Komisją Superrewizyjną ściśle w obrębach swych śledzili i ujętych do Komisarza właściwego Obwodu dostarczyli i pod mocną strażą odesłali”*. W dodatku tym opublikowano imienną listę spisowych zbiegłych z poszczególnych obwodów wchodzących w skład Guberni Płockiej.

Lista spisowych zbiegłych, nie stawiających się przed Komisją Spisu Wojskowego w r. 1837 z terenów obecnego powiatu makowskiego.

1. Tomasz Abramski – Magnuszew Duży, gm. Sielc
2. Michał Trzciński – Czerwonka, gm. Czerwonka
3. Stanisław Strzemieczny – Strzemieczne Starominy, gm. Żebry Perosy
4. Wojciech Ślęszyński – Żebry Podsędki, gm. Żebry Perosy
5. Kazimierz Dzwonek – Glinki, gm. Żebry Perosy
6. Mateusz Święcicki, Glinki, gm. Żebry Perosy
7. Józef Jabłoński, Rzewnie, gm. Małki
8. Teodor Ziembiński – Zawady Ponikiew
9. Mateusz Załęski - Biernaty
10. Adam Morąg – Szygi
11. Augustyn Gajewicki – Różan, gm. Różan
12. Piotr Noskowicz – Różan, gm. Różan
13. Jan Ptasiński – Sieluń, gm. Sieluń
14. Kazimierz Olkowski – Biedrzyce Koziegłowy, gm. Szczeglin
15. Fabian Muczyński – Chojnówko
16. Andrzej Chodkowski – Chodkowo Wielkie
17. Adam Białogroski – Nadrzyn, gm. Rzechówko
18. Antoni Rawa – Majki Tykiewki[12]

Minęło dwa miesiące i ukazało się kolejne obwieszczenie, które opublikowano w Dodatku II do nr 30 Dz. U. G. Pł. z dnia 17/29 lipca 1837 r. Ostrzeżono w nim ponownie wójtów i burmistrzów „*o surowej odpowiedzialności jaka ich czeka za powolne i obojętne w śledzeniu ludzi przed poborem ukrywających się postępowanie”,* nakazując im jednocześnie „*ażeby wszelkie w powyższym względzie wydawane rozporządzenia z zupełnym zajęciem i całą sprężystością środków wykonywali – W tym celu domieszczając listę spisowych w tego rocznym poborze na zaciąg powołanych, a z różnych nieusprawiedliwionych przyczyn niedostawionych obowiązuje Wójtów gmin i Burmistrzów miast ażeby bezzwłocznie wyśledzeniem ludzi pomienioną listą objętych zajęli się i ujętych Kommissarzom właściwych Obwodów pod mocną strażą do dalszego postąpienia odstawili”*. Poniżej w obwieszczeniu tym zamieszczona została *imienna lista zaciągowych w poborze roku 1837 powołanych, a z różnych przyczyn niedostawionych.* Była to już lista wyznaczonych do służby w armii, którzy się ukrywali. Na liście tej z terenu obecnego pow. makowskiego znalazło się 17 następujących osób:

1. Ossowski Mateusz - z gminy Szczeglin
2. Chełchowski Jan - z gminy Szczeglin
3. Werytowski Stanisław - z gminy Rzechówko
4. Rawa Paweł - z gminy Rzechówko
5. Tutas Wojciech - z gminy Smrock
6. Mierzejewski Piotr - z gminy Małki
7. Ponikiewski Antoni - z gminy Małki
8. Brzuzy Aleksander - z gminy Małki
9. Zabielski Stanisław - z gminy Sieluń
10. Głażewski Stanisław - z gminy Sieluń
11. Perzanowski Kazimierz – z gminy Biernaty Pienice
12. Orzoł Tomasz – z gminy Krasnosielc
13. Orzoł Piotr – z gminy Krasnosielc
14. Szlaski Szymon – z gminy Krasnosielc
15. Gocioch Walenty – z miasta Krasnosielca
16. Dudek Józef – z miasta Krasnosielca
17. Przybysławski Walenty – z miasta Krasnosielca[13]

W rok później odbyła się kolejna branka, która objęła także gubernię płocką. I tak jak wcześniej, również w 1838 roku wielu spisowych uciekło, chcąc uniknąć losowania i wcielenia do armii. W maju 1838 roku pojawiła się w Dz. U. G. Pł. imienna lista zbiegłych spisowych z guberni płockiej w roku 1838. Pojawiło się na niej 22 osoby z naszych terenów, w tym 3 mężczyzn zbiegłych przed branką jeszcze w 1834 roku i bezskutecznie przez cztery lata poszukiwanych (tj. Dudek Józef z Krasnosielca, Ziembiński Teodor z Zawad i Olkowski Kazimierz z Biedrzyc), a także: Plesa Mateusz ze wsi Strzemieczne Oleksy, Ślęszyński Franciszek ze wsi Żebry Podsędki, Więckowski Feliks z Zawad, Krajownicki Augustyn i Złotkowski Franciszek z Różana, Chojnowski Paweł z Biedrzyc, Stelmachowicz Antoni z Soi, Dzwonek Kazimierz z Glinek, i Brykała Ignacy z Drążdżewka, Mierzejewski Piotr z Łasiewit, Chodkowski Andrzej z Chodkowa, Zabielski Stanisław z Głażewa Cholew, Chełchowski Jan

[10] Pocztylioni - pracownicy poczty konnej, pocztowi furmani

[11] W 1837 roku przeprowadzony został nowy podział administracyjny Królestwa Polskiego – województwa przemianowano na gubernie.

[12] *Dziennik Urzędowy Guberni Płockiej* (dalej Dz. U. G. Pł.) nr 23 z 29 maja (10 czerwca) 1837 r.

[13] Dz. U. G. Pł. z 17 (29) lipca 1837 r.

z Chełch, Werytowski Stanisław i Rawa Antoni z Rzechówka, Perzanowski Kazimierz z Grabowa (gmina Biernaty Pienice), Ptaszyński Jan z Sielunia, Muczuński Fabian z Chojnówka, Noskiewicz Piotr z Biedrzyc[14]

Ww. na liście byli bezskutecznie poszukiwani przez władze. Ukrywając się przez dłuższy czas mogli oni uniknąć zaciągu do armii carskiej.

W 1842 roku odbyła się kolejna branka do armii carskiej, a w rok później następna. W Dzienniku Urzędowym Guberni Płockiej pojawiły się znowu listy zbiegłych przed poborem. Oto nazwiska osób z naszych terenów, którzy w latach 1842-44 ukrywali się próbując uniknąć wcielenia do armii:

- z gminy Biernaty Pienice: Mróz Antoni z wioski Budne Sowięta;
- z gminy Krasnosielc: Zduniak Stanisław z Wólki Drążdżewskiej, Bielski Antoni lat 20 i Dudek Maciej z Drążdżewa, Raniszewski Grzegorz lat 20 z Rak, Zygmunciak Stanisław lat 21, Mydło Józef, Mydło Maciej, Michalak Wawrzyniec, Wilga Franciszek, Sobota Gotlib, Olewniczek Wojciech, Pisarek Franciszek, Sosnowski Grzegorz, Bloch Izydor, Orzeł Maciej, Mikulak Stanisław, Panasiuk Tomasz, Krawczyk Grzegorz, Mydło Stanisław, Orlik Jan lat 24, Orzeł Grzegorz, Orzeł Walenty, Gocioch Walenty, Jasiński Jan lat 20, Sitarek Jakub, Kalinowski Franciszek, Białczak Tomasz;
- z gminy Sielc: Bladosz Kazimierz, Nejman Fryderyk, Rzesiek Michał, oraz Kuligowski Roch lat 25 i Rzęsicki Michał z Ciepielewa;
- z gminy Smrock: Rybak Józef, Wędołek Józef, Stefański Stanisław, Wyrytowski Stanisław lat 20, Jaworski Franciszek lat 20, Mroczkowski Józef, Kołowski Kazimierz, Konopka Józef lat 20;
- z gminy Orzyc: Wądolski Józef z wioski Lipniki Mariampol, Dzwonkowski Wojciech;
- z gminy Szczeglin: Chełchowski Wojciech lat 22 z wioski Chełchy Sałki, Zygadło Franciszek lat 21 z wioski Dylewo, Białobrzewski Hipolit lat 21 z wioski Chełchy Sebory, Zakrzewski Józef, Załęski Ignacy lat 21 z Ponikiewki, Smoleński Stanisław, Wasiłowski Aleksander, Głażewski Jozef, Rawa Tomasz z wioski Rawy, Smoleński Jan, Chrzanowski Adam, Tyll Jakub lat 21, Kossakowski Józef lat 20, Batogowski Hieronim lat 20, Chodkowski Grzegorz, Fedorowicz Adam;
- z gminy Rzechówek: Kopczyński Michał z Rzechowa Gać, Ganderski Walenty, Maminski Józef, Rupiński Jan;
- z gminy Małki: Napiórkowski Konstanty i Dzwonkowski Franciszek z Mroczk, Kaźmierczak Jan, Napiórkowski Piotr, Chełchowski Franciszek, Kuciej Stanisław, Polkowski Franciszek, Kuczyński Wawrzyniec, Chrzanowski Antoni, Brzeziński Adam, Górski Antoni, Suski Mateusz lat 21 z wioski Łasiewity, Napiórkowski Jan lat 20 z Borut, Rupiński Piotr lat 27 z Szyg, Napiórkowski Józef z Napiórk;
- z gminy Żebry Perosy: Idzikowski Jakub lat 24 z Długołęki, Biedrzycki Ludwik z Młynarzy, Kaczyński Franciszek, Jastrzębski Grzegorz, Ogonowski Jan oraz Apaliński Nikodem i Zomer Herman z wioski Kołaki;
- z gminy Chełchy Iłowe: Wojciechowski Franciszek lat 20 z wioski Chełchy Kmiece, Szwejkowski Kazimierz lat 25 z wioski Chełchy Kabdzyno, Kubicki Michał lat 22 z wioski Repka;
- z gminy Chełchy Jakusy: Milewski Józef z wioski Milewo Malonki;
- z gminy i wioski Rostki Wielkie: Kossakowski Nikodem lat 21;
- z gminy Chrzanowo Bronisze: Wyrytowski Antoni;
- z miasta Makowa: Wolski Józef lat 24, Falkowski Franciszek lat 22, Tomaszewski Franciszek lat 25 i Adamowicz Kazimierz
- z gminy Młodzianowo: Ludwikowski Jan;
- z gminy Szlasy: Bagiński Jan;
- z gminy Jarzyły: Olkowski Józef
- z gminy Chodkowo Załogi: Wielszkop Adam lat 27 z wioski Chodkowo Wielkie, z wioski Bobino Grzybki – Perzanowski Józef i Chrzanowski Adam, oraz Zakrzewski Józef, Tyk Jakub, Bobiński Daniel i Czaplicki Mateusz z Bobina Wielkiego;
- z gminy i wioski Węgrzynowa: Kukawka Jan, Tadrzak Adam, Wasiński vel Wach Wojciech;
- z gminy i wioski Płoniawy: Kwiatkowski Stanisław lat 22 i Smoliński Błażej lat 29;
- z gminy Zawady: Kaszuba Kazimierz lat 20 z Podosia;
- z gminy Młodzianowo: Tyburski Mateusz lat 21 i Kaźmierczyk Paweł lat 20 z Wronowa;
- z gminy Pomaski Wielkie: z wioski Chrzanowo Godawy: Brzozowski Franciszek, Smoleński Piotr i Chromiński Jan;

Publikowane były wtedy nie tylko nazwiska zbiegłych spisowych, ale przy niektórych osobach również ich rysopisy.[15]

O jednym ze zbiegłych Rochu Kuligowskim z Ciepielewa, który schwytany uciekł podczas transportu, ukazało się w maju 1842 roku następujące ogłoszenie: „*Spisowy Roch Kuligowski wzrostu arszynów 2, werszków 5 i 1/4, włosów blond, oczu burych, nosa miernego, brody ciągłej, twarzy owalnej, lat 25 mający, z wsi Ciepielewa gminy Sielc pochodzący, będąc wyśledzonym jako przed spisem w roku zeszłym nigdzie niestawiający i wysłany do Rządu Gubernialnego w transporcie za miastem Nowomiastem w boru Kołozębskim zbiedz potrafił, którego śledztwo w Obwodzie Pułtuskim przez tamtejszego Kommissarza Obwodu zarządzone, żadnego dotąd nie wzięło skutku Rząd Gubernialny przeto najmocniej poleca Wójtom gmin i Prezydentowi M. Płocka i Burmistrzom Miast aby w obrębach do urzędowania ich należących ścisłe śledztwo tegoż człowieka zarządzili, a w razie ujęcia onego pod strażą do Biura właściwego Kommissarza Obwodu odstawili". Płock 3/16 maja 1842 r.*

Podejmowane były również próby ucieczki podczas przemarszów i postojów wcielonych do armii rekrutów. Każdorazowo w takich przypadkach Generalny Wydział Wojskowy publikował ogłoszenia, podając okoliczności ucieczki, nazwisko i rysopis zbiegłego.

Oto dwa takie ogłoszenia z naszych terenów z 1837 roku:

„W czasie przeprowadzania pod strażą wojskową rekrutów z Pułtuska do Różana w boru pomiędzy Szelkowem a Łasią zbiegł rekrut Piotr Mateusz Michalak pochodzący z Guberni Płockiej Obwodu Przasnyskiego z wsi Orzeł, włosów na głowie i brwiach rudych, oczu ciemnoszarych, nosa i ust miernych, brody okrągłej, twarzy podługowatej, w butach skarbowych bez odzienia i czapki, gdyż takowe w czasie ucieczki rzucił. Poleca się Wójtom gmin i Burmistrzom miast aby tegoż zbiegłego ściśle śledzili, a ujętego właściwemu Kommissarzowi Obwodu pod dostateczną strażą odstawili. W Płocku dn. 30 lipca (11 sierpnia) 1837 r."[16]

Szczególnym przypadkiem godnym podkreślenia było długotrwałe ukrywanie się i brawurowa ucieczka z transportu w lipcu 1838 roku Tomasza i Pawła Orzoł (lub Orzeł – przyp. T. S.) pochodzących z gminy Krasnosielc. W Dzienniku Urzędowym Guberni Płockiej ukazało się szczegółowe ogłoszenie opisujące to wydarzenie: „*Spisowi Tomasz Orzoł i Paweł Orzoł przed Służbą Wojskową tak w Kraju Pruskim, jak też po borach chroniący się przetrzymanemi zostali, a następnie w czasie transportu między stacyą Ciechanów a Raciążem z pod straży czterech wartowników zbiegli. Rząd Gubernialny przeto domieszczając poniżej rysopisy zbiegów poleca Wójtom Gmin i burmistrzom Miast aby ich w obrębach swych pilnie śledzili i ujętych właściwemu Kommissarzowi Obwodu pod mocną strażą do dalszego postąpienia odstawili. Rysopis: 1) Piotr Orzoł, gminny, katolik, ur. się 29 kwietnia 1817 r. we wsi Ziomek Obwodu Przasnyskiego Guberni Płockiej, wzrost arszynów*[17] *2, werszków*[18] *6 i 2/8, twarzy ciągłej, oczu niebieskich, nosa dużego, włosów czarnych, czoła niskiego. 2). Tomasz Orzoł, gminny, katolik, ur. się dn. 1 grudnia 1816 roku we wsi Majdanach w Obwodzie Przasnyskim Guberni Płockiej, wzrostu arszynów 2, werszków 7 i 4/8, twarzy pociągłej, oczu siwych, nosa dużego, włosów blond, czoła niskiego. Płock dn. 2/14 lipca 1838 r."*

Należy dodać w tym miejscu, że za namawianie do zbiegostwa (ukrywania się) lub czynne dopomaganie w ukrywaniu się zbiegłych spisowych, rekrutów lub czynnych żołnierzy groziła wtedy kara od 3 miesięcy do 1 roku aresztu publicznego, lub kara pieniężna w wysokości od 500 do 1500 złotych polskich.[19]. Ciąg dalszy w następnym numerze Krasnosielckich Zeszytów Historycznych.

Tadeusz Suski

Sprostowanie:

W artykule *Uczestnicy Powstania Styczniowego z terenów obecnego powiatu makowskiego* opublikowanym w 17 numerze KZH pojawił się błąd (na stronie 43 i 48) – zamiast „zbiegli spiskowi" powinno być „zbiegli spisowi". Czytelników serdecznie przeprasza autor artykułu Tadeusz Suski.

[14] Dz. U. G. Pł. z 14 (26) maja 1838 r.

[15] Dz. U. G. Pł. z 1842 i z 1843 r.

[16] Dz. U. G. Pł. nr 30 z 17 lipca 1837 roku

[17] arszyn – dawna rosyjska miara długości obowiązująca w zaborze rosyjskim, będąca sumą długości łokcia i stopy, 1 arszyn = ok. 0, 71 metra. Składał się z 16 werszków.

[19] *Kodeks Karzący Królestwa Polskiego,* art. 229, Biblioteka Rady Stanu, Wwa 1830, s67

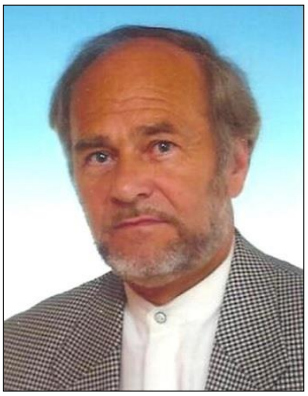

Suma lat … z biegiem dni …

wypis zdarzeń … dotyczących Majkowskich z Załóg i ich przodków

Janusz MAJKOWSKI
Opracowanie edytorsko-techniczne:
Agnieszka WIĘCKOWSKA i Sławomir RUTKOWSKI

Wprowadzenie

Życie nowe, gdy poznaje swoje istnienie, pełne jest nieświadomości. Wszystko wkoło jest tajemnicze i intrygujące. Ciepło sytości i bezpieczeństwa płynące z piersi matki, ciepło spokojnego oblicza rodzicieli, ciepło ciepła domowej izby, ciepło cierpliwości najbliższych po psotach, ciepło płynące z poznawania własnego stawania się człowiekiem ….

Później mały człowiek przechodzi przez etap realizacji oczekiwań innych, stara się! – na ile Bozia talentów dała. Po tym dopiero kiełkują nieśmiało własne malutkie plany, i własna samodzielność się rodzi. Z ciepła dzieciństwa wynosi się wiarę w siebie, wiarę w moralność i poświęcenie dla sprawy … bądź innych, wiarę w Boga.

Talenty bez ciepła szacunku dla ludzi rodzą niebezpiecznych dla ludzi ludzi, czasem zwanych nieludzkimi.

„Nie chcę, by życie, było byle jakie
Nie chcę, by było w nicość zapatrzone
Niech ono będzie Ewangelii znakiem
Niech już przemiany w nim się cud dokona.

Błogosław, Panie, mym pragnieniom!
Błogosław, Panie, mym zamiarom,
Bym wszystko łaską mógł przemienić,
Osiągnąć pełnię Twojej miary.

Uczynisz Panie, ze mnie krzew gorczycy,
Co się rozrośnie drzewem rozśpiewanym,
Lub stworzysz ciszą pośród nawałnicy,
Czy też powiewem wiatru rozedrganym.

Niech będzie Panu wieczna chwała:
Wraz Ojcu z Synem i Duchowi!
Niech wielbi Pana ziemia cała!
Niech wielbią Pana ludzie nowi!

o. Józef Majkowski”

Rodzina Majkowskich stworzyła podwaliny o. Józefa, a on sam zbudował siebie dla innych – czyżby Bóg miał jakiś plan?!

Człowiek to dobry był – i ciągle jest!, pełen prawdy i pracowitego poświęcenia. Cierpliwy krzewiciel dobra, którego początek dał Jezus Chrystus na krzyżu, żyjący w czasach pełnych niesprawiedliwości, krzywdy, i barbarzyństwa.

Dziękujmy rodzinie Majkowskich i ziemi płoniawskiej za takich ludzi, bo nie on jedyny z niej godzien jest naszego szacunku i pamięci. Dziękujmy i pamiętajmy!

Sławomir Rutkowski

Informacją istotną byłaby ta, mówiąca pokrótce, na tyle, na ile wiadomo – a wiadomo nie dostatecznie dużo, skąd wziął się ród Majkowskich, a następnie – jaki jest rodowód

Rok 1939 – sierpień, o. Józef ze swoimi rodzicami Teodozją i Aleksandrem Majkowskim.

o. Józefa (i nasz).

O. Józef zanotował kiedyś: „od wieków tkwiliśmy w Majkach, potem jedno pokolenie w Woli i trzy pokolenia w Załogach”, można dodać tylko, że teraz – w 2014 r. –: już cztery pokolenia… i… na czwartym pokoleniu skończy się bytność tej gałęzi rodu, prowadząca gospodarstwo rolne w tej miejscowości. Wspomniana wyżej Wola to wieś Wola Pienicka, w gminie i parafii Krasnosielc, pow. Maków Mazowiecki, a gniazdo rodowe Majki-Tykiewki, par. Gąsewo gmina Sypniewo powiat makowski. Herbami szlacheckimi, przypisanymi w heraldyce także Majkowskim były Jastrzębiec i Kościesza. Szlachta, w tym i ta tzw. zagrodowa „pisała się” herbami, które nobilitowały ród, świadcząc o jego szlacheckiej przeszłości. Tata o. Józefa nie nosił „karabeli”. Nie ma też śladów, aby jego dziadek trzymał ją na ścianie alkierza.

Herby rodziny Majkowskich:
Jastrzębiec i Kościesza.

Dawna mapa, na której wieś Mayki jest zaznaczona (centralne usytuowanie na mapce)… w lewo: Krasnosielc, Pienice (w pobliżu była Wola Pienicka i … bardziej w lewo – Łazy i Chodkowo … powyżej napisu: „Dębiny”- pisane jeszcze jako: „Dembiny”).

Genealog rodów mazowieckich - Adam A. Pszczółkowski, zbadał dokumenty archiwalne i w jednej z oficjalnych swoich publikacji napisał: „W metryce Księstwa Mazowieckiego można znaleźć z herbem Kościesza jeszcze rodzinę de Tykiewki z ziemi różańskiej; w 1468 roku Mikołaj, Wojciech, Stanisław, Wawrzyniec, Jakub i Marcin, bracia rodzeni de Tykiewki herbu Kościesza, oczyszczają się z nagany szlachectwa, zaś w 1471 roku Jakub i Wojciech, bracia de Tykiewki, par. Gąsewo, pow. Różan. Przekonuje o tym dodatkowo oblata dokumentu z 1460 r., który odnalazłem w księgach różańskich. Wówczas to Konrad, Kazimierz, Bolesław i Jan, książęta mazowieccy, sprzedali za 75 kop groszy 5 włók ziemi w dobrach Tykiewki koło Różana – Mikołajowi, Wojciechowi, Stanisławowi, Wawrzyńcowi, Jakubowi i Marcinowi, synom Macieja Majki [RGW, sygn.66, k.442]. Ci bracia więc, od przezwiska ich ojca, dali początek wsi Majki-Tykiewki i rodowi Majkowskich”.

Dziadek Józia – Wawrzyniec Majkowski przeniósł się z Majk-Tykiewek do miejscowości Wola Pienicka, *w parafii Krasnosielc (jak przypuszczamy… wraz z rodzicami – Piotrem i Teofilą z Grochowskich – i na pewno z częścią rodzeństwa, a na pewno z jednym z braci - Janem: Piotr i Teofila mieli ośmioro dzieci – znaczy to, że niektóre z nich mogły urodzić się w Woli Pienickiej, w latach do 1865 r. – to jest domyślne tylko). Przenosiny rodziny z Majk do Woli Pienickiej odbyły się raczej na początku drugiej połowy XIX wieku; tam gospodarowano… a później… na gospodarstwie pozostał brat dziadka Wawrzyńca – Jan Majkowski z żoną Anielą z Załęskich.*

O przodkach Stryj Józio zapisał kiedyś tylko zdawkowo „… jeden z praszczurów już w XV wieku studiował na Uniwersytecie Krakowskim, drugi był geometrą Króla Stasia, ale ze strony tatusia, od początku świata tkwiliśmy w Majkach, potem jedno pokolenie w Woli (w pobliżu – to właśnie Wola Pienicka), a trzy pokolenia w Załogach, a więc miasta organicznie nie lubię”.

Dopiero w 2012 r. w Karniewie natrafiliśmy na pośmiertny ślad dwóch braci Wawrzyńca – tj.: Franciszka, który był księdzem – proboszczem w Karniewie pow. Maków Mazowiecki (to było wiadome) – oraz Jana, który gospodarował w Woli Pienickiej, a później „był na dożywociu” u swej córki, w Karniewie, a po jej śmierci, u swego brata – ks. Franciszka w Karniewie. Tam – obaj bracia - są pochowani w grobowcu córki Jana – Leokadii ur. W Woli Pienickiej (po mężu Babecka), która zmarła 16.02.1920 roku w Karniewie, mając 23 lata, na nieuleczalną wówczas chorobę.

Kolejny etap migracji tej części „klanu” Majkowskich – to właśnie wieś Załogi (administracyjna nazwa to Chodkowo-Załogi), gdzie Wawrzyniec i Marianna z Ossowskich założyli swoje gospodarstwo rolne – ok. 1880 roku.

Powody tych przedsięwzięć migracyjnych Majkowskich były prozaiczne i dotyczyły znalezienia swojego kawałka miejsca dla zapracowania na doczesność. Dziś możemy tylko ubolewać nad tym, że nie byliśmy „uporczywie ciekawscy” w sprawach historii rodziny. Nie mamy nic na swoje usprawiedliwienie… chyba tylko tyle, że Majkowscy byli ludźmi praktycznymi i skupiać się musieli przede wszystkim na zapewnieniu bytu rodzinom, a nie na sprawach pobocznych. Może gdyby – na przykład – ówczesnym naszym nauczycielom w powojennej szkole podstawowej „przyszło do głowy”, aby zadać uczniom wypracowanie domowe na temat – np.: „Historia mojej rodziny”, to jakiś większy ślad by się utrwalił. Ale… w latach pięćdziesiątych XX wieku usilnie starano się, abyśmy – jako dzieci - zapamiętali … jak to w PRL: „budowalim -śmy” socjalizm i „wzmacnialim -śmy” przyjaźń ze Związkiem Radzieckim i „próbowalim -śmy kształtować charaktery oraz wykuwać przyszłość”. Zajmowanie się rodowodami i losami poprzednich pokoleń – tym bardziej, że były one „obce klasowo” (bo to szlachta zagrodowa, z udokumentowanym rodowodem) – nie było dobrze widziane.

Stanisław Dionizy Majkowski (08.04.1856 - 11.08.1931) i jego żona Marianna (01.08.1859 - 11.10.1955) – dziadkowie o. Józefa (fotografie wykonane pod koniec XIX wieku).

To właśnie w 1950 roku także Majkowscy (i inni gospodarze) dostali od władzy ludowej nakazy płatnicze – tytułem: „od wzbogacenia wojennego”… na kwoty równające się ówcześnie ośmiu przeciętnym płacom w „gospodarce narodowej”. Tata o. Józia nie miał natychmiast takiej kasy, to musiał zapłacić z 20 % - owymi odsetkami (a wtedy suma obciążenia była już bliska 10 przeciętnym wynagrodzeniom).

Adam A. Pszczółkowski /na zdjęciu powyżej/ jest skoligacony z Kakowskimi (i Majkowskimi) bo: jego prababka – Ludwika Kakowska – córka Marianny z Olszewskich i Stanisława Dionizego Kakowskiego – to siostra Teodozji z Kakowskich Majkowskiej, która była mamą o. Józefa.

Ponieważ Ludwika miała jeszcze siostry: Wandę, Zofię, Mariannę i Eufemię to bezpośrednia koligacja sięga jeszcze rodzin: Krajewskich, Żebrowskich, a dalej ich zstępnych (Marianna Pszczółkowska była bezdzietna, a Eufemia była w zakonie Szarytek).

I… jeszcze w 1950 roku władze przeprowadziły „wymianę pieniędzy”, ale na wsi jakichś sum pieniędzy „papierowych” nikt nie miał, więc straty były małe (nie mniej jednak – były!).

Geograficznie wieś Załogi, a właściwie jak już wspomniałem Chodkowo-Załogi, leży w gminie Płoniawy-Bramura, parafia Płoniawy – w północnej części powiatu Maków Mazowiecki. *Ongiś w Załogach był Urząd Gminy, a Adam Andrzej Olszewski pełnił funkcję wójta gminy Chodkowo Załogi; był podówczas dziedzicem części dóbr we wsiach: Sątrzaska, Rogowo i Suche; był sędzią w okręgu makowskim. Chodkowo, zostało po raz pierwszy wymienione w 1377 roku. Jego założycielem był bliżej nieokreślony Chodek (lub Chodko)… ”.*

Drugi człon – „Załogi” pochodzi zapewne od imienia lub nazwiska: „Załoga”. Załoga de Chodkowo [1422-1429] syn N. de Zalesie herbu Kościesza lub nazwiska Załoga lub Założyniec. Jedna z sióstr dziadka o. Józefa – czyli ojca Jego Mamy – Teodozji… Aleksandra Róża Kakowska, urodzona w Dębinach ok.1858 r., wyszła za mąż, za pana Aleksandra Załogę, dziedzica cz. Łaguny-Pokojewo i Dębiny.

Może w dalszej przeszłości, także na części obszaru rolnego Załóg, dziedzicami byli właściciele o nazwisku Załoga? Aleksandra Róża z Kakowskich Załoga żyła jeszcze w 1955 roku, rozpoznano ją na zdjęciu z pogrzebu swojej bratowej - z metryki wynikałoby, że wówczas miała 96 lat! i … była w zdrowiu pozwalającym uczestniczyć w pogrzebie, na piechotę!).

Należy też - w tym miejscu - zaznaczyć, że dziadek o. Józefa, ze strony Mamy – Stanisław Dyonizy Kakowski ożenił się z Marianną Olszewską – córką ww. Adama Andrzeja Olszewskiego z Rogowa – ślub odbył się w dniu 23.02.1879 r., w kościele w Płoniawach.

Ponieważ z Teodozją – córką Kakowskich – ożenił się Aleksander Majkowski, a ślub musiał być tuż po powrocie Aleksandra z carskiej służby wojskowej, z Harbinu tj. w 1909 r., w kościele parafii Święte Miejsce, to w ten spo-

sób rody Kakowskich i Majkowskich połączyła koligacja, a Kakowscy seniorzy dożywali u Teodozji i Aleksandra, w Załogach i są pochowani na cmentarzu parafialnym w Płoniawach.

Płoniawy-Bramura – wieś wzmiankowana od połowy XIV wieku. W 1567 r. wymienia się Płoniawy, jako należące do parafii Podosie (Podoś – dobra rodu Podoskich). Pierwszy człon nazwy „płon" - oznacza ziemie płoną, nieurodzajną, bezleśne pastwisko; drugi człon – Bramura – ma związek z „bramą".

Po wewnętrznej rywalizacji, pomiędzy dwoma rodami lokalnych ziemian, którą wygrał Józef– od tego w Młodzianowski, to on jako dziedzic Płoniaw wystawił w 1828 r. nowy kościół murowany, większy gabarytowo od tego w Podosiu. Po innych zabiegach formalnych i tych mniej formalnych**,** Młodzianowski uzyskał od cara zezwolenie na przeniesienie siedziby parafii do Płoniaw, i siedziba parafii została przeniesiona do Płoniaw. Niestety procesujący się z Młodzianowskimi ziemianin z Podosia, zbankrutował, także w związku z kosztami procesów sądowych przed ówczesnymi sądami biskupimi.

W czasie powstania styczniowego w okolicy Płoniaw były potyczki z wojskami carskimi; na cmentarzu jest obelisk nad grobem 9 powstańców, z oddziału Tytusa Szteinkellera, poległych w lutym 1863 r. oraz dwie kaplice z drugiej połowy XIX wieku.

Rodowe siedlisko Majkowskich w Chodkowie-Załogi ma współrzędne: 53°01'31,51''N i 21°02'06,79"E. Poszczególne zabudowania gospodarskie i grunty - także tej wsi, są teraz świetnie widoczne poprzez satelitę, z dokładnością do cienia jednej krowy na pastwisku i gruszy na miedzy. Taki postęp! Ale jest rok 2014. Minęło104 lata - jak urodziła się najstarsza z rodzeństwa Majkowskich – Stanisława, 102 – jak urodził się jej brat Mikołaj Bolesław (oboje w Dębinach) i … 98 lat - jak urodził się Józef – już w Załogach. Kolejni Majkowscy rodzili się w: 1918 r. - Wiktor Kazimierz; 1922 r. – Halina; 1924 r. - Maria Krystyna); (podkreślenie imion oznacza, że posługiwali się tym drugim). 24 stycznia 2014 r. minęła 129 rocznica urodzin Taty o. Józefa, a w tym samym roku minie 122 rocznica urodzin Jego Mamy.

Dziadkowie Józia - Wawrzyniec i Marianna z Ossowskich małżeństwo Majkowscy, mieli pięciu synów:

1. Władysława (1882 r. - 21.06.1929 r.),
2. Aleksandra (24.01.1885 r. - 24.08.1955 r.),
3. Bronisława (emigracja do USA – innych danych brak)
4. Stanisława – który zmarł wcześnie, i tyle wiadomo na jego temat),
5. Franciszka (1897 r. - 14.10.1936 r.).

Wawrzyniec i Marianna – rozpoczęli gospodarowanie w Załogach na około 30 hektarach dobrej jakościowo ziemi (dwie włóki – ówcześnie to był duży areał rolny, a narzędzia do jego uprawy były skromne – dość powiedzieć, że siłę pociągową stanowiły także woły; takie dwa „silniki" służyły jeszcze w latach trzydziestych ubiegłego wieku – jako zaprzęg w rodzinnym gospodarstwie Taty o. Józia). Od ostatniego dwudziestolecia XX wieku, a więc po stu latach od osiedlenia się w Załogach

Stanisław Dionizy i Marianna Majkowscy – dziadkowie o. Józefa.

dziadków o. Józefa, areał rzędu 30 ha można uznawać za niezbędną wielkość, która zapewnia jednej rodzinie możliwości dość intensywnego gospodarowania, o ile gospodarstwo jest już zasobne w funkcjonalne budynki, zwierzęta hodowlane i podstawowy sprzęt, w tym zmechanizowany). (Przyp. J.M. – mogło być też tak, że Wawrzyniec ożenił się u Ossowskich – taka rodzina mieszkała wówczas w Załogach, ale jest to tylko domyślne).

Te 30 hektarów Majkowskich stanowiły sąsiednie pasy ziemi, ciągnące się na równinie, od wsi na długości ok. 2 km. Przyznać trzeba, że jeśli Majkowscy – dziadkowie o. Józefa – zdołali gospodarować na tak poważnym areale w ówczesnych warunkach, to musieli posiadać tradycje rzetelnej znajomości rolniczego rzemiosła. Pamiętać należy, że wszystko dzieje się w Polsce, na Mazowszu, pod zaborem rosyjskim. Nie wiemy dokładnie ile – w tamtym rejonie – w drugiej połowie XIX wieku – kosztował hektar ziemi. Niekiedy podają, że morga ziemi ornej kosztowała 90 rubli. Koń roboczy kosztował 49 rubli, krowa dojna 31 rubli, a prosię ok. 10 rubli). (morga= 0,56 ha; podatek roczny od morgi ziemi wynosił 60 kopiejek; morga – tą miarą oznaczono obszar, jaki jednym zaprzęgiem konnym mógł zaorać rolnik w ciągu całego dnia).

W czasach rozpoczynania przez Wawrzyńca i Mariannę – tj. w latach 80-tych XIX w. – samodzielnego prowadzenia gospodarstwa rolnego –występowały oferty, w których na przykład: 9 morgów ziemi, tj. ok. 4,5 ha, kosztowało 200 rubli srebrnych, a np. duży dworek z zabudowaniami i 14 morgów ziemi – ok. 7 ha - kosztował 1000 rubli srebrnych. Z tego można nieco zorientować się, jaką wartość stanowił ówcześnie tzw. majątek ziemski o areale ok. 58 morgów ziemi uprawnej z zabudowaniami.

Za 100 kg żyta można było otrzymać 4,5 rubla, a za tyle samo pszenicy ok. 5,8 rubla; 100 kg wieprzowiny kosztowało ok. 29 rubli, a pud masła – ok. 15 rubli (sprzedawano na pudy, a pud odpowiadał masie ok. 16 kg); funt cukru – czyli 40 „deko" – kosztował 12 kopiejek.

Dziadkowie o. Józefa przekazali ziemię rolną swoim dwóm synom: najpierw najstarszemu – Władysławowi i – z czasem – młodszemu o 15 lat – Franciszkowi.

Aleksander natomiast – ożenił się z potencjalną dziedziczką majątku rolnego Kakowskich; Bronisław wyemigrował, a historia Stanisława – zatarła się w… biegu dni (wcześnie zmarł).

Ślad po bytności w Załogach Wawrzyńca i Marianny… zatarł się – jak dotąd – skutecznie. Tylko na jednej fotografii – z 1920 roku – jest babcia o. Józefa i On sam – pięcioletni wówczas, w towarzystwie rodziców i swojego oraz stryjecznego rodzeństwa z rodzicami.

Majkowski – Senior – pewnie wyraził wolę pochówku w miejscu swoich rodziców, a więc w Majkach – co było przed 1920 rokiem – a Marianna … tam gdzie mąż – co datujemy intuicyjnie na pierwszą połowę lat dwudziestych ub. wieku; później – przez dziesiątki lat, znaczonych trudem codzienności oraz kolejną traumą drugiej wojny światowej i powojennej rzeczywistości… pokolenie o. Józefa poprzestało na modlitewnej łączności z duchami swoich dziadków, których wizerunek zaniknął z przyczyn naturalnych).

Grusza na miedzy - to miejsce, w którym grupowano małych Majkowskich, z zakazem oddalania się!, podczas prac w polu, na pobliskim areale – jak widać… w niczym nie przypomina to „obiektu przedszkolnego").

Kiedy Aleksander i Teodozja – rodzice o. Józia – kupowali w Załogach to 13,5 hektarowe gospodarstwo, z lichymi dość zabudowaniami, niewielkimi gabarytowo, pamiętać jednak trzeba że wtedy wszyscy takie tylko mieli, to – jak przypuszczamy – wydali na zakup nie mniej niż cztery tysiące rubli bo usytuowanie gospodarstwa było równorzędnie korzystne, jak i Majkowskich – seniorów oraz innych gospodarzy we wsi, a ziemia – w wielu miejscach – nadawała się zarówno pod uprawę pszenicy jak i buraków. Rejestrowaliśmy wypowiedzi, że Aleksander i Teodozja dysponowali wówczas sumą ok. 4–5 tys. rubli na zagospodarowanie Część tej sumy to był posag Teodozji; niestety, nigdy nie zostaliśmy „oświeceni" – jak to było z tą transakcją; jak przypuszczamy - gospodarstwo w Załogach kupili w 1914 roku i wtedy tam się osiedlili.

W tamtym czasie funt mięsa wołowego, czyli 0,4 kg kosztował w sklepie 10 do 16 kopiejek, podobna była cena mięsa wieprzowego, cielęcego i baraniego. Funt masła kosztował 35-45 kopiejek, a 4 litry mleka 30 kopiejek; jajko 2-3 kopiejki. Stolarz zarabiał wtedy 160 kopiejek dniówki, a murarz – ok. 140 kopiejek, a robotnik przy żniwach – otrzymywał 55–60 kopiejek, za dniówkę, a zimą tylko 25 kopiejek, wiosną 40 kopiejek, jesienią – 30 kop.! No i … jedna dusza męska wyceniana była na... 175 rubli ros. „asygnowanych", co później odpowiadało wartości: ok. 1 160 zł).

Aleksander i Teodozja – w latach 1909 r. do przełomu na 1914 rok – mieszkali w Dębinach, w rodzinnym gospodarstwie Kakowskich i tam gospodarowali wspólnie. W domu była jeszcze młodsza o dwa lata siostra Teodozji – Zofia.

Aleksander dążył do pełnego usamodzielnienia się, a ponieważ w pobliskich Załogach byli Jego Rodzice i gospodarowali dwaj bracia, to przy najbliższej okazji wystawienia do sprzedaży jakiegoś gospodarstwa w Załogach, podjął wyzwanie jego kupna.

Jeden rubel, rok 1889

Natomiast gospodarstwo w Dębinach zostało przez Kakowskich sprzedane i obydwoje seniorzy przenieśli się „na dożywocie" do Załóg (babcia o. Józefa – Marianna Kakowska mieszkała w Załogach do 1947roku, następnie u córek w Mławie, a w ostatnim swoim ziemskim czasie była w domu opieki prowadzonym przez Siostry Szarytki, w Przasnyszu).

Pięć rubli – rok 1909 (Tata – o. Józefa wraca z Harbinu).

Najmłodsza córka Kakowskich – Zofia, wyszła za mąż, za znamienitego/nowoczesnego rolnika – Wincentego Żebrowskiego – gospodarującego na 75 hektarach, w Nowym Łączynie; ślub miał miejsce w1918 roku, w kościele w Płoniawach – co potwierdzałoby, że w tamtym czasie Kakowscy mieszkali już w Załogach.

Przyszły o. Józef Majkowski, tu w wieku ok. 5 lat. Fotografia z ok. 1920 roku.

W czasie wojny znakomite gospodarstwo Żebrowskich zajęli Niemcy. Po wojnie – gospodarstwo odebrała Żebrowskim władza ludowa ... Tak zniszczono dorobek hodowlany i uprawowy tej polskiej rodziny – bez odszkodowania, a jego właściciel, określany wówczas mianem „kułak" – dostał zakaz pracy na tym terenie! Rodzina ta musiała pozostawić cały dorobek i opuścić dom!

„Główne" siedlisko Wawrzyńca i Marianny zostało sprzedane; miało to miejsce w końcu lat dwudziestych. Siedlisko sprzedawał Franciszek Majkowski – najmłodszy ich syn – następca na połowie pierwotnego areału gruntów. On, jako już samodzielny gospodarz, zdecydował, że swoje siedlisko przeniesie poza zwartą zabudowę wsi – i tak zrobił! (nasze domniemanie tylko wskazuje, że w czasie ww. transakcji sprzedaży – seniorka rodu – Marianna nie żyła. Po 11 latach, po przeprowadzce poza wieś, Franciszek – brat Aleksandra – zmarł… osierocił dwie kilkuletnie córki i jedną – kilkumiesięczną oraz dwóch nastoletnich synów. Przyległy do ww. siedliska grunt orny, o powierzchni ok. pół hektara, przypadł Aleksandrowi; na części tej ziemi rosły drzewa owocowe.

Fotografia datowana przez o. Józia na 1920 rok, - środkowa część foto: Józio obok swojej babci Marianny, przed rodzicami –Teodozją (28 lat) i Aleksandrem (35 lat); po jego lewej – siostra Stasia – 10 lat, dalej: Boleś – 8 lat; siedzą – obok seniorki – prawie rówieśnicy dwuipółletni stryjeczni bracia Wicuś i Kazik – brat rodzony Józia; w lewej części foto: stryjeczne rodzeństwo Józia, Stasi, Bolesia, Kazika i Wicka – Zosia i Paweł – stoją przed rodzicami Antoniną (33 lata) i Władysławem (38lat). W prawej części foto – stoją Franciszek (23 lata) i Feliksa (25 lat) – Majkowscy – rodzice Wicusia. Ośmioro z obecnych na fotografii osób – Janusz Majkowski znał, bezpośrednio i blisko – tj.: Teodozję i Aleksandra (dziadkowie), Feliksę - żonę brata mojego Dziadka; Stanisławę (ciocia), Bolesława (ojciec); Józefa i Kazimierza (stryjowie), Wincentego – Stryj - stryjeczny).

W czasie sprzedaży siedliska Majkowskich – seniorów, pieniądz w Polsce miał już stabilną wartość – jeden dolar = 5,18 zł. O samej transakcji nie mamy wiedzy; próby dotarcia do dokumentów kupna – sprzedaży nie powiodły się – pomimo, że w 2014 r. żyli zstępni kupującego).

Siedlisko rodziców o. Józefa było/jest „po przeciwnej stronie drogi" siedliska dziadków - tj. Wawrzyńca i Marianny; był więc czas, w którym także Józio miał w bliskim otoczeniu również swoich stryjów i stryjeczne rodzeństwo; później dwójka z tego rodzeństwa przeniosła się z rodzicami do Przasnysza; dwóch stryjecznych braci mieszkało poza wsią - „na kolonii", a w 1928 r. – sam Józio wyjechał do Seminarium w Chełmie Lubelskim (a stamtąd do Kalisza… potem do: Starej Wsi, do Pińska, Krakowa, Wilna, Szawel… i jeszcze raz do Wilna i do… Warszawy, jako… repatriant).

Tuż przed końcem lat dwudziestych ub. wieku, Władysław i Antonina Majkowscy – stryjowie o. Józefa – sprzedali swoje gospodarstwo z powodów zdrowotnych Władysława i przenieśli się do Przasnysza - wiarygodny przekaz pośredni utrzymuje, że ww. Majkowscy już w 1920 roku byli osiedleni/zagospodarowani w Przasnyszu. W czasie sprzedaży tego gospodarstwa ówczesna waluta – to lata 1918-1919. – marka polska, nie była jeszcze osłabiona inflacją - ale już występowały symptomy osłabienia: na przykład jeszcze w sierpniu 1920 r., robotnikowi na wsi płacono 100 marek polskich za dniówkę + podwieczorek, to w 1921 r. – 300 mkp + obiad, a w 1923 roku – dniówka robotnika sięgała nawet 2 mln mkp.

Jeśli w 1921 r. – za ćwierć metra (tzn. za ćwierć kwintala) żyta płacono 3 000 mkp, to w 1923 r. – już 85 000 mkp., a w 1924 roku – nawet 7 000 000 mkp (czyli dniówka robotnika rolnego to była równowartość ok. ćwierci metra żyta!).

W listopadzie 1918 roku dolar kosztował ok. 4,8 mln mkp; a na koniec grudnia 1923 r. za dolara trzeba było płacić 6,4 mln mkp; za franka w złocie płacono 1,58 mln mkp.

Na początku 1924 roku, za 1$, płacono 9 mln mkp!, a w połowie tego roku – już 9,5 mln mkp. W styczniu 1924 r. cena jednego kilograma słoniny wzrosła do 4,8 mln mkp; boczku – do 5,3 mln mkp; żeberek – do 2,5 mln mkp; plasterek cytryny kosztował 40 tys. mkp, a szklanka herbaty w lokalu - 200 tys. mkp.).

W 1924 roku – kiedy to w kraju wprowadzono słynną reformę walutową – Józef Majkowski miał 9 lat… uczył się pilnie… i zapewne nie zdawał sobie sprawy z tych ekonomicznych przemian w Państwie. Widział tyle ile działo się w rodzinnym domu, a tam utrzymywano się z tego, co urosło w ogrodzie, na polu, w chlewiku i…"na grzędzie"; w 1924 roku Stasia – wyjechała do Łomży - uczyć się w szkole średniej … powstały nowe wydatki na jej utrzymanie tam i naukę, a w maju… na świat … przyszła (Maria) Krysia – najmłodsza z rodzeństwa, jej młodsza siostra – Hania miała wtedy już dwa lata, brat Kazik - sześć, a Boleś - dwanaście.

Fotografia wykonana w Przasnyszu, właśnie z okazji „urządzenia się" już tam rodziny Władysława i Antoniny Majkowskich (pierwsza para od lewej), po sprzedaży gospodarstwa rolnego w Załogach. Majkowscy kupili w Przasnyszu spory obiekt, który wynajmowali później także na potrzeby pierwszego banku spółdzielczego… tu trzeba dodać, że inicjatorem złożenia – w 1924 r. – Banku Spółdzielczego w Przasnyszu i pierwszym jego prezesem – do 1929 roku – był... Józef Kakowski (1887-1984) – brat stryjeczny mamy o. Józefa – Teodozji; o. Józef uczestniczył – w 1984 roku – w pochówku swego stryja – stryjecznego: Józefa Kakowskiego – na Cmentarzu Powązkowskim.

RZECZPOSPOLITA POLSKA

Województwo warszawskie Powiat Mława mar.

METRYKA URODZENIA i CHRZTU

WYDANA NA ZASADZIE KSIĄG METRYKALNYCH RZ.-KAT. PARAFII Płoniawy

za rok 1915 nr aktu 118

Niniejszym zaświadczam, że Józef Majkowski

syn Aleksandra i Teodozji

córka

z Kakowskich urodził (a) się w Chodkowie Załogach

dnia 30 października 1915 r. tysiąc dziewięćset piętnastego roku

ochrzczony (a) dnia 31 października 1915 roku

Uwagi

Płoniawy, dnia 25 sierpnia 1950 r.

Proboszcz

ks. St. Bindzyński

15 Zł 15 OPŁATA SKARBOWA

15 Zł 15 OPŁATA SKARBOWA

Już 31października Józia ochrzczono *(szukając – w tym obrzędzie – wsparcia dla wątłych sił niemowlęcia).* Józiek pokonał wstępne słabości organizmu i choć nie był jako dziecko fizycznym gigantem, później podrósł, zmężniał i fizycznie był silny, jak wszyscy Majkowscy z tego pokolenia *(choć tego nie okazywał).*

O tych dwóch pokoleniach rodu Majkowskich, których dotykamy opisem – można powiedzieć, że były z sobą zżyte. Takie przekonanie wywodzimy z obserwacji, z tamtego czasu, gdy niewprawnymi dziecięcymi i młodzieńczymi umysłami ogarnialiśmy otoczenie.

Dlaczego nie mamy bliższych przekazów o poprzednich pokoleniach? Chyba jest tak, że te pokolenia były cały czas w trudnej sytuacji, a wtedy… nikt nie skupia się (niekiedy i sensu się nie odnajduje) na rozpatrywanie przeszłości, w tym i swoich korzeni, ani przyczyn, dlaczego jest „tak a tak" i… w sposób naturalny zanika przekazywanie informacji o… trudach losu. Byli silni swoją wspólnotą, ale też nie rozczulali się nad sobą. Wszystko przytłoczone było trudem codziennych obowiązków. Uwzględnić trzeba też fakt, że ci z poprzedniego pokolenia, urodzeni w latach 1910-1924, słabo mogli pamiętać (lub w ogóle) wydarzenia dotyczące ich dziadków, które później, nawet poznane, zatarły się w pamięci, bo ważniejsza była walka o byt codzienny, w trudnych niezwykle czasach.

W domu Majkowskich, nie było atmosfery orientalnych baśni, była natomiast „proza codzienności ludzi schwytanych w sieć życia i czasu". Nic szczególnego „pod Słońcem", zarówno w tamtych stronach, jak i na Planecie.
(Tak mało pamiątek dokumentalnych po Majkowskich, z tamtych lat, bierze się także stąd, że w czasie II wojny mama o. Józia postanowiła spalić wszystkie zbiory mające charakter dokumentów. Zaznaczyć należy, że w ówczesnych czasach dokumentowanie fotograficzne zdarzeń rodzinnych (i innych) było trudno dostępne, tak z powodu odległości do miejsc gdzie były zakłady fotograficzne, jak i kosztu tych usług).

Właściwie to, poza fotografiami naszych pradziadków - Stanisława Dionizego i Marianny Kakowskich, została się nam, z tamtych lat, tylko książeczka, o treści modlitewnych rozważań, na każdy dzień roku – p.t. „Rok Zbawienny, czyli Droga Uświątobliwienia" – wydana w 1889 roku, za zezwoleniem carskiej cenzury, wydanym 26 sierpnia 1888 r. Ta książeczka pochodzi od Kardynała Kakowskiego; trafiła do Kakowskich, w Dębinach – naszych pradziadków – poprzez Eufemię Kakowską, długoletnią Wizytatorkę zakonu Szarytek, a dalej… z Kakowskimi… do Majkowskich w Załogach.

Kardynał Aleksander Kakowski był stryjecznym bratem Stanisława Dionizego – ojca Teodozji, a więc Stryjem-stryjecznym – m.in. – dla Teodozji – Mamy Józia.

Znany nam rodowód o. Józefa – od strony Mamy – Teodozji Kakowskiej – sięga dziewięciu pokoleń wstecz – do 1575 r.; natomiast od strony jego Taty – archiwalne zapisy dotyczące początku rodu Majkowskich sięgają połowy XV wieku; część dokumentacji (urodzenia chrzty, śluby, zgony), prowadzonej - w tamtych czasach – w parafiach Gąsewo, Krasnosielc, Płoniawy uległa zniszczeniu, liczymy jeszcze na jakieś ślady o tej linii Majkowskich (od Piotra – tj. od lat 1820 – wstecz), które mogą tkwić w zbiorach Archiwum diecezjalnego w Płocku.

Na wsi rodzinnej Józefa Majkowskiego, podobnie jak w innych wsiach kraju było: - niedoinwestowanie; drewniana zabudowa kryta słomą (pomniejsze już strzechy słomiane w Załogach pozostaną, głównie na stodołach i budynkach pomocniczych, prawie do końca lat osiemdziesiątych (!); spustoszenie wojenne po I wojnie światowej i duża ilość tzw. „chłopów bezrolnych". Jednak cały czas chłopi – gospodarze - rolnicy, w średnich gospodarstwach,

folwarkach i większych obszarowo, z roku na rok orali ziemię siali, sadzili rośliny okopowe… w dość dużym tempie. Kiedy się czyta zbiory informacji – na przykład o strukturze zasiewów – to okazuje się, że ta struktura, w latach 1924-1929 nie była gorsza niż jeszcze w latach 60-tych, po drugiej wojnie!; identycznie było z hodowlą. Dochodowość w rolnictwie zarówno wtedy jak i później była jednak niska!. Kiedy się zbierze szerzej, informacje dotyczące tamtych czasów, to dopiero wówczas widać z jakimi przeciwnościami ludzie na wsi (a i w mieście) – Obywatele Niepodległej – musieli się zmagać, aby przetrwać. Umiejętność rządzenia krajem nie była mocnym punktem jego elit, choć występowały jednostki utalentowane, a i warunki zewnętrzne – nie sprzyjały.

Czy wyżej zamieszczone „uwarunkowania krajowe" były „roztrząsane" w codzienności życia takich rodzin, jak ta Majkowskich w Załogach? (przy lampie naftowej, zapalanej tylko w niezbędnej potrzebie, co było jeszcze udziałem niektórych z nas!). Myślimy, a „najrzadszym rodzajem odwagi jest odwaga myślenia", że nie były „roztrząsane". Krótkie wątki wokół rodzinnych spraw dotyczących Majkowskich.

Prawo „wstępnego składania tego tekstu" Janusz Majkowski nadał sobie z tego powodu, że urodził się w tym samym starym drewnianym domu, co Wielki Jezuita – Józef Majkowski, a więc pamiętam z okresu swoich lat wczesno dziecięcych tamto siedliskowe otoczenie. Mnie, jak i Jemu, towarzyszył ten sam widok na podwórko, z jedynego okna w kuchni, na stronę zachodnią, chociaż było to ok. trzy dekady później!. Po wyjściu za próg starej chałupy, po lewej stronie, na posesji, tuż przy drodze – mieliśmy widok sporego już drzewa – jesionu. To drzewo rośnie do dziś (2014 r.) – jest ogromne i ma setkę lat – jak nie więcej, ale … tylko szumi… nie mówi nic! To pewne, że muszą na nim być także ślady rąk Józka, jego sióstr i braci, ba! – także ślady ich rodziców i dziadków. To wszystko ma tylko znaczenie czysto symboliczne, tak jak symboliczna staje się – z czasem – tzw. „łączność pokoleń", bo… „o co tu się oprzeć"? Najpewniej jest oprzeć się o symbole tej łączności, choćby to była kora starego drzewa, czy nawet stuletnie wierzeje ze starej stodoły, które nadal służą, w użytkowej budowli chroniącej sprzęt gospodarski, a także niepotrzebne rupiecie, z którym trudno się rozstać.

Na początku XX wieku także całą rodzinę Majkowskich dosięgał niedostatek, i skutki zaboru rosyjskiego, następnie I wojny światowej i kolejnej wojny, w tym poniewierka obozowa trojga młodych Majkowskich, pozostały - tak myślimy - wielką traumą.

Dom rodzinny Józia (a także i mój – Janusza Majkowskiego) – jako budowla, to była najzwyklejsza wiejska, niska chałupa, z drewnianych bali, kryta słomianą strzechą. Stała szczytem do drogi. Od strony zachodniej główne pomieszczenie „wielofunkcyjne" z płytą kuchenną „na fajerki" z małym oknem od podwórza, – tak, aby widać było tzw. „całe obejście". Pokój od strony wschodniej zajmowali Kakowscy, później tylko prababcia (pamiętam, że wchodzenie tam miałem chyba utrudnione, bo koniecznie chciałem sprawdzać, co znajduje się w dużym kufrze, który stał przed łóżkiem… A w kufrze były m.in. cukierki, czekolady, przysyłane jej przez córki. Podobno byłem surowo przestrzegany, przez prababcię, że „to trucizna, wnuczku" – może w trosce o moje zdrowie, a może z powodu „zazdrości" seniorki o „swoją własność", którą wnuczek może szybko uszczuplić (ten kufer, ongiś zawierający rzeczy seniorki rodu Kakowskich, przetrwał do dziś, na strychu – ot zwykła skrzynia, a dotykająca czasów sprzed wieku. Prababcia troszczyła się bardzo o swoje słodycze, a jeśli miałoby ich ubyć, gotowa była się ciężko rozchorować.

Majkowscy mieszkali na niewielkiej powierzchni, podczas zim było jeszcze ciężej, pomieszczenia ogrzewano pośrednio, tylko tyle, co w dzień i tylko drewnem i to nie zawsze grubym.

Józio i pozostałe rodzeństwo, zaznawali losu „hartującego wolę w warunkach bytowania", mnie i moim braciom – też trafiły się takie warunki bytowania, inni nasi rówieśnicy, czy niektórzy kuzyni – nie mieli nic lepiej!

Siedlisko Majkowskich było niżej położone i słabo przesiąkliwe. Podczas byle jakiego deszczu, natychmiast powstawało błoto, a na środku – spora kałuża, wręcz mały staw. Dodatkowo, ze względu na niski poziom wód gruntowych i spływające wody z posesji sąsiedzkiej, na podwórku Majkowskich istniał kiedyś – za czasów Józefa - nawet mostek, aby można było furą, zaprzęgiem konnym, przejechać w kierunku stodoły i chlewa (obory). Próby odprowadzenia wody z podwórka były walką nierówną, bo nie było gdzie jej szybko odprowadzić. Józio i jego rodzeństwo, jako dzieci, mieli warunki bytowania uprzykrzone dodatkowo, ale gorsze czasy miały dopiero nadejść!

Z dystansu dziesiątków lat wiadomo, że pokolenia naszych dziadków i ich dzieci zetknęły się z czasem upokorzeń, bo jeszcze zaborca – rosyjski i pierwsza wojna światowa, później upokorzenia i cierpienia… bo okupant niemiecki…, który poza zniszczeniami materialnymi, wtrącił do obozów troje z nich, w tym i o. Józefa.

A po wyzwoleniu… znaleźli się w ustroju, który zaraz chciał ich uszczęśliwić na nowy, radziecki sposób. To wówczas, na przełomie 1947/48 roku, brat o. Józefa – Bolesław został w Załogach aresztowany przez UB; torturowali go w więzieniu w Makowie Maz., chcąc wymusić jakieś zeznania. – Nic nie wiedział! – przywieźli go spuchniętego potwornie!!, szczególnie nogi – bili w pięty, przez buty!; to w tamtym czasie oskarżono także stryjecznego ich brata Jerzego Wincentego s. Franciszka i wtrącono go do więzienia, z wyrokiem 14 lat!, za rzekomą działalność partyzancką – na co nie było podstaw! To w latach „władzy ludowej" „zapraszano o. Józefa „na rozmowy w Urzędzie do którego nikt porządny dobrowolnie nie chodzi" – i to nie jednorazowo. Tu trzeba dodać, że niektórzy współbracia o. Józefa byli osadzeni w celach więzienia na Mokotowie – m.in. o. Edward Bulanda, czy o, Tomasz Rostworowski – we Wronkach … To chyba o. Rostworowski pomimo trudnych warunków pobytu w więzieniu napisał wierszyk: „Ojciec Gaudenty uczył w kościele. Jak ważną rzeczą mieć w życiu cele. I posłuchali Ojca synowie. Każdy ma cele na Mokotowie".

Wydawałoby się, że wspomnień, szczególnie związanych z odniesieniami rodzinnymi powinniśmy mieć sporo, bo są… „sumą lat… z biegu dni…", a okazuje się, że z dziesiątków lat życia, trzech poprzednich pokoleń Majkowskich, udaje się pozbierać nieliczne, które można zmieścić na niewielu kartkach zeszytu.
Co więc wypełniało Majkowskim całą resztę przeżytego czasu, w tym Ich i naszych, rodzinnych relacji?

Chyba powiemy, że… praca!

Na wsi szczególnie intensywne zajęcia wyznaczały pory roku, nie zawsze łaskawe dla ludzi, zwierząt i roli. Rytm dnia związany z pilnym obrządkiem potrzeb zwierząt, żmudnymi pracami w polu, a zimą – głównie żmudnym młóceniem i oczyszczaniem zboża, do tego ciągłe zmaganie się z samodzielnym organizowaniem funkcjonowania gospodarstwa i zapewnieniem sobie bytu (a i tak byt zwierząt – żywicieli rodziny, był na pierwszym planie!). Czasami, szczególnie podczas jesieni i zim, gdy Słońce opóźniało dostawę światła, a po południu szybko zbierało się na drugą stronę półkuli – „dnia brakowało". Ot - zwykły wiejski trud codzienny, będący przed wojną udziałem ponad 70% populacji Polek i Polaków – bo „tyli luda" żyło na wsiach. Czego mogli im zazdrościć – nawet wówczas –ludzie mieszkający w miastach?, a zazdrościli!, podobnie jak i w dzisiejszej rzeczywistości pełno jest komentarzy o „dobrobycie rolników"…. Ale jakoś nikt ze wskazujących na „dobrobyt" nie kwapi się do próby zmierzenia się z materią prowadzenia gospodarstwa rolnego.

Na początku XX wieku, całą rodzinę dosięgał bardziej dojmujący niedostatek, a skutki zaboru następnie I wojny światowej i następnej wojny, w tym poniewierka obozowa trojga młodych Majkowskich, pozostały - tak ponownie myślimy - wielką traumą tamtego/tamtych pokoleń, tak wielką, że nie zdradzali najmniejszej chęci, aby z kimś z następnego pokolenia o tym rozmawiać, a nawet między sobą!.

Kiedy tamto pokolenie Majkowskich miało zaczynać pracę własną, w tym także nie na roli, to wojna! wplątała się w ich życiorysy. Na pokolenie o. Józia, przy zdolnościach i talentach Jego oraz sióstr i braci, nie tyle wpłynęło negatywnie to, że urodzili się na wsi i mieli do czynienia ze słabej jakości edukacją wstępną, ile odcisnął się niedostatek – materialny i oświatowy – związany ze skutkami czasu zaborów, pierwszą wojną światową, a krańcowo… drugą wojną światową i następstwami tych dziejowych kataklizmów. Ludzie ludziom, często z powodu tylko ich przekonań – ale tak jest od wieków i tysięcy lat! – gotują los, który zamyka ich bieg po własne ziemskie szczęście. Jeden z przykładów tragedii to Nagasaki – miasto w Japonii. Tam był czas, kiedy męczeńską śmierć poniosło 26 chrześcijan – ukrzyżowanych na wzgórzu, tylko za to, że byli chrześcijanami i przekonywali do swojej wiary. Po latach chrześcijanie właśnie zrzucają na Nagasaki bombę A. o straszliwej sile rażenia. „To tutaj nieprzewidywalna parabola – „wzdłuż której porusza się los i przesądza o dziejach kraju i ludzi" – wróciła do punktu wyjścia, w najbardziej nieoczekiwany sposób". I dodać trzeba, że na tę azjatycką Golgotę, gdzie w 1865 roku wzniesiono katedrę Urakami, w nią właśnie, pilot bombowca, irlandzki katolik, wykonując – a jakże – rozkaz wojenny, wycelował bombę,

uprzednio – o ironio – pobłogosławioną przez katolickiego księdza. Epicentrum wybuchu znajdowało się tylko 500 metrów od katedry.

Tylko pogoda sprawiła, że bomba upadła na Nagasaki, bo planowano zrzucić ją gdzie indziej. Ale to pogoda „czynnik niezależny od ludzi" spowodowała, że w tak symboliczny sposób zbiegły się ww. okoliczności.

Jest 9 sierpnia 2012 – 67 lat temu, o godzinie 11:02, miał miejsce ten kataklizm w Nagasaki, po doświadczeniach wybuchu nad Hiroszimą. Czy dla ludzkości było wówczas inne wyjście?

Tata Józia… Aleksander – urodził się w Załogach 24 stycznia1885 roku. Tu spędzał dzieciństwo, tu uczył się w szkole powszechnej, w warunkach bardzo surowych. W połowie lat 20-tych, mieszkańcy wsi podjęli inicjatywę budowy murowanego obiektu szkoły, Aleksander został obdarzony przez nich obowiązkiem członka trzyosobowego honorowego komitetu budowy, w celu nadzorowania całego przedsięwzięcia; członkiem – pierwszym wśród równych – tego Komitetu był Stanisław Dominik Chodkowski (1864–1935) – ojciec ww. Ireny Majkowskiej (1919–1999).

Budynek szkoły ukończono w 1930 roku).

Dotychczas szkoła mieściła się w izbie prywatnego wiejskiego domu – chałupy, a podstawowymi przyborami szkolnymi była tabliczka wypełniona masą gliniastą oraz tzw. rysik, żadne tam zeszyty w kratkę, bez kratki lub linię. Taka była rzeczywistość.

Szkoła, w której pisało się rysikiem na tabliczce, z podłożem pozwalającym pozostawiać ślady, była też udziałem dzieci Aleksandra. Taka szkoła, z jednym, może dwójką nauczycieli mogła tylko uczyć podstawowego zakresu: czytania, pisania, rachunków, biologii, śpiewu... Zapisywane „rysikiem" słowa, zadania itp., niknęły prawie natychmiast – i nie można było „zajrzeć do notatek".

Aleksander (Oleś) pomagał od najmłodszych lat przy różnych zajęciach w gospodarstwie rodziców – na wsi nie mogło być inaczej. Wszystkie dzieci wiejskie angażowano bezapelacyjnie do wykonywania pomocniczych prac, a tych nie brakowało – codziennie. Jak wiadomo, całkowicie wolnych dni w gospodarstwie rolnym nigdy nie było, także w niedzielę trzeba było zajmować się zwierzętami na pastwisku lub w oborze.

To wtedy, jak kiedyś „zeznał" dziadek Oleś, mając 6 lat … już wtedy miał skombinowaną machorkę i … palił tytoń – (akcja działa się na polu, podczas pasienia krów, to Rodzicom trudno było zapewne upilnować nałogowca! Nie wiem, czy jego ojciec – Wawrzyniec – był amatorem tytoniu, jeśli nie – mały Oleś musiał podpatrzeć u wiejskich chłopów, intensywny zwyczaj „kurzenia machorki". Spośród dzieci Olesia – tylko jedno było nałogowym palaczem – najmłodsza córka Krysia, … przytłoczona przez traumę powstania, niemieckiego terroru i obozu, a później przez osobiste nieszczęście utraty synka, nie potrafiła zwalczyć nałogu, mając w pamięci zdrowotne kłopoty swego ojca będące skutkiem nikotynizmu.

Aleksander Majkowski dorastał w swoiście przyjaznym klimacie sąsiedzkiego bytowania na wsi, w otoczeniu przyrody… tych pól… „pozłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem, gdzie gryka, jak śnieg biała … i gdzie … nad

Teodozja (1892-1951) i Aleksander (1885-1955) Majkowscy, a w środku ich syn – Józef . Fotografia ta – o. Józia z rodzicami – jest sygnowana osobiście przez naszego stryja na: 1, 2 lub 3 sierpnia 1939 roku w Załogach, gdzie odbyło się spotkanie Majkowskich, przed wyjazdem kleryka Józefa Majkowskiego do Wilna, na polecenie przełożonych, choć, jak przyznawał, miał inne plany, ale w zakonie planów własnych mieć nie było można, obowiązywało posłuszeństwo w służbie dla innych. Fotografia, jak potwierdza pisemnie o. Józef, „przetrwała więzienie na Łukiszkach w 1942 roku" i zachowała się do dziś – 2014 r. w dobrym stanie!

pastwiskami ciągnący dym, wierzby jak malwy, w welonach mgły…".

Poetycko ładny ma to wyraz, natomiast rzeczywistość była twarda, ale myślimy, że dziadek Oleś tę rzeczywistość lubił. Jako dziecko wykonywał doraźne prace pomocnicze w gospodarstwie, a już jako sześciolatek pasał krowy. W tamtym czasie innej rzeczywistości nie znał.

Gdy wybuchła w Rosji rewolucja 1905 roku (tzw. lutowa) Oleś miał 20 lat, a za rok, jak przypuszczamy – mając 21 lat – został powołany (wylosowany) do służby w wojsku.

Carska służba wojskowa trwała wówczas – „według ukazu" – siedem lat! W tym czasie jego przyszła żona – od Kakowskich z Dębin – Teodozja miała 14 lat. Czy się znali? Odległość między Załogami a Dębinami była nieduża, ale różnica wieku, w tamtym momencie – chyba nie kierowała jeszcze myśli o „sympatii", a tym bardziej o ożenku właśnie/wyłącznie z Teosią od Kakowskich).

Rozkazy wojskowe rzuciły Olesia aż do Harbina w Mandżurii. Na jego pobyt w wojsku liczyć trzeba, co najmniej „trzy – cztery bite lata" (1906-1909) – ale tylko się domyślamy, bo dalszy bieg zdarzeń daje taką logikę.

Podobno Oleś zdołał „się wykupić" za część zaoszczędzonego żołdu, potem dostał jakiś glejt i … mógł wracać (jasne, że bez gwarancji, że po drodze, nikt/nic mu nie przeszkodzi.

Skoro można było się z carskiego wojska „wykupić" – czy tylko „skrócić wydatnie czas służby", to widocznie, w ówczesnej Rosji – szczególnie na „dalekich terenach wschodnich rubieży" też był swoisty stan lokalnej samowoli, żeby nie powiedzieć „bardak". Ze strzępów narracji wiadomo tylko, że znaczną część drogi powrotnej przeszedł na piechotę! Nie wiemy, jak długa była ta piesza wędrówka, jakim cudem to przeżył?. Przyszedł podobno krańcowo wychudzony, zarośnięty, zaniedbany… ale wrócił „do swoich"! Do dziś „zachodzimy w głowę" – jak to wyszło, że o takiej gehennie w ogóle nie rozmawiało się, do tego nie wiemy też, czy swoim dzieciom Oleś opowiedział o tych latach i o trudach powrotu.

Harbin – powstał w 1898 roku, kiedy to z wioski rybackiej przekształcił się w osadę jako stację Kolei Wschodniochińskiej. Rosja wykorzystała wtedy słabość Chin i narzuciła warunki umożliwiające budowę linii kolejowej, jako najkrótszą drogę łączącą Syberię z Władywostokiem. Rosja wprowadziła swoje wojsko do Mandżurii w 1902 roku. A linię kolejową budował Polak inż. Adam Szydłowski, który był też założycielem rosyjskiego Harbinu. Po wojnie rosyjsko–japońskiej (1904-5) Rosja osłabła, a Harbin był miastem handlowym, gdzie mieszkało 33 narodowości i działały konsulaty 6 państw. Harbin – to był wówczas „mandżurski Hong Kong". Ta sytuacja mogła sprzyjać Aleksandrowi Majkowskiemu w jego planie szybszego powrotu do Polski, do domu, a mogła mu też sprzyjać w próbie urządzenia się tam! Zaznaczyć trzeba, że w Harbinie było sporo Polaków i byli tam nieźle zorganizowani. Sądzimy, że Aleksander mógł nawet wybrać „opcję" pozostania na tamtej ziemi. Przeważyła jednak wola powrotu.

Po „wyrwaniu się" ze służby w carskim wojsku, dotarciu do domu, natychmiastowym wręcz ożenku u Kakowskich, zamieszkał w Dębinach, w gospodarstwie teściów.

Powrót z Harbina trzeba uznać za „czyste bohaterstwo" wyrosłe z siły woli, a ta – z silnych więzów rodzinnych! – chyba tak?! Ale u Majkowskich nie było przyjęte, aby się nad sobą roztkliwiać! – ta cecha przeszła na dzieci Aleksandra i Teodozji; może udziela się też kolejnemu pokoleniu? Aleksander wrócił… miał 24 lata; na kawalera przychodził czas ożenku – bo to było udziałem absolutnej większości młodych ludzi, także na wsi! W tym czasie, Teosia u Kakowskich w Dębinach miała 18 lat (rok 1909).

Przyszły ojciec Józia musiał być przekonujący, a Majkowscy musieli mieć dobrą opinię w okolicy, skoro Kakowscy – dziedzice sławnego w okolicy klanu – przyjęli go za zięcia. Czy młodzi mieli być następcami na gospodarstwie Kakowskich? – tak się zanosiło. Aleksander i Teodozja jeszcze przez cztery lata mieszkali w Dębinach. W 1910 roku urodziła im się córka Stasia, a w grudniu 1912 roku – syn Mikołaj Bolesław). Aleksandrowi jednak wyraźnie bardziej odpowiadał „klimat" w Załogach.

Zapewne wynikało to z faktu, że stamtąd pamiętał tzw. „zapachy dzieciństwa", no i tam mieszkali i gospodarowali rodzice z najmłodszym synem, a na swoich już hektarach gospodarował starszy brat – Władysław.

W nawiasie – równoległa historia – „gdzieś w świecie": jest rok 1910; Brytyjczyk Robert Falcon Scott wybiera się zdobyć Antarktydę; w styczniu 1912 roku zdobywa ten biegun Ziemi; zastaje na nim flagę Norwegii, która zostawił inny polarnik – Amundsen. Rywal wy-

przedził Scotta. Scott i jego towarzysze giną. Wszędzie, gdzie akurat jesteśmy lub nasi bliscy, uważamy, że tam koncentruje się życie, a najważniejsze, pod Słońcem, sprawy dzieją się tu! Tymczasem, w niezliczonych miejscach globu dzieją się zdarzenia wielkiej i małej wagi.

Od czasu startu Scotta do wyprawy, minęło ponad 100 lat i od czasu startu Aleksandra … do wyprawy przez życie na własny rachunek … też minęło ponad 100 lat – jakże inne były to wyprawy.

W latach 1913 r. lub 1914 r. nadarzyła się okazja kupna prawie 13,5-hektarowego gruntu, w jednym kawałku; sprzedawali: Bobińscy; młodzi Majkowscy kupili to gospodarstwo – pieniądze pochodziły z oszczędności Aleksandra lub z jakiegoś wsparcia ze strony rodziców oraz posagu Teodozji - nic bliższego nie wiemy o tej transakcji. Pas gruntów rolnych Aleksandra i Teodozji Majkowskich widoczny na zdjęciu wcześniejszych stron, w oddali widać drugą gruszę na miedzy Majkowskich… to też „lokalizacja" punktu, gdzie swoje dzieci Majkowscy doraźnie grupowali, gdy pracowali na tej części gruntów - marne 90 lat minęło, a wspomina się sentymentalnie, wyobrażając sobie tamte czasy i ich obecność pod gruszą.

Tuż po przeciwnej stronie kupionego przez Teodozję i Aleksandra siedliska i po przeciwnej stronie drogi dzielącej wieś na dwa rzędy zabudowań mieszkali rodzice Olesia, a ich spadkobiercą stawał się Franciszek – młodszy o 12 lat brat Aleksandra. Brat Bronisław – wyemigrował do USA, a losów kolejnego brata – Stanisława – nie znamy, poza skrótową wzmianką, że „nie żyje"; nie jest obecny na fotografii z 1920 roku – znaczy, że zmarł wcześniej.

Aleksander i Teodozja zaczynają gospodarować na własny rachunek. Są wśród swoich, mają życiowe doświadczenie o pracach jakie trzeba wykonywać w gospodarstwie rolnym. Zaczyna się I wojna światowa. Wieś, w której żyją i okolica są oddalone od bezpośrednich działań wojennych, ale administracja rosyjska jest… jakieś wiadomości zapewne przenikają. Wszyscy zmuszeni są do przystosowania się do warunków jakie narzucili okupanci, a i tak trzeba orać, siać, dbać o zwierzęta, o dzieci, o odzienie… proza życia!

Aby zaorać corocznie 10 hektarów pługiem jednoskibowym, w dwa konie, a i dwa woły były „na stanie", do niektórych prac w polu, to trzeba się nachodzić i naszarpać z końmi, a woły były jeszcze mniej „zwrotne". Kamienisty grunt mazowiecki/polodowcowy łatwo wyrywał pług z ziemi razem ze stawami rąk trzymającego pług rolnika. Warto dodać, że aby zaorać obszar jednego hektara pługiem jednoskibowym, oracz musiał przebyć drogę około 40 kilometrów!, kierując parą koni i trzymając pług! Niby nic – skoro jest się rolnikiem. I tak, co roku!

A gdy już wszystko poszło dobrze tzn. – jesienią powschodziło, zimą nie wymarzło, wiosną nie wymiękło, a chwasty udało się opanować, to przychodził lipcowo-sierpniowy czas, kiedy trzeba było zboże ściąć i to ręcznie - kosą, zebrać w snopy i je związać oraz „postawić, po dziesięć, do suszenia". I drżeć, by nie zamokło na polu! A następnie trzeba było zwieźć snopy do stodoły, mało ładownymi wozami „żelaźniakami", o wąskim rozstawie kół, wywrotnymi, po wyboistych polnych drogach. Spieszono się z tymi robotami, niekiedy z pomocą ludzi najemnych lub sąsiedzkiej, bo czas dobrej pogody bywał krótki!

Jesienią natomiast czekały wykopki ziemniaków i buraków. Te prace były wykonywane ręcznie. Kartofle przez wiele lat kopano przy pomocy motyk, buraki – przy pomocy wideł dwurożnych – sztywnych, nieco inaczej kształtowanych, a liście buraków obcinano ręcznie, siedząc całymi dniami wśród stert buraczanych korzeni, a niekiedy było bardzo zimno.

Czas młócenia ziarna przez długie lata odbywał się ręcznie, cepem! Większość w zimę. Plony w tamtym rejonie nie odbiegały od średnich krajowych, ale ich nie przewyższały. Jakość ziarna zwykle była dobra – ziemia, choć nie najgorszej jakości, była nawożona tylko naturalnym nawozem zwierzęcym, dlatego zboże nieźle rosło „w słomę". Jeśli plon żyta wyniósł: 1200 kg – 1400 kg z hektara, a pszenicy 1600-1800 kg do 2200 kg z hektara, to było wszystko.

W 1920 roku za ćwierć kwintala (25 kg) pszenicy płacono 4 tys. - 5 tys. mkp … tyle kosztowała w mieście koszula (czyli za 100 kg pszenicy można było kupić 4-5 koszul, a buciki sznurowane – kosztowały od 10 tys. do 20 tys. mkp, a kilogram słoniny – 1500-1800 mkp. W 1922 roku za ćwierć kwintala żyta płacono 8 tys. mkp, jajo kosztowało 150 mkp, litr mleka 400 mkp. W kolejnych latach relacje te były jeszcze gorsze; litr mleka kosztował 3-5 tys. mkp; za ćwierć pszenicy płacono 160 tys. mkp (i więcej), a gęś kosztowała 200 tys. mkp. – Inflacja szalała!.

W 1924 roku wykonano w Polsce reformę pieniężną i ustabilizowano pieniądz. Ale – pechowo – w Polsce wystąpił wtedy wyjątkowy nieurodzaj w rolnictwie… a w Załogach Majkowscy mieli już sześcioro dzieci, w wieku od kilku miesięcy do 14 lat (najstarsze wybierało się do szkoły średniej).

Natyrał się więc Aleksander, nie gorzej niż inni; inwestował wszystko w wykształcenie dzieci, zdrowotnie czuł się słabiej (skutki związane z pobytem w wojsku carskim – wręcz na drugim krańcu kontynentu – i… trudy powrotu (wygłodzenie), a także nadmierne dostarczanie organizmowi wyciągów dymowych z machorki – dawały znać o sobie). Wiadomo, że najstarszy z chłopców – Boleś wspierał ojca w różnych robotach, w tym polowych, później, mając 16 lat wręcz go zastępował. Ot – zwykły los wiejskiego rolnika/chłopa, na swoim gospodarstwie.

W latach 1928-1939 Majkowscy – Aleksander z synem Bolesławem – gospodarują we dwóch. W 1928 roku, Aleksander ma 44 lata, Boleś ma 16 lat, i już wiadomo, że będzie następcą na gospodarstwie. Jeszcze przez lata – aż do 1952 roku! – gospodarstwo pozostaje formalnie jako własność Aleksandra (Teodozja zmarła w 1950 r.)

W 1928 roku - Józiek wyjeżdża do Chełma Lubelskiego, do Małego Seminarium. To był chyba trudny czas dla chłopca o subtelnych cechach charakteru, przywiązanego do rodzinnego domu… czas pożegnania ze światem, z otoczeniem, które znał. Wszystko co przed Nim – było nie wiadome. Rodzicom było zapewne żal rozstawać się z dzieckiem; pomimo to powstrzymywali łzy rozstania ufając, że postępują właściwie. Nic nie wiemy o tym momencie życia przyszłego kapłana; jako bardzo posłuszny syn – Józiek – przyjmował zapewne wolę rodziców bez sprzeciwu; z jaką „gonitwą myśli" zmagał się wtedy? – nie wiemy. Z kim pojechał do Chełma – nie wiemy; to musiała być wielka wyprawa… nawet nie wiemy jakie były warunki dojazdu z północnego Mazowsza, do Chełma, ani koszt takiej podróży, ani jej uciążliwość… a jednak Aleksander i Teodozja ponieśli i ten trud. Wtedy już był zapewne zamysł kierowania Józka do służby jezuickiej?

W Chełmie, w latach 1920–31, jezuici mieli parafię pw. Narodzenia NMP w dawnym klasztorze bazylianów oraz obejmowali pozostałości po zabudowaniach poklasztornych sióstr bernardynek, przy ul Królewskiej 9 – chyba tam prowadzili Małe Seminarium. W czasie pobytu w tym Seminarium - Józiek odbył naukę ze stosowanego ówcześnie poziomu „czterech klas gimnazjalnych"- tzw. „nauka przedwstępna"; kolejny etap to: nowicjat - od października 1930 roku i nauka … do matury w 1936 roku, w Pińsku.

W ww. latach nie wydarza się u Majkowskich prawie nic szczególnego – no, we wrześniu 1934 Boleś idzie do wojska! Na rok! Aleksander musi dawać sobie radę sam. W domu są jeszcze córki:10-letnia Krysia i 12-letnia Hania. Kazio jest w gimnazjum w Warszawie. Józio - po pobycie w seminarium w Chełmie Lubelskim (1928-30), w 1930 r. pojechał do Kolegium jezuitów w Kaliszu – później zostanie skierowany do Starej Wsi, a od 1933 roku będzie w klasach 6-8 w Pińsku. Tam – w 1936 r. – zda maturę, później – studia filozofii w Krakowie.

Stasia, już od kilku lat zajmuje się intensywnie swoim gospodarstwem i trójką dzieci, z tego jeden – urodzony w 1935 r. - jest niemowlakiem! Na dwa lata przed wybuchem II wojny, dwoje kolejnych dzieci Majkowskich idzie do szkół średnich, więc trzeba wygospodarować pieniądze na ich kształcenie. Najstarszy z braci - Boleś staje się także za to „wygospodarowywanie" odpowiedzialny, chociaż „kasę trzyma Aleksander"… syn nie protestuje.

Po wybuchu II wojny Aleksander zostaje ze wszystkimi obowiązkami gospodarskimi sam, ale na krótko, bo Bolek zostaje szybko zdemobilizowany i wraca. Udręka gospodarowania w czasie wojny miała w sobie ten lęk, że „zaraz hitlerowcy przyjdą i …" nigdy nie było wiadomo, jak to się skończy! No i raz kończyło się krańcowo źle! Już w 1940 roku Niemcy zabrali – prosto z podwórka – syna – Kazika do niewoli!; niedługo później nadeszły kolejne tragiczne wiadomości dla głowy rodziny, dotyczące Józia, później Krysi. Aleksander między swoim 63 a 68 rokiem życia nie zaznaje spokoju (uwięzienie Bolesia, śmierć córki - Haliny i żony - Teodozji, tragedia córki – Krystyny…) Już po 1951 roku – po śmierci córki i żony – popada w apatię… Tak wówczas stan dziadka odbierałem, i tak mi się to utrwaliło – przyp. – JM).

Ojciec – głowa rodziny - na pewno cieszył się, że Józio i Kazik i Krysia cudownie ocaleli z pożogi wojennej. Jednak na większą radość - nie mógł się już zdobyć.

Kiedy Aleksander przekroczył wiek 55 lat, już coraz mniej udzielał się w pracach gospodarskich. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych stan zdrowia ograniczył

dziadka tylko do pasywnego życia (ale papierosy ćmił, w dużych ilościach!). Zwykle nie opuszczał obejścia, nie przesiadywał z sąsiadami. Wnukom – nie zechciał opowiedzieć o „dawnych czasach". Aleksander Majkowski miał dość silny organizm, osłabiał go jednak uporczywie, przez dziesiątki lat, nikotyną. Mikroby zaatakowały płuca, choć już można było się bronić penicyliną – było za późno. Zmarł 24 sierpnia 1955 roku – równo w siedem miesięcy po swoich 70-tych urodzinach.

Mama Józia... Teodozja z Kakowskich. Urodzona w 1892 roku (nie znamy dokładnej daty) w Dębinach, w rodzinie wielopokoleniowej, będącej dziedzicami części ongiś dużego majątku ziemskiego klanu Kakowskich – herbu Kościesza – na Mazowszu, majątku zmniejszającego się obszarowo, głównie z powodu dzielenia go na części jako posagów/darowizn, na rzecz zstępnych.

***

Przyszły tata Teosi - Stanisław Dionizy Kakowski (herb: Kościesza) – ożenił się z Marianną z Olszewskich (herb: Ślepowron), córką Adama Andrzeja – właściciela majątków najpierw w Rogowie (pobliska wieś Załóg), następnie w miejscowościach: Sątrzaska – wieś sąsiadująca z Dębinami (gmina Karwacz). majątek o obszarze niespełna 50 ha we wsi Suche - 3 kilometry na północ od Płoniaw – też należał do Olszewskich).

Marianna i Stanisław Dionizy gospodarowali w Dębinach. Stanisław Dionizy pełnił przez wiele lat funkcje wójta gminy w pobliskim Karwaczu, co na pewno powodowało, że Jego żona miała „większe urwanie głowy", związane z nadzorowaniem działalności sporego gospodarstwa, pod nieobecność męża.

Eufemia Kakowska (1885 - 08.01.1959 r.); 52 lata w Zgromadzeniu Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo. Przez dziesięciolecia była Wizytatorską Zgromadzenia – Warszawa, ul. Tamka.

***

Teosia miała pięć sióstr:
1. Ludwikę ur. 14.03.1880 r. - 5 sierpnia 1972 r., po mężu Fęcka,
2. Wandę ur. 1883 r. - … , po mężu Krajewska (1968 r. – to ostatni pisemny ślad życia Wandy, z USA, dokąd wyjechała, przed II wojną, z mężem i dziećmi. W 1968 roku miała 85 lat);
3. Eufemię ur. 1885 r. - 08.01.1959 r., która była w Zakonie Sióstr Szarytek (ul Tamka, w Warszawie, gdzie przez dziesięciolecia była Wizytatorką Zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo). To jest właśnie ta Ciocia o. Józefa, którą On - po latach - wskaże jako tę, która mu „wymodliła powołanie do Towarzystwa Jezusowego, trzynastoletnią nowenną listopadową do św. Stanisława Kostki"

Nam nie znane są wskazania jakoby osoba ówczesnego arcybiskupa warszawskiego - Aleksandra Kakowskiego - stryjecznego brata jej ojca - była jakimś przyczynkiem do wyboru drogi życiowej Eufemii, ale nie wykluczamy takiej inspiracji.

Siostra Eufemia – przysyłała swojej siostrze Teodozji do Załóg egzemplarze czasopisma: „Rycerz Niepokalanej". To było jedyne czasopismo, jakie przewijało się w domu, przed wojną - niektóre egzemplarze przetrwały do lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Z jakichś strzępków zasłyszanych rozmów w domu, docierających z „głębi pamięci", wynikać by miało, że to ww. odwiozła Józia do seminarium; natomiast rodzice – jedno lub obydwoje – odwiedzili kiedyś syna w Kaliszu… bo o ile wiadomo, z nowicjatu jezuickiego alumni do domu już nie jeździli.

Daty wskazują, że S. Eufemia udała się do zakonu mając 18 lat.

Grób na Cmentarzu Powązkowskim, w kwaterach Zakonu Sióstr Szarytek).

Oto zdarzyło się, że tylko na jednej fotografii z 1950 roku jest seniorka – 91-letnia Marianna Kakowska z czterema swoimi córkami: Eufemią (65 lat) – *druga od prawej;* Teodozją (58 lat)– *pierwsza z prawej;* Marianną (62 lata) – *pierwsza od lewej*; Zofią (56 lat) – *stoi obok siostry zakonu Szarytek* oraz dwiema wnuczkami; Krystyną Majkowską (26 lat) i Krystyną Żebrowską.(27 lat).

4. Mariannę ur. 1888 r. - 29 sierpnia 1977 r., po mężu Pszczółkowska.
5. Zofię ur. 1894 r. - 5 sierpnia 1959 r., po mężu Żebrowska.

Życie Teodozji w Dębinach było proste i pracowite, nie inaczej niż innych dziewczyn wiejskich.

Majątek ziemski pradziadka Teodozji – Stanisława Wawrzyńca, w latach czterdziestych XIX wieku, był klasyfikowany – wartościowo – na piątym miejscu wśród dziesięciu najbogatszych dziedziców w powiecie przasnyskim. Wartość tego majątku była oszacowana na 2 250 rubli srebrnych, co odpowiadało wartości

7,7 włókom ziemi ornej, czyli ok. 125 hektarom … natomiast ilość ziemi na jakiej gospodarował pradziadek wynosiła 4,5 włóki.

Stanisław Wawrzyniec miał dwóch synów, a ci mieli łącznie ośmioro dzieci, w tym m.in. Stanisława Dionizego i Aleksandra - arcybiskupa warszawskiego, przyszłego Regenta Królestwa Polskiego, Kardynała, z tytułem Prymas Królestwa Polski.

Rysem charakteru Teodozji, poza dobrocią, pracowitością i poświęceniem się dla rodziny, który jakoś nadzwyczajnie został w świadomości tego, który był – jako dziecko –blisko Niej przez 7 lat, było to, że Ona - niewykształcona przecież dziewczyna ze wsi - wiedziała „skądś”, że nauka to nadzwyczaj ciężka praca, czasami daleko bardziej męcząca, niż praca fizyczna, w polu i zagrodzie. Taki sam rys charakteru miała mama o. Stefana Dzierżka – bliskiego Kolegi O. Józefa. Obaj byli w kaliskim Seminarium jezuitów, a później…w czasie wileńskich czasów walki i niedoli; obaj wrócili do kraju i tu trwali w wielkiej przyjaźni. O. Stefan napisał o Niej;”… była prostą wiejską kobietą, ale Pan Bóg dał jej otwartą głowę, szerokie zainteresowania światem i ludźmi”.

Fotografia z 1947 roku – na cmentarzu w Płoniawach – na której są Aleksander i Teodozja Majkowscy – to jedyne utrwalenie ich sylwetek, kiedy występują razem).
pierwsi od lewej stoją: Aleksander i Teodozja (przy nich: klęczy synowa Irena, z synem Januszem).

***

W warunkach wsi mazowieckiej, mając te 13,5 hektara ziemi ornej i sześcioro dzieci Teodozja stawiała na wartości, jako „pierwsze kamienie milowe”, które przekazywała dzieciom, aby je ukierunkować na przyszłość.

Zapewne chodziło jej m.in. o takie elementy jak:
- akceptacja warunków, w jakich się żyje, co z kolei wymaga zapału do pracy i… nauki,
- uczciwość postępowania wobec siebie i innych,
- trwanie w wierze przodków.

To ona – tak sądzimy – była głównym inspiratorem tego, aby koniecznie wszystkie swoje dzieci kształcić!

I wspólnie z Olesiem ten plan realizowali, kosztem ogromnych wyrzeczeń, w tym nieobciążaniem dzieci pracami, które by ich przerastały lub wyczerpywały. Dodam własne – Janusza M – odczucie z poziomu bytowania przez kilka lat z babcią w jednej izbie. Pamiętam jej sylwetkę i krzątanie się. Natomiast głos, pamiętam słabo, tak na pograniczu „wydawania się”, że pamiętam!...

A jest chyba tak, że jeśli nie zapamiętujemy głosu bliskich, to gdy odejdą, mamy swoistą pustkę we wspomnieniach. I to jest ten przypadek. Mam tak dlatego, że babcia była osobą, która nie podnosiła głosu, a już na dzieci, to w żadnym wypadku! Mam też „na dnie szarych komórek” świadome przeświadczenie, że w jej obecności czułem się „bardziej bezpieczny”, że wyłącznie z jej pomocą – mając niespełna 5 lat – nauczyłem się czytać i liczyć (rachować!), na tyle, że do szkoły posłano mnie od sześciu lat.

Kiedy omiatamy „rózgami pamięci” nazwiska rodzin gospodarzy z okolicznych wiosek, to nie znajdujemy takiej, w której zdecydowano by się kształcić wszystkie dzieci (a takich rodzin, w których kształcono by choć jedno dziecko, prawie nie było, w tej okolicy!).

Teodozja i Aleksander Majkowscy – podjęli wyzwanie o znacznej skali, w czasach gospodarczo trudnych, w warunkach niesprzyjającej koniunktury, a zdarzały się też lata mniejszego lub wręcz lichego urodzaju.

Kto mógł podołać – w ówczesnych czasach! – wydatkom związanym z pobytem dzieci w szkołach średnich i to jeszcze w znacznym oddaleniu od domu, co bardziej zwiększało koszty?

Odpowiedź jest zwykła… , Tak mogli postąpić tylko ludzie zdeterminowani, patrzący dalej niż obrys swego gospodarstwa i swojej wsi, gminy, powiatu, czy nawet województwa. Już za samo takie podejście do przyszłości swoich dzieci – Aleksandrowi i Teodozji należy się trwała pamięć.

Teodozja – w latach 1910-1924 – urodziła sześcioro dzieci, pomiędzy swoim dziewiętnastym a trzydziestym drugim rokiem życia. Jej starsza o 12 lat siostra – Ludwika – urodziła aż dziewięcioro dzieci!.

Ci, którzy doświadczyli ówczesnych lub zbliżonych do ówczesnych warunków życia na wsi (warunków bytowych, higienicznych, materialnych, oświatowych, możliwości sięgania po poradę lekarską, itp.), jakie były udziałem kobiet w początkowych dziesięcioleciach XX wieku, a i później, nie mówiąc o wcześniejszych, powinni przyznać, że był to dla kobiet i dla ich organizmów wysiłek wielki. Ale pomimo tych warunków bytowych oraz trudności zewnętrznych dzieci Teodozji, dziedzicząc dobre geny (także od poprzednich pokoleń), stopniowo, szczególnie poprzez wychowanie rodzinne, stały się bystre, silne, odporne na trudy, pracowite, zaradne, ambitne, odważne, przyjazne innym, wartościowe społecznie.

Jako Matka – Teodozja przeżyła ciężkie ciosy, kiedy to nastała pożoga drugiej wojny. Ta zaczęła zagarniać jej dzieci; mobilizacja Bolesława do wojska, bo Wojna! Bolesia dość szybko zdemobilizowano, po przegranej przez

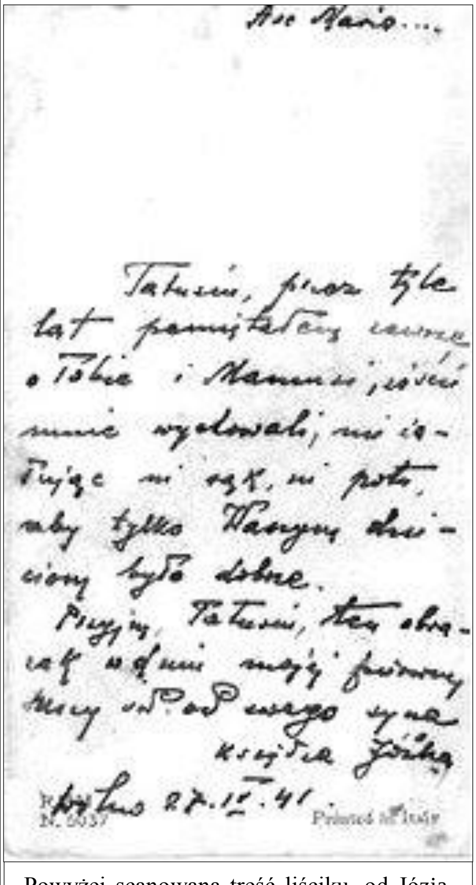

Ave Maria...

Tatusiu, przez tyle
lat pamiętaliście zawsze
o Tobie i Mamusi, żeście
mnie wychowali, nie szczę-
dząc ni sił, ni potu,
aby tylko Waszym dzie-
ciom było dobrze.
Przyjmij, Tatusiu, ten obra-
zek w dniu mojej pierwszej
Mszy św. od swego syna
księdza Józka
Wilno 27.IV.41.

N. 5037
Printed in Italy

Powyżej scanowana treść liściku, od Józia, z Wilna, datowanego na dzień 27.04.1941 r. – ten liścik zachował się w domu rodzinnym o. Józia.

Polskę wojnie, wrócił z frontu do domu; w dniu 8 kwietnia 1940 roku, a więc ledwie po 9 miesiącach od czasu spotkania się wszystkich, w pierwszych dniach sierpnia 1939 r., hitlerowiec aresztował 21-letniego syna – Kazika – który akurat przebywał w Załogach, bo uczelnia w Krakowie została zamknięta! Kazik został oskarżony o… „wywrotową działalność przeciwko III Rzeszy" i jako więzień polityczny trafił do obozu koncentracyjnego w Dachau. Ta działalność wywrotowa Kazika polegała na tym, że nie dość spiesznie wykonywał polecenia hitlerowca, który wlazł na podwórko Majkowskich i czegoś żądał! Podobno żądał natychmiastowego podstawienia zaprzęgu koni z wozem „na podwody", czyli do transportu żołnierzy i sprzętu.

W tym czasie Józio był w Wilnie, tam studiował jako kleryk i pracował, po wielu latach okazało się, że także w konspiracji, w komórce legalizacji AK.

Pomimo okupacji Wilna przez Rosjan a zaraz później przez Niemców - kleryków przygotowywano do święceń kapłańskich. Święcenia przyspieszono – w dniu 20 kwietnia 1941 roku Józef Majkowski został księdzem. Niemcy napadli na Polskę. Mama Józia nie mogła przypuszczać, że za kilkanaście dni Związek Radziecki zajmie wschodnie – wileńskie tereny Polski).

Nie wiemy kiedy (i jak) „przyszła" wiadomość o otrzymaniu święceń kapłańskich, z datą pierwszej Mszy św. (prymicyjnej).

Za kilka miesięcy, od tej daty, medycyna wykrywa u księdza Józia dużą dziurę w płucu! Nie śmiemy nawet przypuszczać – znając nieco charakter o. Józefa – że syn mógłby o tym powiadomić mamę i tatę, jeśli byłaby w ogóle możliwość przysłania listu?

Czy Teodozja – Matka wiedziała, że ma chorego śmiertelnie syna Józia, którego 26 marca 1942 roku wtrącono do hitlerowskiego więzienia na Łukiszkach, prosto na betonową, posadzkę nie ogrzewanej celi, z oszronionym ścianami? Mogła tylko przeczuwać! Ale jak było? Jeden jej syn był już w obozie koncentracyjnym. Równo po siedemdziesięciu latach od 1942 roku odkryliśmy nie zastrzeżony archiwalnie list z Załóg z datą 15 maja 1942, pisany w imieniu Mamy o. Józia przez jej najstarszą córkę – Stasię, do osoby – kobiety, która zawiadomiła listownie Majkowskich o tragedii ich syna. Jak wynika pośrednio z treści odpowiedzi na list, w którym ta pani zaznacza, że „potrzeba cudu" – aby o. Józef przeżył tę śmiertelną chorobę, będąc do tego w hitlerowskim więzieniu! Z listu „stamtąd"– wynika, że już było wiadomo, że o. Józia wywiozą z Łukiskiego więzienia gdzieś dalej. Doszliśmy do wniosku, że tą osobą, która napisała list do Załóg była Siostra Alojza (Wanda Łakowicz, która także repatriowała z Wilna do Polski i pracując w Warszawie odwiedzała o. Józefa, na ul. Rakowieckiej). Po dziesiątkach lat, w latach osiemdziesiątych, o. Józef jeden jedyny raz posłuży się publicznie, podczas Mszy św. – radiowej –własnym przykładem, związanym z tą śmiertelna chorobą. Nagranie to załączymy do tego zapisu – patrz na **www.tpzk.pk** - jest ono przejmujące. Cała korespondencja prywatna o. Józefa jest w archiwum, na ul Narbutta i może być dostępna po 50 latach od jego śmierci).

I jeszcze… córka – Krysia. W 1939 roku miała 15 lat – jedne z informacji mówią, że Krysia rozpoczęła naukę w gimnazjum, w Białymstoku. Wybuch wojny przerwał ten etap. Następnie – jak przypuszczamy – Krysię umieszczono w Warszawie; była to Warszawska Szkoła Pielęgniarska, ta na ul Koszykowej 78 – obiekt zbudowany w 1923 roku na polecenie marszałka Piłsudskiego.

Teodozja Majkowska, w 1933 r. mama o. Józefa Majkowskiego

Warszawa jest przez Niemców traktowana „specjalnie"; trwają łapanki, deportacje, represje, ogólne zastraszanie mieszkańców. Życie w czasie wojny toczyło się innym tempem i wymiarem w Warszawie, a innym w Załogach; tam – na przykład – w 1942 roku Boleś zakłada rodzinę, przypada mu być następcą na gospodarstwie. Życie toczy się dalej, choć okoliczności są z gatunku tych strasznych. Ale są miejsca gdzie ludność cierpi bardziej, bo przechodzi front…!

Krysia jest w Warszawie, w 1943 roku ma 19 lat…serce jej Mamy na pewno drży o córkę, a drżenie jeszcze się wzmocni, gdy wybuchnie Powstanie, w sierpniu 1944 r. Czy w tym czasie mama i córka miały możliwość kontaktu ze sobą? Czy może jakieś wiadomości docierały do Załóg poprzez siostrę Teodozji – Eufemię? Nie ma śladów! Szarytki miały w Przasnyszu swój Dom, pracowały w szpitalu. Kontakt między Wizytatorską Eufemią a Domem/Klasztorem w Przasnyszu musiał jakiś być? – może telefoniczny?, bo to była podległość służbowa … wiec może tędy…?. Z Przasnysza do Załóg można było już łatwo wiadomość dostarczyć. Nie wiemy gdzie w tych latach była Halina – czy też w Warszawie? – jedna z fotografii potwierdzałaby, że tak… ostatecznie – nie wiemy!).

Krysia jest w Warszawskiej Szkole Pielęgniarskiej, na ul Koszykowej 78 Gmach WSP zostaje zamieniony w części na szpital i niesie pomoc także powstańcom; Krysia - jest w Powstaniu, w Zgrupowaniu „Chrobry II", które operuje w rejonie Śródmieścia, na pograniczu z Wolą, Krysia - sanitariuszka/łączniczka pracowała w szpitalach ww. zgrupowania na ul. Śliskiej i ul. Mariańskiej.

Czy Mama Krysi o tym wszystkim wie? Chyba nie! Bo skąd? (a to może i lepiej?). Później dowie się, że jej córkę, po upadku Powstania, hitlerowcy zabiorą –wraz z innymi sanitariuszkami/łączniczkami – do obozu, na terenie Niemiec.

I jeszcze… Kazik…! – „zatopiony" w hitlerowski obozie koncentracyjnym… właściwie bez cienia szansy na ratunek! Możemy tylko ledwie wyczuwać, co działo się w głowie i sercu matki na myśl o doli syna, a myśl ta jej ani nie opuszczała, ani nie dawała się stłumić – Niczym! Pozostawało wołanie o ratunek dla swoich niewinnych niczemu dzieci do Wymiaru Niebios. Trzeba przyjąć, że to wołanie było nieustanne!

Teodozja doczekała, że trójka jej dzieci, tak doświadczona przez wojenny czas, powróciła do kraju, do rodziny. Czy Jej opowiadali o swoich przeżyciach obozowych? Kazik, Krysia, Józio?? – jeśli tak, to zapewne skrótowo, aby nie wracać do wspomnień i nie potęgować w matce żalu.

Józio – w czasie wojny był daleko. Był przez hitlerowców internowany (1942-1944) w Pagryżuvis, później w Szawlach – u jezuitów litewskich.

***

Trójka dzieci Teodozji mogła zginąć w czasie wojny:

Józio – mógł zginąć jeszcze w hitlerowskim więzieniu, z powodu śmiertelnej choroby (potocznie nieuleczalnego schorzenia płuc) lub podczas internowania, albo – gdyby był zdrowy – gdzieś w Workucie, bo później, radzieccy odkryli Komórkę Legalizacyjną i – m.in. – jej technicznego organizatora: Stanisława Kiałka i tam właśnie posłali, z wyrokiem na 15 lat.

Kazio – mógł zginąć z krańcowego wygłodzenia w Dachau, a wreszcie … „z powodu likwidacji stanu obozowego Dachau", do czego Niemcy się spieszyli i … zabrakło im kilku dni tylko, aby tego dokonać!

Krysia – mogła zginąć w Powstaniu, od szrapneli, bomb, ostrzału karabinowego. A do tego… w niemieckim obozie. Tam też mogło się coś wydarzyć!

Wiosną 1948 r. – Urząd Bezpieczeństwa aresztował najstarszego z synów Teodozji – Bolesia. Udaje mu się ujść przed dalszym więzieniem; udaje mu się też ujść z życiem, choć jest mocno pobity.

W sierpniu 1950 roku Teodozję dotyka najcięższe doświadczenie. Umiera Jej piękna i inteligentna córka – Halina, ma 28 lat; osieroca dwuletnią córeczkę – Danusię.

„Nieszczęście przychodzi jak nagły śnieg,
powoli, powoli – bo ślisko.
Dzień jasny jak ranny zbieg
Skrył się w kalendarz za widowisko"…

Serce Matki nie wytrzymuje tego wieloletniego ciągu stresu. Teodozja zapada na zdrowiu, a ostatnie miesiące połowy 1951 roku cierpi bardzo i w pierwszych dniach sierpnia umiera - znowu w sierpniu.

Dzieci Teodozji i Aleksandra.

Mamy przeświadczenie, że wewnętrzna atmosfera w domu Majkowskich była nad wyraz spokojna. Bliskość dobrych relacji z seniorami rodu Majkowskich i Kakowskich, z rodzinami braci Aleksandra, mieszkającymi w sąsiednich zabudowaniach gospodarskich oraz siostrami Teosi powodowały, że młode pokolenie wzrastało w poczuciu obowiązkowości, wzajemnego poszanowania, respektu dla starszych, także przywiązania do miejsca i otoczenia, pomimo, że to otoczenie było skromne, pełne niewygód, nie zawsze dostatnie, ale innego – póki co – nie znali/nie mieli.

Wszyscy młodzi Majkowscy zdradzali talenty do nauki, także talenty osobiste – np. bardzo dobre głosy, umiejętności aktorskie i pedagogiczne; mieli bystre umysły; wszyscy –jako dorośli – byli silni fizycznie, choć niewysocy. Ich rodzice własnym przykładem wpoili im – m.in.: pracowitość, uczciwość, poszanowanie dla starszych i dla sąsiadów, rzetelność postępowania wobec innych.

W dorosłym życiu dzieci Teodozji i Aleksandra, chyba z powodu wrodzonej inteligencji więcej ze sobą rozmawiali „w myślach, na poważne tematy" niż w rzeczywistości, gdy się spotykali. Ta uwaga nie jest – naszym zdaniem – „nie na miejscu". Ich spotkania po wojnie były nieczęste i zawsze – krótkie. Kiedy już do nich dochodziło, nie roztrząsano problemów politycznych kraju i świata. Krótko rozmawiano „o codzienności", w której pełno było westchnień o braku czasu - „bo robota goni".

Robota goniła „inaczej" – tych żyjących w mieście „inaczej" – tych na wsi, a jeszcze inne miała natężenie u o. Józia, który brał na siebie wieloraki zakres różnych prac, a reguła zakonna obligowała ściśle do zachowań i obowiązków innych niż jego rodzeństwo – „cywilów"; inaczej „goniła robota" Kazika, który zdobywał kolejne szczeble naukowego dorobku; Krysia – ze swoim charakterem wielkiej obowiązkowości, zapracowywała na pozycję w nowej rzeczywistości; Stasia i Boleś – zmagali się z przeciwnościami, właściwymi dla swoich „przedsiębiorstw rolnych", których pomyślność zależała nie tylko od nakładu i rzetelności pracy ale od… pogody…, która sprawiała niekiedy, że zbiory były mniejsze, czego już podatkowe zobowiązania nie uwzględniały.

***

Zakończenie II wojny światowej niosło – na pewno – także dla ludzi tej wsi – nowe nadzieje. Ale na wsi było zwyczajnie – wszyscy odczuwali „codzienny pisk niedostatku". Przecież „cały warsztat pracy", w tym i budynki każdy gospodarz, musiał zbudować sobie sam. To nie było nic nadzwyczajnego, bo od dziesiątków

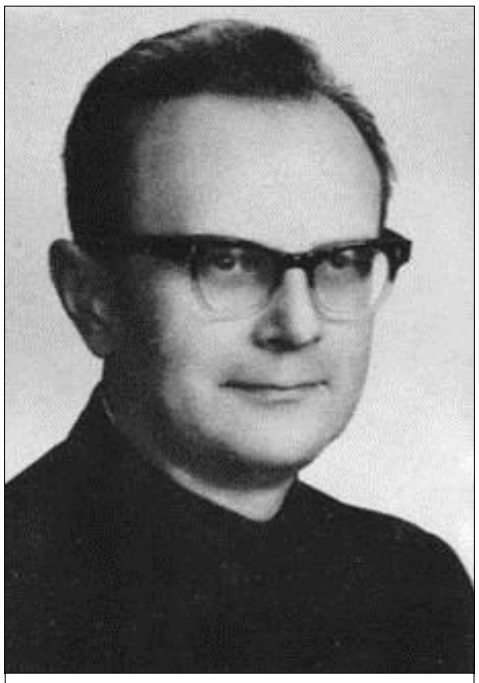

O. dr Józef Majkowski SJ, członek kierownictwa Prymaskiego Studium Życia Wewnętrznego.

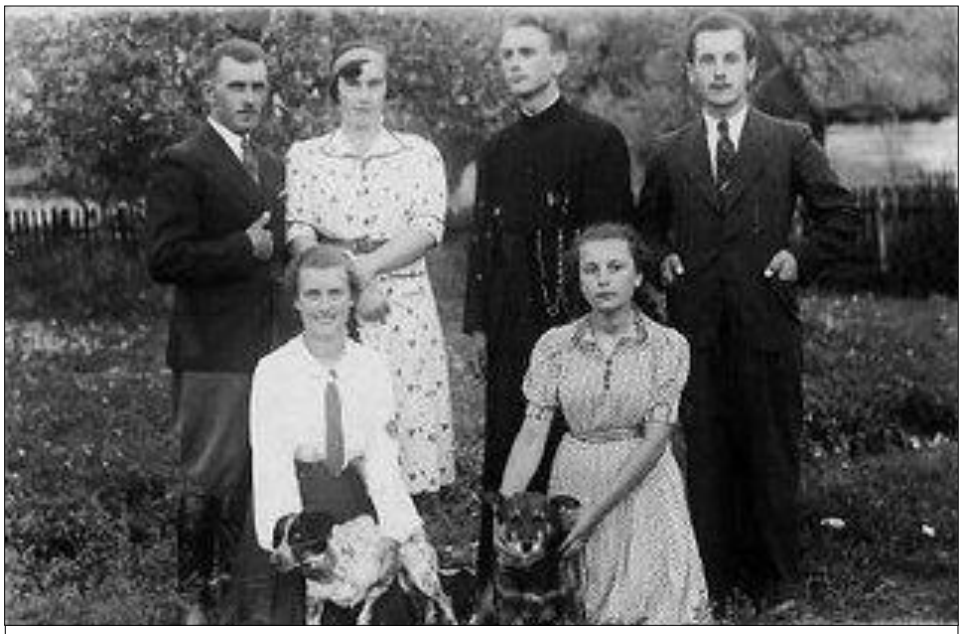

Rodzeństwo – Majkowscy: 1, 2 lub 3 sierpnia1939 roku przed wyjazdem Józia do Wilna! (od lewej strony: Boleś – 27 lat; Stasia – 29 lat; Józio – 24 lata; Kazik – 21 lat; Hania – 17 lat; Krysia – 15 lat. Hania – ma tarczę szkolną, na rękawie bluzki – mogła być w trzeciej klasie gimnazjalnej, ale nie wiem w jakim mieście, może w Warszawie, tam gdzie był Kazik?

RZECZPOSPOLITA POLSKA

Województwo warszawskie Powiat Makow Maz.

METRYKA URODZENIA i CHRZTU

WYDANA NA ZASADZIE KSIĄG METRYKALNYCH RZ.-KAT. PARAFII Głowiany

za rok 1915 nr aktu 118

Niniejszym zaświadczam, że Józef Majkowski

syn / córka Aleksandra i Teodozji

z Makowskich urodził(a) się w Chodkowie Załogach

dnia 30 października 1915 r. tysiąc dziewięćset piętnastego roku

ochrzczony(a) dnia 31 października 1915 roku

Uwagi

Głowiany, dnia 25 sierpnia 1950 r.

Proboszcz

ks. St. Bindzyński

15 zł 15 Opłata skarbowa

15 zł 15 Opłata skarbowa

lat, a nawet od wieków tak było! Robotnicy w mieście żądali od pracodawcy stanowiska pracy, odpowiednio wyposażonego, roboczego ubioru, narzędzi, transportu itd., a rolnik też mógł żądać – tyle, że… od siebie samego jedynie!

Pisząc tę część tekstu wykorzystywano niekiedy informacje zawarte w książce autorstwa o. Felicjana Paluszkiewicza – pt.: „Nie chcę by Życie było byle jakie".

Tekst napisaliśmy aby zostawić go naszym zstępnym, bo niektórzy z nich zdążyli jeszcze zapamiętać dobroć Stryja (stryja – dziadka. Nieco później tekst znalazł także innych czytelników – właśnie tych, którzy skupiali się wokół Ośrodka „Fides". Odpowiedź – na pytanie: „dla Kogo?" zapełniamy kartki papieru dawno wyuczonymi znakami, próbując złożyć w jak najzgrabniejsze zdania, znaleźliśmy w myśli zawartej w jednym z wpisów (autorstwa ks. Alojzego Hennela, CM) w pośmiertnej „Księdze Pamiątkowej" o. Józefa Majkowskiego) – napisał On:

„Dla tych, którzy przyjdą po nas i będą czytać napisane słowo chcemy pozostawić ślad, że tędy szedł z nami, cierpiał nasze cierpienia i radował się naszą radością. Przedziwny Ojciec, Brat, Kolega, Przyjaciel Biskupów, Księży, Zakonnic, swojej Młodzieży i każdej biedy człowieczej.

To, co się pisze jest martwe, a on był żywy, było światło, był pokój, były przestrzenie myśli i serca, których się doświadcza tylko w obecności. Opuścił nas dyskretnie – jak żył".

Józef urodził się 21 października (czwartek) 1915 roku, w Załogach. W dokumentach występuje data urodzenia 30.10.1915 r. (sobota). Z zamieszczonego niżej dokumentu wynikać miałoby też, że Józef urodził się 30 października, a dzień później tj. 31 października, jednodniowe niemowlę chrzczono – i to w kościele oddalonym o 6 kilometrów od Załóg … to zdecydowanie mylny zapis! Chrzest miał miejsce w niedzielę – 31.10.1915 r.).

Rok 1915 to był drugi z kolei rok gospodarowania Jego rodziców we własnym, niedawno kupionym gospodarstwie, we wsi Załogi.

Już 31października Józia ochrzczono (szukając – w tym obrzędzie – wsparcia dla wątłych sił niemowlęcia). Józiek pokonał wstępne słabości organizmu i choć nie był – jako dziecko – fizycznym gigantem, później podrósł, zmężniał i fizycznie był silny, jak wszyscy Majkowscy z tego pokolenia, choć tego nie okazywał.

Otoczony czułością rodziców, wobec niewielkiej różnicy wieku do starszych – siostry i brata, stanowił z nimi „mały klan", nie powodujący – jak wieść niesie – kłopotów wychowawczych.

Także i w tym miejscu trzeba dodać, że ówczesne warunki bytowania małych Majkowskich były wręcz spartańskie. Surowszy nieco, niż w centralnej Polsce, klimat jesieni i zim, dłuższy czas przedwiośnia, zapewne powodowały, że dzieci więcej czasu przebywały w domu. Zresztą: buty i ubranie trzeba było oszczędzać, a o butkach gumowych dla dzieci nikt nawet nie śmiał wtedy marzyć.

Na świecie kończyła się pierwsza wojna (1916 r.). Polska pozostawała pod zaborami, albo Rosjanie już uciekli z tych terenów, albo Niemcy je zajmowali, wprowadzając swoją administrację. Mały Józio zajmował się „swoimi sprawami"- wykazując zdolności do nauki i wielką subordynację.

A gdzieś tam… w Warszawie… brat stryjeczny jego dziadka Stanisława Dionizego i Stryj-stryjeczny jego Mamy – arcybiskup warszawski Aleksander Kakowski, Regent Królestwa Polskiego, wspólnie z dwoma innymi członkami Rady Regencyjnej – Lubomirskim i Ostrowskim – zabiegał o to, aby sprawy niepodległości Polski nie schodziły z pierwszego planu uwagi, tak wewnątrz sił politycznych w kraju jak i wśród władców krajów okuokupujących Polskę.

Tamten okres abp Aleksander Kakowski opisał w Pamiętnikach (wydało je krakowskie wydawnictwo PLATAN, w 2000 roku – tytuł: „Z Niewoli do Niepodległości – 1914-1918". Książka jest oznaczona: ISBN 83-85222-29-4, zatem jest – m.in. – zbiorach Biblioteki Narodowej. Aleksander Kakowski otrzymał godność kardynała w 1919 roku, a od 1925 mógł posługiwać się tytułem: Prymas Polski. Współdziałając z papieżem Achille Rattim – Piusem XI –doprowadził do podpisania przez Polskę Konkordatu. Był odznaczony Orderem Orła Białego. Pprałat Achilles Ratti – podczas pobytu w Polsce – najpierw jako wizytator apostolski mieszkał w budynku plebanii parafii św. Aleksandra, przy ul. Książęcej 21; 6 VI 1919 r – A. Ratti został mianowany nuncjuszem apostolskim w Polsce. Pod tym adresem zamieszkał też następca nuncjusza Rattiego… Lorenzo Lauri oraz przyszły papież Paweł VI – wówczas sekretarz nuncjatury; budynek przetrwał do dzisiejszych czasów

***

W drugiej połowie lat dziesiątych ub. wieku – w kwietniu 1918 r., a więc w czasie, gdy arcybiskupstwem warszawskim zarządzał Aleksander Kakowski (05.02.1862 - 30.12.1938) – Stryj-stryjeczny mamy O. Józia), do Warszawy został skierowany przez Watykan, Achilles Ambraggio, Damian Ratti (ur. 31.maja 1857 r.) – jako Wizytator Apostolski. Ci dwaj hierarchowie zaprzyjaźnili się, współpracowali ściśle. Achilles Ratti był wielce inteligentnym i wykształconym człowiekiem, studiował w Berlinie, Wiedniu, Oxfordzie, Paryżu, Monachium, Rydze. W październiku 1919 roku został konsekrowany na arcybiskupa – uroczystość była w Warszawie, a sakrę otrzymywał Ratti od… Kakowskiego – w tym czasie już Kardynała, W czasie apokalipsy „Bitwy Warszawskiej" - jako jeden z dwóch zagranicznych dyplomatów (drugi był z Turcji), Ratti nie wyjechał z Warszawy, zapewne za porozumieniem ze zwierzchnikami w Watykanie, ale ten fakt miał polityczne znaczenie.

O. Józef Majkowski SJ (1915 – 1987)

Papież Pius XI (1922-39), wcześniej Ambragio Damian Achille Ratti.

W Warszawie, w Polsce abp Ratti czuł się dobrze, co wielokrotnie sam podkreślał. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości został nuncjuszem papieskim, a w czerwcu1921 r. otrzymuje godność Kardynała i w tym samym roku Uniwersytet Warszawski uhonorował Go doktoratem honoris causa. W lutym 1922 roku Józef Piłsudski wręczył Rattiemu – Order Orła Białego, a kilkanaście dni przed tą datą – 6 lutego 1922 r. – Kardynał Ambragio Damian Achille Ratti zostaje papieżem (Pius XI). Suwerenem, czyli Władcą Państwa Watykańskiego, zostaje od 11 lutego 1929, to jest od podpisania z Włochami Konkordatu (Układ Laterański), na którego mocy utworzono Państwo Watykan.

Pius XI – był zwany „Papieżem pojednania" – jego pontyfikat trwał 17 lat. Z Polską podpisał konkordat, w dniu 10 lutego 1925 roku, ufundował budynek Domu Jezuitów w Warszawie, przy ul Rakowieckiej 61. Kardynał Kakowski był na uroczystości otwarcia Domu Jezuitów w 1935 roku.

W dniu 17 kwietnia w 1938 roku papież Pius XI kanonizował Andrzeja Bobolę i przekazał relikwie Świętego umieszczono je w Kaplicy Jezuitów na ul. Rakowieckiej. Kardynał Kakowski był stryjecznym bratem Stanisława Dionizego Kakowskiego, a ten, był dziadkiem m.in. o. Józefa.

W historii tak się złożyło, że doczesne szczątki św. Andrzeja Boboli były „zarekwirowane" przez bolszewików. W 1922 roku, na terenach Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, nastał wielki głód. Z pomocą pospieszył papież – Pius XI – Achilles Ratti. Radzieccy przywódcy godzą się na wydanie relikwii! pod warunkiem, że nie będą wywożone przez teren Polski. I tak relikwie świętego przewieziono przez Odessę, Konstantynopol do Rzymu, a później: prze Jugosławię, Węgry… do Polski. Należy tu odnotować, że w proces ocalania szczątków Andrzeja Boboli zaangażowany był O. Jan Rostworowski (1876 - 13.I. 1963 r.) - w Domu Pisarzy na ul. Rakowieckiej od 1948 roku. Był rzecznikiem kanonizacji bł. Andrzeja Boboli i promotorem jego kultu. W 1917 roku, w Połocku, brał udział w ceremonii przełożenia do nowej trumny ciał Męczennika – które zachowało się nietknięte! – i które sam z kurzu oczyszczał. O. Jan zaświadczał też w Rzymie o autentyczności zwłok Męczennika i ufundował nową trumnę oraz zorganizował pielgrzymkę polską do Rzymu na uroczystości kanonizacyjne Andrzeja, objaśniał przez radio ich przebieg, przygotował uroczystości towarzyszące powrotowi ciała Św. Męczennika do kraju.

***

P.S. pewnym nieprzyjemnym zdarzeniem na poziomie polskiej hierarchii kościelnej, z udziałem A. Rattiego – jeszcze podczas jego posługiwania w Polsce było wystąpienie bp Adama Sapiehy, na pierwszym po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, powojennym zjeździe polskich biskupów w Gnieźnie, obradującym w dniach 26-30 sierpnia 1919 roku. Adam Sapieha poprosił Achillesa Rattiego o… opuszczenie Sali obrad(!), argumentując, że „Kościół Polski chce rozstrzygnąć swoje sprawy bez wpływów zewnętrznych". Zapewne z tego powodu A. Sapieha nie mógł oczekiwać na kapelusz kardynalski, gdy papieżem został Ratti. Godność kardynała przydzielił mu dopiero papież Pius XII – 18 lutego 1946 roku.

***

Dom Pisarzy – Jezuitów, w Warszawie, na ul Rakowieckiej Siedziba Prowincji Jezuitów została przeniesiona z Krakowa do Warszawy, w 1924 roku, za sprawą ówczesnego prowincjała o. Stanisława Sopucha (1869 - 26 lutego 1941), który wystarał się w Rzymie o zgodę na podzielenie Prowincji na dwie – Małopolską i Wielkopolsko-Mazowiecką. Osobowość o. Sopucha utrwaliła się w historii polskich jezuitów Jego wielką charyzmą, jednym z przykładów jego duchowej mocy może być to, że podczas Mszy św. dziękczynnej na placu Zamkowym, po zwycięskiej bitwie z bolszewikami, wygłoszenie kazania powierzono właśnie

o. Sopuchowi. Kiedy w październiku 1919 roku został prowincjałem, to jednym z pierwszych działań było zwrócenie się z prośbą o troskę dla polskiej misji w Rodezji. Tu można zapytać: czy o. Józef, kierując się wiele lat później, właśnie tym przesłaniem sprzed lat starszego współbrata, nie wziął sobie za cel życia pracy na misji w Rodezji?. Wiemy, że plany młodego jezuity nie mogły się ziścić, bo przełożeni podjęli inne decyzje wobec o. Józefa.

To o. Sopuch - rozpoczął (w 1923 r.) budowę kolegium Bobolanum w Lublinie, a gdy zbudował, złożył – w 1926 roku – urząd prowincjała i przeniósł się do Lublina.

W 1926 roku, ówczesny papież Pius XI chciał koniecznie powołać tego Jezuitę na prymasa Polski. Wtedy to stała się rzecz nieoczekiwana… oto wierni podjęli powszechne modły, aby tak się nie stało (!) – nie chcieli tracić tak przyjaznego im duchownego. W tej sytuacji Generał Zakonu o. Ledóchowski wysunął kandydaturę Augusta Hlonda na prymasa Polski.

O. Stanisław Sopuch (1869 – 1941) podczas wręczania Prezydentowi RP Ignacemu Mościckiemu relikwii św. Andrzeja Boboli. Źródło: Wikipedia.

W 1931 r. o. Sopuch przenosi się do Warszawy, na ul Świętojańską; tam pracuje na wskazanych przez przełożonego odcinkach.
Za sprawą impulsu idącego bezpośrednio od papieża Piusa XI jako Fundatora – jezuici, w 1933 roku rozpoczynają działanie w celu budowy katolickiego domu wydawniczego, który miał się stać ośrodkiem pracy intelektualnej oraz apostołowania przez książkę i prasę. Zaznaczyć trzeba, że o. Sopuch przyjaźnił się z Achille Rattim – w czasie jego bytności w Warszawie – jako wysłannika papieża Benedykta XV). Plac pod dom znaleziono staraniem o. Błażeja Jabłońskiego - właśnie tuż przy ogrodach miejskich, na końcu ul Rakowieckiej; plany sporządził architekt Andrzej Bonni; w lutym 1935 roku Sopuch zostaje ponownie prowincjałem; na jesieni – Dom Pisarzy zostaje otwarty. Do tego Domu Pisarzy na ul Rakowieckiej 61 trafił o. Józef Majkowski. Najpierw – po powrocie z Wilna – był krótko w Gdańsku i Bydgoszczy (od marca do sierpnia 1946 r.), następnie skierowano go do Krakowa (1946-1947 r.) – gdzie odbył III probację – według zapisów sam obrzęd odbył się w Czechowicach. Następnie o. Józef jedzie do Lublina (1947-1949 r.), gdzie uzyskuje doktorat z filozofii, na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Po uzyskaniu doktoratu zostaje skierowany do Warszawy, pracuje także w Lublinie – to okres, kiedy zajmuje się pisarstwem i wykładami z psychologii religii i z filozofii religii. W dalszym czasie otrzymuje polecenie od przełożonych udania się do Lublina, do pracy z klerykami. Do tego zajęcia – jak wiadomo także z potwierdzeń jego kolegów/współbraci – nie miał predyspozycji. On, po wspaniałej jakościowo pracy doktorskiej, podobnie jak w 1939 roku, po studiach filozofii w Krakowie, otrzymuje skierowanie na taki odcinek pracy, który nie niósł – dla o. Józefa –możliwości rozwijania zainteresowań…, ale… kiedy „nieprzewidywalna parabola, wzdłuż której porusza się los i przesądza… wróciła do punktu wyjścia”… o. Józef wrócił do tego domu, na Rakowieckiej 61 i… pozostał w nim do końca swoich dni.

***

Dom Pisarzy na ul Rakowieckiej 61 ma w swej historii także tragiczne wydarzenie z czasów II wojny. Zaraz po wybuchu Powstania Warszawskiego, w jednym z pomieszczeń służących wówczas za kotłownię, Niemcy z oddziałów SS, zgromadzili kilkudziesięciu Polaków, w większości miejscowych jezuitów. Następnie wrzucili granaty i dobijali rannych. Po długo trwającej masakrze 13 osób wydobyło się spod zwałowiska ciał. Sześcioro z nich pozostawiło świadectwa, dokumentujące przebieg krwawego zdarzenia. Zginęło ok. 40 osób, w tym 20 świeckich. Zdarzenie opisane zostało przez o. Felicjana Paluszkiewicza T J, w książce p.t.: „Masakra w Klasztorze” (ISBN 83 -917849 -1-6).

***

Przez kształtowanie w rodzinnym dzieciństwie, a później w nowicjacie i na studiach gdzie zetknął się z osobowościami charyzmatycznych duchowych nauczycieli oraz dzięki swoim talentom, pracowitości, uporowi, wierze i poświęceniu dla innych, postać o. Józefa Majkowskiego stała się wzorem charyzmy osoby duchownej, jakiego oczekiwać chciały od Niego (wręcz „całodobowo i bez końca”!) wielkie rzesze tych, którzy się z Nim zetknęli, w tym szczególnie studentek i studentów, którym służył z całym poświeceniem od 1958 roku do lutego 1987 roku, w Ośrodku Akademickim „Fides”, w Domu Jezuitów w Warszawie na ul. Rakowieckiej 61.

Po upływie ponad ćwierci wieku, duża grupa b. studentek i b. studentów, tego Ośrodka, w tym i tych z najstarszych roczników, potwierdza, że nadal jest strażnikiem pamięci o tym Wielkim Jezuicie – Człowieku wielkiej, „nadludzkiej” dobroci, cierpliwości i wyrozumiałości.

***

Lata 1922-1928 to lata szkoły powszechnej Józefa, które minęły w nader skromnych warunkach wiejskiej szkoły. Nowy budynek szkoły (murowany, piętrowy, z dużymi piecami kaflowymi) otwarto dopiero w 1930 roku w pobliskim Chodkowie, budynek powstawał najpierw w Załogach, ale władze przerwały budowę tej szkoły (w wyniku intrygi jednego z nauczycieli z innej wiejskiej szkoły).

Józef Majkowski, w dniu 27 czerwca 1928 roku, ukończył z wynikiem bardzo dobrym siódmy oddział szkoły trzyklasowej siedmio oddziałowej Publicznej Szkoły Powszechnej w Załogach. Tu wspomnieć należy ówczesnego nauczyciela tej szkoły Władysława Kocota – wielkiego społecznika tamtych stron, m.in. założyciela –w 1918 r. – Ochotniczej Straży Ogniowej, w Załogach. Władysław Kocot dożył 100 lat! (zmarł w 2000 r.), przedtem żegnał na cmentarzu w Płoniawach wielu swoich uczniów, wśród nich, w 1986 r., Bolesława – brata o. Józefa.

***

Wszyscy Majkowscy i okoliczni sąsiedzi mieli do kościoła w Płoniawach „tylko” sześć kilometrów. W niedzielę i na czas innych uroczystości kościelnych Majkowscy jeżdżą na Mszę św. pojazdem konnym. Zapewne zdarza się też, że dzieci idą niekiedy na piechotę, a droga nie jest utwardzona lecz błotnista. Chmury nie zawsze zdołają utrzymać deszcz „w garści” i… moknie się! W tamtej rzeczywistości parasol nie występuje, podobnie jak i płaszcze przeciwdeszczowe. Już sama taka dwunastokilometrowa podróż „przechadzka” dzieci do kościoła i z powrotem ,,dość skutecznie” utrwalała umartwienie duszyczek wiejskich dzieci, ale o trudach szybko zapominano.

Strzępy informacji pokazują, że w latach dwudziestych i trzydziestych, łączność Majkowskich z rodzinami skoligaconymi, poprzez małżeństwa Kakowskich, z: Krępskimi, Żebrowskimi, Fęckimi, Pszczółkowskimi, Kierzkowskimi – była!, pomimo znacznych odległości pomiędzy ich siedzibami. I nie była to łączność zdawkowa, trwała też w następnych dziesiątkach lat, z różnym nasileniem, ogólnie jednak, w czasach po wojnie – słabła.
Ale… pamiętali o sobie. Jeżeli nie mogli nadawać tej pamięci formy listów lub odwiedzin.

Nasz Stryj Józio – miał fantastyczną pamięć,

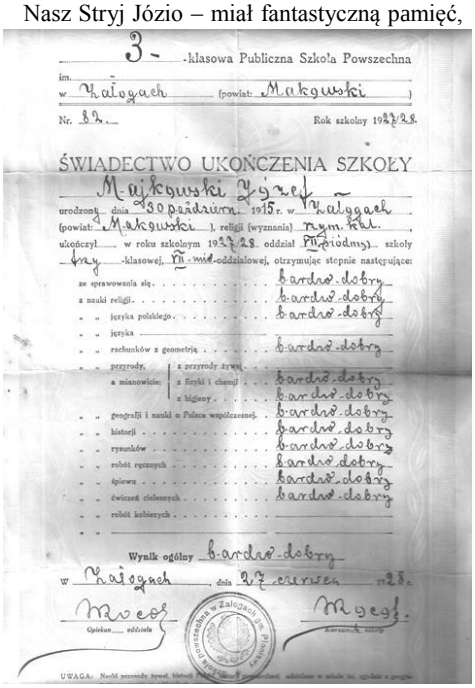

3- -klasowa Publiczna Szkoła Powszechna
im.
w Załogach (powiat: Makowski)
Nr. 12. Rok szkolny 1927/28

ŚWIADECTWO UKOŃCZENIA SZKOŁY

Majkowski Józef
urodzony dnia 30 październ. 1915 r. w Załogach
(powiat: Makowski), religii (wyznania) rzym. kat.,
ukończył w roku szkolnym 1927/28 oddział VII (siódmy) szkoły
trzy-klasowej, VII-mio-oddziałowej, otrzymując stopnie następujące:

ze sprawowania się	bardzo dobry
z nauki religii	bardzo dobry
„ „ języka polskiego	bardzo dobry
„ „ języka	
„ „ rachunków z geometrią	bardzo dobry
„ „ przyrody, z przyrody żywej	
a mianowicie: z fizyki i chemji	bardzo dobry
z higjeny	bardzo dobry
„ „ geografji i nauki o Polsce współczesnej	bardzo dobry
„ „ historji	bardzo dobry
„ „ rysunków	bardzo dobry
„ „ robót ręcznych	bardzo dobry
„ „ śpiewu	bardzo dobry
„ „ ćwiczeń cielesnych	bardzo dobry
„ „ robót kobiecych	

Wynik ogólny bardzo dobry
w Załogach dnia 27 czerwca 1928.

Dyrektor Szkoły

UWAGA: Nosić przepisany strój, bielizna [illegible]

pisał dużo listów – (setki setek listów, zawsze krótkich). Gdy pisał o sobie, zdanie brzmiało najczęściej: „U mnie wszystko bez zmian”(!), wtedy wyczuwaliśmy, że …” ledwie było go widać” sponad zajęć, jakie brał na siebie! Sam dostawał też dużo listów – bywało, że z okazji świąt było tych listów ok. 500!

Pomiędzy jego rodzicami i rodzeństwem też istniała korespondencja listowna. Tu trzeba zaznaczyć, że ci co mieszkali na wsi (Stasia i Bo-

leś), sami mieli niejakie trudności z wysyłaniem listów – najbliższa poczta była w miejscowości oddalonej od Załóg o 6 kilometrów (tak jest do dziś), a od Suchego – o 3 km. Ci ze wsi, jeśli pisali to musiała być już „nadzwyczajna potrzeba", lub doroczna okazja.

O. Józef pisał listy wręcz do wszystkich – na przykład: z datą 27 grudnia 1984 roku tj. po 58 latach od ostatniego młodzieńczego spotkania, pisał w liście do swego ciotecznego brata – Wincentego Fęckiego (księdza Salezjanina dr profesora, wykładowcy na KUL) i powiadamiał go o śmierci ich ciotecznego wuja Józefa Kakowskiego z Przasnysza, zaznaczając, że… „był on, jak również Jego Ojciec, Bronisław, bardzo bliski sercu naszego dziadziusia Stanisława Dominika" (Kakowskiego – przyp. JM), i że … „właśnie dwa tygodnie temu odprowadził ciała Józefa i jego żony, do grobu na Powązkach (dodam, że: Bronisław i Stanisław Dionizy – to byli bracia).

W liście wspomniał też jak to obaj, z Wincentym, spotkali się w Załogach –„przed rokiem chyba 1926" – czyli gdy Józef miał 10 lat, a także wspomniał swoją gościnę u mamy Wincentego w 1930 r. w Krasnosielcu „przed wyjazdem do nowicjatu" (w Kaliszu). Stosowna tu będzie wzmianka o tym, że Wincenty Fęcki urodził się w 1907 roku, był starszy od Józia o 9 lat, jego Mama Ludwika, była siostrą Mamy Józia Teodozji, starszą od niej o 12 lat. Wincenty wstąpił do Zakonu Salezjanów ok. 1922 r. Z czasem uzyskał stopień doktora i profesora Prawa Kanonicznego, wykładał na KUL, po latach także O. Józef wykładał m.in. na KUL-u. W starszym wieku Wincenty przebywał w klasztorze o. Salezjanów w Oświęcimiu, tam zmarł w 1996 roku mając 89 lat. Pozostawał na Planecie dłużej o 9 lat niż Józio.
Natomiast wspomniany wyżej przez o. Józia – Józef Kakowski, był osobą znaną w przasnyskim. Był np. jednym z założycieli i pierwszym prezesem „Banku Spółdzielczego z nieograniczona odpowiedzialnością", w Przasnyszu, w latach 1924-1929.

Dalsza nauka Józefa Majkowskiego odbywa się tzw. małym seminarium, w Chełmie Lubelskim, tam przechodzi przez cztery ówczesne klasy gimnazjum. 22 sierpnia 1930 roku Józef udaje się do nowicjatu (w Kaliszu), (inne źródło podaje, że wstępuje do nowicjatu 30 października 1930.

„– Józieńku , syneczku drogi,
Musisz pożegnać Załogi!

Uradziła tak rodzina:
Jezuitą chcą mieć syna.

Trzeba jechać. Jak najprędzej!
Szkoły. Nauka. Będziesz księdzem!

Kolegium Jezuitów w Kaliszu (dawne zdjęcie).

Na fotografii Józef Kakowski – w pierwszym rzędzie – drugi od lewej.

– Mamo, po co to rozstanie?!
Z Wami zawsze pozostanę!...

Mamo, jestem waszym synem,
Kocham wszystkich. Dom rodzinny,

Zboże, łąki, ogród – moje.
Mały jestem – ja się boję!

Tu mi dobrze. Drogie wszystko–
Każda trawka, każdy listek,"

Nie wiemy jaki przebieg miała ta wyprawa. Wszak wyprawa z Załóg, w tak „daleki świat", to nie było byle co! Ale Józio był już zahartowany pobytem w Chełmie Lubelskim! Otóż najbliższa Załogom stacja kolejowa była w miejscowości Jastrząbka - 24 km od Załóg, drogami polnymi, w tym przez spore leśne dukty! Do stacji dojeżdżano tylko furmanką, a ta była na kołach drewnianych okutych obręczą z żelaza, żadnej amortyzacji – tyle co przez wiązkę ze słomy, jako siedziska. Jazda takim pojazdem, szarpanym zwykle nierówno przez ciągnące konie, była „frajdą", po której pasażer na pewno zapamiętywał taką podróż na zawsze, a i woźnica utrwalał doznania.

Czas przejazdu furką konną na dystansie 24 k, do Jastrząbki, to czas ok.3 godziny!, i z powrotem - drugie tyle. Konie po takiej „przechadzce" – nadawały się tylko do „wypoczynku", a i woźnica… też! Ile, w tamtym czasie, było połączeń, na dobę, z Jastrząbki w kierunku Warszawy (czy „na wschód"?) - nie wiemy. Ale mogło być „jedno, góra dwa połączenia na dobę" – jak się kto spóźnił…, to… to tak jak w tej autentycznej opowieści, którą kiedyś Stryj mi przytoczył: rzecz dzieje się na dalekiej Rosji, w zimę. Podróżny – ówczesny biznesmen – spieszy saniami na stację, widzi, że pociąg gdzieś tam z Syberii, w kierunku Moskwy stoi na peronie, bo dym z komina walił gęsto, podróżny ma super dokładny szwajcarski zegarek, jest pewny, że ma dość czasu. Wyskakuje z sań wbiega na dworzec po bilet, jeszcze raz sprawdza czas na swoim szwajcarskim chronometrze, ma jeszcze 4 minuty do odjazdu. Ledwie odebrał bilet od kasjera, odwraca się do okna i widzi, że pociąg ruszył i mocno przyspiesza! Podróżny biznesmen wybiega na peron … już nie da rady wskoczyć do pociągu. Czerwony z wysiłku i ze złości podbiega do stojącego zawiadowcy stacji, który jeszcze nie opuścił sygnalizatora odjazdu, tak był zaaferowany odjazdem bardzo dalekobieżnego pociągu (przez całą Rosję – przecież!) i pokazuje mu swój szwajcarski zegarek mówiąc z wyrzutem: panie zawiadowco! i Pan, na Takiej trasie, wypuszcza pociąg o 59 sekund przed czasem według rozkładu jazdy! To jest karygodne! Będę domagał się ukarania Pana, a dla siebie odszkodowania! Zrozumiał pan to! A zawiadowca stacji, spokojnie odpowiedział: to wczorajszy! Odwrócił się i odszedł.

***

Natrafiliśmy na zapis, że drogę do Kalisza Józiek odbył przez… Ciechanów – Warszawę. Do Ciechanowa można było tylko dojechać koleją wąskotorową ze stacji Klewki k. Przasnysza (a z Załóg do stacji kolejowej Klewki – jazda furmanką – 18 km). Józio jechał z Mamą – odwoził ich Boleś, Tata został na gospodarstwie z: 8-letnią Halinką, 6-letnią Krysią i 12-letnim Kaziem. Z Warszawy do Kalisza Józio

Wczesne lata nowicjatu**.** Józef Majkowski w środku, tu gdzie biała kropka, bez nakrycia głowy.

pojechał z Ciocią Szarytką Eufemią (Femcią), siostrą swojej Mamy. Możemy tylko domniemać, jak czuł się chłopiec, któremu przychodziło opuścić dom rodzinny, aby udać się do innego środowiska, w nieznane, na długi czas, wręcz – na zawsze. Wychodzi jednak na to, że Józio miał silną konstrukcję psychiczną.

***

W Kaliszu …

„Tłum młodzieży. Ojców ważne grono –
Z tytułami, dostojni, myślący.
Mały Józio w tłoku zagubiony –
Kryształ rosy tęczowy na łące."

Powyższe i poniższe fragmenty poetyckiego ujęcia losów o. Józefa pochodzą z obszernego opracowania tytułowanego: „Pieśń o dobroci", poświęconego o. Józefowi, napisanego przez grono przyjaciół – najbliższych, także tych z Wilna. Opracowanie obejmuje czas od 21 października 1915 roku do początku lat 70-tych ub. wieku. A może młodzieniec Józef – już wtedy – pomimo wówczas mikrej postury – był „twardym facetem" i… mentalnie był przygotowany do takich zmian? O ile wiemy do Nowicjatu Jezuitów wyjeżdżało się „na cały czas", nie było już powrotów na wakacje. Młody człowiek (dziecko jeszcze) musiał zdawać sobie sprawę, że już do domu rodzinnego nie zajrzy przez wiele lat, lub dziesiątków lat.

Kleryk Józef – najniższy rząd, drugi od lewej.

W nowicjacie Józef zastał – m.in. – nieco starszego kolegę, z centralnego Mazowsza, spod Łowicza – Stefana Dzierżka, który już tam był, od 1928 roku. Zaprzyjaźnili się. Obaj intelektualnie bystrzy, obaj ze specyficznym poczuciem humoru, jednym słowem: Stefan i Józiek –„przyjaciele, po wsze czasy".

***

Stosowne będzie zamieszczenie tu kilku zdań o tym niezwykłym Człowieku. Stefan Dzieżek po maturze, którą zdał w Pińsku (podobnie jak później Józiek), wyjechał do Paryża studiować filozofię. Po tych studiach, w 1937 roku rozpoczął studia na kierunku fizyka Uniwersytetu Wileńskiego im Stefana Batorego. Wybuchła wojna. o. Stefan Dzierżek zgłosił się do wojska – jako ochotnik. Był w 261 kompa-

Józef Majkowski - stoi trzeci od lewej - tu kleryk Józef ma 16-17 lat

nii sanitarnej. Po klęsce, która zastała go w okolicach Lwowa, wrócił do Wilna. Tam działał w tajnej organizacji podziemnej. Hitlerowcy aresztowali go, na ulicy – razem z Józkiem, w marcu 1942 roku. Przetrwał więzienie i obóz dla internowanych, choć przed aresztowaniem nie zdążył zniszczyć dowodów na konspirowanie. I tu rzecz dziwna, śledztwa w jego sprawie Niemcy nie rozpoczęli(!).

To było zdarzenie, którego on sam nie mógł pojąć – dlaczego tak? Uznał, że… Bóg koniecznie chciał z niego zrobić księdza. 3 października 1944 roku, w Kaplicy Ostrobramskiej, otrzymał święcenia kapłańskiej. Po wojnie, w 1946 roku, otrzymał polecenie powrotu z Wilna do Polski, został m.in. przełożonym nowicjatu, a równolegle miał inne obowiązki. W 1961 roku został prowincjałem, pełnił inne funkcje, aż nakazano mu powrót do Kalisza. Jak pisano: „wrósł w Kalisz" tak jak „wrósł w Wilno". W czasach swojej pracy w Kaliszu tzw. „bezpieka komunistyczna" uprzykrzała mu codzienność, ale to był twardy Człowiek.
W Kaliszu przebywał najdłużej, aż do śmierci, zmarł 3 sierpnia 2005 roku – żył 92 lata, a swego przyjaciela – Jóźka – przeżył o 18 lat).

***

Powyższe zdjęcie ma na odwrocie napis: „Na sterze W.O Rektor, ja naznaczony krzyżykiem" – dla „lepszej" identyfikacji dodano białą strzałkę. Klerycy – dla tężyzny fizycznej – mieli takie ćwiczenia, na rzece Prypeć podczas nauki w Kolegium w Pińsku.

Po ponad półwieczu, licząc do 1930 roku, przeczytaliśmy pewien wpis do Księgi Pamiątkowej, wyłożonej z okazji pogrzebu Stryja. Wpisu dokonał brat zakonny – kilka lat starszy od o. Józefa – z Sanktuarium w Świętej Lipce, który zapisał – m.in. –„w Kaliszu, w 1930 roku spotkałem w nowicjacie małego piętnastoletniego Józia, który postanowił zostać księdzem. Józio był słabo fizycznie zbudowany, gdy usiadł na krzesełku nie mógł sięgnąć nogami do podłogi. Głos miał dziewczęcy, zwłaszcza w czasie śpiewu solo. {…} Zwróciłem swój wzrok na Józia, budowałem się jego postawą, był opanowany, przestrzegał starannie przepisów zakonnych, był uprzejmy, życzliwy, swoją uprzejmością ożywiał całą wspólnotę zakonną… oraz swych podopiecznych, aż do śmierci {…} Pomimo, że o. Józef doznawał braków materialnych, nigdy nie żalił się i nie narzekał. {…} Każdego roku z młodzieżą warszawską przyjeżdżał na wczasy do ulubionej Świętej Lipki. Młodzież uczył porządku… pierwszy chwytał za miotłę. Cieszyłem się z jego przyjazdu, bo przywoził deszcz z Warszawy do Świętej Lipki".

Inne zapisy wspominkowe o alumnie Józiu z lat 30-tych mówią, że… „pomimo nie najtęższej wówczas postury, kiedy zdarzyło się, że któryś z kolegów się z niego naśmiewał, potrafił zareagować zdecydowanie".

W następnych latach Józef rósł... do „wzrostu wyraźnie średniego" (miał chyba 169 cm wzrostu), a fizycznie stał się silny, jak wszyscy jego bracia, choć tego nie okazywał. Nieliczne fotografie z lat 1936-1941, pokazują kapłana o subtelnej prezencji.

W Kaliszu kandydat na Jezuitę przebywa w latach 1930-1932 – nowicjat. W 1932 roku Józef zostaje skierowany do Starej Wsi k.

Pińsk - czas dalszej nauki – VI – VIII klasa chwilki kleryckiego wytchnienia – ks. Józef Majkowski – z prawej, a z lewej może ks. Józef Wieteska.

Na odwrocie zdjęcia: „Najdroższym Rodzicom – kochający syn Józiek", tak – to zdjęcie maturzysty!, rok 1936.

Maturzysta – kleryk: Józef Majkowski – pierwszy z prawej, powyżej siedzących (oznaczenie biały „x", Pińsk).

Brzozowa (Rzeszowszczyzna), tam kończy piątą klasę. „Piąta klasa gimnazjum. Lektura, łacina, język obcy. Tak wiele i lekcji, i pracy! Pan Jezus kłosem złotym nad duszą się zgina I światłem Swej bliskości jej głąb ubogaca."

Lata 1933 do 1936 roku, to czas pobytu w Pińsku.

„Dłonie Boże, co kreślą koleje dni naszych,

Józef Majkowski - kleryk. Wilno 1940 r.

Przywiodły Cię na kresy wschodnie – tak dalekie.
Tu życie przewertuje znów trzy kalendarze
I wiosny najpiękniejsze trzy z nich sucho zetnie.

W gimnazjum jezuickim modlitwa, nauka,
Nauka i modlitwa, praca, praca, książki…
Lecz serce na swych ścieżkach ciągle Boga szuka,
Biegnie z żarem pośpiechu do swych dążeń."

„Siwe fale Prypeci, niosące łódź miękko,
Zabierały pragnienia, pieśni i tęsknoty…
Zanurzona w ich chłodzie rozpalona ręka –
Powierzała młodości swej poemat złoty."

Czas od 21 sierpnia 1933 roku do czerwca 1936 roku – to nauka w klasach 6-8, w „prywatnym gimnazjum męskim neoklasycznym O. O. Jezuitów" w Pińsku nad Prypecią. Tam Józef zdaje egzamin dojrzałości. „Matura. Dziecko, które, kiedyś od początku, najpierwsze było w klasach zdolnością i pracą. Poprzez całe gimnazjum szło na samych piątkach –
Egzamin dojrzałości laurami wzbogaca."

Józef Majkowski jeszcze przed wojną ukończył studia na Wydziale Filozoficznym Towarzystwa Jezusowego, w Krakowie. Lata 1936-1939 to czas studiów w Krakowie – trzy lata na kierunku: filozofia i… pomimo planów… przychodzi rozkaz przełożonego: jechać do Wilna!… „ku nieznanej doli"!.

„Rozkaz przełożonego – życia mego prawem. Zakaz – obcina loty po jaskółczych szlaszlakach. Pęd wolności zmieniłem na święte Ustawy. Piszę swoją biografię na Ran Pana makach."

Bracia: Józef i Kazik – zapewne widywali się w Krakowie. Fotografia 1938 roku, pod Pomnikiem Grunwaldzkim, jest pamiątką z tamtego czasu. O. Józef studiował w Krakowie filozofię, a Kazik na Uniwersytecie Jagiellońskim, Wydział Rolniczo-Leśny, ale ukończył go dopiero po wojnie, w 1948 r.

***

W pierwszych dniach sierpnia 1939 roku kleryk Józef udawał się z Krakowa przez… Załogi do… Wilna! Jedzie pożegnać się z rodzicami i rodzeństwem, przed wyjazdem do pracy, nauki i posługi w krainie, gdzie… Polacy są, jest jego przyjaciel – Stefan Dzierżek…, ale … I znów… końmi do Jastrząbki, na stację, a przedtem ze stacji; Boleś – jego nieco starszy brat miał to zadanie; jakoś się porozumiewali, skoro później wiadomo było, którego dnia trzeba jechać do Jastrząbki, a telefonów – nie było!; telegramy? – mogły być! Trzy fotografie, zamieszczone w tym zapisie, dokumentują Ich spotkanie, w Załogach).

„W Załogach pola długie i pachnące zbożem.

KURATORJUM OKRĘGU SZKOLNEGO Brzeskiego
PAŃSTWOWA KOMISJA EGZAMINACYJNA

ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI

Majkowski Józef

urodzony dnia 30. miesiąca października roku 1915. w Rodkowie Załogach województwa warszawskiego wyznania rzymsk.-katol. po ukończeniu nauki w prywatnem gimnazjum męskiem neoklasycznem OO. Jezuitów w Pińsku do którego był przyjęty w 21. klasie roku 1933, zdawał w czerwcu roku 1936 gimnazjalny zwyczajny egzamin dojrzałości nowego typu klasycznego wobec Państwowej Komisji Egzaminacyjnej, powołanej przez Kuratorjum Okręgu Szkolnego Brzeskiego pismem z dnia 5. maja 1936. Nr 10115/36, i otrzymał następujące oceny ostateczne z przedmiotów egzaminacyjnych:

z religji . . . bardzo dobrze
z języka polskiego . . . bardzo dobrze
z języka łacińskiego . . . bardzo dobrze
z języka greckiego . . . bardzo dobrze
z kultury klasycznej . . .
z historji wraz z nauką o Polsce współczesnej . . .
z fizyki wraz z chemją . . . bardzo dobrze

W Załogach nad polami skowronki świergoczą…
Jezu, tam bym powrócił!… Ty wiesz, że nie wrócę. Związałeś Wieczernikiem i Ogrójca nocą."

Wiadomo jest, że ówczesny Kleryk „planował sobie" studiować kierunek, który przygo-

Rok 1938, pod Pomnikiem Grunwaldzkim bracia Józef i Kazik Majkowscy.

towałby go do pracy misyjnej, w ówczesnej Północnej Rodezji. Ale „planowanie własnych zamierzeń" w zakonie lub „marzenie o… „ miały się nijak do decyzji przełożonych, bo w zakonie „posłuszeństwo bierze się na serio"! Wiadomo, że mocno odczuł fakt, że… innych, po filozofii, kierowano na dalsze studia, a jemu…. kazano jechać do Kolegium Jezuickiego Św. Kazimierza w Wilnie, gdzie miał być zastępcą prefekta konwiktu… Jeden z braci zakonnych zacytował jego powiedzenie z tamtego czasu, którym się czasem później posługiwał: „nie pchaj się baranie, gdzie są inne bogi".

W Wilnie kleryk Józef jest w seminarium słuchaczem teologii, ma blisko swego przyjaciela – Jezuitę – Stefana Dzierżka, który studiuje fizykę, na Uniwersytecie Stefana Batorego. Wiadomo, że trzymają się razem!

***

Wschodnie tereny Rzeczypospolitej zajmuje Związek Radziecki, który– w październiku 1939 roku – decyduje o przekazaniu Wilna Litwie. Rok akademicki 1939/1940 zaczyna się w Kolegium „normalnie” choć przy wielkich już trudnościach materialnych, a nie bez znaczenia były też ponawiane „litewskie akcje nacjonalistyczne”. Ale Seminarium trwa! W roku akademickim 1940/1941 powstało zagrożenie, bo trzy czwarte gmachu Seminarium zajęły władze Litewskiej Republiki Radzieckiej, a 4 września 1940 r. kazali Jezuitom się wynieść z pozostałej części budynku. Pomimo tego Seminarium przetrwało do końca roku szkolnego.

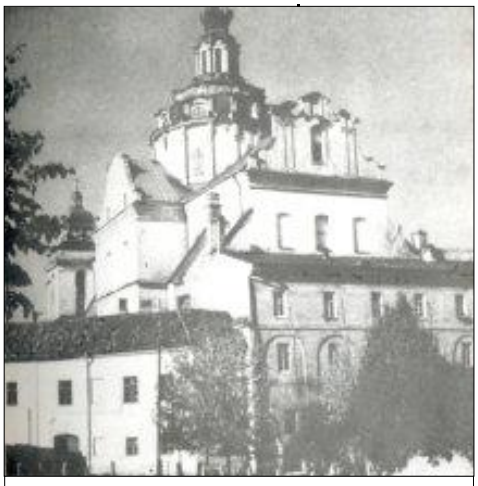

Kolegium Jezuitów w Wilnie, gdzie przebywał o. Józef Majkowski

***

W Wilnie o. Kazimierz Kucharski – Jezuita (nadzwyczajna, pełna charyzmy postać), którego wierni darzą ogromnym zaufaniem, podejmuje szereg inicjatyw chroniących ludność. Organizuje też ruch oporu, a w nim „podziemną komórkę legalizacyjną”.

Od początku października 1939 r. do maja 1940 r. „Komórka” jest pod bezpośrednim kierownictwem o. Kazimierza Kucharskiego. W tym czasie wydano 3 tysiące fałszywych dokumentów. Pracuje w niej także kleryk: Józef Majkowski - jego zdolność kaligraficznego pisanie, przy wypełnianiu blankietów dokumentów jest bezcenna.

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

LEGITYMACJA

Ksiądz Józef MAJKOWSKI T.J.

(Oddział A.K.) uprawniony(a)

jest do noszenia "KRZYŻA WALECZNYCH"

Londyn dnia 30 grudnia 1949 r.

NACZELNEGO WODZA
I
MINISTRA OBRONY NARODOWEJ

No. 5/49 z dnia 30/XII 1949 r.

(podpis)

Z. Nadratowski, mjr

KOŁO BYŁYCH ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
POLISH HOME ARMY EX-SERVICEMEN ASSOCIATION
42, EMPERORS GATE, LONDON, S.W.7
Tel.: FRE 1421

L. dz. 1436/63. Our ref.

Londyn, 15.sierpnia 1963.

ZAŚWIADCZENIE WERYFIKACYJNE.

Ksiądz Józef MAJKOWSKI T.J.

Za męstwo i poświęcenie w służbie w okresie konspiracji, odznaczony został w dn. 3.V.1944r. przez Kdta Samodz. Okręgu Wileńskiego A.K. na zasadzie upoważnienia Dowódcy Armii Krajowej

KRZYŻEM WALECZNYCH po raz pierwszy.

ZARZĄD GŁÓWNY KOŁA A.K.

Za zgodność

T. Kraczkiewicz.

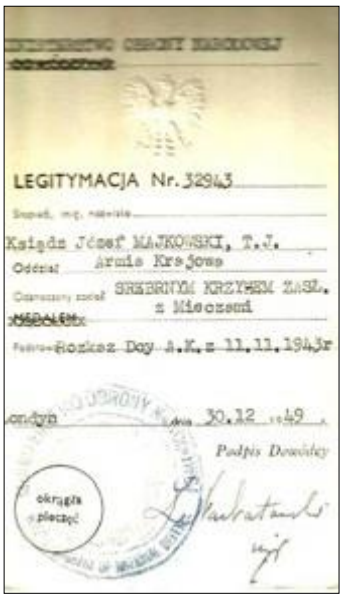

LEGITYMACJA Nr. 32943

Ksiądz Józef MAJKOWSKI, T.J.

Oddział Armia Krajowa

SREBRNYM KRZYŻEM ZASŁ. z Mieczami

Rozkaz Dcy A.K. z 11.11.1943r

Londyn dnia 30.12.49

Podpis Dowódcy

okrągła pieczęć

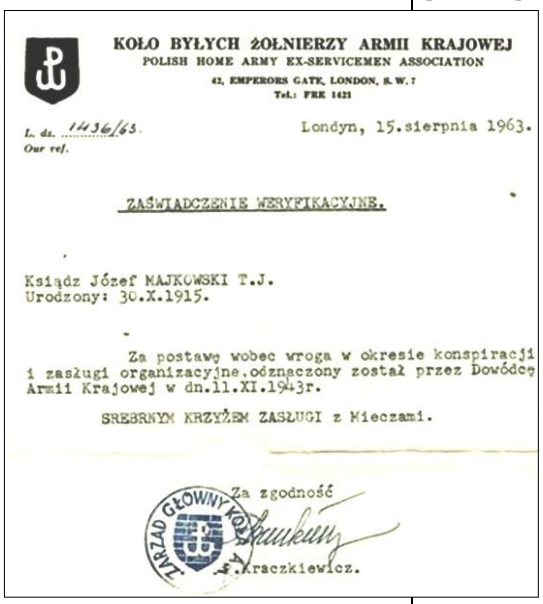

KOŁO BYŁYCH ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ
POLISH HOME ARMY EX-SERVICEMEN ASSOCIATION
42, EMPERORS GATE, LONDON, S.W.7
Tel.: FRE 1421

L. dz. 1436/63. Our ref.

Londyn, 15.sierpnia 1963.

ZAŚWIADCZENIE WERYFIKACYJNE.

Ksiądz Józef MAJKOWSKI T.J.
Urodzony: 30.X.1915.

Za postawę wobec wroga w okresie konspiracji i zasługi organizacyjne, odznaczony został przez Dowódcę Armii Krajowej w dn. 11.XI.1943r.

SREBRNYM KRZYŻEM ZASŁUGI z Mieczami.

ZARZĄD GŁÓWNY KOŁA A.K.

Za zgodność

T. Kraczkiewicz.

Zanim do Wilna przyjechał Józef, już w tej „komórce” działał jego Przyjaciel – o. Stefan Dzierżek Wewnątrz „Komórki” organizatorem roboty „biura lewych dokumentów” był Stanisław Kiałka – Jezuita – utalentowany i odważny organizator. O. Stefan, będąc pewnym przymiotów swego Przyjaciela – Józia, rekomenduje go – do pracy konspiracyjnej.

***

Komórka wytwarza fałszywe dokumenty, dzięki którym uratowało się przed hitlerowcami, a także przed radzieckim NKWD ok. 80 tysięcy osób – to potwierdzona liczba, na koniec działania „legalizacji”.

W jednym z artykułów pt „Pociągi pod specjalnym nadzorem” napisano: „Legalizacja jest już w Wilnie prawdziwą legendą, także dla NKWD. „Piotr” obliczył, że od początku wojny wyprodukowała ponad 85 tys. fałszywych dokumentów - od prostych druków po skomplikowane papiery ze znakami wodnymi. Sowieci wiedzą, jakie ma dla AK znaczenie. Bez rezultatu tropili ją przez rok. Gdy w końcu się udało, spodziewali się maszyn i wieloosobowej załogi. Tymczasem w małej piwnicy 5x5 m oficer widzi blade, zmęczone twarze konspiratorów i skromny sprzęt”.

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

LEGITYMACJA Nr. 20042

Stopień, imię, nazwisko Kapitan

Ksiądz Józef MAJKOWSKI
Ps. "Józef"

Oddział Armia Krajowa

Odznaczony został

MEDALEM WOJSKA

po raz 1, 2, 3 i 4.

Podstawa: Zarządzenie Szefa Sztabu Głównego z dnia 1 lipca 1948

Londyn, dnia 15 sierpnia 1948 r.

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

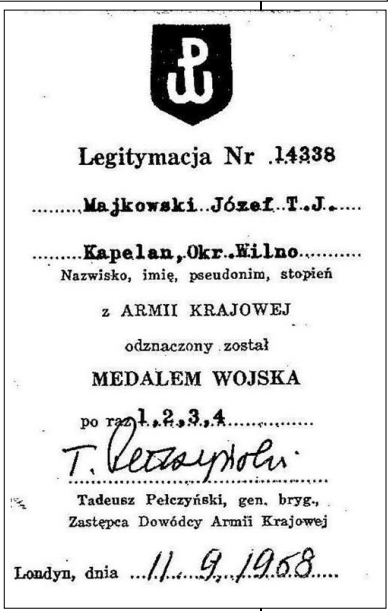

Legitymacja Nr 14338

Majkowski Józef T.J.

Kapelan, Okr. Wilno

Nazwisko, imię, pseudonim, stopień

z ARMII KRAJOWEJ

odznaczony został

MEDALEM WOJSKA

po raz 1, 2, 3, 4

T. Pełczyński

Tadeusz Pełczyński, gen. bryg.,
Zastępca Dowódcy Armii Krajowej

Londyn, dnia 11.9.1968

W dniu 25 maja 1941 r. – o. Kazimierz Kucharski zostaje aresztowany przez NKWD. Po nim kierownictwo obejmuje jezuita - Stanisław Kiałka. Kiedyś zanotowaliśmy zapis, że o. Kucharskiego wsypał niejaki Butler Konstanty – dyrektor Kowieńskiego Banku Polskiego. Był i drugi człowiek o pseudonimie - „Luis" – ten nie wytrzymał znęcania i „sprzedał się na służbę NKWD". Wileńska „Legalizacja" ma na koncie: 3 ordery Virtuti Militari, 6 Krzyży walecznych, 4 Srebrne Krzyże z Mieczami… Wśród tak odznaczonych był o. Józef Majkowski – Krzyż Walecznych, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Medal Wojska Polskiego - czterokrotnie.

***

W 1963 roku – Stryj otrzymał z Londynu, ww. swoje medale, przyznane przez Komendanta Głównego AK, w 1943/44 roku: Krzyż Walecznych, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Krzyż Armii Krajowej i Medal Wojska, którym tym był odznaczony – czterokrotnie… Pokazał mi (J.M.) te odznaczenia jako „swoje blachy" - jak się wyraził, a na temat swoich wspomnień – dodał tylko: „zdychałem w więzieniu na gruźlicę"… zachował, także w tym momencie, konspiracyjną ostrożność. Przecież ówczesna bezpieka mogła i mnie zaprosić na rozmowę i łatwo zastraszyć, a tak – lepiej, że - w tamtych latach – „nic nie wiedziałem".

Po latach – o. Józef na swoich wykładach przytaczał tekst „Nikt nie zna większej miłości od tej, gdy ktoś swoje życie oddaje za swoich przyjaciół" (J, 15.13), podkreślając wagę ofiary jaka składa żołnierz oddając życie za Ojczyznę.

Kiedyś powiedział do słuchaczy „Być prawdziwym Polakiem, kształtować oblicze Polski – Ojczyzny, to zaczynać przede wszystkim od siebie".

***

Dla o. Józefa czasem życiowego wzniesienia były niewątpliwie święcenia kapłańskie (20 kwietnia 1941 roku). Ale prawie zaraz przyszedł czas koszmaru – poza niedostatkami egzystencji i zagrożeniem wojennym, już w trzy miesiące po święceniach kapłańskich, zdiagnozowano u niego straszliwego niszczyciela płuc. Penicylina była wówczas niedostępna. Cytat z listu z 1941 r.: „Jezu, ja nie mam żalu, żeś „przekreślił i kazał żyć półżyciem".

Ze względu na zagrożenia ze strony Niemców, w jezuickiej uczelni święcenia przyspieszano. Kleryk kończący drugi rok studiów, otrzymywał święcenia. Józef otrzymuje święcenia z rąk arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego, w dniu 20 kwietnia 1941 roku. To była Niedziela! „W prezbiterium rząd krzeseł smutną pustką woła… Granicami odcięci – Mama, Tatuś, Hania. Nie ma Bolka, ni Stasi, Kazika, ni Krysi… Mgła bólu kwiaty oczu woalem przesłania."

Nazwisko Ks. MAJKOWSKI
Imię JÓZEF
Pseudonim
Przydział KAPELAN A.K.
OKG. WILNO
Odznaczony został
KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ
ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku przez dowódcę A.K. gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego dla upamiętnienia wysiłku żołnierza Polski Podziemnej w latach 1939 — 1945.
Podpis:
K. Zieński—"Wachnowski"
Z—CA D—CY W—GŁ.GO KOMENDANTA A.K.
Londyn, dnia 17.9.68.

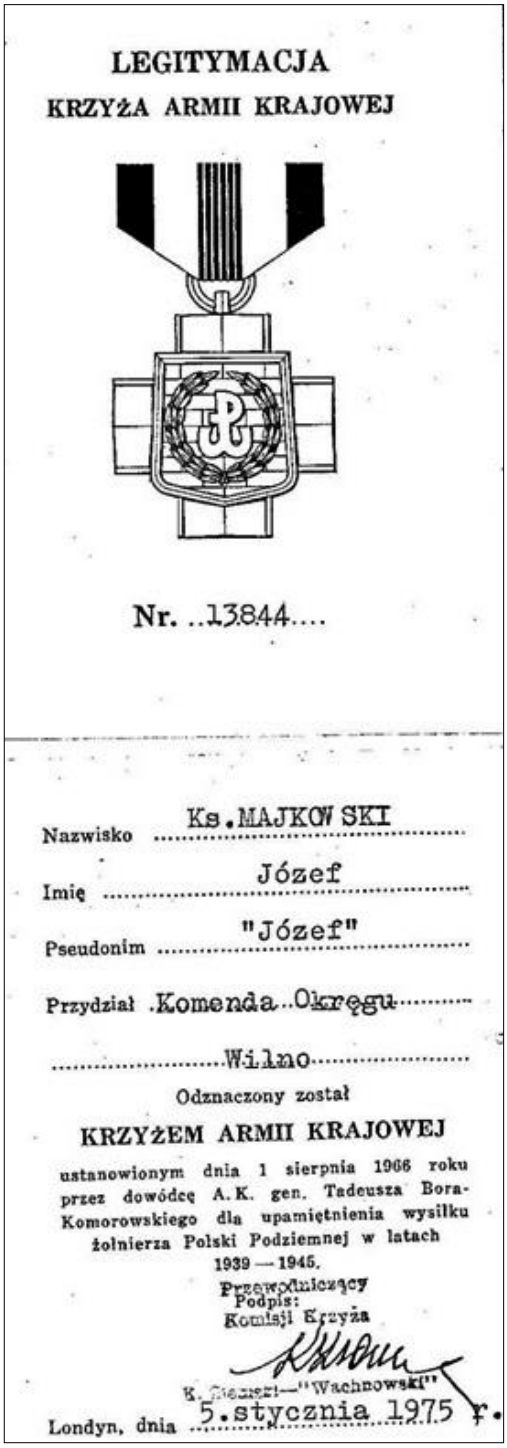

LEGITYMACJA
KRZYŻA ARMII KRAJOWEJ

Nr. ..13844....

Nazwisko Ks.MAJKOWSKI
Imię Józef
Pseudonim "Józef"
Przydział Komenda Okręgu
Wilno
Odznaczony został
KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ
ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku przez dowódcę A.K. gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego dla upamiętnienia wysiłku żołnierza Polski Podziemnej w latach 1939 — 1945.
Przewodniczący
Podpis:
Komisji Krzyża
K. Zieński—"Wachnowski"
Londyn, dnia 5.stycznia 1975 r.

Wilno – czas wyświecenia na kapłana. o. Józefa Majkowskiego – postać u dołu zaznaczona „X" – najniższy rząd, siedzi siódmy, licząc od prawej strony.

O. Józef Majkowski w dniu swojej prymicji, Wilno 27 kwietnia 1941 r. kościół Jezuicki Św. Kazimierza.

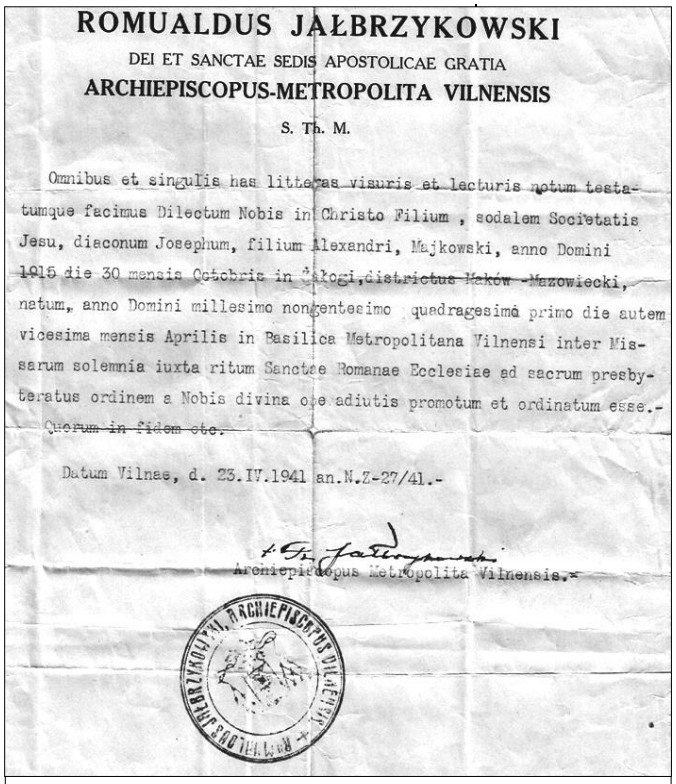

ROMUALDUS JAŁBRZYKOWSKI
DEI ET SANCTAE SEDIS APOSTOLICAE GRATIA
ARCHIEPISCOPUS-METROPOLITA VILNENSIS
S. Th. M.

Omnibus et singulis has litteras visuris et lecturis notum testatumque facimus Dilectum Nobis in Christo Filium, sodalem Societatis Jesu, diaconum Josephum, filium Alexandri, Majkowski, anno Domini 1915 die 30 mensis Octobris in Białogi, districtus Maków-Mazowiecki, natum, anno Domini millesimo nongentesimo quadragesimo primo die autem vicesima mensis Aprilis in Basilica Metropolitana Vilnensi inter Missarum solemnia iuxta ritum Sanctae Romanae Ecclesiae ad sacrum presbyteratus ordinem a Nobis divina ope adiutis promotum et ordinatum esse.-
Quorum in fidem etc.

Datum Vilnae, d. 23.IV.1941 an.N.Z-27/41.-

† Fr. Jałbrzykowski
Archiepiscopus Metropolita Vilnensis.-

… Józef otrzymuje święcenia z rąk arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego, w dniu 20 kwietnia 1941 roku. To była Niedziela!

Nowo wyświęcony ksiądz Józef nadal uczy się nadzwyczaj intensywnie, mało odpoczywa, nie przerywa pracy w konspiracji. Jak podają świadkowie tamtego czasu, młodzież jezuicka zwyczajnie głodowała. Organizm Józefa dopada słabość, wynikająca z niedożywienia i intensywnej pracy, potęgowana przez chorobę!
Trzy miesiące po święceniach, Majkowski przechodzi badania lekarskie. W lewym jego płucu lekarze wykrywają „dziurę", kawernę wielkości pomarańczy. Ówczesne leczenie gruźlicy było mało skuteczne, penicylina nie była jeszcze dostępna; stosowano tylko zastrzyki z wapna i odmę. Majkowski cierpi, modli się i … pracuje w konspiracji. Jego zdrowie jest w rosnącym niebezpieczeństwie!

A to zdjęcie: z napisem na odwrocie: „Pamiątka z Prymicji" i datą: 27 IV 1941 r.

***

Związek Walki Zbrojnej ogłasza wiadomość o zbrodni katyńskiej – Józef, na prośbę współbraci, pisze wielozwrotkowy „List do Stalina". Wiersz opublikowany w podziemnym piśmie „Niepodległość" jest podawany w odpisach „z rąk do rąk"!
Refren tego wiersza:

„A choćby zabił nawet sto tysięcy
Będzie nas więcej".

Z zapisów pośrednich wynika, że :
„Ale wieść skądś dotarła o aresztowaniach:
Gestapo hitlerowskie razem z Litwinami
Przyczaja się do skoku i ostrzy pazury…
Jezu Chryste, nasz Panie, zmiłuj się nad nami…"

Jest przedwiośnie 1942 roku - 26 marca, dzień po święcie Zwiastowania, Majkowski ma wyznaczoną Mszę św. u szarych urszulanek (szare urszulanki - to zakon założony przez siostrę . Ledóchowską – charyzmatyczną zakonnicę, której m.in. o. Stefan Dzierżek zawdzięcza opiekę, w pierwszych swoich szkolnych latach) idzie tam ze swoim przyjacielem – Stefanem, wówczas jeszcze klerykiem. Gdy wracają, trafiają w domu Jezuitów na Niemców, którzy właśnie dokonują aresztowań wszystkich księży i zakonników; Stefan i Józiek, jako pierwsi trafiają pod brezent niemieckiej ciężarówki! Trafiają – wraz z innymi – do więzienia na Łukiszkach. Cela jest surowa, oszroniona, bez legowisk, obaj od rana nic nie jedli, nie mają cieplejszych ubrań! – a Majkowski ma przemoczone buty i jest chory na gruźlicę. Wygląda źle, współwięźniowie obawiają się, że nie przeżyje kilku dni!

Łukiszki, gdzie był więziony o. Józef Majkowski i wszyscy jego współbracia, w tym najbliżsi Przyjaciele – Stefan Dzierżek i Józef Wieteska, a także o. Kazimierz Kucharski.

„Na Łukiszkach, w więzieniu, za żelazną bramą
Odnajdziesz mnie modlitwą – jeżeli wiesz – Mamo"

Na cemencie porosłym szronem i wilgocią,
W ciasnej celi, gdzie osób dziesiątki się tłoczą."
…
„Płuca – przerwana odma – ranami się palą - - -
- Mamo, co Ty przeczuwasz zza swojej oddali?"

Jak pisze jeden z braci zakonnych, który współpracował później z o. Józefem w domu na Rakowieckiej 61… „Józef brał przypuszczalnie w rachubę koniec swojej ziemskiej wędrówki i 29 maja ułożył wiersz:

„Rozmowa ze śmiercią":
„Przyjdziesz do mnie w noc jesienną, rozżaloną
Szeptem liści zakrwawionych brzóz i grusz…
Dobre oczy skryjesz w białych rąk zasłonę,
Cicho powiesz uśmiechnięte słowo: Już…

I ostatnia pieśń bolesna zadrga w płucach,
Zrosi usta delikatnym rąbkiem krwi -
Nie płacz, Śmierci, bo mnie przecież nie zasmucasz…
A Mamusia o wolność dla mnie śni.

Wolny wezmę grudkę ziemi spod Warszawy
I pójdziemy w rozpłakaną smutną noc…
Wolny wezmę grudkę polskich modlitw krwawych…
Nie płacz, Śmierci, z łun i prochów wstanie Moc."

„Dumna, wolna pieśń ostatnia zadrga w płucach,
rozpłomieni blade wargi ogniem krwi,
„Nie płacz, śmierci, bo mnie przecież nie zasmucasz,
mnie się śniła inna wolność i się śni"

Poetka, wilnianka, zanotowała:
„Na Wielkanoc w kościele ksiądz zaintonował:" „Wesoły nam dzień dziś nastał" – „i … cisza grobowa!!" W czasie więzienia na Łukiszkach - dwojgu przyjaciołom o. Józefa udało się wyjednać króciutkie widzenie z nim! - cóż mogli sobie powiedzieć… przez łzy…!)

W dniu 8 VI 1942 roku…
„Rozkaz: Zbierać rzeczy! Opuści więzienie!
– Dokąd oni nas wiozą, na Ponary może...
Lub do obozu śmierci… Albo rozstrzelają?...
Z żarem polskich serc tęsknie do auta przypada.”

Przyjaciele czuwają, gdy więźniów eskortują na dworzec, wśród kilku Jezuitów udaje się im zobaczyć o. Józia… „Jeszcze kartkę maleńką napiszesz z wagonu: Dwa słowa płomieniste – bólu pożegnania.” Powieźli Ich do Pagryżuvis (posiadłość i kościół Litewskich Jezuitów) – Internowanie!

„Zawołaj mnie do Siebie z pól kwietnych czy bezdroży -
Mój Jezu z osłon Hostii śnieżysto nie skalanej,
Bo wiem, ze życie zawsze w haft krzyża się ułoży,
Jak cudny wzór mozaiki w kościoła cichych świecach”.

Jest to autentyczny zapis Stryja Józia, w dniach gehenny więziennej, którą potęgowała śmiertelna choroba płuc. Do Załóg – tuż przed 15 maja 1942 roku – dociera list, w którym nieznajoma Majkowskim osoba – kobieta – pisze o tragicznej sytuacji ich syna – o. Józia, który nie dość, że jest ciężko chory (zaznaczmy, że jest chory już od roku, a zapewne rozwój choroby trwał, utajony wcześniej) to został aresztowany przez hitlerowców. Osoba ta pisze, że… „trzeba cudu” – aby w tej sytuacji, Józio wyzdrowiał/przeżył. Z listu wynika, że zna o. Józia, że o chorobie wiedziała, że nie można było nic zrobić, aby uchronić go przed aresztowaniem… - jako śmiertelnie chorego. Ze strzępów przekazu wynika, że do ratowania o. Józefa ze śmiertelnej choroby Opatrzność wybrała życzliwych ludzi - Litwinów, dla których ten charyzmatyczny kapłan wyuczył się ich trudnego języka, aby być bliżej ich spraw.

W jakiś czas później, kiedy Niemcy bardziej już interesowali się własnym losem na Wschodzie, o. Majkowskiego przewieziono do klasztoru jezuickiego w Szawlach. Tam litewski prowincjał, wielkiego formatu jezuita, o. Stanisław Gruodis zatroszczył się o odżywianie gruźlika. Śmiertelnie chory o. Józef – utrzymywał się jakoś przy życiu.

Duchowość o. Gruodisa, odcisnęła swoje znamię na młodym polskim Jezuicie – sam o. Józef to przyznawał. Natomiast z medycznego punktu widzenia organizm, zaatakowany przez prątki Mycobacterium tuberculosis, „nie miał prawa się obronić” – tak wyrokowano! Widać – tak jak w przypadku jego Przyjaciela – o. Stefana Dzierżka… „Pan Bóg postanowił zrobić także z Majkowskiego – Wielkiego Jezuitę”… co znaczy, że wyzdrowienie o. Józia, trzeba nazwać cudem!

Po czterdziestu latach o. Majkowski – napisał: „W miejscach internowania spotkałem czarownych ludzi – Litwinów. Dzięki nim przetrwałem czas wojny”. Co się za tym kryje? Czy w tamtym czasie był jakikolwiek kontakt listowny o. Józia z rodzicami lub rodzeństwem? Nie wiemy… raczej nie było! Najwyżej telepatyczny, duchowy; może – jednak był? – dowiedzą się ewentualnie ci, którzy za 23 lata zajrzą do Archiwum Jezuitów, bowiem korespondencja Ojca jest niedostępna przez 50 lat od śmierci.

Szawle:
„Wokół mowa litewska. Nie znam ani słowa.

Fotografia przetrwała z o. Józefem więzienie hitlerowskie i późniejsze czasy. I miał je do końca swoich dni – opis na stronie następnej.

– Duchu Święty, coś zstąpił ogniem w wieczerniku,
Nie rozumiem języka, brak pomocy w książkach –
Niech Twa mądrość i wiedza światłem mnie przenika!”

„I oszalały Szawle za „Małym Polaczkiem”
Szowinizm nienawistny pękł jak szklana bania
Pod naporem Dobroci. Z ciemności uprzedzeń
Ewangeliczny pejzaż miłość w krąg odsłania.”

„Pokochali go wszyscy – w klasztorze, w kościele,
Kto Go ujrzał – jak gdyby w błękit się zanurzył…”

„Zapomniało gestapo o Internowanym.
On zaś – na Ewangelii ucząc się języka –
Wszystkim stał się dla Wszystkich –… ”

Z czasu zmagania się o. Józia z chorobą nikt z nas nie otrzymał od swego Stryja żadnej, choćby skrótowej opowieści o tym trudnym okresie; Janusz M. otrzymał natomiast kiedyś, od jednej z sióstr zakonnych, nadzwyczaj życzliwej Ojcu Józefowi, taki przekaz: otóż, kiedy „dobrzy Litwini”, a były wśród nich i siostry zakonne, umożliwili mu wizytę u miejscowego doświadczonego lekarza, a rzecz działa się w Szawlach, ten po zbadaniu pacjenta, prawie nic nie mówiąc(!) przepisał mu, na małej kartce papieru, kurację!... O. Józef wziął tę kartkę, ale jako nadzwyczaj słaby, niewiele na nią spojrzał. Siostry natomiast odczytały „receptę”, z której wynikało, że chory ma jeść codziennie jakąś dużą porcję nie przyprawionego kawioru i popijać to… piwem lub winem. Siostry wiedząc, że o. Józef na pewno nie ma żadnych pieniędzy, a one, na tak drogie „lekarstwa”, też nie mają… wróciły do lekarza z tą informacją - i pewnie też dodały coś od siebie. Wtedy ów lekarz – nic nie mówiąc – otworzył szufladę, wyjął dwa niewielki ruloniki, w środku których były pieniądze i podał bez słowa siostrom. Starczyło na półroczną kurację. Jak wiem Stryj opowiedział kiedyś skrótowo tę historię swoim trzem, czy czterem zaufanym „aniołkom” – zaznaczając wyraźnie, że to, co musiał jeść było „nadzwyczajnie niedobrego smaku”, a jednocześnie mówił o tym „jak przekonywał się, że poprawia się stan jego zdrowi”…, aż doszło do całkowitego zaniku „ognisk zapalnych w płucach”. Tak to, po latach, opowieść siostry zakonnej zyskała potwierdzenie.

***

Kiedy po czasie kuracji o. Majkowski poszedł na prześwietlenie, a kolejka była duża! – bo jeden aparat – i kiedy stanął przed aparatem, lekarz rentgenolog wręcz skrzyczał go, że oto „zdrowy chłop" zajmuje czas i miejsce, a jest tylu chorych i potrzebujących szybkiej diagnozy i niepotrzebnie daje się napromieniować. Janusz M. - nigdy się nie zapytał Stryja o zdarzenie, związane z ww. kuracją. Myślę, że Stryj – zapytany: jak było?... z właściwym sobie humorem – mógłby skwitować to tak: „no cóż, czasami medycyna jest bezsilna i pacjent zdrowieje".

Zatrzymamy się teraz na dokumencie – świadku gehenny więziennej na Łukiszkach.
Jest to również fotografia wykonana 1, 2 lub 3 sierpnia 1939 roku, tak jak zdęcie z pieszej stroni niniejszego artykułu. Przedstawia ono Józefa z rodzeństwem. Fotografie te przetrwały z o. Józefem więzienie hitlerowskie i późniejsze czasy. I miał je do końca swoich dni. Od sierpnia 1939 r do 2014 r. minęło już 74 lata, a fotografie nie straciły prawie nic ze swej jakości/wyrazistości; to też swoisty znak, w którym rozpoznawać można nadzwyczajne zjawiska, niekiedy „ledwie ciasno mieszczące się w głowie".

Na zdjęciu: w Załogach - Teodozja z d. Kakowska i Aleksander Majkowscy, z dziećmi i… pierwszymi wnukami; wszystkich wnuków – było trzynaścioro.
Stoją – od lewej; 1. Halina - 17 lat, wówczas w szkole średniej – chyba III klasa gimnazjalna, i chyba w Warszawie, na kierunku pedagogicznym (żyła w latach 1922-1950); 2. Bolesław (pierwsze imię - Mikołaj) - 27 lat, pracował w gospodarstwie rodziców (żył w latach 1912-1986); 3. Jan Krępski – mąż Stanisławy (stoi obok, po prawej) – dziedzic majątku we wsi Suche - 6 km od Załóg (żył w latach 1902-1962); 4. Stanisława - 29 lat, najstarsza siostra (żyła w latach 1910-1987); 5. Kazimierz - 21 lat (był po pierwszym roku studiów w UJ w Krakowie – studia zostają przerwane wybuchem wojny. Siedzą – od lewej; 1. Teodozja z d. Kakowska – Mama tego pokolenia - 47 lat 2. Józef – kleryk - 24 lata; 3. Aleksander – Tata - 54 lata; 4. Marianna z d. Kakowska, po mężu Pszczółkowska, (siostra Teodozji) - 51 lat (jej mąż - Gustaw - zmarł w 1933 roku; od tego czasu była rządcą w dużym majątku Zygmunta Olszewskiego, w Suchem, gdzie i Pszczółkowscy mieli sporo ziemi (ok. 2 włók) – majątki graniczyły ze sobą, „przez miedzę"; poprzednim rządcą majątku Olszewskiego był Gustaw. Dodać można, że Marianna i Zygmunt – to „cioteczne rodzeństwo"! (Mama –m.in. – Marianny i Teodozji, i Marianna z d. Olszewska-Kakowska, to Ciocia dla Zygmunta Olszewskiego); 5. Maria Krystyna - 15 lat, tu chyba po skończeniu pierwszej klasy gimnazjum; nie wiemy, czy do szkoły średniej została posłana do Białegostoku – jak podają jedne źródła; mogła tam być tylko w pierwszej klasie, a po wybuchu wojny posłano ją do szkoły prowadzonej przez S. Szarytki – w Warszawie, ul Tamka – nie mamy tu żadnej pewności; musiała być w Warszawie – uczyć się i pracować, skoro Powstanie zastało ją tam). U dołu: - dzieci: Stanisławy i Jana Krępskich (od lewej 1. Kazik – 5 lat, 2. (Jadwiga) Bożena – 8 lat, 3. Romek - 4 lata.

A w Załogach? – w 1939 roku – w sierpniu…, na pewno trwały żniwa! Stasia ma obowiązki w swoim domu i gospodarstwie we wsi Suche; Hania i Krysia i Kazik – pracowite wakacje u rodziców, Boleś z rodzicami – szarpią się z codziennością na gospodarstwie.

***

W Wilnie – czekała Józia tamtejsza codzienność klerycka – nauka i praca. Tragiczny czas wojny zmienił wszystko! Polska została zaatakowana z dwóch stron!

Na Ziemi Wileńskiej o. Józef tworzył, wraz z innymi, komplety tajnego nauczania, chronił młodzież przed wywozem na roboty do Niemiec; wciągał ludzi młodych do pracy w przytułkach wileńskich, zwłaszcza na rzecz cierpiącej młodzieży.

***

Wilno „Czerwiec 1944"

Rykiem bomb, pożarami sunął front od wschodu,

Potop niemiecki cofał niszczycielskie fale.
- O matko Miłosierdzia z Ostrej Bramy białej,
Okryj płaszczem złocistym Józia, by ocalał!"

Po gehennie więzienia i internowaniu oraz cudownym wyzdrowieniu ze śmiertelnej choroby podczas pobytu w Szawlach, o. Józef wrócił do Wilna, do kapłańskich obowiązków.

Cud, o którym pisała anonimowo (siostra Aloiza) wiosną 1942 roku, informując Majkowskich w Załogach o sytuacji ich syna, ziścił się! Po groźnej chorobie, która doprowadziła do krańcowego wyczerpania organizmu młodego księdza – jakby nie pozostało śladu! (w rzeczywistości nie było tak dobrze… różne miejsca organizmu zostały wyraźnie nadwyrężone, szczególnie serce).

Scan dokumentu czasowego o. Józefa, wydany 20 grudnia 1944 roku, ważny do 20 grudnia 1945 roku.

„Wrócił! Wrócił do Wilna – przez wszystkich kochany,
Bo wszystkich kochający - „Maleńki Polaczek",
By stać się sercem miasta i nim wielbić Boga.
Tu witany radośnie, tam żegnany z płaczem".

Tamtejsi ludzie – szczególnie w Szawlach – zauważyli, że mają oto w kościele takiego księdza, który jest gotowy służyć im wręcz „całą dobę"! I korzystali z tego, mniej zwracając może uwagę na to, czy ten ksiądz nie jest, aby zmęczony, lub w jakiej innej potrzebie?

A Majkowski – twardy chłop mazowieckiej wsi – poświęcał tym upokorzonym Litwinom, Polakom, całe swoje powołanie duszpasterskie. O. Józef, o swój status materialny nic nie dbał… tak było do końca jego dni…; w czasie mowy pogrzebowej JE ks. bp Majdański zwrócił wyraźna uwagę na tę cechę swego Przyjaciela.

„I oszalało Wilno za swym ojcem
On oczarował wszystkich: dzieci, młodzież, starszych…
Mówiono ze wzruszeniem szklącym łzami w oczach
Jak długo Ci do takiej pracy sił starczy"

W latach 1944-1945 o. Józef pracuje w Wilnie, w duszpasterstwie, przy kościele jezuickim; pracuje tam z o. Józefem Wieteską; zna już dobrze język litewski, może więc lepiej służyć także Litwinom.

Wilno przestało być polskie i Majkowski otrzymał polecenie przyjazdu do Warszawy. Gdy ludzie z Szawel się o tym dowiedzieli, zabiegali o to, aby został z nimi! Nie inaczej było w Wilnie! Nie mógł tam zostać! W zakonie… „rozkaz nie gazeta" – jak w wojsku!, a Wilno przestało być polskie!
O. Józef przyjeżdża do Warszawy.

„Łzy po Wilnie. Łzy nowe nad Stolicą Polski:
W popiele, gruzach leży męczennik Warszawa".

O. Józef Majkowski stawia się na ziemi polskiej, w Tuligłowach, gmina Krasnystaw; w Tuligłowach zostaje zameldowany w dniu 31 stycznia 1946 roku. o tym świadczy scan poniższego dokumentu:

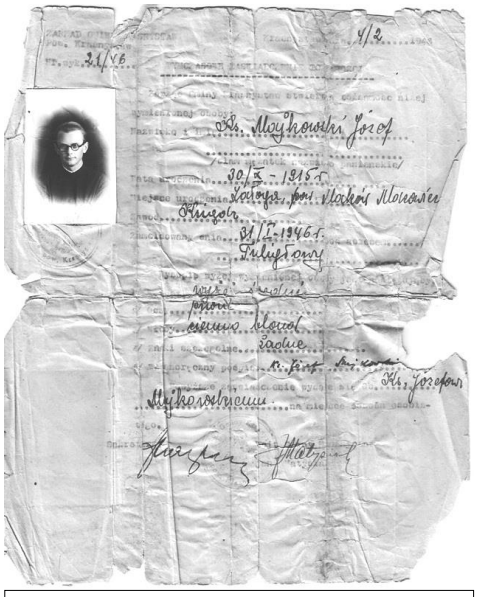

Dokument wydany z datą 4/2/1946, przez Zarząd Gminy Krasnystaw.

***

Wilno Majkowskiego, w którym tak „się zadurzył"…, podobnie jak Jego Przyjaciel od czasu seminarium o. Stefan, było „polskim Wilnem", bo przed wojną Litwinów było tam tylko 2%; 30 % to byli Żydzi. Eugeniusz Romer – wydawca: „Geograficzno – statystycznego atlasu Polski" dowodził, że w województwach: wileńskim, nowogrodzkim, stanisławowskim, tarnopolskim i lwowskim była większość Polaków, a na Polesiu mieszkali w większości zruszczeni Polacy. Litwa tak jak Polska, tworzyła się po zakończeniu I wojny światowej. Była to Litwa smetonowska, od nazwiska swego twórcy: Antonasa Smetony, który był jej założycielem, prezydentem i dyktatorem w latach 1919-1920 i 1926-1940.

W XVI wieku na tereny wschodnie z północnego Mazowsza przeniosło się pól miliona Polaków; wtedy Polska liczyła tylko kilka milionów, a więc pół miliona to był „istotny procent". A historycznie biorąc… Litwini – to Wileńszczyzna i dzisiejsza Białoruś. Była kiedyś kraina/region o nazwie Biała Ruś… ale to była nazwa regionu, a nie kraj/naród – jakim go zrobił Stalin. Napomknąć wypada, że A. Mickiewicz nie pisał o Białorusi… „Litwo, Ojczyzno moja...". Językiem urzędowym na tych terenach – do 1699 roku, w którym to zastąpiono go polskim – był starobiałoruski. Wszystkie dokumenty z tego okresu (XVII) są wyłącznie po starobiałorusku. W Krakowie, na Wawelu, są dokumenty podpisywane przez króla Władysława Jagiełło, a król… nie raczył znać…. ani litewskiego (ani polskiego); pisano więc „po staro białorusku", ale nie po rosyjsku"!
Litwini to Żmudzini. I to oni „ukradli Litwinom tożsamość". Żmudź to obszar tzw. „Litwy Kowieńskiej". Wilno nie przynależało do niego! Czy Żmudzini podający się za Litwinów mogli być przyjaciółmi Polaków? A po tym co zrobili – obecne ich pokolenia powinny poczuwać się wobec Polaków do próśb o przebaczenie! To, co stało się ciemną kartą, spadającą na Litwinów (ogółem), to czas drugiej wojny. „Litwini" dokonali mordu w Ponarach, na Polakach i Żydach, a podległy niemieckiemu gestapo „Litewski Ochotniczy Oddział Strzelców Ponarowskich", zwany Ypatingos Burys, rekrutował się głównie z członków paramilitarnej organizacji nacjonalistycznej: Liatuvos Szaulin Sajunga – Związek Strzelców Litewskich; byli to tzw. „szaulisi"; ich formacja ,w 1940 roku, liczyła już 62 tysiące „żołnierzy". To pewnie szaulisi konwojowali tych ośmiu Jezuitów, w tym o. Józefa, z łukiskiego więzienia do miejsca internowania. To w głowach tych „Litwinów z Kowna" powstało zamierzenie, aby zabić część Polaków będących w Wilnie, resztę zastraszyć, zmienić nazwiska, a miasto będzie „czysto litewskie"! Polacy mordowani w Ponarach, przechodzili okrutne śledztwo, prowadzone przez „Litwinów", najczęściej w więzieniu na Łukiszkach lub w areszcie gestapo, przy ul. Ofiarnej w Wilnie. Oprawcy prześcigali się w wymyślaniu tortur – na przykład: grupie polskich harcerek kazano rozebrać się do naga, a następnie puszczono psy, aby je rozszarpywały, potem je dobijano nad dołami ponarskimi.

W raporcie delegatury Rządu na Kraj jest następujący zapis: „Litwini zawiedzeni w swych nadziejach przez Niemców jeszcze bardziej pragną zemsty nad pokonanymi (w wojnie – przyp. J.M.), Polakami. Stale grożą, że po wymordowaniu Żydów przyjdzie kolej na Polaków (maj 1942 rok!)."
„Wileńszczyzna jest terenem najcięższego na obrzeżach Ziem Wschodnich Rzeczypospolitej terroru politycznego, w którym Litwini prześcigają się z Niemcami (sierpień 1942)".
W marcu 1942 roku Niemcy, właśnie z takimi Litwinami uznali, że kler trzeba odseparować od społeczeństwa, aby pozbawić ludność wsparcia moralnego ze strony duchownych i… w marcu 1942 roku aresztowali także jezuitów).

O. Józef w Lublinie 1947 r.

***

O. Józef – znał świetnie szczegóły historii ziem polskich. Tę wiedzę nabył w czasach seminaryjnych i studiów, mając możliwość zdobywania jej jako niezafałszowanej. W swoim autobiogramie zaznaczył – choć skrótowo – niektóre z tych szczegółów, na przykład (cytat): … „tylko w woj. Łuckim była większość Ukraińców, a to dlatego, że po powstaniu listopadowym car kazał z okolic Łucka wywieźć 30 tysięcy rodzin polskich i sprowadzić na to miejsce Wielkorusów czy Rusinów – jak dawniej mówiono. Z Ukrainy, z okolic Łucka, wywieziono wówczas około 200 tysięcy Polaków. Dlaczego Rusini nazywają nas Lachami, a ogromna większość z nich, aż po Tarnopol i Kamieniec, pochodzi z Polski. Mieszkowi I nie udało się wszystkich Słowian w jeden naród zgromadzić, w jedną społeczność. Na ziemiach, gdzie dzisiaj jest Lwów, Tarnopol i jeszcze za Lwowem żyło plemię również lechickie, tak samo jak Polanie i Mazowszanie. Plemię, które nazywało się Lachami i dlatego oni nas Polaków nazywają Lachami. Później Włodzimierz Wielki zrabował te ziemie, przyjął schizmę i Polacy stali się częściowo Rusinami. Język ukraiński ma więcej pokrewieństwa z językiem polskim aniżeli z wielkoruskim.
Za Batorego to byliśmy też na lechickich ziemiach. Przyznam się, że tak jak Długosz, miałbym słodszy sen w grobie, gdybym jeszcze dożył tych czasów, ale pewnie nie dożyję, że tam Polska wróci".

***

W dniu 21 października 1979 r. – tj. w dniu swoich 64 urodzin – podczas poświęcenia Krypty Wileńskiej, w podziemiach kościoła NMP Łaskawej, w Warszawie o. Józef tak mówił do zebranych Wilnian: „Nie wiem jak bardzo byłby pomniejszony polski katolicyzm bez katolicyzmu wileńskiego. Jak bardzo byśmy mieli pomniejszone pojęcie człowieka, gdybyśmy w Wilnie i na Wileńszczyźnie nie spotkali prawdziwych ludzi, Wielkich Ludzi. Zgromadziła nas miłość do najpiękniejszego miasta na Świecie, a wspomnienia nasze biegną do kościoła św. Kazimierza, do jezuickiego gimnazjum, by objąć wszystko, co w Wilnie i na Wileńszczyźnie i Nowogrodczyźnie było i jest nam tak drogie i bliskie.

Tam nauczyliśmy się szanować drugiego człowieka i kiedy wymawialiśmy w Wilnie słowo „Bóg" to wiedzieliśmy, że Jemu trzeba najpierw służyć, a kiedy mówiliśmy „honor", to wiedzieliśmy, że za tym słowem kryje się godność człowieka, godność nienaruszalna, wielka godność. A kiedy mówiliśmy „Ojczyzna" to wiedzieliśmy, że są takie wartości, dla których człowiek winien żyć, dla których winien umierać, i co najtrudniejsze, nauczyliśmy się w czasach wojny tego, że są takie wartości, za które warto cierpieć czy na Łukiszkach, czy gdzie indziej".

O. Józef, 1947 r. – Kraków.

O. Józef mówi tu w trzeciej osobie liczby mnogiej, ale przecież wyczuwamy, że mówi o swoim Wilnie i o swoich przeżyciach. Dwa lata wcześniej, w drugą rocznicę śmierci znamienitej wilnianki śp. Aliny Augustowskiej, o. Józef tak zaczął homilię: „Wiele miast na dawnych ziemiach polskich ma swoje wzgórze Golgoty.

Spotkanie z przyjaciółmi. O. Józef – pod godłem, w prawo – o. Stefan Dzierżek. Spotkanie mogło być po wojnie, widoczne godło Polski „Orzeł w koronie" mogło nie zostać zdjęte, jeśli to był np. dom jezuitów).

Taką Golgotą Wilna oprócz klasztoru bazylianów – było za czasów caratu, a przede wszystkim ostatniej wojny – wzgórze Łukiszek. Z tym wzgórzem łączy się jedno z najpiękniejszych opowiadań historii katolicyzmu w naszej Ojczyźnie. Było to prawie pod koniec XVI wieku. Tam, w obramowaniu odwiecznych drzew, w willi jezuitów wileńskich, zebrało się trzech ludzi: ks. Jakub Wujek – genialny tłumacz Pisma św. na język polski, ks. Stanisław Warszewicki (przyjaciel Stanisława Kostki) – mózg i serce ówczesnego katolicyzmu w Polsce oraz największy z nich: Piotr Skarga. Obmyślali, w jaki sposób chrześcijaństwo mogłoby się w Polsce rozwinąć aż do granic piękna Ewangelii. Zaproponowano wówczas Skardze: „Napisz o żywych Ewangeliach; o świętych". I powstały Skargowskie „Żywoty świętych", które przysporzyły Polsce tyle dobra". Treść homilii związana była z postacią „Matki Polki";

W dalszej części homilii, kierowanej do dzieci śp. Aliny, o. Józef mówił: „Zasługa Matek Polek, żyjących w latach dziewięćsetnych i później, zasługą śp. Aliny, jest to, żeśmy dzięki ich płomiennej wierze zachowali w okresie powszechnej areligijności europejskiej wiarę katolicką i to w całej strukturze polskiej kultury religijnej {…}.

„Drugim niezapomnianym rysem Matek Polek okresu, o którym mówimy, jest umiłowanie wolności Ojczyzny. Były to czasy, gdy próbowano zapomnieć w czterdzieści lat po powstaniu styczniowym żeśmy Polakami. Wystarczy przejrzeć niektóre sprawozdania ze zjazdów politycznych – aby się przekonać, że ludzie obcy – szczerze czy nieszczerze – wstawiali w program swych planów niepodległość naszej Ojczyzny, a Polacy obsesyjnie (razem z polskimi Żydami) wolność Polski ze swych najbliższych dążeń wykreślali. I właśnie wtedy to Matki Polki, szczególnie na terenach wschodnich przez umiłowanie mowy ojczystej, ojczystej historii, ojczystego obyczaju w wielkich i małych sprawach przekazywały swym dzieciom miłość do Ojczyzny. {….} Bohaterstwo w czasie okupacji hitlerowskiej byłoby po prostu nie do pomyślenia bez tego wkładu naszych Matek w formację ich synów i córek".

***

… Jak wynika z przekazu, po powrocie z Wilna o. Józef przyjeżdża w sierpniu 1945 roku, do Załóg. Brat Kazik jeszcze nie wrócił z poobozowego pobytu w Niemczech. „Krysia – wojną zagnana – gdzieś w Anglii przepada"… Jest spóźniona prymicyjna Msza św., w Płoniawach, w rodzinnej parafii „Wzruszenie, płacz. I radość wielka zmartwychwstania. I duma Mamy i Taty, że syn tak wspaniały: Wykształcony i mądry, przy tym Jezuita" - wypis z „Pieśni o dobroci". Z Wilna, Józef przywiózł dla Rodziców, do Załóg, niewielki obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Ta pamiątka jest tam nadal. …w pamiątkowych zapisach, pod datą: „Załogi sierpień 1945 rok", przyjaciele o. Józefa pisali: „W Załogach, wśród rodziny, parę dni minęło. Snem liliowym od szczęścia. Tyle opowiadań!"

Tuż po powrocie z „repatriacji" – czyli w początkach roku 1945 i zameldowaniu w… Tuligłowach (gmina Krasnystaw) – tam mieszka, w klasztorze „u Sióstr" przełożeni o. Józefa kierują go wstępnie do Lublina - to czas do marca 1946. Tam zdaje egzaminy - tzw. „gradus" z całości nauki filozofii tj.: z 7 lat. „Znów wypadł celująco! I zadziwił wszystkich. Okrył naszego Ojca – pośród swoich chwałą".

Drogiemu Ojcu wdzięczna, iż ją uczył rozumieć cierpienia w świetle miłości Boga Łódzka Młodzież Akademicka. 1946 r.

Następnie o. Józef kierowany jest do Gdańska Wrzeszcza i Bydgoszczy – w tych miejscach przebywa do sierpnia 1946 roku po czym otrzymuje dyspozycję – „jechać do Krakowa". Czas III probacji… . W Zakopanem ocalał klasztor Jezuitów. O. Józef nie mógł zaraz po przyjeździe z Wilna jechać na leczenie płuc – nie było pieniędzy! Ale w 1946 roku - od 13 lipca do 13 sierpnia przebywa w Zakopanem – odpoczywa, oddycha górskim powietrzem, zapewne – po swojemu – pracuje! Cechą charyzmatu jezuickiego jest... przenoszenie się z miejsca na miejsce, według decyzji przełożonych. Tak wędrował m.in. św. Andrzej Bobola; tak wędrowali i wędrują inni jezuici.

Trzecią probację, o. Józef odbywa w Czechowicach, niekiedy wskazuje się na Kraków. Trzecia probacja u Jezuitów to tzw. „szkoła rozeznania duchowego", czy „drugi nowicjat"; trzecia probacja, to trzeci ślub posłuszeństwa – papieżowi w sprawach misji; ślub ustanowiony przez założyciela Zakonu św. Ignacego Loyolę – z tego ślubu uczynił on fundament Zakonu.

U Jezuitów nie ma ślubów czasowych, po dwu latach nowicjatu składa się śluby wieczyste proste, a po trzeciej probacji/próby - składa się ostatnie śluby.

***

W 1946 roku, o Józef wykonuje w zwykłym rytmie pracę rekolekcyjną, o czym m.in. świadczy zamieszczona fotografia, z rekolekcji w Łodzi. Tam duszpasterzem akademickim był o. Tomasz Rostworowski.

W latach 1947-49 o. Józef jest na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim – studiuje psychologię religii. Studia kończy doktoratem – praca doktorska jest uznana za bardzo oryginalną – dotyczy św. Stanisława Kostki z Rostkowa.

Od 1949 roku o. Józef będzie – przez ponad 30 lat –wykładowcą psychologii religii i filozofii religii, na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Doktorat – to nowatorska w metodzie praca zatytułowana: „Charakter św. Stanisława Kostki. Studium Psychologiczne". Studium hagiograficzno–psychologiczne św. St. Kostki autorstwa o. Józefa Majkowskiego zostało wydane w Rzymie, w 1965 roku (w Polsce – wiadomo: „nie było papieru"; w 1972 roku książka została wydana w Rzymie, w języku angielskim). Praca zyskała szeroki rozgłos – światli historycy w Polsce ubolewali, że ten rozgłos większy był za granicą niż w kraju (w kraju – bywa – że pojawienie się wartościowej merytorycznie pracy nie powoduje powszechnego odruchu zadowolenia i dumy, „że oto u nas!, oto jeden z nas", a bywa przemilczane; tak było i tym razem.

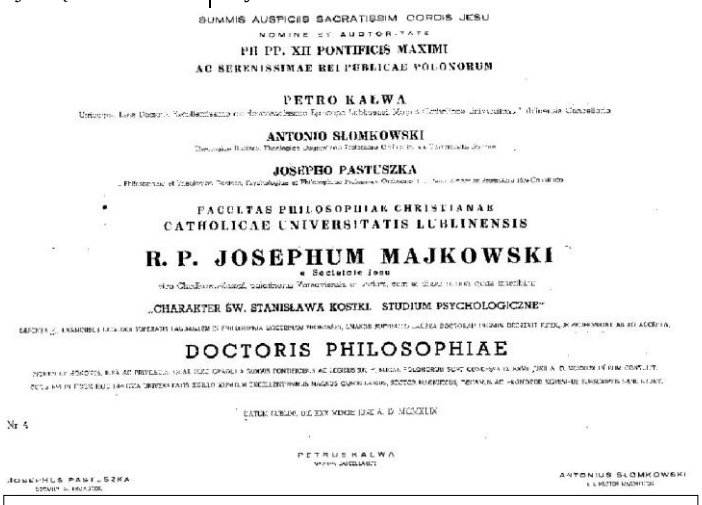

SUMMIS AUSPICIIS SACRATISSIM. CORDIS JESU
NOMINE ET AUCTORITATE
PII PP. XII PONTIFICIS MAXIMI
AC SERENISSIMAE REI PUBLICAE POLONORUM

PETRO KAŁWA

ANTONIO SŁOMKOWSKI

JOSEPHO PASTUSZKA

FACULTAS PHILOSOPHIAE CHRISTIANAE
CATHOLICAE UNIVERSITATIS LUBLINENSIS

R. P. JOSEPHUM MAJKOWSKI
e Societate Jesu

„CHARAKTER ŚW. STANISŁAWA KOSTKI STUDIUM PSYCHOLOGICZNE"

DOCTORIS PHILOSOPHIAE

Nr 4

PETRUS KAŁWA

JOSEPHUS PASTUSZKA

ANTONIUS SŁOMKOWSKI

Doktorat o. Józefa – to nowatorska w metodzie praca zatytułowana: „Charakter św. Stanisława Kostki. Studium Psychologiczne".

Zasadne będzie tu zaznaczenie, że wielką zasługą wydania książki w Rzymie było działanie i osobista korekta wykonana tam przez o. Włodzimierza Reczka –jezuitę szefa Instytutu Studiów Kościelnych, powołanego tam przez Prymasa Kardynała Stefana Wyszyńskiego; Dzieło było jednym z tych, jakie przygotowano dla uczczenia roku milenijnego (966–1966).

***

W czasie świąt Wielkanocnych, w marcu 1948 roku, w Załogach spotkali się Majkowscy i… napisali do swego brata i syna – Józia list, każdy napisał po kilka zdań – w kolejności „starszeństwa”. Ten list się zachował, a ze słów tam zamieszczonych wyziera rodzicielska i siostrzana/braterska miłość oraz tęsknota za spotkaniem, na które wszyscy liczą, że „będzie w sierpniu” (nie wiemy, czy było). 2 lutego 1949 r. - o. Józef składa w Lublinie śluby wieczyste. Na uroczystości była jego najmłodsza siostra: „Pamiętasz? Była Krysia. I przywiozła z Załóg – mimo mrozu lutego – ciepło serdeczności: Kochanie – zawsze wielkie – Mamy i Tatusia”.

Zdjęcie z czerwca 1951 roku, podczas pobytu na zajęciach Wydziału uczelni w Lublinie.

W 1949 roku, po uzupełnieniu studiów i doktoracie na KUL (w Lublinie), czynione były starania o wyjazd o. Józefa do Rzymu, na studia na Uniwersytecie Gregoriańskim. To Ignacy Loyola założył w Rzymie „Kolegium Romanum” - późniejszy Uniwersytet Gregoriański - a na drzwiach dał napis „Szkoła gramatyki, humanizmu i doktryny chrześcijańskiej. Gratis”. Władze PRL odmówiły Majkowskiemu paszportu… „bez podania przyczyn”. Wpis komentujący: powód odmowy paszportu? Otóż ówczesne tzw. „służby bezpieczeństwa” musiały wiedzieć, że J. Majkowski to Polak odznaczony przez Dowódcę Armii Krajowej, w dniu 11.11.1943 roku - Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami, za „postawę wobec wroga w okresie konspiracji i zasługi organizacyjne”, a w dniu 3 maja 1944 roku – przez Komendanta samodzielnego Okręgu Wileńskiego A.K. – na zasadzie upoważnienia Dowódcy Armii Krajowej „Krzyżem Walecznych” - za „męstwo i poświęcenie w służbie w okresie konspiracji”.

Lata tuż powojenne, a i spora część dalszej historii PRL, były nasycone agresywną propagandą skierowaną przeciwko uczestnikom formacji „Armia Krajowa”. Nie była to tylko propaganda, ale i różne działania, o różnym stopniu represji, wobec żołnierzy AK. W tej sytuacji, koleiny losu o. Józefa trzeba ponownie zawrzeć w zdaniu: „widać Pan Bóg postanowił zrobić z Józefa –Jezuitę, tu w Polsce”

O. Józef znajduje swoje miejsce pobytu w Domu Pisarzy (Jezuitów), w Warszawie, na ul Rakowieckiej 61.

A w tym czasie, w Załogach, gdzie mieszkają rodzice Józia – Jego brat Boleś, gospodarujący

O. Józef, z siostrą Krysią, w Przasnyszu w drodze do kościoła, nie znamy daty tej wizyty, może to być 1951 rok.

na ojcowiźnie, ale wspólnie z rodzicami – buduje, wielkim wysiłkiem i wyrzeczeniami, nowy dom, dla rodziny i rodziców… Dom jest gotowy w 1949 roku, ale zdołano wykończyć tylko dwa pomieszczenia. Nikt nie przypuszcza, że rodzina zaraz dostanie od władzy ludowej to, czego się nie spodziewa – domiar podatkowy… „od wzbogacenia wojennego”…! Kwota „domiaru” stanowiła wartość ówczesnych siedmiu pensji średnich, a z odsetkami - dziewięciu!, o czym wspomniano wyżej.

Zdjęcie z lat pięćdziesiątych.

W sierpniu 1950 roku, mając 28 lat, umiera, młodsza siostra Józia – Halina. Przy leczeniu gruźlicy medycyna stosuje nadal tylko tzw. „odmę” i zastrzyki z wapna. Penicylina jeszcze nie jest w Polsce dostępna. W organizmach niektórych z Majkowskich „kołaczą się” złośliwe prątki Kocha. W miesiącu tym też o. Józef musiał być na Pomorzu, w Chełmnie – z rekolekcjami, przedtem pojechał do Szczytna, aby być przy słabnącej siostrze – Hani, w czasie jej przejazdu do Załóg, na ostatnie godziny życia!

„I kiedy zmarłą Hanię chowają w Płoniawach
Jej Brat – snuje opowieść Jezusa do braci,
Ewangelię kwitnącą w barwach miłowania –
Z uśmiechem, co na ustach gwiazda Mu się złoci”.

W sierpniu 1951 r. – opuszcza swoje dzieci Mama - Teodozja! Cios za ciosem, także w Józia, który choć mocny swoją psychiką, zahartowaną w nowicjacie, życiu zakonnym, podczas okupacji oraz podczas posługi chorym i umierającym, odczuwa boleśnie – podobnie jak pozostałe rodzeństwo – stratę dwu bardzo bliskich osób.

Ale żyć trzeba dalej.

O. Józef nie zapada w traumę żałoby tylko pracuje, ba… zwiększa tempo pracy – kapłańskiej i naukowej. Może to była najlepsza terapia na tę traumę?

Od 1954 roku o. Józef – obok prowadzenia innych prac –rozpoczyna wykłady z psychologii religii i teologii ascetycznej, na fakultecie teologicznym „Bobolanum”.

Czas – od 1949 roku – upływa mu na pisar-

O. Józef Majkowski, podczas pobytu w Reszlu, w 1954 r. (na Rekolekcjach), w wolnej chwili, powozi bryczką.

stwie i wykładach, rekolekcjach, spowiedziach. A zaznaczyć trzeba, że swój pierwszy artykuł o. Józef opublikował już w 1936 roku, jeszcze jako maturzysta, we wrześniowym numerze czasopisma „Pod Znakiem Maryi”, W czasie studiów pisywał do „Sodalisa Mariańskiego”, „Posłańca Serca Jezusa” w Chicago, „Misji Katolickiej” i „Przeglądu Powszechnego” oraz

w „Rocznikach Filozoficznych KUL" i w czasopismach jezuickich, wychodzących w Rzymie.

Gdy w 1957 roku przywrócono w kraju część prasy katolickiej – wtedy pisywał do „Znak", a najwięcej – 22 artykuły – do „Ateneum Kapłańskiego". Ponadto drukował swoje prace w innych kilku wydawnictwach zbiorowych. Wspomina się Jego artykuł w Homo Dei „Matka Boska w dawnej polskiej ascezie", którego treść dotyczyła praktyk nabożeństwa, w XVII i XVIII – wiecznej Polsce, pokazujący społeczeństwu katolickiemu polskie korzenie tego nabożeństwa. Bardzo cenili tę pracę światli duchowni, różnych stopni hierarchii, a także uznani naukowcy, jak np. historyk - prof. Karol Górski, z UMK w Toruniu.

***

Jak wiadomo Jezuici zostali sprowadzeni do Polski, przez biskupa warmińskiego Stanisława Hozjusza, w 1564 roku do Braniewa. Założono Kolegium w Świętej Lipce. W Reszlu było w 1631 r. Kolegium prowadzące małą szkołę, kształcąca ok. 100 osób. Sponsorem Kolegium był, w połowie XVIII wieku, król Jan Kazimierz, który pielgrzymował do sanktuarium w Świętej Lipce, przez Reszel. W Reszlu mieszkał, przez kilka lat sam Mikołaj Kopernik.

Nie wiemy, czy o. Józef prowadził wówczas, w 1954 r., rekolekcje dla Sióstr św. Rodziny – działających w Reszlu po zakonie sióstr Katarzynek, czy były to rekolekcje otwarte, ale organizowane przez Klasztor?

Do Sanktuarium w Świętej Lipce – tego ulubionego przez o. Józefa miejsca – było z Reszla 5 kilometrów. Dojazd do Reszla pociągiem, przez Olsztyn nie był komfortowy, ale o. Józef komfortu nie szukał. Podejmował trud dalekich i niewygodnych podróży, bo zawsze jechał z misją.

Kiedyś – na przykład – zaproszono go na rekolekcje do miejscowości, na wschodniopołudniowych krańcach Polski, a dojazd tam był z kategorii tych „ostatnich, za karę". Kiedy już dotarł, dowiedział się, że spotkania są odwołane, a miejscowy proboszcz nie uważał za stosowne powiadomić zapraszanego, wiedząc, że to setki kilometrów, a czas takiego Kaznodziei, jak o. Majkowski, należałoby szanować. O. Józef zniósł to mężnie – jak zwykle!

***

Reszel to miasto z historią od 1241 roku, prawa miejskie – od 1377roku. Po bitwie pod Grunwaldem miasto przypadło Władysławowi Jagielle. W 1520 roku miasto zostało ograbione przez załogę Czechów, których obsadził tam król Zygmunt Stary. W 1692 roku Jezuici założyli w Reszlu Kolegium (niższe seminarium). Po I Rozbiorze Polski Reszel staje się miastem pruskim – miasto liczy 3 tysiące mieszkańców, a np. Olsztyn, w tym czasie –tylko 1779. W XVIII wieku proboszczem Reszla był Marcin Krasicki, a jego brat Ignacy był biskupem warmińskim i miał siedzibę w Reszlu.

Jedno ze zdarzeń, związanych z miastem, dotyczy spalenie na stosie „ostatniej czarownicy w Europie". Była to ofiara Inkwizycji. Nazywała się Barbara Zdunk – miała 37 lat i czworo dzieci, które chyba sama wychowywała. W Reszlu, w 1807 roku, wybuchł pożar i to w rok po poprzednim, który strawił drewnianą zabudowę. Szukano winowajcy. Ktoś zeznał, że widział tej nocy, w zaułku ulicy Barbarę, która posądzano o czary. Pruski prokurator Inkwizycji oskarżył ją o czary, przy których pomocy, Barbara miała spowodować pożar. Proces trwał trzy lata, ale… jakie mogły być „dowody na czary"? W tej sytuacji wyrok skazujący był „na rękę" inkwizytorom. Stos przygotowano na 21 sierpnia 1811 roku, na Górze Szubienicznej, przy drodze z Reszla do Korsz. Kat, którego sprowadzono aż z Lidzbarka Warmińskiego dowlókł ofiarę do miejsca stracenia i… jak podają zapisy – z litości udusił najpierw ofiarę, następnie podpalił stos. Na miejscu były „setki gapiów". Natomiast pożar miasta, w rzeczywistości spowodowali żołnierze napoleońscy – „zaprószyli ogień".

25 lat po tym zdarzeniu pomówiono o czary Krystynę Cejnową, z Chałup. Poddano ją „próbie wody"; ponieważ nie utonęła, bo szerokie podwójne spódnice zatrzymywały ją na wodzie, jeden z miejscowych – znachor – podburzył ludność i… ukamienowali nieszczęśnicę. Znachor dostał wyrok dożywocia.

Piszemy to dlatego, aby nie zapomnieć, że obok szlachetnych postępków różnych ludzi, z różnych stanów, i na różnych poziomach, które przenosiły się przez wieki dając postęp i rozwój ludzkości, były w historii kraju (i Europy) zdarzenia, które uwłaczają godności ludzkiej i jej rozumowi, pomimo, że twórcy tych zdarzeń/ciągu zdarzeń odziewali się w strojne szaty i okrywali nimbem tajemniczości rytuałów.

Prymas kard. Wyszyński i o. Józef Majkowski na spotkaniu ze studentami (pierwsze lata działania Ośrodka), początek lat sześćdziesiątych.

Następni światli, z kolejnych pokoleń, próbowali naprawić błędy poprzedników, ale zawsze trwało to długo i nie zawsze dawało zadośćuczynienie. Instytucję Inkwizycji zniesiono dopiero w XIX wieku!

O. Józef w obecności kardynała Wyszyńskiego (kard. z prawej strony).

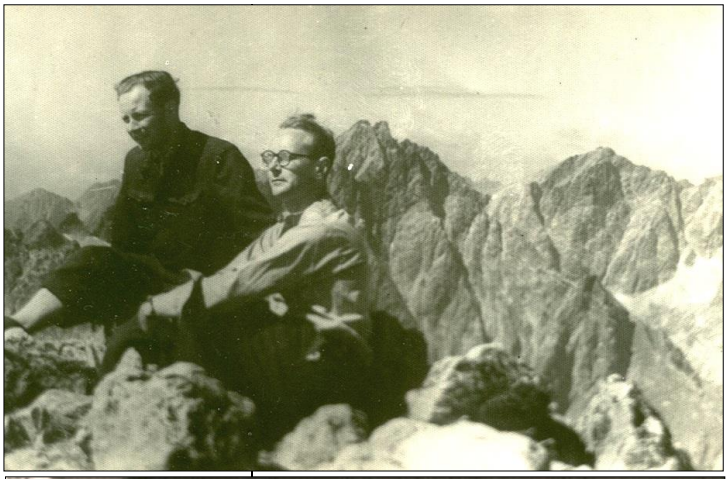

O. Józef ze swoimi studentami.

***

Wpis: „z pamięci –J.M.)" – w początku lat 50-tych XX wieku – żył jeszcze Tata o. Józia; tak gdzieś wiosną, bliżej lata, Stryj przyjechał do Załóg, nocował wtedy, co musiało być chyba za specjalną dyspensą przełożonych. Bardzo rano wyszedł poza zabudowania, na równinę obsianych zbożem pół, w tym ziemi jego dziadków i rodziców, aby odmówić Brewiarz - słowo wówczas znałem, ale jego znaczenie było już bardziej tajemnicze. A to był a obowiązkową dla księży liturgiczna modlitwa codzienna… pewnie była to „Jutrznia" – odmawiana o wschodzie Słońca…. Zapamiętałem tylko, że nikt nie może przeszkadzać księdzu z Brewiarzem. Pamiętam jak wrócił do domu, radosny, zachwycony pięknym porankiem i wiejską ciszą… Moje emocje nie pozwoliły chyba zapamiętać więcej. Stryj jeszcze innym razem nocował w rodzinnym siedlisku, będąc przejazdem. W dalszych latach, kiedy jechał na trasie Święta Lipka Olsztyn – Przasnysz, w tym niekiedy samochodem swego brata – Kazika…. zabierali siostrę Krysię i „wpadali" do Załóg, do Płoniaw (na grób rodzinny), do Suchego do najstarszej siostry – Stasi. Wtedy brat Boleś, w Załogach, zaprzęgał konie do bryczki i jechali dróżkami, między polami, wzdłuż pola ich rodziców. O czym rozmawiali? Sąsiedzi widzieli te ich „wycieczki", do dziś, niektórzy z nich to wspominają – bo nie było w tamtych stronach takich widoków, gdzie ci co wyszli w świat z tej ziemi, po przyjeździe w odwiedziny, „jechali pola oglądać". Dla miejscowych oglądanie pól nie było żadną atrakcją, dla Majkowskich – wiązały się z tym wspomnienia z dzieciństwa!

***

W 1954 roku, o. Józio i rodzeństwo, także żyjący ojciec Aleksander, zostają boleśnie dotknięci tragedią najmłodszej siostry – Krysi. Tragicznie umiera nagle mąż Krysi i ich synek – szesnastomiesięczny Staś. Jeszcze jedna… tragedia!

***

W latach 1956 i 1957, o. Józef został skierowany do Konwiktu księży Studentów, w Lublinie, jako ojciec duchowy. Wiadomo tylko, że nie był zachwycony tą wyznaczoną rolą, a wręcz wyrażał opinie, że to nie jest miejsce dla niego. Ale w zakonie… polecenie przełożonych wykonuje się „pod posłuszeństwem".

O. Józef ze swoimi studentami.

O. Józef ze swoimi studentami.

Opatrzność czuwała nad ścieżkami losu o. Józefa i… w 1958 roku, O. Józef, zostaje wyznaczony na duszpasterza akademickiego, przy kościele jezuitów na Rakowieckiej,

w Warszawie. „Pracujesz za dziesięciu. W trzech uczelniach na raz. Seminarium, wykłady, prace, egzaminy. Po sześć kazań w niedzielę. Liczne konferencje. W trudzie – nad ludzkie siły – Twe godziny płyną.”

Jakim uznaniem cieszył się o. Majkowski u Prymasa Tysiąclecia Kard. Wyszyńskiego potwierdza m.in. fakt – zapisany w Księdze Pamiątkowej przez Annę b. studentkę, której łączność z Ojcem trwała 18 lat) (…) „z charakterystycznego spotkania w Gnieźnie, tuż przed procesją z relikwiami św. Wojciecha i św. Stanisława, kiedy to Prymas Tysiąclecia idąc z Kard. Wojtyłą na czele biskupów naraz podszedł do o. Majkowskiego stojącego wśród wiernych i na oczach całej ustawionej procesji uściskał Go, jak brata rodzonego. Dwóch świętych się odnalazło w tym momencie”.

Potwierdzona informacja mówi, że Kardynał często słuchał, przed udaniem się na spoczynek, nagrania magnetofonowego pieśni autorstwa o Józefa: „Matko Boża z Betlejemu”

„Matko Boża z Betlejemu
Nad Dzieciątkiem pochylona
Każde dziecko polskiej ziemi
W swe matczyne weź ramiona.

Matko Boża z Nazaretu
Zanurzona w szarym trudzie
W młodych sercach wiarę wzniecasz
Ufność miłość w nich rozbudzisz.

Matko Boża z Częstochowy,
Z ostrej Bramy i z Warszawy
Uczyń Polskę ludem nowym
Bożej chwały, Bożej sławy.

Matko Boża z winnej Kany,
Kochająca, zatroskana,
Każdą z rodzin Ci oddanych.
Błogosław w łaski Pana!

Matko Boża u stóp Krzyża,
Współczująca na Golgocie,
Zagubionym dom przybliżaj,
Kiedy tęsknią za powrotem.

Matko Boża z Wieczernika,
W Duchu Świętym rozmodlona,
Spraw, niech w Polsce zło zanika
I przemiana się dokona

Matko Boża pierwszych wieków
I świętego średniowiecza,
Bożej Łaski jasna rzeką
Nasze czasy uczłowieczaj!

Obowiązki Duszpasterza Akademickiego stały się – przez 29 lat – najważniejszym zadaniem o. Józefa, realizowanym z całym oddaniem, zawsze punktualnie i zawsze na bardzo wysokim poziomie. To z czasem spowodowało, że grupa studentów skupiająca się wokół duszpasterstwa, była coraz większa. O. Józef mówił: „Praca jest szansą naszego życia” i pracował nieustannie. Było wielkie zapotrzebowanie na jego rekolekcje.

„Słuchali Cię w podziwie i skrusze biskupi
I ojcowie paulini na swej Jasnej Górze,
Przełożeni Zakonu Ojców Jezuitów
W Zakopanem, gdzie słowa sypałeś jak róże”
„Wiem, że nieraz biskupi czy prowincjałowie
– Zdruzgotani Twej mowy cudem, wniebowzięci – Korzyli się przed Tobą… Lecz Tyś się nie przyznał – W pokorze – iż nazywali Cię po prostu świętym.”.

W latach 60-tych było to już wyraźnie widoczne. W tamtym czasie wyjeżdżał ze studentami do Zakopanego; pobyt poszczególnych studentów trwał tydzień lub trochę dłużej. I tak, w ciągu miesiąca, spora grupa studentek i studentów mogła wśród szlaków górskich „zbierać siły na następny rok akademicki”. Chodził z nimi po szlakach, a „program dnia” zaczynał się zawsze w Kościele „Na Górce”, ul. Kaszelewskiego 9. Tam, w Domu Jezuitów, mieszkał….” wieczorami zapóźnionymi pracując twórczo”.

Kiedyś, na początku lat siedemdziesiątych, podczas króciutkiego spotkania z rodzeństwem, w Załogach, zapytany o swoich studentów i o Ośrodek, powiedział, że grupa studentów, z którą pracuje, to około 400 osób, choć nie wszyscy są jednakowo aktywni w życiu tej wspólnoty.

Z czasem, grupami studentów zbierającymi się corocznie w Zakopanem, w kościele „Na Górce”, stale z tym samym Przewodnikiem, który nie krył, że jest księdzem, choć w sutannie nie chodził „po Krupówkach i po szlakach”, zainteresowali się „smutni panowie z resortu”, którzy musieli już poumieszczać swoje „wtyczki” w tych grupach.

I chociaż o. Majkowski głośno i wyraźnie mówił, że głównym przykazaniem obowiązującym w Ośrodku jest: „Nie mów przeciwko Dziesięciorgu Przykazaniom i Związkowi Radzieckiemu”, to „tym służbom”… nie podobało się, że „ksiądz skupia wokół siebie młodzież i na pewno uczy młodzież historii po swojemu i „odciąga ją od budownictwa socjalizmu”.

Następstwem tej inwigilacji było przeniesienie wakacyjnych wyjazdów ze studentami, do Świętej Lipki, gdzie bazą były pomieszczenia klasztorne tamtejszego Sanktuarium.

Właściwe jest, aby dodać, że górskie powietrze miało leczniczy wpływ na organizm o. Józia, co zawsze zauważał.

Stryj interesował się sportem. Jeśli tylko mógł oglądał transmisje z tzw. „ważnych meczów piłki nożnej”, świetnie też sam grał w brydża - to też przecie „dyscyplina sportowa”; niektórzy współbracia mieli za złe fascynację Majkowskiego brydżem…, ale może dlatego, że sami nie mieli takiej umiejętności?

***

Renoma Ośrodka rosła szybko. Następca, po kardynale Wyszyńskim, na godności Prymasa Polski – Józef Kardynał Glemp, także zauważył znakomicie prowadzoną pracę duszpasterską ze środowiskiem studenckim uczelni skupionych w dzielnicy Mokotów (SGGW, SGPiS, Politechnika…). Kardynał zawsze był obecny m.in. podczas spotkań opłatkowych.

Ośrodek duszpasterstwa akademickiego pod nazwą „Fides”- → „Wiara” – jedno ze spotkań opłatkowych z udziałem Prymasa Polski – Józefa Kardynała Glempa.
Zdjęcie z 1985 r., Na odwrocie Stryj pisał kilka słów do Załóg – dopytując o zdrowie brata – Bolesia, bo ten od kilku lat zmagał się z wyniszczającą chorobą. Pisał ze Świętej Lipki w lipcu – zapewniał dodając: „Myślę, ze tutaj dojdę do formy”.

Ośrodek duszpasterstwa akademickiego pod nazwą „Fides”- → „Wiara”, był prowadzony taktownie przez o. Józefa, poprzez dbałość nie tylko o wspólne modlitewne skupienia. Szczególnie zaś, poprzez zwracanie uwagi Duszpasterza na codzienne problemy studentek i studentów, poprzez przyjazne do nich odnoszenie się i starania zaradzania różnym kłopotom/problemom.

To powodowało, że więzi zawarte w Ośrodku, przetrwały dziesiątki lat. Niektóre z nich przekształcały się w małżeństwa. Wiele studentek i studentów, długo po skończeniu studiów, przychodziło na Rakowiecką, jak do rodzinnego domu, także ze swoimi dziećmi. Znaczy to, że w Ośrodku musiał być nadzwyczaj odurzający klimat, i to nie tylko z woni kościelnych kadzideł.

… jedno ze spotkań opłatkowych z udziałem Prymasa Polski – Józefa Kardynała Glempa.

Jeżeli po 25 latach od śmierci Duszpasterza, na rocznicową Mszę św. przyszło ponad 200 osób, to nie może być wątpliwości, że niepowtarzalna, charyzmatyczna postać o. Józefa, trwa we wspomnieniach tych, których opuścił. A w początkowych latach XXI wieku pojawił się już czas, w którym niektórzy Jego Wychowankowie, dołączają do swego Przewodnika. W tej specyficznie rocznicowej Mszy 2012 r., wzięło udział pięciu księży, w tym ks. Proboszcz.

Homilia księdza Marka, który po śmierci o. Józefa przez jakiś czas kierował Ośrodkiem, była, jak zawsze, życzliwa w treści – wobec o. Józefa, a jednocześnie prosta w słowach, w których wspomniano także rodziców i rodzeństwo Wielkiego Jezuity, bo tak nazwał o. Józefa jego Przyjaciel ks. bp Kazimierz Majdański, podczas mowy nad trumną w kaplicy, w której o. Józef, przez wiele lat w każdą niedzielę o godzinie 10-tej odprawiał Mszę św. I głosił homilie.

Patrząc teraz, z oddali czasu, można powiedzieć, że wszyscy, którzy mieli możliwość być blisko o. Józefa Majkowskiego – Wielkiego Jezuity, mogą potwierdzić, niekiedy ponownie, i ponownie…, że dzięki niemu… widzimy dalej, że mamy łatwiej …, bo… stoimy na barkach tego Giganta Człowieczeństwa.

Czy On też mógł widzieć dalej, bo też miał przed sobą postacie Gigantów? Bez wątpienia – tak! Widział dalej, dlatego, że swoje posłannictwo wziął „na serio”, kierując się tym, co wskazał założyciel zakonu Jezuitów – Inigo Lopez de Loyola, a później utwierdził np. o. Gruodis w Szawlach. Kiedy porównujemy niektóre istotne zapisy dotyczące cech charakteru i konsekwencji w postępowaniu Świętego Ignacego (Inigo), z tymi o jakich wiemy, w odniesieniu do o. Józefa – naszego Stryja, to natrafiamy na zdumiewające podobieństwa.

Pisano o I. Loyoli: Jego dewizą było: „Ad maiorem Dei gloriam” „Na wieczną Chwałę Boga”. „Jego pobożność jest prosta i jasna”. „troszczył się o każdego człowieka. Znał się na ludziach. Umiał w niepokornych ludziach trudnych odkryć wielkość i ją wydobyć…” napisał 6 tysięcy listów. Tak jednoczył ludzi … miał dar przenikania duszy ludzkiej … „był tym człowiekiem, który najlepiej na całym świecie znał się na anatomii duszy ludzkiej” … współcześni pozostawali pod silnym wrażeniem dobroci jego serca i surowości wobec siebie … Nasz wielki badacz człowieka … - tak o nim napisał ten, który wykonał maskę pośmiertną Ignacego Loyoli, gdyż sam Loyola nigdy nie pozwolił, aby go namalowano.

Z wypowiedzi jednego z domowników Loyoli: „On mówił mi od czasu do czasu, że było szczególnym zrządzeniem Bożej Opatrzności, iż musi cierpieć tak wiele chorób. „W ten sposób nauczyłem się – powiadał – współcierpieć z innymi i rozumieć ich bóle…. Nauczył mnie Bóg być słabym ze słabymi i mieć wyrozumienie dla ludzkiej słabości”.

Innym razem: „Gdy człowiek jest chory, to nie może nic robić, albo – chciałoby się powiedzieć inaczej – Bóg nasz Pan nie chce działać przez niego. Choroba jest również stałym bodźcem, za pomocą którego Bóg chroni przed wygodnym, pełnym miłości własnej ułożeniem sobie życia tutaj na ziemi”. Wiele postaci, cenionych w historii, znanych zapewne każdemu z nas, budzi zachwyt i każe na chwilę się zatrzymać, aby zastanowić się i zrozumieć, że życie dla drugich może być radością nie zaś przymusem. Jak długo człowiek będzie interesował się człowiekiem, ludzką naturą, jego potrzebami, tak długo będzie na nowo odkrywał człowieka, doznając przy tym na przemian zawodu i zachwytu… i na nowo wciąż będzie zadawał pytanie, czy człowiek, to brzmi dumni?

Czytelnicy tego zapisu, szczególnie ci, którzy poznali charyzmę o. Józefa zapewne potwierdzą, że był On na pewno jedną z takich postaci. Potwierdzą, bo mieli ten przywilej iść obok Niego. Kiedy Ignacy Loyola zmarł – Kronikarz napisał: „Odszedł od nas i ani nas nie pobłogosławił,…. Odszedł w mrok śmierci bez żadnego uroczystego gestu, jaki w takim momencie zwykli czynić inni słudzy Boży, odszedł najzwyczajniej w świecie”.

Tak też postąpił o. Józef! – ja też byłem przy Jego śmierci! – przyp. J.M.

Czy wyżej przytoczone fakty nie nasuwają aż pewności, że te same cechy/przymioty „pasują jak ulał” do o. Józefa? Ostatni – też!

W jednej z homilii o. Józef mówił {…} „Nie wiadomo, co jest większą łaską zdrowie czy choroba” – tak nawiązywał do słów św. Inigo. Tylko nieliczni rozumieli wówczas ten przekaz (Inigo: znaczy „ogień”).

My widzimy/ odczuwamy wprost, że o. Józef, który kiedyś – tym nadzwyczajnym zrządzeniem, przypisanym modlitewnej nowennie listopadowej, odmawianej wieloletnio przez siostrę Jego Mamy – stanął na barkach św. Inigo, tego prekursora „Gigantów Człowieczeństwa wśród Jezuitów”, od którego wszystko się zaczęło, na początku XVI wieku… mógł widzieć więcej i dalej, mógł korzystać z tych znakomitych podwalin, zawartych w Konstytucjach spisanych i przetestowanych przez Założyciela Towarzystwa Jezusowego, którego idei sam poświęcił swój pracowity i jakże światły żywot.

Wnosić można, że Ci dwaj jezuici – oddzieleni przez wiekowy upływ czasu –mieli nawet podobne poczucie humoru i to w sprawach „najwyższej wagi”.

Otóż, kiedy zapytano I. Loyolę, co potrzebne jest do zreformowania Kościoła – ten odpowiedział: „trzy rzeczy są konieczne i wystarczające do zreformowania Kościoła:

1) aby sam papież się zreformował,
2) aby zreformował swój dom,
3) aby zreformował kurię i miasto Rzym.

… jakbyśmy słyszeli Stryja!!...

***

Z wypisu z książki o. Felicjana Paluszkiewicza: W zapisie „o rzeczach ostatecznych” – Stryj pokazał swój cząstkowy rys charakteru. Przytoczył podanie historyczne, które u jezuitów jest znane, a dotyczy zdarzenia nawrócenia, na polu bitwy, legendarnej postaci magnata litewskiego Kazimierza Korsaka, który po bitwie nie wrócił do domu tylko został bratem zakonnym, w jezuickim kolegium w Mohylowie. Kiedy po latach rozpoznał go tam jego rodzony brat, zwrócił się do niego z wyrzutem, że przecież mógł zostać księdzem i doczekać się z pewnością biskupstwa…. Umierający zakonnik odpowiedział: „Tam po drugiej stronie nie ma już biskupów. Tam wszyscy są sobie równi”.

Odnosząc się do tych słów zakonnika Stryj dodał: „Rzeczywiście, tam po tej drugiej stronie do nikogo nie mówi się „Wasza Ekscelencjo”. Trzeba modlić się, aby w Kościele Bożym na ziemi też ta tytulatura powolutku zanikała. Czy wiecie, że w czasach pana Jezusa w Ziemi Świętej tytuł ekscelencji miał jedynie Piłat. Dopiero później tytuł „ekscelencja” przeszedł na naszych biskupów. Dlatego niektórzy

biskupi nie chcą być razem z Piłatem na jednej linii".

O stanach, w których dokonuje się przemiana, związana z przejściem z ziemskiego świata do tego, o którym – jak pisał – „mamy stosunkowo malutkie wyobrażenie", Stryj dokonał takiego porównania – stosując - jak zwykle lekką formę: {…} „Bo to będzie przemiana jeszcze większa, jak kiedy liszka przemienia się w motyla. Gdy liszka rozmawia z motylem, to, co ją interesuje? Najwyżej zapyta motyla: - Czy ty, jako motyl żresz liście? - Nie żresz liści? - To, co to za życie!".

***

Może już w tym miejscu napiszemy o przeświadczeniu, w którym nie jesteśmy –zapewne – odosobnieni: o. Józef Majkowski zmarł w opinii świętości, wyrażanej bardzo często głośno, a jeszcze częściej, w myślach.
Loyola zalecał: „Módlcie się tak jak gdyby wszystko zależało od Boga, ale pracujcie tak, jak gdyby wszystko zależało od Was". I tej zasadzie nasz Stryj był wierny.

***

Od śmierci Założyciela zakonu Jezuitów do czasu jego kanonizowania upłynęło blisko 66 lat. Obszary „wieloskibowej orki" na „Bożym ugorze" jaką wykonywał przez dziesiątki lat o. Józef Majkowski nie były obliczone przez Niego na zaszczyty i apanaże, tytuły lub strojne szaty. Pozostawał wierny posłannictwu „piątej Ewangelii" tj. „Ewangelii Życia", której nauczał studentów sumiennie i z taktem. Kiedy trzeba było być bohaterem był bohaterem, kiedy trzeba było być „przestrzenią myśli i serca" dla innych – był, cały… „wychylony ku bliźniemu" – jak to określił Jego Przyjaciel – Stefan Dzierżek.

***

We wszystkich zapisach, w Księdze Pamiątkowej wyłożonej po pogrzebie Stryja, natrafiamy na… pozostawione świadectwa Jego „nadludzkiej" dobroci, a nawet skutecznego wstawiennictwa… na przykład: … „dziękuję za prośbę, którą zaniosłam do Ciebie już „po tamtej stronie" w pewnej intencji i została wysłuchana przez Twoje święte wstawiennictwo"… I inne:… „kiedy przed urodzeniem drugiego dziecka wiedziałam, że grozi nam niebezpieczeństwo zwróciłam się listownie do Ojca o pomoc modlitewną. Jestem przekonana, że modlitwa Ojca była skuteczna tym bardziej, że towarzyszyło mi głębokie wewnętrzne przeżycie"…

***

Zdarzenie z czasów kleryckich w Wilnie, zapisane przez o. Józefa: „Kiedyś, mnie kleryka, zawołał rektor i powiedział: „Słyszałem, że mówisz, że nie chcesz być święty" Odparłem: „Powiedziano Ojcu tylko pierwszą część zdania. Powiedziałem, że nie chcę być takim świętym, jak ten i ten ojciec".

***

My – ostatni bezpośredni krewni o. Józefa – po ludzku sądzimy, a tyle nam wolno, że historia Kościoła powinna naznaczyć swego Sługę tytułem równym Stanisławowi z Rostkowa. Pracą całego swojego zakonnego, duszpasterskiego o. Józef zgromadził taki bagaż charyzmatu duchownego, którego uniesienie dla wielu jezuitów było ponad możliwości. O. Józef Majkowski – udźwignął ten cały bagaż i… dokładał do niego jeszcze … Nadzwyczajną uwagę poświęcił osobowości św. Stanisława Kostki. Jego hagiografią zadziwił wiele autorytetów naukowych, kościelnych i cywilnych, także poza Polską. Dzieło pt: „Historia ascezy i mistyki polskiej od XVI do XVIII wieku" – wydane poza granicami Polski (we Francji), pokazało „na zachodzie", że duchowość w Polsce, to nie jest tylko hasło!

Ponad 50 publikacji autorstwa o. Józefa zamieszone zostało w rożnych czasopismach, głównie o tematyce psychologii religii. Jeżeli dodać do tego inne publikacje, których łatwo doliczyć się liczby 50 – znajdujące się w tzw. „drukach zwartych" – to dorobek znaczący, zważywszy jakość merytoryczną tego pisarstwa. Nie zapominamy także o 27 hasłach zamieszczonych Encyklopedii Francuskiej, w których ukazywał sylwetki Rodaków, którzy swym życiem odcisnęli trwały ślad w historii. Te zapisy powodowały, że „na zachodzie" wreszcie zauważono, że Polska miła wybitne osobowości, co najmniej równe tym ze świata zachodniego, który najczęściej uważał się „za lepszy". I dodać należy – powtarzając za autorytetami: „jeśli chodzi o duchowość w Polsce, to właśnie o. Majkowski przysłużył się, w swych latach intensywnej publicystyki, najwięcej do udowodnienia, że ta sfera jest, w kraju nad Wisłą, nader rozwinięta i nie ustępuje tej w krajach chrześcijańskiej Europy". Tak to ocenił – swoim profesorskim autorytetem – prof. Karol Górski z Uniwersytetu w Toruniu.

Ponadto: kto tylko zapoznał się z twórczością poetycką o. Józefa – zawartą w strofach „ponad 150 pieśni i piosenek oraz kolęd"- zapewne przyzna, że jest to religijna poezja bardzo wysokiej próby (może najwyższej!) – jak na te i poprzednie czasy.

***

Wielu ludzi zwyczajnie tęskni, za o. Józefem! Wielcy ludzie zostawiają po sobie tęsknotę za nimi – to wypowiedziana przez kogoś mądrego ważna sentencja). Pogrzeb o Józefa był manifestacją przywiązania do osoby tego kapłana. Byłe studentki i byli studenci i ci, którzy do Ośrodka trafili w 1985 lub 1986 roku, także studenci z KUL-u, z ATK, a także inni – tzw. zwyczajni ludzie, aż po Kardynałów, Prymasa, biskupów, księży, naukowców, dali wyraz swego smutku oraz głębokich wspomnień osobistych, które zapisali w Księdze Pamiątkowej, w trakcie pogrzebu i po pochówku o. Józefa.

***

Można zapytać: co ich ciągnęło do spotkań z o. Majkowskim, pod tym adresem na Rakowieckiej? Na pewno to, że o. Józef, przez swoje nadzwyczajne cechy charakteru, w których niewątpliwie skupiły się cechy jego Mamy; widział sprawy/problemy każdego indywidualnie. Dla każdego miał współczucie; czasami nie mógł nic poradzić na kłopoty jego „skarbów", „skarbeczków", „dzieciaczków", „aniołków" lub szukających u Niego wsparcia dorosłych już ludzi. Zawsze jednak starał się rozplątywać i prostować powikłane sprawy. A przychodzili do niego lub zostawali podsyłani, nie tylko akademicy! Własne słabości i zwyczajne, krańcowe zmęczenie zawsze ukrywał! Nie unikał nikogo! Już od rana – jeśli tylko był na miejscu – można było Go zastać; drzwi Ośrodka były zawsze otwarte. Wielu, także księży, dziwiło się – jak tak można? Kiedy przerastało go już zmęczenie – mówił czasami: „ksiądz też człowiek"; „wykładowca też człowiek".

O. Józef, miał tę cudowną umiejętność rozumienia cudzych trosk i ułomności, a to jest rzadki dar i tylko niektórzy tym dysponują! Jako ksiądz nie zamieniał lęków bliźnich przed trudami ziemskiego świata na gotówkę. Z Jego nauk jasno wynikało – przynajmniej dla nas – że Bóg nie przeprowadza przy pomocy diabła żadnych eksperymentów na człowieku. To On wypracowywał, a nawet wyżebrywał, gotówkę, aby zamieniać ją na chwilki poczucia człowieczeństwa swoich - studentki/studentów - i tych, którzy znaleźli się w potrzebie.

Po 27 latach od śmierci, to Jego Kościół istnieje. Istnieje we wspomnieniach byłych studentek i studentów, we wspomnieniach siostrzenic i bratanków, we wspomnieniach ludzi, którzy zdążyli Go poznać. Istnieje bez pieniędzy i bez coraz bardziej zdobnych szat oraz form coraz głośniejszych dźwięków, wzmacnianych decybelami, jakby od tego zależała jakość wiary, a nie od spokojnej refleksji, którą o. Józef zawarł w kultowych już swoich utworach. A przychodzili do Niego ludzie z różnymi sprawami, wręcz najróżniejszymi. Na przykład kiedyś, w maju, przyszła starsza pani z takim postulatem, aby ksiądz coś zrobił z tymi pylącymi topolami, bo jak ona idzie do kaplicy na ul. Rakowiecką, to lecą na nią te płatki niczym śnieg i… czuje, że zaraz ją zasypią! Już nie może tego znieść"! … kiedyś na Rakowieckiej rosło bardzo dużo topoli, jeszcze kilka z tych ogromnych drzew tam rośnie, i w dni wietrzne na chodnikach leżały „poduchy" z białego puchu nasion rozpylanych wiatrem; czyż ten Zakonnik od Otwartych Drzwi nie był od tego, aby wstrzymać nawałnicę wzniecania zarodników tych dumnych drzew, która tak mogła zirytować przemiłą i pobożną warszawiankę, z Mokotowa… przyp. –J.M. O. Józef – w takich razach, mógł tylko wznosić oczy do nieba i wołać – cichutko – nie! tylko nie to! Ale zaraz musiał, iść „do innej roboty" i „wstrzymanie nawałnicy puchu z topól, zostawiał „wyższym czynnikom".

Cierpliwość o. Józefa była niewyczerpana.
Każdy z nas zastanawia się: jakąż trzeba mieć konstrukcję psychiczna, aby wykazywać się bezgraniczną cierpliwością, gdy nawał różnych sytuacji, z jakimi Wielki Jezuita miał do czynienia, były wręcz gwarantem, że „najświętszy by się zdenerwował". Tu chyba o. Józef kierował się podobnym lub takim samym, co I. Loyola, sposobem, w drodze do doskonałości. Otóż Założyciel zakonu zadał sobie kiedyś pytanie: „czy potrafisz przeżyć przez sekundę tak, jakby tego pragnął Chrystus?". Loyola sam sobie odpowiedział pozytywnie i zaplanował: „z sekund złożę minuty, z minut zrobię godziny, dni i tygodnie…. Po 37 latach stwierdził, że całe życie było na większą chwałę Bożą. Ależ to trzeba mieć charakter! O. Józef – nasz Stryj też taki był!

***

Na początku stycznia 1959 roku umiera ciocia o. Józefa – siostra Jego Mamy Teodozji – Eufemia, Wizytatorka w Klasztorze Sióstr Szarytek na ul Tamka, w Warszawie. To ważna postać w rodzinach - m.in. - Majkowskich, Krępskich, Żebrowskich, Pszczółkowskich.

„Messalka" - Lucyna Mischal (1886-1953), wybitna polska aktorka – śpiewaczka, primadonna Operetki Warszawskiej. Dodajmy, że s. Jadwiga była najważniejszą powiernicą siostry Eufemii, w tym m.in. na pogrzebach w rodzinie reprezentowała s. Eufemię. S. Jadwiga zmarła w Paryżu w 1962 roku – trzy lata po swojej Przełożonej – i tam została pochowana. Symboliczny grób jest w tej samej kwaterze na Powązkach co i wszystkich sióstr tego Zgromadzenia). W takich sytuacjach o. Józef mówił: „Wiemy, że ci co odeszli od nas nie odeszli w nicość, tylko tak, jak my o nich myślimy, oni myślą o nas". Na pogrzeb przyjeżdżają też siostry Eufemii – Zofia (Żebrowska) i Marianna (Pszczółkowska) oraz bratankowie – m.in. Bolesław s. Teodozji i Zbigniew Żebrowski s. Zofii, dwie siostrzenice – córki Teodozji, Stanisława (Krępska) i Krystyna (Kobylińska), oraz czworo z pokolenia wnuków.

***

Obok pracy duszpasterskiej o. Józef nie zaprzestał pracy pisarskiej. Od 1962 roku podjął pisanie haseł dotyczących Polski w wychodzącym w Paryżu Dictonnaire de Spiritualite; ukończył hasło: „Skarga", a śmierć zastała go przy haśle: „Semenenko". W ważnej pracy technicznej/korektorskiej plus przepisywania tekstów na maszynie, w języku francuskim, wspierała Stryja, mieszkająca blisko Klasztoru, na ul Fałata, „Dobra Dusza", pani Komarnicka. Mama p. Komarnickiej zmarła w 1969 roku, a ona sama w maju lub czerwcu 1976 roku. Stryj pisał wtedy do Załóg, o tym zdarzeniu, przygotowując już wyjazd grupy studentów do Zakopanego. I dodał {…} „… a w przyszłym tygodniu mam po cztery wykłady dziennie na Bielanach, 27 (maja) mam kazanie w Gdyni, wyjadę do Zakopanego 7 lipca".

Warszawa. Cmentarz Powązki IV brama kwatera 185.

O. Józef Majkowski nie zwalniał tempa pracy! Wiemy, że ta jego pracowitość „wieloskibowa" nie była dobrze postrzegana przez niektórych współbraci. To, że „brał na siebie dużo prac" (dużo, za dużo!) – to fakt. Ale tak „się spalał"! Tak budował swoją charyzmę wszędzie, gdzie był. Nawet po krótkim Jego pobycie w Gdańsku, w 1946 roku, pozostał ślad wspomnień znamienitych. Był autorytetem dla bardzo dużej grupy studentek i studentów; wielu ludzi specjalnie uczestniczyło w Jego Mszach św., po to, aby kolejny raz wysłuchać pouczającej i interesującej homilii. Wreszcie udział Ojca Józefa w Mszach radiowych … Nazwisko: Majkowski - przyciągało do radioodbiorników rzesze słuchaczy. W homiliach zawsze znajdowali coś wartościowego, zrozumiałego, zapadającego w pamięć!

***

Kiedy o. Józef pisał swoje rozprawy naukowe? Kiedy się przygotowywał do wykładów na czterech uczelniach?! Kiedy tworzył swoje pieśni/piosenki/kolędy ? Z pisaniem listów lub tekstów o lżejszym charakterze – dawał radę nawet w obecności odwiedzających go licznie studentek i studentów i takich gości jak my – bliskich krewniaków. Na pisanie publikacji lub utworów o istotnym ciężarze gatunkowym, pozostawał mu właściwie czas „po 22-giej"! Kiedy w Domu Pisarzy mieszkał w pokoju od strony zachodniej, gdzie był/jest zakręt szyn tramwajów – z Rakowieckiej w Chodkiewicza (teraz to ulica św. Andrzeja Boboli), to nad ranem, kiedy zamierzał się

Na zdjęciu: Ciocia Femcia - w środku; z prawej: s. Jadwiga Mischal. Na odwrocie ww. zdjęcia osobista adnotacja o. Józia: „S. Wizytatorka S. Szarytek Eufemia Kakowska. Ciocia Femcia, na krótko przed śmiercią, Siostra Jadwiga Mischal, rodzona siostra Messalki".

O. Józef Majkowski – drugi od lewej – w birecie, siostrzeniec zmarłej, Eufemii Kakowskiej, której sprawstwo Jego powołania zakonnego uznał za decydujące; przy trumnie na Powązkach.

Na zdjęciu: pierwsza od lewej strony - Zofia Żebrowska z Kakowskich, siostra rodzona Eufemii, na pierwszym planie zdjęcia stoi Bolesław Majkowski - siostrzeniec, tu ma 47 lat, obok niego Stanisława Krępska z Majkowskich (49 lat) – siostrzenica; z tyłu, pod drzewem, stoi Kazimierz Krępski, syn Stanisławy – miał wtedy 26 lat, nad sylwetką Stanisławy widać Romka – jej syna, miał wówczas 24 lata, obok Stanisławy – w prawo, stoi jej córka Hanna - miała wtedy 17 lat, obok niej – w prawo, jej starsza siostra Bożena - miała wtedy 28 lat, dalej w prawo - stoi Krystyna Majkowska - Kobylińska, c. Teodozji Majkowskiej, obok niej – wysoki mężczyzna to Zbigniew Sroczyński – zięć Zofii z Kakowskich Żebrowskiej, na dole zdjęcia, w prawym rogu – Marianna Pszczółkowska z Kakowskich – siostra Eufemii.

zdrzemnąć przed nowym dniem… tramwaje zaczynały właśnie zgrzytać na tym zakręcie, że niekiedy – jak mówił – „o żadnym śnie nie ma mowy i trzeba powieki podpierać zapałkami". Trzeba dodać, że tramwaje z tamtych lat, to były maszyny bardzo głośne. Kilka lat później zamieszkał w pokoju, co prawda z oknem od strony wschodniej, a więc dalej od szyn tramwajów i jezdni, za to jasność słoneczna – lub tylko dzienna przebywała tam krótko …

słowa, bez nut, bo to poezja wysokiej próby.

„Nasze oczy w Jasną Górę są wpatrzone,
Nasze serca oczekują stamtąd znaków.
Usta szepczą, abyś matko w swą obronę,
Wzięła Polskę, wzięła wszystkich nas Polaków
Ref:
Nowe życie pod sercami naszych matek,
Czy to w miastach, czy też polskich wsi ustroniach,
Wypatruje jasnych szlaków Chrystusowych,
I odnajdzie zawsze Boga i człowieka.

Ref: Nowe życie…(itd.)

Zeszyty z zawartością pieśni i piosenek religijnych oraz kolęd wydano w Rzymie, w: 1978 r., 1980 r. i 1984 r. kilka egzemplarzy wcześniejszych utworów znajduje się w zeszytach złożonych w Archiwum. O. Józef zawarł swoje motto życiowe w wierszu niżej cytowanym -

W kondukcie za trumną Cioci Femci - siostrzenica Krysia (z kwiatami), obok niej w prawo, s. Aloiza (Wanda Łakowicz) - wieloletnia współpracownica o. Józefa - jeszcze z czasów wileńskich, główna autorka utworu „Pieśń o dobroci", w lewo od Krysi – ta wysoka pani, to siostrzenica o. Józefa – Jadwiga Bożena Krępska – córka Stanisławy z Majkowskich Krępskiej.

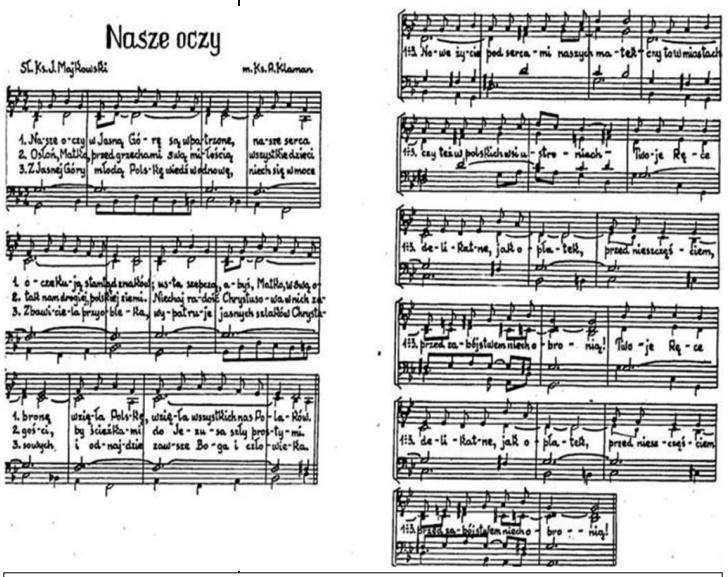

Scan nut jednej z pieśni ułożonych przez o. Józefa, z muzyką o. A Klamana.

***

O. Józef napisał 153 teksty pieśni, „oparte głównie na motywach ewangelicznych". Muzykę do tych utworów pisali o. Alfons Klaman (z Czechosłowacji) i Gabriela Rzechowska – Klauza – pracująca z „Cantileną", w Ośrodku. Z o. A. Klamanem – o. Józef spotkał się dopiero w ostatnich godzinach życia, w szpitalu, na ul Płockiej. Przedtem nigdy się nie widzieli, w ich „zaocznych" kontaktach pośredniczyła siostra Aloiza. O. Klaman był na pogrzebie Twórcy poezji, którą cenił. Podamy najpierw

Twoje ręce delikatne jak opłatek,
Przed nieszczęściem przed zabójstwem niech obronią!

Osłoń Matko przed grzechami swą miłością wszystkie dzieci,
Tak nam drogiej, polskiej ziemi
Niechaj radość Chrystusowa w nich zagości,
By ścieżkami do Jezusa szły prostymi,

Ref: Nowe życie…(itd.)

Z Jasnej Góry młodą Polskę wwiedź w odnowę
Niech się w moce Zbawiciela przyobleka,

nie znamy daty kiedy powstał; Stryj, jak zwykle skromny, nie chwalił się przed rodziną – „o!, napisałem nowy utwór, czytajcie/śpiewajcie"!; raczej nie dawał swoim siostrom lub braciom tekstów utworów „do recenzji"; niektóre utwory poznawaliśmy dopiero po Jego odejściu; zapewne miał, wśród współbraci oraz wśród studentek i studentów, obdarzonych talentem poetyckim, takie osoby, którym pokazywał teksty, przed ich publicznym zaprezentowanie, na Mszy św., przez „Cantillenę".

„Nie chcę, by życie, było byle jakie
Nie chcę, by było w nicość zapatrzone
Niech ono będzie Ewangelii znakiem
Niech już przemiany w nim się cud dokona.

Błogosław, Panie, mym pragnieniom!
Błogosław, Panie, mym zamiarom,
Bym wszystko łaską mógł przemienić,
Osiągnąć pełnię Twojej miary.

Uczynisz Panie, ze mnie krzew gorczycy,
Co się rozrośnie drzewem rozśpiewanym,
Lub stworzysz ciszą pośród nawałnicy,
Czy też powiewem wiatru rozedrganym.

Niech będzie Panu wieczna chwała:
Wraz Ojcu z Synem i Duchowi!
Niech wielbi Pana ziemia cała!
Niech wielbią Pana ludzie nowi!

Bez artysty – jak mawiał ks. Tischner – ludzie chodziliby jakby we śnie i zawsze byliby tam, gdzie nie trzeba!

***

W 1962 roku o. Józef był na pogrzebie swojego szwagra – Jana Krępskiego, w takich okolicznościach rodzeństwo spotkało się. Kolejne lata upływają o. Józefowi na pracy. To nic niezwykłego. Jest to praca wielokierunkowa, którą podejmował przez całe życie, z wyjątkową

Na fotografii: obok o. Józia stoi brat – Kazimierz; przy trumnie: Stanisława z Majkowskich – żona zmarłego i jej brat Boleś; za Stasią stoi jej syn – Jurek (1944 r.) obok Stasi – najmłodszy syn – Mieczysław (1950 r.); od prawej krawędzi zdjęcia; syn Kazik (1933 r. - 1998 r.), syn Romek (1935 - 2006 r.), córka Jadwiga Bożena (1931 r. - 2011 r.) i jej mąż – Henryk Jabłoński.

obowiązkowością. Tylko nieliczni, orientujący się w schorzeniach o. Józefa, byli świadomi… „ile heroizmu musiał zainwestować w swoją niepowtarzalną wielkość”.

Przygotowując wyjazdy ze studentami albo inne spotkania „na forum”, Stryj musiał część zadań technicznych przekładać na studentów; zdarzało się, że niektórzy „nie zdążyli lub wręcz „zapomnieli” bądź „nie załatwili, jak chciał”. Wtedy kierował – tak w przestrzeń – przestrogę: „widzisz! – jak poślesz głupiego, jakbyś sam tam był”.

O. Józef od pewnego czasu otrzymał zgodę swoich władz zakonnych na mieszkanie poza klauzurą, z wejściem od ul. – wówczas – Chodkiewicza. Był to niezbędne w warunkach działania otwartego Duszpasterstwa Akademickiego. Miał tam swój pokój i maleńki pokoik przyjęć – gdzie, jeśli tylko był na miejscu, przyjmował interesantów i pracował oraz niewielkie pomieszczenie, służące za kaplicę.

Na drzwiach pokoju widniało „urządzenie”, które wskazywało, gdzie obecnie jest Ojciec. Były tam anonse typu; „jestem w mieście”, „zaraz wracam”, „jestem w bibliotece”, „wyjechałem do Lublina”, „jestem właśnie w pokoju, proszę pukać”, itp. (przyp. – J.M. Kiedy zastawałem na drzwiach to ostatnie wskazanie, zwykle nie pukałem, zostawiałem kartkę z pozdrowieniami i wychodziłem; bo wiedziałem, że Stryj pracuje nad czymś ważnym, albo chwilę odpoczywa. Kiedyś napisał w liście: „jeśli uda mi się zdrzemnąć, w dzień na 15 minut, to wieczorem wiem jak się nazywam”).

W tym małym pokoiku – salonie!, w dniu 19 marca każdego roku zjawiały się największe ilości ludzi – „dobrych dusz”, które ciągnęły… „z najdalszych krańców”, aby złożyć o. Józefowi życzenia imieninowe. Zawsze był wdzięczny, za okazywane serca. Trzeba jednak zaznaczy, że był to zawsze męczący czas.

W jednym z listów, który wysłał do brata w Załogach „w okolicach imienin”, dopisał: „{…} było dużo kwiatów na św. Józefa i tylko jeszcze więcej zmęczenia, imieniny powinny być milicyjnie zakazane;. aleśmy się ubawili; trzy dni, bez przerwy 6:30 – 22. Ale przeminęło.”. W tym „salonie”, poza klauzurą, znajdował się sporej wielkości obraz, ale niepozorny malunkiem, bo w szarej tonacji. Znajdowała się na nim ledwie zarysowana postać Chrystusa ukrzyżowanego. Stryj objaśnił mi, co to za obraz. Otrzymał ten obraz od pani, która przynosząc go powiedziała, że od czasu, gdy kupiła obraz, to „same nieszczęścia się na nią sypią” i że… chciałaby obraz zostawić. Stryj zgodził się, ale pod warunkiem, że… „ze wszystkimi nieszczęściami”. Obraz został. Tylko nieliczni zwracali na niego szczegółową uwagę, bo… duża rama, ale szare kolory – nic szczególnego! Aż kiedyś pewien znawca sztuki rozpoznał dzieło; po przeniesieniu lokalizacji Ośrodka Duszpasterskiego „Fides” do nowych pomieszczeń – obraz pozostaje w kaplicy Ośrodka.

Puentą tego zapisu może być pytanie: jak rozpoznawać wartość szarawego życia, na przykład nas samych, naszych znajomych – przyjaciół, które bez wątpienia jest przytłoczone szarościami i monotonią, a radosnych chwilek jest mało.

Trzeba być… znawcą lub mieć możliwość zapytania eksperta. Takim znawcą, psychologiem był niewątpliwie o. Józef. Przytoczymy tu jego stwierdzenie, które powstało kiedyś po

O. Józef Majkowski – rekolekcje, Białystok, marzec 1964 r.

chwili rozmowy o jego znajomości psychologii ludzkiej. Wtedy przytaknął, że „coś niecoś wie z tej dziedziny”, ale zaraz zastrzegł się, że… co do psychologii kobiecej to, chociaż bada ją już 70 lat, to…”prawie nic nie wie”. To był właśnie typ humoru sytuacyjnego Stryja Józia.

Ściany tego małego pokoiku „salonu” poznały wiele tajemnic oraz szczerych i życzliwych słów przynoszonych przez wielu ludzi, którzy przybywali tam nieprzerwanie przez lata, pozostawiając swojemu powiernikowi swoje udręki, cierpienia, sukcesy lub słowa podziękowań.

Na parapet zewnętrzny „salonu”, zaczęły – z czasem – zaglądać dwie synogarlice, które bardzo się przyzwyczaiły do miejsca, w którym dostawały jedzenie; O. Józef „wspierał” też inne ptaszki przylatujące na klasztorny dziedziniec lub do ogrodu. Ale przede wszystkim – pracował. Np. w latach 1961-1963, zupełnie bezinteresownie dochodził z konferencjami dla studentów do sąsiedniej parafii św. Szczepana – wspierając tym swego współbrata tam pracującego, o. Felicjana Paluszkiewicza. A przecież swoich obowiązków duszpasterskich i innych zajęć miał „dużo za dużo”.

W jednym z listów do brata w Załogach, w 1980 roku, pisał m.in. „najbliższe 3 tygodnie będę miał głupiutkie, bo ten tydzień 14 wykładów z Lublinem, następny 9 konferencji rekolekcyjnych w kościele garnizonowym, potem obrady u nas kilka dni, na których również mam odczyt”.

W każdą niedzielę, o godzinie 10-tej, o. Józef odprawiał Mszę św. i wygłaszał homilię, ówczesna Kaplica Jezuitów była zawsze pełna. Na tę „autorską” Mszę św. przyjeżdżali ludzie z całkiem odległych dzielnic Warszawy.

Wieść o charyzmatycznym zakonniku z Rakowieckiej niosła się coraz szerzej. A po latach, od 1980 roku, skupienie Jego przekazu liturgicznego, wzbogacone zawsze interesującym słowem homilii, mogło zostać wypowiadane po wielokroć na falach Polskiego Radia. Do „Redakcji Mszy Radiowej” zaczęły wtedy napływać z całego kraju słowa uznania i wzruszenia słuchaczy, którzy m.in. zaświadczali, że czekają z utęsknieniem na słowo tego właśnie Kaznodziei (!).

***

Oto jedno ze wspomnień –Janusza M.: W czasie jednego z krótkich spotkań, Stryj opowiedział mi zdarzenie ze swojego życiorysu, …„żebym sobie nie myślał, że tylko cywile zachowują się mniej rozważnie”.

Oto, po wojnie, kiedy już mieszkał w Warszawie, chciał pojechać do Kacic (to przed Pułtuskiem) bowiem tam był/jest zabytkowy kościół pod wezwaniem św. Stanisława Kostki. Jak wiemy, o. Józef interesował się szczególnie osobowością św. Stanisława i napisał o Nim obszerne i wartościowe studium.

Jeśli chodzi o historię tego miejsca, w Kacicach, było tak: w 1579 roku biskup płocki podarował sołectwo Kacice wraz z ziemią i młynem – jezuitom z kolegium pułtuskiego, na urządzenie letniej rezydencji dla profesorów. Po beatyfikacji Stanisława Kostki rektor jezuitów w Pułtusku, zbudował w Kacicach drewnianą kaplicę ku czci błogosławionego Stanisława, w 1606 r. Pod koniec XVII wieku ówczesny rektor kolegium Michał Jaworski wybudował kościół murowany, który jest do dziś.

Był to pierwszy w Polsce kościół ku czci św. Stanisława Kostki! W 1775 roku w ołtarzu był cudowny obraz św. Stanisława Kostki, który to obraz powstał w XVII wieku i tam go umieszczono. Prowadzono też księgę doznanych łask - może Stryj chciał pojechać, po tej swojej litewskiej gehennie więziennej i chorobowej, do tego także szczególnego miejsca, i w szczególnej intencji? Kolega klasztorny o. Józefa był pasjonatem motocykli i… miał taką maszynę, co po wojnie było bardzo rzadkim przypadkiem. Zgodził się pojechać z Józkiem, bo komunikacja „ogólnodostępna” była wtedy jeszcze „słabo dostępna”.

O. Józef raczej nie wiedział, że jego Kolega jeździ tym motorem szybko, i że aż tak szybko. Wtedy na drogach pojazdów było bardzo mało. Pojechali. Stryj mówił, coś w sensie, że „pędzili ile fabryka dała motorowi” (a wówczas motocykliści mogli jeździć bez kasków). był letni dzień, jazda była „pełna frajdy”. Byli już blisko Kacic, gdy naraz z bocznej/polnej drogi zaczął wyjeżdżać na szosę! (i miał trochę z górki!) załadowany sianem, czy snopami zboża, wóz konny. Był tak blisko, że żadne hamowanie ani ominięcie już nie było możliwe! O. Józef zauważył tylko, że woźnica w ostatniej chwili silnie ściągnął lejce, konie zadarły dyszel wozu do góry (dyszel nie złamał się!)… a dwaj „jezuiccy motocykliści wcisnęli tylko swoje głowy w koloratki” i… przemknęli „pod tym dyszlem”. Cudem ich nie oskalpowało. Stryj zapamiętał tylko nad głową ten zadarty dyszel i rozdziawione ściągniętymi wędzidłami pyski koni, z zębami na wierzchu.

Stryj nie powątpiewał, że przed niechybnym śmiertelnym wypadkiem uchronił ich obydwu Patron tego miejsca, św. Stanisław Kostka.

***

W 1961 roku, w czwartym kwartale, o. Józef wziął udział w Kongregacji Prokuratorów w Rzymie. O. Józef jest Delegatem prowincji Jezuitów do Rzymu! 24 listopada 1961 roku, na Dworcu Głównym, żegnali Go tłumnie przyjaciele (przed Stryjem dwie noce i dzień jazdy pociągiem, przez Wiedeń – w czasie postoju zdążył stamtąd wysłać kartki do przyjaciół! … „Twa mądrość i pokora i tam zajaśniały". (przyp. – Janusz M. Pamiętam jak się szykował do tej podróży, jak przygotowywał sobie bułki/kanapki, aby „po drodze nie zemrzeć z głodu", w które wkładał drobne banknoty dolarowe, – strach myśleć, co byłoby, gdyby polski, socjalistyczny celnik znalazł w bagażu bułkę z „takim paszteciкiem"… mógłby „mieć sukces", odkrywając „przemyt dolarów", choćby tylko tych jedynych pięciu! Na szczęście, nic się nie stało.

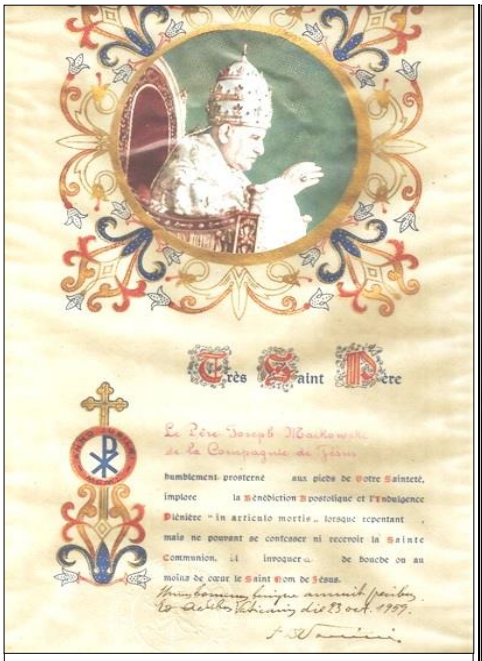

Będąc w Rzymie – Stryj otrzymał specjalny imienny blankiet papieskiego błogosławieństwa.

O. Józef na Mszy św., po ćwierćwieczu, w Warszawie.

***

W kwietniu 1966 roku, mijało 25 lat od czasu Mszy św. prymicyjnej O. Józia, w Wilnie. Pod koniec września 1970 roku, o. Józef został wysłany, do Rzymu/Watykanu, „do pilnej pracy". Pisał stamtąd do swego brata – Bolesia – w Załogach, na odwrocie kartki/fotografii widoku Kaplicy Sykstyńskiej, datując na 7 X 70 r. {…}... „Dzisiaj skończyłem ogromniastą robotę, nad którą by trzeba posiedzieć przynajmniej 3 miesiące, a musiałem ją zrobić w dwa tygodnie… {…}… oddałem do druku następny zeszyt naszych piosenek z Rakowieckiej. Warunki mam więcej niż idealne…" ... „W tej Kaplicy przyjąłem Komunię św. z Rąk Papieża" (Papieżem był wtedy Paweł VI).

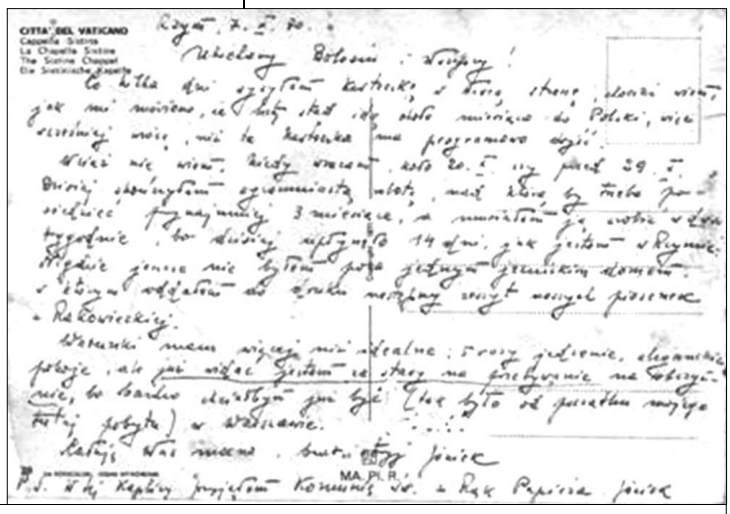

Kartka pocztowa wysłana przez o. Józefa z Watykanu do swojego brata Bolesia w Załogach, przedstawiająca Kaplicę Sykstyńską – a na odwrocie kilka słów do niego. 7 X 1970 r.

Ta „ogromniasta robota" wiązała się zapewne z wprowadzaniem – przez papieża Pawła VI – „Nowego Mszału Kościoła", poniżej: kartka wysłana z Rzymu do Załóg, z datą 7 X 1970 r., ale chyba „przyszła" gdy Stryj już wrócił.

***

W 1977 roku, o Józef, jako uznany autorytet naukowy, z dziedziny psychologii religii, otrzymał z Wiednia zaproszenie na Kongres Psychologów. Władze rozpatrzyły odmownie prośbę o wydanie paszportu! Czego się władza obawiała? Że co? Że zostanie „na zachodzie", że zdradzi „tajemnice dynamicznego rozwoju socjalizmu w Polsce"? Przecież już wcześniej Stefan Kisielewski otwarcie napisał: „Socjalizm w Polsce, jest to taki ustrój, w którym bohatersko pokonuje się trudności, nieznane w innych ustrojach".

W Świętej Lipce, 23 lipca 1975 roku – ze studentami; o. Józef pisze na odwrocie, że 31 lipca 1975 przyjedzie do Załóg.

***

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych dowiedzieliśmy się od Stryja, że przełożeni powzięli zamiar przeniesienia Go do Czechowic. Był tym bardzo zmartwiony. Chyba postanowił mocno się bronić przed tą decyzją. Miał argumenty. Ale co tam argumenty, jeżeli w Zakonie obowiązuje reguła posłuszeństwa ...

On, charyzmatyczny kapłan, którego praca była uznawana przez najwyższych hierarchów w kraju i znana za granicą, ba – także w Watykanie, a co więcej, to on miał ogromne uznanie w oczach wiernych, a już studenci z Ośrodka wpatrzeni byli w Niego bezgranicznie szczerze.

On to został uznany, tu w Warszawie, za… niezbędnego, ale gdzie indziej… w Czechowicach!, chyba po to, aby mógł być blisko wyziewów z dużej rafinerii ropy naftowej! Zaiste, bardzo dobry „klimat" dla Jego płuc! Czyżby szukano pretekstu do odsunięcia od młodzieży takiego kapłana. Nie znamy podłoża planu takiej decyzji, a po ludzku sądzimy, że mógł to być plan „iście szatański". Stryj jednak obronił swoją pozycję i… pozostał na Rakowieckiej. (przyp. – Janusz M. Mówiąc mi o niechęci wyjazdu do Czechowic, nawiązał do przyszłości… kiedyś zabrał mnie na Cmentarz Powązkowski, do zbiorowego grobowca Jezuitów – gdzie wspominał któregoś ze swoich przyja-

ciół, zapalił znicz, a potem powiedział, że „chciałby umrzeć tu, w domu, w otoczeniu współbraci i być pochowany w tym grobowcu” i dodał „chyba już się tu nie zmieszczę i będziecie musieli jeździć gdzieś dalej”. Jednak pozostał tu, na Powązkach.

O. Józef Majkowski, na pielgrzymce z młodzieżą Ośrodka, w Częstochowie.

O. Józef, doświadczony wielorako przez życie własne, rodzeństwa, rzesz ludzi którzy szukali u Niego wsparcia, ale także przez życie zakonne, które przecież także nie jest wolne od odniesień i relacji wewnętrznych, osobowych, w swoich rozmowach ze słuchaczami, czy to w homiliach, czy w toku wykładów, kładł nacisk na wielki i niezwykle trudny obszar mieszczący się w słowie „przebaczenie”. Mówił; „co innego przebaczenie zupełne, a co innego żal, który pozostaje; trudno pozbyć się żalu po krzywdzie. „Kiedy człowiekowi ludzie przekreślają wszystko, jak to dobrze, że jest Bóg”. To… m.in. na tle zdarzenia, kiedy to jeden z księży, z Płocka, uprosił o. Józefa, aby udostępnił mu swoją pracę o św. Stanisławie Kostce. A później okazało się, że ten ksiądz przypisał sobie autorstwo tekstu wypracowanego przez o. Józefa.

***

O. Józef wyjeżdża corocznie do Zakopanego, z grupą studentek i studentów, uprzednio zarabiając pieniądze na sfinansowanie tego ich wypoczynku. Sam, podczas tych wyjazdów, zapewne nieco odpoczywał, chodząc po górskich szlakach, ale jednocześnie dbał o całość spraw zawiązanych z wynajęciem kwater i wyżywieniem. Na te wyjazdy zabierał sporo książek i wieczorami pracował.

Znał z nazwiska lub imienia wszystkich studentów, którzy pojawiali się w Ośrodku. Znał też ich życiowe problemy.

Lata 1980-1986 są nadal u o. Józia intensywnie pracowite, także za sprawą

O. Józef podczas wykładu/konsultacji.

Zakopane 1975 r.

Studencka grupa, na wakacjach, Święta Lipka, lipiec 1984 r.

Od lewej: O. Józef Majkowski na górskim szlaku 1963 r., Zakopane 1966 r. i 1974 r.

kolejnej pracy, którą przyjął od ks. Prymasa Wyszyńskiego, a dotyczącej działania w Redakcji Mszy św. radiowej. Ta nominacja dawała o. Józefowi nowe pole do oddziaływania kapłańskiego, jakiego tylko nieliczni mogli dostąpić, mianowicie – mógł być słyszalny przez wiernych w całej Polsce, a także za granicą. Wygłosił przez radio 39 homilii.

Czas dla Polski szczególny, to rok 1980. Strajki obejmują cały kraj. Powstaje Komisja Krajowa „Solidarność". Jednym z jej postulatów jest rozpoczęcie transmisji Mszy św. przez radio, dla osób chorych. Władze spełniły ten postulat. Dekretem, z datą 19 września 1980 r., Stefan Kardynał Wyszyński ustanowił Kościelną Redakcję Transmisji Mszy Św. przy kościele Św. Krzyża, w Warszawie. Także Dekretem Prymasa powołani zostali księża – członkowie Redakcji. O. Majkowski jest pośród nich (wszyscy, zgodnie z przyjętą zasadą, są spoza parafii). Księża ci reprezentują różne specjalności teologiczne. Pierwszą Mszę św. (radiową), w dniu 21 września 1980 roku, odprawia bp Jerzy Modzelewski.

O. Józef Majkowski stoi z lewej; z prawej strony studentka zakłada biskupowi Zbigniewowi Kraszewskiemu medal, na pięćdziesięciolecie jego kapłaństwa. Na Mszy św. z tej okazji o. Józef wygłosił kazanie.

O. Józef w czasie przerwy podczas prac w komisji, której przewodniczyła Matka Teresa z Kalkuty.

Transmisji Mszy pomiędzy 13 grudnia 1981 (z tym dniem wprowadzono stan wojenny w Polsce), a 17 stycznia 1982 r. – nie było sześciokrotnie. Transmisję mszy św. w Boże Narodzenie 1981 r. przeprowadzono, a homilia miała tytuł „Zdziwiony lud".

Ostatnią homilię przez radio o. Józef wygłosił w dniu 2 listopada 1986 roku.

***

Na czas od 23 września do 18 października 1980 roku o. Józef został wysłany do pracy na Synodzie w Rzymie. Temat Nadzwyczajnego VI Synodu biskupów: „Zadania rodziny chrześcijańskiej w współczesnym świecie". Członkiem prezydium Papieskiej Rady Rodziny był przyjaciel o. Józefa – bp Kazimierz Majdański, w którego Instytucie Życia Wewnętrznego o. Majkowski wykładał.

O. Józef otrzymał zadanie pracy w grupie pracowników synodalnych, której przewodziła Matka Teresa z Kalkuty. Nie ma wątpliwości, że się tam znowu napracował, w tempie wręcz olimpijskim, a miał już 65 lat. Tym razem pracował dla papieża z Polski. To był zaszczyt! I honor! Wiemy, że podczas pobytu Stryj nabawił się jeszcze jednej grypy, wyraźnie zjadliwej, której nie miał czasu wyleczyć/wyleżeć. To się kolejny raz odbiło na stanie serca, które ponownie zostało osłabione.

***

Stryj Józio zostawił po sobie krótkie zapisy, na swój temat, w tym m.in. taki, zamieszczony później – w książce autorstwa o. Felicjana Paluszkiewicza – wydanej w dziesiątą rocznicę śmierci o. Józefa – cytat: … „w życiu miałem dużo różnych zajęć. Między innymi we wrześniu i październiku 1980 roku zatrudniono mnie na Synodzie w Rzymie. Przygotowując materiały do obrad nad rodziną, otrzymałem do opracowania stosy relacji biskupów, którzy zjechali z Europy, Australii, Afryki, Azji, i obu Ameryk. Dla wszystkich ojców Synodu, łącznie z Papieżem, po przeanalizowaniu materiału, musiałem sporządzić odpowiednie pisma. To była wielka i odpowiedzialna praca, pociągająca za sobą liczne nie-

O. Józef wśród młodzieży.

Zespół redakcyjny Mszy św radiowej

O. Józef Majkowski – członek Zespołu Redakcyjnego Mszy Radiowej.

Ojciec Święty Jan Paweł II, w otoczeniu kardynałów, moderatorów i organizatorów Synodu (październik1980 r.). O. Józef Majkowski, z prawej strony, za papieżem Janem Pawłem II (pierwszy od prawej strony to abp Kazimierz Majdański).
Zdjęcie po prawej: Papież JanPaweł II zwiedza wystawę, podczas synodu 1980 r.; na pierwszym planie abp Kazimierz Majdański (ten z teczką koloru niebieskiego), w tle o. Józef. Poniżej ze studentami.

przespane noce. Uciążliwość była dla mnie tym większa, że nie służył mi tamtejszy klimat.

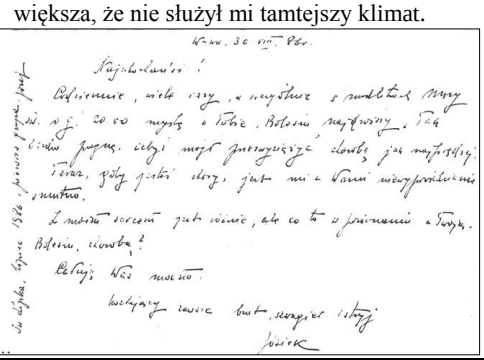

Gdy byłem internowany w Szawlach, musiałem paść krowę, która była niezwykle żerna. Bez przerwy trzymałem ją na powrozie, aby nie narobiła szkody. Codziennie, nawet w niedziele i największe święta, pasłem ją całymi dniami, od wczesnego rana do późnego wieczora.

Gdy zastanawiam się, którą z tych prac więcej cenię, czy tę na Synodzie, czy też pasienie krowy, to mówię tak szczerze, że wolę to pasienie krowy. To była piękniejsza praca, aniżeli wszystkie inne, jakie wykonywałem".

O. Józef i współ celebranci Mszy św. w 1985 roku.

W innym miejscu i czasie zapisał: „Zdarzyło mi się, że dla jednego z prestiżowych, zachodnich czasopism ascetyczno–mistycznych, opracowywałem Historię ascezy i mistyki polskiej od XVI do XVIII wieku. Jest wydrukowana i mogą ją czytać wszyscy uczeni świata. Krytyka oceniła ją wysoko". „Tak mi się kiedyś zdarzyło, że na wsi mówiłem kazanie do prostych polskich chłopów. Z dwóch wymienionych oddziaływań bardziej sobie cenię to kazanie do chłopów, którzy jeszcze po latach pytali proboszcza, czy przyjedzie do nich ten ksiądz, który jak mówił, to wszystko można było zrozumieć".

O. Józef zachowywał postawę niewywyższającego się duchownego…, znającego swoje predyspozycje i obszary pracy, które bardzo cenił. Odrzucił kiedyś propozycje objęcia stanowiska prowincjała, a potem także – Rektora kolegium; wolał… wieloskibowo…, w bruździe, wśród młodzieży, bezpośrednio wśród ludzi).

***

W dniu 2 listopada 1986 roku, w kościele św. Krzyża o. Józef wygłosił ostatnie w życiu kazanie radiowe. Powiedział wtedy m.in.:

„Nasze uwarunkowania ziemskie stale będą nam przypominały, że nie mamy tu na ziemi miejsca stałego zameldowania i nasuną konieczność życia na sposób pielgrzymów. Wiele razy, przerzucając notatki z czasów kleryckich, zatrzymywałem się nad urywkiem kazania Abrahama od św. Klary, który niegdyś do wiedeńczyków mówił: „Człowiek to trawa, co pod kosą pada i cień, co przemija. Człowiek to piana, co z falą odpłynie i kwiat, co wnet zwiędnie. Człowiek to dym, który się rozwieje, to ogień, który sam siebie trawi. Człowiek, to rzeka, co wkrótce odpłynie. To nas jednak nie przygnębia, bo pamiętamy, że jesteśmy ikoną Boga samego".

Następną homilię napisał, ale już nie zdołał jej wypowiedzieć.

Wielu ludziom pozostało w pamięci to, że homilie o. Majkowskiego miały zawsze interesującą treść. Duże ilości listów do Redakcji Mszy św. radiowej zawierały potwierdzenia o unikalnej wartości tych homilii.

O. Józef wśród studentów, podczas jednej z wizyt Jana Pawła II.

Tradycyjne spotkanie opłatkowe w Ośrodku z udziałem ks. Kardynała Józefa Glempa, 13 stycznia 1987 r. - … ostatnie już.

***

W przedziale lat 1980 - 1986 pojawiał się u o. Józia na Rakowieckiej- jego starszy brat – Boleś (raz lub dwa w miesiącu, przy okazji swoich wizyt w Instytucie Hematologii). Zwykle tak się składało, że o. Józef był „na posterunku" – najpierw w tym „salonie 5 metrów kwadratowych", później już w nowej, przestronnej siedzibie Ośrodka.

To były krótkie spotkania braci, najwyżej kilkudziesięciominutowe, ale chyba nigdy, jak w tych latach – poza okresem lat dziecięcych – bracia nie spotykali się tak często, choć w oko-

O. Majkowski z Janem Pawłem II.

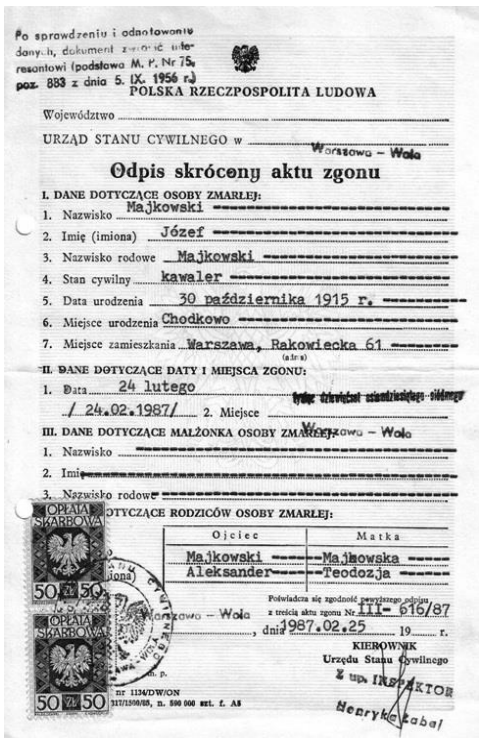

Po sprawdzeniu i odnotowaniu danych, dokument zwrócić interesantowi (podstawa M. P. Nr 75, poz. 883 z dnia 5. IX. 1956 r.)

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA

Województwo .....

URZĄD STANU CYWILNEGO w Warszawa – Wola

Odpis skrócony aktu zgonu

I. DANE DOTYCZĄCE OSOBY ZMARŁEJ:
1. Nazwisko Majkowski
2. Imię (imiona) Józef
3. Nazwisko rodowe Majkowski
4. Stan cywilny kawaler
5. Data urodzenia 30 października 1915 r.
6. Miejsce urodzenia Chodkowo
7. Miejsce zamieszkania Warszawa, Rakowiecka 61 (adres)

II. DANE DOTYCZĄCE DATY I MIEJSCA ZGONU:
1. Data 24 lutego / 24.02.1987 / 2. Miejsce Warszawa – Wola

III. DANE DOTYCZĄCE MAŁŻONKA OSOBY ZMARŁEJ:
1. Nazwisko .....
2. Imię .....
3. Nazwisko rodowe .....

DANE DOTYCZĄCE RODZICÓW OSOBY ZMARŁEJ:

Ojciec	Matka
Majkowski Aleksander	Majkowska Teodozja

OPŁATA SKARBOWA 50 zł 50

Poświadcza się zgodność powyższego odpisu z treścią aktu zgonu Nr III- 616/87 z dnia 1987.02.25 19 ..... r.

Warszawa – Wola

KIEROWNIK Urzędu Stanu Cywilnego z up. INSPEKTOR Henryka Zabal

OPŁATA SKARBOWA 50 zł 50

Nr 1134/DW/ON 311/1500/85, n. 500 000 szt. f. A5

O. Majkowski z Janem Pawłem II.

licznościach mniej radosnych. Jeszcze na początku 1986 roku bracia się spotkali, ale już w czerwcu pojawiły się organizmie Bolesia oznaki „wyraźnego braku mocy" do walki ze schorzeniem krwi. W dniu 7 października, nad ranem, Boleś zmarł.

Józef zdołał jeszcze przyjechać na pogrzeb brata. W obecności sąsiadów poprowadził wzruszającą modlitwę przy jego trumnie, w domu w Załogach, w tym pokoju, gdzie kiedyś modlono się za zmarłych poprzednio: siostrę - Halinę, Mamę i Tatę. (przyp. – Janusz M, a po 49 dniach … 25 listopada 1986 r., na mnie wypadło zawiezienie Stryjowi wiadomości, że jego siostra – Krysia zmarła. Od kilku dni była w szpitalu w Ostrołęce – Stryj wiedział, że stan siostry jest b. ciężki. Czekałem z tą wiadomością na Stryja, w hallu Ośrodka, do ok. godz. 18-tej. Zobaczyłem Stryja Józia, jak po przeciwnej stronie budynku wchodzi do pomieszczenia tzw. furty, aby odznaczyć obecność w klasztorze. Kiedy doszedł do Ośrodka, wiedział, jaką wiadomość – o takiej porze –przynosi taki posłaniec.

Na drugi dzień polecił mi pojechać do Ostrołęki i wyręczył Jego brata – Kazika - w przygotowaniu eksportacji ciała Siostry do kościoła w Płoniawach. Widziałem jak bardzo mocno obaj bracia przeżywają śmierć swojej najmłodszej siostry, tak dotkliwie doświadczonej w czasie Jej pobytu na Planecie Ziemia.

Pogrzeb śp. ks. Józefa Majkowskiego TJ

4 marca br., w Środę Popielcową, w stołecznej kaplicy księży jezuitów pw. Św. Andrzeja Boboli przy ul. Rakowieckiej 61 odbyły się liturgiczne obrzędy pogrzebu śp. ks. Józefa Majkowskiego z Zakonu Towarzystwa Jezusowego, zmarłego w Warszawie 24 lutego br., w 72 roku życia, 57 zakonnego powołania i 46 kapłaństwa.

Zmarły był człowiekiem i kapłanem, który swoje wybitne talenty oddał całkowicie służbie Chrystusowi w Jego wszystkich braciach. Śp. ks. **Józef Majkowski** znany był jako duszpasterz akademicki, rekolekcjonista, publicysta, wykładowca uczelni kościelnych w Polsce. Głosił też homilie podczas Mszy św. transmitowanych przez Polskie Radio z kościoła Św. Krzyża w Warszawie.

Mszy św. pogrzebowej, koncelebrowanej, przewodniczył bp **Kazimierz Majdański**, pasterz Kościoła szczecińsko-kamieńskiego, wierny przyjaciel śp. ks. Józefa Majkowskiego, którego też pod koniec Mszy św. pożegnał, podkreślając m.in. jego wielką otwartość, serdeczność i życzliwość wobec ludzi, a zwłaszcza młodzieży akademickiej.

Wśród ponad stu koncelebrujących księży diecezjalnych i zakonnych byli: bp **Stanisław Stefanek** — sufragan szczecińsko-kamieński, ks. **Stanisław Głowa** — rektor Kolegium Księży Jezuitów „Bobolanum" w Warszawie przy ul. Rakowieckiej 61, ks. **Tadeusz Pronobis** — sekretarz przełożonego warszawsko-mazowieckiej prowincji TJ, ks. **Stanisława Opieli**, przebywającego w Rzymie i ks. prał. **Stanisław Kur** — rektor Metropolitalnego Warszawskiego Seminarium pw. Św. Jana Chrzciciela. **Telegram Prymasa Polski kard. Józefa Glempa odczytał ks. T. Pronobis.** Podkreślony został wybitny wkład Zmarłego w religijne i społeczne wychowywanie młodego pokolenia.

Po Ewangelii homilię wygłosił ks. **Stefan Dzierżek TJ**, który m.in. podkreślił wielką wierność duchowemu dziedzictwu św. Ignacego Loyoli, założycielowi Towarzystwa Jezusowego. Wskazał także na cechy osobowości, wyrażające życie i kapłańską posługę śp. ks. Józefa Majkowskiego, a w szczególności jego głęboką wiarę i żarliwe głoszenie Ewangelii Chrystusa Zbawcy.

Od IV bramy cmentarza Powązkowskiego do grobowca księży jezuitów kondukt pogrzebowy prowadził również bp Kazimierz Majdański. W pogrzebie wzięły udział bardzo liczne rzesze wiernych, a wśród nich rodzina i przyjaciele Zmarłego. (j)

Tak widzieliśmy Stryja po raz ostatni na Rakowieckiej. Z prawej strony, klęczy bratowa – Irena; obok stoi bratanek Leszek Majkowski – syn Ireny i Bolesława (zdjęcie w Kaplicy Ośrodku Akademickiego, ul Rakowiecka (4 marca 1987 r.).

IRENA MAJKOWSKA, ZAŁOGI

Ukochany Józieńku! Tak było nam dobrze, jak żyłeś z nami, chociaż daleko, ale myślą byliśmy z Tobą. Ci, co zmarli, cieszą się tym, na co zasłużyli sobie tu na ziemi, a ci, co zostali, jeszcze opłakują ich. Za Twoje serce, jakie miałeś dla nas, nie wiedziałam za życia jak Ci podziękować. Byłeś dobry, kochany. To był dla naszej rodziny piękny dzień, jak raz w rok, jadąc ze Świętej Lipki wstępowałeś (naprawdę na 1 godz.) na rodzinne miejsce do Załóg, aby pocieszyć się z rodziną, wszyscy byliśmy ucieszeni. Byłeś dobrym synem. Rodzice Twoi cieszyli się bardzo. Mam, Józieńku, Twoje kazania, listy pisane, fotografię, i często zaglądam do nich, a łzy moje zalewają wszystko, teraz zostawiłeś nas i jest smutno. Nieraz widziałam Cię, jak byłeś zmęczony, ale skoro zapytałam: „Józieńku, widzę, że jesteś bardzo zmęczony?" odpowiadałeś, że nieprawda, zawsze było Ci dobrze. Za Twoje słowa miłe, ciepłe, jakie słyszałam zawsze od Ciebie, i za wszystko niech dobry Bóg da Ci wieczny spoczynek. W modlitwach swoich pamiętam o Tobie. Czekaj, Józieńku, na mnie.

Twoja bratowa kochająca Cię bardzo, z dziećmi

Wpis do księgi pamięci dokonany przez Irenę Majkowską z Załóg.

Studenci zamykają wieko nad nieodżałowanym o. Józefem, człowiekiem, przy którego opiece i wsparciu chcieli być jak najdłużej.

W listopadzie i grudniu 1986 r. – o. Józefa dosięgło wyraźne osłabienie serca. Pod koniec listopada nie mógł już pojechać na pogrzeb siostry. W grudniu dostał wylewu do oka, ale cały czas przebywał w Ośrodku. Kończył jeszcze notatkę do hasła: „Semenenko", do Encyklopedii Francuskiej. Jeszcze w 13 stycznia 1987 roku, o. Józef zorganizował w Ośrodku tradycyjne spotkanie opłatkowe studentów, z udziałem Prymasa Kardynała Józefa Glempa; podczas spotkania mówił ze swadą, wzbudzając ogólną wesołość studentów i gości (spotka-

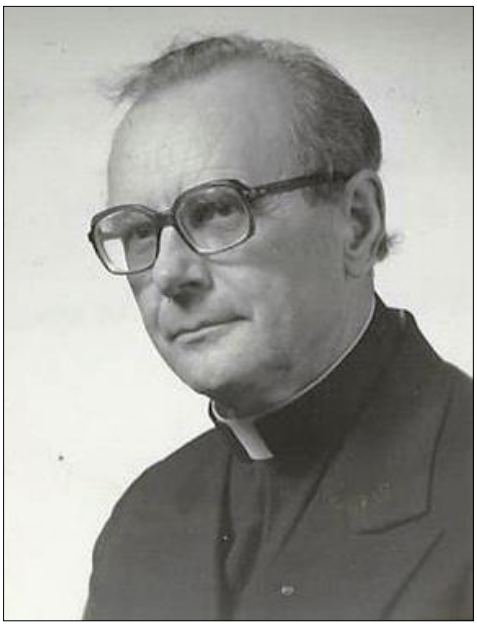

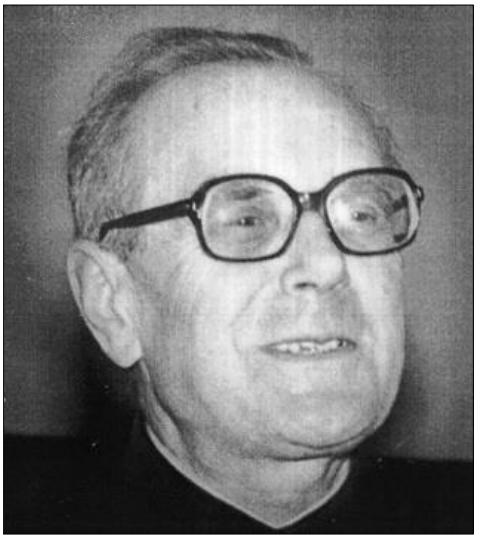

nie dokumentowano zdjęciami). Na jednym z tych zdjęć, jeden tylko będący tam Jezuita – Przyjaciel o. Józefa – o. Paciuszkiewicz – ma minę zatroskaną/smutną. Tylko On wiedział, że ten trzymający fason – Wielki Jezuita jest… „na ostatnich nogach".

Za kilkanaście dni o. Józef zgodził się na odwiezienie do szpitala. Do szpitala pojechał 19 lutego. Przed wyjazdem, jeden z ojców – ks. Andrzej Spławski, przyniósł swemu współbratu ostatnią Komunię św. (przyp. – Janusz M.: 23 lutego, około godziny 17-tej, poszedłem z bratem Leszkiem, do szpitala, na ul. Płockiej. Zobaczyliśmy z bliska, że Stryj cierpi; do nas odezwał się tylko: „nie myślałem, że tu będzie mój koniec", a za chwilę: „idźcie już, nic tu po was". I odwrócił się do ściany.

Na drugi dzień poszedłem do szpitala przed godziną 17-tą; Stryj był już w agonii, za niedługo serce przestało bić. Wszyscy, którzy tam byli, bardzo przeżyli ten moment, kiedy trzeba było sobie zdać sprawę, że już nie spotkamy o. Józefa, na Rakowieckiej 61, wśród żywych.

Za kilkanaście minut przyszedł abp Kazimierz Majdański; wszyscy się krótko pomodlili. Stryja przygotowano na ostatnią ziemską drogę.

„Trudne są drogi świętych. Są – bez snu – czuwaniem
Są łańcuchem wyrzeczeń, goryczą ofiary,
Gaszą ognik radosny osobistych pragnień,
Prowadzą przez pustynię samotności szarej"

Ojciec Józef Majkowski. Wszyscy mówią - Święty!

Pogrzeb odbył się 4 marca. Brat Kazik – ostatni z rodzeństwa – nie mógł przyjechać, sam złożony niemocą, a pozostała trójka z rodzeństwa odeszła ostatnio, przed Józiem.

***

24 lutego 1987 odszedł po nagrodę do Pana w 72 roku życia, 57 zakonnego powołania i 46 kapłaństwa

Ś. † P.

ks. JÓZEF MAJKOWSKI SJ

żołnierz Armii Krajowej, aresztowany przez gestapo, uwięziony na Łukiszkach w Wilnie, następnie w Pagrižuvis na Litwie, wykładowca Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Instytutu Studiów nad Rodziną ATK, Wydziału Teologicznego »Bobolanum«, Prymasowskiego Studium Życia Wewnętrznego oraz długoletni duszpasterz akademicki.

Msza św. rozpocznie się w środę, 4 marca, o godz. 13.00 w kaplicy Św. Andrzeja Boboli przy ul. Rakowieckiej 61 w Warszawie. Kondukt pogrzebowy do grobowca jezuitów wyruszy od IV bramy cmentarza na Powązkach.

WSPÓŁBRACIA ZAKONNI

24 lutego 1987 roku zmarł
Ś. † P.
ks. JÓZEF MAJKOWSKI
jezuita
wilnianin z wyboru, przyjaciel każdego człowieka, żołnierz Armii Krajowej, w czasie okupacji niemieckiej więzień na Łukiszkach.
Z bólem żegnają Go
BYLI WYCHOWANKOWIE GIMNAZJUM OJCÓW JEZUITÓW W WILNIE.

24 lutego 1987 roku
zmarł w 72 roku życia,
Ś. † P.
ks. JÓZEF MAJKOWSKI
jezuita
człowiek wielkiego serca, wyrozumiały spowiednik, przez trzydzieści lat duszpasterz akademicki w Ośrodku Św. Andrzeja Boboli przy ul. Rakowieckiej, najukochańszy opiekun studiującej młodzieży, z ojcowską troską wspomagający każdego.
Dzięki Ci Panie za Jego życie oraz za miłość, jaką obdarowywał bliźnich.
MŁODZIEŻ AKADEMICKA

24 lutego 1987 roku zmarł
Ś. † P.
ks. JÓZEF MAJKOWSKI
jezuita
wilnianin z wyboru, przyjaciel każdego człowieka, żołnierz Armii Krajowej, w czasie okupacji niemieckiej więzień na Łukiszkach.
Z bólem żegnają Go
BYLI WYCHOWANKOWIE GIMNAZJUM OJCÓW JEZUITÓW W WILNIE.

Od góry:
studenci niosą za trumną odznaczenia o. Józefa: Krzyż Walecznych; Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Medal Armii Krajowej, Medal Wolska Polskiego.
Grobowiec Jezuitów na Cmentarzu Powązkowskim. Nazwisko o. J. Majkowskiego znajduje się na prawej tablicy, obok krzyża, jako pierwsze od góry.
Nekrologi z prasy.

W Księdze Pamiątkowej jest wiele wpisów, a tak – poniższym tekstem – pożegnała o Józefa jego bratowa – Irena: „Na pożegnanie Wielkiego Jezuity przyszło dużo ludzi; nie tylko z Warszawy; licznie przybyli wychowankowie z Ośrodka, a ich „Cantilena" prowadzona – tak jak kiedyś – przez Gabrysię, stworzyła niepowtarzalny nastrój, wykonując pieśni autorstwa o. Józefa, czym niebywale wzmocniła modlitewny nastrój uroczystości. Wtedy to okazało się jeszcze raz, jak charyzmatyczna była Jego osobowość.

Janusz Majkowski

Jestem synem Ziemi Makowskiej - rzecz o Jerzym Przybylskim

Artur GRABOWSKI

Wprowadzenie

Opracowanie niniejsze powstało pierwotnie w 2007 roku. Stanowi wywiad profesora Jerzego Przybylskiego dla Andrzeja Drzewieckiego, który opublikował go w książce „Profesura z morzem w tle", wyd. Adam Marszałek, Toruń 2007, s. 293–321.

Niniejszy artykuł zawiera jednak oprócz ww. tekstu znaczną ilość zdjęć z archiwum rodzinnego prof. Przybylskiego.

Czytając zdania poniżej napisane, widzimy że los pana Jerzego nie oszczędzał. Wczesna śmierć matki, tułaczka po dalszej rodzinie, a wszystko to wplecione w okrutne lata niedostatku i niepewności II wojny światowej. Później, jaszcze jako dziecko staje się dorosły. Ta konieczność, a potem chyba już wewnętrzna potrzeba samodzielności, splata się z powstawaniem PRL-u. Państwa zupełnie innego niż Polska przedwojenna i raczej nie takiego, jakiego Polacy przez okres okupacji niemieckiej sobie życzyli. Państwa w którym szczytne idee czasem wprowadzano w życie, ale częściej brutalnie je topiono w kłamstwie.

Nasz bohater w tych warunkach, własną pracą, determinacją i talentami zbudował szacunek wokół siebie – niewielu to się udało! Pan Jerzy nie narzeka, a podejmuje decyzje i wytrwale je realizuje, choć łatwo nie jest – czyni tak do dziś.

Warto młodym Polakom pokazać w szczegółach jego drogę życiową, by mieli co naśladować, i by w przyszłości i ich otaczał szacunek, jak bohatera tej opowieści.

Sławomir Rutkowski
Redaktor Wydania

Jerzy Przybylski mówi o sobie, że jest synem Ziemi Mazowieckiej, i nadal mimo upływu lat odczuwa i podkreśla swoje głębokie związki z nią.

Jerzy Przybylski. Zdjęcie do legitymacji pracownika „Służba Polsce" - dalej „SP", 1950 r.

Urodził się 20 stycznia 1935 roku w Sielcu Starym, gmina Rzewnie, powiat makowski, w rodzinie chłopskiej. Jak na historyka przystało, od razu dodaje, że wychowywał się w uroczym zakolu rzeki Narwi, gdzie w latach drugiej wojny światowej znajdował się słynny Przyczółek Różański II Frontu Białoruskiego. Miał zaledwie dwa lata gdy zmarła Jego matka. Ojciec powtórnie ożenił się w 1938 roku. Sytuacja rodzinna Jerzego była dość skomplikowana. Miał przyrodnią, starszą siostrę z pierwszego małżeństwa mamy i tak we czworo mieszkali do 1939 roku.

Bieda, która na Mazowszu była zjawiskiem dość powszechnym, nie ominęła również rodziny Przybylskich. Spotęgował ją jeszcze wybuch wojny, która w poważnym stopniu zniszczyła i tak kruche podstawy egzystencji miejscowej ludności. Gdy okazało się, że druga żona ojca spodziewa się dziecka, Jerzy wraz z przyrodnią siostrą zamieszkali u rodziny ojca, w miejscowości Rozdziały, powiat pułtuski. Przebywali tam przez całą zimę. Wiosną 1940 roku powrócili do domu rodzinnego w Sielcu Starym. Profesor wspomina, że były wówczas podejmowane próby zorganizowania szkoły dla miejscowych dzieci, ale stały temu na przeszkodzie względy administracji okupacyjnej. Powiat makowski był wcielony do rejencji ciechanowskiej, w której Niemcy zlikwidowali w ogóle szkolnictwo polskie, a nie otworzyli własnych szkół, prześladując wszystkich, którzy próbowali się zajmować jakąkolwiek nauką.

Rejencja Ciechanowska – szkic poglądowy. Źródło: Wikipedia

Z kursantami Centrum Szkolenia „SP" na akcji wyborczej do Sejmu w Olsztynie, X 1952 r.

Jerzy Przybylski /z prawej/: 14 brygada „SP” – Nowy Bytom, z kierownikiem kadr Jarczykiem, 1951 r.

Jerzy Przybylski /z lewej/. 14 brygada „SP” – W środku szef sztabu brygady, 1951 r.

Jerzy Przybylski /z lewej/. Centrum Wyszkolenia „SP” – starsi wykładowcy: z lewej: Antoni Żurawski, z prawej: Adam Adamczyk, Stalinogród – Bugla, 1954 r.

Z lat okupacji, w pamięci Profesora głęboko utkwił problem lokalnej społeczności żydowskiej, szacowanej na około sześć tysięcy osób, która prawie w całości została wymordowana, bądź trafiła do obozów koncentracyjnych. Z przekazów rodzinnych wie, że były w powiecie podejmowane próby działalności konspiracyjnej pod różnymi sztandarami, od Służby Zwycięstwu Polsce przez ZWZ, aż po Bataliony Chłopskie i Armię Krajową oraz NSZ. Źródłem informacji o tym był wujek Profesora, Józef Gregorek, przedwojenny podoficer, aktywny uczestnik lokalnej konspiracji. Dopełnieniem obrazu życia w warunkach okupacji był dość powszechnie występujący, wbrew zakazom, handel i przemyt. Sprzyjała temu bliskość granicy pomiędzy Generalnym Gubernatorstwem a Rejencją Ciechanowską. Lokalni chłopi, w tym i ojciec Profesora, mając nadwyżki żywności, zwłaszcza pochodzące z nielegalnego uboju, przemycali je przez granicę, a stamtąd do Warszawy, gdzie wymieniali ją przede wszystkim na odzież i obuwie.

Jerzy Przybylski. Wraz z koleżankami i kolegami wykładowcami Centralnego Ośrodka Szkolenia PO „SP” w Zawierciu, zima 1954 r.

Jak wspomniano wcześniej, niepowodzeniem skończyły się próby zorganizowania miejscowej szkoły. Niemniej jednak, przynajmniej kilka razy udało się zebrać dzieciaki na podwórku lub w mieszkaniu Państwa Knochowskich, gdzie uczyły się czytać i pisać. Pikanterii dodaje fakt, że owo mieszkanie sąsiadowało z zabudowaniami sołtysa, u którego częstymi gośćmi byli niemieccy żandarmi. Sołtys podejmował ich alkoholem, a w tym czasie dzieciaki uczyły się w małych grupach. Oczywiście nie była to nauka zorganizowana według reguł obowiązujących na tajnych kompletach, opisywanych w różnych wspomnieniach, ale będąc zaledwie namiastką edukacji, pozwalała stawiać pierwsze kroki w czytaniu i pisaniu.

W maju 1944 roku, w pasie nadnarwiańskim Niemcy przystąpili do budowania linii umocnień, do czego zatrudniono tysiące mieszkańców kilku okolicznych powiatów, a także osób dowożonych z innych rejonów. Dla Jerzego i jego rówieśników był to ciekawy czas, z jednej strony poznawania wojny, z drugiej zaś doświadczenia jej okropności. Pamięta, że pola minowe i zasieki z drutu kolczastego oraz inne umocnienia obronne budowali saperzy ukraińscy, którzy przeszli w stronę Wehrmachtu. Wówczas to po raz pierwszy dotknął prawdziwego karabinu, wespół z innymi uczył się śpiewu piosenek okupacyjnych, docierających między innymi z Warszawy, a które wskazywały, że powoli, ale jednak klimat okupacji zmienia się. Nieśmiało mówiono o klęsce Hitlera i zwycięstwie Polski. Oczywiście dzieciarnia nie rozumiała tego wszystkiego, ale ta przedziwna atmosfera wciągała wszystkich.

Podstawowym zajęciem, do którego angażowano nieletnich było wypasanie krów, również według zasad ściśle określonych przez okupanta. Ich łamanie pociągało za sobą kary cielesne oraz finansowe nakładane na gospodarza. Ponadto dzieciarnia ganiała za szmacianą piłką, bo innej nie było, a zimą, szusowała po Narwi, na własnoręcznie wykonywanych łyżwach. Buty wytrzymywały podobny eksperyment, bowiem były wykonane przez miejscowych szewców z przemyconej przez granicę skóry. Prawie, że obowiązkiem społecznym starszych mieszkańców było zbiorowe spożywanie alkoholu, który Niemcy przydzielali za obowiązkowe dostawy. Jeśli spotykała się grupa mieszkańców i pili alkohol, byli traktowani jako „normalni”, jeśli natomiast spotkanie odbywało się bez wódki, wówczas było traktowane w kategoriach działalności konspiracyjnej i podlegało wszelkim możliwym represjom.

Obowiązkowe były nie tylko dostawy żywności, ale również kamieni, które Niemcy używali do budowy dróg i umocnień. Na każdego gospodarza nałożony był ściśle określony tonaż, z którego musiał się wywiązać. W prawdziwej konspiracji hodowano zwierzęta na własny użytek, bo te „oficjalne” były ściśle zaewidencjonowane i kolczykowane.

W lipcu 1944 roku, wobec nadciągającego frontu ze wschodu, Niemcy zarekwirowali wszystkie łodzie okolicznym mieszkańcom, aby uniemożliwić Rosjanom korzystanie z tych środków przeprawowych. Jerzy i jego rówieśnicy, zaabsorbowani taką ilością łodzi, postanowili sobie, wbrew obowiązującym zakazom kilka razy popływać na Starej Narwi. W ramach przygotowań do obrony, Niemcy wycięli w pień wszystkie pojedyncze drzewa na prawym brzegu Narwi, aby oczyścić przedpole i poprawić widoczność. Część terenu nad Narwią została zaminowana, a przekonano się o tym gdy niejedna owca czy krowa wyleciała

Jerzy Przybylski /pierwszy z prawej/. Centralny Ośrodek Szkolenia instruktorów KO w Gdańsku, listopad 1952 r.

Wykładowca Centralnego Ośrodka Szkolenia PO „SP" w Zawierciu wraz z oficerami i pracownikami tego ośrodka, zima 1954 r.

Jerzy Przybylski. W grupie wykładowców CW PO „SP" na zajęciach z WF w Stalinogrodzie – Bugla, 1954 r.

Jerzy Przybylski /z lewej strony w ubraniu cywilnym/ po rozgrywkach sportowych, Zawiercie, kwiecień 1954 r.

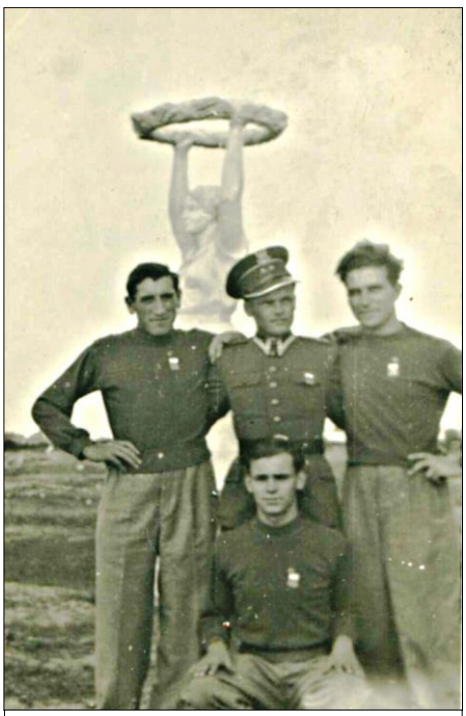

Jerzy Przybylski /najniżej/. V Światowy Festiwal Młodzieży w Warszawie z por. Rutkowskim oraz stojącym z prawej strony Adamem Adamczykiem, a z lewej „Rakieciem". Jerzy w ubraniu pracownika brygady festiwalowej, Warszawa, sierpień 1955 r.

w powietrze. W takim napięciu przyszło żyć mieszkańcom okolicznych wsi przez cały lipiec i sierpień. W dniu 3 września żandarmeria niemiecka wysiedliła całą wioskę, do lasu nazwanego przez miejscowych Krasieniakiem (dawniej prywatna własność Krasińskich) w którym przebywali do 12/13 września, wraz z całym swoim dobytkiem. W tym czasie trwało w Warszawie powstanie. Pamięta jak starsi rozmawiali o tym wydarzeniu, ale był on zbyt młody, aby zrozumieć jego sens polityczny.

Przez całe lato 1945 roku, z uwagi na brak środków do życia, Jerzy zajmował się pasaniem bydła u jednego z gospodarzy w miejscowości Ulaski. W zamian za to rodzina Przybylskich otrzymywała zboże, które pozwalano jej egzystować.

Nadszedł wrzesień, czas było pójść do szkoły, a Jerzy dalej pomagał w pracach gospodarczych. W październiku, władze powiatowe, wspólnie z salezjanami, którzy w miejscowości Jaciążek posiadali swój majątek, postanowili zorganizować dom dziecka dla tej części młodzieży, która miała szczególnie trudne warunki materialne. W takich to okolicznościach Jerzy trafił do organizowanego domu dziecka, w którym znalazło schronienie i naukę ponad 150 dzieci ziemi makowskiej, w wieku od dziesięciu do piętnastu lat. Cała ta grupa chłopców i dziewcząt była opóźniona w nauce z powodu wojny. W zaistniałej sytuacji, począwszy od zimy 1945 roku do końca roku szkolnego w czerwcu 1946, systemem przyspieszonym, ale bardzo intensywnym, przeznaczającym po trzy miesiące na każdą klasę, każde dziecko skończyło trzy oddziały szkoły podstawowej.

Ponieważ ten dom prowadzili ojcowie salezjanie, to dopełnieniem nauki było intensywne życie i wychowanie religijne. Dzień rozpoczynał się pobudką o godzinie 6.00, a następnie o 6.30 Msza święta, o 7.15 śniadanie z modlitwą lub czytaniem fragmentu Pisma Świętego. Od 8.00 do godziny 11.45 trwały zajęcia. Następnie do godziny 12.15 była przerwa na Anioł Pański, nauka do 14.30, obiad, godzina sportu lub odpoczynku. Od 17.00 – 19.00 nauka własna pod kierunkiem księdza, po nauce do kościoła, na kolację, przygotowanie do snu i tak codziennie. Oczywiście młodzieńcy byli również ministrantami. Profesor wspomina, że warunki żywieniowe w porze zimowej były niezwykle ciężkie. Często podawano na obiad przemarznięte ziemniaki, podobnie było z kapustą, a do tego dochodziły nieświeże wędliny.

W kolejnym roku 1946/47 przerobiono materiał dwóch klas, czwartej i piątej, w roku 1947/48 ponownie dwie klasy, szóstą i siódmą i w ten sposób w 1948 roku wręczono młodzieży świadectwa ukończenia szkoły podstawowej. W tym miejscu trzeba wyjaśnić, że świadectwo ukończenia siedmiu klas było firmowane przez szkołę podstawową w Jaciążku.

We wrześniu 1949 roku, nie chcąc dalej egzystować w domu dziecka, grupa siedmioosobowa, w której znalazł się również Jerzy, postanowiła samowolnie go opuścić i pieszo udała się do Warszawy w poszukiwaniu innego świata. Po drodze, na pierwszy nocleg

zatrzymali się w Pułtusku, w komisariacie milicji, ponieważ nie mieli gdzie spać. Dalej szli do Wyszkowa i stamtąd kolejką wąskotorową dojechali do stolicy. Tu sytuacja się powtórzyła, po zwiedzeniu zniszczonej Starówki, kolejną noc spędzili na komisariacie przy ulicy Karowej. Następnego dnia wszystkich przepytano na okoliczności i odwieziono do Jaciążka. W ten sposób stali się grupą odszczepieńców, odpowiednio napiętnowaną i osadzoną za wszelkie odstępstwa od regulaminu wewnętrznego. Po raz pierwszy Jerzy zetknął się z terminologią „czerwony", a ponadto Profesor dodaje subtelnie do zrozumienia, że nad atmosferą domu dziecka ciążyło to, co dziś nazywa się molestowaniem, czy innym wykorzystywaniem. Pojawiły się również inne okoliczności wynikające z zawartych porozumień między państwem i kościołem, na mocy których Salezjanie tracili posiadany majątek, a dom dziecka miał przejść pod kuratelę państwową i tak się stało.

Jerzy Przybylski. Starszy wykładowca Centralnego Ośrodka Szkolenia „SP" wraz z kolegami, jesień 1954 r.

Dnia 25 kwietnia 1950 roku rozpoczął się wiosenny turnus pracy w brygadach Służby Polsce[1] (dalej „SP"), po ukończeniu którego można było pójść do innych szkół zawodowych. Ta informacja spowodowała, że cała poprzednia grupa, tym razem ku zadowoleniu księży salezjanów, ponownie opuściła dom dziecka w poszukiwaniu swojej szansy. Profesor z naciskiem podkreśla, że opuszczali dom dziecka w poszukiwaniu przygody, nie kierowały nimi jakiekolwiek przekonania polityczne, a tym bardziej względy ideologiczne, którymi dziś tak chętnie obarcza się tamto pokolenie młodzieży. Taki splot różnych okoliczności spowodował, że Jerzy Przybylski znalazł się w 14 Brygadzie SP w Nowym Bytomiu.

Profesor wyjaśnia zasady naboru do podlegającego do końca swojego istnienia Ministrowi Obrony Narodowej „SP". Podkreśla, że do 1953 roku miał on charakter obowiązkowy i ochotniczy. Każdy chłopiec, który ukończył 16 lat otrzymywał kartę wcielenia jako do wojska, najpierw na komisję lekarską i ta dopiero orzekała o zdolności do służby. W brygadach „SP" były bardzo rozbudowane wszelkie formy przodownictwa i współzawodnictwa, w których młodzież chętnie uczestniczyła, a które mobilizowały do zwielokrotnionego wysiłku. W tygodniu było pięć dni pracy i jeden dzień szkolenia wojskowego. Karabiny poniemieckie, oczywiście z przewierconą komorą nabojową dla celów bezpieczeństwa.

Każdy junak odbywał dwukrotne strzelanie. W niedzielę można było „wyżyć" się społecznie, zgłaszając się ochotniczo do pracy w kopalni. W ten sposób miał okazję być dwunastokrotnie w różnych kopalniach i zasmakować górniczego chleba (m.in. „Polska", „Halemba", „Wirek", „Wujek"). Program dnia przewidywał osiem godzin pracy, dużą dawkę sportu, a także wszelakiej propagandy. Różne ograniczenia życia kulturalnego wynikały z zakwaterowania w namiotach. Atutem było wyżywienie, którego w takiej ilości i jakości, ani wcześniej, ani później już Profesor nie spotkał. W tej brygadzie młody Przybylski zatrzymał się na dłużej, do Jaciążka nie chciał wracać, do domu nie miał po co, a krawcem nie był. Wymyślił zatem, że pójdzie do szkoły oficerskiej, ale dopatrzono się, że jest zbyt młody, porządny szef kompanii, dostrzegając problem swego podwładnego, zdecydował pozostawić go na kolejne dwa turnusy.

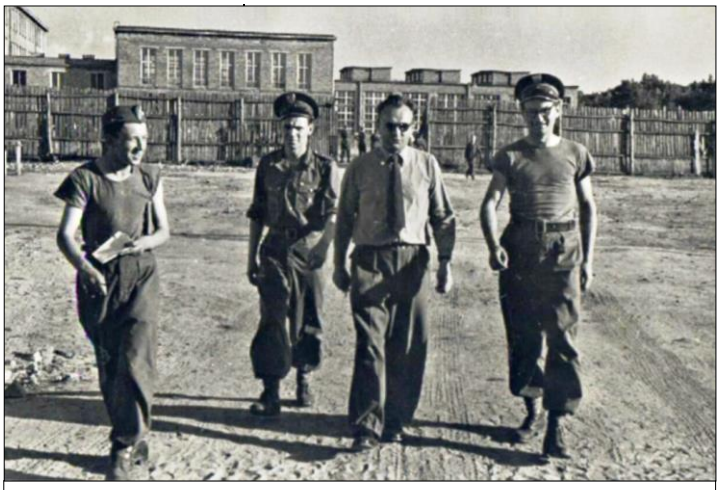

Jerzy Przybylski. Pracownik sekcji kadr brygady festiwalowej „SP" na terenie Technikum Łączności przy ul. Okopowej, Warszawa, lipiec '55

Jesienią 1950 roku wszystkich, którzy tak jak Jerzy Przybylski nie mieli dokąd wracać, zebrano w Świętochłowicach (ok. 100 osób) i zaczęto przygotowywać spośród nich kadry dla brygad „SP" pracujących w 1951 roku. W ten sposób trafił do Śremu, gdzie mieściło się Centrum Szkolenia Powszechnej Organizacji Służba Polsce, gdzie w okresie od 5 stycznia do 15 kwietnia 1951 roku ukończył kurs lektorów brygad „SP". W 17. roku życia został odpowiedzialny za edukację polityczną junaków 14 brygady „SP". 15 listopada, kiedy 14 brygada została rozformowana, został skierowany do pracy w charakterze instruktora w Centralnym Ośrodku Szkolenia Powszechnej Organizacji „SP" w Zawierciu, gdzie szkolono kandydatki na dowódców brygad „SP" pracujących w PGR-ach. W każdym bowiem powiecie, na Ziemiach Zachodnich i Północnych, na każdy zespół PGR-ów była wówczas organizowana jedna brygada licząca 150-200 junaczek. Dla tychże dziewcząt kursantek COS PO „SP", Przybylski organizował zajęcia kulturowo-oświatowe. Trwało to do końca 1952 roku. Pamięta, że wówczas rozpoczynała się ogólnopolska dyskusja na konstytucją.

W 1952 roku, po wykonaniu zadania ośrodek zlikwidowano, a Przybylskiego i innych zatrudnionych w nim instruktorów, skierowano do pracy w Centrum Szkolenia Powszechnej Organizacji „SP" na stanowisko instruktora-wykładowcy, które wówczas zostało przeniesione ze Śremu do Katowic. Przez całe lato szkolono tam kadrę dla komend: gminnych, powiatowych, wojewódzkich oraz brygad rolnych i przemysłowych PO „SP". We wrześniu 1952 roku Jerzy Przybylski wraz z grupą kursantów został oddelegowany na teren województwa olsztyńskiego, gdzie byli zobowiązani do prowadzenia agitacji na rzecz wyborów do Sejmu PRL. Jak wspomina, celem nadrzędnym tego działania było zachęcenie (skłonienie) mieszkańców do 100% głosowania na listę Frontu Jedności Narodu, a dodatkowo bez skreśleń. Podejmowano wszelkie możliwe działania, aby ów cel osiągnąć. Wyniki jakie wówczas publikowano, oddawały klimat tego przedsięwzięcia. Profesor dodaje, że wybory były przed (na etapie typowanie kandydatów), a głosowanie tylko utwierdzało rządzących w trafności powziętych decyzji.

Sierż. pchor. Jerzy Przybylski z żoną Krystyną, zabawa sylwestrowa, Świnoujście 1963 r.

Powoli SP wygaszano, definitywnie zakończyła ona swój żywot w 1955 roku. Profesor dodaje, ze ówczesna władza imała się różnych sposobów w celu zaktywizowania, zwłaszcza młodzieży. Przywołuje w pamięci akcję Związku Młodzieży Polskiej z 1954 roku, polegającą na pionierskim zaciągu młodzieży do pracy w PGR-ach. Na apel Zarządu Głównego ZMP odpowiedziało wówczas około 25 tysięcy młodzieży z różnych miast Polski. Po pierwszych jesiennych doświadczeniach przy pracach polowych, wyjechało z powrotem blisko 85% ochotników, co spowodowane zostało między innymi złymi warunkami bytowymi. Młodzież spała na piętrowych łóżkach, w pomieszczeniach nieogrzewanych. Warunki te, jak podkreśla Profesor, trudno jest opisać, ale sytuacja spowodowana było brakiem rąk do pracy w PGR-ach.

W maju 1955 roku pracowników CO „SP” skierowano do Warszawy. Tam zorganizowane zostało miasteczko namiotowe, a w nim brygada „SP”. Jerzy Przybylski był wówczas kierownikiem personalnym, dlatego też bezpośrednio uczestniczył w przygotowaniach Piątego Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów.

W taki sposób dobiegła końca przygoda Jerzego Przybylskiego z „SP”. Tu pojawia się bardzo osobisty wątek Profesora. W „SP”, w 1945 roku, w czasie przygotowania pokazu sportowego w Warszawie, poznał swoją przyszłą żonę, która, podobnie jak On pracowała tam w administracji, będąc do niej oddelegowaną z Komendy Głównej PO „SP”, gdzie była zatrudniona w jej oddziale organizacyjnym.

W sierpniu 1955 roku wręczono wszystkim pracownikom wypowiedzenia z pracy w Powszechnej Organizacji SP, bowiem rząd podjął decyzję, że z dniem 31 grudnia SP zostaje zlikwidowana. Powrócił znany już dylemat, co dalej. Starano się ulokować przynajmniej niektórych w strukturach ZMP. Jerzy otrzymał propozycję zostania przewodniczącym zarządu powiatowego w Nowym Dworze Mazowieckim. Problemem był nieuregulowany stosunek do służby wojskowej. Nasz bohater miał ukończone zaledwie 20 lat. Do rodzinnego domu coraz częściej zaczęły docierać zawiadomienia upominające się o rekruta, nalegające, aby sam zainteresowany skontaktował się z Wojskową

Porucznik, słuchacz Wojskowej Akademii Politycznej w Warszawie – w latach 1966-1970.

tego ówczesna reorganizacja tej służby i związana z tym redukcja etatów administracyjnych. Zapadła więc decyzja, idę do wojska.

czyli następnym autobusem, obowiązek odbycia służby wojskowej, ze względu na redukcję sił zbrojnych, miałby z głowy. A tak, znalazł się w Dziwnowie, gdzie trafił do kompanii szkolnej. Oczywiście przeszedł typowe dla rekruta obowiązkowe strzyżenie, dość przypadkowy dobór umundurowania, czternastodniowy okres kwarantanny, a ponadto charakterystyczne rugowanie nawyków życia cywilnego. Najskuteczniejsza z metod prowadziła przez nogi do głowy. Na 120 poborowych wcielonych do tej kompanii, 16 było członkami partii, wśród nich Jerzy Przybylski, który taki akces do niej zgłosił w 1953 roku, wcześniej będąc członkiem ZMP. Zorganizowano tam oddziałową organizację partyjną i koło ZMP, do którego należało około 60% stanu kompanii, a towarzysza Profesora wybrano na sekretarza tej organizacji. ZMP w wojsku, a przed tym w „SP” specjalizowało się głównie w dyscyplinowaniu swoich członków, pobudzaniu ich do przodownictwa w pracy i szkoleniu oraz aktywności w życiu społecznym.

Pierwszym poważnym przeżyciem Jerzego w służbie była przysięga wojskowa, na której to dostąpił zaszczytu wystąpienia w imieniu kolegów, zapewniając obecnych, że będą zdyscyplinowani, karni i posłuszni woli przełożonych. Nie był to oczywiście autorski tekst, gdyż rodził się pod okiem dowódcy kompanii szkolnej i zastępcy ds. politycznych.

Z referatem o Wojsku Polskim w brygadzie saperów Bułgarskiej Armii Ludowej, referat czyta w języku bułgarskim zastępca dowódcy brygady, sierpień 1985 r.

Kapitan w czasie wizyty ORP „Gryf” w Leningradzie, wrzesień 1973 r.

Komendą Uzupełnień w Pułtusku. Wiedząc o tym, że służba wojskowa, przynajmniej wówczas nikogo nie ominie, Jerzy postanowił, po rozliczeniu się z Centralnym Ośrodkiem Szkolenia SP, pobraniu pensji za wrzesień i październik, powrócić do swojego rodzinnego domu.

Od kolegów, którzy pracowali w Makowie Mazowieckim, między innymi w miejscowym komitecie partyjnym i likwidowanej komendzie powiatowej „SP” dowiedział się, że poszukują pracowników kulturalno-oświatowych do reorganizowanego wówczas Komitetu Bezpieczeństwa. Złożył więc wymagane przepisami dokumenty, bowiem wcześniej przyjmowano do tej instytucji mężczyzn bez potrzeby odbycia prze nich zasadniczej służby wojskowej. Jednak w roku 1955 przepisy w tej kwestii uległy zmianie, między innymi przyczyniła się do

W październiku stawił się na komisję wojskową, która uznała go za zdolnego do służby i otrzymał kartę wcielenia na 4 listopada. Wtedy poborowy nie wiedział do jakiej formacji trafi, decyzja podejmowana w późniejszym terminie przez oficerów WKU w Pułtusku. Pod koniec października, z nieznanych Mu powodów, odroczono termin powołania i polecono zwrócić kartę wcielenia. W połowie listopada przyszło powiadomienie, aby zgłosił się ponownie po kartę powołania. Po latach stwierdza, że miał wyjątkowego pecha. Zbytnio przejęty wezwaniem, wyjechał z domu bardzo wcześnie, aby zdążyć na czas do WKU. W tym dniu na dwustu poborowych, tylko dziewięćdziesięciu wcielono do wojska, z tego pięćdziesięciu do 3 batalionu piechoty morskiej w Dziwnowie. Jego pech polegał na tym, że gdyby przybył do WKU dwie godziny później,

Rozpoczęło się dziesięciomiesięczne, intensywne szkolenie, mówiąc inaczej, ciężkie życie. Jak pamięta tylko jeden z kolegów zapracował na areszt, który był tak uciążliwym, wręcz morderczym doświadczeniem, że starano się go uniknąć za wszelką cenę. W tamtych latach powszechnym zjawiskiem były najwymyślniejsze ćwiczenia i „zabiegi”, które jednym dostarczały uciechy, innych zaś odzierały z godności. Profesor uważa, że literatura poświęcona temu zagadnieniu zaledwie dotyka natury zjawiska zwanego falą, która przez ówczesnych kaprali była zwana rozrywką kulturalną. Poza szorowaniem różnymi środkami korytarzy, ubikacji i łazienek, czy to szczoteczką do zębów, czy też innymi metodami, sięgano po bardziej wymyślny arsenał rozrywek, jak chociażby strzelania z moździerza.

W maju 1957 roku, kiedy Jerzy był już kapralem i ćwiczył młode wojsko, według części reguł wcześniej poznanych, zaproponowano mu pozostanie w wojsku w charakterze żołnierza zawodowego. W między czasie rozwiązano ZMP, a zatem nie miał dokąd wracać. Wyraził na to zgodę, tym bardziej, że przełożeni roztaczali przed nim perspektywę zostania oficerem, a wówczas taka możliwość była, przynajmniej do końca 1957 roku, za wzorową służbę wojskową. Pozostanie w służbie nie wynikało z jakichś szczególnych predyspozycji, czy zamiłowania do tego zawodu, ale dynamicznie zmieniające się okoliczności, które nakazywały chwytać każdą okazję, zapewniającą warunki do życia.

Kmdr Przybylski przekazuje zastępcy komendanta AMW ziemię przywiezioną osobiście z Katynia w maju 1988 r.

Dalsza służba Jerzego Przybylskiego miała miejsce w Bazie Marynarki Wojennej w Świnoujściu, dokąd przybył w lipcu 1957 roku. Wreszcie otrzymał mundur marynarski, w miejsce dotychczas zielonego i zameldował się jako mat do służby w wydziale politycznym, na etatowym stanowisku oficerskim. Najpierw otrzymał kwaterunek na Komendzie Garnizonu, a następnie w Klubie Garnizonowym. Dnia 1 października został podoficerem nadterminowym. W 1958 roku wszyscy nadterminowi stali się żołnierzami zawodowymi. Wówczas to doszedł do przekonania, że trzeba się dalej uczyć. I tak też uczynił, złożywszy odpowiednie podanie do V Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących w Szczecinie. W roku 1960 uzyskał maturę. Był już wówczas od dwóch lat żonaty, ponieważ 23 stycznia 1958 roku, w Urzędzie Stany Cywilnego na Mokotowie w Warszawie, zawarł związek małżeński z Krystyną, którą poznał kilka lat wcześniej, jeszcze w latach pracy w „SP".

Po uzyskaniu świadectwa maturalnego, zaczął coraz intensywniej zabiegać o możliwości dalszej wojskowej edukacji. Skłaniał się w stronę Wojskowej Akademii Technicznej. Wiosną 1961 roku wziął udział w kursie przygotowawczym do tej uczelni, trwającym dwa miesiące w systemie stacjonarnym. Przypomina sobie, że z całych sił zbrojnych przygotowywało się około 200 oficerów i podoficerów, z tej grupy miano zakwalifikować 120. Nie czuł się najmocniej z matematyki, zresztą nie on jeden. To chyba zdecydowało, że zrezygnował z dalszego ubiegania się o przyjęcie do Akademii. Wkrótce, wskutek szczerej rozmowy ze swoim przełożonym doszedł do wniosku, że jego powołaniem nie jest technika, ale praca z ludźmi.

Po awansie na stopień komandora na pokładzie Muzeum ORP „Błyskawica", obok stoją, od lewej: kmdr Leonard Budniak (z Gnojna) i kmdr Tomaszewski, Gdynia 12 październik 1985 r.

Dnia 1 września 1966 roku rozpoczął studia w wspomnianej wcześniej Akademii, na Wydziale Historyczno-Politycznym. Pewnie Profesor zadziwi niektórych, ale uważa, że tak antysystemowo nastawionych nauczycieli akademickich, nie było w żadnym innym środowisku. Doskonale zaopatrzona czytelnia i biblioteka, w których można było znaleźć i czytać wszystko, co tylko wydano na Zachodzie. Powszechnym zjawiskiem było słuchanie po godzinie 23.00 rozgłośni Radia Wolna Europa. W Akademii dość szybko poznano się na Jego zainteresowaniach historią najnowszą, a zwłaszcza historią wojska. Zapisał się na seminarium magisterskie prowadzone w Katedrze Historii Wojskowej, której kierownikiem był wybitny historyk prof. Stanisław Herbst. Podjął temat dotyczący *Wojskowej roli Warszawy w Powstaniu Styczniowym*, który analizował pod naukowym kierunkiem prof. Leonarda Ratajczaka. Pracę magisterską obronił na ocenę bardzo dobrą, chociaż studia ukończył z ogólną oceną dobrą.

Klub Wojska Polskiego za Żelazną Bramą w Warszawie. Kmdr Przybylski otrzymuje medal za wybitne osiągnięcia w służbie wojskowej z rąk prezesa Rady Ministrów gen. Wojciecha Jaruzelskiego, lipiec 1982

Dalszą swoją przyszłość chciał wiązać ze szkolnictwem wojskowym. Między innymi taka szansa pojawiła się w Szkole Łączności w Zegrzu. Gdy zostały poczynione w tym kierunku odpowiednie kroki, nagle o swojego oficera upomniała się Marynarka Wojenna i to w dość nietypowy sposób. Albo dobrowolnie powróci do macierzystego rodzaju sił zbrojnych, albo i tak zostanie przywołany do porządku, ale z jednoczesnym skierowaniem ponownie do Świnoujścia. W Marynarce Wojennej, a konkretnie w dowództwie, przewidywano dla niego stanowisko starszego instruktora młodzieżowego w Zarządzie Politycznym i jednocześnie sekretarza Rady Młodzieżowej. Objął „gospodarstwo" liczące ponad 7 tysięcy członków KMW, później Związku Socjalistycznej Młodzieży Wojskowej i pełnił tę funkcję do 1974 roku. Wykorzystując swoje doświadczenie wyniesione z „SP" i ZMP, troszczył się o właściwe stosunki międzyludzkie wśród marynarzy służby zasadniczej. Zwalczał tzw. falę i inne niedorzeczności występujące w służbie wojskowej. Skończywszy 35 lat uznał, że wyrósł z wieku młodzieżowego i zwrócił się do przełożonych o nowy przydział służbowy. Tworzono wówczas nową jednostkę – Grupę Okrętów Hydrograficznych i tam został skierowany na stanowisko zastępcy dowódcy. W ten sposób wszedł w struktury jednostek Oddziału II Sztabu MW. Pełnił służbę na okrętach rozpoznania OORP (Okrętach Rzeczypospolitej Polskiej): „Bałtyk", „Nawigator" i „Hydrograf". W tym charakterze pełnił służbę do sierpnia 1975 roku. Na okrętach desantowych i hydrograficznych spędził łącznie ponad 250 dni w morzu. To wówczas rozpoczął intensywne prace nad doktoratem, gdyż uznał, że nadszedł czas, aby pójść do pracy (służby) w szkolnictwie. początkowo jego badania naukowe były ukierunkowane na młodzież i jej rolę w ruchach Narodowo-wyzwoleńczych, od powstania

styczniowego do wybuchu pierwszej wojny światowej. Z czasem, obszar zainteresowań uległ całkowitej zmianie. W dowództwach okręgów wojskowych i rodzajów sił zbrojnych powoli dojrzewa koncepcja przygotowania i opracowania ich najnowszej historii. Podobnie było w Marynarce Wojennej. Jeśli jej historia okresu międzynarodowego była podejmowana dość często, to okres po 1945 roku stanowi teren absolutnie nieznany. Zarówno dowództwo Marynarki Wojennej, jak i ministerstwo byli zainteresowani tym, aby odpowiednio przygotowany oficer podjął ten temat. Wszelkie poszlaki wskazywały na absolwenta Wojskowej Akademii Politycznej – kpt. Jerzego Przybylskiego, który na poziomie magisterium pokazał, że analiza historyczna nie jest mu obca. W ten sposób otrzymał zgodę na kontynuowanie nauki. Od 1975 roku zaczął zajmować się historią Polskiej Marynarki Wojennej. Szczegółowo analizował MW w latach 1949-1956 i jak sam podkreśla, na poważnie zaczął uczyć się historii. Nie wystarczała sama obserwacja, trzeba było żmudnych badań i analiz, pozwalających zrozumieć miejsce i rolę Marynarki Wojennej w systemie obrony państwa, a nie tylko granicy morskiej. Mając sprecyzowany temat, *Marynarka Wojenna w obronie Wybrzeża w latach 1949-1956*, został przyjęty na seminarium doktoranckie na Wydziale Historyczno-Politycznym WAP i tam przygotował rozprawę doktorską. Dnia 19 czerwca 1979 roku obronił przedłożoną dysertację i uzyskał stopień doktora nauk humanistycznych. Był wówczas zastępcą dowódcy 6 pułku radioelektrycznego w Gdańsku-Oliwie, tam gdzie mieścił się obecnie Światowe Centrum Zakonu św. Brygidy i Ośrodek Analizy Przeszłości PRL, czyli gdański oddział IPN. Była to nietypowa sytuacja, bowiem wówczas ani dowódcą, ani zastępcą w żadnej z jednostek MW nie był oficer ze stopniem naukowym doktora.

Na imieninach u ks. Henryka Jankowskiego, Gdańsk, styczeń 1991 r.

Z powyższych względów dalsza służba w linii nie wchodziła w rachubę. Został wyznaczony na stanowisko starszego pomocnika kierownika Muzeum MW. Jednocześnie otrzymał polecenie przygotowania dwóch rozdziałów dotyczących MW do tzw. *Dzieła*, opracowania poświęconego historii WP. Po wykonaniu tego zadania, wyraził chęć podjęcia pracy w WSMW. Przełożeni byli jednak odmiennego zdania i uznali, że jako doktor nauk humanistycznych, powinien przejąć obowiązki kierownika Ośrodka Kształcenia Ideologicznego Klubu MW, tzw. Ordonówki (od nazwiska kmdr. Ordona – poprzedniego kierownika). Była to instytucja, pełniąca przede wszystkim rolę centrum kształcenia humanistycznego kadry MW z zakresu: prawa, pedagogiki, socjologii, historii, ekonomii i nauk wojskowych. Nawiązywał on i rozwijał kontakty naukowe z wieloma ośrodkami akademickimi, m.in. Uniwersytetem Gdańskim, Uniwersytetem Adama Mickiewicza, Uniwersytetem Mikołaja Kopernika, Wyższą Szkołą Ekonomiczną i innymi.

Z historykami Stanów Zjednoczonych Ameryki przy Grobie Nieznanego Żołnierza, Warszawa 21 maja 1990 r.

Zanim jednak przełożeni uzgodnili swoje poglądy w kwestii dalszej służby dr Przybylskiego, otrzymał skierowanie do WSMW. W 1980 roku, we wrześniu rozpoczął pracę w Instytucie Nauk Społecznych, w Zakładzie Historii Polski i Polskiego Ruchu Robotniczego. Wykładał historię polski XX wieku, historię wojskowości i historię MW. Ta naukowa przygoda trwała stosunkowo krótko, a wpływ na to miały zarówno względy natury osobistej, jak i służbowej. Trzeba przy tym pamiętać, że niepokoje społeczne, strajki, klimat poprzedzający wprowadzenie stanu wojennego rzutowały również na atmosferę w wojsku. W listopadzie 1981 roku uznano, że właściwym zamysłem byłoby skierowanie go do grup operacyjnych, które wówczas kierowano w teren w przekonaniu, że przestanie naprawiać rzeczywistość wojskową, a dodatkowo uzyska stosowne doświadczenie w pracy ze środowiskiem cywilnym. Dnia 25 listopada, zgodnie z decyzją komendanta WSMW, Jerzy Przybylski podjął obowiązki w terenowej grupie operacyjnej funkcjonującej w Gdyni.

Po dziewięciu miesiącach swojej działalności w tej grupie, w lipcu 1982 roku, wrócił do WSMW, a stamtąd, w marcu 1983 roku, został skierowany na wspomniane wcześniej stanowisko Kierownika Ośrodka Kształcenia Ideologicznego Klubu MW w Gdyni. Pracując na tym stanowisku, prowadził nadal zajęcia dydaktyczne w WSMW oraz w Ośrodku. W lutym 1987 roku został ponownie skierowany do służby w WSMW, tym razem na stanowisko docenta w Instytucie Nauk Społecznych. W 1988 roku przygotował rozprawę habilitacyjną na temat *Marynarka Wojenna PRL w latach 1956-1980 (studium historyczno-wojskowe),* która była ukoronowaniem Jego wieloletnich badań. Na podstawie tej rozprawy oraz dorobku naukowego, 25 kwietnia 1989 roku, Rada Naukowa Wojskowego Instytutu Historycznego, nadała mu stopień doktora habilitowanego w zakresie historii w specjalności najnowsza historia wojskowa.

70. rocznica urodzin prof. Przybylskiego - Jubilat otrzymuje szablę od swoich doktorantów i pracowników Instytutu Historii, którego był dyrektorem, Słupsk, 25 lutego 2005 r.

12 lutego 1990 roku Minister Obrony Narodowej, na wniosek przełożonych mianował Jerzego Przybylskiego docentem w tym Instytucie, a w październiku wyznaczył na stanowisko Komendanta Instytutu Nauk Humanistycznych Akademii Marynarki Wojennej. Uzyskanie habilitacji otworzyło przed Profesorem nowe możliwości, zarówno badawcze, jak i merytoryczne. Wiedzę i doświadczenie trzeba było komuś przekazać, nie tylko studentom, najlepszym sposobem było promowanie nauki poprzez przygotowanie kadr. Zorganizował własne seminarium doktorskie, na którym cierpliwie i metodycznie zachęcał, pomagał i wspierał oficerów zainteresowanych rozwojem naukowych w kierunku nauk humanistycznych, a szczególnie historii. Pomocne w tym było jego olbrzymie doświadczenie, a zwłaszcza to, że sam przeżył i dotknął wojny, biedy, różnych ideologii, dochodzenia do wiedzy nie zawsze najkrótszą drogą, a wszystko to hartowało Jego charakter i uczyło życiowej mądrości.

Piotr Matejuk i Jerzy Przybylski, Maków Mazowiecki, 2009 r.

Prezydent RP Aleksander Kwaśniewski wręcza dyplom profesorski dla Jerzego Przybylskiego w dniu 7 grudnia 1998 r.

Profesor Jerzy Przybylski jest cenionym popularyzatorem nie tylko historii Polskiej Marynarki Wojennej i dziejów wojskowości, ale także zagadnień związanych z rozwojem myśli morskiej oraz jej wpływem na świadomość morską i eksploatację morza, również w aspekcie pozamilitarnym. Jest członkiem, wielokrotnie wybieranym do władz, Polskiego Towarzystwa Historycznego. Przez dwie kadencje kierował gdańskim oddziałem tego Towarzystwa. Od 1994 roku jest członkiem Polskiego Towarzystwa Nautologicznego oraz Gdańskiego Towarzystwa Naukowego. W 2003 roku został członkiem Komitetu Nauk Historycznych PAN. Aktywnie udziela się w Gdańskim Klubie Współczesnej Myśli Politycznej. Jako oficer w stanie spoczynku, żyje nadal problemami Marynarki Wojennej, poświęcając swój czas na działalność w Stowarzyszeniu Oficerów MW. W 1997 roku dowódca Marynarki Wojennej powierzył Mu kierownictwo Radą Naukową w Muzeum MW. Bardzo aktywny był udział Profesora w procesie zmian dotyczących wychowania patriotyczno-obywatelskiego w wojsku. W latach 1989-1992 doprowadził do opracowania i wdrożenia w AMW nowych programów wychowania i nauczania historii podchorążych i kadetów, w oparciu o narodowe tradycje oręża polskiego.

Niezależnie od wspomnianej aktywności naukowej w latach 1990-1994 był członkiem Senatu Akademii Marynarki Wojennej, a także członkiem Rady Naukowej Wojskowego Instytutu Historycznego i Rady Wydziału Humanistycznego Akademii Obrony Narodowej. W latach 1995-2005 był członkiem Rady Naukowej Wydziału Zarządzania i Dowodzenia AMW. W 1991 roku Wiceminister Obrony Narodowej Bronisław Komorowski powołał Go do składu Rady Społecznej MON, która zajmowała się wprowadzeniem nowej organizacji nauczania i programów nauk humanistycznych w wyższym szkolnictwie wojskowym. W maju 1993 roku wygrał konkurs, a 1 stycznia 1994 roku rozpoczął pracę na stanowisku profesora nadzwyczajnego w Instytucie Historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Słupsku. W latach 1994-1996 kierował Zakładem Najnowszej Historii Polski tegoż Instytutu, a w latach 1996-1998 Zakładem Historii Wojskowej. Natomiast od września 1998 roku do lutego 2002 roku był dyrektorem Instytutu Historii WSP w Słupsku.

Rysunek kmdra Jerzego Chłopeckiego podarowany podczas pożegnania z zawodową służbą wojskową, 20 styczeń 1994 r.

Dnia 26 listopada 1998 roku Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Aleksander Kwaśniewski, na wniosek Rady Naukowej Instytutu Historii Uniwersytetu Gdańskiego, nadał Jerzemu Przybylskiemu tytuł naukowy profesora nauk humanistycznych, a w lutym 2001 roku Minister Edukacji Narodowej na wniosek rektora, poparty uchwałą Senatu, mianował Go profesorem zwyczajnym Pomorskiej Akademii Pedagogicznej w Słupsku.

Profesor Przybylski jest niewątpliwie jedną z najbardziej charakterystycznych postaci gdyńskiego, gdańskiego i słupskiego środowiska naukowego. Ceniony w każdym z wymienionych ośrodków akademickich za swoją otwartość, bezpośredniość, ale gdy trzeba, także zdecydowaną obronę swoich racji i przekonań. Posiada w dorobku naukowym ponad 100 publikacji, z których zdecydowaną większość poświęcił Marynarce Wojennej. Jako żołnierz, rozpoczynał służbę od stopnia szeregowego, przeszedł przez wszystkie stopnie do komandora włącznie. Był dowódcą, ale także „inżynierem dusz ludzkich", bo tak widzieli Go w służbie Jego przełożeni w latach 60. Ojczyzna doceniła swojego obrońcę, honorując Go m.in. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi, Złotym Medalem za Zasługi dla Obronności oraz Medalem Komisji Edukacji Narodowej.

Artur Grabowski
/Bagienice Szlacheckie/

[1] - Powszechna Organizacja „Służba Polsce" (SP) – polska państwowa organizacja paramilitarna, utworzona 25 lutego 1948 roku, przeznaczona dla młodzieży w wieku 16 – 28 lat.

Od Redaktora wydania: Profesor Jerzy Przybylski pracuje nad swoim pamiętnikiem – ja już jestem ciekaw wyników tej pracy.

Stary Sielc

Nadnarwiańska wieś i jej dzieje w ubiegłym stuleciu

prof. dr hab. Jerzy PRZYBYLSKI
opracowanie edytorsko-techniczne:
Izabela SKOWROŃSKA, Sławomir RUTKOWSKI

Wprowadzenie

Nazwa „Sielc" dla mieszkańców gminy Krasnosielc, niejako automatycznie kojarzy się z samym Krasnosielcem. Bardziej obeznani z historią lokalną stwierdzą, że przecież tak kiedyś tj. przed Krasińskimi, nazywała się właśnie stolica naszej gminy.

W tym tekście jednak nie o ten „Sielc" czy „Silc" chodzi, a o miejscowość z której wywodzi się jego autor – Jerzy Przybylski, wioski nadnarwiańskiej.

Jerzy Przybylski we własnoręcznie uszytym ubraniu, Zasadnicza Szkoła Zawodowa w Jaciążku, 1950 r.

Pan Jerzy – zdjęcie powyżej, wyemigrował z niej dawno, dawno temu. Niekoniecznie też z własnej woli. Dziś jego losy zataczają koło, bo urodzony blisko wody – nad Narwią, życie swoje związał z Marynarką Wojenną i Bałtykiem, a dziś chętnie wraca w te strony wspominając koleje swojego i swoich bliskich życia.

Sławomir Rutkowski
Redaktor Wydania

Stary Sielc posiada długą i barwną historię, na co wpływ ma jego położenie geograficzne i uzależnione od niego warunki życia mieszkającej w nim ludności.

Wieś jest położona na skarpie (wysokim prawym brzegu) koryta rzeki Narwi (dziś tzw. Starej Narwi). Na południe od rzeki na długości około 1500-2000 m ciągną się zajmujące powierzchnię prawie 4 km^2 łąki. Ich obszar jest często zalewany przez wody wezbranej wiosną rzeki. Na zachód od wsi znajdują się łąki, parowy oraz wysychające jeziora pokryte kępami olszyny, brzozy i wiklin. Na północnym skraju Sielca znajdują się pozostałości lasu, który jeszcze w XVII wieku łączył się z dużym kompleksem leśnym zwanym do dziś przez miejscowych „krasieniakiem". Przez las ten wiodą drogi z Sielca do Strachocina i Szelkowa. Na wschodnim skraju lasu położona jest znana na Północnym Mazowszu i czczona przez katolików Święta Rozalia.

Znajdujące się w okolicach Sielca rozlewiska Narwi w przeszłości sprzyjały zamieszkiwaniu na ich obszarach dużej liczby ptactwa wodnego oraz bobrów i piżmowców. Na łąkach i polach oraz w pobliskich lasach żyło też wiele dzików i zajęcy. Rosło w nich także wiele rodzajów grzybów i smacznych jagód.

Gęsto zasiedlone rozlewisko Narwi stwarzało naturalne warunki do ukrywania się w nich mieszkańców wsi zagrożonych najazdami: Prusów, Krzyżaków i Litwinów, a także Szwedów oraz podążających na wschód lub zachód drogą przez Pułtusk, Szelków, Różan, Ostrołęka (lub w przeciwnym kierunku) wojsk francuskich, rosyjskich, szwedzkich i niemieckich. W okolicach Sielca Starego i położonej na południe od niego na lewym brzegu Narwi wsi Rowy znajdowały się dogodne przeprawy dla wędrowców i zbrojnych oddziałów wojsk, o których wspominano powyżej.

W dorzeczu Narwi i Orzyca na zachód i północ od Sielca ukrywali się młodzi Mazowszanie przed rosyjską „branką" w 1863 r. oraz walczące partie powstańcze w okresie powstania styczniowego.

W Starym Sielcu i na jego łąkach oraz polach znajdowały się też niemieckie i rosyjskie linie umocnień polowych budowanych w latach I i II wojny światowej. Wieś była także świadkiem przemarszu i walk wojsk polskich i rosyjskich w sierpniu 1920 r.

W przeszłości Sielc Stary posiadał własny dwór szlachecki i przez lata był gminnym ośrodkiem administracyjnym, dzieląc się tą funkcją od drugiej połowy XIX wieku z Sielcem Nowym. Urząd gminy Sielc na początku XX wieku zachowując pierwotną nazwę został przeniesiony do Rzewnia gdzie pod tą samą nazwą funkcjonował aż do 1950 r.

Stary Sielc (wieś, pola uprawne łąki, parowy i lasy należące do jego mieszkańców) zajmuje około 4,5 km^2 powierzchni, czyli prawie 450 hektarów ziemi. Gleby stanowiące własność mieszkańców wsi zaliczane są do V, a w zdecydowanej większości do VI klasy ziemi.

W latach drugiej wojny światowej (bez kolonii - Ostrów), w Starym Sielcu znajdowało się 39 gospodarstw, w których mieszkało 42 rodziny. Liczyły one łącznie około 200 osób.

Kilku mężczyzn (7) pod dowództwem Józefa Gregorka funkcjonowało w działających w tym terenie wojskowych organizacjach zbrojnych (ZWZ, BCH, AK i NSZ). Po wojnie trzech spośród nich należało (tak mówiła szeptana poczta wiejska) do działającego na terenie powiatu makowskiego WiNu. Prowadzili oni również tzw. indywidualne walki z ówczesną władzą (o czym opowiadał autorowi jego wujek Józef Gregorek - wójt gminy Sielc w tamtych latach) polegającą na odbieraniu chłopom przydzielanych im z dostaw „UNRY" krów, których mięso sprzedawali często byłym ich właścicielom. Mimo maskowania mieszkańcy wsi łatwo ich rozpoznali ze względu na ubiór używany na co dzień. Bojownicy ci w 1947 r. za swoją rabunkową działalność byli sądzeni i przez kilka lat przebywali w więzieniach PRL. Dwóch spośród uczestników wojennego ruchu oporu, jesienią 1944 r. wstąpiło do organizowanej w gminie Sielc Milicji Obywatelskiej i strzegło bezpieczeństwa jej mieszkańców aż do połowy 1945 r.

W latach okupacji niemieckiej większość dorosłych mężczyzn – mieszkańców Sielca Starego zajmowała się handlem przenośnym żywności (głównie mięso i masło). Dostarczając ją na własnych plecach przez zieloną granicę dzielącą Rejencję Ciechanowską z Generalnym Gubernatorstwem do Wyszkowa i Warszawy. W drodze powrotnej przynoszono tą samą trasą do wsi skóry i materiały ubraniowe, które na buty przerabiał m.in. żyjący we wsi szewc Roman Szymański, a ubrania szył wujek autora Stanisław Gregorek - ówczesny mieszkaniec Sitnego. Wiosną 1943 r. schwytany przez Niemców na tej formie handlu mieszkaniec Sielca Starego Franciszek Skóra, został skierowany do Oświęcimia, gdzie wkrótce został zamęczony.

Śmierć z rąk niemieckich okupantów poniósł również uczący się na krawca we wsi Gostkowo młody 19 letni mieszkaniec Sielca - Mieczysław Gregorek syn Adama. zginął w 1943 r. w czasie przewożenia przez Narew w rejonie Gostkowa dwóch nieznanych mu uczestników jednej z mazowieckich organizacji zbrojnych.

W czasie jesiennej ofensywy 48 armii radzieckiej walczącej o rozszerzenie przyczółka różańskiego śmierć od pocisków artyleryjskich ponieśli: Michał Szymański syn Tadeusza oraz młodziutka Helena Karczewska córka Czesława. W czasie ofensywy zimowej tej armii w okolicach Przasnysza zginął sołtys Sielca Starego Władysław Knochowski. Kilku mieszkańców Sielca odniosło w tym czasie rany.

W latach 1943-44 w Starym Sielcu ukrywał się w gospodarstwie Wincentego młody Żyd (16 lat) znany pod nazwiskiem Staszek Zielonka. Wincenty Latek zatrudnił go do pasania bydła.

Wiosną i latem 1944 r. (czerwiec, lipiec, sierpień) na łąkach i polach oraz w siedliskach mieszkańców Starego Sielca Niemcy zbudowali dwa batalionowe punkty oporu, w których we wrześniu i październiku bronił się 317 niemiecki pułk piechoty przed naporem 42 korpusu piechoty 48 armii radzieckiej (organizację niemieckiej obrony w rejonie Starego Sielca zapamiętaną przez autora prezentuje mapa 1).

W okresie od 13 października 1944 r. do 21 stycznia 1945 r. na obszarach Starego Sielca było rozmieszczone stanowisko dowodzenia 42 korpusu piechoty 48 armii oraz część podległych mu jednostek bojowych i tyłowych. Mieściły sie tam wówczas: polowy szpital armijny, batalion naprawy sprzętu pancernego i samochodowego, pralnia, łaźnia i piekarnia polowa korpusu, dwa cmentarze wojenne oraz rejonowy ośrodek odpoczynku i szkolenia pułku piechoty i inne mniejsze oddziały tyłowe korpusu. Na polach Starego Sielca i Sitnego mieściło się lotnisko mieszanej dywizji lotniczej 48 armii, na którym bazowały trzy pułki samolotów (myśliwskie, bobowe i szturmowe) oraz kilka samolotów łącznikowych.

Na łąkach położonych w zakolu Starej Narwi należących do wsi: Rowy, Rozdziały i Sielc znajdował się wojenny plac ćwiczeń (strzelnice dla broni strzeleckiej i plac taktyczny) dla wojsk kierowanych w rejon Sielca na odpoczynek oraz żołnierzy przybywających za szpitali za Związku Radzieckiego na uzupełnienie jednostek 42 korpusu.

W Starym Sielcu krzyżowały się dwie główne drogi zaopatrzenia 48 armii. Były one zbudowane z pni drzewa o średnicy 15-20 cm oraz bali i desek. Po nich przemieszczały się samochody oraz ciągniki artyleryjskie i czołgi. Drogi te prowadziły: pierwsza - od Przetyczy przez Lubel, Biędużkę, Sitno i Sielc Stary do Szelkowa, i druga biegnąca od Przetyczy przez Bielino, Gostkowo do Starego Sielca i dalej po połączeniu z pierwszą do Szelkowa.

W wyniku wojny mieszkańcy Starego Sielca ponieśli ogromne straty. Zostali pozbawieni prawie całkowicie zwierząt i ptactwa domowego oraz zboża i ziemniaków. Wszystkie domy mieszkalne i budynki gospodarcze były uszkodzone, a znaczna ich część została całkowicie zniszczona. Skąd też wielu mieszkańców Starego Sielca aż do 1948 r. zamieszkiwała w pofrontowych ziemiankach. Na łąkach i polach Starego Sielca znajdowały się dwa duże pola minowe (patrz mapa) oraz zasieki z drutu kolczastego i kilkanaście kilometrów okopów. były tam także betonowe stanowiska dla niszczycieli czołgów oraz kilkadziesiąt schronów bojowych i ziemianek mieszkalnych dla wojska. Uprawę ziemi i łąk przez dwa powojenne lata utrudniały też wspomniane poprzednio drewniane drogi dofrontowe.

W tych okolicznościach kilku mieszkańców Starego Sielca opuściło swoje rodzinne strony i przenosiło się już w latach 1945-47 na Pomorze lub w inne rejony Polski.

Brak możliwości zatrudnienia na terenie gminy Sielc (Rzewnie) lub znalezienia stosownej szkoły przygotowującej do zawodu, a jednocześnie powstanie licznych miejsc pracy w okolicznych miastach (Maków, Pułtusk, Wyszków, Ostrołęka, a przede wszystkim Warszawa) spowodowały, że w latach 1945-55 Stary Sielc opuściło również prawie 30 młodych chłopców i dziewcząt urodzonych w latach 1930-1939. Zmiany demograficzne dotyczące Starego Sielca, które dokonały się w okresie od 1946 do 2007 roku prezentuje tabela na stronie następnej.

Rodziny które opuściły Sielc Stary w latach 1945-1950 i przeniosły się w inne rejony Polski

1. Latek Franciszek syn Adama (2 osoby)
2. Szymański Antoni syn Jana (2 osoby)
3. Chodyna Franciszek (5 osób - cała rodzina)
4. Sosnowik Stanisław syn Katarzyny (1 osoba)
5. Sosnowik Janina córka Katarzyny (1 osoba)
6. Karczewski Stanisław (5 osób - cała rodzina)
7. Rosiński Józef (3 osoby - cała rodzina)
8. Szymański Roman (5 osób - cała rodzina)

Razem: 24 osoby.

Oprócz całych rodzin, które decydowały się opuścić zniszczone wojną domostwa, rodzinne strony gromadnie opuszczała młodzież. Poniżej lista młodych osób, urodzonych w latach 1930-39, która opuściła Sielc Stary w latach 1945-1960:

1. Szymański Jerzy syn Adolfa (ubył do m. Wyszków) - krawiec
2. Szymański Edward syn Jana (ubył do m. Warszawa) - krawiec
3. Szymańska - Reczek Janina córka Jana (ubyła do m. Warszawa)
4. Filipowicz Zygmunt syn Antoniego (ubył do m. Warszawa)
5. Filipowicz Ryszard, Piotr syn Antoniego (ubył do m. Chrzanów) - żołnierz zawodowy WP
6. Knochowski Jan syn Tomasza (ubył do m. Szklarska Poręba) - Żołnierz zawodowy WOP
7. Knochowski Mieczysław syn Tomasza (ubył do m. Maków Mazowiecki) - technik rolnik
8. Domaszewski Edward syn Józefa (ubył do m. Wołomin) - stolarz
9. Domaszewska Helena córka Józefa (ubyła do m. Łódź) - włókniarka
10. Dębek Apolonia córka Antoniego (ubyła do m. Ząbki koło Warszawy) - krawcowa
11. Sudzińska-Michalska Maria córka Józefa (ubyła do m. Warszawa) - pracownik umysłowy
12. Michalski Witold syn Józefa (ubył do m. Warszawa) - technik drukarz
13. Reczek Stanisław syn Juliana (ubył do m. Warszawa) - krawiec
14. Szymański Julian syn Tadeusza (ubył do m. Warszawa) - krawiec
15. Szymański Stanisław syn Tadeusza (ubył do m. Warszawa) - krawiec
16. Pachulska Halina córka Apolinarego (ubyła do m. Warszawa) - pracownik umysłowy
17. Pachulski Jerzy syn Apolinarego (ubył do m. Maków Mazowiecki) - nauczyciel
18. Latek Krystyna córka Adama (ubyła do m. Malbork) - pracownik umysłowy
19. Latek Ryszard syn Adama (ubył do m. Malbork) - robotnik
20. Latek Zygmunt syn Adama (ubył do m. Pułtusk) - żołnierz zawodowy WP, nauczyciel
21. Latek Halina córka Antoniego (ubyła do m. Giżycko) - pracownik umysłowy
22. Latek Zofia córka Antoniego (ubyła do m. Warszawa) - pracownik handlu
23. Latek Stanisław syn Antoniego (ubył do m. Pruszków) - krawiec
24. Chodyna Kazimierz syn Franciszka (ubył do m. Gdynia) - krawiec
25. Chodyna Tadeusz syn Franciszka (ubył do m. Grudziądz) - ogrodnik
26. Przybylski Jerzy syn Czesława (ubył do m. Katowice - Świnoujście - Gdynia) żołnierz zawodowy Marynarki Wojennej, nauczyciel akademicki

W 1946 roku na pograniczu Starego i Nowego Sielca zbudowano szkołę podstawową czynną po dzień dzisiejszy. W latach 1951-52 wieś otrzymała energię elektryczną. Na przełomie lat 70 i 80 z Szelkowa i Rzewnia do wsi doprowadzono utwardzoną drogę gminną. W latach 2000-2007 na 70% jej długości położono asfaltową nawierzchnię.

Obecnie w Starym Sielcu zajmującym około 4,1% obszaru gminy Rzewnie żyje 89 osób, czyli około 3% ogólnej liczby jej mieszkańców. Gmina Rzewnie zajmuje łącznie obszar 11 175 h, a mieszka w niej 2860 mieszkańców. Wśród nich jest 256 osób, które ukończyło 65 rok życia i 785 osób które nie ukończył jeszcze 20 roku życia. W Starym Sielcu żyje 9 osób, które przekroczyły 65 rok życia i 21 osób, które jeszcze nie ukończyły 20 roku życia. Obecnie we wsi tej żyje 5 osób w wieku powyżej 70 lat oraz kilka osób, które posiadają tam tylko budynki mieszkalne, a nie prowadzą samodzielnie gospodarstwa wiejskiego. Mieszkańcy ci nie posiadają także zwierząt i ptactwa domowego, a swoją egzystencję uzależnili całkowicie od funkcjonującego na obszarach gminy handlu przewoźnego.

Część ziemi rolniczej (około 25 ha) położonej przy drodze z Sielca Nowego do Sitnego rolnicy Starego Sielca sprzedali dla właściciela mającej powstać tam w najbliższym czasie żwirowni. W tej sytuacji wraz z rozwojem żwirowni wieś ta będzie traciła stopniowo swój rolniczy charakter.

Kilku młodych obecnych mieszkańców Starego Sielca pracuje w okolicznych miasteczkach lub w Warszawie i nie zamierza w przyszłości zajmować sie rolnictwem.

kmdr prof. dr hab. Jerzy Przybylski

Gdynia, grudzień 2007 r.

Nr gospodarstwa na mapie dla 1946 roku	Nazwa i imię gospodarza lub współgospodarza, mieszkającego w danym gospodarstwie w latach 1945-46	Liczba osób zamieszkujących dane gospodarstwo w 1946 roku	Nazwa i imię gospodarza lub współgospodarza, mieszkającego w danym gospodarstwie w 2007 roku	Nr gospodarstwa na mapie dla 2007 roku	Liczba osób zamieszkują-cych dane gospodarstwo w 2007 roku
1	Danowski Stanisław	4	-		-
2	Piórkowski Wiktor	3	Dąbek Mirosław	1	6
3	Parzych Władysław Karczewski Czesław	2 3	- -		- -
4	Pietrucha Stanisław	5	Gutowski Andrzej	2	6
5	Karczewski Stanisław	5	-		-
6	Szymański Adolf Jończyk Zdzisław	3 3	- Pachulski Tadeusz	 3	- 3
7	Dąbek Jan	6	Lusiak Andrzej	4	5
8	Szymański Jan	5	-		-
9	Filipowicz Antoni	5	-		-
10	Rosiński Józef Pęger Stanisław Skóra Stefan	3 3 5	- - -		- - -
11	Bladosz Ludwik	6	Bladosz Stefan	5	6
12	Sudziński Władysław	4	Pajka Zdzisław	6	3
13	Gregorek Stanisław Załęski Stanisław	3 2	- Załęska Janina	 7	- 1
14	Gregorek Adam	5	Gregorek Adam /wnuk/	8	1
15	Knochowski Antoni Chodyna Leon	2 3	- Dzwonkowski Andrzej /siedlisko w innym miejscu/	 9	- 5
16	Knochowski Władysław /Marian/	3	Jóźwik Kazimierz /siedlisko w innym miejscu/	10	3
17	Knochowski Tomasz	5	-		-
18	Zabielski Marian	6	Zabielski Andrzej	11	4
19	Dąbek Stefan	4	Dąbek Stanisław	12	6
20	Szymański Roman	5	-		-
21	Dąbek Antoni	6	-		-
22	Domaszewski Józef Chodyna Stanisław	4 1	- -		- -
23	Latek Wincenty	4	Latek Henryk	13	2
24	Michalski Józef	4	Bala Jan /Adam/	14	3
25	Reczek Julian /Kazimierz/	6	-		-
26	Pachulski Józef	5	Pachulska Irena	15	2
27	Bąk Władysław	5	Bąk Jerzy	16	3
28	Szymański Tadeusz	6	-		-
29	Przybylski Czesław	5	Kilijańczyk Tadeusz	17	2
30	Sosnowik Adam Sosnowik Marian Sosnowik Jan	4 2 2	- Sosnowik Karolina i Grażyna Sosnowik Wiesława /oddzielne go-spodarstwo/	 18 19	- 1 + 4 4
31	Przybylski Jan Juras Jan	3 2	- Bladosz Halina	 20	- 1
32	Sosnowik Katarzyna	5	-		-
33	Skóra Franciszek /Janina/	4	-		-
34	Latek Antoni	6	Latek Marian	21	5
35	Dudzik Franciszek Krawczyk Franciszek	4 2	- Krawczyk Franciszek /nowe siedli-sko w innym miejscu/	 22	- 4
36	Latek Adam	6	Perzanowski Władysław	23	1
37	Chodyna Franciszek	5	-		-
38	Pachulski Apolinary	5	Pachulski Kazimierz	24	5
39	Dąbek Cyprian /Stanisław/	4	Dąbek Bogdan	25	4
	Razem:	**198**		**Razem:**	**89**

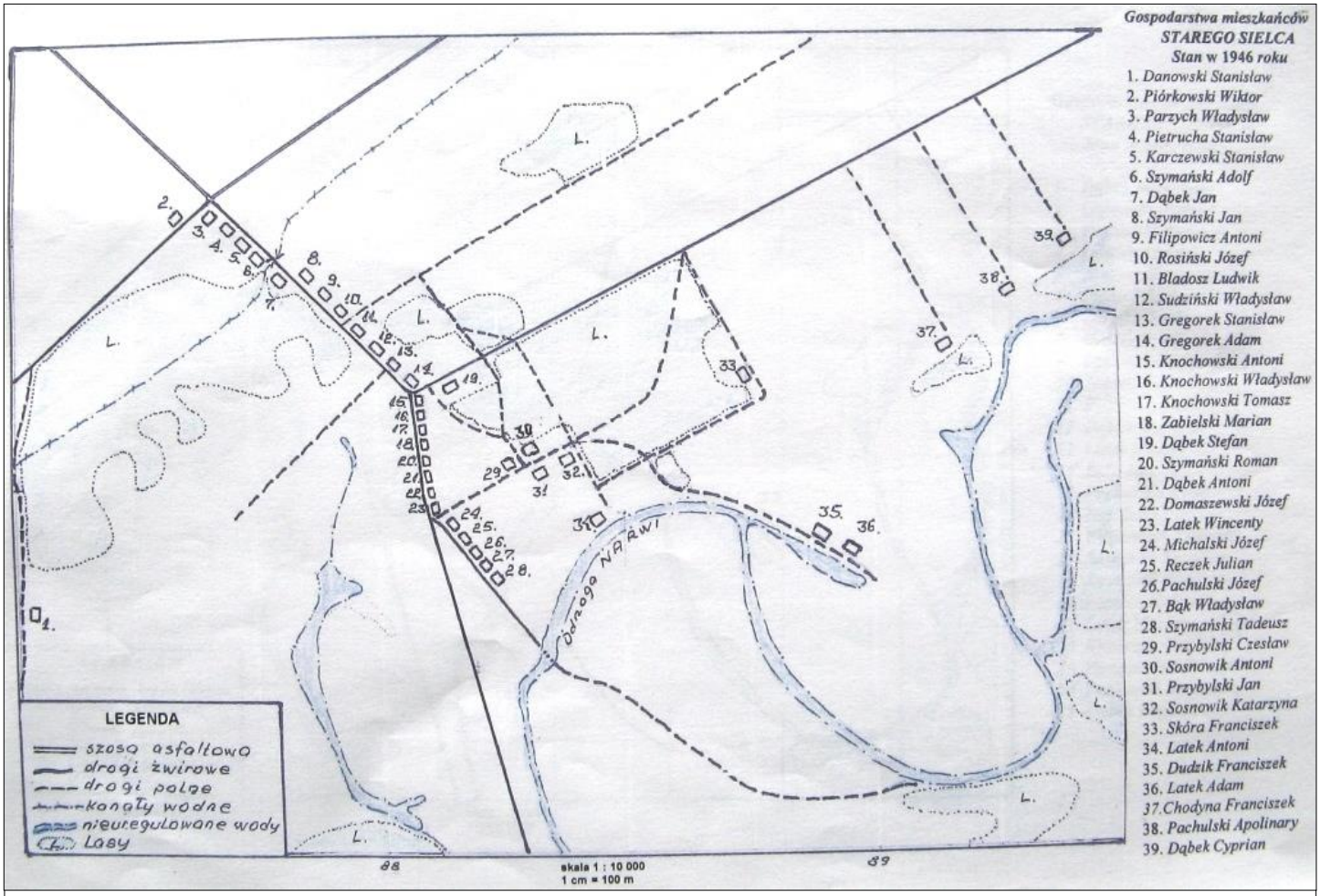

Stary Sielc, gm. Rzewnie plan sytuacyjny wsi z 1946 roku.

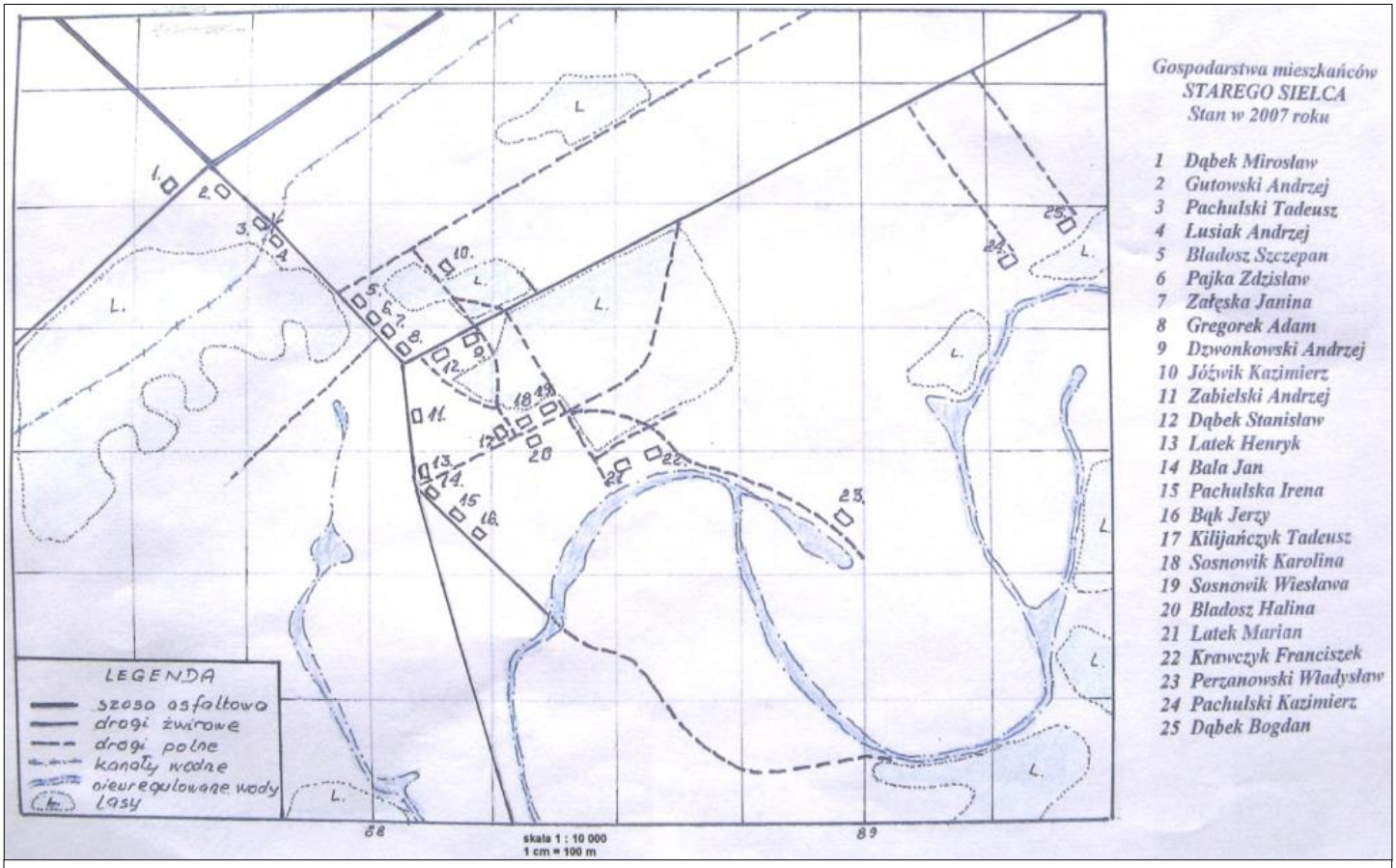

Stary Sielc, gm. Rzewnie plan sytuacyjny wsi z 2007 roku.

PS.: Niniejszy materiał został opracowany na podstawie księgi meldunkowej sołectwa Sielckiego z lat 1950-80, wywiadów z mieszkańcami Sielca Starego oraz mojej własnej pamięci.

Front wschodni II wojny światowej w przeddzień wybuchu powstania warszawskiego 1944

Sławomir RUTKOWSKI

Wstęp

Dziś łatwo gdybać „co by było gdyby?”

Zadawanie takich pytań ma sens jedynie jako kolejny krok następujący po zgromadzeniu rzetelnej wiedzy o tzw. twardych faktach z przeszłości.

W dalszej części tego tekstu pragnę przedstawić kilka takich faktów właśnie i danych dotyczących sytuacji na froncie wschodnim, w przeddzień utworzenia przyczółka różańskiego oraz wybuchu powstania warszawskiego jako wstęp do tych opracowań.

Panuje dość powszechna opinia, jakoby II wojna światowa w swoim decydującym epizodzie - działań na froncie wschodnim, rozpoczęła się od napaści przeważających i na dodatek zmechanizowanych wybornie, sił Wehrmachtu na dość bezbronny i zaskoczony Związek Sowiecki. Nic podobnego! Zagłębiając się w literaturę już na pierwszym etapie zauważamy dysproporcję sił militarnych pomiędzy Hitlerowskimi Niemcami i Związkiem Sowieckim, i to zdecydowanie na korzyść tego drugiego.

Dodatkowo charakter uzbrojenia Armii Czerwonej wskazuje na jej wybitnie ofensywny charakter. Błędem jest również twierdzenie jakoby posiadała przestarzałe i nienowoczesne technologicznie wyposażenie. Również kolejne lata wojny i bilanse różnych operacji militarnych pokazują znaczącą, a czasem wręcz miażdżącą przewagę Armii Czerwonej i to zarówno w sprzęcie jak i liczebności żołnierzy.

Jedyną słabą stroną tej armii wydaje się być zarządzanie i dowodzenie, które z chwilą gdy się poprawiło doprowadziło do przejęcia inicjatywy i w efekcie pokonania Niemców.

Niezaprzeczalny sukces państwa sowieckiego i zasługa w pokonaniu Hitlerowskich Niemiec, odbył się jednak kosztem niewyobrażalnych cierpień narodu rosyjskiego i tych narodów, które znalazły się w jego orbicie. Brak szacunku dla pojedynczych jednostek ludzkich, dla wartości pielęgnowanych przez humanizm i demokrację, to największy sztandar i „zasługa” rządów ludzi radzieckich.

Kierując się taką wiedzą, udokumentowaną kilometrami archiwów i dzieciątkami milionów grobów, przekazujmy świadectwo innym: w kraju i za granicą i … róbmy wszystko by ten sposób myślenia nigdy nie stał się dla nas Polaków i naszych sąsiadów realnym zagrożeniem.

Sławomir Rutkowski

Po trzech latach walk na froncie wschodnim armia niemiecka była w odwrocie. Wcześniej, bo już w drugim roku realizacji przez nią planu Barbarossa – jak Hitler nazwał atak na Związek Sowiecki, utraciła inicjatywę strategiczną, a jej działania tak skuteczne w wojnie błyskawicznej, przeszły w żmudną obronę – wojnę na wyniszczenie.

Czwarty rok tej wojny rozpoczął się dla Niemców bardzo niekorzystnie. Armia Czerwona dysponowała znaczną przewagą zarówno w ludziach jak i sprzęcie oraz sprawnie już działającym system dowodzenia. Dodatkowo alianci wylądowali na francuskich wybrzeżach Normandii /6 czerwca 1944 r./ otwierając drugi front. Stało się to, czego Niemcy obawiali się najbardziej - wojna pozycyjna na dwa fronty.

Zestawienie sił i środków operacja „**Bagration**”

Armia Czerwona		**Wehrmacht**
1 700 000	żołnierze	800 000
2 715	czołgi	553
ok. 28 000	działa różnego typu	ok. 9 500
6 334	samoloty	839

Wysokość symboli obrazuje graficznie dysproporcję sił

W takiej sytuacji strategicznej, po dwóch tygodniach od D-day na plażach Normandii, dokładnie w 1. dzień czwartego roku wojny Rzeszy Niemieckiej ze Związkiem Radzieckim, Armia Czerwona rozpoczęła kolejną wielką ofensywę, tym razem w centralnym rejonie frontu pod kryptonimem „Bagration”[1].

Plan ofensywy został opracowany przez gen. Aleksieja Antonowa, jednak w czasie narady u Stalina 20 maja 1944 r. gen. Konstanty Rokossowski przekonał Stalina by znacznie go zmienić. W ofensywie uczestniczyć miały cztery sowieckie fronty /tj. grupy armii/: 1, 2 i 3 Front Białoruski oraz 1. Front Nadbałtycki. Głównodowodzącym był marszałek Gieorgij Żukow, a marszałek Rokossowski dowodził 1. Frontem Białoruskim. W początek tego natarcia po stronie sowieckiej zaangażowanych zostało 1,7 mln żołnierzy, wyposażonych m.in. w:

- 2 715 czołgów,
- 1 355 dział samobieżnych,
- ok. 24 000 dział artyleryjskich,
- 2 300 miotaczy min i
- 6 334 samolotów.

Siły te korzystały z:

- 70 000 samochodów ciężarowych i
- 100 pociągów dostawczych dziennie!

Naprzeciwko nich znajdowała się niemiecka Grupa Armii „Środek” w sile 0,8 mln żołnierzy, wyposażonych m.in. w:

- 553 czołgi,
- 9 500 dział,
- 839 samolotów.

Po trzech tygodniach walk w ramach operacji Bagration Armia Czerwona ruszyła również do natarcia bardziej na południe - w rejonie Ukrainy, w ramach tzw. operacji lwowsko-sandomierskiej szybko dochodząc do linii Wisły i podchodząc pod Warszawę. W wyniku obydwu tych operacji w ciągu niespełna dwóch miesięcy Niemcy stracili ¼ swojego potencjału militarnego na froncie wschodnim – walec Stalina miażdżył wszystko, choć i sam ociekał własną krwią. Koniec tej operacji określa się na 19 sierpnia 1944 r.

Całkowicie zniszczona niemiecka Grupa Armii „Środek” straciła ze swoich szeregów ok. 670 tyś żołnierzy, wg różnych szacunków w szczególności:

- 260 – 400 tyś zabitych
- 116 – 158 tyś jeńców
- 250 – 450 tyś. rannych oraz
- 2 000 czołgów
- 57 000 innych pojazdów

Straty Armii Czerwonej:

- 180 tyś zabitych, wziętych do niewoli i zaginionych
- 590 tyś rannych i chorych
- 2 957 czołgów
- 2 447 dział
- 822 samoloty.

Największe jednak straty niemieckie wynikały z lawinowo pogarszającej się sytuacji strategicznej, utraty sprzętu na oddanym terytorium oraz upadku morale armii.

Przesuwający się front niemiecko-radziecki na ziemie II Rzeczypospolitej sprzed roku 1939, stwarzał dla polskiego społeczeństwa szansę na oswobodzenie od hitlerowskiego najeźdźcy. Niósł jednocześnie ryzyko zastąpienia jednego okupanta drugim. Przywrócone w lipcu 1941 r. przez premiera Władysława Sikorskiego stosunki dyplomatyczne pomiędzy Rzą-Rządem Polskim na uchodźctwie i Rządem Sowieckim, zostały po ujawnieniu grobów polskich oficerów w Katyniu powtórnie zerwane. W efekcie czego Rząd emigracyjny w instrukcji z 27 października 1943 roku zakazywał współpracy z sowietami. Innego zdania byli jednak przedstawiciele rządu na kraj. I tak gen. Bór-Komorowski uważał, że brak czynnika reprezentującego legalną władzę Rzeczypospolitej na terenach zajętych przez wojska sowieckie stworzy możliwość ustanowienia władzy im podległej. Sytuacja taka pojawiła się po raz pierwszy w nocy z 3 na 4 stycznia 1944 r., kiedy to oddziały Armii Czerwonej przekroczyły przedwojenną granicę Polski w rejonie m. Sarny. Po szeregu konsultacji gen. Tadeusz Komorowski Komendant Główny Armii Krajowej wydał 12 stycznia 1944 r. rozkaz Nr 126, który określał charakter wsparcia polskiego podziemia dla Armii Czerwonej – określany w skrócie akcją „Burza”.

W ramach tych działań dowódcy Armii Krajowej mieli nie współpracując politycznie współdziałać taktycznie z oddziałami czerwonoarmistów. Mieli poprzez akcje dywersyjne dezorganizować niemiecką obronę i linie zaopatrzenia, występować zbrojnie, ale tylko po zaistnieniu odpowiednio sprzyjających warunkach wojskowych i politycznych, no i w końcu po odejściu Niemców występować w charakterze gospodarza.

Akcja „Burza” nie obejmowała początkowo dużych miast, jednak w obliczu błyskawicznej ofensywy sowieckiej i po głosach dowódców AK z terenu, gen. Komorowski od lipca 1944 r. włączył i te do akcji. Jednym z takich głosów była odprawa dowódców okręgów AK Wilno i Nowogródek z dnia 12 czerwca 1944 r. kiedy to dowódcy ci stwierdzili, że zajmowanie większych miast i występowanie w roli gospodarza jest niezbędne, by stosować politykę faktów dokonanych w przewidywanym sporze o przebieg granicy wschodniej Polski lub w ogóle jej niepodległy byt państwowy.

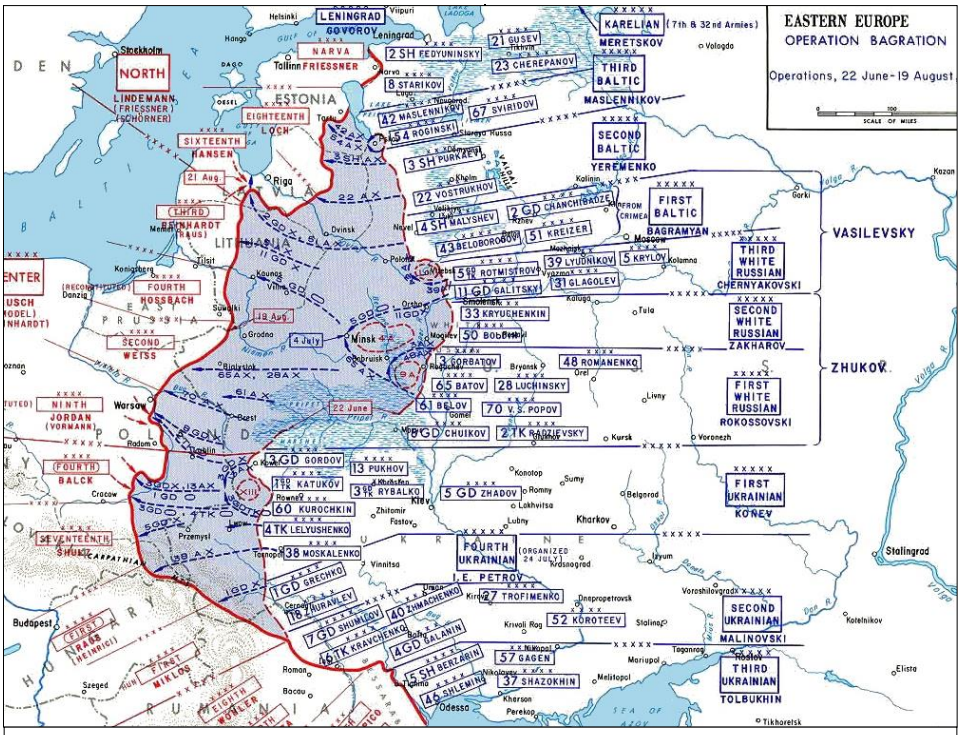

Mapa poglądowa. Operacje militarne Armii Czerwonej podczas II wojny światowej – głównie operacja „Bagration” i tzw. Lwowsko-sandomierska. wg. Wikipedii.

Przykładem takiej akcji było wyzwolenie Wilna, w którym uczestniczyło ok. 5,5 tyś AK-owców, czy Lwowa.

O ile Stalin poprzez podległe mu środki zachęcał polskie podziemie do walki na tyłach Niemców, to po wkroczeniu na te tereny Armii Czerwonej, polskich żołnierzy traktował jak wrogów. Szacuje się, że w więzieniach i obozach zamknięto co najmniej 50 tyś żołnierzy AK, a dalszych kilkadziesiąt tysięcy uśmiercono lub wywieziono w głąb Związku Sowieckiego.

Mocnym argumentem dla zwolenników wybuchu powstania w Warszawie, będących de-

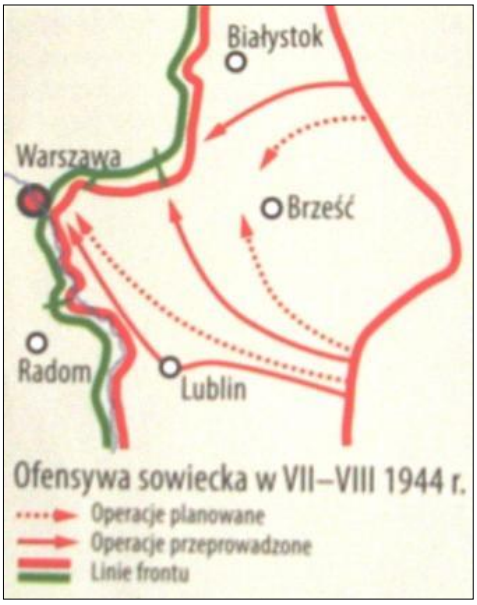

cydentami w szeregach Komendy Głównej Armii Krajowej był fakt dotarcia sowieckich korpusów pancernych w dniu 30 lipca do Radzymina i Wołomina, a dzień później do Sulejówka. Tempo natarcia Armii Czerwonej było imponujące i niewiele wskazywało, że Niemcy mogą ją zatrzymać przed linią Wisły, a jednak … Czołgi w Sulejówku to był ostatni wysiłek 2 Armii Pancernej gen. Radziejewskiego, gdyż do kontrataku ruszyła 2 Armia Polowa Wehrmachtu gen. Weissa wsparta – głównie pancernymi, siłami 9 Armii. Sytuacja dla sowietów była poważna, gdyż zostali atakowani z zachodu, północy i wschodu i to przez siły, które uszły wcześniej z okrążenia w rejonie Brześcia. Zemściło się tu ręczne sterowanie operacją przez samego Stalina. Otóż najpierw niespodziewanie odciągnął część sił mających zniszczyć niemiecką 2 Armię, kierując je z pobudek czysto politycznych do zdobycia Lublina – co zaskutkowało jej uporządkowanym wycofaniem się na rubież Narwi. Później zamieszał w rozkazach dotyczących forsowania rzek, co doprowadziło do okrężnego dopiero dojścia sił 2 Armii Pancernej Błażejewskiego do Warszawy.

Powyższe celowe działania Stalina opóźniły znacznie dojście sił Armii Czerwonej do Warszawy, mniej więcej o tyle ile potrzeba było na skuteczne wsparcie powstańców.

Sławomir Rutkowski

[1] - *Piotr Iwanowicz **Bagration**, rosyjski generał piechoty, bohater wojen napoleońskich. Ur. w 1765 r., zmarł 12 września 1812 roku w wyniku ciężkich ran odniesionych w bitwie z wojskami napoleońskimi pod Borodino. Pochodził z arystokratycznej rodziny gruzińskiej, która na przełomie I i II tysiąclecia n.e. panowała w Gruzji i części Armenii.*

Bibliografia:

„Powstanie Warszawskie 1944” Pomocnik Historyczny Polityki 2014.

„Problematyka militarna w Powstaniu Warszawskim” Jerzy Przybylski, Słupsk 1995.

Wikipedia.

Strona 139

Przyczółek różański 1944/45

Przebieg walk 48 armii 2 Frontu Białoruskiego Armii Czerwonej o zdobycie, utrzymanie i rozszerzenie przyczółka różańskiego

prof. dr hab. Jerzy PRZYBYLSKI
w opracowaniu redakcyjnym Artura GRABOWSKIEGO

Wstęp

Nawiązując do artykułu Kajetana Dobrosielskiego: „Życie społeczno-gospodarcze i polityczne powiatu makowskiego w latach 1945—1975", zamieszczonego w pracy zbiorowej pt.: „Maków Mazowiecki i ziemia makowska", wydanej przez PWN w 1984 r., pragnę z okazji 69-tej rocznicy zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami przybliżyć szanownym czytelnikom przebieg walk 48 armii 2 Frontu Białoruskiego Armii Czerwonej o zdobycie, utrzymanie i rozszerzenie, powszechnie znanego w historii drugiej wojny światowej, przyczółka różańskiego.

Uważamy bowiem, że przelana na obszarze tego przyczółka (położonego głównie na terenie naszego rodzimego powiatu) krew żołnierzy Armii Czerwonej (około 15 tys. pochowanych na Cmentarzu Wojennym w Makowie Maz.) oraz kilkudziesięciu zabitych i kilkuset rannych jego ówczesnych mieszkańców (w toku prowadzonych na nim walk), zasługuje na zbiorową pamięć żyjących mieszkańców ziemi makowskiej.

W tym miejscu uważam też za celowe, podkreślić, że przed drugą wojną światową na terenie powiatu makowskiego mieszkało około 65 tys. osób. W wyniku niemieckiej okupacji powiatu — śmierć poniosło około 10 tys. osób, w tym prawie 6 tys. Żydów. Ponadto do obozów koncentracyjnych Niemcy wywieźli ponad 3 700 osób, a do obozów pracy przymusowej — dalsze 3 800 osób. Wysiedlono również z miejsca zamieszkania na inne tereny ludność takich miejscowości jak Maków Maz., Krasnosielc Nowy, Grądy i Podoś.

W czasie walk na przyczółku różańskim wojska niemieckie dokonywały dalszych wysiedleń ludności zamieszkałej w rejonie ich umocnień. Wysiedleni zmuszeni byli zostawić swoje dobra materialne oraz zwierzęta domowe (bydło, konie, świnie, kury) i zebrane plony. Los ten spotkał ze strony wojsk niemieckich tysiące rodzin mieszkańców powiatu makowskiego, jednego z najbardziej zniszczonych w toku wojny powiatów województwa warszawskiego.

Jerzy Przybylski

Historia przyczółka różańskiego obejmuje okres rozpoczynający się 3 września 1944 r., kiedy do podjęto walkę o jego utworzenie, a kończy się wraz z wyzwoleniem spod niemieckiej okupacji całego obszaru powiatu makowskiego, co nastąpiło 18 stycznia 1945 r.

Likwidacja skutków walk prowadzonych na przyczółku (rozminowanie pól, łąk, gospodarstw i lasów oraz zasypywanie okopów i niszczenie tysięcy sztuk min i pocisków) trwała aż do roku 1948. W tym czasie setki rodzin z braku zniszczonych mieszkań, zmuszonych zostało do zamieszkania w zbudowanych i pozostawionych przez walczące tu wojska ziemnych schronach bojowych, w których gnieździło się tysiące myszy i szczurów.

Przebieg walk

2 września 1944 roku linia frontu, w pasie działania 48 armii, na kierunku różańskim znajdowała się w powiecie Ostrów Mazowiecka na rubieży: Przyborowo – Przyjmy – Wiśniewo.

Na terenie powiatu makowskiego, na kierunku działania 48 armii, niemieckie rubieże obrony znajdowały się: na zachodnim brzegu Narwi na odcinku od Różana do ujścia rzeki Orzyc. Kolejna rubież przebiegała od Dzbądza, przez Napiórki do Orłowa, a następnie od Narwi na północ od Dzbądza, przez Mroczki – Rębiszewo, Pruszki, Rzewnie, Dąbrówkę, Sitno, Sielc Stary do ujścia tzw. Starej Narwi. Następna pośrednia linia obrony obejmowała północno-zachodni brzeg rzeki Orzyc od Szelkowa do jej ujścia, a na północy przebiegała od Czerwonki poprzez Tłuszcz, Rostki Stróżne do Szelkowa. Kolejna silnie umocniona i rozbudowana rubież obrony niemieckiej, tworząca tzw. przedmieście makowskie, przebiegała od Sielunia poprzez Załęże Wielkie, Guty Duże, Czerwonkę, Sewerynowo, Makowicę, Ciepielewo, Zakliczewo do Dzierżanowa i Bobów.

Jesienią 1944 r. Niemcy rozbudowali kolejne rubieże obronne. Najważniejsza z nich przebiegała od Starego Zacisza przez Młodzianowo, Romanowo, Karniewo do Czarnostowa. W rejonach wymienionych miejscowości znajdowało się wiele drewnianych schronów bojowych oraz betonowych schronów i stanowisk dla niszczycieli czołgów. Było tam również tysiące min oraz wiele kilometrów zapór z drutu kolczastego. Największe, bo wynoszące 10 kilometrów długości i 50 metrów szerokości pola minowe, (zbudowane z kilku rzędów min przeciwpancernych i przeciwpiechotnych) znajdowały się w rejonie Dąbrówki, Czerwonki i Sewerynowa. Duże pola minowe i zasieki z drutu kolczastego wynoszące ok. 3 km długości i 3-4 m szerokości znajdowały się również na terenie gminy Rzewnie, w rejonie Sielca Starego i Nowego. Organizację niemieckiej obrony w rejonie tych miejscowości prezentuje mapa nr 1 /patrz kolorowe strony Zeszytu/ opracowana na podstawie frontowych map 48 armii oraz własnej pamięci Jerzego Przybylskiego.

Nadnarwiańskie umocnienia dla wojsk niemieckich budowali, zmuszeni do tej pracy przez niemiecką administrację, policję i władze wojskowe, mieszkańcy powiatów: ostrowskiego, wyszkowskiego, makowskiego, pułtuskiego i przasnyskiego. Nadzorowali ich przy tym żołnierze zapasowych oddziałów Wehrmachtu, wśród których byli: Austriacy, Włosi, Hiszpanie, Niemcy, a także Polacy ze Śląska i Pomorza oraz żandarmeria 2 Armii Polowej. Zagrody minowe i zapory druciane wykonywali saperzy Wehrmachtu oraz ukraińskie i rosyjskie bataliony saperów, które przeszły na służbę niemiecką i znalazły się pod dowództwem generała Własowa.

Przed frontem, nacierającej w kierunku Makowa Maz. 48 armii na podejściach do Narwi na tzw. przedmościu różańskim broniły się: 292, 541 i 211 niemieckie dywizje piechoty, wzmocnione 209 brygadą artylerii szturmowej oraz 2 batalionami piechoty i 2 dywizjonami lotnictwa.

Zachodniego i północnego brzegu Narwi we wrześniu 1944 r. broniła 2 Niemiecka Armia Polowa. Główne zadanie obronne Narwi na odcinku od Różana do Pułtuska organizował i prowadził 20 korpus armijny siłami: 6 dywizji pancernej, 211 i 7 dywizji piechoty.

2 września 1944 r. 48 armia otrzymała zadanie przerwania obrony niemieckiej na odcinku frontu, znajdującego się w rejonie wsi: Grądy – Koziki – Majdan, i rozwinięcia natarcia na północny-zachód w kierunku Rząśnik – Popławy – Pułtusk. Do wykonania tego zadania na kierunku głównego uderzenia armii do pierwszego rzutu wydzielono 13 pułków piechoty ze składy 102 i 217 dywizji piechoty (dalej dp), wchodzących w skład 29 korpusu piechoty (dalej kp); 194 i 299 dp (z 42 kp) i 96 dp (z 53 kp). W drugim rzucie, nacierających na głównym kierunku wojsk 29 i 42 kp, znajdowało się po jednej dywizji piechoty (73 i 187 dp), a w armijnej rezerwie 170 dp.

Początek operacji Armii Czerwonej o przyczółek różański

3 września 1944 r. wczesnym rankiem, wydzielone kompanie piechoty dokonały rozpoznania walką sił i przebiegu linii niemieckiej obrony. W tym czasie niemiecka żandarmeria polowa rozpoczęła wysiedlanie polskiej ludności cywilnej ze wsi nadnarwiańskich gmin Różan i Rzewnie, znajdujących się w rejonach przygotowanych wcześniej rubieży obronnych 2 Armii Polowej. M.in. wysiedlano do lasu Krasińskiego w rejonie św. Rozalii mieszkańców wsi Sielc Stary i Sitno.

Przed południem rozpoczęło się artyleryjskie przygotowanie ataku 48 armii, a jej lotnictwo „obrabiało" przedni skraj obrony nieprzyjaciela oraz zgrupowania jego wojsk, znajdujące się w rejonach miejscowości: Grądy Szlacheckie, Dalekie i Rząśnik.

Pod koniec dnia, wojska 48 armii rozszerzyły pas przełamania na froncie do 15 km. i na głębokości od 10 do 18 km.

W dniu 4 września 1944 r. przednie jednostki armii forsowały rzekę Narew. 29 Korpus forsował rzekę jednym batalionem z 73 dp w rejonie miejscowości Michałowo i Brzóze Małe; 42 Korpus jednym batalionem 399 dp w rejonie Ostrykół Dworski – Drozdowo, a w nocy z 4 na 5 września 470 pp. – 194 dp tego Korpusu sforsował Narew w rejonie wsi Lubiel. 5 września dla wsparcia 470 pp. przeprawiono na przyczółek również 616 pp. tej dywizji.

Siły główne obydwu Korpusów (29 i 42) oraz 53 kp prowadziły wówczas działania bojowe na wschodnim brzegu Narwi na rubieży: Ostrykół – Marianowo – Przetycz – Blochy.

W ciągu 7 września i następnych dwóch dni wojska 48 armii walczyły o oczyszczenie terenów położonych na wschodnim brzegu Narwi do linii Jaszczułty – Porządzie – Popławy oraz toczyły ciężkie walki o utrzymanie i rozszerzenie przyczółka w rejonie Brzóze – Drozdowo – Łachy. W toku tych walk front przyczółka ustalony został na linii Dzbądz – Napiórki – Grdunki – Orłowo. Długość tego frontu wynosiła 11 km, a jego głębokość osiągnęła 6 km. Rozmieszczenie wojsk 48 armii, broniących tak ukształtowanego przyczółka do 30 września 1944 r., przedstawia zamieszczony obok fragment odtworzonej mapy operacyjnej tej armii.

Wyczerpane długotrwałym natarciem wojska 48 armii – pozbawione silnego wsparcia lotniczego i artyleryjskiego (z powodu braku amunicji i paliwa) – zmuszone zostały do podjęcia obrony zdobytego przyczółka i przygotowanie się do jego późniejszego rozszerzenia. Walczące na przyczółku wojska 48 Armii w okresie od 4 do 30 września były kilka razy wymieniane i przegrupowane.

30 września 1944 r. 48 armia zajmowała następujące rejony i linie obrony:

A. Dowództwa i sztaby armii i korpusów zajmowały:
   - 48 Armii – mp. Łączka k/Długosiodła, a następnie Rząśnik i Sokołowo
   - 29 Korpus piechoty – mp. Borki
   - 42 Korpus piechoty – mp. Nowa Wieś
   - 53 Korpus piechoty – mp. Sadykierz

B. Dowództwa i sztaby dywizji:
   - 29 kp sztaby dywizji – 73 dp – k/miejscowości Brzóze Małe
   - 217 dp – Kobylin, a następnie Szarłat
   - 194 dp – Małyszki
   - 42 kp sztaby dywizji - 170 dp – Drozdowo
   - 137 dp – Nowa Wieś Lubielska
   - 399 dp – Bosewo Stare
   - 53 kp sztaby dywizji – 17 dp – Psary
   - 96 dp – Ciółkowo Małe

Druga faza walk na przyczółku

26 września 1944 r. dowódca 48 armii postawił podległym mu korpusom następujące zadania:

a/ 29 korpus piechoty (73, 194 i 277 dp) miał przełamać obronę przeciwnika na froncie Rzewnie – Olszewnica i nacierać w kierunku Makowa, który miał zdobyć do końca drugiego dnia operacji, a w jej trzecim dniu wyjść na rubież Młodzianowo – Słoniawy – Żabin Karniewski.

b/ 42 Korpus piechoty (137, 170 i 399 dp) miał przełamać obronę przeciwnika na odcinku frontu Olszewnica – Narew i uderzyć prawym skrzydłem w ogólnym kierunku Dąbrówka – Szelków Nowy – Ciepielewo. W połowie pierwszego dnia operacji korpus miał opanować rubież Rostki – Kaptury – Sielc Stary, a do końca dnia sforsować rzekę Orzyc i opanować rubież Orzyc – Magnuszew Mały; do końca drugiego dnia dojść do rubieży Pomaski – Dzierżanowo.

c/ 53 korpus piechoty (17 i 96 dp) miał w tym czasie bronić rubieży Rowy – Popławy, a po wyjściu 42 kp na rzekę Orzyc, być gotowym do:
- forsowania jedną dp rzeki Narwi w rejonie Gnojna i atakować w ogólnym kierunku Dzierżanowa;
- forsowania dwoma pułkami drugiej dp rzeki Narwi na odcinku Gnojno – Chmielewo i atakować w ogólnym kierunku Boby – Głodowo.

W dniu 5 października 1944 r. w godzinach popołudniowych, po 55-minutowym przygotowaniu artyleryjskim, 29 kp zaatakował nieprzyjaciela na odcinku Dzbądz – Boruty i po zaciętych walkach, odpierając kilka kontrataków niemieckiej piechoty wypchnął przeciwnika z zajmowanych pozycji na linię Napiórki – Boruty.

W nocy z 6/7 października wojska niemieckie siedmiokrotnie atakowały jednostki 29 kp na odcinku Napiórki Butne – Napiórki. Wszystkie ataki nieprzyjaciela zostały odparte.

W nocy z 9/10 października prawoskrzydłowe pułki 29 kp przekazały odcinek frontu od Narwi do miejscowości Gardziołki poddziałom 3 Armii i zajęły pozycję wyjściową do natarcia dla wykonania zadań postawionych korpusom 26 września 1944 r.

10 października rozpoczęło się trwające 1 godzinę i 30 minut artyleryjskie przygotowane ataku wsparte ogniem i bombami lotnictwa. Następnie do szturmu na nieprzyjacielskie pozycje obrony ruszyła piechota. Przerwę w niemieckim ugrupowaniu obronnym uzyskano na odcinku Boruty – rzeka Narew i do końca dnia, pokonując pola minowe, wbito się w obronę niemiecką na głębokości 5 km. Czołowe oddziały 42 kp osiągnęły wówczas rubież 89 południka łączącego Sokołowo Włościańskie – Nowy Sielc – Łaś, gdzie znajdowała się kolejna linia niemieckich umocnień polowych. Dalsze natarcie podjęto w godzinach rannych 12 października. W dniu tym wojska 42 kp zajęły Sielc – Stary i Nowy, Strachocin, Magnuszew i Szelków Stary, w którym to wojska niemieckie przed wycofaniem się za rzekę Orzyc wysadziły tamtejszy kościół parafialny uważając, że znajdująca się w nim wysoka wieża może służyć Rosjanom za ważny punkt obserwacyjny.

Rozwijając dalej natarcie, w dniach 13, 14 i 15 października wojska 48 armii oczyściły z wojsk przeciwnika prawy brzeg Narwi od Bindużki do Chmielewa i pod koniec 15 października wyszły na kolejną niemiecką rubież obrony, tworzącą przedmościa makowskie i pułtuskie, a przebiegającą od Sewerynowa – na północ od Chylin Leśnych – północnym skrajem Ciepielewa – 2 km na wschód od Dzierżanowa – poprzez Boby – rzekę Narew – Szczygłówek i Popławy do szosy łączącej Pułtusk z Wyszkowem.

24 października 1944 r. wojska 48 armii, broniąc się na froncie na wschód od miejscowości Dzierżanowo do Sewerynowa, utworzyły grupę uderzeniową i przeszły do natarcia na odcinku frontu Głódki – Chmielewo. Zadaniem tego ugrupowania było poszerzenie przyczółka różańskiego do linii: Pomaski Wielkie – Głogowo – Przemiarowo – Kleszewo. Zadanie to zostało wykonane 24 października i w dniu następnym nacierające wojska grupy uderzeniowej, utworzonej z dywizji 42 i 53 korpusu piechoty, otrzymały kolejne zadanie wyjścia na rubież: Głogowo – Zakręt – Gromin – Majorat – Nowe Lipinki – Folwark Płocochowo – południowy skraj Pułtuska. Zadania tego, mimo ciężkich walk, w wyniku których pułki 48 armii poniosły duże straty w ludziach, nie udało się wykonać.

W ciągu miesięcznych walk o powiększenie przyczółka różańskiego wojska 48 armii, ponosząc ciężkie straty (ponad 5 tys. zabitych żołnierzy), pokonały zaciekły opór przeciwnika na trzech wcześniej przygotowanych przez niemców rubieżach i rozszerzyły przyczółek do 25 km szerokości, a jego głębokość osiągnęła 27 km.

W listopadzie i grudniu 1944 r. wojska 48 armii prowadziły ciężkie walki o utrzymanie przyczółka oraz rozbudowywały własne linie umocnień, pod osłoną których przygotowywały się do kolejnej operacji zaczepnej znanej w historii drugiej wojny światowej pod nazwą „Operacja Wschodnio-Pruska". Wówczas też dokonano kolejnego przegrupowania i uzupełnienia pododdziałów i jednostek Armii.

Organizacja administracji na wyzwolonych spod okupacji niemieckiej terenach

Na wyzwolonych terenach władze wojskowe organizowały komendantury wojenne, sprawujące władzę administracyjną na zapleczu frontu (do 50 km od pierwszej linii styczności z przeciwnikiem). Komendantury wojenne pomagały także w organizacji polskiej administracji podległej PKWN /Polski Komitet Wyzwolenia Na-

rodowego/. Już w październiku utworzono Urząd Gminy Rzewnie (początkowo noszącej nazwę gmina Sielc). Utworzono też gminny posterunek milicji obywatelskiej tej Gminy, w szeregach której znalazło się kilku żołnierzy polskich organizacji zbrojnych działających na tym terenie w czasie niemieckiej okupacji.

Rozmieszenie wojsk jesienią 1944 r.

W listopadzie i grudniu 1944 r. oraz do 14 stycznia 1945 r. zasadnicze pierwszorzutowe siły 48 armii znajdowały się na prawym brzegu Narwi w rejonach: Czerwonki, Perzanowa, Wąskiego Lasu, Chylin, Ciepielewa, Lask, Bobów, Gnojna, Chmielewa i Przemiarowa oraz na lewym brzegu Narwi w rejonie Zambsk Kościelnych, Psar i Popław. Sztaby i tyły Armii znajdowały się w rejonach: Rostek Stróżnych, Szelkowa, Magnuszewa, Lasu Krasińskiego, Sielca Starego i Nowego oraz Przeradowa, a po lewej stronie Narwi w rejonie: Przetyczy, Sokołowa i Ciółkowa.

Stanowiska dowodzenia 2 Frontu Białoruskiego znajdowało się w rejonie Długosiodła, a wysunięte w rejonie Magnuszewa Dużego stanowisko dowodzenia 48 armii przemieszczało się od Nowej Wsi do Rząśnika i Sokołowa, a następnie Strachocina Nowego. Sztaby korpusów przebywały w tym czasie w następujących miejscowościach i rejonach: Sztab 29 kp: (2 km na północ od m. Rostki Stróżne) Sztab 53 kp: Sadykierz - Zambski Stare – Magnuszew Duży. W małej wiosce Sielc Stary znajdował się Szpital Polowy Armii, cmentarz wojenny, SD (stanowisko dowodzenia) sztabu 42 kp oraz jeden z pułków piechoty, na polach Sielca Starego i Sitna znajdowało się lotnisko jednej z mieszanej dywizji lotniczej armii, a na łąkach Sielca Starego znajdował się armijny ośrodek szkolenia taktycznego.

W ostatnich dniach grudnia 1944 r. i do 8 stycznia 1945 r. dokonano znacznego przegrupowania wojsk na przyczółku. Na prawy brzeg Narwi przemieszczono wszystkie jednostki 53 kp, zaś na jego miejsce na lewym brzegu Narwi i na prawym położonym na południe od Gnojna wprowadzono siły 2 Armii Uderzeniowej. W tym samym czasie na prawym skrzydle przyczółka, obejmującym obszar położony na północ od linii Załuzie, Lipniki, Dąbrówka wprowadzono znaczne siły 3 armii 2 BF. W rejon Lasu Krasińskiego, w ramach wzmocnienia sił uderzeniowych 48 armii, wprowadzono 8 Korpus Zmechanizowany. W ten sposób na przyczółku, obejmującym około 200 km^2 powierzchni, znalazło się ponad 130 tys. żołnierzy.

Rozmieszczenie wojsk 48 armii w przeddzień rozpoczęcia operacji „Wschodnio-Pruskiej”

8 stycznia 1945 r. ugrupowanie bojowe 48 armii przedstawiało się następująco. Na prawym skrzydle bronił się i przygotowywał do natarcia na rubieży: Dąbrówka, Czerwonka, skraj Wąskiego Lasu, Makowica, Chyliny Nadrzeczne 29 kp. Linia rozgraniczenia tego korpusu od jego lewego sąsiada, którym był 53 kp przebiegała od Łasi przez Nowy Szelków do rzeki Orzyc i dalej jej korytarzem. Odcinka frontu od rzeki Orzyc w rejonie 1 km na południe od Zakliczewa do lasu 1,5 km na południe od Pomask Wielkich bronił 53 kp. Linia rozgraniczenia tego korpusu z wojskami 42 kp przebiegała od Magnuszewa Dużego do Pomask Wielkich. 42 korpus piechoty bronił frontu na odcinku: linia rozgraniczenia z 53 ko do wzgórza 109,2 położonego około 1 km od wojsk 108 kp 2 Armii Uderzeniowej przebiegała przez Przeradowo – Boby i 1 km na południe od Dzierżanowa.

Przed wojskami 48 armii na froncie od Dąbrowy do Dzierżanowa broniły się 299 i 7 dywizja piechoty z 20 Korpusu Armijnego Wehrmachtu.

5 stycznia 1945 r. dowódca 48 armii gen. lejt. Nikołaj Gusiew postawił zadania bojowe dowódcom podległych mu korpusów piechoty i oddziałów wzmocnienia na okres pierwszych 10-ciu dni zamierzonej operacji zaczepnej organizowanej przez dowództwo 2 Białoruskiego Frontu. 48 armia miała przełamać obronę przeciwnika na linii: długości 6 km od rzeki Orzyc (w rejonie Ciepielewa) do Dzierżanowa i rozwinąć działania w kierunku Karniewa i Mławy tak, aby nie później niż na 10 dzień operacji wyjść na rubież: Nidzica – Działdowo – Lążek. Z prawej strony 48 armii nacierała 3 Armia, a lewej 2 Armia Uderzeniowa.

Zadaniem 29 kp w pierwszym dniu operacji było utrzymywanie siłami dwóch dp (73 i 102) stabilności frontu na rubieży Czerwonka – Makowica, a siłami jej dp (217), wspartej artylerią korpusu, przełamanie obrony na odcinku Makowica – rzeka Orzyc i przy współdziałaniu z 53 kp opanowanie Makowa, jednocześnie współpracując z jednostkami 35 kp 3 Armii nacieranie w kierunku Czerwonki, przecięcie szosy w rejonie miejscowości Zacisze i pd koniec dnia wyjście na rubież rzeki Orzyc.

Zadaniem 53 kp było przełamanie w tym samym czasie obrony przeciwnika na odcinku frontu rzeka Orzyc w rejonie Zakliczewo – wzgórze 109,7 potem opanowanie rubieży wzgórze 118,6 (przy szosie Maków – Karniewo) i nacieranie w kierunku Klimki – Szwejki.

Zadaniem 42 kp było przełamanie obrony przeciwnika na odcinku frontu Las (1,5 km od wzgórza 109,4) do Dzierżanowa, opanowanie Kolonii Czarnostów – Polesie, a następnie nacieranie w kierunku Karniewa, które należało opanować i pod koniec dnia wyjść na rubież: Zalesie – wzgórze 117,6.

Rozpoczęcie operacji „Wschodnio-Pruskiej” z przyczółka różańskiego

Wojska 48 armii /Armii Czerwonej/ od 14-go stycznia 1945 r. broniły się na rubieży: Czerwonka – Szlachecka – Chyliny-Leśne – Ciepielewo, 1,5 km na wschód miejscowości Dzierżanowo, jednocześnie przygotowały się do naniesienia uderzenia z frontu: Ciepielewo, Dzierżanowo w kierunku Karniewo, Pałuki, Dzbądz z zadaniem, aby nie później niż na 10-ty dzień operacji wyjść na rubież: Neidenburg – Działdowo – Lążek.

W nocy z 13 na 14 stycznia przeprowadzono przygotowanie wojsk 48 Armii do natarcia, polegającego na właściwym rozmieszczeniu piechoty, przygotowaniu dział do prowadzenia ognia na wprost, rozminowaniu własnego przedpola i wykonaniu przejść w zasiekach oraz przygotowaniu się do pokonywania zasieków przeciwnika.

14 stycznia 1945 r., po 85-minutowym przygotowaniu artyleryjskim wojska Armii dwoma korpusami piechoty na kierunku głównego uderzenia z frontu Ciepielewo, Dzierżanowo i na pomocniczym kierunku jednym korpusem piechoty z frontu Makowica, rz. Orzyc, przeszły do natarcia i w wyniku 2-dniowych walk przełamały wcześniej przygotowaną obronę przeciwnika na całej głębokości taktycznej. Pod koniec dnia 15 stycznia, na odcinku przerwania został wprowadzony 8-my korpus zmechanizowany.

16 stycznia 1945 r., wojska Armii, środkiem i lewym skrzydłem przeszły do pościgu za rozbitymi jednostkami 299 i 7-mej dywizji piechoty przeciwnika. Na prawym skrzydle Armii 29 korpus piechoty, w uporczywych walkach powoli przesuwał się do przodu nieznacznie pozostając za centrum.

20 stycznia 1945 r. wojska armii na 7-my dzień operacji natarcia wyszły na rubież: Najdenburg – Działdowo, wykonując tym samym zadania 10-go dnia.

Podsumowanie działań od 14 do 18 stycznia 1945 r.

14 stycznia w godzinach przedpołudniowych na całej długości frontu 48 Armii rozpoczęto 85-minutowe artyleryjskie przygotowanie ataku, po którym bataliony szturmowe piechoty, pierwszego rzutu wyznaczonych dywizji, ruszyły do szturmu, podążając za wałem ogniowym wspierającej je artylerii armii.

Przeciwnik, wykorzystując własne inżynieryjne uzbrojenie terenu (pola minowe i zapory z drutu) oraz kontrataki piechoty przy wsparciu czołgów i dział samobieżnych, dość skutecznie przeciwdziałał przemieszczaniu się nacierających wojsk.

Wieczorem, 14 stycznia wojska 48 armii po ciężkich walkach osiągnęły rubież: Makowica – południowy skraj lasu Grzanka – Chrzanowo – Szlasy Złotki – Czarnostów Polesie – Czarnostów.

W wyniku natarcia w pierwszym dniu operacji, działające w centrum i na lewym skrzydle ugrupowania bojowego wojska 48 Armii przerwały główną linię obrony przeciwnika na głębokości 2-4 km. Na prawym skrzydle – 29 kp nie uzyskał znacznego powodzenia. W całości wojska armii nałożonego na nie w tym dniu zadania nie wykonały.

W dniu 15 stycznia 73 dp, 29 kp w wyniku nocnych działań opanowała Dąbrówkę i przeszła w rejon Makowicy. W tym czasie 217 dp tego korpusu, pokonując zaciekły opór przeciwnika zajęła Makowicę, a następnie jej 776 pp sforsował Orzyc i wdarł się na południowy skraj Makowa. Wówczas do walki w Makowie wprowadzono 740 pp, który podjął tu walki uliczne, trwające aż do wieczora dnia następnego. W walkach o zdobycie Makowa szczególnie wyróżnił się 2 batalion 766 pp.

Wojska 53 kp (96 i 194 dp) atakowały zaciekle pozycje obronne przeciwnika na swoim kierunku przez 8 godzin. Pokonując pola mi-

nowe i zasieki z drutu kolczastego pod silnym ogniem artylerii przeciwnika, oddziały korpusu zdobyły kilka zawczasu umocnionych jego punktów oporu: Chrzanowo, Żabin Karniewski oraz przecięły drogi prowadzące z Makowa do Dzierżanowa i Karniewa.

Oddziały 42 kp (170 i 399 dp), pokonując pola minowe i silne przeciwdziałanie ogniowe przeciwnika, wyparły go z wcześniej przygotowanej rubieży: Szlasy Złotki – Kolonia – Czarnostów – Polesie, a następnie wyszły na rubież szosy Karniewo – Czarnostów. W tym rejonie wszedł do boju 8 Korpus zmechanizowany z zadaniem opanowania w dniu 16. Stycznia 1945 r. rejonu Konarzewo – Gródek – Zawady.

Pod koniec dnia 15 stycznia 1945 r. wojska 48 Armii przełamały ostatecznie obronę przeciwnika, znajdując się przed centrum i lewym skrzydłem swojego ugrupowania na całej taktycznej głębokości do około 10 km. Przeciwnik, ponosząc ciężkie straty, rozpoczął wycofywanie się w kierunku północno-zachodnim. Wczesnym wieczorem dnia 15 stycznia linia frontu w rejonie działań 48 armii przebiegała od Nowego Zacisza poprzez Dąbrówkę, Nowiny, Sewerynowo, Ciemniewo, Jankowo, północny skraj Makowa, Słoniawy, Żabin Karniewski, Karniewo, Byszewo, Czarnostów.

W dniu 16 stycznia wszystkie siły armii (29, 53 i 42 kp oraz 8 kzm) prowadziły zacięte boje przy pokonywaniu kolejnych rubieży i zdobywaniu punktów oporu przeciwnika oraz odpieraniu jego 8 kontrataków, prowadzonych siłami od kompanii do batalionu piechoty wspartych czołgami. Kontrataki te wycofujący się przeciwnik podejmował na całej długości frontu, pragnąc w ten sposób opóźniać i powstrzymywać przemieszczanie się na północny-zachód jednostek 48 armii. Do wieczora dywizje 29 kp opanowały: Czerwonkę Włościańską, Sewerynowo, Janopole, Jankowo, Ulaski i Maków. W tym czasie całość sił 48 armii znajdowała się na rubieży: Zacisze Stare – Budzyno – Romanowo – Milewo – Konarzewo.

W nocy z 17/18 stycznia zasadnicze siły 48 armii znalazły się na terenie powiatu przasnyskiego. Wówczas też oddziały 3 armii 2 Frontu Białoruskiego zdobyły Krasnosielc. Teren powiatu makowskiego został w ten sposób wyzwolony spod niemieckiej okupacji.

Straty osobowe Armii Czerwonej podczas walk na przyczółku różańskim w styczniu 1945 r.

kolejny dzień stycznia	Zabitych	Rannych	Zachorowało
1	6	27	79
2	2	16	128
3	7	12	114
4	10	32	83
5	3	31	119
6	10	24	86
7	7	24	56
8	1	7	10
9	14	26	71
10	12	31	98
11	10	21	90
12	5	8	62
13	5	32	72
14	332	1173	27
15	390	1699	45
16	233	1490	-
17	152	711	16
18	86	359	11
19	58	137	7
20	5	82	7
21	62	152	10
22	50	148	11
23	42	124	10
Razem:	**1502**	**6366**	**1212**

W tym na terenie obecnego powiatu makowskiego, razem w ciągu 4-ech dni walk pomiędzy 14-17 stycznia 1945 r. zginęło 1 107 żołnierzy Armii Czerwonej, a rannych zostało kolejnych 5 073.

Straty Armii Czerwonej

Łącznie w walkach na przyczółku różańskim oraz w czasie trwania operacji Wschodnio-Pruskiej od 4 września 1944 r. do 19 stycznia 1945 r. na terenie powiatów: makowskiego, przasnyskiego i częściowo ostrowskiego zginęło lub zmarło w szpitalach polowych w wyniku poniesionych tu ran 15.549 żołnierzy[1], w tym na terenie samej gminy Rzewnie poległo lub zmarło w szpitalach rozmieszczonych na jej terenie 2 815 żołnierzy z 48 armii II Białoruskiego Frontu. Zdecydowana większość poległych to żołnierze 194, 73, 170 i 217 dp.

Zwłoki żołnierzy pochowanych na polu walki oraz na cmentarzach tworzonych w pobliżu szpitali korpuśnych w okresie od 4 września 1944 roku do 20 stycznia 1945 roku ekshumowano w styczniu, lutym i marcu 1950 roku i przeniesiono na Cmentarz Żołnierzy Armii Radzieckiej w Makowie Mazowieckim.

Cmentarz ten zlokalizowany jest ma skraju lasu Grzanka w południowo-wschodniej części miasta i należy do największych w Polsce cmentarzy Armii Radzieckiej. Jego powierzchnia wynosi 3,1 h. Teren upamiętnionego miejsca otoczony jest murem wykonanym z kamienia łupanego o wysokości ok. 1,7 m. Przez środek cmentarza w kierunku pomnika wiedzie asfaltowa aleja, a po jej lewej i prawej stronie usytuowanych jest 614 mogił zbiorowych i 50 pojedynczych mogił oficerów. Aleja jest zakończona pomnikiem wykonanym z szarego piaskowca o wysokości ok. 20 m. ozdobionym tablicą memoratywną z napisem o treści:

„BOHATERSKIM ŻOŁNIERZOM ARMII RADZIECKIEJ OSWOBODZICIELOM POLSKI POLEGŁYM W WALCE Z OKUPANTEM”
WDZIĘCZNI MIESZKAŃCY POWIATÓW MAKÓW MAZOWIECKI I PRZASNYSZ.

kmdr prof. dr hab. zwyczajny Jerzy Przybylski
w opracowaniu Artura Grabowskiego

Cmentarz żołnierzy Armii Radzieckiej, październik 2014, foto. Sławomir Rutkowski.

Radzieckie cmentarze wojenne i miejsca pochówku żołnierzy Armii Czerwonej w gminie Sielc (z siedzibą w Rzewniu) utworzone w 1944 i 1945 roku i zlikwidowane zimą 1950 roku

Nr zbiorowej mogiły	Miejsce cmentarza wojennego lub miejsca pochówku	Liczba zwłok	Przyczyna zgonu	Kwatera na cmentarzu wojskowym w Makowie Maz.
1	**Łachy Nowe** - pole Edwarda Makarewicza	3	polegli w boju (4-8.09.1944)	232
2	**Łachy Nowe** - pola Stanisława Godlewskiego i Czesława Dorockiego	354	polegli w boju (5-12.1944 oraz 4-12.10.1944)	265, 255, 62, 82, 67, 224, 214, 204, 254
3	**Łachy Włościańskie** - pole Michała Prusika	31	polegli w boju (4-8.09.1944)	194
4	**Orłowo** - pole Henryka Machnowskiego	24	polegli w boju (8-12.09.1944)	232 (14), 265 (10)
5	**Brzuze Duże** - pola Antoniego Gryczona, Antoniego Napiórkowskiego i Antoniego Żebrowskiego	29	polegli w boju (8-12.09.1944)	165
6	**Brzuze Duże** - pola Tomasza Mroza i Wacława Iwanowskiego	258	polegli w boju (4-8.09.1944) lub zmarli w szpitalu (20.09.-5.10.1944)	273, 271, 311, 321, 322, 72, 333, 291 **w Warszawie (oficerowie)** 167, 168, 169, 170-177 i 209, 210
7	**Brzuze Małe** - pole Bolesława Machowskiego i pole Edwarda Krupińskiego	23 8	polegli w boju (4-8.09.1944)	271, 332
8	**Brzuze Małe** - pola Edwarda Suchty i Zofii Mróz	8	polegli w boju (4-8.09.1944)	194, 165 i 72
9	**Grudunki** - pole Franciszka Biernackiego	3	polegli w boju (8.09.-5.10.1944)	265
10	**Grudunki** - pole Władysława Lubczyńskiego	3	polegli w boju (8.09.-5.10.1944)	265
11	**Drozdowo Włościańskie** - pola Czesława Martowskiego i Ludwika Sierakowskiego	14 35	polegli w boju (5-6.09.1944)	72, 272, 275, 281
12	**Dzbądz Kolonia** pola Franciszka Nowakowskiego, Reginy Machowskiej i Jana Filipiaka	81	polegli w boju (8-20.09.1944)	72, 272, 275, 281
13	**Napiórki Butne** - pola Franciszka Gosiewskiego i Tadeusza Chełkowskiego	26	polegli w boju (5-9.10.1944)	264
14	**Napiórki Ciężkie** - pole Anny Wysokiej i Aleksandra Gosiewskiego	57	polegli w boju (5-9.10.1944)	245, 264, 312, 312
15	**Mroczki-Kawki** - pola Józefa Kamieńskiego i Mariana Matysa	93	polegli w boju (20.09.-10.10.1944)	245, 313, 322, 324
16	**Olszewnica** - pola Mieczysława Mroczkowskiego, Stanisława Kraczewskiego i Czesława Rzewnickiego	62	polegli w boju (10-14.10.1944)	322, 335, 293
17	**Pruszki** - pola Adama i Mariana Napiórkowskich, Feliksa Mroczkowskiego oraz Mariana 6Grzybowskiego	62	polegli w boju (10-14.10.1944)	236, 237, 238
18	**Dąbrówka** - pola Bolesława Napiórkowskiego i Władysława Leśnika	31	polegli w boju (10-11.10.1944)	274
19	**Biendużka** - pole Stefana Pocztarskiego	31	polegli w boju (10-11.10.1944)	283
20	**Rostki-Kaptury** - pola Marii Piszewskiej i Franciszka Mikołajewskiego	6	polegli w boju (12.10.1944)	338
21	**Sielc-Nowy** - pole Władysława Idzikowskiego	87	polegli w boju (11-12.10.1944)	330, 320, 319, 326
22	**Sielc-Stary** - pola Władysława Malinowskiego i Adama Gregorka	193	polegli w boju (10-11.10.1944) zmarli w szpitalu – ranni w boju (16.10.1944-14.01.1945)	253, 268 **oficerowie pochowani w Warszawie:** 221, 223, 225
23	**Łaś** - pole Franciszki Kowalskiej	27	polegli w boju (11-12.10.1944)	498, 499, 500, 485, 486, 487, 488, 489
24	**Łaś** - pole Eugeniusza Góreckiego i las państwowy	95 122	polegli w boju (11-12.10.1944)	498, 499, 500, 485, 486
25	**Łaś** - pole Franciszki Kowalskiej i las państwowy	229 1	polegli w boju (11-12.10.1944) i zmarli w szpitalu (16.10.1944-14.01.1946)	464, 454, 444, 421
26	**Łaś** - pole Bolesława Samorajskiego	428	polegli w boju (11-12.10.1944) i zmarli w szpitalu (16.10.1944-14.01.1946)	38, 39, 40, 11, 12, 13 i 436, 435, 421, 415, 416
27	**Chrzczony** - pole Marii Napiórkowskiej i Feliksa Dzwonkowskiego	51	polegli w boju (10-13.10.1944)	30, 10
28	**Małki** - pole Feliksa **Dzwonkowskiego**	82	polegli w boju (10-13.10.1944)	591, 592, 587
29	**Chrzanowo** - pola Antoniego, Albina i Teodora Chrzanowskich	6	polegli w boju (10-13.10.1944)	570
30	**Chrzanowo** - pole Czesława Nostańskiego, pl. k. Figury	49	polegli w boju (10-13.10.1944)	589, 580
31	**Rzewnie** - pola Józefa Durki i Karola Popławskiego	10	polegli w boju (10-13.10.1944)	575
32	**Rzewnie** - pola Jana i Stanisława Ponikiewskich	95	polegli w boju (10-13.10.1944)	576, 568, 569
33	**Rzewnie** - las przy drodze do Antoniego Gutowskiego i ogród Wincentego Gotowskiego	5 7	polegli w boju (10-13.10.1944)	562
34	**Rzewnie** - pola Wł. Lalka i Jana Napiórkowskiego	15, 1	polegli w boju (10-13.10.1944)	575

Rok w ruskim cyrku

cz. III

Epsi PETERSON

Od Redaktora Wydania

Wielkie przestrzenie Rosyjskiego Dalekiego Wschodu, Syberii i krain Azji środkowej są tak rozległe, niezbadane i nieprzewidywalne jak natura człowieka. Przemierzając je ubitymi drogami, koleją lub samolotem, choćbyśmy je przemierzyli od krańca do krańca, poznamy ich jedynie mierny skrawek, i to nie ten reprezentatywny najbardziej. Tak jak znając ludzi w naszym sąsiedztwie lub rodzinie, widząc ich ciągle w tych samych sytuacjach, zaskakiwani jesteśmy czasami ich dziką, zupełnie nieprzewidywalną naturą i zachowaniami.

To co akceptowalne, ba wręcz pożądane w jednej kulturze, dla innej jest przejawem jej braku lub barbarzyństwa nawet. Tak jak nas samych jako jednostki określa najbardziej nasze osobiste doświadczenie, i po trosze to zbiorowe najbliższych i przodków, tak doświadczenie narodów określa ich dorobek kulturalny i to co najjaskrawsze w ich historii. Czasem pytamy dlaczego naród X postąpił tak, przecież my Polacy postąpilibyśmy inaczej – ano bo kierował się swoim własnym, a nie naszym doświadczeniem narodowym.

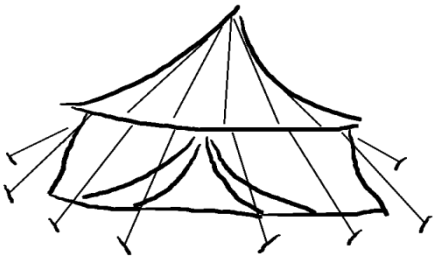

Autor niniejszego artykułu poznał bliżej niż znakomita większość Państwa – Czytelników Zeszytu, ludzi zamieszkujących środkowoazjatyckie i kaukaskie regiony upadającego Związku Sowieckiego. Prezentuje nam swoje spostrzeżenia, przytacza fakty, uzasadnia i komentuje. Z jego zdaniem i komentarzami możemy się zgadzać lub nie, ale fakty powinny wpłynąć na nasze postrzeganie tej części świata.

Autor choć dumny z bycia Polakiem, nie wybiela złych uczynków naszych rodaków. Prawda to pochwała dobra i napiętnowanie nazwanego zła – mówmy i czyńmy prawdę. Narody, które żyją zakłamując swoją teraźniejszość i historię nie są godne szacunku innych narodów.

Sławomir Rutkowski

Już w trakcie sezonu gdzieś tak na początku wakacji okazało się, że kierowniczka finansowa - czyli księgowa, jest w ciąży. W każdym razie w tym czasie taka informacja dotarła do kierownika. Ponieważ nie czuła się zbyt dobrze a trudy i niedogodności życia w cyrku okazały się zbyt duże postanowiono, że powinna wrócić do kraju. Jednak żeby wrócić z tak odległego miejsca należy najpierw polecieć do Moskwy.

Cyrk stacjonował wtedy w Piatigorsku, przepięknym mieście będącym jedną z wielu pereł tego regionu i pełniącym rolę kurortu ze swymi licznymi leczniczymi źródłami, podobnie, jak niedaleki Nalczik w Kabardyńskim Kraju. Nazwa Piatigorsk czyli pięcio-góra wzięła się od góry Besztau o wysokości ponad 1400 metrów n.p.m. i jej pięciu szczytów. Tak wspaniałych widoków nie sposób spotkać chyba nigdzie indziej na świecie. Okolice trochę podobne do naszej Krynicy jednak miasta te są znacznie większe, góry wyższe, a widoki jeszcze bardziej urocze. Częściowo ośnieżone szczyty monumentalnie wznoszące się nad miastem, o które od czasu do czasu zahaczały przepływające niczym cukrowa wata kłębiaste chmury. Najbliższym lotniskiem od tego uroczego miejsca było oddalone o kilkadziesiąt kilometrów to w Mineralnych Wodach.

Postanowiono również, a raczej taką decyzję podjął dyrektor, że dla bezpieczeństwa no i w ramach opieki, z kierowniczką poleci kierownik. On sam ucieszył się gdyż nadarzała się właśnie okazja polecieć do stolicy ZSRR, a Moskwy nie było w planach trasy cyrku. Oczywiście wcześniej trzeba było załatwić formalności i kupić bilety. Żeby nie wyglądało to na rozrzutność państwowych pieniędzy Stary wynalazł dla kierownika oficjalne zadanie. Mianowicie miał on zgłosić się do Ambasady Polski w Moskwie, aby dowiedzieć się w sprawie pewnych prawnych kwestii dotyczących funkcjonowania cyrku na terenie Rosji. Ponieważ było to dość fikcyjne zadanie kierownik raczej się nim nie przejmował.

W wyznaczonym dniu kierowca odwiózł więc kierownika wraz z podopieczną na lotnisko. Może nie było ono aż tak ogromne jak Szeremietiewo w Moskwie, ale i tak robiło spore wrażenie. Tym bardziej, że do tej pory kierownik nie miał zbyt wiele do czynienia z tego typu komunikacją. Owszem leciał kiedyś krajowymi liniami, ale to było dawno, a poza tym to nie ta skala. Tam sam pas startowy miał prawie 4 km. Dla porównania pasy startowe na Okęciu w Warszawie mają 3690 i 2800 m

Oczywiście odpowiedniej skali był też samolot jakim okazał się być Il 62M. Był to samolot pasażerski napędzany czterema silnikami turboodrzutowymi w tylnej części ogona. Po wejściu na pokład okazał się być też piętrowym. Jako obcokrajowcy mieli wykupione miejsca w odpowiedniej klasie. Przez cały czas byli też odpowiednio do tego statusu traktowani. W Rosji na krajowych lotniskach zazwyczaj jedynie pasażerów z Inturistu[20] dowożono z terminala do samolotu autobusem. Rosjanie pokonywali ten dystans na piechotę. Trzeba też przyznać, że lot był komfortowy. Czyste i jasne wnętrze kabiny pasażerskiej, klimatyzacja i odpowiednia obsługa. Bardzo się to różniło od tak zwanych tanich linii lotniczych, które ostatnio stały się modne i powszechne w Polsce. A obecnie tanie, często tylko z nazwy. Tam transport lotniczy był rzeczą raczej normalną. Rosjanie z racji ogromnego terytorium swojego kraju już od wielu lat powszechnie korzystali z dość dobrze rozwiniętej sieci połączeń lotniczych. Oczywiście wszędzie można było dotrzeć też koleją, ale w tym przypadku zależało na czasie. Poza tym podróż pociągiem byłaby zbyt męcząca dla ciężarnej kobiety, a odległość jaka ich dzieliła od celu to prawie 1500 km i to w linii prostej.

Poza wizytą w ambasadzie zadaniem kierownika było odeskortowanie kierowniczki do odprawy paszportowej na lotnisku w Moskwie i dopilnowanie aby szczęśliwie odleciała do kraju. Tam będzie czekał już na nią ktoś z rodziny. Zadanie wbrew pozorom wcale nie było takie łatwe, gdyż lotnisko Szeremietiewo okazało się ogromne. Należało więc odnaleźć odpowiednią strefę skąd odprawiano samoloty do Polski. Ale ponieważ nie takie już zadania kierownik realizował od kilku miesięcy, więc i z tym sobie poradził. Tym bardziej, że w tamtym czasie znał rosyjski już tak dobrze, że nawet jak przyznawał się, iż jest Polakiem to i tak mu nie wierzono dopóki nie pokazał paszportu, do którego jako jeden z nielicznych miał ciągły dostęp.

I tu mała dygresja. Otóż jeszcze kilka lat wcześniej kiedy chodził do szkoły nigdy by nie przypuszczał, że kiedykolwiek tak dobrze opanuje ten powszechnie nielubiany w naszym kraju język. Kierownik jako młody chłopak w szkole też za bardzo za nim nie przepadał. Jednak nie dlatego, że miał coś przeciw Rosji, czy Rosjanom. Po prostu nauka rosyjskiego wydawała mu się zbędna, a poza tym brak chęci do nauki pogłębiali sami nauczyciele. W pewnym momencie, jeszcze w szkole podstawowej od krył, że nawet nie musi się starać, gdyż za każdym razem niezależnie czy nauczył się wiersza, czy też nie - dostawał zawsze 3=,

[20] Oficjalnie, Państwowa Agencja Turystyczna ZSRR – INTURIST. Założona w roku 1929 przez Stalina. Odpowiadała także za ruch cudzoziemców na terytorium ZSRR.

czyli - trójkę z dwoma minusami. Na początku trochę go to nawet irytowało ale potem uznał, że to nawet lepiej więc nie uczył się w ogóle. Z resztą kto w tamtych czasach nauczył się języka rosyjskiego w szkole? Można śmiało przyjąć, że raczej niewielki procent choć każdy obecnie w CV chętnie wpisuje rosyjski jako język, który choć trochę zna. Ale prawda jest taka, że większość Polaków myśli, że jeśli doda zmiękczenie polskich wyrazów i odpowiednio je zaakcentuje to już będzie to po rosyjsku. Generalnie jak widać na przykładzie kierownika nauka w szkole ze znajomością języka ma najczęściej mało wspólnego. Jednak mimo wszystko te kilka miesięcy w ZSRR wystarczyło aby rosyjski opanować prawie do perfekcji. Czasem wydaje nam się, że na wycieczce trwającej 2 lub 3 tygodnie poznaliśmy dany język całkiem dobrze. Bo przecież daliśmy radę się dogadać w sklepie, hotelu czy w taksówce. Chętnie się potem tym chwalimy. Jednak nasz wątpliwy sukces to najczęściej zasługa tego, że w turystycznych miejscowościach rdzenna ludność sama dostosowuje swój język do potrzeb turystów. Nam wydaje się, że dogadujemy się bo tak dobrze go znamy a w rzeczywistości rozmówcy zniżając się do naszego poziomu i posiłkując się innymi jeżykami jak np. angielskim znacznie nam w tym pomagają. O języku w ogóle i pewnym ciekawym zjawisku z nim związanym jeszcze będzie w dalszej części.

Tymczasem kierowniczka finansowa szczęśliwie odleciała do Warszawy. Było około godziny trzeciej po południu, a kierownik musiał jeszcze kupić bilet powrotny dla siebie. Jak się można było spodziewać w powrotną stronę nie było już wolnych miejsc w tym dniu. Tam ludzie latali masowo więc loty zazwyczaj były kompletne. W związku z tym poprosił o bilet na lot w dniu następnym, ale okazało się, że w tamten rejon samolot leci dopiero za 2 dni i też częściowo wykupiono już bilety. Poza tym wschodnio–południowe, czyli ciepłe rejony kraju w czasie wakacji były dość mocno oblegane gdyż moskwiczanie powszechnie wybierali się tam na urlop. Mimo, że w tamtym czasie społeczeństwo rosyjskie nie było tak zamożne jak dzisiaj, chociaż powszechna opinia jest całkiem inna. Kto był na wakacjach gdzieś za granicą ten wie. Obecnie nawet w największych i modnych kurortach na świecie zawsze można usłyszeć rozmowy w języku rosyjskim. A jeszcze ćwierć wieku temu jeśli można było spotkać jakiegoś turystę gdzieś za granicą to był to najczęściej Niemiec. Polacy też znacznie mniej wtedy podróżowali po świecie. Oczywiście z różnych powodów. Jednak najczęściej z powodu braku pieniędzy. Nie jest bowiem prawdą, że głównym powodem były zamknięte granice i potrzeba posiadania paszportów i wiz. Owszem to nie było ułatwienie, ale bez zasobnego portfela i dziś nie da się wyjechać chociażby nad polskie morze. Ponieważ na tak obleganym kierunku samoloty latały co drugi dzień nie dziwił fakt, ze miały zawsze komplet. No ale jeśli tak jest ... pomyślał kierownik:

– To co za różnica, jeśli polecę jeszcze w następnym terminie?

– I na tę myśl sam się do siebie uśmiechnął.

– W tym czasie pozwiedzam sobie Moskwę, to jedyna okazja. W końcu Stary nie zapewnił mi biletu z powrotem ani nie określił dokładnie kiedy mam wrócić. W dodatku dzisiaj to i tak już nic nie załatwię w Ambasadzie.

Z takim planem w głowie poprosił o bilet na za tydzień a dokładnie za 10 dni. I właśnie tyle dni był w Moskwie. Jak na pierwszą wizytę to całkiem niezła wycieczka. Nie czuł się wyobcowany mimo, że miasto robiło niesamowite wrażenie. Na szczęście znał już całkiem nieźle mieszkających tu ludzi ich zwyczaje no i doskonale władał ich językiem. Więc w większości przypadków nawet się nie przyznawał kim jest naprawdę. I czuł się niemalże jak we własnym kraju.

Tak właśnie zaczęła się jego przygoda ze stolicą ZSRR, miastem gigantycznym, bo aż 5 razy większym od Warszawy, bardzo ciekawym, zaskakującym i wręcz tajemniczym.

***

Jeśli już mowa o Moskwie to nie sposób nie wspomnieć o Moskiewskim Metrze. Które jest jednym z trzech największych na świecie. Równie wielkie jest jeszcze metro w Tokio i Seulu. W tamtym czasie nosiło ono imię W. I. Lenina i już wtedy miało ponad 160 stacji i aż 9 linii, które krzyżowały się na trzech poziomach. Obecnie jest to prawie 200 stacji rozmieszczonych na 13 liniach. Nadal realizowana jest też rozbudowa, której przyjęty plan rozciąga się na lata 2011–2020. W tym czasie planuje się wybudowanie kolejnych kilkudziesięciu stacji. Jest to również jeden z najgłębszych tego typu obiektów na świecie. Taki ogrom może zachwycić czy chociażby zadziwić każdego. Tak też było z naszym bohaterem. Tym bardziej, że do tej pory jedyne podziemne stacje jakie znał to był dworzec Warszawa Śródmieście i przejście do Dworca Centralnego. A namiastką metra był tunel łączący stację Warszawa Śródmieście z Powiślem. Trzeba więc przyznać, że różnica skali była ogromna. Początkowo doznawał szoku niemal prawie na każdej stacji. I chyba nie powinno to nikogo dziwić kiedy zobaczy takie

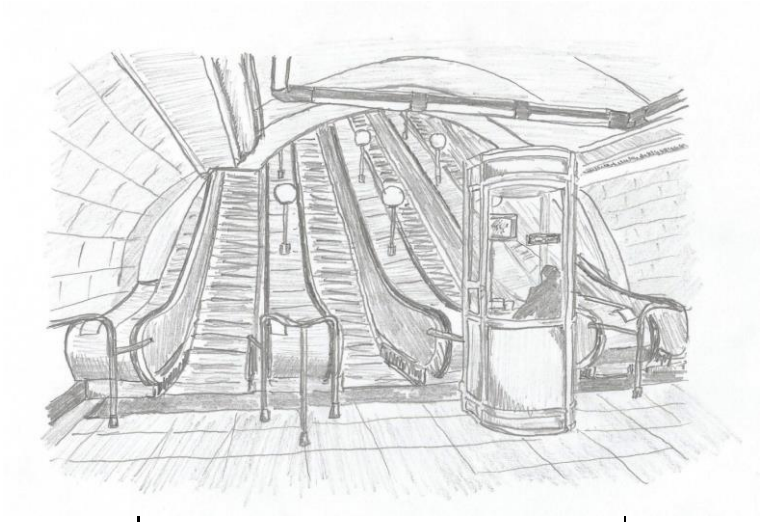

Schody w jednej ze stacji metra w Moskwie.

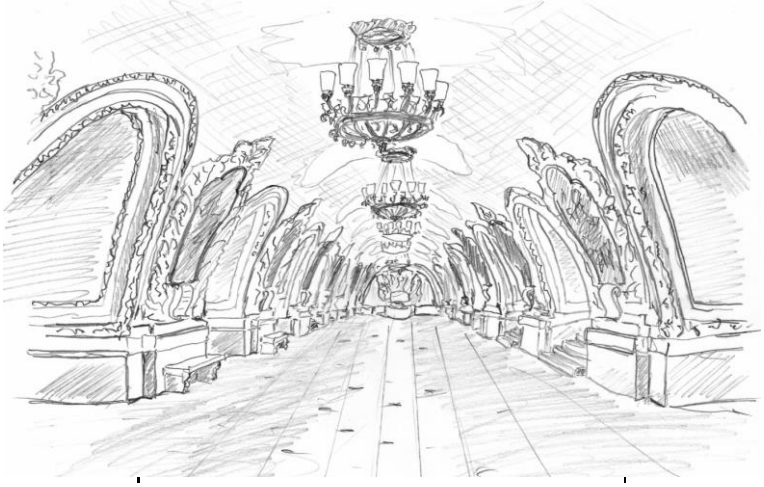

Stacja Kijowska – metro Moskwa, (odręczny rysunek nie jest jednak w stanie oddać nawet w części tej wspaniałej rzeczywistości).

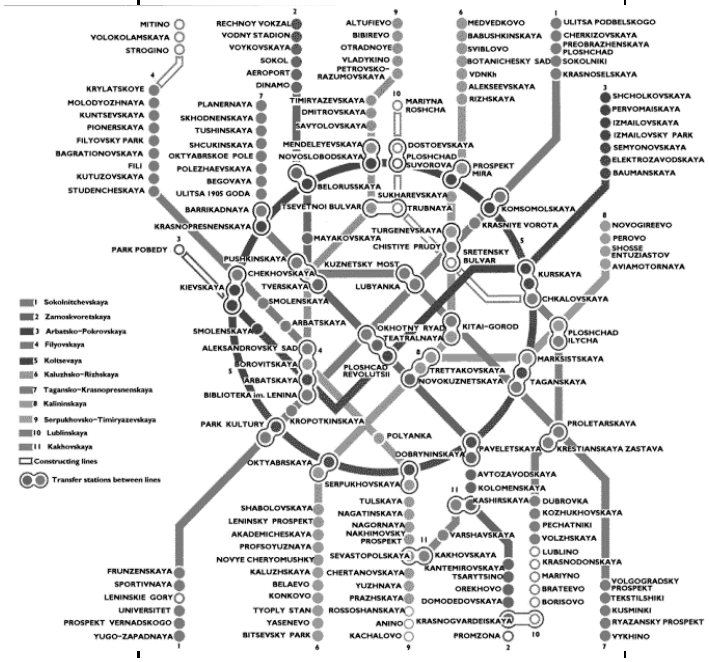

Schemat metra w Moskwie.

stacje jak chociażby: Kijowska, Dzierżyńska, Komsomolska, Nowosłobodowsaka czy Park Zwycięstwa. Przepych i rozmach zawarty we wspaniałej architekturze dorównuje niejednym pałacom. Ornamenty na ścianach, wspaniałe żyrandole, posadzki, rzeźby, malowidła, witraże, podcienie i kolumny. A wszystko to wykonane z marmurów i innych szlachetnych materiałów, złocone lub bogato zdobione sztukaterią i innymi elementami architektonicznymi. W tym aż 44 stacje uznawane są jako obiekty stanowiące dziedzictwo narodowe. Owszem nowe stacje już nie są budowane i ozdabiane w taki sposób. Jednak i one zachwycają nowoczesną architekturą, zestawieniem zastosowanych materiałów i rozwiązań technicznych, czy też oświetleniem. Często stanowią połączenie stylów high–tech i art–deco. A przykładem może być chociażby stacja Sławiański Bulwar, czy Borisowo. Już same zdjęcia robią wrażenie jednak kiedy się to widzi na żywo, kiedy się tam po prostu jest, można się poczuć jak w innym świecie. Szczególnie kiedy ma się świadomość, iż to wszystko znajduje się na głębokości prawie 80 metrów pod ziemią. Tak też czuł się młody człowiek. Bo jak miał się czuć kiedy zjeżdżał w głąb metra ruchomymi schodami w czasie ponad jednej minuty? Dla schodów jest to naprawdę bardzo dużo. Pasażerowie często w czasie takiej podróży czytali książki lub gazety, bo cóż innego mogli robić. Kierownik jednak za każdym razem nasycał swoje zmysły widokiem i atmosferą jaka tam panowała. Przy każdym wejściu do metra były trzy, a czasem cztery ciągi schodów i w zależności od nasilenia ruchu pasażerów jedne wiozły ich w dół, a inne w górę. Na dole u podnóża schodów znajdowała się zazwyczaj budka obsługi. Osoba tam pracująca (oczywiście w odpowiednim uniformie) czuwała nad bezpieczeństwem i sterowała pracą schodów.

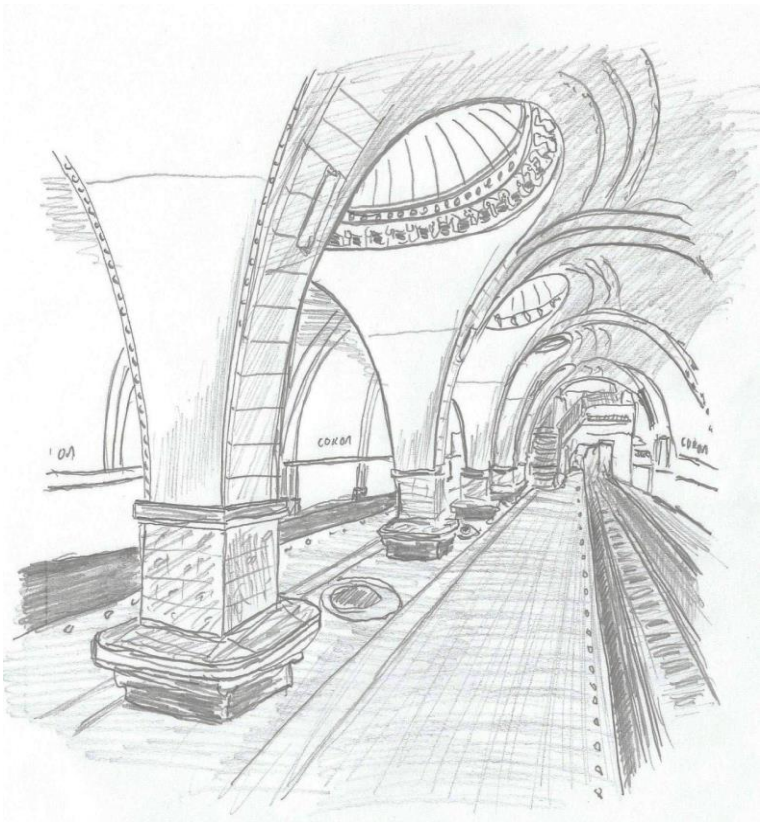

Stacja metra w Moskwie – Sokół.

Do tej pory jedyne schody jakie znał to były, te w Domach Towarowych Centrum w Warszawie. Ich bieg trwał zaledwie kilkanaście sekund więc różnica była ogromna. Nie będzie to nikogo dziwić kiedy weźmie pod uwagę, że najdłuższe schody w moskiewskim metrze mają ponad 120 m. Z czasów szkolnych zadań wiemy, iż przyjmuje się, że piechur czyli ktoś kto porusza się dość żwawym krokiem w ciągu godziny pokonuje odległość 6 kilometrów. Więc żeby przejść 120 m po prostej drodze normalnym krokiem potrzeba znacznie ponad 60 sek. A co dopiero zjechać w dół. Schody przecież nie mogą pędzić jak winda, bo ludzie by się poprzewracali. Przebywając w tych wnętrzach kierownik nie raz sobie myślał:

– Niech ktoś mi teraz powie, że możemy się z nimi równać. Ciekawe w czym?

I miał na myśli porównanie naszego kraju do Rosji. Niestety w Polsce zasada znajomości swego miejsca w szyku nie jest zbyt powszechna. Jako naród mamy tendencję do kompleksów w stosunku do tych co, do których ich mieć nie powinniśmy. Jednocześnie staramy się za wszelka cenę wywyższyć ponad tych, którzy nas przerastają pod wieloma względami. Tak też właśnie myślał kierownik. I można go winić za brak dostatecznej dozy patriotyzmu, ale trzeba przyznać, że przy chłodnej kalkulacji miał sporo racji.

Bo dla przykładu skoro jesteśmy przy tym temacie, wystarczy zwrócić uwagę, że metro w Moskwie powstało już w 1935 roku, a raczej w tym roku uruchomiono pierwszą linie. Więc tak naprawdę musiało zacząć powstawać znacznie wcześniej biorąc pod uwagę, że jego budowa to proces rozciągnięty mocno w czasie.

A co my jako kraj w związku z tym mamy do powiedzenia? Raczej niewiele. W każdym razie nie mamy się czym chwalić. Nasze skromne metro powstało dopiero w 1995 roku. Mimo, że pierwsze plany budowy sięgają roku 1925. Ale zaraz… czy to aby nie wtedy w Polsce rozpoczęła się sanacja? Można by więc wysnuć wnioski, że to właśnie za rządów przez wielu wielbionego i uważanego za wspaniałego wodza J. Piłsudskiego, zaniechano tak ważnego projektu. Ale wtedy dla rządzących były jak się okazało ważniejsze sprawy. Nie rozwój był ważny a umocnienie władzy. Trzeba było zwalczać politycznych wrogów i przeciwników, a nade wszytko gotować się do wojowania z Rosją. Okres ten przez wielu historyków i badaczy uważany jest za czas sanacyjnego reżimu, gdzie przy autorytarnych rządach kult Piłsudskiego stał się nieomal oficjalną ideologią państwową. I jedynie, wręcz paradoksalnie dzięki wybuchowi II Wojny Światowej na szczęście doszło do jego upadku. Jeśli ktoś uzna powyższe słowa za przesadę niech zajrzy do informacji na temat Komisji Hallera utworzonej, aby osądzić sanacyjne rządy lub obejrzy sobie film pt. „Zamach stanu" z roku 1981.

Czyli nasze metro dopiero w roku 1995 uruchomiło pierwsza linię. To aż 5 lat po tym jak moskiewskim metrem zachwycał się nasz bohater. Obecnie ma ono raptem 2 linie i tylko 21 stacji. Wystarczy więc porównać ile zrobiono w tym samym czasie czyli od 1995 r. w Warszawie a ile w Moskwie. Okaże się wtedy, że Rosjanie zbudowali aż 3 linie i 28 stacji. Przy czym długość linii, która też ma znaczenie, wynosi 23 km w Warszawie i 37 km w Moskwie. Na koniec tych statystyk trzeba dodać, że w Rosji budowano metro równolegle nie tylko w Moskwie, ale też w innych miastach. Obecnie Rosja ma aż 7 miast, które posiadają Metro. A najgłębsza stacja na świecie bo aż 102 metry znajduje się w Kijowie, który wtedy należał do ZSRR.

Ten przykład daje nam dobitnie różnicę skali skoro ktoś nie dostrzega jej w innych aspektach pomijając już powierzchnie, ilość mieszkańców itd. I o tym należy pamiętać, aby móc poprawnie i sprawiedliwie oceniać ten kraj. Wielu jest takich, którzy stwierdzą no dobrze ale nie zapominajmy, że po wojnie Polska stała się krajem zależnym od ZSRR niczym republika tego kraju. Co oczywiście będzie przesadą. Jednak przy przykładzie Metra nie ma to i tak znaczenia, bowiem nikt nam przecież z zewnątrz nie ograniczał możliwości budowy metra przed wojną.

Z moskiewskim metrem wiążą się też tragiczne wydarzenia. Bo oto w roku 2004, a dokładniej 6 lutego doszło tam do zamachu bombowego w wyniku, którego zginęło 39 osób a ponad 100 zostało rannych. Zamachu dokonali czeczeńscy terroryści. Aby bardziej przybliżyć ówczesne realia trzeba powiedzieć o tym, że w Rosji tamtych lat zamachy tego typu były dość powszechne. Nie każdy też wie, że zdążają się ona nadal choć na mniejszą skalę. Okres ten pomiędzy pierwszą a drugą wojną czeczeńską był pełen mniej lub bardziej tragicznych zdarzeń. Poza zamachem na szkolę w Biesłanie o czym już pisałem należy tu wymienić zamach na Moskiewski Teatr na Dubrowce. W październiku 2002 roku zginęło tam 125 osób. Potem w roku 2004 terroryści wysadzili jeszcze dwa rosyjskie samoloty. Warto o tym pamiętać użalając się nad biedną Ameryką nękaną terroryzmem i walczącą z nim z całych sił na całym świecie. Jednak Rosja jak wiemy nie szuka zemsty na innych kontynentach tak jak czyni to USA. Nie angażuje też całego świata w swoje problemy wmawiając, że np. Czeczeńcy zagrażają całej Europie. Dlatego czasem może warto rozważyć ten problem, aby nasze pojęcie o pewnych sprawach nie było jedynie wynikiem odpowiednich zabiegów medialnopolitycznych.

* * *

Kierownik często korzystał z metra podczas swojego pobytu. I w tamtym czasie do głowy by mu nigdy nie przyszło, że kiedykolwiek mogłoby tam dojść do podobnych a wyżej opisanych zdarzeń. Ten środek transportu był tam powszechny i oczywisty, gdyż dawał dużo więcej możliwości niż np. autobus czy trolejbus, a przy tym znacznie oszczędzał czas. Wydawał się też być bezpiecznym. Trzeba było jedynie nauczyć się gdzie co jest. A w tym celu wystarczyło kogoś zapytać jak dostać się tu czy tam. Na przykład tego jak dostać się do GUM–u czyli największego domu handlowego, czy też Placu Czerwonego. I okazywało się, że należy wysiąść na stacji „Plac Rewolucji" i przejść ok. 200 m. Kierownik dość szybko doszedł w tym do dość dużej wprawy. Nie było to trudne bo wszystko było znakomicie oznakowane i opisane. Oczywiście trzeba było tylko wiedzieć dokąd chce się jechać. A poza tym sprawnie opanować umiejętność przemieszczania się pomiędzy liniami i poziomami metra oraz poprawnego odczytywania rozmieszczonych w każdym miejscu planów. Kluczowym było przyjęcie za podstawę linii zwanej pierścieniową z ros. кольцевая[21], która przecinała wszystkie inne i służyła do przesiadek. Można było nią podróżować jakby w pętli. W tym samym pociągu, bez przesadek po zrobieniu pełnego okrążenia dojeżdżało się do stacji, z której podróż się rozpoczęła. Wycieczki po Moskwie i zachwyt miastem pochłaniały kierownikowi całe dnie. Z tego wszystkiego zupełnie zapomniał, że powinien odwiedzić Ambasadę. Przypomniał sobie dopiero dzień przed lotem powrotnym. Niestety było już za późno na oficjalną wizytę. Dlatego postanowił jedynie tam zadzwonić. I w ten sposób dzwoniąc z ulicznej budki dowiedział się tego czego miał się dowiedzieć. Zadanie to w końcu było jedynie przykrywką dla jego podróży. Ale wolał jednak to ustalić gdyż przez skórę czuł, że Stary nie będzie zadowolony z faktu, iż jego powrót opóźnił się o ponad tydzień.

Przez te wszystkie dni mieszkał w wynajętym mieszkaniu w dzielnicy „Sokół" i na stacji o tejże nazwie zazwyczaj wysiadał. Była ona wtedy jedną z nowszych. Wynajęcie mieszkania było bardziej wygodne, a poza tym tańsze. Bo mimo, iż dysponował sporą ilością gotówki to pokoje w takich hotelach jak Kosmos czy Rosja były i dla niego zbyt drogie. A nie znał przecież miasta, żeby wynaleźć sobie jakiś tańszy hotel zaraz po przyjedzie. Za to ofert wynajęcia mieszkań było mnóstwo na ogłoszeniowych tablicach już na samym lotnisku.

Jednak nie tylko metro mogło zadziwiać przybysza. Podobne wrażenie robiły ogromne sklepy. Dziś nazwalibyśmy je centrami handlowymi jakimi był np. „Świat Dziecka'. Przy nim nasz warszawski „Smyk" to sklepik. Był to ogromny 6 piętrowy zabytkowy obiekt położony przy Placu Łubiańskim w pobliżu stacji Kuźniecki Most. Można jeszcze dodać, że ulica przy, której stoi, czyli Pasaż Teatralny ma aż 6 pasów ruchu a jest jednokierunkowa. Podobne wrażenie robił 6 piętrowy Centralny Uniwersalny Sklep w skrócie ЦУМ[22] przy ul. Pietrowka czy Główny Uniwersalny Sklep czyli ГУМ[23], inaczej Dom Targowy. Które to obiekty były równie potężne i zabytkowe. A ich ogromne wnętrza podobnie jak stacje metra, bogato zdobione. Od środka wyglądało to jak olbrzymie kamienice z oknami i fasadami połączone ze sobą przeszklonym dachem przykrywającym liczne okazałe antresole i przejścia niczym mosty zawieszone pomiędzy tymi budynkami. Sam ГУМ z zewnątrz mimo, że był niższy od pozostałych gigantycznych sklepów wyglądał niczym pałac, którego front rozciągał się na długości prawie 250 m. A położony był przy tym samym placu co słynne Mauzoleum Lenina czyli przy Placu Czerwonym. To osobliwe Mauzoleum jako obiekt niemal kultu w ZSRR zasługuje na osobną opowieść. W tamtych czasach takich wspaniałych i jednocześnie wielkich obiektów handlowych nie było nigdzie indziej w Europie. Dla porównania obecnie podobnej wielkości jest Centrum Handlowe „Galeria Mokotów" przy ul. Wołoskiej w Warszawie a Centrum Handlowe „Wola Park" znajdujące się przy ul. Górczewskiej w Warszawie jest nawet mniejsze.

Jednak Moskwa jak zresztą cały kraj, była bardzo kontrastowa. I tu trzeba szczerze przyznać, że biedę czy też pewien rodzaj zacofania można było bez trudu dostrzec. Głównie w rejonach wiejskich czy mniejszych miast. Owszem w jednych był to pewien rodzaj folkloru czy tradycji, a w innych zwykły brak nowoczesności. A powodów takiego stanu było tak wiele, że trzeba by napisać osobną książkę żeby je z grubsza omówić. Jednak w tamtych czasach podobnie z resztą jak w Polsce nie było tam bezrobotnych, bezdomnych itd. Do mitów należy włożyć opowieści o panującym powszechnym głodzie w ZSRR. W ogóle kwestia biedy czy zacofania jest zależna od perspektywy z jakiej się ją ocenia. Dlatego w Moskwie tak samo jak w całym kraju przerażająca bieda przeplatała się z nieopisanym bogactwem. Czy nie jest tak i teraz w tak zarwanych wysoce rozwiniętych krajach? Gdzie dzielnice biedy sąsiadują z dzielnicami bogactwa. W Moskwie można było trafić na autobusowy przystanek wokół, którego walały się sterty śmieci i grasowały stada szczurów a można było też zjeść obiad w restauracji gdzie już przy wejściu obsługiwał gości czarnoskóry kelner i gdzie przed wejściem na salę można było bez skrępowania umyć ręce w specjalnie do tego celu przygotowanych marmurowych umywalkach. Bez potrzeby szukania toalety. Czegoś takiego kierownik nigdy ani wcześniej ani później nie doświadczył. Nawet teraz jeśli ktoś specjalnie nie zadba o higienę i nie pójdzie opłukać rąk do toalety to prosto z ulicy siada przy stole i już po chwili je, nie rzadko rękoma. Tak jak np. w MacDonaldzie czy innych tego typu jadłodajniach.

Wnętrze Głównego Uniwersalnego Sklepu przy Placu Czerwonym w Moskwie.

* * *

Właśnie w 1990 roku, a dokładniej 31 stycznia w Moskwie przy Placu Puszkina otworzono pierwszy MacDonald. Nadal jest on największą restauracją tej firmy w Rosji. W dniu otwarcia odwiedziło ją ponad 30 tys. klientów. I tu dla przykładu kolejne małe porównanie. Otóż w Polsce pierwszy bar MacDonalda otworzono dopiero w 1992 roku, czyli aż o 2 lata później niż w Rosji. Nasz bohater też oczywiście tam trafił jednak mimo, iż od otwarcia minęło kilka miesięcy nie było szans aby się dostać do środka. Długa i gruba kolejka nadal sięgała kilkuset metrów i trzeba byłoby czekać kilka godzi aby można było cokolwiek zamówić. Ale mimo to jak zawsze spokojni Rosjanie bez awantur i przepychanek cierpliwie czekali. Dla kierownika była to taka sama nowość i atrakcja jak dla mieszkańców Moskwy, jednak nie aż taka żeby poświecić 3 godziny na stanie w kolejce.

Podobne kolejki były jedynie przed Mauzoleum Lenina. Tu warto było postać. Jednak żeby dostać się do środka - co oczywiste, trzeba było kupić bilet. A cena zależna była od tego kto bilet kupował. Dla zagranicznych turystów była ona trzykrotnie wyższa. I jeśli ktoś znał wystarczająco język mógł się do tego faktu nie przyznawać. Ale jak już wspominano to temat na osobną historię.

Inny przykład Moskwy tamtych czasów nie jest dla tego kraju już taki korzystny jak wspaniałe metro czy inne obiekty, ale to właśnie należy do wspominanego kontrastu. Otóż pewnego razu zdarzyło się kierownikowi znaleźć na dworcu kolejowym. Konkretnie na Białoruskim, gdzie między innymi przyjeżdżają pociągi z Polski. Co ciekawe obecnie na jego terenie

[21] Z ros. – czytaj – kalcewaja

[22] Z ros. – czytaj CUM – Centralnyj Uniwersalnyj Magazin.

[23] Z ros. – czytaj – GUM – Gławnyj Uniwersalnyj Magazin.

działają aż 4 restauracje MacDonald. Położony jest on niedaleko Centralnego Moskiewskiego Hipodromu czyli wyścigów konnych. Było dość chłodno i kropił deszcz. Kierownik był na mieście już od rana więc nieuchronnie przyszła pora skorzystania z toalety. Szczególnie po uprzednio zjedzonym obfitym objedzie. Co ciekawe był to jedyny okres w jego życiu kiedy do obiadu mógł swobodnie zamówić alkohol. Gdyż w późniejszych latach jakoś nigdy nie miał na to okazji. Jako kierowca własnego auta, który zazwyczaj wszędzie jeździł samochodem nawet o tym nie mógł pomyśleć. Nie mówiąc już, że w Polsce czy innych krajach w Europie nie byłoby go na to stać. Jak wiadomo alkohol w restauracji jest kilka razy droższy niż w sklepie. Szczególnie ten z wyższej półki. Zmuszony sytuacją wybrał się więc do toalety wiedziony oznakowaniem na dworcu. To co zobaczył przechodziło wszelkie wyobrażenie o takich miejscach. Dotychczas takie przybytki znał z dworców w Polsce i publicznych toalet w Warszawie np. w podziemnym przejściu pod ul. Marszałkowską. A i tak nigdy z nich nie korzystał, bo cierpiał na pewien rodzaj zahamowania. Psychologowie określają to jako swego rodzaju ograniczenie psychiczne objawiające się tym, że dotknięta nim osoba wszelkie potrzeby fizjologiczne może załatwić jedynie w miejscu intymnym. Czyli najlepiej we własnej zamykanej toalecie. Nie raz dziwił się kolegom, którzy bez skrepowania mogli załatwić się pod drzewem czy za krzakiem, który rósł wprost przy ruchliwym chodniku. Jednak on potrzebował innych warunków. Dlatego też zazwyczaj po wejściu do publicznej toalety chęć na załatwienie potrzeby znikała. Raczej zadziałały hamulce, które nie pozwalały na normalne funkcjonowanie organizmu w tej sytuacji. Zazwyczaj w podobnych przypadkach jakoś sobie radził. Jeśli była taka możliwość korzystał z zamykanych kabin a nie z pisuarów, gdzie w każdej chwili mógł obok stanąć całkiem obcy człowiek w wiadomym celu. Jeśli nie było takiej możliwości rezygnował i szukał innego miejsca. Jednak tu nie miał takiej możliwości. Poza tym miał świadomość, że jeśli nie teraz to kiedy? A brzuch bolał go coraz bardziej. Więc to była jedyna okazja.

Toaleta jaką ujrzał składała się z kilkunastu rozmieszczonych w szeregu kabin. Po drugiej stronie czyli naprzeciwko nich były ogromne okna a całe pomieszczenie przypominało wielką hale głównie ze względu na wysokość i rozmiary. Była to bowiem część ogromnego i zabytkowego dworca. Już taki ogrom go przytłaczał bo wyglądało to jak jakiś toaletowy kombinat. Wnętrze było na tyle obszerne, że każdy dźwięk potęgowany był echem, które gromko rozchodziło się pod sufitem jak nie przymierzając w kościele. Innym charakterystycznym elementem tej swoistej toalety była konstrukcja kabin. Otóż składały się one z kolejnych przylegających do siebie przedziałów, w których drzwi zamykały się na podobnej zasadzie jak drzwi do westernowego baru. Czyli nie miały zamknięcia i były zamykane siłą sprężyn a pomiędzy futryną a skrzydłem była szpara przez, którą przechodzący ludzie widzieli osobę w środku. Ale to jeszcze nie koniec atrakcji. Drzwi te podobnie jak i te w westernach nie sięgały podłogi a były nad nią zawieszone na wysokości ok. 20 cm. W środku kabiny był podobnej wysokości betonowy stopień, w którym zamiast sedesu był po prostu otwór nad którym się kucało. Kolejnym elementem budowy owych kabin, który przerażał kierownika było to, że okalające je ściany, które wykonane były z czegoś w rodzaju płyt wiórowych pomalowanych na zielono miały wysokość jakieś 150 – 170 cm. W związku z tym każda osoba, która weszła do kabiny a następnie stanęła na podwyższenie była widoczna mniej więcej od ramion w górę w zależności od wzrostu. Dlatego widać było dokładnie kto jaką potrzebę załatwia. Nieliczne osoby, które było widać oddawały zapewne mocz, a pozostałe, których widać nie było to wiadomo.

Kierownik miał sporo czasu aby przyjrzeć się jak to funkcjonuje, gdyż przed nim w kolejce było osiem osób. Jednak kolejka w miarę szybko się posuwała a zajmowanie kabin polegało na tym, że pierwsza osoba w kolejce obserwowała ciąg drzwi i jeśli ktoś wychodził oznaczało to, że przyszła właśnie jego kolej. Tak następowała wymiana. W tej niekomfortowej i stresującej sytuacji nasz bohater modlił się tylko żeby nie wylosować kabiny zaraz przy kolejce oczekujących bo to byłoby dla niego nie do przeżycia. I tak stojąc te kilka minut mobilizował się jak mógł żeby nie okazało się, że jak już przyjdzie jego kolej to nie ma już po co tam iść. Oczywiście w tym sensie, że psychologiczna blokada zadziała i nieodparta potrzeba zniknie. Wróciłaby jednak zaraz po wyjściu z dworca.

Czy to już koniec listy szokujących elementów tamtejszej toalety? Niestety nie, bowiem tuż przy wejściu niejako w strefie oczekujących wisiał na ścianie papier toaletowy. Ku przerażeniu kierownika szybko okazało się, że jest to jedyna rolka w tym przybytku. Osoby z kolejki zanim udały się do właśnie zwalnianej kabiny podchodziły do tej rolki i odrywały potrzebny kawałek. Ku rozpaczy kierownika było to zawsze zaledwie ok. 50 cm papieru.

– I co teraz...? – pomyślał.

– Przecież nigdy w życiu sobie nie poradzę z taką mizerną ilością.

Ale cóż było robić. Zbliżała się jego kolej i widocznie modlitwy zostały wysłuchane gdyż okazało się, że na szczęście w nieszczęściu kabina, do której przyszło mu się udać była umiejscowiona gdzieś pośrodku długiego szeregu. Zachęcony tym niewątpliwym fartem ruszył w stronę papieru. I mimo, że było to poważnym nietaktem urwał sobie grubo ponad metr. Który szybko zwinął w garści, żeby widziało to jak najmniej osób.

Cała reszta niech pozostanie milczeniem okupionym niewyobrażalnymi psychicznymi mękami kierownika, który tym razem musiał w jakiś sposób pokonać blokadę, która w nim tkwiła od dziecka. Jednak był to jedyny taki przypadek. Co ciekawe podczas przyszłej pracy w Cyrku Starligcht w Szwecji prawie całkowicie wyzbył się tej przypadłości. Ale to już inna historia.

Po tej opowieści już widzę uśmiechy na twarzach zwolenników ostrej i totalnej krytyki Rosji jako zacofanego kraju. Wynika z niej bowiem, że w tamtym czasie była ona daleko za nami jeśli chodzi o pewne standardy. Ale był to kraj wielkich i powszechnych kontrastów. Podczas gdy u nas raczej wszyscy mieli podobnie to u nich jedni byli na szczycie a inni na dnie. Zaś skala ich dzieląca znacznie wybiegała poza rozmiar naszego w miarę wyrównanego życia. Ale to właśnie charakteryzuje wielkie mocarstwa, podobnie jest przecież w USA, czy w Chinach. Polakowi trudno to raczej sobie wyobrazić, gdyż postrzeganie świata z naszej perspektywy nie przewiduje tego typu kwestii czy oczywistych faktów. Dla nas powszechnie kraj uważany za bogaty jest po prostu bogaty. I to nie podlega już dalszej dyskusji. Dlatego Chiny mimo, że biedne nie są uważane są za kraj biedny. Bo według nas biednie żyje się tam większości mieszkańców. A to przecież tam skupia się spora część światowej gospodarki i produkcji. Ale wszystko jak już pisałem zależy od skali, punktu odniesienia i perspektywy.

Mimo dość popularnej w Polsce opinii podczas pobytu w stolicy ZSRR kierownik nigdy nie widział nikogo pijanego na ulicy co w Warszawie zdarzało się często. Można zrzucić to na karb przypadku jednak w przeciągu ponad tygodnia ani w dzień ani nawet w nocy w różnych miejscach Moskwy nie doświadczył takiego widoku. A przecież powszechnie uważano, że Rosjanie piją na umór.

Inną ciekawostką może być to, że w tamtych czasach w Warszawie podobnie jak w Moskwie w publicznych miejscach można było spotkać automatyczny saturator z gazowanym napojem typu Fanta, czy też zwykłą wodą sodową. Normą było, że te w Warszawie miały coś w rodzaju szklanki a raczej słoika zamocowanego na sznurku lub nawet cienkim drucie. Jeśli w ogóle miały jakiekolwiek naczynie. Można by więc przypuszczać, że w Moskwie jest co najmniej tak samo, jeśli nie gorzej. Okazało się, że jest zupełnie odwrotnie. Sporym więc szokiem był widok saturatora wyposażonego w szklankę i w dodatku niczym nie przymocowaną. Nikomu nawet do głowy nie przychodziło, aby taką szklankę stamtąd zabrać. U nas jak nie była przymocowana to wiadomo, że jej nie było. Podobnie zresztą rzecz się miała jeśli chodzi o książki telefoniczne w telefonicznych budkach.

Karność i uczciwość radzieckich obywateli zachwycała kierownika na każdym kroku. Może nie było tak idealnie jak w Szwecji, jednak i tu ludzie po prostu byli uczciwi. No bo jak w Rosji tamtego okresu wyglądała podróż podmiejskim autobusem jakim kierownik miał okazję się kilkukrotnie przejechać. Pasażer wsiadał na przystanku i udawał się w pobliże kierowcy gdzie umieszczony był dozownik biletów. Tuż obok coś w rodzaju przezroczystej puszki na pieniądze. Bilet w zależności od trasy kosztował 20 czy 30 kopiejek. Pasażer więc odrywał sobie odcinek z całej rolki biletów i sam za niego płacił wrzucając należność do puszki. Co ciekawe nikt tego nie kontrolował i nikt nie nadzorował. Wydaje się to być niemożliwym, a jednak tak właśnie było. W Polsce tymczasem już dawno by ktoś wyciągnął całą rolkę biletów, a puszkę opróżnił z monet. Ale nie tam. Nie tam gdzie w autobusach kierowca przez głośnik informował na jakim przystanku właśnie się zatrzymał i jaki będzie następny. Nie tam gdzie w podmiejskich pociągach w każdym przedziale był telefon, którym bezpośrednio można było połączyć się z dyżurnym milicjantem, który dla bezpieczeństwa pasażerów podróżował w tym pociągu. I wreszcie nie tam gdzie osoba, która znalazła cudzą rzecz na chodniku zamiast schować ją od razu do kieszeni długo chodziła i szukała tego kto ją zgubił. Ta sytuacja się jednak zmieniła i obecnie dość sporym problemem w Rosji są straty dla budżetu wynikające z jazdy na gapę środkami

komunikacji publicznej. Jest to na tyle poważny problem, że tematem musiał zająć się rząd wydając odpowiednie decyzje w tej sprawie. Między innymi podwyższając znacznie kary za podróż bez biletu.

Albo weźmy dla przykładu służbę zdrowia. Jeśli zdarzyło się, że za wizytę np. u dentysty trzeba było zapłacić to pacjent po wizycie dostawał karteczkę i z nią udawał się często do innego budynku gdzie mieściła się kasa. I co ciekawe każdy Rosjanin tak robił. W naszym kraju raczej byłoby to niemożliwe. Bo kto kogo szczególnie w tamtych czasach zmusiłby czy też przekonał żeby zapłacić już po wyjściu od lekarza? Owszem nie można generalizować, ale czy nie ma w tym wystarczająco dużo prawdy? Uczciwie trzeba to przyznać mimo, że często Polacy mają taką cechę aby własny naród wybielać a oczerniać innych. W końcu niechlubna opinia o naszych rodakach na zachodzie nie została wysłana z palca.

Takie doświadczenia, które mogą ukształtować prawidłowy obraz danego kraju może dać jedynie fakt życia wśród jego mieszkańców i funkcjonowania w ich codzienności. Możliwość poznania choć w części ich kultury i języka. Nie zaś żadna wycieczka choćby trwała ona miesiąc. Większość z nas nigdy w Rosji nie była i nie będzie, a jednak ma jasno wyrobiony pogląd na tamtą rzeczywistość i gotową często niesprawiedliwą ocenę.

Kierownik natomiast miał taką szansę aby poznać Rosję z bliska i to w dość szerokim wycinku. I to nie poprzez tendencyjny reportaż typu „Szerokie tory", jakie od czasu do czasu ukazują się w naszej telewizji przedstawiając Rosję w określony sposób i zapewniając widza, że jest to obraz obiektywny. Bo nie da się na Rosję patrzeć całkiem obiektywnie.

Oczywistym jest, że lata państwa totalitarnego, a więc surowych rządów w stosunku do obywateli mogły i bez wątpienia wyrobiły w nich właśnie takie cechy, których powszechnie Polacy niestety nie mieli. My byliśmy zawsze w fazie buntu czy walki, i to nam wychodziło najlepiej. Będąc w Rosji przez kilka miesięcy można dokładnie zweryfikować i porównać pewne pojęcia i mity, jak chociażby powszechnie propagowaną gościnność. Owszem Polacy potrafili być gościnni, ale najczęściej w stosunku do tych, od których mogli coś dostać. Najlepiej jeśli była to rodzina z zachodu, która przywoziła dolary czy prezenty. I jeśli nawet ktoś poczuje się urażony taką opinią, to niech się sam przed sobą zastanowi. Czy byłby bezinteresownie gotów przyjąć np. Rosjanina pod swój dach? Ugościć go jak kogoś ważnego, nakarmić i nic w zamian nie oczekiwać. Nie zważając przy tym na problemy jakie się z tym wiążą? Na opinie sąsiadów, koszty itd.

***

A z serdecznym, ciepłym i bezinteresownym przyjęciem, kierownik spotykał się za każdym razem i przy każdej okazji. I to w czasach kiedy w Polsce powszechnie deklarowano niechęć do Rosji i Rosjan. Owszem Rosja miała swoje grzechy w stosunku do Polski. Ale czy Polska jest aż taka nieskazitelna jak powszechnie się u nas uważa? Czy czasem Niemcy nie mają tych grzechów nieporównywalnie więcej niż Rosjanie? To oczywiste, że każdy naród w swoim mniemaniu i we własnej ocenie jest wyjątkowy i zasługujący na powszechne uznanie. Bo walczył, bo cierpiał, bo zwyciężał itd. Jednak ocena obiektywna bywa najczęściej znacznie mniej różowa niż subiektywna ocena samych siebie przez dany naród. Niemcy co oczywiste znacznie bardziej zawinili nie tylko w stosunku do naszego kraju, ale też do całego świata. Tymczasem zaledwie 50 lat po wojnie Polacy gotowi byli wybaczyć te winy. Obecnie taki kierunek się tylko umocnił. Dlaczego tak się dzieje? Między innymi dlatego, że znaleziono nam innego wroga, do którego możemy żywić nienawiść i oskarżać o całe zło jakie naszym zdaniem nas doświadcza. W tamtym bowiem czasie podobnie zresztą jak i teraz niemal na każdym kroku udowadniano jak nieprzychylny i wręcz szkodliwy jest rosyjski naród dla Polski. Sympatia w stosunku do Rosji, czy też ówczesnego ZSRR była postrzegana jako brak patriotyzmu. Podkreślano przy tym często ogromne zacofanie, biedę i ciemnotę zapominając o tym, że to ZSRR posiada jedną z najsilniejszych armii świata, że to Rosjanie latają w kosmos i mają na swoim koncie mnóstwo dokonań naukowych, że jest to niekwestionowane przez resztę świata mocarstwo i w końcu największy kraj na świecie. Nie wspominając o bogatej kulturze i historii. Bo dla porównania okazuje się, że nasza państwowość jest młodsza o ponad 100 lat. Ale te argumenty w ogóle nie były brane pod uwag skoro pomijano poprzednio wymienione oczywiste fakty. Jednak rzeczywistość okazywała się być z goła inna. Poznać prawdę mógł jedynie tylko ten, komu dane było żyć i pracować wśród tych ludzi i móc na własnej skórze doświadczyć tego o czym w Polsce prawie nikt nie wiedział. A tych co nawet wiedzieli było niewielu i z różnych powodów tego nie nagłaśniali. To wszystko spowodowało, że kierownik w dość krótkim czasie sam zweryfikował swój pogląd na stosunki polsko–rosyjskie, a w szczególności ocenę Rosjan. Okazało się bowiem, że ludzie żyjący w ZSRR nie tylko nie żywią żadnych negatywnych odczuć do Polaków, ale są dla nich wyjątkowo przyjaźni. Przy tym nie oczekując w zamian niczego. Nie wynikało to nawet z samego braku antypolskiej propagandy, bo takowej tam rzeczywiście nie było, a z ich charakteru i narodowych cech. Każdy bowiem naród ma takowe i są one bardziej lub mniej pozytywne. Są narody z natury otwarte i przyjazne, a są i takie, które nawet nie zdając sobie sprawy są nieprzyjazne lub wręcz wrogie. Bo dla przykładu niech ktoś poprosi sprzedawcę w dowolnym sklepie w Danii żeby rozmienił mu pieniądze. W przeważającej liczbie odpowiedzi usłyszy, że to nie jest bank i jeśli nic nie kupi zostanie z nierozmienionym banknotem w ręce. Często bywa tak, że przez lata hołdujemy narastającym mitom i nieprawdziwym obrazom czegoś o czym tak naprawdę nie mamy pojęcia. Co gorsze nie zdajemy sobie z tego sprawy, a w związku z tym nie dążymy do odkrycia prawdy.

Teraz w XXI wieku już wiemy, że nasze kompleksy w stosunku do zachodu były mocno na wyrost i w większości nieuzasadnione. Kto był we Francji, Wielkiej Brytanii czy Hiszpanii ten wie to doskonale. Podobnie jest z mitycznym wręcz USA, które ma nie mniej grzechów na sumieniu niż Rosja, mimo że jest znacznie młodszym państwem. Ale to całkiem inne zagadnienie. W każdym razie w wyniku doświadczeń kierownik miał okazje zweryfikować swoje nastawienie do Rosji. I chociaż aż tak pozytywne postrzeganie tego kraju nadal nie jest w Polsce popularne, to on wciąż nie ma podstaw ani powodów żeby je diametralnie zmieniać. Szkoda tylko, że nasza polityka po tamtym okresie doprowadziła do tego, iż stosunki z Rosją nie są zbyt przyjazne.

* * *

Nadszedł dzień powrotu do cyrku. Kierownik wiedział dobrze, że zrobił źle zostając w Moskwie na wycieczce. Jednak już wtedy stosunki z dyrektorem były tak napięte, że raczej nic nie mogło ich znacznie pogorszyć. W końcu co Stary mógł mu zrobić? Kierownik miał przecież żelazne alibi. Po prostu nie dostał biletów na wcześniejszy lot. Choć może wydawać się to co najmniej dziwne nikt nie mógł tego sprawdzić. A wysyłając kierownika bez powrotnego biletu stary stracił kartę przetargową w tym względzie. Z drugiej strony nie można było kupić powrotnego biletu, bo nie było pewności czy uda się od razu kupić bilet do Polski dla kierowniczki. Wtedy i ona musiałaby przenocować w Moskwie chociaż tę jedna noc. Nie mniej jednak jak się tego można było spodziewać stary był wściekły. Kierownik zdał dokładną relację z podróży oraz przekazał informacje jakie otrzymał z Ambasady. Swój późny powrót wytłumaczył tak jak sobie to założył i w tej sytuacji Stary mógł zrobić niewiele. Oczywiście niewiele to nie znaczy nic. Bo w akcie zemsty postanowił wstrzymać kierownikowi następną wypłatę. Nic dziwnego, że kierownik był mocno tym faktem zbulwersowany tym bardziej, że wiedział, iż takie działanie jest zupełnie bezprawne. W tamtych czasach wypłata to była rzecz święta. Nie tak jak teraz kiedy często ludzie czekają na swoje pieniądze miesiącami lub wcale ich nie otrzymują. Niemniej jednak w dniu wypłaty reklamowiec, który przejął obowiązki kierowniczki finansowej oświadczy, że na polecenie Starego nie wypłaci mu miesięcznej pensji.

– No cóż, skoro tak... – Pomyślał kierownik.

– To trudno w końcu i tak wcześniej czy później będzie musiał mi wypłacić i to przed powrotem do Polski.

Poza tym oprócz własnej gotówki miał przecież jeszcze prawie 2000 rubli zaliczki, którą uzupełnił przed lotem do Moskwy. Więc taka represja nie stanowiła dla niego żadnego problemu ani natury technicznej ani psychologicznej.

Nie trzeba było długo czekać żeby dyrektor diametralnie zmienił zdanie co do tej kwestii. Już po kilku dniach okazało się, że na niezapowiedzianej wizycie będzie w cyrku główna księgowa z bazy w Julinku. Czyli pani Dyrektor Finansowa – Zakładu Widowisk Cyrkowych. Jedna z ważniejszych osób na bazie. Dzień wcześniej wieczorem, roztrzęsiony reklamowiec przybiegł do kierownika i powiedział:

– Stary kazał tobie jednak wydać wypłatę... Więc jak możesz to podejdź do kasy.

– Teraz to już nie potrzebuję... – Odparł z nie małą satysfakcją kierownik.

Jednak reklamowiec nalegał, a w końcu prosił: - Proszę cię pobierz te pieniądze, bo jutro będzie tu kontrola z Polski.

– A co mnie to może obchodzić...? – Odrzekł wzburzony kierownik.

– Jakoś kilka dni temu to ja musiałem ciebie prosić o moje pieniądze, jednak ich nie dostałem jak pamiętasz.

– Wiem... przepraszam, ale wiesz przecież, że to była decyzja Starego. A teraz jak zostanę z tymi pieniędzmi, to on zwali całą winę na mnie

No cóż, taka argumentacja trafiła do kierownika, bo w końcu nic osobiście nie miał do tego człowieka, a jego konflikty z dyrektorem to był osobny temat i dotyczył on tylko ich obu. Poza tym dobrze wiedział, że dyrektor jest zdolny do tego aby pogrążyć niewinnego reklamowca i przyjdzie mu to bez trudu.

Następnego dnia zgodnie z zapowiedzią do cyrku przyjechała Dyrektor Finansowa ZWC. Stary jak jakiś „młody" wybiegł jej na spotkanie wijąc się przed nią jak jakiś padalec[24]. Ona jednak okazała się nie czuła na jego zabiegi i od bramy wołała

– A gdzie jest kierownik? Bo mam dla niego listy i paczkę z Polski.

Staremu zrzedła mina i zrobiło mu się najwyraźniej głupio. Okazało się bowiem, że taka ważna figura przyjechała, a jej głównym zadaniem było przekazanie paczki dla kierownika, którego on ostatnimi czasy prześladował jak mógł. Nic więc dziwnego, że opadła mu szczęka wskazując działkę kierownika. Po oficjalnym powitaniu pani dyrektor wraz z kierownikiem zniknęli w jego działce, a na placu został stary wraz z całą świtą, która witała gościa z Polski.

Kierownik szybko zrobił kanapki, herbatę i postawił butelkę stolicznej, o którą upomniała się sama pani dyrektor. Mimo, iż oficjalnie zaproszona była na kawę. Tak też w miłej atmosferze spędzili ponad 2 godziny tego popołudnia. I dopiero potem pani dyrektor poszła do Starego. Zapewne drętwiał on tam ze strachu bo nie wiedział co też kierownik może jej naopowiadać. Oczywiście, że z grubsza naświetlił jej sytuację jaka panowała w cyrku. Jednak nie na tyle, żeby za bardzo Starego nie pogrążyć bo w końcu mimo, że to on odpowiadał za całokształt funkcjonowania cyrku, to przecież razem pchali ten wózek.

* * *

W drugiej połowie sezonu, już po wizycie Głównej Księgowej. Nadeszła kolejna porażająca wiadomość o tym, że do cyrku zostali wysłani kontrolerzy. Byli oni członkami specjalnej komisji, której celem była wewnętrzna kontrola w ZWC. Jej zadaniem było kontrolowanie prawidłowości funkcjonowania państwowych wówczas cyrków.

W szczególności zaś kontrola kadrowa, finansowa i administracyjno-techniczna. Co rzecz jasna dotyczyło zatrudnienia ludzi, finansów, dokonywanych zakupów, zarządzania taborem i rozliczanie paliwa oraz stanu magazynów. W znacznie mniejszym stopniu części artystycznej i samych artystów. Za organizację i nadzór nad tą częścią działalności cyrku odpowiadał inspektor areny zatrudniony na stałe w każdym cyrku. Kontrolerzy interesowali się wszystkim co mogłoby wzbudzi jakiekolwiek ich podejrzenie i gdzie mogliby wykryć jakiekolwiek nieprawidłowości. Powszechnie uważano ich za hieny, które tylko czyhały na błędy w administrowaniu i zarządzaniu cyrkami, co zapewniało sukces w ich pracy. Trudno zresztą było ustrzec się błędów szczególnie kiedy się weźmie pod uwagę specyfikę działania instytucji jaką jest cyrk. A w przypadku cyrku na tournée zagranicznym w szczególności.

W tym sezonie postanowiono, że skontrolują oni między innymi właśnie cyrk występujący w ZSRR. Byli to doświadczeni, oddani dyrekcji ZWC i nieprzekupni urzędnicy, dla których kontrolowanie innych było niemal misją. Tego typu wieści jak również większość innych z kraju, przychodziły zazwyczaj pocztą, więc od informacji o kontroli do daty ich przyjazdu było zazwyczaj tyle czasu, aby poprawić to co się dało i jakoś się przygotować. W tym przypadku jak i w każdym innym informacje docierały zawsze najpierw do dyrektora. To on o wszystkim decydował i do niego adresowana była korespondencja. Jednak o zbliżającej się kontroli nie powiadomił kierownika od razu. Oczywistym było, że list z taką informacją dostał on co najmniej tydzień wcześniej. Więc można przypuszczać specjalnie czekał z przekazaniem tej wiadomości. I nie trudno domyślić się dlaczego.

Bywało też tak - lecz raczej rzadko, że kontaktowano się z bazą również telefonicznie. Ale kontakt telefoniczny z krajem to w ogóle osobna historia, bowiem nie był on ani prosty ani oczywisty. Każdorazowo wymagał udania się na pocztę i to w odpowiednio dużej miejscowości oraz zamówienia rozmowy. Na taką rozmowę można było czekać nawet kilka godzin. I to właśnie spotkało kierownika kiedy pewnego razu Stary polecił mu skontaktowanie się z dyrekcją ZWC i ustalenie pewnych spraw. Tego poranka kierownik jak nigdy czuł się nie najlepiej po wczorajszej zakrapianej kolacji. Zazwyczaj nie miał żadnych dolegliwości związanych z konsumpcją sporych ilości ruskiej wódki. Jednak tego dnia czuł się fatalnie. Być może zaszkodziło mu jedzenie, bo przecież nie alkohol. Powoli robiło się gorąco, a on z samego rana musiał udać się na pocztę. Chodziło o to, aby uwzględniając różnice czasu zdążyć połączyć się z krajem w czasie godzin pracy. Tam zamówił rozmowę z odpowiednim numerem i czekał. Mijał czas, połączenia nie było a on czuł się coraz gorzej.

– Przecież nie będę tu siedział cały dzień. – pomyślał, tym bardziej, że coraz pilniej potrzebował skorzystać z toalety, której oczywiście na miejscu nie było.

Podszedł więc do okienka, aby przyspieszyć sprawę. Czekał już przecież ponad godzinę. Jednak w odpowiedzi urzędniczka poinformowała go, że Moskwa nie wyraża zgody na połączenie. Owszem wiedział, że Moskwa jako synonim centralnego zarządzania w ZSRR, miała ogromny wpływ na życie nawet w najbardziej odległych zakątkach kraju, ale do głowy by mu nie przyszło, że jacyś urzędnicy w Moskwie ingerują w takie sprawy jak połączenia telefoniczne. Jednak okazało się to być normalnym zjawiskiem. Tym bardziej, że chodziło o połączenie międzynarodowe. Urzędniczka więc poinstruowała go, że w takim razie należy czekać albo przyjść jutro. Po takiej informacji kierownik nie miał zamiaru czekać ani minuty dłużnej. Wsiadł do samochodu, który korowca zaparkował przed pocztą i pojechali wprost do cyrku. Gdzie z wielką ulgą kierownik udał się wprost do toalety, a telefonem do kraju zajął się dnia następnego.

* * *

Zbliżał się więc dzień wielkiej kontroli o czym kierownik dowiedział się raptem wczoraj a kontrolerzy mieli przybyć następnego dnia rano. Wieczorem jeszcze w czasie trwania spektaklu stary wezwał go do siebie na rozmowę. Od dawna ich stosunki były napięte, więc należało porozmawiać i ewentualnie ustalić tok obrony przed działaniami kontroli. Kierownik nawet nie pomyślał, że należy się w jakikolwiek sposób przygotowywać. Był bowiem pewny, że to co robił, robi dobrze i zgodnie ze wszystkimi zasadami. Oczywiście zgodnie również z własnym sumieniem, ale już nie koniecznie z oczekiwaniami Starego. Sam więc nie dążył do takiej rozmowy, bo w zasadzie nie miał się czego obawiać. Przynajmniej tak mu się wtedy wydawało. Jednak w toku rozmowy doszli do tematu opon.

– Panie kierowniku, pan pokaże mi protokoły zniszczenia opon – zadysponował Stary.

Kierownik udał się więc do swojego biurka, gdzie w zamykanej szufladzie pomiędzy innymi dokumentami miał teczkę z owymi protokółami.

– I proszę też przygotować zestawienie ilości opon wraz z metrykami – dodał zza swego biurka, czyli tych na wozach, samochodach oraz tych w magazynie. Na początku sezonu liczba wszystkich opon na stanie wynosiła prawie 700. To oczywiste, że stary chciał mieć pewność w tym temacie, bo tak samo jak kierownik wiedział, że w poprzednim sezonie dorobili się niezłego manka. Po kilkunastu minutach analizy dokumentów okazało się, że kierownik tak sumiennie skreślał ze stanu kolejne brakujące opony, że w wyniku tego wyszła mu superata. Czyli, że z protokołów wynikało, iż zniszczono więcej opon niż było. Albo też część tych, które są nie powinny w ogóle istnieć. I to właśnie Stary zakomunikował kierownikowi. Z powagą i wzrokiem oczekującym wyjaśnień.

– O cholera! – pomyślał kierownik, jednak ze zdziwienia nie mógł wydobyć z siebie żadnego słowa. Po chwili jednak opanował szok i zdziwienie.

– To proszę mi je dać to zrobię z tym porządek, zanim przyjadą – a miał na myśli kontrolerów. Miał też na myśli to, że po prostu zniszczy kilka protokołów i w ten sposób zbliży się do wymaganej ilości. Kto wie może nawet uda się wyprowadzić stan na zero. Faktem jest, że do tej pory nie zawracał sobie zbytnio głowy tym tematem bo liczył, iż zrobi z tym porządek na koniec sezonu.

O tym, że przez gorliwość wykazał zniszczenie większej ilości opon niż było na stanie nie miał do tej pory pojęcia. Zgodnie z instrukcją swego poprzednika miał co przerzut wykazywać zniszczenie kilku opon więcej ponad ilość, która rzeczywiście uległa zniszczeniu. Może wydać się to dziwne, ale za każdym razem kilka opon nie wytrzymywało trudów podróży. Przyczyniał się do tego stan dróg, temperatura i obciążenie. Duże znaczenie miał też fakt, że rosyjscy kierowcy najczęściej pędzili z nad-

[24] Beznoga jaszczurka powszechnie występująca prawie w całej Europie i nie tylko.

mierną prędkością z wozami, które nie były do tego przystosowane.

Jednak jak się okazało stary wcale nie miał zamiaru zwrócić dokumentów. Nadeszła wreszcie długo oczekiwana przez niego chwila. Otóż w końcu miał kierownika jak na widelcu. Wcześniej niewiele mógł mu zarzucić. Kierownik zawsze postępował w granicach prawa, przepisów i rozsądku. Owszem był często arogancki w stosunku do Starego, ale zawsze kulturalny i spokojny. Czym doprowadzał go do szału. Umiejętność prowadzenia asertywnej i z pozoru grzecznej rozmowy opanował dość szybko, bo bez tego nie dałby sobie tam rady. Nie raz poza Starym atakowali go wszyscy, a głównie artyści i muzycy. A do przodujących w takim działaniu należał kapelmistrz i treserka słonia. Więc skoro nadarzyła się okazja to Stary nie zamierzał odpuścić. A szansa zemsty była bardziej kusząca niż chęć obrony dobrego imienia instytucji, która zarządzał. Poza tym liczył, że całą winę za stan ilościowy opon uda się gładko zwalić na kogoś, kto w zasadzie nie miał z tym nic wspólnego.

– No panie kierowniku, to tak pan prowadzi dokumentacje? – z nieskrywaną satysfakcją a jednocześnie z udawanym zdziwieniem zapytał. - Nie mam pojęcia jak pan sobie to wyobrażał? – dodał.

Wiedział bowiem dobrze, może nawet lepiej od kierownika, jak się sprawy mają. Jednak wtedy chciał pogrążyć młodego człowieka i uzyskać nad nim pełną kontrolę. Co zresztą miał w zwyczaju czynić w stosunku do każdego. A czego w przypadku kierownika nie udało mu się osiągnąć od początku sezonu.

– Ale przecież dobrze pan wie jak to jest z tymi oponami – z przekonaniem, natychmiast odpowiedział kierownik.

– Jednak to pan za to odpowiada i to pan jest przewodniczącym komisji likwidacyjnej. To pana podpisy widnieją na tych dokumentach. Czyż nie?

Kierownik próbował zebrać myśli.

– Ostatecznie mógłbym panu zwrócić te papiery, ale pod warunkiem – nagle zaproponował Stary. Nie brzmiało to dobrze jednak kierownik nie miał w tej chwili żadnych argumentów, aby się temu przeciwstawić.

– Otóż oddam panu te protokoły jeśli przyrzeknie mi pan i to przy świadkach, że od tej pory będzie pan realizował ściśle moje polecenia i się pan mi całkowicie podporządkuje. Czyli, że będzie pan pracował tak jak ja panu powiem.

– A jako zabezpieczenie naszej umowy część tych dokumentów zachowam u siebie.

Kierownik nerwowo przełknął ślinę.

– I jeszcze jeden warunek – podpisze pan ze wsteczną datą przyjęcie na stan pozostałej części cyrku. O co pana proszę od początku sezonu.

Ten warunek nie był w żaden sposób do przyjęcia przez naszego bohatera. Owszem może ugiąłby się przy pierwszym, bo w końcu do końca sezonu już nie wiele zostało. Ale fakt, że Stary chciał pozostawić sobie materiał, którym mógłby nadal go szantażować powodował, że nawet taka ewentualność nie wchodziła w grę. A co do drugiego warunku to, to czego żądał Stary nie mieściło się w ścisłych ramach dobrze pojętej uczciwości i sprawiedliwości jakiej hołdował kierownik.

– Chyba pan żartuje? Jak mam podpisać się

Oranżada z lat 70 – tych w charakterystycznych butelkach.

pod czymś, co nie miało miejsca i na co od początku się nie zgadzałem, chyba nie myśli pan, że będę podpisywał dokumenty ze wsteczną datą?

– A to już jak pan chce. – dodał dyrektor jakby lekko zawiedziony.

Stary był przekonany, że taki szantaż poskutkuje, bo groźba negatywnych wyników kontroli nie jest przecież nic nie znaczącą perspektywą. Szczególnie dla młodego i niedoświadczonego wystarczająco urzędnika. Jednak kierownik pomyślał: – skoro mam sam iść na dno, to zabiorę ciebie ze sobą. W kocu nie jestem niczemu winien, a jeśli nawet to nie w bezpośredni sposób. Nie ja przecież handlowałem cyrkowymi oponami więc tego mi nikt nie udowodni. Jednak ta swoista wiara w sprawiedliwość czy też pewna naiwność nie raz przysporzyła mu kłopotów. Podobnie mogło być także i tym razem.

***

Jeszcze będąc dzieckiem pewnego gorącego dnia włóczyli się z kolegami po mieście. Były wakacje więc chłopcy wymyślali co chwila jakieś nowe zabawy żeby się nie nudzić. Przechodzili właśnie koło małego sklepiku spożywczego. Chwilę stali przed wystawą jednak żaden z nich nie miał tyle pieniędzy, aby móc cokolwiek tam kupić. W pewnym momencie nasz bohater usłyszał okrzyk:

– Uciekamy!

W pierwszej chwili nie bardzo wiedział o co chodzi, jednak widząc biegnących kolegów zrozumiał, że trzeba uciekać bez dochodzenia przyczyny tej niewątpliwej konieczności. Pobiegł więc za nimi. Ze sklepu wyskoczył gruby sprzedawca i krzyknął.

– Stój! – za uciekającymi.

Kierownik zawahał się i zatrzymał. Nie miał pojęcia o co chodziło. Tymczasem koledzy zniknęli za rogiem ulicy. On zaś był na tyle blisko sklepu, że mogła zachodzić obawa, że ktoś spróbuje go gonić. Sprzedawca ubrany w biały fartuch zawołał.

– E...! Mały, chodź no tu...

Niczego nieświadomy chłopiec pomyślał. Przecież nic złego nie zrobiłem, więc nie mam powodu się czegokolwiek obawiać. Postanowił więc podejść do mężczyzny, który póki co nie zdradzał w żaden sposób swoich zamiarów. Jednak ledwo zbliżył się do sprzedawcy ten chwycił go za rękę i wciągnął do sklepu.

– Mam cię gnoju! – krzyknął. Co wy sobie kurwa myślicie, że można tak bezkarnie kraść? Zaraz wezwę milicję to odechce się wam takiej zabawy!

Po chwili okazało się, że koledzy bez uzgodnienia tego zamiaru z nim ukradli oranżadę, która w skrzynkach stała przed sklepem. Jasnym stało się, że powinien więc uciekać i nie zatrzymywać się na wezwanie sprzedawcy. Nie stałby tu teraz i niemiałby problemów.

Sprzedawca wykrzykując i strasząc tak się w tym zapędził, że aż uderzył chłopaka w twarz otwartą dłonią, w której trzymał długopis. W głowie kierownika zawirowało, a przed oczami zrobiło się ciemno. Z oczu automatycznie i mimowolnie popłynęły łzy. Małolat rozpłakał się a sprzedawca przedstawił mu rozwiązanie jakie widział w tej sytuacji. Otóż kazał podać imię, nazwisko, adres i powiedział, że jeśli do 16-ej ta butelka z oranżadą nie znajdzie się w sklepie zawiadomi milicję i rodziców. To była wystarczająca motywacja do działania. Wracając pod blok gdzie czekali koledzy ocierał łzy.

– Słuchajcie – mówił jeszcze ciężko łapiąc oddech – on kazał oddać tę oranżadę. Bo jeśli nie to powie wszystko na milicji.

– A dlaczego się zatrzymałeś frajerze? – zapytał jeden z nich.

– A skąd mogłem wiedzieć, że ukradliście oranżadę? Przecież nie wiedziałem dlaczego mnie woła.

Potem opowiedział im dokładnie jak to było w sklepie. I ponieważ zrobiło to na nich odpowiednie wrażenie zgodnie przyznali:

– No to trzeba będzie oddać i tyle. Tylko jak?

Trudność polegała na tym, że ze strachu jeden z nich, który miał butelkę pod bluzką, uciekając pozbył się jej i rzucił przez ogrodzenie pewnej posesji. Butelka upadła w grządki z różami i nawet się nie potłukła. Jednak na tej posesji był pies i to nie byle jaki, bo wilczur czyli Owczarek Niemiecki. Co robić? Przecież nikt nie pójdzie po tę wyrzucona butelkę. Postanowiono zrobić zrzutkę i odkupić oranżadę w innym sklepie. Z wielkim trudem udało im się uzbierać te 1,30 zł i już po kilkunastu minutach szli w stronę sklepu owego grubasa, który niedawno uderzył naszego bohatera. Oczywiście nikt z nich nie miał ochoty na bezpośredni z nim kontakt. Dlatego uznano, że skoro już tam był to niech idzie ten kogo złapano. I tak też się stało. Z niemałym strachem chłopiec zbliżył się do sklepu. Wsadził głowę przez otwarte drzwi i powiedział.

– Proszę pana przyniosłem tę oranżadę.

Po czym pokazał butelkę sprzedawcy i wstawił ją do skrzynki. Tamten tylko skinął głową jakby temat go już aż tak nie interesował. Po chwili wszyscy śmiejąc się, wracali pod blok jakby nie pamiętając już o tym niecodziennym zdarzeniu. Wtedy chyba po raz pierwszy dla kierownika okazało się, że wiara w sprawiedliwość nie popłaca.

Czy teraz będzie podobnie? To miało okazać się już jutro. Jednak i tym razem kierownik nie miał zamiaru porzucać zasad, którym starał się być wierny przez całe życie.

– Przecież pan też poniekąd za to odpowiada - wygarnął bez ogródek kierownik.

W Starym aż się coś zagotowało. Jednak kierownik w tak trudnych rozmowach był już zahartowany i wytrzymał presję tej sytuacji.

– Nie ma mowy nie podpiszę! Trudno, to się wyda. Powiedział z udawaną pewnością w glosie.

– Ale to pan będzie miał problem.

– Trudno, pan też. Poza tym jak pan sobie to wyobraża?

– Po prostu, jeśli nie zgodzi się pan na moje warunki schowam te kwity do szuflady i pokarzę dopiero jak przyjedzie kontrola – odparł Stary. Po czym jednym ruchem zgarnął papiery i schował w szufladzie. Teraz kierownik nie będzie przecież się z nim szarpać. Poza tym zawsze starał się zachować odpowiedni fason i klasę.

Dalsza rozmowa nie miała już sensu. Stary był pewien, że kierownik w ostatniej chwil zmięknie i w ten sposób go sobie podporządkuje. Chciał też osiągnąć jeszcze coś. Otóż od początku sezonu część cyrku, która zimowała w Taszkiencie wisiała na jego stanie, a nie na stanie kierownika. To oczywiste, że nie wszystko było tak jak powinno i Stary o tym wiedział. Za wszelką cenę wiec przez cały sezon próbował nakłonić kierownika do wzięcia na siebie tej odpowiedzialności poprzez podpisanie odpowiednich dokumentów. Kierownik zaś mimo, że obawiał się kontroli nie mógł przystać na żadne tego typu warunki, bo podświadomie czuł, że takie rozwiązanie pociągnie za sobą znacznie więcej problemów niż te spowodowane superatą opon. Tej nocy nie mógł spokojnie spać. Wciąż rozmyślał jak to będzie? O co będą pytać i co sprawdzać. Co ma im odpowiadać itd. Nie mógł też sobie darować, że popełnił taki prosty błąd. Owszem miał świadomość, że nie panuje nad ilością zniszczonych opon, ale był pewien, że do końca sezonu zdąży to wyprostować. Dlatego się z tym nie spieszył. Poza tym wciąż były inne ważniejsze sprawy. I teraz to, że Stary zażądał tych dokumentów zupełnie go zaskoczyło. A przecież tyle włożył pracy, aby wyprostować całą sprawę. Jeszcze kilka miesięcy temu przez prawie dwa tygodnie sporządzał dokładny spis z natury wszystkich opon w cyrku. I nie chodziło jedynie o spisanie rozmiarów z odnośnikiem gdzie się znajduje dana opona, czyli na którym wozie, samochodzie czy w magazynie. Wymagało to znacznie więcej pracy gdyż każda opona ma swój numer i te numery musiały się zgadzać. Każda miała swoją metryczkę i nie można było sobie spisywać na straty dowolnych, a konkretne egzemplarze.

Po długiej nocy nadszedł w końcu dzień sądu. Odprawa z kierowcami odbyła się normalnie jednak w całym cyrku dało się odczuć atmosferę lekkiego przerażenia tym co niedługo ma nastąpić. Bowiem nie ze wszystkiego będzie się musiał tłumaczyć tylko kierownik ze Starym. Tresury były rozliczane osobno podobnie jak magazyn, sklep, bufet i finanse.

Ok. 9 rano na plac cyrkowy wjechał Tarpan, który przywiózł dwóch kontrolerów wprost z lotniska. Byli to starsi goście w wieku Starego albo jeszcze starsi. Obaj w okularach i obaj jakby trochę przygarbieni. Takie typowe gryzipiórki. Na ich twarzach malował się spokój, powaga, profesjonalizm i zdecydowanie. Od razu było widać, że z nimi nie ma żartów.

Kontrolerzy z ZWC.

Stary wybiegł im na spotkanie z głupim nieszczerym uśmiechem. Kierownik znał to dobrze bo przez te kilka miesięcy wystarczająco poznał Starego i wiedział do czego jest zdolny. Taki uśmiech towarzyszył mu zawsze kiedy czuł się niepewnie albo głupio. Po oficjalnym powitaniu goście udali się do działki dyrektora na śniadanie, a zaraz po tym przystąpili do śledzenia tego wszystkiego co można było wyśledzić i wykryć. Od czasu do czasu chodzili po cyrku od wozu do wozu kontrolując kolejne obszary działalności cyrku. Wzięli się ostro do pracy gdyż przyjechali raptem na dwa dni.

Ok 16 przyszła kolej na kontrole działalności kierownika. Tzn. spraw, za które był odpowiedzialny. Sporo czasu zajęła kontrola kart drogowych i miesięcznych zestawień paliwa. I w tym ostatnim, jeden z nich znalazł błąd. Zawołał zaraz drugiego a cieszył się przy tym jakby wygrał los na loterii.

– Panie Stanisławie mam, mam niech pan tu przejdzie. – zawołał podekscytowany.

Obaj dorwali się od papierów kreśląc po nich ołówkami i poszukując innych błędów. Niestety ku ich zdziwieniu oraz ku zadowoleniu kierownika innych nie znaleźli. Kierownik sam w to nie wierzył, bo przecież drobny błąd przy takich zestawieniach robionych odręcznie na arkuszach A3 kratkowanego papieru powinien być normalną rzeczą. I choć zawsze starał się żeby wszystko się zgadzało, to nie był przecież pewien czy nigdy się nie pomylił.

Błąd jaki znaleźli polegał na złym podliczeniu ilości paliwa w którymś miejscu olbrzymiego arkusza. Na szczęście brakowało tylko kilkanaście litrów. To znacznie lepiej niżby było nawet o litr za dużo, bo to oznaczałoby, że ktoś coś z paliwem kombinował. A o takie podejrzenie nie było trudno biorąc pod uwagę niedbalstwo kierowców w prowadzeniu kart drogowych. Uważali oni bowiem, że tu w Rosji nie trzeba się tym aż tak przejmować jak w kraju. Dlatego kierownik co miesiąc wiele godzin przez kilka kolejnych dni przesiadywał nad tym żeby wyprowadzić wszystko na prostą.

W końcu przyszła kolej na opony. Kierownik nie miał wyjścia musiał przyznać, że protokoły zniszczenia są u dyrektora. Jeden z nich udał się więc do Starego, aby ten mu je wydał a drugi dalej przeglądał dokumentację. Nie wracał dobre 20 minut. Widocznie Stary naświetlał mu odpowiednio sprawę, aby umniejszając swojej winy, zrzucić odpowiedzialność na kierownika. Dyrektor wydał dokumenty i zaraz wyszedł. Zapewne wolał nie uczestniczyć w rozmowie. Po pierwsze dlatego, że zawsze mogli go o coś zapytać, a po drugie dawał tym samym do zrozumienia, że ta sprawa go w ogóle nie dotyczy. Więc się nią nie interesuje. Sprytnie, prawda?

Więc stało się. Kierownik oblał się zimnym potem i siedział bezradnie za swoim biurkiem. Po przeciwnej stronie przy biurku kierowniczki finansowej zasiedli kontrolerzy i wnikliwie studiowali stos papierów.

– No to jest – Z powagą stwierdził jeden z nich, patrząc porozumiewawczo na drugiego

Nie ulegało wątpliwości, że doszukali się nieprawidłowości. O dziwo o nic nie pytali stwierdzili jedynie:

– To ma pan bałagan w dokumentach panie kierowniku, będziemy musieli napisać o tym w swoim raporcie i uwagach pokontrolnych.

Kierownik milczał. W tej chwili nawet nie wiedziałby co powiedzieć. Po kontroli czyli już wieczorem udali się jeszcze do Starego, a potem do przygotowanej dla nich działki.

– No i co? – pomyślał kierownik – nie było tak źle.

W końcu nikt mu głowy nie urwał. Czuł, że dobrze zrobił nie zgadzając się na warunki Starego. W tym dniu już bardziej spokojny kładł się spać jednak nadal odczuwał wewnętrzny niepokój.

Następnego dnia padał deszcz i kontrolerzy długo nie wychodzili ze swojej działki. Tego dnia wieczorem mieli wyjechać. Jednak po obiedzie jeden z nich poprosił kierownika na rozmowę do siebie. Tematem rozmowy jak się nie trudno domyślić był wynik wczorajszej kontroli.

– Jeśli powie nam pan prawdę to mogę pana zapewnić, że nic panu nie grozi. – Zaczął jeden z nich.

– Tak naprawdę, ale to musi zostać miedzy nami, przyjechaliśmy skontrolować dyrektora a do pana nic nie mamy. – Dodał drugi

– Proszę powiedzieć jak to było z tymi oponami, bo mamy informacje, że już w poprzednim sezonie było coś nie tak

Co było robić? Po takich zapewnieniach i naświetleniu sytuacji kierownik nie miał raczej wyboru. Zaczął więc opowiadać, a te swoiste zeznania jeden z mężczyzn skrupulatnie spisywał. Kierownik opowiedział więc jak najdokładniej mógł wszystko od samego początku. Czyli jak przejął cyrk i w jakich okolicznościach. Jak został poinstruowany co do stanu opon i tego jak należy postępować, aby ten stan wyprostować. O tym jak przeprowadził inwentaryzację. A także o tym jak Stary chciał wymusić na nim podpisanie odbioru części cyrku, która była w Taszkiencie oraz o tym jak dzień wcześniej był szantażowany przez dyrektora.

Na koniec trwającej grubo ponad godzinę rozmowy kazano mu podpisać protokół z przesłuchania i zalecono, aby nic więcej w sprawie opon nie robić. Kolejny raz zapewniono, że nic mu nie grozi i w przyjaznej atmosferze się rozstali. I tym sposobem panowie z kontroli mieli to po co przyjechali.

Po takich wydarzeniach kierownik czuł swoisty niesmak, bo właśnie przed chwilą doniósł na człowieka, za którym co prawda nie przepadał, ale jednak na swój sposób szanował. W końcu Stary znał się na prowadzeniu cyrku jak mało kto a przy nim i kierownik się wiele nauczył. Tylko czy w tej sytuacji miał inne wyjście? Przyjąć całą winę na siebie? Byłoby to równie szlachetne co głupie i w związku z tym nie wchodziło w grę.

* * *

A nie był to jedyny przypadek w trakcie sezonu kiedy to w świadomości kierownika została poważnie zachwiana wiara w wartości moralne i w ogóle w człowieka. Jeszcze przed kontrolą doszło do podbramkowej sytuacji pomiędzy nim a Starym. Być może dyrektor wiedział, że cyrk będzie kontrolowany wiec zawczasu chciał zapewnić sobie odpowiednią przewagę i panowanie nad całością sytuacji. Do tej pory pomimo, że odpowiadał za całokształt i był przełożonym również kierownika nie mógł być pewien, że jego podwładny zawsze postąpi z godnie z tym co nakazał i co jego zdaniem było niezbędne i z jakiś względów korzystne. Czyli zgodnie z jego potrzebami i interesem. Kierownik bowiem w swej wrodzonej uczciwości nie godził się na żaden przejaw prywaty czy innych naruszeń. Postępował w związku z tym zgodnie z zasadami, ale też z własnym sumieniem i poczuciem sprawiedliwości. W żadnej sytuacji nie ulegał presji i nie faworyzował tych, których zalecał faworyzować Stary. Z tego powodu niejednokrotnie dochodziło pomiędzy nimi do poważnych różnic zdań. Czasem były to różnice w zakresie prawnym czy organizacyjnym a czasem moralnym.

Stary wymagał od kierownika bezwzględnej podległości i posłuszeństwa. Chciał by kierownik tak postępował, żeby dyrektor nie musiał obawiać się o własne interesy. Jednak przy nastawieniu kierownika nie mógł być nigdy tego pewien. Poza tym zapewne miał dość spięć i problemów jakich w trakcie sezonu przysparzał mu ten młody człowiek. Być może nawet czasem żałował, że go zatrudnił. Podobnie jak niegdyś dyrektor „Hali Targowej Koszyki”[25]. Dlatego przy każdej okazji dążył do tego, aby go sobie całkowicie podporządkować i zdominować. Jednak nie miał na niego żadnego haka, tak jak na innych. I całkowite przejęcie nad nim kontroli było niemożliwe. Kierownik bowiem nawet nie ubiegał się o przyszły wyjazd na zachód jak wielu pracowników ZWC. W czym opinia Starego mogłaby znacząco pomóc lub zaszkodzić. Z tych właśnie powodów większość pracowników była uległa i całkowicie podporządkowana woli dyrektora. Co niewątpliwie ułatwiało mu zarządzanie ludźmi i dawało spore pole manewru w kwestii realizacji własnych czyli prywatnych planów i interesów.

W związku z taką nienajlepszą ogólną sytuacją doszło pewnego razu do konfrontacji, w której Stary chciał dowieść kierownikowi, że już dawno instruował go co do sposobu postepowania w pewnej nie do końca jasnej sprawie. I nie chodzi o to czego dotyczyła ta sprawa, ale o to jakimi środkami Stary chciał wywrzeć na niego nacisk.

– Mam świadków na to, że mówiłem panu o tym, więc proszę nie zaprzeczać.

Powiedział Stary z pewnością w głosie. Nie była to prawda więc kierownik tylko się uśmiechnął.

– A może o tym zaświadczyć starszy kierowca. – z niemniejszą pewnością kontynuował dyrektor.

I to stwierdzenie zdziwiło kierownika. Bo co do starszego kierowcy był pewien, że stanie on po jego stronie. Tym bardziej, że przecież nic takiego o czym mówi Stary nie miało miejsca.

Wezwano wiec starszego kierowcę. A dyrektor od razu zadał mu zasadnicze pytanie nie wprowadzając w całą sprawę.

– Czy to prawda, że już dawno mówiłem kierownikowi jak ma postępować w sprawie prowadzenia dokumentacji oraz działania zgodnie z moimi poleceniami?

Wezwany przed chwilą świadek zawahał się i ze dziwieniem patrzył raz na Starego a raz na kierownika.

– No, przecież pan pamięta tę rozmowę bo to mówiłem przy panu na początku sezonu. – próbował wywrzeć presję Stary.

Ponieważ nic takiego nie miało miejsca, starszy kierowca wahał się z odpowiedzią. Wodził oczyma wokoło niby to usiłując sobie przypomnieć o czym mówi dyrektor. Kierownik zaś milczał wpatrując się w jego oczy chcąc dostrzec jakąś nic porozumienia. Jednak jego odpowiedź była tak samo nieoczekiwana co porażająca spadając jak grom na zaskoczonego kierownika.

– Tak panie dyrektorze, no pamiętam. – odpowiedział w końcu.

– No właśnie… mówiłem i instruowałem wtedy co i jak powinno wyglądać. Jednak to co pan robi nie zgadza się z tymi zaleceniami nawet w części. – Stary oschle skomentował odpowiedź starszego kierowcy patrząc z satysfakcją na kierownika. Tryumfował teraz na całej linii wykazując, że to kierownik kłamie i postępuje nie zgodnie z tym co ustalili. Poza tym miał dowód na to, iż nie wykonuje on należycie jego poleceń co rzecz oczywista można w prosty sposób podciągnąć pod niesubordynację albo co gorsza działanie na szkodę cyrku.

A kierownik poczuł się jakby w tym momencie ktoś podciął mu skrzydła tuż nad przepaścią. Tego się przecież w żaden sposób nie spodziewał. Raczej był pewien, że gdyby nawet była to prawda to starszy kierowca powie, że nie wie, że nie pamięta lub coś podobnego. Bo tak przecież powinien powiedzieć. To było oczywiste. Jednak on świadomie poparł Starego pogrążając tym samym kierownika.

– I widzi pan? Jak pan teraz wygląda? Ja się nigdy nie mylę więc radzę się dostosować.

Nadal tryumfował Stary. Starszy kierowca spuścił wzrok i wyszedł zaraz po tym jak Stary mu podziękował za to oświadczenie.

Młody człowiek stracił argumentację w tej dyskusji i tym razem został pokonany. Ale dużo bardziej bolało go to, że został zdradzony przez kogoś komu jednak w pewnym stopniu ufał bardziej niż innym. Nie mógł przecież przez cały sezon być sam przeciwko wszystkim. To byłoby dla niego zbyt wielkie wyzwanie. Teraz jednak uświadomił sobie, że naprawdę jest sam. Już jakiś czas temu właśnie to powiedziała mu pewna zasłużona dla cyrku i doświadczona artystka, która w tym sezonie pełniła funkcje inspektora areny. Podczas tańca na jednej z wielu rozrywkowych imprez organizowanych od czasu do czasu prze artystów powiedziała mu bowiem słowa, których do końca wtedy nie zrozumiał.

– Wiem, że jest ciężko, ale nie mogę Tobie pomóc.

Wtedy potraktował to jako niewiele znaczące wyznanie starszej kobiety, która pod wpływem alkoholu trochę się rozkleiła. Owszem nie było lekko, ale on przecież nikomu się na swój los nie skarżył. Jednak teraz pojął, iż od początku był skazany na walkę o przetrwanie, w której po jego stronie nie stanie nikt. Potem jeszcze oczywiście rozmawiał o całej sprawie ze starszym kierowcą. Nie mógł bowiem zrozumieć dlaczego patrząc mu w oczy powiedział ewidentną nieprawdę. A przecież jak większość zdawał sobie sprawę jakim człowiekiem jest Stary i do czego jest zdolny. Tamten jednak udawał głupa. Tłumaczył się, że wtedy nawet nie bardzo wiedział o co chodzi i że tak tyko odpowiedział żeby mieć to z głowy. Bagatelizując to co się stało przepraszał, bo niby nie wiedział, że to ma aż takie znaczenie. Jednak tym samym kolejny raz zachwiał dotychczas niezłomną wiarą kierownika w sprawiedliwość i uczciwość.

***

Co ciekawe ze starszym kierowcą nasz bohater o mały włos spotkałby się po kilku latach w Szwecji. Pracował wtedy w Cyrku Starlight jak już wspomnieliśmy należącym do Horsta i Jany Jacksonów. W tym samym sezonie jak się okazało starszy kierowca otrzymał kontrakt na pracę w innym szwedzkim Cyrku „Madigan”. A był to cyrk należący do ich starszego syna. W trakcie sezonu doszło do spotkania tych dwóch cyrków podczas tournée po Szwecji. Praca w Madiganie była jeszcze cięższa niż w Cyrku Starlight. Młody szef był bardzo surowy i wymagający. Traktował przy tym Polaków jak niewolników a sam mimo, że był Szwedem czuł się Niemcem i najczęściej pokrzykiwał na ludzi właśnie w tym języku. Często przy tym dodając – „Scheiße menschen”[26] co w wolnym tłumaczeniu znaczyło cholerni ludzie, a dosłownie gówniani. Oczywiście miał tu na myśli fakt, że byli Polakami. A ponieważ każdy był tam dla pieniędzy to wszyscy godzili się na takie warunki, zaciskając zęby. I czy nie jest to ciekawe? Polacy to tolerowali i mimo, iż całą wojnę byli traktowani podobnie to w zasadzie do Niemców nic nie mieli uprzedzeń. I tu należy zgodzić się ze wspominanym wcześniej Piłsudskim, który uważał, że skoro naród cierpliwie i z pokorą znosił bicie w twarz przez Rosjan to nie ma powodów ażeby ówczesna sanacyjna władza nie miała stosować takich metod. Ciekawe więc było, że ci sami Polacy poniżani przez Niemców zazwyczaj zachwycali się ich kulturą, dobrobytem itd. Za to Rosjan szczerze nienawidzili, mimo że nigdy nie mieli z nimi do czynienia.

Do takiego właśnie cyrku trafił w trakcie sezonu starszy kierowca. Stało się to na zasadzie wymiany. Po prostu ktoś nie wytrzymał i wrócił do kraju, a na jego miejsce przysłano zastępstwo. Jednak jak się okazało starszy kierowca również nie wytrzymał trudów tej ciężkiej roboty. Poprzednio będąc prawą ręką kierownika

[25] Hala targowa zbudowana w latach 1906 - 1909 przy ul. Koszykowej 61 w Warszawie i rozebrana wbrew sprzeciwom mieszkańców w roku 2006.

[26] Z niem. – czytaj – szajze mensz.

jeśli chodzi o nadzór i organizację pracy kierowców w państwowym cyrku nie musiał tak ciężko pracować. Tu jednak już po pierwszym flokowaniu stwierdził, że to nie dla niego. A po tygodniu podobnie jak wielu Polaków w zachodnich cyrkach którejś nocy potajemnie dał nogę do kraju. I tak właśnie potoczyła się jego kariera i perspektywa godziwych zarobków za granicą. Tym samym zamknął sobie drogę do innych wyjazdów. Bo te najbardziej intratne były do cyrków w Niemczech i Anglii. A nikt kogoś kto w ten sposób zawiódł nie wyśle przecież ponownie.

Wracając do tematu traktowania polskich robotników przez właścicieli cyrków świata to najgorsza sytuacja była we Włoszech. Tam szef cyrku czy też inny nadzorca potrafił nawet uderzyć pracownika co było niemalże normą. Ponadto warunki socjalne były tam najgorsze w Europie. Zdewastowane wozy z przeciekającymi dachami, brak bieżącej wody w cyrku i niemal niewolnicza praca. Jeszcze nie tak dawno w mediach głośno było o włoskich plantacjach, na których przetrzymywano Polaków zmuszając ich do niewolniczej pracy. Oczywiście uprzednio zabierając im paszporty i odpowiednio nadzorując. Ale we Włoszech zarobki w przeliczeniu na złotówki były jednymi z najlepszych. Jak wszędzie indziej byli też tacy, którzy wytrzymywali po kilka sezonów. Jednak już kilka miesięcy było wystarczającą szkołą życia dla każdego.

***

Oczywiście trudno się dziwić, że facet po 40-ce nie dał rady. Praca w cyrku jest ciężka a w szwedzkim cyrku była wyjątkowo ciężka. Codzienne przerzuty w tamtym czasie były czymś egzotycznym i niespotykanym w innych krajach poza Skandynawią. Obecnie nawet polskie cyrki występują w tym systemie. Po prostu jeśli cyrk będzie stał dłużej niż jeden dzień to na żadnym przedstawieniu nie będzie kompletu a cyrk nie zarobi. A w tych czasach nawet mimo takiego rozwiązania i tak brak jest kompletów. No może poza dużymi cyrkami takimi jak „Zalewski".

Ciężka fizyczna praca od świtu do zmierzchu, spartańskie warunki i złe wyżywienie stanowiły dla wszystkich wyjątkową szkołę przetrwania. Głównie dla tych, którzy wcześniej z pracą fizyczną nie mieli zbyt wiele do czynienia. Nawet kierownik mimo, iż był już w jakiś sposób doświadczony, a z pracą w wyjątkowo ciężkich warunkach miał już do czynienie ledwie sobie radził. Szczególnie na początku było bardzo trudno. Zmęczenie i fizyczny ból dawały się bardzo we znaki. Przez pierwsze 2 miesiące ręce, a szczególnie przedramiona aż paliły niemal żywym ogniem i późną nocą kiedy mógł się już położyć na kilka godzin ból powodował, że mimo zmęczenia nie mógł zasnąć.

Jak więc wyglądał przeciętny dzień w takim szwedzkim cyrku? Otóż ok. 5:00 była pobudka. Jeśli ktoś zdążył napić się kawy i zrobić sobie kanapkę z dżemem to miał szczęście. Potem niezależnie od pogody kuplowano wozy i nie raz odbywało się to w strugach deszczu. Zaraz po przygotowaniu do wyjazdu ruszano w trasę. Ponieważ stan cyrkowego taboru był delikatnie mówiąc zły, to podróżowano głównie bocznymi drogami z niewielką prędkością do 50 km/h. Niektóre wozy nie miały nawet oświetlenia wiec wyposażone były w ostrzegawczy trójkąt i napis „brak świateł" co obligowało do ograniczenia prędkości.

Kierownik miał to szczęście, że zazwyczaj jechał Fordem Transitem ciągnąc jedynie za sobą kiosk, w którym w czasie występów sprzedawano słodycze i pamiątki. Inni nie mieli tyle szczęścia i ktoś musiał jechać dużymi ciężarówkami ciągnąc inne cyrkowe wozy.

Po przybyciu na miejsce czyli na nowy plac natychmiast przystępowano do wyznaczania miejsc na floki i flokowania. Ustawiano też wozy, samochody i planowano rozmieszczenie innego sprzętu. Potem stawiano maszty i wciągano na nie główną część namiotu. Następnie jeszcze tylko porządne napinanie lin i zazwyczaj ok. 12 główna cześć cyrku była już postawiona. Wtedy była przerwa na kawę ok. 30 min. A zaraz później dalsza cześć budowy. A więc, rundy czyli boki namiotu, elementy widowni z ławkami rozstawianymi na gradzinach, okablowanie, nagłośnienie i oświetlenie. Ok. 14 trwały już ostatnie prace kosmetyczne. Kierownik był w tej nieszczęśliwej sytuacji, że jako jedyny znał na tyle szwedzki język, że to on stał przed wejściem i sprawdzał bilety. Musiał więc być gotowy ok. 16. Przy tym miał być ogolony i elegancko ubrany w cyrkowy uniform. Biała koszula, krawat itd. Wcześniej jednak musiał przecież coś zjeść lub ewentualnie skoczyć szybko do sklepu jeśli takowy znajdował się w pobliżu. Inni musieli być gotowi dopiero na 17, gdyż dopiero wtedy zaczynało się pierwsze przedstawienie. Następne było na 19. Od razu po zakończeniu wpuszczania widzów na spektakl, kierownik biegł do garderoby z drugiej strony namiotu i w trakcie występów wraz z dwoma kolegami obsługiwał przedstawienie. Tzn. podawał i odbierał rekwizyty, przygotowywał arenę do kolejnych występów itd. W trakcie przerwy dodatkowo oprowadzał wokół areny jednego z trzech kucyków, na których za dodatkową opłatą mogły przejechać się dzieci. Co stanowiło sporą atrakcję dla młodszej części widowni. Ale o tym za chwilę. Tuż przed zakończeniem drugiego spektaklu czyli ok. 21 kierownik szedł do działki i tam przebierał się w robocze ubranie. I jeszcze w trakcie kiedy ludzie wychodzili z cyrku opuszczał rundy zaczynając od garderoby. Czyli od tyłu cyrkowego namiotu. Po chwili reszta załogi również przystępowała do rozbiórki cyrku, która w cyrkowej nomenklaturze nazywała się rozbudową w przeciwieństwie do budowy jaką było stawianie cyrku. Ten ostatni etap kończył się zazwyczaj ok. północy. Teraz dopiero mieli wolne. Kierownik w przeciwieństwie do niektórych, którzy wycieńczeni padali od razu na łóżko jeszcze musiał się umyć a czasem coś zjadł. Nie zawsze na szczęście były dwa przedstawienia więc w takich luźniejszych dniach czasu było trochę więcej ale i tak funkcjonując w taki sposób dzień w dzień trudno było dać radę, bo następnego dnia ok. 5 znowu pobudka i ten sam schemat i tak przez 6 kolejnych miesięcy. I właśnie między innymi dlatego sezon w Skandynawii trwał 6 a nie 10 miesięcy jak to miało miejsce w pozostałych krajach Europy. Oczywiście głównym powodem był też klimat.

Mimo to znajdowano czas nawet na świętowanie czyli rozrywkę. Chociaż to nie zdarzało się często. Szczególnie zaś wtedy kiedy do cyrku zawitał ktoś z polonii. Czyli Polacy mieszkający na stałe w Szwecji. Wtedy zazwyczaj w nocy goszczono się przy wspólnym stole obficie przy tym konsumując miejscowe wyroby alkoholowe. W Szwecji bowiem o czym zapewne mało kto wie powszechnie pędzono bimber. Spowodowane to było swoistą prohibicją. Sklepy z alkoholem znajdowały się jedynie w większych miastach a zwykłe piwo sprzedawane w marketach zawierało jedynie 1.5 % alkoholu. Po takie o mocy 3,5 lub 4,5% należało wybrać się do monopolowego zwanego w Szwecji „Systembolaget".

Pewnego dnia w trakcie sezonu w miejscowości Örebro, doszło właśnie do takiego spotkania z Polakami mieszkającymi w Szwecji, Była to sympatyczna rodzina, która widząc, że ich rodakom w cyrku się nie przelewa ugościła ich wyjątkowo. I mimo, że biesiada miała miejsce w cyrkowym wozie to goście wszystko co trzeba przywieźli ze sobą. A więc mnóstwo jedzenia i równie dużo alkoholu w tym głównie własnej roboty. Dokładnie był to 5 litrowy baniaczek miejscowego bimbru. W sumie z pracownikami technicznymi cyrku których było razem 7 przy stole zasiadło 11 osób a wśród nich jedna kobieta, jej brat i 2 Szwedów. Z których jeden był jej mężem. Impreza się rozkręciła i już ok. 2 w nocy większość była dość mocno zamroczona. Jedynie kierownik trzymał fason. I można powiedzieć, że był prawie trzeźwy. Po tym jak swoją życiową alkoholową normę przekroczył podczas pobytu w Rosji raczej stronił od alkoholu. W pewnym momencie przy stole zrobiło się prawie pusto. Kierownik został jedynie z dwójką swoich cyrkowych kolegów. A reszta towarzystwa wyszła na zewnątrz żeby się przewietrzyć. Jeden ze Szwedów udał się nawet po kolejne zaopatrzenie gdyż możliwości cyrkowej braci okazały się ogromne.

Wtedy ku wielkiemu zdziwieniu kierownika, pozostali koledzy zaczęli ściągać ze stołu to co na nim zostało i chować gdzie się dało. Po prostu w bezczelny sposób kradli uznając zapewne, że to okazja aby zrobić zapasy na później. Liczyli przy tym, że towarzystwo jest tak pijane, że nikt nie zwróci uwagi na tych lika brakujących butelek. Kierownik jeszcze nie wyszedł z szoku i zanim zwrócił im uwagę do działki weszła owa kobieta. Widząc taki obrazek zdębiała. Na to ci, którzy dopuścili się takiego sprzeniewierzenia i nadużycia gościnności nagle stali się nieprzytomni. No pijani tak, że nie było z nimi kontaktu. Po takiej akcji Szwedzi wraz z polonią w zdziwieniu i nie małym rozczarowaniu opuścili to żałosne towarzystwo a jedynym, który musiał się wstydzić za swoich rodaków był znowu kierownik. Tylko on był na tyle trzeźwy i dobrze zadawał sobie sprawę z tego co się stało. Nie pomogło żadne tłumaczenie, przeprosiny itd. Polacy okazali się po prostu złodziejami, nie zważającymi nawet na to, iż okradali swoich rodaków, którzy ich ugościli. Ten żenujący obraz na długo zapadł w pamięci młodego człowieka i do dziś jego wspomnienie powoduje niesmak i wewnętrzny wstyd.

Podobne problemy z Polakami na obczyźnie w tamtych czasach były dość powszechne i to nie tylko w Szwecji, ale w całe j Europie. Takie też opinie ukształtowały się o Polakach. Jednak w Szwecji szokowało to najbardziej. W kraju, w którym zwykłemu Szwedowi nigdy by cos takiego nie przyszło nawet do głowy.

Niestety. Nie lepiej zachowywała się pozostała część cyrkowej załogi. Otóż niedługo po tych wydarzeniach stało się coś co równie jak tamto słusznie pozwalało na przyczepienie etykietki złodzieja do każdego Polaka. Kierownik był tym wszystkim zdruzgotany. Ponadto w przeciwieństwie do poprzedniej afery o tym co się tym razem stało wiedzieli wszyscy w cyrku włącznie z dziadkiem, babcią i artystami. A sprawa miała finał w sądzie.

W cyrku Starlight pracowało w sumie 7 Polaków nie licząc pewnego małżeństwa artystów. Adam zajmował się oświetleniem, obsługą agregatu i ogólnie elektryką. Andrzej na, którego Dziadek wołał „Ańdżi" zajmował się zwierzętami. Nie dość, że była to brudna i śmierdząca robota to zajmowała czas przez całą dobę. Wiesiek był prawą ręką dziadka. Pracował tam już 3 sezon i biegle mówił po niemiecku. Zajmował się głównie wytyczaniem ustawienia cyrku, wraz z Dziadkiem koordynował prace i poziomował gradziny. Było to o tyle ważne, że pod obciążeniem publiczności źle ustawione ławki mogły się zawalić. Co niekiedy zdarzało się gdzieś w świecie. Był jeszcze Ziutek, który razem z Wieśkiem był tam już kolejny sezon, właściwie to się ślizgał między obowiązkami zajmując się zawsze tym co akurat było najlżejsze. Kierownik zaś jak już wspomniano sprawdzał bilety i razem z Wieśkiem i Ziutkiem obsługiwał program. Ponadto było jeszcze dwóch, którzy w zasadzie mieli za zadanie rozwożenie reklamy do kolejnych następnych miast i zdejmowaniem jej z miast, w których cyrk już zagrał. I to właśnie oni są niechlubnymi bohaterami tej historii.

Pewnego razu do cyrku przyjechała policja. Okazało się, że jeden z reklamowców został zatrzymany za kradzież. W Szwecji bardzo łatwo można było ulec złudzeniu, że kradzież w sklepie to bardzo prosta i niezbyt ryzykowna sprawa. Owszem nikt tam specjalnie niczego nie pilnował i nawet w najdroższych sklepach ze sprzętem elektronicznym, czy ubraniami często po wejściu okazywało się, że sprzedawca jest gdzieś na zapleczu. W takich sytuacjach większości ludzi przychodzi do głowy pomysł żeby wziąć coś i po prostu wyjść. I w większości przypadków byłoby to możliwe. Jednak jeśli ktoś posiadał elementarne poczucie uczciwości to szybko porzucał takie myślenie. Poza tym nigdy przecież nie wiadomo czy to co nam się wydaje jest takie w rzeczywistości. Szczególnie w sytuacjach kiedy w grę wchodzi przestępstwo. Obaj reklamowcy mieli mnóstwo okazji do takich myśli i tyleż samo do chęci ich zrealizowania. Całe dnie jeździli od miasta do miasta i w przeciwieństwie do pozostałych członków załogi mieli mnóstwo wolnego czasu. Udało im się nawet przekonać Dziadka, że ich praca jest taka ciężka i absorbująca, że nie miał do nich pretensji kiedy nie wracali na czas do cyrku. Często więc nie brali udziału ani w budowie ani w rozbudowie cyrku. Powodując tym frustrację pozostałych.

Policjanci, którzy wtedy przyjechali poinformowali właścicieli cyrku o tym co się stało. Poza tym chcieli potwierdzić zeznania zatrzymanego co do zatrudnienia w cyrku. Łatwo się można domyślić, że tym razem coś się reklamowcom nie udało. Bo jak okazało się później, drobnymi kradzieżami zajmowali się już od dawna. Najczęściej w jakimś markecie podczas oglądania wybierali sobie coś dobrego do jedzenia a potem w przymierzalni pod pretekstem zmierzenia jakieś rzeczy, której i tak nie mieli zamiaru kupować, to coś konsumowali. I tym razem było dokładnie tak samo. Wzięli sobie spodnie do zmierzenia, ale poza tym foliowaną szynkę i ogórki. Jak już się za darmo najedli żeby nie wzbudzać podejrzeń wychodzili, odwieszali ubrania a papierki czy folię po skonsumowanym jedzeniu utykali gdzieś w przymierzalni. A tym razem jeden z nich wepchnął folię po szynce za lustro.

Jednak okazało się, że czujna ochrona sklepu ich wytropiła. Dlatego przy kasie poproszono aby jeden z nich zapłacił za zjedzoną szynkę. Podejrzany oczywiście się dziwił i w ogóle nie rozumiał czego od niego chcą. Jednak ochrona była nieugięta i w końcu pokazano folie po tejże szynce. Mimo to jednak zatrzymany nie miał zamiaru zapłacić gdyż nadal udawał, że nie rozumie. No i się po prostu nie przyznawał. Trzeba przyznać, że i tak dano mu szansę. Wystarczyło zapłacić te kilkanaście koron i byłoby po sprawie. Postanowiono wezwać Policję. Wtedy o dziwo polski złodziejaszek nagle zrozumiał, że to przecież chodzi o tę szynkę, którą niedawno spałaszował w przymierzalni i teraz już był gotów za nią zapłacić. Jednak było za późno. Oczywiście obydwu zabrano na komisariat i tam za pośrednictwem tłumacza przedstawiono zarzuty. Ponadto pouczono co do dalszych losów sprawy. Mianowicie, ze względy na to, iż wartość skradzionego towaru nie była wysoka a kierownictwo sklepu specjalnie nie naciskało na ukaranie winnych oraz biorąc pod uwagę, że są obcokrajowcami postanowiono ich zwolnić. Przy czym musieli wpłacić kaucję w wysokości 500 koron na poczet ewentualnej kary i kosztów rozprawy, która miała się odbyć w trybie zaocznym. Jasnym było, że zostaną skazani więc nie odzyskają tych pieniędzy. W związku z tym przyszło im jeść najdroższą szynkę w ich życiu.

Jednak najgorsze było to, że ten niechlubny czyn rzucił cień na resztę polskiej załogi i na Polaków w ogóle. I jak w tej sytuacji dziwić się opinii, która mówiła, że Polacy to złodzieje i pijacy. A w cyrku pracowali przecież Węgrzy, Bułgarzy, Szwajcarzy itd. Jednak tylko Polaka złapano na kradzieży. W związku z tą sytuacją kierownik odczuwał wstyd właśnie za to, że jest Polakiem. I mimo, iż zawsze był chwalony ze względu na pracowitość to ta negatywna opinia burzyła tę ocenę i przez następne dni wszyscy patrzyli na polskich pracowników przez pryzmat tej kradzieży.

To, że Polakom w cyrku się nie przelewało było faktem jednak nie usprawiedliwia to kradzieży. Nawet artykułów spożywczych. A artykuły spożywcze w Szwecji były wtedy jednymi z nadrożnych w Europie. Podobnie jest dziś. Jedzenie jest tam po prostu drogie. Dlatego kilka plasterków szynki za 500 koron to był szok dla wszystkich.

Generalnie zarobki nie były zbyt wysokie. Inna sprawą jest, że właściciele europejskich cyrków wykorzystywali fakt, iż w Polsce złotówka ma niską wartość i płacili najemnym robotnikom grosze. Za takie pieniądze żaden Szwed czy Niemiec nie pracowaliby nawet jednego dnia, a co dopiero cały sezon. Jednak dla Polaków - a w tym i dla kierownika, te marne jak na szwedzkie warunki grosze miały całkiem inną wartość. W końcu polegało to na tym aby zarobić i jak najwięcej zaoszczędzić. A na czym można zaoszczędzić pracując w Szwecji? Oczywiście na jedzeniu czyli de facto na zdrowiu. Ale kto wtedy o tym myślał? Młody organizm kierownika jakoś sobie dawał radę z ciężką pracą przy minimalnej dawce energii z marnego jedzenia.

Bo żeby zaoszczędzić nie można było sobie pozowali na normalne jedzenie. Kupowano głównie najtańsze i najsłabsze produkty. Często z kończącą się datą ważności czyli z przeceny. Łatwo było je odnaleźć na półkach gdyż były oznakowane specjalnymi pomarańczowymi nalepkami z napisem REA, czyli przecena. Ale skoro normalny chleb kosztował 12 – 13, a przeceniony czyli z poprzedniego dnia 9 to różnica była spora.

Pewnego razu doszło do dziwnego zdarzenia otóż w sklepie spożywczym sieci ICA w koszyku z przecenionym pieczywem był tylko jeden bochenek. Kierownik nie spieszył się specjalnie, aby go wziąć gdyż był pewien, że Szwedzi na ogół kupują pieczywo świeże. Jakież było jego zdziwienie kiedy podchodząc do koszyka wyprzedziła go starsza pani i błyskawicznym ruchem zgarnęła mu chleb sprzed nosa. Taki obrót sprawy wprowadził go wręcz o osłupienie. Innym razem będąc na zakupach z Adamem okazało się, że jest tylko chleb tostowy, który był zazwyczaj droższy bo kosztował 15 koron - innego niestety nie było. A na tym konkretnym nawet nie było ceny. Kierownik podszedł więc do pani z obsługi i zapytał o cenę. Okazało się, że kosztuje on 13 koron. Skoro tak to Adam kupił dwa, gdyż żywili się wspólnie z Andrzejem. Niestety po powrocie do cyrku ten zakup okazał się sporym problemem. Adam i Andrzej od samego początku postanowili prowadzić wspólna i jedną kuchnię. Miało to być taniej no i wygodniej gdyż podczas kiedy jeden robił zakupy drugi mógł w tym czasie przygotować coś do jedzenia. Już pierwszego dnia namawiali kierownika do przystąpienia do spółki. Jednak nie miał on na to ochoty. Z Polski zabrał spory zapas jedzenia więc postanowił, że ewentualnie skorzysta z propozycji jak skończą mu się zapasy. Inaczej musiałby się nimi dzielić już na początku sezonu. Jak się później okazało była to bardzo słuszna decyzja. Po pierwsze okazało się, że koledzy jedzą znacznie więcej od niego, a poza tym na każdym kroku jeden drugiego oszukiwał. Kierownik widząc to tylko się uśmiechał. I tak Adam gotując zupę i dodając do niej śmietanę jedną łyżkę wkładał do zupy a następną do gardła. Innym razem Andrzej korzystając, że Adam obsługuje przedstawienie czyli włącza oświetlenie i muzykę obżerał się kanapkami, które smarował dwa razy grubiej niż zwykle.

Tym jednak razem chodziło o ten nieszczęsny chleb. Po powrocie do cyrku Andrzej jak zwykle zaraz zabrał się do analizowania paragonu i po chwili zapytał:

– Adam, a co ty kupiłeś za 60 koron?

Zdziwiony Adam odparł oczywiście, że nic. Jednak na paragonie widniał taki właśnie zakup. Obaj więc zwrócili się do kierownika żeby odczytał o co to chodzi. I wtedy stała się jasność. Okazało się, że tym razem winny był kierownik. Bowiem źle zrozumiał panią w sklepie, która w odpowiedzi na pytanie o cenę chleba odpowiedziała co prawda, że 30 koron jednak słowo to można łatwo pomylić ze słowem 13. Szczególnie kiedy język szwedzki zna się dość słabo. I tak też właśnie było. Eks-

pedientka powiedziała „tretti kronor" a on zrozumiał, że powiedziała „tretton". Najprawdopodobniej zasugerował się dotychczasową ceną takiego chleba, która zazwyczaj oscylowała w granicach 15 koron. Dlatego do głowy mu nie przyszło, że może on kosztować aż 30 i 13 koron wydało mu się naturalną ceną. Oczywiście fakt, że Adam kupił chleb 2 razy droższy niż normalnie wywiązał pomiędzy wspólnikami awanturę. Kierownik wytłumaczył się z pomyłki i o dziwo do niego nikt nie miał pretensji jednak wspólnicy od wspólnej kuchni zawiesili tę współpracę na prawie tydzień, po czym wrócili do starego systemu.

Opisany tu przykład nie będzie tak dziwił kiedy weźmie się pod uwagę, iż na jedzenie codziennie każdy z technicznych pracowników otrzymywał zaledwie 110 koron. Poza tym dostawali oni po 160 koron dziennie w ramach wynagrodzenia. Łącznie więc każdy z nich miał do dyspozycji 270 koron dziennie. Jednak znaczną część tej kwoty należało zaoszczędzić, aby potem przywieźć do kraju i wymienić na złotówki. Dlatego średnio na jedzenie wydawano zaledwie ok. 20–30 koron dziennie. Jednak menu za takie pieniądze nie mogło być wyszukane. Dlatego np. kierownik zazwyczaj kupował słoną margarynę, przeceniony chleb i najtańszy dżem, kupowany w pojemnikach po 2,5 kg. Do tego jajka, ziemniaki, parówki i fasolę w puszkach. O żadnych słodyczach czy innych luksusach nawet nie było mowy. Takie jedzenie przez kilka miesięcy może się przejeść każdemu. Dla porównania jeden hot dog kosztował aż 16 koron, a lody Magnum były po 10, podczas gdy 2,5 kg wspomnianego dżemu kosztowało jakieś 22 korony i wystarczyło na kilka dni.

Przy wysokich cenach jedzenia i niskich zarobkach każdy grosz się liczył. Dlatego szybko okazało się, że można zawsze parę koron dorobić. Już w poprzednim sezonie Wiesiek wraz z Ziutkiem opracowali sposób jak dobrać się do pieniędzy, które dziadek brał za przejażdżki na kucykach podczas przerwy. Koniki były trzy i ci co obsługiwali program przez 15 minut przerwy je prowadzali dookoła areny wożąc dzieci. Po środku przechadzał się Dziadek nadzorują całość. Chętnych nie brakowało, a Dziadek był w stanie w ten sposób uzbierać dość pokaźną sumkę. Jeden przejazd składający się z trzech okrążeń kosztował 10 koron. Dziadek zbierał pieniądze i chował je zawsze do lewej kieszeni swojego fartucha, który podczas przerwy zakładał na galowy garnitur, gdyż to on prowadzał spektakl i zapowiadał artystów. Plan Wieśka polegał na tym, że w kieszeni dziadka robił niewielką dziurę. Rozpruwał ją na szwie dokładnie na tyle aby możliwe było wydostanie się prze nią monety. Otwór nie mógł być jednak zbyt duży żeby nie wszystkie monety wyleciały, bo wtedy dziadek by się połapał. Dlatego gubił tylko te, które akurat trafiły dokładnie w miejsce rozerwanej kieszeni. Rolą prowadzących kucyki w tym planie było baczne obserwowanie kiedy taka moneta wypadnie. Następnie szczęściarz, który prowadzając konie dookoła zbliżał się do tego wypatrzonego miejsca błyskawicznie schylał się i podnosił 10 koron. Oczywiście mógł zrobić to tylko wtedy kiedy Dziadek stał do niego plecami. Dlatego czasem trzeba było obejść arenę jeszcze raz w wyczekiwaniu na okazję. Przy tym nie można było stracić tego miejsca z oczu. Nie było to łatwe gdyż arena wysypana była trocinami a złote monety były ledwie widoczne. Czasem wręcz na wyczucie podnosiło się garść trocin w, których leżała moneta. Następnie równie szybko należało schować ją do kieszeni i czekać na kolejną okazje. Oczywiście nie zawsze dopisywało szczęście, jednak zazwyczaj jedną lub dwie monety każdy z nich zdołał zdobyć. Co ciekawe nikt z nich nie traktował tego jako coś nagannego, ot po prostu dzielili się zarobioną gotówką z Dziadkiem i tyle. A już na pewno nikt nie traktował tego jako kradzież. I mimo swych zasad również kierownik uczestniczył w tym procederze. Musiałby być głupi widząc, że inni korzystają, a on w imię wyższych zasad tylko na to patrzy. Jasnym jest, że podczas pogoni za pieniędzmi dzieci, które siedziały na kucykach nie były ani porządnie asekurowane ani pilnowane. Jednak wtedy to nie było najważniejsze.

Skrajne dążenie do oszczędności i gromadzenia pieniędzy prowadziło do tego, iż każdy z Polaków uprawiał jeszcze inny proceder. Otóż nie każdy zapewne wie, że już na początku lat 90–tych w Skandynawii w ramach ochrony środowiska większość spożywczych sklepów przyjmował za odpowiednią opłatą aluminiowe puszki i plastikowe butelki po napojach. Nie był to jakiś znaczący zarobek nie mniej jedna puszka kosztowała 0.5 korony Czyli 50 öre. Odbywało się to na zasadzie specjalnych automatów. W każdym sklepie stał więc automat do, którego Szwedzi wrzucali puszki przed zakupami. W zamian za to dostawali kupon, który później obniżał ich końcowy rachunek przy kasie. Polacy też starali się ugrać na tym jakieś pieniądze. Jednak nie było to łatwe. Zbieraniem puszek trudnili się też Szwedzi, poza tym większość z nich po prostu ich nie wyrzucała. Jedynym miejscem gdzie można było znaleźć puszki były przydrożne rowy do, których wyrzucała je młodzież z okien swoich samochodów. Dlatego podczas przerzutu wykorzystując fakt, iż kolumna poruszała się z dość małą prędkością wszyscy kierowcy poza sytuacją na drodze obserwowali równie bacznie pobocze wraz z przyległymi rowami. Kiedy w oko wpadała puszka zatrzymywano się i błyskawicznie przynoszona ją do auta. Bywało, że najlepsi podczas jednego przerzutu potrafili uzbierać prawie całą reklamówkę. Oczywiście najgorzej miał ten, który jechał na końcu kolumny gdyż mógł liczyć jedynie na te, których nie zauważyli jego koledzy. A na końcu jeździł zawsze kierownik.

Mimo to i on miał swój sposób i swoją tajemnicę. Otóż jak już wspomniano zazwyczaj ciągnął kiosk. Po jakimś czasie zauważył, że czasami podskakująca przyczepa tak się kołysze i chwieje, że dochodzi do samoczynnego otwierania się bocznej klapy. Na postoju stanowiła ona dach przed kioskiem i otwierała jakby okno lady, za którą były słodycze, napoje i cyrkowe pamiątki. Podczas transportu te wszystkie produkty składowane były w kartonach na podłodze. Początkowo kierownik zgłaszał ten fakt babci, która zajmował się zaopatrzeniem kiosku. Ale ona nie robiła z tego problemu. W ogóle wydawało się, że nie panuje nad stanem ilościowym kioskowego asortymentu. Dlatego nasz bohater po kilku takich razach wpadł na pewien pomysł. Pomyślał, że przecież nic się nie stanie jak podczas podróży poczęstuje się batonikiem czy innym wafelkiem. Doszło więc do tego, że podczas przerzutu specjalnie zjeżdżał jedną stroną przyczepy na pobocze a na wybojach klapa się otwierała. Wystarczyło się wtedy zatrzymać i szybkim susem zajrzeć do środka. Wisząc tak wpół na ladzie można było wziąć sobie batona, czy inne chipsy. Jednak należało je zjeść przed przybyciem na miejsce.

Z czasem w ten proceder wtajemniczył też Wieśka, który zazwyczaj jechał przed nim. Chociażby w rewanżu za sposób z rozprutą kieszenią. Chociaż wtedy tak tego nie postrzegał to ewidentnie była to kradzież. Niemiej znacząca, co kradzież szynki przez jego kolegów. Wtedy wydawało mu się, że to co oni robili jest co najmniej nie na miejscu i rzeczywiście odczuwał wielki wstyd za taki stan rzeczy. Jednak życie weryfikuje poglądy i uzależnia je od sytuacji. Więc mimo, że sam kradł tak jak oni nie miał z tego powodu wyrzutów, szczególnie kiedy już przyzwyczaił się do tego procederu. Tak więc można spokojnie potwierdzić stare powiedzenie, że okazja czyni złodzieja.

No cóż, jego niezłomna postawa i uczciwość zostały wystawione na próbę, której jak się okazuje nie przeszedł pomyślnie. Jednak jak wszyscy inni był tylko młodym człowiekiem i dziś jedynie może przyznać się, że z moralnego punktu widzenia był to błąd. Przy czym żaden żal nie zmieni tego faktu wiec nawet nie ma co dalej rozpatrywać tej kwestii. Jedyne co, to mógłby nie opowiadać o tym nikomu. Jednak szczególnie na łamach tej książki stanowić to może pewną formę oczyszczenia sumienia, które przez lata było skażone tym niechlubnym faktem.

Jeszcze innym niechlubnym procederem, którym trudnili się Polacy w Skandynawii były napady na tak zwane UFO. Oczywiście słowo napad to zbyt mocne określenie, nie mniej jednak była to też kradzież. Otóż w Szwecji bowiem, znacznie wcześniej niż w Polsce rozpoczęto zbiórki odzieży dla biednych, głównie dla krajów Afrykańskich. Nic dziwnego bo w końcu Szwecja to kraj zamożny. I tam takie zbiórki były rzeczywiście pomocą materialną dla tych biednych ludzi. U nas jak wiemy często pieczołowicie składane do pojemników ubrania lądują w rezultacie jako czyściwo w zakładach pracy lub idą na przemiał do produkcji szmat i innych tego typu wyrobów. Ale o tym nikt nikogo nie informuje. Zawsze odbywa się to pod hasłem zbiórki dla biednych.

Zbierano więc odzież do pojemników podobnych do tych w Polsce. Były również koloru żółtego, a napisane było na nich UFF – co oznaczało organizację, która te zbiórki prowadziła. Ponadto był jeszcze napis Klädinsamling[27], czyli zbiórka ubrań. Obecnie takie pojemniki w Szwecji są zielone. Wśród polskich robotników przyjęła się nazwa UFO. Proceder polegał na tym, iż wybierano z nich reklamówki z ubraniami w nadziei na ubrania dobrej jakości. I tak też dość często się zdarzało ponieważ Szwedzi potrafili wrzucać tam nawet nowe, nigdy nie używane rzeczy, a w śród nich nawet buty czy bieliznę.

Komu z nas nigdy nie zdarzyło się kupić czegoś co okazało się jednym wielkim niewypałem? Później takie ubranie czy buty odleżały w szafach, aż w końcu albo się je wyrzuciło albo zapakowało do reklamówki w ramach kolejnej takiej zbiórki. Dlatego czasem jeśli ktoś miał szczęście i odpowiednie zaangażowanie

[27] Z szwedz. czytaj – klodinsamlin.

mógł ubrać się w takim UFO całkiem przyzwoicie. Pracownicy cyrku nie mieli jednak zbyt wiele czasu ani okazji aby zajmować się wyciąganiem ubrań z pojemników. Jednak jeśli ktoś pracował na budowie lub w jakimś zakładzie odwiedzał takie przybytki regularnie mimo, iż było to oczywiste przestępstwo. Zresztą nie tylko Polacy wykorzystywali fakt bezgranicznej uczciwości Szwedów, a tym samym mniejszą czujność na kradzież. W tamtym czasie masowo sprowadzano do Szwecji w ramach pomocy uchodźców z takich krajów jak Jugosławia, gdzie toczyła się wojna. A oni w ciągu kilu lat odmienili dość znacznie nieskazitelny obraz tego kraju. Obecnie w Szwecji nie jest już ani tak czysto ani bezpiecznie jak ćwierć wieku temu. Nawet Szwedzi szczególnie ci młodsi szybko uczą się od przybyszów. Dlatego w tym kraju nie mało jest gangów, czy innych grup przestępczych, a nawet bojówek o zabarwieniu faszystowskim. O czym przeciętny Polak zapewne nie ma pojęcia.

Jednak w tamtych czasach Szwecja jawiła się krajem jak z innego świata. Wyjątkowo czysto na każdym kroku i wszędzie czysta nieskażona przyroda. Co ciekawe Szwedzi odwrotnie niż Polacy nie zbierają grzybów więc liczne lasy rosną sobie nieomal jak rezerwaty. Nikt ich nie depcze i nikt w nich nie śmieci. Poza tym Szwedów jest znacznie mniej niż nas, więc nawet gdyby chcieli to nie zdeptali by tak swej przyrody jak my. Biorąc całokształt pod uwagę można było odnieść nieomylne wrażenie, że Szwecja tamtych lat to kraj wręcz idealny. Nic więc dziwnego, że tak zachwycał nie tylko kierownika. Przy tym są to ludzie z przyjaznym i pokojowym nastawieniem do innych.

* * *

Wracając do cyrku. Ciężka praca rodziła rzecz jasna również konflikty i to nie tylko pomiędzy pracownikami. Do jednego takiego zdarzenia doszło w niewielkiej miejscowości Töreboda niedaleko miasta Marjestad. Kiedy to nie wiedzieć dlaczego Dziadek zarządził inne ustawienie wozów niż to czynione zazwyczaj. A plac przecież nie był mały żeby nie można było zrobić tak jak zawsze. Zmiana polegała głównie na tym, że zarówno agregat jak i koniowóz[28] ustawiony został tuż przy kempingu, w którym mieszkał kierownik. Mimo, że kolegom to jakoś specjalnie nie przeszkadzało to kierownik od razu zauważył poważne minusy takiego ustawienia. Dlatego też zażądał, aby Adam przestawił agregat tak jak zawsze. Pozostał jeszcze samochód, w którym przewożono konie, a w nocy stanowił dla nich stajnie. Poza specyficznym zapachem konie w nocy hałasowały. A ich kopyta stukały o drewnianą podłogę. To wszystko powodowało, że po ciężkim dniu było pewne, że i noc nie będzie spokojna jak zawsze. Dlatego w sprawie koniowozu kierownik zamierzał udać się do Dziadka. Jednak zanim to zrobił Dziadek sam z krzykiem zjawił się przed ich kempingiem. Zauważył bowiem, że Adam przestawił agregat. Wszyscy wyszli na plac. Zdezorientowany Adam nie wiedział jak się zachować. Z jednej strony wykrzykujący szef każe przestawić przyczepę z agregatem a z drugiej kierownik wyraźnie mu tego zabrania. Oczywistym jest, że w takiej sytuacji cała awantura skupiła się na kierowniku, który nie dawał za wygraną. Znał język na tyle, że mógł z Dziadkiem prowadzić odpowiednio dynamiczną wymianę zdań na temat ustawienia wozów. Od słowa do słowa doszło do wyzwisk i przekleństw. Które kierownik formułował już w swoim ojczystym języku. Zaskakujące było jednak to, że największą obelgą na jaką mógł zdobyć się właściciel cyrku było

– du är en idiot![29]

Co w porównaniu z całym potokiem przekleństw wypowiadanych przez kierownika wydawało się śmieszne. Owszem Szwedzi mają w swoim języku i ostrzejsze słowa jednak rzadko kiedy je wypowiadają. Dla Polaka słowa na „k" czy „ch" to niemal norma. Tam jednym z poważniejszych obelg jest:

– dra åt helvete![30] A właściwie wystarczy samo: dra åt…!

Co oznacza dosłownie „ciągnij się do piekła" czyli idź do diabła. I taka obraza potrafi już całkiem poważnie zezłościć każdego Szweda. Jednak czym jest takie łagodne sformułowanie z litanią jaką wypowiadają w podobnych sytuacjach Polacy? A co ciekawe nie tylko dla Szwedów obce są wiązanki w stylu naszych rodaków. Otóż okazało się, że również Węgrzy, którzy także tam pracowali nie posługują się w swoim kraju aż tak kwiecistym językiem. A to wszytko nie świadczy bynajmniej o wysokiej kulturze Polaków, niestety. Dlatego któregoś dnia młody węgierski artysta zapytał kierownika co znaczy pewna sekwencja słów, którą bardzo często powtarzał Wiesiek. A czynił to zazwyczaj kiedy mu coś nie szło podczas pracy i było to:

– „Ty, kurwo, dziwko, komunistko, pierdolona w mordę jebana…"

Kiedy kierownik przetłumaczył to dokładnie, młody Węgier nie mógł opanować swojego zdumienia. Początkowo nie wierzył, że takie rzeczy można mówić aż tak często. Równie mocno dziwiło go samo zestawienie tylu wulgaryzmów na raz. Niestety kierownikowi było w związku z tym trochę głupio, ale na szczęście sam nie używał tego typu słownictwa. W każdym razie nie na taką skalę.

Wracając więc do awantury z dziadkiem. Doszło nawet do momentu kiedy Dziadek chwycił za łopatę jednak kierownik nie pozostawał dłużny i złapał za młot do flokowania. W końcu cała awantura się jakoś wyciszyła, bo dziadek, tak się zdenerwował aż źle się poczuł i poszedł się położyć powtarzając:

– „meine medizin, meine medizin…"[31]

Wkrótce przyjechała z zakupów babcia i po chwili przyszła aby porozmawiać o całym zajściu z kierownikiem. On wytłumaczył jej o co chodzi. Powiedział, że nie godzi się na takie traktowanie. Bowiem wyszło na to, że tylko polscy pracownicy musieli znosić trudy i niedogodności wynikające z bliskości agregatu i koniowozu. Babcia przyznała mu rację, ale powiedział, że teraz jej mąż źle się czuje. Co prawda kierownik postawił na swoim i ustawił wozy tak jak zawsze, czyli w taki sposób aby tak bardzo mu nie przeszkadzały. Jednak po pewnym czasie uznał, że należy przeprosić starszego człowieka. Udał się więc do kempingu państwa Jackson i zapukał do drzwi. Oboje właściciele bardzo się ucieszyli widząc młodego człowieka tym bardziej, że wykazał się ona takim gestem. Oczywiście Dziadek powiedział, że nie ma sprawy i w zasadzie wszystko się dobrze skończyło. W gruncie rzeczy byli to bardzo mili ludzie, a i kierownik nie był przecież jakimś prostakiem czy innym zakapiorem i darzył ich sympatią. Na koniec sezonu Jana czyli Babcia nawet płakała kiedy żegnała się z kierownikiem.

* * *

Tymczasem wracamy do Rosji. W końcu stało się. Niecały miesiąc przed końcem sezonu Stary wezwał kierownika. Być może chodziło o swobodę działania. Kończył się sezon i trzeba jakoś wrócić do kraju. Wrócić czyli przywieźć wszystko to co się udało jeszcze zdobyć na tym swoistym wschodnim „Eldorado" jakim w tamtych czasach dla Polaków nadal był Związek Radziecki. Ale jak to zrobić kiedy ktoś patrzy na ręce. Ktoś kto już dawno wymknął się spod kontroli i na kogo miało się już niewielki wpływ.

Wtedy też dyrektor mimo, iż nie miał takiego prawa postanowił wysłać kierownika do Polski czyli do bazy w Julinku. Mimo to z takim poleceniem kierownik nie mógł przecież dyskutować. Stary zapewniał, że ustalił to telefonicznie z dyrektorem ZWC, jednak po powrocie do Polski okazało się, że kłamał. Szef bazy był zdziwiony obecnością kierownika u siebie, podczas kiedy jego zdaniem powinien on dokończyć sezon. Tym bardziej, że pozostało już tylko bezpiecznie i bez problemów sprowadzić cyrk do kraju.

W wyniku takiego obrotu spraw kierownik postanowił wracając zwiedzić jeszcze nieco kraju, którym był tak zachwycony. W końcu kolejny raz nadążyła się ku temu okazja, a następna może nie nadarzyć się już nigdy. Jego przełożony bowiem nie zadbał o to w jaki sposób kierownik ma dotrzeć do Polski. Oznajmił tylko, że ustalono w Polsce, iż ma się stawić w bazie i tyle. I w ten sposób się go pozbył. Niestety tym samym przysporzył problemów pozostałej części załogi, gdyż teraz nie miał kto zorganizować tego najważniejszego przerzutu i bezpiecznej drogi do kraju.

Ale nasz bohater wtedy już o tym nie myślał. I nie miał zamiaru pomagać Staremu w czymkolwiek przed swoim wyjazdem. Lakonicznie przekazał swoje obowiązki starszemu kierowcy i magazynierowi. Wprowadzenie ich w zawiłości procedur, dokumentacji itd. i tak zajęłoby mu zbyt wiele czasu. Czasu, który teraz postanowił wykorzystać tylko dla siebie. Ponieważ cyrk stacjonował niedaleko Rostowa postanowił po drodze odwiedzić Krym mimo, iż mógł od razu polecieć do Moskwy, a stamtąd pociągiem lub samolotem do Warszawy.

[28] Wóz lub samochód do przewożenia koni.

[29] Ze szwedz. czytaj – du e idiot – jesteś idiotą.

[30] Ze szwedz. czytaj – dro ut helwete – idź do diabła

[31] Z niem. – czytaj – majne medicin – moje lekarstwo

Nie był to jednak prosty plan bo jak dowiedział się od kasjerki w okienku lotniskowej kasy, Symferopol to запретная зона[32] czyli zamknięta strefa. Dlatego jako cudzoziemiec nie mógł po prostu sobie tam polecieć. Żeby mógł kupić bilet na samolot potrzebna jest specjalna wiza. Gdzie jej teraz szukać? Poza tym nie było na to czasu. Jak więc dostać się na Krym z oddalonego o ponad 500 km Rostowa nad Donem? Oczywiście można pociągiem, ale to zajmie wieki. Jest inna możliwość powiedziała kasjerka i skierowała kierownika na dworzec wodny w Rostowie. Była to przystań, z której regularnie odchodziły wodoloty oraz inne morskie jednostki przewożące pasażerów do miejscowości położonych nad Morzem Azowskim. W tym również do Kerczi na Krymie. Bilet kosztował zaledwie 19 rubli, a podróż miała trwać kilkanaście godzin. O tym jak z Kerczi dostanie się do Jałty i dalej, na razie nie myślał.

Wodolot. Z ros. – судно на подводных крыльях – czyli statek na podwodnych skrzydłach.

Trasa wodolotu z Rostowa do Kerczi.

Następnego dnia wcześnie rano wraz z kierowcą udali się więc do portu. Było to ostatnie już zadanie jakie kierownik miał dla Mariana. Wodolot odpływał o 6:00. Pożegnali się więc jak dobrzy przyjaciele. W końcu spędzili ze sobą sporo czasu i wiele razem przeszli. A Marian był zawsze oddany i przyjazny. Kierownik udał się na przystań gdzie z czwartego stanowiska miał za kilkanaście minut odpłynąć jego wodolot. Była to wielka łódź podobna trochę do statku kosmicznego Colambia, tylko bardziej płaska. W Polsce nazwa mówi, że to jakby pływający samolot czy też latający statek. W Rosji zaś mówi się na wodoloty Крылатые суда[33] czyli skrzydlate statki

Ze wszystkich niemal stron były duże przeszklone okna. Stewardesa wskazała jedno z pierwszych miejsc w środkowym rzędzie, z którego wyjątkowo dobrze widać było wielki okrągły zegar. Od tej pory będzie on odmierzał minuta po minucie leniwie płynący czas. W środku podobnie jak w samolocie kilka rzędów lotniczych siedzeń podzielonych na trzy szeregi po trzy rzędy w każdym. Większość miejsc była zajęta, ale nie było ciasno.

Taka jednostka może osiągnąć ponad 100 km/h co na wodzie jest dość zawrotną szybkością. Jednak zazwyczaj płynie wolniej, gdyż zależy to od warunków czyli siły wiatru i wysokości fal. Ponieważ jak się okazało trasa przebiegała wzdłuż północnego wybrzeża Azowskiego Morza, to jej długość wyniosła ponad 500 km. A że podróż trwała 12 h wraz z kilkoma przystankami to ich średnia prędkość wyniosła mniej więcej połowę możliwości wodolotu. Ciekawostką może być fakt, że jedne z najszybszych tego typu maszyn robili właśnie Rosjanie.

Pogoda była ładna i słoneczna. Jednak niewiele było do podziwiania przez te wielkie szyby wodolotu. Wokoło bezkresne morze i tylko od czasu do czasu gdzieniegdzie majaczyła linia brzegu. Dlatego sporą atrakcją były nieliczne przystanki w kolejnych portach. Gdzie wysiadali jedni i wsiadali drudzy pasażerowie. Można też było wyjść na coś w rodzaju tarasu widokowego położonego w środkowej części statku. Jednak tam strasznie wiało więc taka wycieczka zazwyczaj trwała bardzo krótko. Poza tym był bufet gdzie poza napojami można było kupić jakieś drobne przekąski i słodycze. Tak długa podróż była dość męcząca i nie różniła się prawie od zwykłej podróży samolotem. Nigdy wcześniej ani też nigdy później kierownik nie leciał, aż tak długo. W takim czasie można dolecieć samolotem z Warszawy do Australii.

Wodolot przybił do portu w Kerczi ok godziny 18:10, czyli w planowanym czasie. Teraz trzeba było znaleźć połączenie do Jałty.

– Najlepiej zapytać taksówkarza – pomyślał kierownik i udał się na postój taxi.

Ponieważ do Jałty jest 200 km to taksówka raczej nie wchodziła w grę. Kierowca zawiózł więc kierownika na dworzec kolejowy skąd odchodziły pociągi w tamtym kierunku. Jak się okazało na ten o 18:30 już nie zdążył, a następny miał być dopiero 21:30. Cóż trzeba było poczekać.

Było to pierwszy raz kiedy przyszło mu jechać w tak zwanym otwartym przedziale z miejscami sypialnymi. Po rosyjsku nazywało się to общий вагон[34], czyli ogólny lub powszechny przedział. Wyglądało to mniej więcej tak, jakby w naszych kuszetkach ktoś zdemontował ściany i drzwi. A cały wagon podzielony był na kilka mniejszych przedziałów, które pomiędzy sobą oddzielały co prawda ściany, ale w poprzek nich przechodził otwarty korytarz. Czyli stanowiły one jedynie coś w rodzaju wydzielonych boksów. W każdym z nich podróżowało 6 osób i każda z nich miała zapewnione miejsce do spania. W czasie dnia osoby te siedziały obok siebie z dwóch stron boksu. Nad nimi były złożone łóżka drugiego poziomu i jeszcze po jednym na poziomie trzecim. W nowszych pociągach poziomy łóżek są tylko dwa. Całość zamykało z jednej strony okno. Naprzeciw niego tam gdzie w europejskich wagonach jest ściana z drzwiami nie było nic i od razu korytarz, a raczej ogólnodostępne przejście wzdłuż wagonu. Po przeciwnej stronie czyli tej gdzie w europejskich wagonach są okna korytarza znajdowały się dwa miejsca i stolik, które na noc można było złożyć w miejsce do spania. Nad nim było złożone kolejne łóżko. W ten sposób 8 osób z danego boksu miało zapewnione miejsca leżące. Oczywiście pościel była tylko tam gdzie pociąg jeździł na dłuższej trasie. W tym konkretnym pociągu można było się położyć w ubraniu i przykryć kocem. Ponieważ pora była późna to większość z podróżnych skwapliwie korzystała z tej możliwości. Rozkładało się w tym celu górne łóżka. Jednak niejednokrotnie jeśli pociąg jechał na dziennej

[32] Z ros. czytaj – zaprietnaja zona.
[33] Z ros. czytaj – kriłatyje suda.
[34] Z ros. czytaj – obszczij wagon

trasie w takim boksie podróżowało 8 osób. Wtedy nie wszyscy mieli gdzie się położyć. Lóżka nie były przewidziane np. dla dzieci więc jak ktoś jechał z dzieckiem to razem z nim spał. Ogólnie w czasie nocnej podróży wszyscy spali praktyczne w jednym wagonie oddzieleni jedynie działowymi ściankami. Poza Rosją takie wagony są jeszcze w Indiach i niektórych krajach Azji. Mimo, że w Rosji było pod tym względem raczej bezpiecznie to w takich warunkach należało uważać, aby nie zostać okradzionym. Jak już wspomniano, okazja czyni złodzieja. A taki ogólny wagon to niewątpliwie okazja dla amatorów cudzej własności. Ale przecież nie tylko tam można było paść ofiarą kieszonkowca. Podobnie było przecież na bazarach w tym tych w Polsce jak np. ówczesny bazar Różyckiego w Warszawie.

Jeden z artystów Cyrku Liliputów.

Historia, którą może to obrazować podobna sytuacja wydarzyła się na promie kiedy kierownik z kolegami wracał do Polski po zakończonym sezonie w Szwecji. Pod koniec rejsu grupka polskich wyrostków stale podróżujących na tej trasie niemal bez specjalnego skrępowania kradła wszystko co się dało. Nie tylko rzeczy pozostawione na stołach, czy co bardziej pełne butelki z markowymi alkoholami, ale też niepilnowane torebki pieniądze czy zegarki. Słowem co im wpadło w ręce. Wyglądało to tak, że grupką kilkuosobową niemal w ekspresowym tępie przemieszczali się przez salę, w której ludzie podróżowali przy stolikach licznych restauracji. Tak było po prostu taniej, gdyż nie trzeba było płacić za kabinę. Obecnie na nocnych rejsach nie ma już takiej możliwości. Większość podróżnych o tej porze zmożona intensywnym świętowaniem swego powrotu do kraju oraz zmęczona podróżą spała. Bez trudu więc i bez większego ryzyka młodociani przestępcy znaleźli pośród podróżnych ofiary, które łatwo było obrobić. Kierownik w zasadzie ani nie był pijany ani o tej porze nie spał więc widział co się dzieje. Jednak dopiero po pewnym czasie zorientował się co tu robi polska młodzież. Początkowo wyglądało to trochę na chuligańskie wybryki. A to coś wzięli ze stołu a to kogoś popchnęli. Ale ich działania tak naprawdę skupiały się na wyselekcjonowanych wcześniej zagranicznych turystach. Wyszukiwali takiego zagubionego lub mniej rozgarniętego, który nie znał języków, a który niewątpliwie miał jakaś gotówkę. Następnie w ogólnej euforii i atmosferze zabawy polewali mu i wznosili toasty. A kiedy gość się już wystarczająco upił kradli mu portfel. Tak właśnie zaczepili Adama, który podróżował wraz z kierownikiem i innymi pracownikami cyrku Starlight. Kierownik od razu zwrócił na to uwagę i bacznie się przyglądał. Ponieważ Adam nie znał żadnego języka to zagadywali do niego, a to po szwedzku, a to po angielsku. Jednak on w ogóle nie reagował. Uśmiechał się głupkowato i z radością przyjmował kolejne kieliszki podawanej wódki. Nie mając pojęcia co się szykuje. Młodzi ludzie dopytywali się z jakiego jest kraju, jak ma na imię itp. Jednak on już nieźle podpity tylko się szczerze uśmiechał i poklepywał z nowo poznanymi kompanami. W końcu kierownik podszedł i powiedział Adam wracamy do stolika, chwytając go jednocześnie za rękaw i ciągnąc na salę. Tamci jakby zdębieli bo okazał się być Polakiem i na pożegnanie nie omieszkali mu posłać kilku soczystych wiązanek gdyż stracili sporo fatygi na próżno. Jednak dla Adama było lepsze to niż stracić cały dorobek ciężkiej pracy w cyrku. Potem kierownik widział jak bratają się z jakimś czarnoskórym turystą, który podobnie jak Adam uśmiechał się i poklepywał kiedy częstowali go wódką. Gdy prom był już dość blisko portu w Gdyni i trzeba było powoli kierować się do wyjścia ten sam turysta w panice poszukiwał swojego portfela. Próbował nawet zaczepiać owych młodych ludzi, którzy z nim wcześniej pili jednak oni w sposób dość brutalny dali mu do zrozumienia, że nie mają nic z tym wspólnego. I tak oto obrobiono biednego murzynka. Za to kierownik uratował od podobnego losu Adama.

Podróż do Jałty dobiegała końca. Tuż przed północą pociąg wjechał w perony jałtańskiego dworca kolejowego. Po wyjściu z dusznego pociągu dało się odczuć wyraźny chłód nocy i świeże nadmorskie powietrze. Podróż minęła w miarę spokojne, a kierownik trafił do przedziału, w którym podróżowała rodzina z dwójką dzieci więc mógł choć na 2 godziny rozprostować kości. Celem jego podróży był stacjonujący w tym miesicie Rosyjski Cyrk Liliputów. Z którym nasz bohater zetknął się już wcześniej i do którego miał otwarte serdeczne zaproszenie. Był to wtedy jedyny taki cyrk nie tylko w ZSRR, ale prawdopodobnie jeden z nielicznych na świecie. O tej jednak porze cyrk był zamknięty, a otwierano go dopiero o 6. Wtedy schodziła się obsługa, a po godzinie 8 również artyści. Na noc wszyscy wracali do wynajętego Hotelu. Cóż było robić? Prawie 3 godziny kierownik przesiedział na ławce w pobliżu cyrku, a ok. 5 udał się na herbatę do pobliskiego baru. O dziwo po tak długiej i wyczerpującej podróży trwającej ponad dobę nie czuł specjalnie zmęczenia. Dopiero ok. godz. 9 dostrzegł w grupce artystów swoich znajomych, na których zaproszenie tu przyjechał. Poznał ich już kilka miesięcy temu w Odżanikidze. I od teraz miała się zacząć przygoda na półwyspie Krymskim, gdzie poza wyjątkową przyrodą i widokami panowała wyjątkowa atmosfera, tworzona również przez wyjątkową architekturę. Tam bowiem po raz pierwszy widział w jaki sposób można eksponować zabytki tak, aby ich piękno można było podziwiać również o zmroku czy w nocy. Oczywiście chodziło o podświetlenie budynków. Obecnie wydaje nam się to oczywiste i normalne, że mury zamków czy wieże są odpowiednio oświetlane. Jednak w tamtych czasach wszystkie zabytki w Polsce w czasie nocy spowijała ciemność. Następnym razem takie rozwiązanie widział dopiero we Francji. Jałta podobnie jak cały półwysep była jednym z najpiękniejszych kurortów ZSRR, a jej położenie zapewniało wyjątkowy klimat. Podziw wzbudzała także wyjątkowa architektura oraz powszechnie panująca czystość ulic. Całości dopełniała krystalicznie czysta i wyjątkowo słona woda Morza Czarnego. Nawet na znacznej głębokości z burty nadbrzeża można było dostrzec roślinność, ryby i kraby. Na te ostatnie polowały dzieci łowiąc je na zwykłą nitkę lub żyłkę, do której przywiązywano kawałek żółtego kwiatka. A było tam oko 4 metrów głębokości. Krab widząc tak jaskrawą przynętę chwytał ją swymi szczypcami i wtedy wystarczyło dość szybko go wyciągnąć. Tu też pierwszy raz kierownik widział osobliwe nadbrzeża pokryte nie tak jak nad Bałtykiem piaskiem a kamieniami. Na szczęście były one gładkie i okrągłe.

Co dzień korzystał ze specjalnie wydzielonej dla pracowników cyrku ogrodzonej płatnej plaży, która była wyposażona w specjalne drewniane leżaki. Słona ciepła woda powodowała, że podczas pływania nie trzeba było się specjalnie wysilać gdyż ciało niemal samo unosiło się na powierzchni. Palmy i inne egzotyczne rośliny sprawiały, że można było się poczuć jak na jakiejś egzotycznej afrykańskiej wyspie. Poza tym podobnie jak tam świeciło i grzało słońce. W restauracjach podawano wykwintne dania i napoje, a na bazarach można było kupić świeże tropikalne owoce. Dookoła mnóstwo pensjonatów, uzdrowisk i hoteli wraz z barami, restauracjami i dyskotekami. Jednym słowem raj na ziemi.

Charakterystycznym symbolem Jałty jest pewna budowla, która góruje nad miastem. Jest to „Jaskółcze Gniazdo" inaczej „Zamek miłości", który był wybudowany jako zamiejski domek w 1912 roku na miejscu antycznej świątyni, na skale tuż nad morzem Czarnym. Architektura tego domku przypomina średniowieczny gotycki zamek na wybrzeżu Renu. Jego wielkość to zaledwie 10 m szerokość 20 m długość. Jak na zamek to dość mało. W roku 1927 podczas silnego trzęsienia ziemi, część podporowej skały spadła do morza. Jednak na szczęście budowla przetrwała do dziś. Niestety sama Jałta często przez wielu uważana jest za niechlubny symbol zdrady aliantów wobec Polski po zakończeniu II Wojny Światowej. Ale to całkiem inna historia.

Nie mniejszą atrakcją miasta był sam cyrk. Jego dyrektorem była kobieta, co ważne w świetle mitów o dyskryminacji kobiet w ZSRR. W Polsce w tamtym czasie w żadnym cyrku nie było kobiety dyrektora. Była ona jedną z nielicznych osób, które były normalnego wzrostu. Zdecydowaną większość w tym cyrku stanowili ludzie o wzroście ok. 1 metra lub niewiele ponad. W cyrku tym bowiem występowały jedynie karły i liliputy. Stąd i nazwa cyrku „Cyrk Liliputów". Poza dyrektorką i jej synem, który miał na imię Sergiej jeszcze tylko kilka osób z obsługi było normalnego wzrostu.

Było to konieczne gdyż niewysocy ludzie nie mogli poradzić sobie ze wszystkim sami.

Cyrk ten podobnie jak wszystkie inne w Rosji był cyrkiem wędrownym jednak bez własnego taboru. Podróżowali pociągiem lub samolotem, a ich rekwizyty przewożono w specjalnych kontenerach. Z racji takiego sposobu funkcjonowania nie było tu zbyt wiele zwierząt. Ale to nie one przecież miały być główna atrakcją. Chodziło o to, że występują tu wyjątkowo mali ludzie. Pośród tradycyjnych numerów jak żonglerka czy akrobacje można był tu podziwiać tresury ptaków, kotów i psów czy też małp. Jednym z ciekawszych numerów był występ tak zwanej „jasnowidzącej księżniczki". Była to ubrana w wieczorową bogato zdobiona suknię artystka, która poza tym numerem miała jeszcze tresurę gołębi. Numer, o którym mowa polegał na tym, że jej partner i jednocześnie prowadzący cały występ zadawał jej pytania, a ona mając zakryte oczy bezbłędnie na nie odpowiadała. Dokładnie chodziło o to, że do prowadzącego kolejno zgłaszali się przypadkowi widzowie i pokazywali jakiś przedmiot. Czasem był to portfel, gazeta, zegarek czy czapka. Zaskakujące było to, że księżniczka za każdym razem bezbłędnie odgadywał o jaki przedmiot chodzi. Nawet wtedy kiedy pokazano banknot i chodziło o określenie jego nominału. Ten numer robił wrażenie. Bo dla niewtajemniczonego widza mogło zakrawać to prawdziwą magię. Jak bowiem bez zbędnych namysłów osoba z zakrytymi oczyma mogła odgadnąć co trzyma w ręce inna osoba gdzieś w środku widowni? Przy tym często prowadzący dopytywał się o kolor czy kształt przedmiotu, tak aby jeszcze bardziej uwiarygodnić jej nadprzyrodzone możliwości. Dzięki temu było pewne, że osoby zgłaszające przedmioty, nie były podstawione. Na widowni bowiem były same osoby normalnego wzrostu a takich wśród pracowników cyku było zaledwie kilka.

– Musi więc chodzić o coś innego. – Myślał sobie kierownik. Sam zastanawiając się nad tym fenomenem.

Mimo, że przecież w magię nie wierzył. Zbyt długo już pracował w cyrku żeby doskonale wiedzieć że wszystko opiera się na iluzji, zręczności, wytrenowaniu i odpowiednich rekwizytach. Oczywiście zwykły widz ani tej ani innej cyrkowej tajemnicy nigdy nie pozna jednak kierownik jako gość specjalny i również, bądź co bądź cyrkowiec miał możliwość dowiedzieć się po spektaklu na czym to polega. Mimo, że przez chwilę sam uległ złudzeniu, iż musi w tym być jakaś dziwna moc czy siła. Otóż cała tajemnica tkwiła w sposobie w jaki prowadzący występ zadawał pytania. Wymagało to opanowania setek sekwencji słownych, które wypowiadane w odpowiedniej kolejność i połączeniu z innymi słowami oznaczały konkretne przedmioty a nawet ich cechy. I tak jeśli prowadzący zapytał:

– Księżniczko co teraz młody człowiek trzyma w ręce? – Mogło chodzić o zegarek.

Jednak gdyby w tym samym przypadku zapytano:

– A teraz księżniczko co młody człowiek trzyma w ręce? – Mogło chodzić o gazetę.

Dla wyjaśnienia przykład jak to działa:

– „Co teraz" = zegarek

– „A teraz" = gazeta

To samo pytanie można było zadać na kilka jeśli nie na kilkanaście umówionych i wyćwiczonych wcześniej sposobów. Dawało to już na wstępie wiele odpowiedzi osobie, która niby to za pomocą swej jasnowidzącej mocy miała odpowiadać z zawiązanymi oczami o jaki dokładnie przedmiot chodzi. Można więc było zapytać i tak:

– Powiedz księżniczko co młody człowiek trzyma w ręce? Albo co widzisz w ręce młodego człowieka? itd.

Tu zarówno sekwencja „powiedz Księżniczko" jak i „co widzisz" mogło skrywać odpowiedź na zadane pytanie. Przy czym już samo określenie „młody człowiek" również mogło nieść w sobie odpowiedź na pytanie co to za przedmiot i że jest to np. gazeta. A zmiana początku pytania dawała odpowiedź na to jaka to gazeta lub, w której ręce jest trzymana. Była to więc bardzo skomplikowana gra słów, którą bezbłędnie należało opanować i zapamiętać. I dotyczyło to zarówno osoby pytającej jak i odpowiadającej. Co rzecz jasna wymagało bardzo wiele pracy i ćwiczeń, ale też bardzo dobrej pamięci i bystrości umysłu. Jeśli już wiadomo jak to dział wydaję się to tak oczywiste i proste, że taki pokaz oglądany następnym razem mógłby wydać się nawet nudny. Jednak na szczęście widzowie powszechnie nie znają zbyt wiele cyrkowych tajemnic.

Innym ciekawym występem w tym osobliwym cyrku było trio klaunów. Byli to ci sami artyści, których kierownik spotkał później w Paryżu. A podczas tych dwóch tygodni w Jałcie zdążył się z nimi zaprzyjaźnić.

Sam cyrk był niewątpliwą atrakcją, a że był wyjątkowy to bardzo często odbywał tournée zagraniczne. Jak się okazało rok wcześniej zespół ten występował w Japonii. A jeszcze wcześniej w krajach zachodniej Europy. W Polsce jednak nikt o nim nie słyszał. Mimo, że od czasu do czasu również w naszym kraju gościł jakiś cyrk z ZSRR, chociażby „cyrk na wodzie", w którym kierownik było jako dziecko, czy też „cyrk na lodzie". I trzeba przyznać, że widowiska te były wspaniałe. Dość wspomnieć, że np. w tym „Cyrku na wodzie" po przewie i po pierwszej części przedstawienia na specjalnie przygotowaną arenę wylewają się dziesiątki jak nie setki ton wody w postaci wodospadu i tworzą coś w rodzaju dość głębokiego basenu. Dalsze występy to pływający artyści i skoki do wody, okręty i zwierzęta jak foki, czy polarne niedźwiedzie. Nie mniej widowiskowy jest cyrk na lodzie, gdzie poza artystami, na łyżwach jeżdżą też niedźwiedzie brunatne, które grają w hokeja.

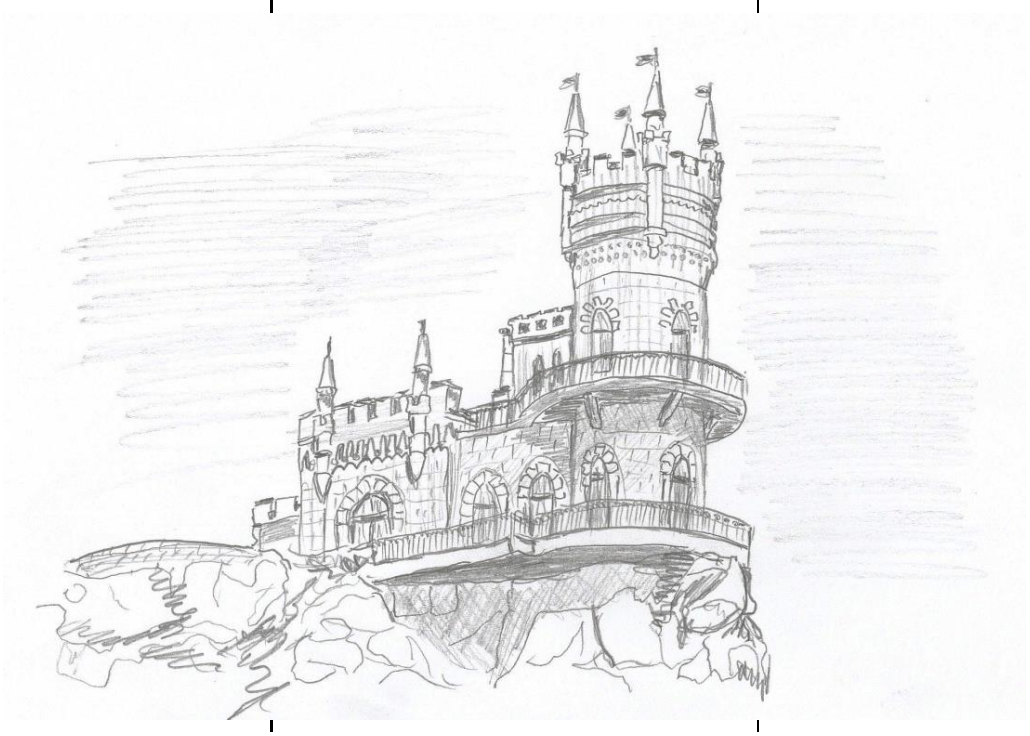

Zamek zwany Jaskółczym gniazdem uważany za symbol Jałty oraz Krymu.

Cyrk Liliputów jak już wspomniano składał się z osób cierpiących na chorobę karłowatości, karłów i liliputów, czyli po prostu małych ludzi. Przy czym różnica polega głównie na przyczynach takiego stanu. Liliput to powszechna nazywa zaczerpnięta z powieści Jonathana Swifta „Podróże Guliwera", napisanej już w 1726 r. Są to zwyczajni ludzie jednak bardzo niskiego wzrostu. Przy czym ich ciało zazwyczaj zachowuje normalne proporcje. Karzeł to osoba, która swój niski wzrost zawdzięcza - jeśli można tak powiedzieć, pewnym cechom chorobowym nabytym już na poziomie rozwoju płodu i często dziedzicznym. Ale jest co najmniej kilka przyczyn takiego stanu, a jedną z najpowszechniejszych jest zaburzenie rozwoju przysadki mózgowej. Osoby takie mają zazwyczaj nieproporcjonalnie krótkie kończyny i często inne deformacje ciała. Bywa, że w wyniku choroby nie wykształciły się dostatecznie organy płciowe. Z tego powody takie osoby rzadko mogą mieć dzieci. Kierownik nie wiedział tego wszystkiego bo i skąd. Dla niego to oni wszyscy byli liliputami. Jednak zasadni-

cza różnica o jakiej się dowiedział to możliwość płodzenia dzieci. Podobno właśnie karły nie mogły się rozmnażać. Choć dziś wiadomo, że takie przypadki się zdarzają. Generalnie obcowanie z niewiarygodnie niskimi ludźmi robiło niesamowite wrażenie. I było kolejnym życiowym doświadczeniem.

Czas płynął a rajskie wakacje w Jałcie dobiegały końca. Cyrk wyjeżdżał do Czelabińska a kierownik jechał do Moskwy skąd następnie pociągiem miał wrócić do Polski. Oczywiście przyjaciele nalegali żeby jeszcze z nimi został jednak tam w kraju czekała na niego rodzina i córka, za którą tęsknił z każdym dniem coraz bardziej.

* * *

Rosja od zawsze była inna niż pozostały świat. Tak też jest i teraz. Bo dla przykładu jako jeden z nielicznych krajów wprowadziła jeden stały czas astronomiczny. Oczywiście na terenie Rosji funkcjonują strefy czasowe, jednak chodzi o to, że nie rozróżnia się tam czasu letniego i zimowego. Nie trzeba co pół roku przestawiać zegarków, i wszystkiego na inne tory.

Świadczy to o tym że Rosja ma na tyle silny potencjał i na tyle silną odrębność i niezależność, że może postępować w sposób, który nie koniecznie musi być akceptowany przez resztę świata. Nie musi też być zgodny z normami czy wyobrażeniami innych. A ten konkretny przypadek świadczy też o tym, że jako kraj dość często wyprzedza inne na wielu płaszczyznach życia i gospodarki. O czym oczywiście w Europie się nie mówi. I takie stwierdzenie nie będzie nas dziwiło jeśli temu konkretnemu przykładowi przyjrzymy się bliżej. Sam bowiem zwyczaj czy też rozwiązanie polegające na zmianie czasu wprowadzono przez Niemców w czasie I Wojny Światowej. Miało to generować znaczne oszczędności w przemyśle zbrojeniowym. Potem do takiego rozwiązania przekonały się też inne kraje. Jednak teraz kiedy funkcjonuje globalna gospodarka na świecie a zużycie energii to głownie właśnie przemysł zmiana czasu nie dość, że nie przynosi oszczędności to wprowadza jedynie zamęt i dodatkowe problemy, w tym zdrowotne. Są nawet tacy, którzy twierdzą, że w obecnych czasach powoduje to straty. Bo prawie 100 lat temu energię elektryczną wykorzystywano głównie jedynie do oświetlenia ulic i domów. Więc pomysłodawcom chodziło głównie o mniejsze zużycie prądu i lepsze wykorzystanie światła dziennego. Jednak obecnie działa to odwrotnie. Działające dłużej ogrzewanie czy klimatyzacja pochłaniają więcej energii niż zaoszczędzi się na oświetleniu. Tym bardziej, że oświetlenie w ostatnich latach przeszło prawdziwą rewolucję ze względu na powszechne stosowanie żarówek typu LED i innych energooszczędnych rozwiązań. Jak widać Rosja pod tym względem wyprzedziła państwa zachodnie wprowadzając u siebie stały czas już w roku 2011. Takie zmiany na całym świecie to tylko kwestia nieodległej przyszłość, gdyż w Unii Europejskiej dyskutuje się na ten temat już od dawna, a na świecie narasta sprzeciw przeciwko zmianom czasu. Narusza to bowiem zegar biologiczny ludzi, co prowadzi do obniżenia koncentracji, depresji i zawałów serca. A ówczesny prezydent Rosji właśnie to uwzględnił w swojej decyzji dotyczącej zmiany czasu.

Olga Szukszyna.

***

Jedyny pociąg jaki odchodził w tym czasie do Polski to był pociąg rosyjski i jechał do Katowic. Tam bowiem wiodła jedyna nitka szerszych torów. Traktem tym odbywała się wymiana handlowa pomiędzy ZSRR a naszym krajem i takie rozwiązanie eliminowało konieczność zmiany podwozi wagonów. Standard tego pociągu był jednak znacznie niższy niż podobnych dalekobieżnych i międzynarodowych w krajach Europy, w tym Polski. Podróż odbywała się więc w opisywanych wcześniej tak zwanych „ogólnych wagonach". Sprzyjało to nawiązywaniu kontaktów, ale też mogło krępować podróżnych gdyż nie zapewniała żadnej prywatności. Przedziały wiec wyglądały podobnie do tego jakim kierownik podróżował po Krymie. W podróży do Polski przyłączył się do 5 osobowej rodziny ze śląska, a w zasadzie to razem z nimi kupił wspólny bilet.

Jakoś tak się stało, że w tym okresie w okienkach dworcowych były wyjątkowe tłumy. A kupienie biletu graniczyło z cudem. Podobnie jak niegdyś na lotnisku w Taszkiencie ludzie tłoczyli się bezładnie przed kasami i nie było możliwości dopchać się do okienka. W pewnym momencie płynny tłum przesunął niemalże kierownika niecałe 2 metry od jednej z kas. Dzięki temu usłyszał on rozmowę, która pomogła mu wybrnąć z tej jak się wydawało beznadziejnej sytuacji. Otóż przy okienku stała wspomniana rodzina z Polski. Jednak język rosyjski znali tak słabo, że nie mogli się w żaden sposób dogadać.

– Swoją drogą to skoro nie znali języka to co tu robili i jak funkcjonowali w tym kraju? – Myślał sobie kierownik.

Jak się później okazało byli w Moskwie u znajomej Rosjanki, która rok wcześniej gościła u nich w Katowicach, a teraz w ramach rewizyty zaprosiła ich do siebie. Słysząc, że ludzie ci mają problem, kierownik po polsku zaoferował im swoją pomoc. Rosjanie w kolejce słysząc, że ci przy okienku i kierownik nawiązali jakiś kontakt w obcym w sumie dla nich języku ułatwili mu przejście do okienka. Uznali zapewne, że wszyscy oni są razem. I tym sposobem kierownik bez trudu zakupił bilet powrotny dla siebie i dla nowo poznanych rodaków.

Już w czasie podróży poznał pewna młodą i intrygującą dziewczynę o charakterystycznej urodzie, otwartym nastawieniu do życia i ciepłym spojrzeniu swych szarych oczu. Okazało się, że jest to córka znanej również w Polsce rosyjskiej aktorki Lidii Fiedosiejewnej Szukszyny. Grała ona główna rolę w serialu „Ballada o Januszku" z 1987 roku. Jej córka, którą właśnie poznał nasz bohater miała na imię Olga i podobnie jak on chciała dostać się do Warszawy.

Ojciec Olgi, Wasilij Makarowicz Szukszyn był znanym rosyjskim pisarzem, aktorem i reżyserem. Do dziś jest legendą w Rosji i ku jego pamięci wystawiono nawet kilka pomników. Jeden z nich znajduje się przed budynkiem jednego z moskiewskich uniwersytetów, a dokładnie Państwowego Uniwersytetu Kinematografii przy ul. Wilhelma Piecka[35]. Co ciekawe kierownik w młodości uczęszczał do technikum jego imienia. Natomiast ojciec Olgi zmarł kiedy miała 5 lat. Matka ponownie wyszła za mąż za filmowego operatora. Jednak ojczym nie stworzył im takich warunków jakich oczekiwała Olga. Zarówno wtedy jak i później w licznych wywiadach zwracała na to uwagę. Olga już jako dziecko wraz ze swoją o 3 lata starszą siostrą Marią zagrała w kilku filmach.

A w owym czasie miała 20 lat i dopiero co ukończyła Szkołę Filmową, czego zwieńczeniem było otrzymanie dyplomu i tytułu reżysera. Wtedy wydawała się być bardzo przebojowa i zdecydowana. Otwarta na świat i na ludzi. Mimo młodego wieku wybrała się sama w podróż do RFN, a w Polsce miała zatrzymać się tylko przejazdem. Nic nie wskazywało na to, że jej życie potoczy się jednak całkiem inaczej niż mogło się wtedy wydawać. Bowiem po latach jak się okazało kiedy jej starsza siostra odnosiła sukcesy w filmie, na giełdzie, a potem jako prowadząca w telewizji, ona zamknęła się w sobie i zwróciła w stronę boga i duchowej kontemplacji. Porzuciła więc dotychczasowe ciekawe, kolorowe życie oraz perspektywę błyskotliwej kariery i oddała się medytacjom i rozwojowi wewnętrznemu. Często rozpamiętywała osobę swego wspaniałego ojca. Pracowała też w przytułku dla ubogich oraz w klasztorze gdzie mieszkała przez prawie 15 lat. Do którego wbrew obiegowej opinii jednak nie wstąpiła. Oddała się pracy pisarskiej z czasem realizując projekty dotyczące twórczości ojca. Jej stosunki z rodziną stały się dość chłodne. Ostatnio jak donosiły rosyjskie media miała nawet pretensje do matki i wygłosiła je nawet publicznie w telewizji.

Wracając jednak do podróży, której celem była Warszawa. Problem polegał na tym jak się tam dostać podczas gdy pociąg jechał zupełnie gdzie indziej. Jedynym wyjściem była przesiadka w Zamościu. Dojechali tam już w nocy, która była dość chłodna. Siedzieli więc na poczekalni i rozmawiali. W pewnym momencie Olga postanowiła, że muszą się czymś rozgrzać i zaproponowała, że kupi gdzieś butelkę wódki. Co ciekawe mimo, że była w obcym kraju, bez polskich pieniędzy i w środku nocy to zakup wódki w tych warunkach wydawał się dla niej czymś normalnym i nie stanowiącym problemu. Kierownik lekko zdziwiony tym pomysłem zapytał:

– No tak, ale gdzie o tej porze kupić wódkę?

[35] Z niem. – czytaj – Wilhelm Pik – od roku 1949 był Prezydentem Niemieckiej Republiki Demokratycznej i pełnił tę funkcje do śmierci w roku 1960.

– Jak to gdzie? U taksówkarza! – Z oczywistym przekonaniem odpowiedziała.

Po czym udała się na postój. Już po kilku minutach wracała z butelką. Kierownik był w lekkim szoku. W pewnym momencie poczuł się nawet trochę głupio. Przecież do tej pory wydawało mu się, że to on jest doświadczony, zaradny i przedsiębiorczy. A tu znacznie młodsza dziewczyna postępuje tak brawurowo i to w obcym kraju. Jeszcze bardziej był zaskoczony kiedy okazało się, że Olga bez żadnego problemu w równym tempie opróżniła wraz z nim te pół litra czystej zagryzając jedynie jabłkiem. A przecież to on od wielu miesięcy pił prawie codziennie. Dlatego był przekonany, że jedynie tylko dla niego nie stanowi to problemu. Do dziś trudno to pojąć jak taka młoda dziewczyna zdołała go tak zaskoczyć. Mimo że przecież różnica wieku nie była aż taka duża, to wtedy wydawało mu się, że jednak ma to znaczenie. Ale w końcu, Olga była rodowitą Rosjanką. A właśnie przez Rosjan był zaskakiwany już od początku swej przygody. Przy tym Olga była przecież osobą nietuzinkową. Oczywiście od razu zrobiło im się znacznie cieplej no i weselej. Opowiadali więc sobie epizody z życia i co zaskakujące ona mimo, że młodsza też miała o czym opowiadać. W końcu nad ranem przyjechał pociąg do Warszawy. Jednak żadne z nich nie miało polskich pieniędzy. Wsiedli więc do pociągu licząc, że jakoś może się uda dojechać na gapę. Co ciekawe w Rosji takie podróżowanie nazywa się zajcem[36].

W środkach publicznej komunikacji często można było nawet zobaczyć taki wierszyk, który obrazował sytuację jazdy bez biletu i miał zwracać na to uwagę pasażerów. Mobilizując ich do zakupu biletów.

„Бывают зайцы серые,
Бывают зайцы белые.
А ты какого цвета,
Товарищ без билета?”

Co w wolnym tłumaczeniu brzmi:

Są zające szare,
Są zające Białe,
A ty, jakiego jesteś koloru
Kolego bez biletu?

Funkcjonuje też wiele dalszych części tej rymowanki opisując jakiej barwy bywają pasażerowie, którzy nie mają biletu. I tak, niebieskiej barwy są jeśli się upiją i dlatego zapomną kupić bilet, czerwonej ze wstydu kiedy ich na tym złapią, albo też, czarnej ze złości, gdy muszą zapłacić karę.

Tego typu przeświadczenie powszechnie funkcjonowało w społeczeństwie Rosjan. Od dziecka byli wychowywani w poszanowaniu prawa i przepisów. W Rosji nie funkcjonuje powiedzenie, że „przepisy są po to żeby je łamać”. W Polsce jak wiemy, tak. Stąd w sposób naturalny obywatele tego kraju starali się je przestrzegać. A sam wierszyk to fragment dłuższego utworu funkcjonującego też jako dziecięca piosenka nieznanego autora.

Tak więc jechali bez biletu i dlatego też było im wszytko jedno gdzie zajmą miejsca, a o tej porze wolnych miejsc było sporo. Rozsiedli się wiec w 1 klasie, a humor im nadal dopisywał mimo zmęczenia i nieprzespanej nocy.

Jak można było się spodziewać po pewnym czasie do przedziału wszedł konduktor. Oboje jakby wyrwani dopiero co z całkiem innej rzeczywistości w ogóle nie myśleli o tym, że jazda bez biletu to jakiś poważny problem. Niemal w sposób naturalny kierownik z miejsca udawał Rosjanina w czym pomagała mu Olga. Konduktor poprosił go na korytarz uznając, że z facetem szybciej się dogada. Sugerował żeby dali w łapę a w zamian za to on nie wyciągnie konsekwencji za jazdę bez biletu. Jednak kierownik uparcie przekonywał, że nie mają żadnych pieniędzy, a poza tym zdawał się w ogóle nie rozumieć o co chodzi konduktorowi. Musiał przy tym bardzo uważać żeby się nie zdradzić, że jest Polakiem. Kanar dopytywał co wiozą licząc, że jednak cos uda mu się ugrać. Próbował też straszyć jednak po kilku minutach się w końcu poddał. Uznał, że skoro Rosjanie nie mają zamiaru mu zapłacić to robienie afery nic mu przecież nie da poza problemami i dodatkową robotą. Odpuścił więc i poszedł dalej. Zapewne gdyby trafił na prawdziwego ruska już w przedziale dostałby parę groszy. Jednak nie miał tyle szczęścia bo trafił na kierownika nie zdając sobie w ogóle z tego sprawy. A nasi gapowicze po udanej akcji nabrali jakby nowych sił i jeszcze lepszego humoru. I w takiej atmosferze bez żadnych niemiłych przygód minęła im cała podróż.

Olga zatrzymała się w jednym z warszawskich hoteli, a kierownik udał się na Dworzec Śródmieście, by podmiejskim pociągiem dotrzeć w końcu do domu. Wtedy kolejny raz okazało się, że przecież nie ma polskich pieniędzy. Do tej pory nawet o tym nie myślał. Takich problemów nie miał przecież przez ostatnie miesiące. Szoku doznał dopiero przed kolejowymi kasami. Ale cóż było robić? Przecież musiał jakoś wrócić do córki, do rodziny i rodzinnego miasta. Potem będzie musiał jeszcze przystosować się do zgoła innej rzeczywistości i polskich realiów. Tak więc kolejny raz zmuszony był podróżować na gapę. Oczywiście udał się do przedziału konduktora aby zgłosić tę niecodzienną sytuację. Ale obsługa pociągu ze zrozumieniem podeszła do problemu nie utrudniając i nie wyciągając konsekwencji z braku biletu. Umożliwiając tym samym podróż.

Jeszcze długo po powrocie kierownik nie umiał się przestawić na inne tory życia. Bo życie w Polsce było zupełnie inne. Inni byli ludzie, inna kuchnia itd. Inne też były codzienne problemy. Całkiem odmienne od problemów życia w cyrku, czy w ogóle w Rosji. Na nowo musiał nauczyć się myśleć jak Polak, czyli po polsku. I tu ciekawe zjawisko, którego doświadczył na własnej skórze a o którym już wspominaliśmy. Czasem mówi się, że po dłuższym pobycie w jakimś kraju i posługiwaniu się na co dzień obcym językiem, ludzie zaczynają myśleć jakby w tym języku. Kierownikowi zawsze wydawało się to dziwne i niedorzeczne. I w zasadzie w to nie wierzył. Uznając taki fakt raczej za pewnego rodzaju histerię, czy za manierę mającą dodać jeszcze przez jakiś czas danej osobie swoistej wyjątkowości. Ale sam przekonał się o tym kiedy po powrocie zanim coś powiedział to najpierw myślał o tym jakby po rosyjsku. Może trudno to wytłumaczyć, ale to tak właśnie jest. I zapewne też trudno to zrozumieć dopóki samemu się tego nie doświadczy. Na co dzień każdy z nas nie zdaje sobie z tego sprawy, bo jest to naturalne, że żyjąc w Polsce mówimy i myślimy jak Polacy, po polsku. Dla takich ludzi wracających po długim czasie z zagranicy stanowi to pewien problem, bo człowiek sam przed sobą czuje, że to co się z nim dzieje jest jakieś nie naturalne. Ale nie ma na to wpływu. Dokładnie jest w drugą stronę kiedy wyjeżdżamy z Polski i przez jakiś czas zanim coś powiemy układamy sobie szybko w głowie co chcemy powiedzieć. Wtedy jest dla nas naturalne, że robimy to po polsku. Tzn. w myślach tłumaczymy z polskiego na obcy język to co właśnie chcemy powiedzieć. Przy tym szukamy odpowiedniego słowa lub staramy się uściślić co chcemy powiedzieć. I teraz po powrocie kierownik najpierw myślał tak jak w Rosji, czyli po rosyjsku o tym co chciałby powiedzieć, a potem dopiero to mówił po polsku. Musiał bowiem dopasować polskie słowa do tego jak myślał. Taki stan co oczywiste z biegiem czasu przechodzi, jednak jest to dość dziwne uczucie szczególnie kiedy zdamy sobie sprawę, że tak właśnie jest.

* * *

Właściwie w tym miejscu można by zakończyć tę opowieść, bo tutaj kończy się pewien etap z życia bohatera. I choć jest ona zaledwie częścią tego co przeżył, to przecież nie o wszystkim chciałby nam opowiedzieć i nie o wszystkim sam chciałby pamiętać. Bo życie każdego z nas ma swoje jasne i ciemne strony. Tym bardziej życie w specyficznych warunkach, takich jak cyrk czy sama Rosja. Pozostaje więc tylko mieć nadzieję, że przedstawiony tu obraz oparty na rzeczywistych wydarzeniach i autentycznych historiach, być może pozwoli czytelnikowi na zmianę nastawienia do Rosjan i Rosji, a przez to też do samego siebie. Może ta opowieść stanie się pretekstem do nabrania całkiem innego dystansu w stosunku do poruszanych tu kwestii. W końcu, być może ta lektura rozszerzy świadomość i wiedzę dotyczącą prawdziwego funkcjonowania cyrku. Być może rozpali w czytelniku choć niewielką iskierkę sympatii do opisywanej rzeczywistości, zachęci do uśmiechu lub innym razem do zadumy. A przy tym być może te pozytywne odczucia choć w ułamku skierowane zostaną w stronę osoby kierownika.

Niniejszym chciałbym podziękować Redakcji KZH za współpracę i opublikowanie tekstu. Dziękuję też czytelnikom, za cierpliwość i dotrwanie do końca opowieści. Serdeczne pozdrawiam.

Epsi Peterson

Od Redakcji KZH:

Licząc na sugestie, uwagi czy też ocenę tekstu przez Czytelników, autor poprzez redakcję KZH, uprzejmie prosi o przesyłanie ich w miarę możliwości na adres e-mail: **epsi@op.pl** lub na adres redakcji. Będzie to miało istotne znaczenie podczas ostatecznego redagowania tekstu książki zanim zostanie wydana. W ramach podziękowania do pierwszych 10 osób, które w sposób rzeczowy odpowiedzą na ten apel, zostaną rozesłane elektroniczne wydania książki pt. „Rok w ruskim cyrku”. Zgodnie z planem książka w formie ebook ma zostać wydana na przełomie roku.

[36] Z ros. – czytaj: zajcam – na zająca.

Scytowie i Sarmaci
Sarmaci

cz. 3

Paweł WŁODARSKI

Wprowadzenie od Redaktora wydania

Szanowny Czytelniku!

Wystarczy spojrzeć na twarze osób mijanych w miejscowościach położonych na Ziemi Krasnosielckiej – ba! Wystarczy spojrzeć w lustro, by zobaczyć oblicza ludzi bardzo różniące się od szablonowego wzorca Polaka-Słowianina. Gdzież dostrzec blond włosy i niebieskie oczy jednocześnie? Wkoło mieszanka ras rodzaju ludzkiego różnego typu: wysocy blondwłosi, niscy o rysach prawie mongolskich, szatyni, kruczoczarni itd. itp.

Skąd to przemieszanie i poplątanie?

Próbę takiej odpowiedzi znajdziecie w poniższym tekście Pawła Włodarskiego, który z racji osobistej pasji oraz prowadzonych z wielkim zaangażowaniem studiów zarazem – co nieczęsto idzie w parze, zgłębia materiały naukowe o wędrówkach ludów w naszej części świata.

W kolejnym już tekście na łamach Krasnosielckich Zeszytów Historycznych obrazuje na podstawie danych zgromadzonych przez historyków i archeologów, wędrówki ludów dokonujące się nieustannie na Starym Kontynencie. Rzeki plemion i całych narodów nieustannie wpływały ze stepów Euroazji do poczciwej Europy – rzadko w przeciwnym kierunku. Działo się to głównie poprzez nieustannie niepokojone ziemie obecnej Ukrainy – jak widać spokój temu krajowi od tysiącleci nie był pisany. Fale kolejnych osadników, wędrując za lepszymi pastwiskami, później lepszą ziemią uprawną lub częściej uciekinierzy przed pożogą wojenną, docierali na zachodnie krańce Euroazji. Nie działo się to miarowo i elegancko. Raczej były to procesy gwałtowne, gdzie po latach czy wiekach wręcz względnego spokoju przez całe krainy przelewał się istny potop ludzi, zwierząt, idei, religii, kultury a częściej braku tej kultury, bo wojna straszną jest, i zawsze taką była.

Ci którzy wierzą, że praszczur Polaków mieszkał tu, na Ziemi Polskiej od początków świata, po przeczytaniu niniejszego opracowania srodze się zawiedzie. Ale cóż nie uprzedzajmy faktów.

Życzący miłej i owocnej lektury

Sławomir Rutkowski
Redaktor Wydania

Aorsowie

Zamieszkiwali oni tereny na północ i wschód od Syraków. Byli jedną z najbardziej znaczących organizacji plemiennych Sarmatów[37]. Podobnie jak inne ugrupowania Sarmatów przybyli na omawiane tereny nadczarnomorskie z terenów dalekowschodnich. Strabon rozbija ich na dwa ugrupowania, z czego jedno mogło wystawić 200 tys. jeźdźców. Niektórzy wiążą nawet Aorsów ze wspominanym w chińskich kronikach ludem Yen-ts'ai, który mógł wystawić 100 tys. łuczników[38].

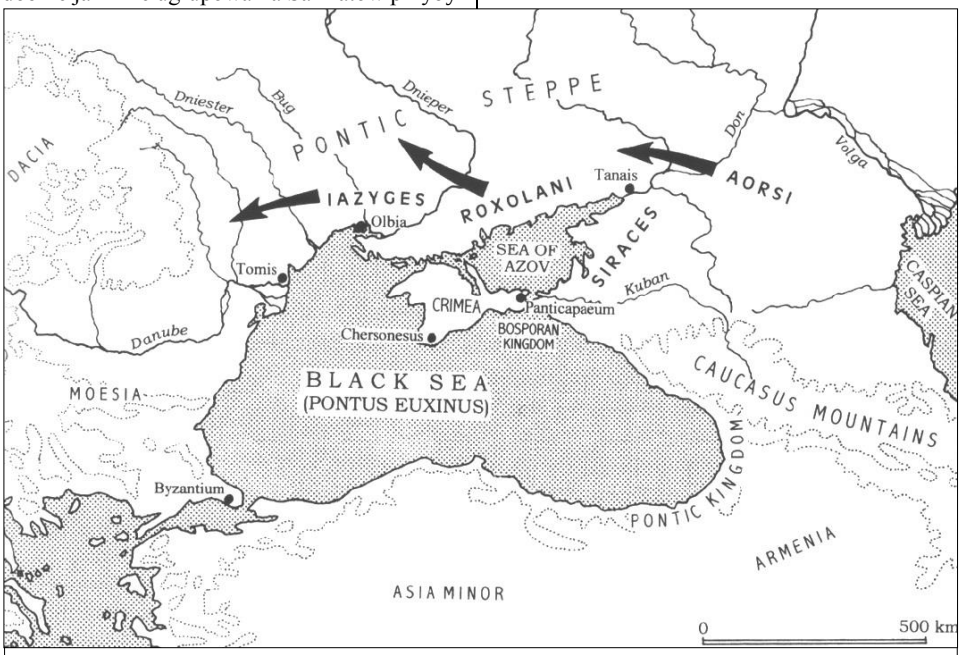

Migracje plemion sarmackich. Brzeziński R. Mielczarek M. 2002.

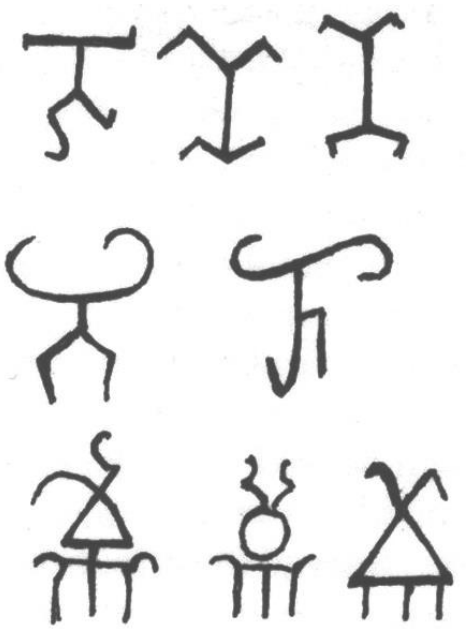

Tamgi sarmackie. Brzeziński, Mielczarek. 2002.

W trakcie wojen bosporańskich w roku 49 p.n.e. Aorsowie poparli Kotysa, wspomaganego także przez Rzymian. Po stronie jego przyrodniego brata Mitrydatesa VIII opowiedzieli się natomiast Syrakowie. Rzymianie zdobyli Uspe bronione przez Syraków przyczyniając się do załamania ich potęgi. W międzyczasie Aorsowie zostali wchłonięci lub podbici przez kolejne już ugrupowanie sarmackie – Alanów.

Roksolanie

Te plemię sarmackie miało swoje siedziby na terenach dzisiejszej południowej Ukrainy.

Po raz pierwszy na kartach historii pojawiają się w roku 107 p.n.e., kiedy wraz ze Scytami biorą udział w wojnie przeciwko królowi Pontu, Mitrydatesowi IV Eupatorowi. Strabon przy okazji tych wydarzeń podaje, że 50 tys. armia koczowników nie mogła sprostać 6 tys. armii Diofantesa, jednego z generałów Mitrydatesa. Po tej porażce Roksolanie zostali włączeni do armii Mitrydatesa i walczyli u jego boku w Królestwie Bosporu przeciwko Rzymianom.

[37] Brzeziński, Mielczarek. 2002: s. 6.

[38] Brzeziński, Mielczarek. 2002: s. 6.

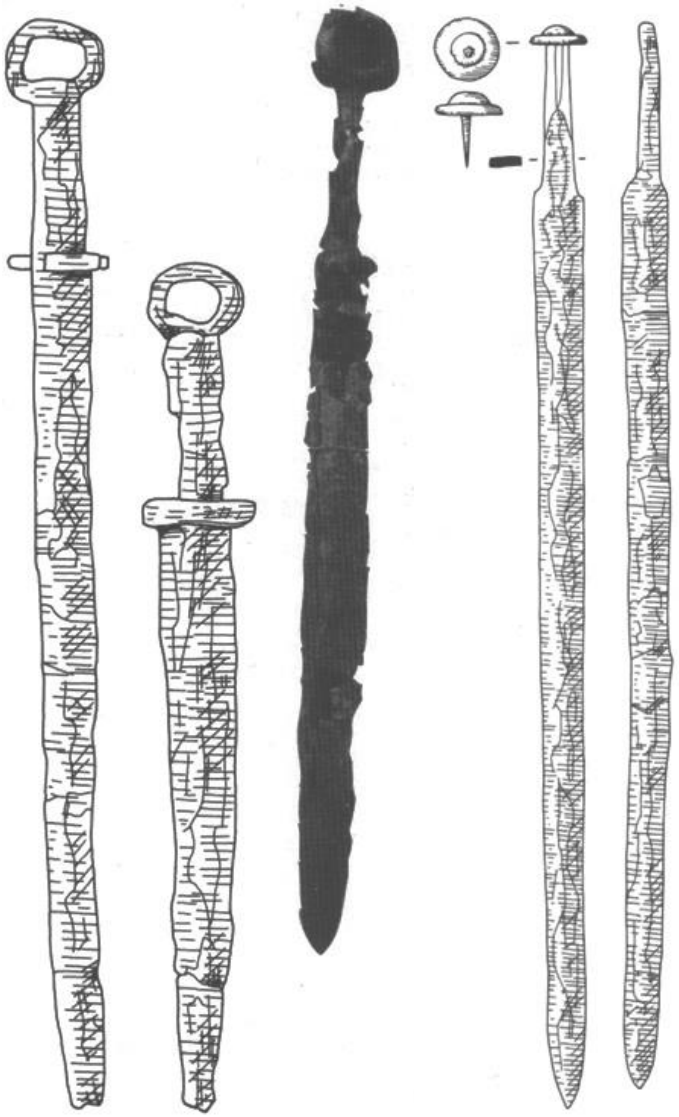

Po lewej miecze z kółkiem, po prawej późny, długi miecz sarmacki. Brzeziński, Mielczarek. 2002.

W I w.n.e. zasiedlają tereny nad dolnym Dunajem. Od roku 62 urządzają regularne wypady na tereny rzymskiej Mezji. Do największych takich rajdów należał ten z zimy roku 69, w którym wzięło udział 9 tys. ludzi. W trackie rajdów lat 85-86 zniszczyli jeden z Rzymskich legionów.

W trakcie wojen dackich, w latach 85-88, a potem 101-105 Roksolanowie walczyli po stronie Daków przeciwko Rzymianom.

Jeździec z łukiem typu huńskiego - przedstawienie z Dura Europos (II-III w n.e.) Aleksinskij D.P. 2005.

Jazygowie

Interpretowani są jako główny człon hord Sarmatów, które dotarły na obszar pontyjskich stepów. Wraz z Roksolanami stanowią awangardę sarmacką. Zamieszkiwali wybrzeża Morza Czarnego w pobliżu Krymu.

W roku 16 p.n.e. po raz pierwszy naruszyli Rzymską granicę. Od tego czasu regularnie pojawili się w jej pobliżu, w rejonie Dunaju. W latach 8-17 n.e. kilkakrotnie widział ich rzymski poeta Owidiusz w trakcie ich przepraw w kibitkach po zamarzniętym Dunaju.

W połowie I w. n.e. Jazygowie docierają do Niziny Węgierskiej. Brali czynny udział w zamieszaniu związanym z upadkiem państwa germańskiego króla Wanniusza.

Przez większą część tego czasu stosunki Jazygów z Rzymianami były przyjazne. Często służyli oni w armii rzymskiej licząc na nadania ziemskie w granicach imperium[39]. W roku 106 n.e. cesarz Trajan oddzielił ziemie Jazygów i Roksolan tworząc prowincję dacką. Wywołane tym napięcia uspokoił dopiero cesarz Hadrian zezwalając na kontakty tych plemion (oczywiście za opłatą) przez Dację, oraz nadając obywatelstwo rzymskie roksolańskiemu królowi.

W trakcie wojen markomańskch w latach 167-180 n.e. Jazygowie stanęli naprzeciwko Rzymian opowiadając się po stronie barbarzyńskich Markomanów – jednego z licznych plemion germańskich. Wojna ta okazała się tragiczna w skutkach: na przełomie lat 173 i 174 n.e. stoczyli bitwę z Rzymianami na zamarzniętym Dunaju. Bitwa złamał potęgę militarną Jazygów, a król Zantikus oddał Rzymianom jako zakładników 8 tys. jeźdźców, służących w cesarskiej armii. Większość z nich trafiła do prowincji znajdujących się w Brytanii[40]. Planowano także włączyć ziemie Jazygów do Cesarstwa Rzymskiego tworząc z tych ziem nową prowincję o nazwie Sarmacja.

Półwieczny spokój zakłóciło pojawienie się Gotów na stepach nadczarnomorskich. Zapoczątkowało to kolejną serię starć pomiędzy Rzymem i Sarmatami. W latach 236-238 n.e. walki z Jazygami prowadził cesarz Maksymin Trak[41]. W latach 248-250 n.e. Jazygowie zaatakowali Dację, cztery lata później – Panonię. Tam zostali pokonani w roku 282 n.e. przez cesarza Karusa. Toczyli także wojny z cesarzem Dioklecjanem.

W tym czasie pozwolono także znacznej liczbie ludności sarmackiej osiedlić się na terenie cesarstwa, oczekując od nich w zamian wsparcia w walkach z Gotami. Z tego okresu biorą się ślady Sarmatów odnajdywane na terenie Galii czy Italii.

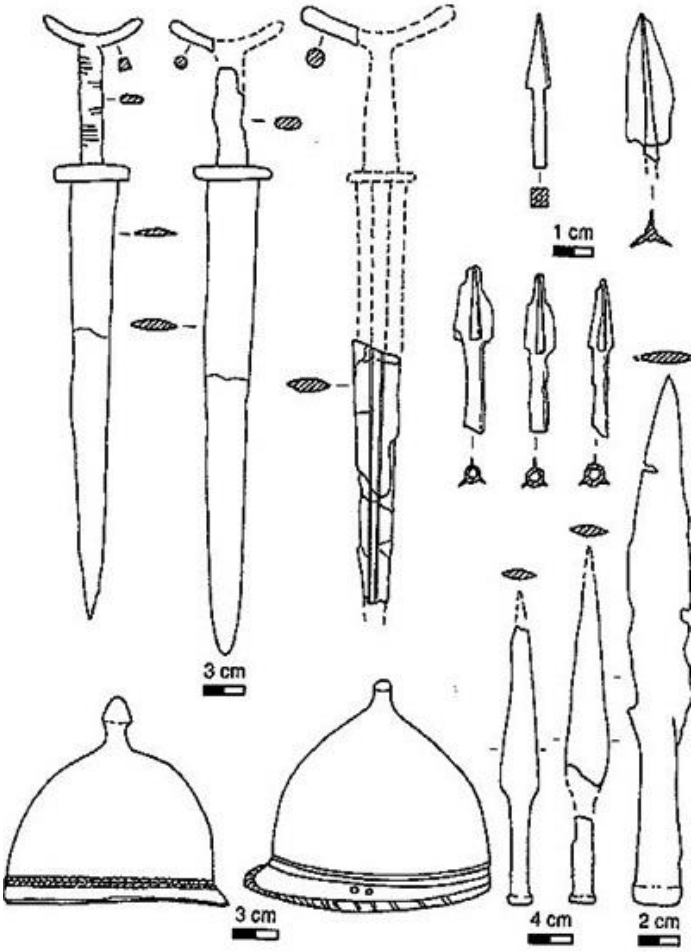

Wyposażenie z grobów wczesno sarmackich. Kozłowski 1999.

[39] Brzeziński, Mielczarek. 2002: s. 8.

[40] Brzeziński, Mielczarek. 2002: s. 8.

[41] Uchodził za syna Traka i Sarmatki, choć informację te są prawdopodobnie zmyślone przez starożytnych autorów. Faktem pozostaje że był pierwszym barbarzyńskim cesarzem rzymskim.

Alanowie

Kiedy do świadomości Rzymian przeniknęły już plemiona Roksolanów i Jazygów na arenę dziejów wkroczyła kolejna fala koczowników. Nie stanowili oni ludności wyłącznie sarmackiej. Była to raczej koalicja niezliczonej ilości grup ludności współdziałająca ze sobą. Historycy rzymscy określali ich mianem Massagetów[42].

W znacznym stopniu „zaistnieli" w roku 73 n.e., kiedy najechali Armenię i pokonali tam miejscowego króla Tridatesa. Kolejny rajd na tereny Azji Mniejszej odbył się 52 lata później.

Na początku II w. n.e. Alanowie zajęli tereny Kubania oraz ziemie nad dolną Wołgą – obszar wcześniej zajmowany przez Syraków i Aorsów. Ziemie te stanowiły dla Alanów bazę wypadową, z której kierowali swoje zagony na zachód.

Złoty okres Alanów zakończyło pojawienie się Gotów w 1 poł. III w. n.e. Część z nich wycofała się na tereny położone w rejonie Donu. Inna część pozostała, ucząc Gotów hodowli koni, a także przekazując im zamiłowanie do stylu animalistycznego.

W tym czasie Alanowie kontaktowali się także z innymi koczownikami, Hunami, do których, wedle przekazu historyków, byli podobnie, jednak mniej dzicy[43]. Jordanes natomiast porównując ich do Hunów pisał, iż ludy te „równe są w walce, ale inne w kulturze, manierach i zachowaniu".

Hunowie w roku 375 n.e. uderzyli na Gotów. W trakcie walk zginęła także część Alanów. Inna udała się na długą emigrację wraz z Gotami, inna pozostała służąc Hunom. Od tej pory ślady Alanów pojawiają się w różnych częściach świata, jako towarzyszy innych ludów[44].

Oprócz wymienionych i opisanych tu plemion sarmackich istniało także wiele innych, mniejszych i mniej znaczących, nieodgrywających znacznej roli w historii świata.

Wojownicy sarmaccy. Aleksinskij D.P. 2005.

Charakterystyczne cechy kultury sarmackiej

Gospodarka

Sarmaci byli ludem koczowniczym, podobnym do Scytów i tak jak oni funkcjonującym. Oprócz wojen i dóbr pozyskiwanych w trakcie wypraw rabunków utrzymywali się głównie z hodowli zwierząt. Wypasali je na rozległych terenach stepowych, zmieniając wraz z nimi swoje położenie. Dla większej mobilności Sarmaci nie budowali domostw, całe życie spędzając w kibitkach.

Fragment uprzęży. Brzeziński, Mielczarek 2002.

Uzbrojenie

Początkowo uzbrojenie sarmackie nie różniło się wiele od scytyjskiego. Używano tego samego łuku, typu miecza czy pancerza[45]. Co prawda spotyka się dłuższe typy mieczy, tzw. miecze prohorowskie[46]. Ponadto wczesne uzbrojenie zaczepne sarmackie uzupełnia sztylet podobny do miecza i masywna kopia. Broń ochronna jest niezwykle rzadka, w pochówkach zdarzają się napierśniki, zbroje łuskowe (zbudowane z skórzanych ubrań z naszytymi metalowymi płytkami), oraz hełmy o śladach długotrwałego użytkowania[47].

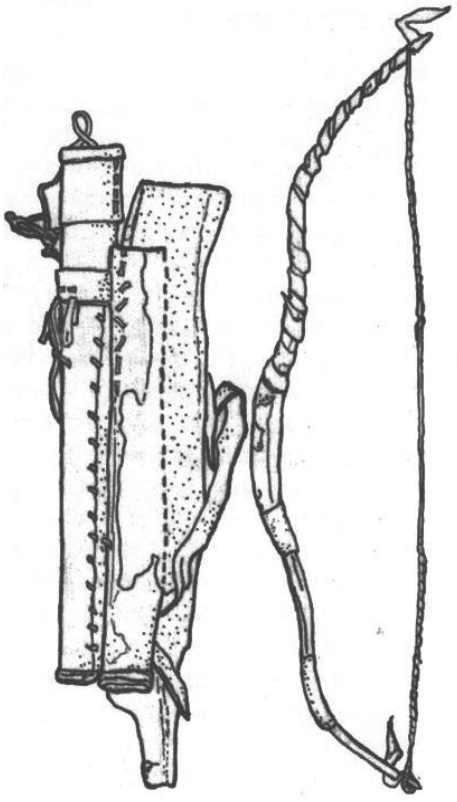

Łuk typu huńskiego. Brzeziński, Mielczarek. 2002.

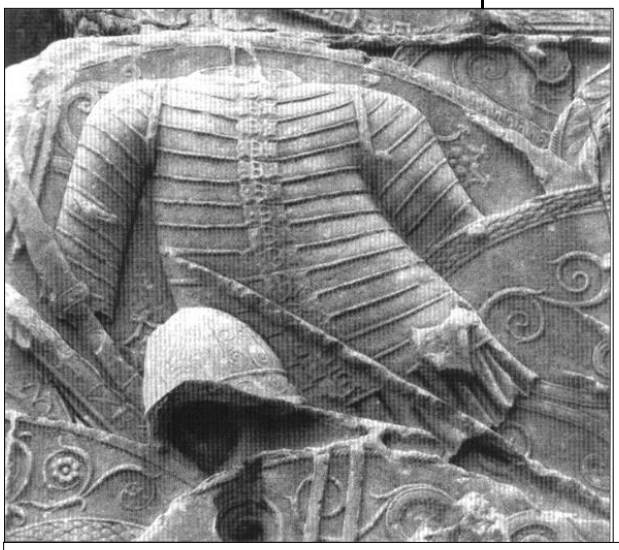

Po lewej przedstawienie zbroi na kolumnie Trajana - prawdopodobnie tak ciało chronili Sarmaci. Po prawej przedstawienie łuku kompozytowego. Brzezinski, Mielczarek. 2002.

[42] Byli to Ammianus podający że nazywani są „także Massagetami" i Kasjusz Dion bezpośrednio ich tak określający.

[43] Tak pisał o nich Ammianus.

[44] Wraz z Ostrogotami założyli królestwo w Italii, z Wizygotami w Hiszpani, z Wandalami dotarli do północnej Afryki. Ślady tego stanu rzeczy można odnaleźć w dzisiejszych nazwach, chociażby sławnej Katalonii (Goth-Alania) (Brzeziński, Mielczarek 2002, 10).

[45] Aleksinskij D. P. 2005: s. 111.

[46] Aleksinskij D. P. 2005: s. 111.

[47] Aleksinskij D. P. 2005: s. 111.

Przedstawienie sztandaru z głową smoka. Brzeziński, Mielczarek. 2002.

W trakcie rozwoju kultury sarmackiej zmienia się także typ uzbrojenia. Łuk scytyjski jest zastąpiony innym, wzmocnionym dodatkowymi elementami kostnymi. Do wyposażenia łuczników dołącza ochronna tabliczka na palec, chroniąca przed cięciwą[48]. Pojawia się także miecz z kółkiem, będący bronią zdecydowanie bardziej bezpieczną dla koczowników używających w walce łuków[49]. Zbroje stają się zdecydowanie bardziej masywne, złożone z ciężkich płytek. Wedle podań historyków Sarmata, który spadł z konia w takiej zbroi nie był wstanie podnieść się o własnych siłach. Do użytku wprowadzane są także kolczugi[50]. Ciągle nieliczne pozostają informacje o innych broniach obronnych.

W tym okresie zmieniła się także uprząż. Stała się ona także bardziej masywna, a pierś konia chroniona była masywną, zakrzywioną płytą[51]. Zmiany zaszły także w budowle siodła. Lekkie siodło Scytyjskie zastąpione zostało przez masywne sarmackie, zbudowane na drewnianej ramie. Do tego dochodzi ciężka i długa kopia[52]. Zmiany te umożliwiały przełamujące linie wroga uderzenie ciężkiej jazdy – była to forma ataku na podobieństwo uderzenia ciężkozbrojnych rycerzy w średniowieczu, albo lepiej wszystkim znana szarża husarska[53].

W kolejnym okresie znowu następują zmiany w uzbrojeniu sarmackim. Dominującą rolę uzbrojenia przejmuje ponad metrowy miecz (ok. 1,3 m długości). Broń ta często zdobiona była elementami z kamieni półszlachetnych.

Innym elementem charakterystycznym dla Sarmatów jest sztandar z głową smoka.

Największy zbiór informacji o uzbrojeniu sarmackim znajduje się na kolumnie Trajana. Jest to budowla wzniesiona dla upamiętnienia zwycięskich wojen prowadzonych z Dakami, powstała w roku 113. Posiada wiele przedstawień sarmackich wojowników.

Taktyka

Sprzeczne są źródła odnośnie dowodzenia w Sarmackiej armii. Jedne podają, że każdy Sarmata w trakcie bitwy walczył na własną rękę, inni, że posiadali oni hierarchię wojskową a wyprawą dowodził król.

Sposób natarcia zależny był od uzbrojenia. Początkowo podobny był do scytyjskiego, lekka i zwrotna jazda stale ostrzeliwała przeciwnika z bezpiecznej odległości. Następnie, po zmianie w uzbrojeniu, ciężka jazda z impetem uderzała w szeregi przeciwnika[54].

W armii sarmackiej znajdowały się także oddziały piechoty złożone z niewolników[55].

Tamgi

Dla kultury sarmackiej charakterystyczne są tamgi. Były to proste znaki, symbole będące oznaczeniem własności. Często tamgą pozostawał monogram. Takim znakiem oznaczano najróżniejsze przedmioty, a także zwierzęta.

Mity sarmackie

Ze względu na aktywny udział w wielu wydarzeniach na przestrzeni dziejów Sarmaci stanowili ponętny „kawał historii", do którego można było doczepiać wiele wydarzeń mitycznych.

Amazonki

Taki stan rzeczy panował już w starożytności. Historycy antyczni, tacy jak Strabon, uważali, że Sarmaci pochodzą od Amazonek oraz, że są rządzeni przez kobiety. Wiązać to należy z wysoką pozycją społeczną kobiet, albo dokładniej rzecz ujmując, w dopuszczeniu ich do domeny mężczyzn – wojny. Z terenów Sarmackich znane są pochówki żeńskie wyposażone w uzbrojenie. Także zachowane szkielety sarmatek świadczą o tym, iż od dziecka, tak jak chłopcy, uczone były jazdy konnej.

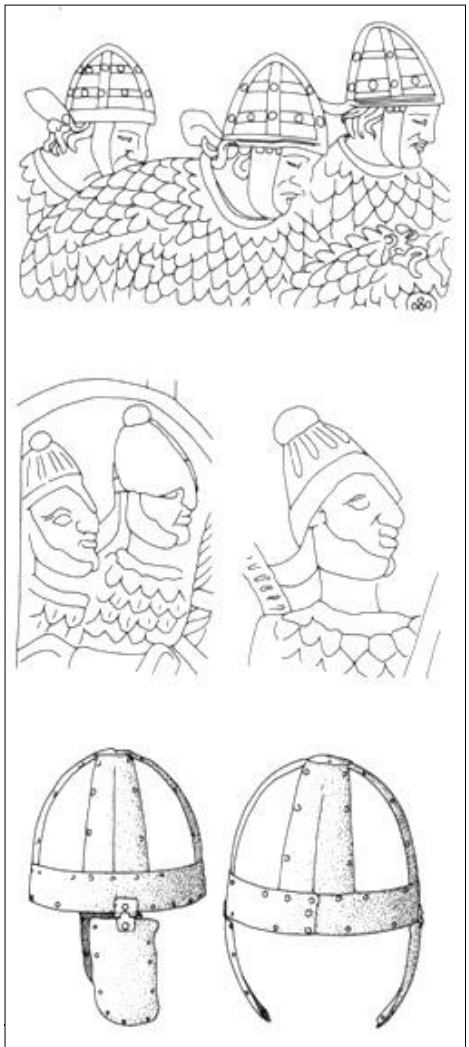

Chełmy wykorzystywane przez Sarmatów oraz pochodzące z ich epoki. Brzeziński, Mielczarek 2002.

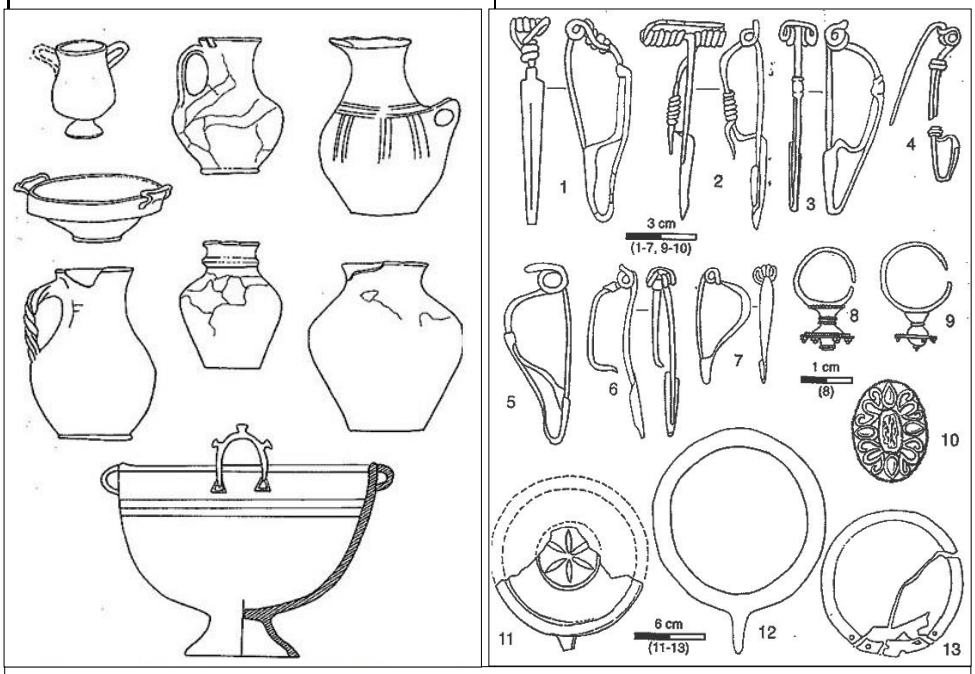

Naczynia sarmackie i ozdoby wczesnosarmackie. Kozłowski 1999.

[50] Aleksinskij D. P. 2005: s. 114.
[51] Aleksinskij D. P. 2005: s. 114.
[52] Znana jest głównie ze źródeł ikonograficznych, rzadziej archeologicznych.
[53] Niestety, szarża ta nigdy nie została ukazana poprawnie w polskiej kinematografii, nawet w sławnej ekranizacji Trylogii Sienkiewicza.
[54] Aleksinskij D. P. 2005: s. 114.
[55] Trudno jest coś powiedzieć o ich roli.

Mity arturiańskie

Motyw sarmacki przewija się także w legendach arturiańskich. Wiążę się to z obecnością Sarmatów na terenach Brytanii i Gali. O ile sasami sarmaci i ich obecność na tym obszarze stanowi dziś wiedzę niezaprzeczalną, to legenda nadal pozostaje legendą, a kolejny wątek pozwala ubarwiać ją w ciekawej formie. Przejawem tego może być film „Król Artur" z 2004 roku w reżyserii Antoine Fuqua. O ile podaje on legendarną, sfabularyzowaną i przerysowaną wersje, to wizerunek Sarmatów stających do bitwy, użycie przez nich łuków refleksyjnych o zdecydowanie większych możliwościach[56], jest ciekawym przedstawieniem przynajmniej części prawdy.

Sarmatyzm w Rzeczpospolitej Obojga Narodów

Sarmatyzm polskiej szlachty stanowił swoisty i bardzo charakterystyczny wytwór kulturowy. Niemniej ta barwna, barokowa forma kultury szlacheckiej z Sarmatami miała niewiele wspólnego.

Do jej powstania przyczyniło się kilka czynników. Po pierwsze był to czas, kiedy przedstawiciele arystokracji poszczególnych państw szukali swych przodków w ludach antycznych. Francuzi mieli Galów, Niemcy Germanów, Polakom z wrogów Rzymu[57], stawiających mu opór, pozostali Sarmaci.

Do tego dodać należy podobieństwo niektórych znaków herbowych szlachty polskiej i tamg. Podobieństwo te tłumaczyć można dwojako. Bardziej prawdopodobna wersja mówi o podobieństwie przypadkowym. Tamgi nie były znakami skomplikowanymi, nie należy się dziwić, że ktoś mając do dyspozycji kilka kresek ułożył je tak samo jak ktoś inny około tysiąca lat wcześniej. Z drugiej strony możliwym, choć mało prawdopodobnym jest to, że jacyś Sarmaci przetrwali do czasów budowy państwa polskiego, a przynajmniej prze tyle wieków zachowali swoją odrębność etniczną i kulturową. Ponadto tamgi były wiązane także z kolejnymi falami koczowników, więc ich obecność może świadczyć o powiązaniach stepowych, ale niekoniecznie muszą to być powiązania sarmackie.

Paweł Włodarski

P.S. Patrz również na strony kolorowe niniejszego Zeszytu.

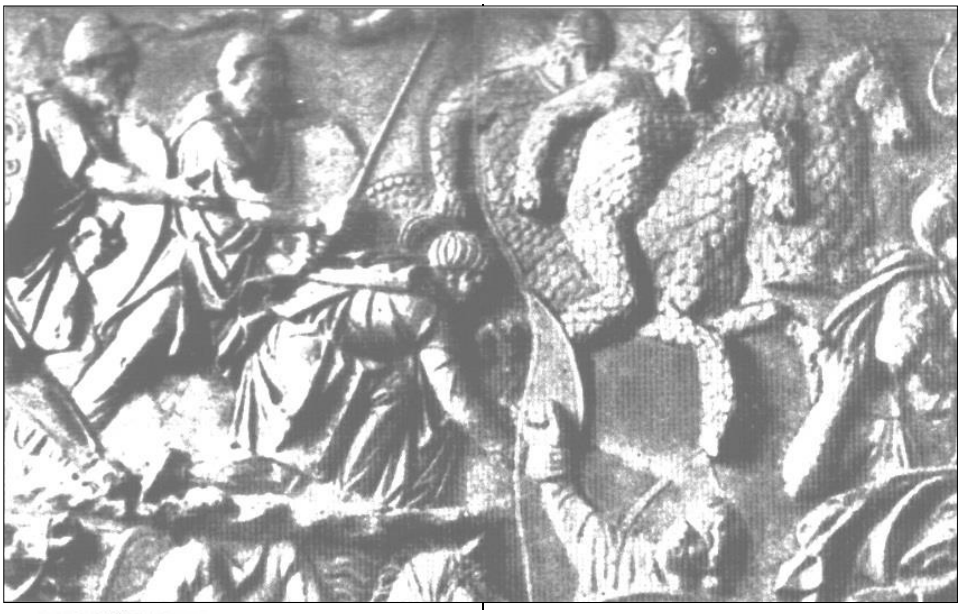

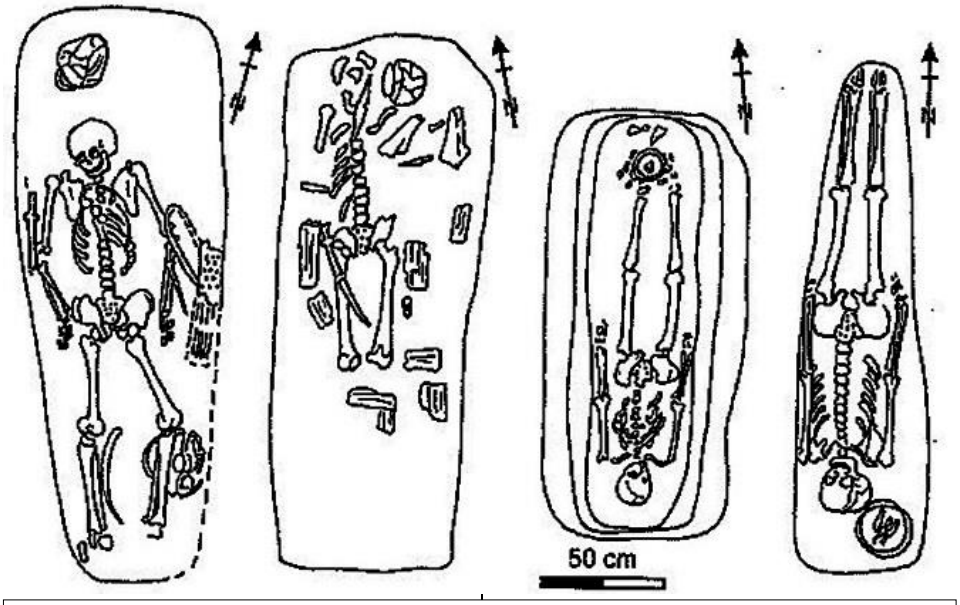

Przedstawienie sarmatów z Kolumny Trajana. Charakterystyczne zbroje łuskowe, chroniące także konie. Brzeziński, Mielczarek. 2002. Pochówki wczesnosarmackie. Kozłowski 1999.

Wykaz cytowanej literatury:

Aleksinskij D. P. Žukov K. A. Butâgij A. M. Korovkin D. S. 2005. *Vsadniki vojny. Kniga pervaâ. Kavaleriâ Evropy.* Skant-Petersburg. Poligon.

Brzezinski R. Mielczarek M. 2002. *The Sarmatians 600 BC – 450 AD*. Oxford. Osprey Publishing.

Kozłowski J. K. red. 1999. *Encyklopedia Historyczna Świata. Tom 1. Prehistoria*. Kraków. Agencja Publicystyczno-Wydawnicza Opres.

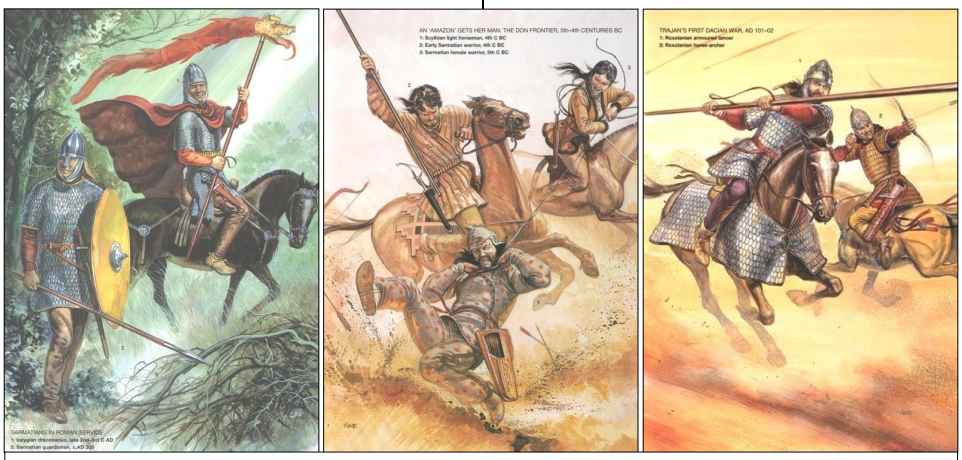

Od lewej: 1. Sarmaci w armii rzymskiej. Brzeziński, Mielczarek. 2002.
2. Walka na stepie. Na drugim planie widać walczącą kobietę. Brzeziński, Mielczarek. 2002.
3. Ciężkozbrojni wojownicy sarmaccy z czasów wojen dackich. Brzeziński, Mielczarek. 2002.

[56] Moment bitwy na lodzie pokazujący różnicę zasięgu łuków sarmackich i saskich.

[57] Pozwalających tym samym na powiązanie się z światem antycznym.

Zwalczanie analfabetyzmu w powiecie makowskim

Wojciech ŁUKASZEWSKI

Polska po II wojnie światowej była krajem z dużym odsetkiem analfabetyzmu. Zjawisko to występowało dość powszechnie jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym. Pomimo sukcesywnego rozwoju oświaty, szczególnie na terenach wiejskich, w kraju zmagano się z plagą analfabetyzmu oraz analfabetyzmu wtórnego. W 1921 r. ponad 33,1 % ludności nie umiała czytać i pisać, natomiast w 1939 r. odsetek ten spadł do 15%. Wprowadzony w życie powszechny obowiązek szkolny stopniowo rugował zjawisko analfabetyzmu. Wprowadzona w 1933 r. reforma ówczesnego ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego Janusza Jędrzejewicza podzieliła podstawowe szkoły powszechne na trzy stopnie. Ten skomplikowany zabieg nie był zbyt fortunny, gdyż znacznej większości uczniów zamykał drogę do dalszej edukacji.

Wybuch II wojny światowej zatrzymał proces dalszej walki z analfabetyzmem. Pomimo działalności Tajnej Organizacji Nauczycielskiej (TON) w warunkach konspiracyjnych nie można było mówić o likwidacji problemu analfabetyzmu. Nauczyciele uczący w Organizacji bardzo starali się przekazywać uczniom wiedzę, choć ryzyko było olbrzymie. Dostęp do tajnych kompletów wśród Polaków był jednak ograniczony. Po zakończeniu działań wojennych, w wyniku prześladowań okupantów, wiele roczników polskiej młodzieży miało poważne zaległości edukacyjne, nawet pomimo rozbudowanego tajnego nauczania.

Władza ludowa postanowiła walczyć ze zjawiskiem analfabetyzmu wśród Polaków i 7 kwietnia 1949 r. uchwalono ustawę o likwidacji analfabetyzmu. W art. 1 podkreślano, iż zjawisko analfabetyzmu stanowi spuściznę po „rządach burżuazji”[58]. Na mocy ustawy powołano Pełnomocnika Rządu do Walki z Analfabetyzmem. Na wszystkich szczeblach administracji utworzono Społeczne Komisje do Walki z Analfabetyzmem, których przewodniczącymi byli przewodniczący Prezydiów Rad Narodowych. Nauczanie dla analfabetów odbywało się na państwowych kursach, które były organizowane i prowadzone z polecenia Pełnomocnika Rządu w porozumieniu z Ministerstwem Oświaty. Poza tym kursy były organizowane przez zespoły przy zakładach pracy, organizacje społeczne i władze wojskowe[59].

Wojewódzkie Rady Narodowe podjęły współzawodnictwo w walce z analfabetyzmem. W dniu 19 sierpnia 1949 r. podpisana została również umowa w tej sprawie. Warszawska Wojewódzka Rada Narodowa 20 sierpnia 1949 r. zaplanowała 1665 kursów dla niepiśmiennych i nie czytających[60]. W tym dniu prezydia powiatowych i miejskich rad narodowych oraz starostowie zostali wezwani do zmobilizowania wszelkich możliwych sił do walki z analfabetyzmem. Wezwano rady narodowe do zawierania porozumień z inspektorami szkolnymi, wytypowanymi przez kuratoria oświaty oraz tworzenia specjalnych gminnych i gromadzkich komisji do walki z analfabetyzmem, w których obligatoryjnymi członkami byliby wójtowie i sołtysi. Poza tym zlecono radom przegotowanie imiennych list analfabetów według poszczególnych gromad, skupiając szczególną uwagę na młodzieży w wieku 14-19 lat, a następnie 19-35 lat i dalej pozostałym. Każda grupa musiała mieć swojego opiekuna i wytypowanych nauczycieli. Następnie zorganizowane kursy musiały być wykazane w wojewódzkiej bazie z dniem 31 sierpnia 1949 r.[61]

Pierwszą rejestrację analfabetów zarządzono w czerwcu 1949 r. Po jednym niedokładnym spisie zarządzono drugi, który wykazał rozmiar zjawiska analfabetyzmu. Ustalono, że w całym województwie warszawskim jest 140 998 analfabetów i półanalfabetów, co stanowiło 6,8% ludności, w tym: w powiecie makowskim – 3 230. Oczywiście istniało poważane zastrzeżenie, co do rzetelności obliczeń. Nawet władze zajmujące się problemem analfabetyzmu przyznawały, że rejestracja nie objęła wszystkich analfabetów[62]. Według szacunków Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Narodowej rejestracja objęła nie więcej jak tylko 30 % analfabetów. Reszta z nich unikała rejestracji i nauki[63].

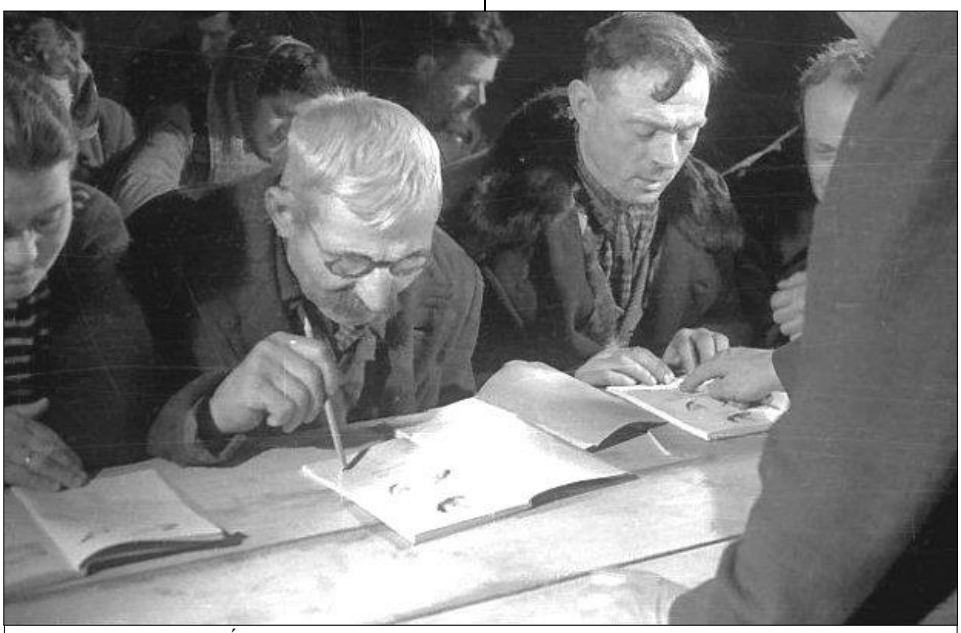

Kurs dla analfabetów. Źródło: Internet.

Organizowanie kursów dla analfabetów rozpoczęto w drugiej połowie 1949 r. Już do końca listopada 1949 r. w województwie warszawskim zorganizowano 2 119 kursów oraz zespołów, co stanowiło 83% zaplanowanych. W interesujących nas sześciu powiatach Północnego Mazowsza do 28 lutego 1950 r. zorganizowanych zostało 862 kursów i zespołów, co stanowiło 41% ogółu w całym województwie[64].

[58] 1949 Kwiecień 7. Warszawa. Ustawa o likwidacji analfabetyzmu [w:] *Źródła do dziejów Polski w XIX i XX wieku, lata 1945-1956,* t.V (wyb.A. Koseski, J. R. Szaflik, R. Turkowski), Pułtusk 2003; s.139.

[59] Tamże.

[60] Archiwum Państwowe w Warszawie, Oddział w Milanówku (dalej APMk), Warszawska Wojewódzka Rada Narodowa, Protokóły Sesji WRN, 1949, 1-11, sygn. 7, k. 213.

[61] Tamże, k. 214.

[62] A. Kociszewski, *„Ala ma Asa”, czyli analfabeci idą do szkoły*…[w:] *Mazowsze ciechanowskie – Moja mała ojczyzna II, Szkice z dziejów regionu (od roku 1918)* (koncepcja i opracowanie A. Kociszewski i J.Pełka),Ciechanów 1997, s.313.

[63] APMk, Warszawska Wojewódzka Rada Narodowa, Protokoły Sesji WRN, 1950, 1-3, sygn. 8, k. 7.

[64] Tamże.

W województwie warszawskim 1 listopada 1949 r. powołano wizytatora, natomiast w 14 powiatach podinspektorów do walki z analfabetyzmem. Rok później natomiast w każdej gminie pracował instruktor współpracujący z pełnomocnikiem wojewódzkim oraz pełnomocnikami powiatowymi do walki z analfabetyzmem[65].

Frekwencja na kursach również pozostawiała wiele do życzenia. Najlepiej wypadła w powiecie przasnyskim wynosząc 100%, natomiast w powiecie makowskim wynosiła 75%. Akcja zwalczania zjawiska załamała się w 1950 r. Władza ludowa tłumaczyła to prowadzeniem wrogiej propagandy w stosunku do niej. Oficjalnie uznano, iż do listopada 1951 r. objęto nauką wszystkich analfabetów[66].

Tabela 1 /poniżej/. Stan walki z analfabetyzmem w pierwszym kwartale 1950 r. w powiecie makowskim

liczba zarejestrowanych analfabetów do przeszkolenia	liczba czynnych kursów i zespołów	liczba analfabetów objętych nauczaniem	procent uczących się w stosunku do zarejestrowanych
1 655	**80**	**1 598**	**96%**

Źródło: APMk, Warszawska Wojewódzka Rada Narodowa, Protokoły Sesji WRN, 1950, 1-3, sygn. 8, k. 7.

Według oficjalnych danych ogólny odsetek osób podejmujących naukę w powiecie makowskim wyniósł 96%[67].

W powiecie makowskim w zwalczanie analfabetyzmu czynnie włączył się Związek Młodzieży Polskiej. W 1950 r. zostało zarejestrowanych 1 655 analfabetów. Zorganizowano w tym okresie 80 kursów i zespołów, które objęły swą opieką 1 598 osób stanowiących 96,0% stanu ogólnego. Powiat makowski pod tym względem zajmował drugie miejsce w województwie[68]. Na terenie powiatu było 4 295 analfabetów, w tym 2 207 już ponad pięćdziesięcioletnich. Do uczestnictwa w kursach wytypowano 1 956 osób. Na kursach oraz indywidualnie nauczano 1 725 osób. Indywidualnie nauczano 123 osoby. W pracy nad zwalczaniem analfabetyzmu wyróżniła się członkini ZMP Balbina Kacprzykowska, która prowadziła kurs w miejscowości Lipniki[69].

Powiat	liczba zarejestrowanych analfabetów	liczba zarejestrowanych analfabetów do przeszkolenia	liczba analfabetów objętych nauczaniem	Liczba absolwentów	
				Liczba kursów 1947-1951	Ogółem (różne formy szkoleń)
Maków Maz.	**3 230**	**1 655**	**1 598**	**1 522**	**1 888**
województwo warszawskie	**140 988**	**65 409**	**47 451**	**48 460**	**68 291**

Koło ZMP w Krasnosielcu w pow. makowskim podjęło zobowiązanie, że do 22 lipca 1951 r. nauczą wszystkich analfabetów w swojej gromadzie. Zobowiązanie zostało wkrótce wykonane[70].

Tabela 2 /powyżej/. Stan analfabetyzmu w powiecie makowskim w 1951 r.

A. Kociszewski, „Ala ma Asa", czyli analfabeci idą do szkoły…[w:] Mazowsze ciechanowskie – Moja mała ojczyzna II, Szkice z dziejów regionu (od roku 1918) (koncepcja i opracowanie A. Kociszewski i J. Pełka),Ciechanów 1997, s.308.

W celu trwałego zlikwidowania analfabetyzmu i jego skutków w kraju, postanowiono otwierać sieć małych szkół, które znalazły się niemal w każdej miejscowości wiejskiej. Dla Powiatowych i Gminnych Rad Narodowych wydano dyspozycje dotyczące przekazywania środków finansowych na potrzeby szkolne. Ponadto zobowiązano Prezydia Rad Narodowych, aby realizowały uchwałę Rządu z 20 października 1952 r., zapewniającą nauczycielom bezpłatne mieszkania, dostawy opału, pomoc lekarską oraz artykuły codziennego użytku. Oprócz tego zobowiązano Prezydia do promowania idei czytelnictwa wśród uczniów, w tym osób dorosłych, aby zjawisko analfabetyzmu nie powróciło[71].

Akcja zwalczania analfabetyzmu skończyła się porażką, gdyż już w 1950 r. nastąpiło poważne zahamowanie inicjatywy. Najgorsza sytuacja była w powiecie ostrołęckim, gdzie był najwyższy odsetek analfabetów i zarazem najniższa frekwencja uczestnictwa w kursach. Dodatkową uciążliwością był duży odsetek analfabetów liczących powyżej 50 roku życia. W niektórych powiatach mazowieckich nawet ponad 50% osób wpisanych na listy, nie uczestniczyło w kursach. Przyczyną takiego stanu rzeczy była słaba aktywność organizacji społecznych walczących z analfabetyzmem. W powiecie makowskim na 106 planowanych kursów doszły do skutku tylko 4 kursy, prowadzone przez Powiatową Radę Związków Zawodowych[72].

Akcja zwalczania analfabetyzmu najszybciej zakończyła się w powiatach: mławskim i ostrołęckim (koniec akcji miał miejsce 1 maja 1951 r.), natomiast gorzej przedstawiała się sytuacja w powiatach: makowskim, ciechanowskim oraz przasnyskim. Jak już wcześniej wspomniałem, było to uzależnione od aktywności organizacji masowych takich jak: Związek Młodzieży Polskiej, Liga Kobiet, Związek „Samopomocy Chłopskiej", Powiatowa Rada Związków Zawodowych.

Wśród powiatów Północnego Mazowsza najwięcej kursów dla analfabetów zorganizowano w powiecie ostrołęckim, natomiast najmniej w powiecie makowskim, co ostatecznie przełożyło się na terminy zakończenia akcji.

Na wsiach jedną z form walki z analfabetyzmem było nauczanie indywidualne. Ten sposób nauczania był korzystny głównie dla chłopów pracujących w polu, a nie mających czasu uczestniczyć w zorganizowanych kursach. Powołana w sierpniu 1951 r. „Służba Społeczna" nadzorowała nauczanie indywidualne analfabetów. Jednak w ramach przeprowadzanej od 1949 r. akcji wystąpiły poważne niedociągnięcia, zaniedbania i ogólne opóźnienie. Całe przedsięwzięcie realizowane przez organizacje społeczno-polityczne zostało negatywnie ocenione przez Główną Komisję Społeczną oraz Pełnomocnika Rządu ds. Walki z Analfabetyzmem.

Często zdarzały się takie sytuacje, w których na listach osób do objęcia nauczaniem nie umieszczano mieszkańców powiatów Północnego Mazowsza, którzy kwalifikowali się do udziału w akcji.

Wojciech Łukaszewski

---

[65] K. Dobrosielski, *Problemy likwidacji analfabetyzmu w woj. warszawskim w latach 1949-1951*, „Rocznik Mazowiecki", tom. IX, 1987, s. 29.

[66] A. Kociszewski, *„Ala ma Asa", czyli…* s.308.

[67] A. Kociszewski, *„Ala ma Asa" czyli …*, s.314.

[68] K. Dobrosielski, *Życie społeczno-gospodarcze i polityczne powiatu makowskiego w latach 1945-1975* [w:] *Maków Mazowiecki i ziemia makowska*, Warszawa 1984, s.255.

[69] Archiwum Państwowe w Warszawie, Oddział w Otwocku (dalej: APO), Zarząd Wojewódzki ZMP w Warszawie, Prezydium ZP ZMP w Makowie Maz., sygn.1, k.1.

[70] Tamże.

[71] *Mazowsze Północne w XIX – XX wieku, Materiały źródłowe 1795-1956* (zebr. i przyg. Janusz Szczepański), Warszawa-Pułtusk 1997, s. 411-412.

[72] K. Dobrosielski, *Problemy likwidacji analfabetyzmu…*, s.32.

Żołnierz Wyklęty z Woli Józefowo uczczony przez Prezydenta Komorowskiego

Janusz GROCHOWSKI

28 września 2014 roku w Pałacu Prezydenckim w Warszawie odbyła się podniosła uroczystość poświęcona ośmiu Żołnierzom Wyklętym, których szczątki zostały odkopane w kwaterze „Ł" Cmentarza Wojskowego na warszawskich Powązkach. To tutaj byli grzebani zakatowani w więzieniu, czy skazani w politycznych procesach patrioci.

Szczątki zostały odkopane przez interdyscyplinarny zespół naukowy pod kierownictwem dr hab. Krzysztofa Szwagrzyka z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie. Konkretne osoby zidentyfikowano na podstawie badań materiału genetycznego. Na tą okazję w Pałacu Prezydenckim wywieszono portrety odnalezionych Wyklętych. Rodziny otrzymały szczątki pomordowanych krewnych i stosowne noty identyfikacyjne. Wzruszające przemówienie wygłosił Prezydent Komorowski. Mówił o bohaterstwie i patriotyzmie zidentyfikowanych Żołnierzy, o prawdzie, która po latach jednak zwyciężyła. Przebieg uroczystości i przemówienie Pana Prezydenta było szeroko transmitowane w telewizji i innych mediach. Ze wzruszeniem odkryłem, że jeden z ośmiu bohaterów, o których mówił Prezydent, to Bolesław Częścik - Nasz Rodak z Woli Józefowo w gminie Krasnosielc powiat Maków Mazowiecki.

Bolesław Częścik ps „Orlik" urodził się w 1924 r. we wsi Wola Józefowo jako syn Józefa i Feliksy z domu Tomaszewskiej. Szkołę Powszechną (7 klas) ukończył w Gąsewie w 1938 r. z wynikiem dobrym. W 1941 r. mając niespełna 17 lat wstępuje do Związku Walki Zbrojnej. Przysięgę od niego odbiera Feliks Mamiński ps. „Leśnik". Szkoli się w obchodzeniu z bronią, poznaje tajniki konspiracji i walki z wrogiem. W 1942 r. wstępuje do Narodowych Sił Zbrojnych. Organizacja ta jest niezwykle silna na terenie Powiatu Makowskiego, z powodu ogromnych wpływów jakie miała Narodowa Demokracja (Endecja) w okresie międzywojennym. Od września 1944r. współpracuje z oddziałem „Burza". Wyzwolenie w 1945 r. nie przyniosło oczekiwanej wolności i demokracji. Tworzył się nowy porządek, jakże inny od spodziewanego. Żołnierze NSZ byli wyłapywani i poddawani represjom.

1 maja 1945r. bierze udział w akcji odbicia więźniów z budynku Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa z siedzibą w Krasnosielcu. Akcja ta została zorganizowana przez połączone Oddziały Narodowych Sił Zbrojnych z Powiatu Maków i Przasnysz. Celem akcji było uwolnienie kilkudziesięciu żołnierzy podziemia z więzienia UB w Krasnosielcu (obecnie budynek Ośrodka Zdrowia), przeznaczonych

Bolesław Częścik pseudonim „Orlik"

do wywózki w głąb Związku Radzieckiego. Zgodę na akcję wydał Stanisław Borodzicz ps. „Wara" szef Sztabu Komendy Okręgu II Mazowsze-Północ Narodowych Sił Zbrojnych. Całością akcji dowodził Roman Dziemieszkiewicz ps. „Adam", „Pogoda".

Świetnie zorganizowana i brawurowo przeprowadzona akcja zakończyła sie sukcesem. Uwolniono wszystkich uwięzionych. Po stronie NSZ zginął tylko jeden uczestnik akcji - Julian Pszczółkowski ps. „Myśliwiec". Bolesław Częścik wyróżnił się akcji. Po rozwiązaniu Narodowych Sił Zbrojnych wstępuje do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Jest żołnierzem leśnym w Okręgu Północ. Rozkazem kpt. „Młota" zostaje wcielony do PAS-u (Pogotowie Akcji Specjalnej), którego dowódcą jest chor. „Las" (Józef Kozłowski). Bierze udział w licznych akcjach: rozbrojeniu Komendy Powiatowej MO w Makowie, posterunków w Różanie, Kolnie, Baranowie, Chorzelach, Myszyńcu i innych. Jest świetnym żołnierzem, wykonuje najtrudniejsze zadania. Walka Żołnierzy Podziemia o niezawisłość skazana była od samego początku na klęskę. Nie sposób było zwyciężyć z największą siłą II wojny światowej - Związkiem Radzieckim. Bolesław Częścik zdaje sobie z tego sprawę. Ujawnia się 22 kwietnia 1947 r. w Warszawie. Po ujawnieniu wyjeżdża na Ziemie Odzyskane w okolice Starogardu. Tu ostatecznie zatrudnia się u rybaka na kutrze wiślanym w miejscowości Drewnica. Wiedzie mu się dobrze. Nie planuje wracać do domu. Wraca, gdy dowiaduje się, że stary wróg nachodzi matkę. Była to prawdopodobnie prowokacja, mająca na celu zwabienie Częścika (informacja od żyjącego kolegi z oddziału). 13 września został aresztowany pod zarzutem nieszczerości ujawnienia. Po morderczym 6-miesięcznym śledztwie, 7 kwietnia 1951 r. zostaje postawiony przed Rejonowym Sądem Wojskowym na Sesji Wyjazdowej w Pułtusku. Wyrok - kara śmierci. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. 94 dni siedzi w celi śmierci w więzieniu na ulicy 11 listopada w Warszawie. 10 lipca 1951 r. wyrok zostaje wykonany w więzieniu mokotowskim w Warszawie. Ciało zostało potajemnie pochowane w kwaterze „Ł" Cmentarza Powązkowskiego Wojskowego. Szczątki Bolesława Częścika odnaleziono 17 sierpnia 2012r.

W drugiej połowie lat czterdziestych ubiegłego wieku, według moich informacji, ok. 1000 mężczyzn z powiatu makowskiego znajdowało się w organizacjach podziemnych. To bardzo duża liczba wziąwszy pod uwagę, że był to okres powojenny, a na naszym terenie znajdował sie jeden z największych przyczółków II wojny światowej - różański. Liczba ludności z tego powodu bardzo spadła. Najsilniejsze były Narodowe Siły Zbrojne i ich następca - Narodowe Zjednoczenie Wojskowe. Większość „leśnych żołnierzy" walczyła godnie o wolną i niezawisłą Ojczyznę. Nieliczni kradli, bili. Byli też zwykli bandyci, którzy podszywali sie pod organizacje podziemne. Wykorzystywali sytuacje dla swoich niecnych celów. Te patologie zwalczało Dowództwo NZW. Te fakty wykorzystywali też funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa do tworzenia czarnej legendy żołnierzy podziemia. Wydarzenia były przeinaczane, dodawano kłamstwa. Propaganda działała świetnie.

Działania żołnierzy podziemia w różny sposób są ocenianie przez naszą społeczność. Część ludzi ocenia ich pozytywnie, uważa za bohaterów, dzięki którym odzyskaliśmy wolność. W tym tonie wypowiedział się Prezydent Komorowski. Druga część, często pod wpływem dawnej propagandy, nadal uważa ich za bandytów, którzy pod pretekstem walki o wyzwolenie grabili sąsiadów. Żałuję, że w Naszym Powiecie tak mało mówi się i pisze o tamtych tragicznych czasach. Nie można o nich zapomnieć. To były ciężkie czasy z tragicznymi bohaterami. Cieszę się, że obecnie nie musimy dokonywać takich wyborów i działań. O swoje ideały możemy walczyć w inny sposób - kartką do głosowania. Co dziwne w naszej historii, ta bezkrwawa walka jest skuteczna.

Janusz Grochowski
/Krasnosielc, Maków Mazowiecki/

Obraz miasta Krasnosielca z roku 1860

Dariusz Wojciech BUDNY

Badając dzieje naszego regionu natknąłem się w Archiwum Państwowym w Płocku na ciekawy dokument, czyli na obraz miasta Krasnosielca pochodzący z 14 maja roku 1860. Obraz miasta został opracowany przez lokalne władze na potrzeby powstania statystycznego opisu miasta. W kilku zdaniach chciałbym przybliżyć czytelnikom treść owego niezwykle ciekawego dokumentu.

Miasto prywatne Krasnosielc znajdowało się w tym czasie w guberni płockiej, w powiecie przasnyskim, w okręgu sądowym przasnyskim, w dekanacie przasnyskim. W maju 1860 roku ludność tego miasta przynależała w zależności od wyznania do: parafii rzymsko–katolickiej w Krasnosielcu, kahału w Krasnosielcu, bądź do zboru w Przasnyszu. Miasto to położone było na rozległej płaszczyźnie pośrodku lasów należących do dóbr Karola Krasińskiego. Miejscowość ta posiadała walory zdrowotne. Przez miasto przepływała rzeka Orzyc, głębokość której w niektórych miejscach „mająca łokci 10, a w niektórych łokci 4, szeroka w porze wiosennej na węższym miejscu łokci 189.” Na rzece w tym czasie znajdował się most o długości 71 łokci, oraz z powodu, że rzeka ta w okresie wiosennym opuszczała swoje koryto, znajdował się również drugi most o długości 69 łokci.

W miasteczku nie pobierano mostowego od przejeżdżających pojazdów, nie było również młyna wodnego, folusza czy tartaku. Nie odnotowano również w tym czasie spływów wodnych na rzece Orzyc.

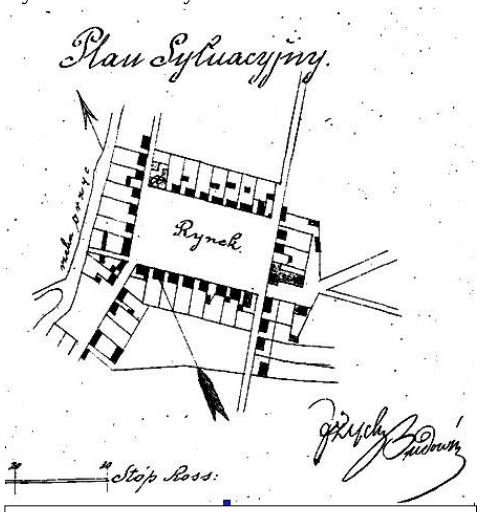

Fragment planu rynku krasnosieleckiego z XIX wieku.

W pobliskim mieście Przasnyszu znajdowała się najbliższa stacja pocztowa. Rozległość terytorialna i granice miasta w roku 1860 nie uległy zmianie, w porównaniu z rokiem 1824. Powierzchnia miasta wynosiła nadal 4 włóki, 14 morgów i 258 prętów. Poza tym miasto Krasnosielc nie posiadało żadnych gruntów ornych, łąk, lasów, zarośli, stawów, ani jezior. Połowę powierzchni miasta zajmowały ogrody, właściciele działek, na których znajdował się ogród byli dziedzicznymi ich posiadaczami, z tego tytułu opłacali czynsz właścicielowi miasta w wysokości 50 rubli i 45 kopiejek rocznie. Nadal posiadaczom działek, placów i ogrodów w Krasnosielcu przysługiwały dwie fury opału z lasów należących do dziedzica miasta. Niektórzy mieszkańcy tego miasta uprawiali grunty orne leżące poza jego granicami, a które należały do Karola Krasińskiego. Z tego tytułu świadczyli dziedzicowi w 1860 roku łącznie 1 394 dni pańszczyzny pieszej oraz 374 dni w roku pańszczyzny sprzężajnej. W tymże roku w Krasnosielcu zamieszkiwało łącznie 997 mieszkańców, z czego 455 kobiet i 542 mężczyzn. Natomiast według narodowości było to 623 Żydów, 291 Polaków oraz 83 Niemców. Według wyznania było to 623 staro zakonnych, 291 wyznania rzymsko–katolickiego oraz 83 osoby wyznania ewangelicko–augsburskiego, czyli luteran.

Rzeka Orzyc na wysokości m. Chłopia Łąka, fot. D. Budny 2014.

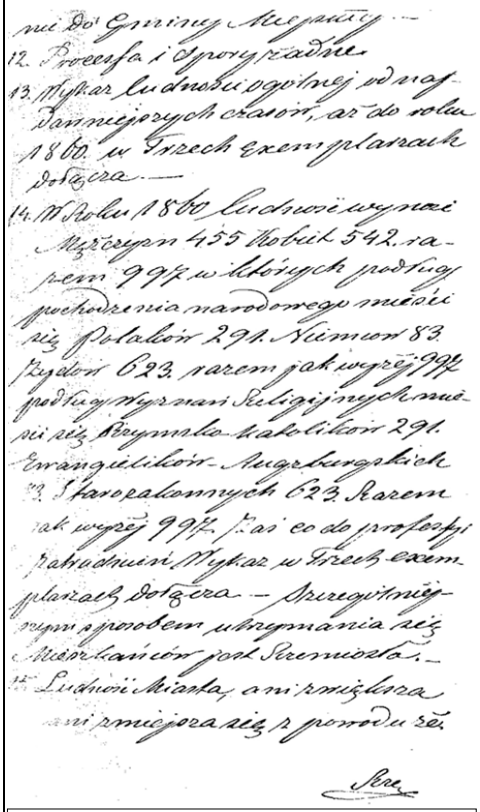

Fragment obrazu miasta Krasnosielca z roku 1860. – Akta stanu miasta Krasnosielc 1826 – 1860, syg. 583.

Ponadto w roku 1860 odnotowano 147 osób, które zostały zaliczone do grupy ludności czasowo przybywającej do miasta w celach zarobkowych. Powolny wzrost liczby ludności miasta można wytłumaczyć tym, iż w miejscowości tej panowały niezbyt korzystne warunki życiowe. Głównym źródłem utrzymania mieszkańców Krasnosielca w owym czasie było podobnie jak we wcześniejszych okresach rzemiosło i handel. W roku 1860 w Krasnosielcu funkcjonował tylko jeden większy zakład przemysłowy, czyli fabryka sukna należąca do hrabiego Krasińskiego. Pracę w niej znalazło 34 osoby, czyli 10 majstrów, 8 czeladników, 8 uczniów oraz 8 robotników. Produkowała ona prawie 5 tys. arszynów sukna rocznie, z czego 1 780 arszynów sukna grubego i 3 tys. pozostałego gatunku sukna, łączna wartość produkcji wynosiła 2670 rubli rocznie. Tak więc zapotrzebowanie na sukno było w tym rejonie Północnego Mazowsza spore skoro w Krasnosielcu odnotowano również 10 domowych warsztatów sukienniczych. Wełnę do produkcji dostarczały okoliczne folwarki oraz mniejsze majątki szlacheckie, gotowe wyroby sprzedawano na targach i jarmarkach, które odbywały się w Krasnosielcu, bądź też w okolicznych miastach.

Poza tym w mieście znajdowały się następujące cechy rzemieślnicze: sukienniczy, krawiecki, szewski i zduński. Powstały one już na początku XIX wieku. Jak zanotowano w jednym z dokumentów z roku 1860 „rzemiosła w Krasnosielcu są w najlichszym stanie.” Tak więc rozwój rzemiosła w małym miasteczku, jakim był w owym czasie Krasnosielc następował bardzo powoli i napotykał liczne trudności. Wynika to między innymi z tego, że fabryka założona przez Karola Krasińskiego funkcjonowała zaledwie przez kilka lat. Zakończyła ona produkcję w roku 1869 kiedy to Krasnosielc utracił prawa miejskie lub w roku 1870 kiedy zmarł ostatni dziedzic Krasnosielca z rodziny Krasińskich.

Jeżeli chodzi o handel nie było w Krasnosielcu w roku 1860 żadnych składów handlowych oraz magazynów. Znajdowało się w mieście tym kilku drobnych karczmarzy i trunkarzy. Dość popularną formą handlu, która występowała w tym rejonie Mazowsza był handel obwoźny, a ściślej mówiąc obnośny. Nie było w Krasnosielcu w tym 1860 roku żadnej cukierni, bądź kawiarni, ale występowały trzy szynki wódki i piwa. Dochody z propinacji zgodnie z przywilejem lokacyjnym stanowiły własność dziedzica miasta. Hrabia Karol Krasiński był właścicielem dwóch zajazdów, które znajdowały się w Krasnosielcu oraz trzech karczem.

Stan zabudowań w mieście tym w roku 1860 przedstawiał się następująco. W dokumentach pochodzących z tego okresu odnotowano, że w Krasnosielcu były 72 domy, z czego 71 drewnianych i tylko 1 murowany. Wszystkie domy były jednopiętrowe, „dwupiętrowych, parterowych i wieżowców nie masz, jeden tylko kościół parafialny pod założeniem Jana Kantego murowany w dobrym stanie egzystuje.” Taka sytuacja, w której prawie wszystkie zabudowania w mieście były drewniane powodowała, że w Krasnosielcu wybuchały często pożary. Dlatego dziedzic miasta w przywileju nadającym prawa miejskie został zobowiązany do pobudowania szopy na narzędzia ogniowe.

Lp.	Nazwa ulicy	Ilość placów
1	Mostowa	4
2	Nadrzeczna	12
3	Zduńska	33
4	Szewska	36
5	Ostrołęcka	36
6	Sukiennicza	21
7	Różańska	24
8	Makowska	5
9	Rynek starego miasta	3
10	Krótka	2
11	Kacza	4
	Razem:	**180**

Ciekawe jest również to, iż w jednym z zabudowań znajdowało się „sześć jatek dla rzemieślników i piekarzy.” Zabudowania miejskie niczym szczególnym się nie wyróżniały, większość z nich była ubezpieczona na wypadek pożaru. Łączna suma ubezpieczeń budynków w Krasnosielcu w roku 1860 wynosiła 2 699 rubli.

W mieście tym było 11 ulic, czyli ulica Mostowa, Nadrzeczna, Makowska, Zduńska, Szewcka, Ostrołęcka, Sukiennicza, Różańska, Wodna, Krótka i Kacza. Wykaz posesji (placów) przy ulicach w roku 1860 przedstawia powyższa tabela.

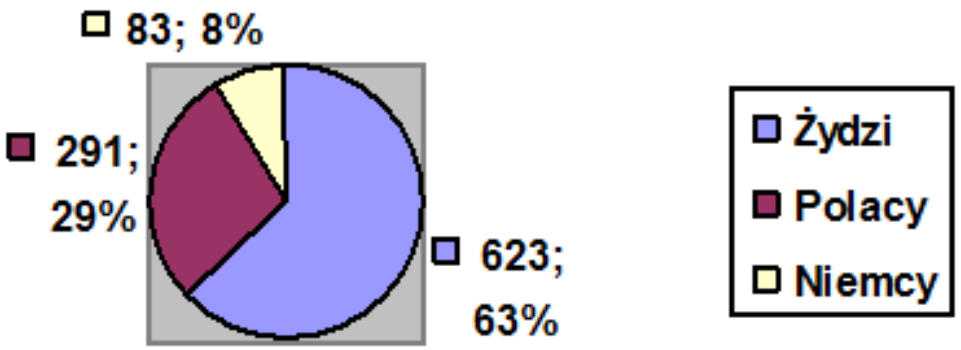

Struktura narodowościowa mieszkańców Krasnosielca w roku 1860.

Z krasnosielckich ulic tylko ulica Mostowa była w tym czasie wybrukowana w całości. Natomiast ulice: Zduńska, Szewska, Ostrołęcka i Sukiennicza wybrukowane były w połowie. „Zaś przy domach w rynku nowego miasta, aż do ulicy Różańskiej jest bruk w szerokości jak ulica. Kanałów podziemnych odpływowych nie ma żadnych.” Mieszkańcy miasteczka i okolicznych wiosek znaleźli ciekawe rozwiązanie, które miało doprowadzić do wybrukowania ulic w mieście. Służyć temu miały zgromadzone w rynku nowego miasta kamienie. Ponadto w odległości 5 wiorst od miasta znajdowała się spora ilość kamieni, które mogły być również przydatne w realizacji tego przedsięwzięcia. „A ponieważ zwyczaj to dawny, iż kto tylko jedzie na targ lub jarmark winien przywieźć kamień, przeto coraz większa ilość kamieni przybywa.” Było to bardzo interesujące rozwiązanie, a zarazem ciekawy sposób transportowania i gromadzenia materiału budowlanego, który miał być wykorzystany dla dobra całej gminnej społeczności. Okolice Krasnosielca były również zasobne w inny materiał budowlany, czyli drewno. Koszt transportu jednej fury parokonnej drewna wynosił w roku 1860 równowartość 1 rubla i 20 kopiejek.

W Krasnosielcu prócz rzemieślników i handlowców w roku 1860 odnotowano również 11 rolników, zapewne Polaków. Posiadali oni łącznie 10 wołów, 16 koni, 14 krów oraz 7 sztuk jałowizny.

Poza tym w Krasnosielcu znajdowały się 22 pszczele ule, a więc bartnictwo, czyli tradycyjna gałąź gospodarki dla tego regionu Mazowsza, nadal była obecna w życiu gospodarczym XIX wiecznej społeczności. W Orzycu występowały powszechne gatunki ryb, czyli szczupaki, okonie, klenie, jazie i płocie. „Obfitość ich jest szczupła, jednak na miejscową potrzebę wystarczająca.” Tak więc rzeka przepływająca przez miasteczko musiała być czysta, a ryby chętnie spożywano zwłaszcza w okresach postu.

W 1860 roku w Krasnosielcu odbywało się sześć jarmarków, w dni wtorkowe, „po św. Agnieszce, po św. Stanisławie, po św. Piotrze i Pawle, po św. Mateuszu, po Wszystkich Świętych i po św. Łucji.” Ponadto w każdy piątek odbywały się w miasteczku targi, na jarmarki oraz targi dostarczana była drobna kramarszczyzna z Makowa i Przasnysza, towary łokciowe, obuwie i inne małe przedmioty o łącznej wartości 800 rubli rocznie. Jeśli chodzi o handel inwentarzem żywym, to jarmarki w Krasnosielcu były tradycyjnym miejscem spotkań głównie hodowców koni i bydła.

Tak więc warunki społeczno–gospodarcze panujące w Krasnosielcu w schyłkowym okresie posiadania praw miejskich przez to miasteczko nie były zbyt imponujące. Zmieniła się struktura społeczno-zawodowa w Krasnosielcu w schyłkowym okresie posiadania przez miejscowość praw miejskich, przestał funkcjonować młyn, najprawdopodobniej tylko na pewien czas, nie spotykamy również w miasteczku tym rybaka, o którym wspominają wcześniejsze dokumenty.

Tylu informacji o życiu naszych przodków, żyjących w Krasnosielcu dostarcza dokument sporządzony w roku 1860. Dostępny jest on w oryginale w Archiwum Państwowym w Płocku.

Dariusz Wojciech Budny

Bibliografia:
Akta stanu miasta Krasnosielca 1826–1860, sygnatura 583.

Wspomnienia z kartoflem w tle

FIO Fundusz Inicjatyw Obywatelskich
Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej
Mazowsze Lokalnie

Sławomir RUTKOWSKI

Dziś ziemniaki jadam okazyjnie, a staram się jeszcze okazyjniej.

Historia moich relacji z tą bulwą jest długa, sięga zarania mojej pamięci, choćby przez pamięć przodków i jeszcze dalej. Związek nasz bywał bolesny, pomimo iż korzyści materialne czerpałem niezaprzeczalnie. Czasem wspólnie spędzaliśmy wiele chwil, namiętnie się adorując – ja kartofle, a one mnie. Bywały okresy kiedy czułem się prześladowany przez nie, i głęboko nieszczęśliwy. Dawały jednak pewność jutra, pracę i szacunek do niej, dawały zajęcie i zabawki. Tak osobisty wywód o moich relacjach z kartoflami, wskazuje jak ścisłe i długie one były. No cóż, ale przejdźmy do konkretów.

Jako syn rolnika z pracą w gospodarstwie byłem obeznany i do niej nawykły - jakbym to dziś ujął lekko gwarując. Wyprawy na pole dla mnie kilkulatka, które rozciągało się szerokim łanem za stodołą, były niczym podróż w inny świat, nieskończenie wielki, trochę obcy i groźny, bo tylko drewniany rodzinny dom był tym prawdziwym „mentalnym domem". Podwórko obstawione wkoło budynkami gospodarskimi było już trochę obce, wieczorem straszne, a nocą roiło się od przeraźliwych stworzeń i mar. Tylko ojciec i mama wieczorem na nie wychodzili – byłem wtedy pełen podziwu dla nich za odwagę. Czasem, gdy już byłem większy to im towarzyszyłem i wtedy czułem się bezpieczny, ale zawsze musieli być blisko. Gdy podrosłem pomagałem rodzicom na ile sił i umiejętności starczało. Chciałem czuć się dorosłym i potrzebnym, a za pracę chwalono w domu i wtedy moje ego rosło ponad miarę mojego wzrostu. Każda para rąk w gospodarstwie mogła pomóc ciągnąć ciężki wóz życia naszej wiejskiej rodziny.

Najbardziej związane z pracą na ziemi były te przy kartoflach, bo tak u mnie w domu mówiono na ziemniaki. Nazwa „ziemniaki" była jakoś dziwnie obca, zupełnie nieswojska i używana tylko przez zniewieściałych mieszczuchów – tak myślałem wtedy. Przekładając Kartofle, czy to je sadząc, zbierając czy przygotowując do podania zwierzętom gospodarskim, zawsze miało się fizyczny kontakt z ziemią, ręce nią pachniały. Pamiętam jak jako czterolatek, może pięciolatek chodziłem z mamą zbierać kartofle na pola sąsiadów i rodziny. Mama brała wtedy koszyk pleciony z wikliny, z drewnianym pałąkiem, wyplatany przez pana Serwotę spod lasu, od którego co roku kupowaliśmy po kilka, bo stare się zużywały. Brała rękawiczki, czasem kopackę /zwaną również kopaczką lub motyką. Metalowy przyrząd z drewnianym trzonkiem, do ręcznego wykopywania ziemniaków i innych roślin okopowych. Trzonki lub stylisko o długości ok. 1 metra, czasem dłuższe, wykonane było z lekko wygiętej gałęzi o średnicy dogodnej do chwytania ręką. Kopacki posiadały charakterystyczne dwa płaskie zęby, czasem trzy.

Autor tekstu /po prawej/ ze swoimi siostrami ciotecznymi, grudzień 1975 r.

Do zbierania mama chodziła, z reguły do najbliższych sąsiadów, jednak i te wycieczki wydawały mi się dalekimi wyprawami. Pamiętam jak pewnego razu poszliśmy na pole odległe o pół kilometra w dolinkę małego strumyka. Zajęty zabawą z innymi dzieciakami - moimi rówieśnikami, nie zauważyłem jak mama razem z pozostałymi kobietami rozpoczęła przechodzenie na inne pole. Widząc ją oddaloną kilkaset metrów, i dalej oddalającą się byłem kompletnie przerażony, że nie zdążę jej dogonić i nie znajdę drogi do domu.

Podczas zbierania z reguły mamie pomagałem. Choć moja praca nie była zbyt stała, to okresowe podciągnięcie mamy na rządce było dla niej sporym ułatwieniem. Szczególnie jako dzieciak przydawałem się przy zbieraniu za tzw. trzepakiem, kopaczką ciągniętą przez dwa konie. Kopaczka ta posiadała szerokie radło/lemiesz, które podnosiło/wyorywało całą rządkę kartofli do góry, a obracający się tuż nad nim wiatrak, wykonany ze stalowych drutów, rozrzucał całą tą zawartość w bok, na kopanisko. Wiatrak napędzany był bezpośrednio z kół kopaczki, zatem od prędkości marszu koni zależała odległość na jaką urządzenie to rzucało ziemniaki. Sztuką było jechać końmi tak szybko by wiatrak wystarczająco mocno zrzucał ziemię by oddzielić z niej kartofle, a jednocześnie na tyle wolno by nie poleciały one zbyt daleko. Szczególnie narowiste konie utrudniały pracę, gdy ciągnąc swoje ciężkie brzemię powodowały rozsypywanie się kartofli na 5 a nawet 7 metrów, choć standardowo tylko na ok. 3. Wtedy właśnie ta końcówka najdalsza, była moją domeną do wyzbierania. Z czasem chadzałem z mamą zaopatrzony w mały, własny koszyczek, specjalnie dla mnie wypleciony przez pana Serwotę.

Będąc już w późniejszych klasach podstawówki, zbierałem często taką działkę jak dorośli. Było trudno ale robiło tak wielu moich rówieśników i rówieśniczek. Umiejętność i zdatność do wykonywania określonych prac polowych było swoistą inicjacją, otwierającą kolejne progi dorastania.

Te najdalsze kopania w domu rodzinnym pamiętam doskonale. Oto w cichy i ułożony dom wdzierali się nagle nowi ludzie w dużej liczbie. Jeździli wozacy przywożąc kartofle z pola do piwnicy lub kopców. Dom stawał wtedy na głowie, było to intrygujące i niezmiernie ciekawe wydarzenie.

Prace przygotowawcze do kopania trwały już wcześniej; końcówki rządek kartofli odkopywało się ręcznymi kopackami. Z reguły koniec zagonu kartofli kończył się kilkoma rzędami poprzecznych rządek, co wynikało z konieczności zakręcania koniem w czasie sadzenia ich pod pług. Rządek tych poprzecznych, zwanych „poprzyczkami" było po ok. 6. Kopało je się czasem już w sierpniu na bieżące potrzeby gospodarstwa. Tato oliwił i smarował kopaczkę, a raniutko już sprzęgał naszego konia z jakimś innym, co wymagało uzupełnienia uprzęży o dodatkowe rzemienie i lejce. Mama z babcią dzień wcześniej piekły placek drożdżowy z rodzynkami, a raniutko nim ruszyły na pole gotowały całą 10-cio litrową bańkę mleka i robiły na nim kawę zbożową. W drugiej podobnej bańce przygotowana była herbata, dobrze osłodzona.

Z taką bańką wiąże się moje przerażające wspomnienie. Otóż w czasie kopania u mojego wuja Kucharskiego, taką przygotowaną wcześniej bańkę jego matka wstawiła na piec by się ogrzała, a ogrzaną, nieświadoma skutków kazała wnuczce Krysi otworzyć. Gdy ta lekko poluzowała zamkniecie banki, dekiel pod wpływem dużego ciśnienia nagrzanej cieczy odstrzelił, a rozgrzana, gotująca się kawa oblała dziewczynkę. Ta z bólu, przerażona weszła do pobliskiego stawu i to ją uratowało. Pamiętam jak mój tato podjechał wezwany z pola jako pierwszy, na wóz po kartoflach wrzucił kilka pierzyn, położył na nie Krysię, a para koni cięta batem ruszyła z miejsca galopem, jadąc do gminnej przychodni zdrowia oddalonej o 4 km. Pamiętam, że nie krzyk cierpiącej Krysi mnie przeraził najmocniej, a dopiero te czyste pierzymy na brudnym wozie, ten szokujący pośpiech taty, i gwałtowny galop koni ciągnących na zatracenie, skaczący po kamienistej szosie wóz.

Krysia wiele miesięcy leżała w specjalistycznym szpitalu w Polanicy, a i potem wiele razy jeździła do szpitali na przeszczepy skóry i leczenie.

Pola moich rodziców były podzielona na kawałki po ok. 1 mordze tj. 0,56 ha. Zagon taki dzieliło się krokiewką przed rozpoczęciem kopania na równe odcinki dla poszczególnych par zbieraczek, gdyż za kopaczką wiatrakową zawsze zbierało się w parach. Na miejscach złączenia tak wydzielonych działek stawiało się wóz, do którego kobiety sypały zebrane kartofle. Pamiętam jeszcze jak wystawiany był tzw. nasz wóz rezerwowy, czyli żeleźniak, pamiętam że choć mieściła się na niego może najwyżej trzecia część ładunku, który można było wsypać na wóz z kołami na oponach tzw. gumiak, to i tak jeden koń po kopanisku ledwo go ciągnął. Tata z reguły jeździł parą koni ciągnących kopaczkę. Po pewnym czasie wozy się napełniały i kolejny mężczyzna innym koniem zawoził je na podwórko zsypując do piwnicy lub do kopca. Często takie kursy robiło dwóch woźniców. Trzeba było się spieszyć z tym wożeniem, bo jeśli któryś z rozstawionych wozów był pełen, to kartofle sypało się na kupki bezpośrednio na polu i potem trzeba je było wszystkie wrzucić gablami na wozy – było to pracochłonne i starano się tego unikać. W kopaniach takich uczestniczyło po 10 a czasem po kilkanaście kobiet, tworzących najczęściej od 4 do 7 par zbieraczek, każda taka para przez pół dnia - jeśli kartofle były ładne, zbierała ich dwa czubate wozy.

Ewenementem gospodarstwa moich rodziców była piwnica, mówiło się że jest podworska. W rzeczywistości była, a i jest nadal, pozostałością po folwarku. Został on rozparcelowany, podzielony na działki ziemi i sprzedany chłopom gdzieś na przełomie XIX i XX wieku. Sama piwnica ma długość ok. 10 metrów. Sklepienie beczkowe w najwyższym punkcie wynosi ok. 2 metry. Wykonana jest w całości z cegły, a co ok. 1 metr wbudowany jest półokrągłe żebro ze stali. Z jednego ze szczytów prowadzą schody – chyba 6 stopni, z drugiego otwór/okienko do wsypywania kartofli. Ponadto pomiędzy swoimi punktami skrajnymi posiada w suficie dwa otwory zsypowe. Nad całością stała drewniana szopa, w której od zawsze magazynowali dziadkowie i rodzice drewno i węgiel na opał oraz trociny i wióry. Szopa ta ze starości powyginała się niczym chatka Gargamela, aż niedawno zupełnie zniknęła na zawsze. Magicznym było dla mnie jako dziecka wsypywanie kartofli przez te górne otwory. Otóż wóz napełniony po brzegi ziemniakami wjeżdżał z rozpędem do środka tej szopy, a że była ona lekko na górce to musiał się rozpędzić mocno, by już wewnątrz ostro hamować. Te wjazdy były pełne emocji i dynamiki. Potem zdejmowało się drewniane zakrycie spustu do piwnicy, kładzione wcześniej by koń i wóz w niego nie wpadł i otwierało w bocznej desce woza małe okienko – rozpoczynając zsypywanie. Gdy trochę kartofli już uleciało, to rozpinało się łańcuch spinający deski wozu w jego środku i lekko unosiło jedną z nich. Kartofle wtedy wielką rzeką sypały się na ziemną posadzkę. Gdy już wszystkie pospadały z woza, resztę tata zgarniał i znów głośnym „wioo!" zmuszał konia do wyciągnięcia pustego już pojazdu z góry kartofli. Potem, i to czasem była moja robota, należało gablami powrzucać rozsypane kartofle do zsypu, tak by kolejny wóz mógł do szopy wjechać. Na dole w piwnicy, szczególnie gdy była ona już częściowo zapełniona, też była praca w czasie rozładunku. Chociaż pod zsyp tata zamocował na regulowanych łańcuszkach rawki/zsypy kierujące sypiące się kartofle w określoną część piwnicy, to trzeba było dopilnować by wszystko działało jak trzeba i co jakiś czas rawki te, lekko przekierowywać. Gorzej było zsypywać kartofle od szczytu, gdyż wprawdzie łatwiej było tam podjechać wozem i zsypać je, za to zawsze ktoś musiał pracować wewnątrz piwnicy przy ich odgarnianiu. Z reguły byłem to ja, a drewniana łopatka, której używałem była niczym wiosło – zatem czułem się jak wioślarz w morzu kartofli.

Najprościej było zrzucać urobek kartoflany do kopcy. Były to doły w kształcie prostokąta wykopane wzdłuż płotu na trawniku. Głębokie do bioder, szerokie na ponad metr do 1,5 m i długie na kilka metrów – w zależności od potrzeb. Szerokość ich determinowała długość słomy żytniej używanej do okrycia wsypanych kartofli, a długość wielkość zbiorów, choć dłuższych niż 6 m nie pamiętam. Wsypane do takich kopców kartofle przykrywano grubo prostą słomą żytnią, a następnie przysypywano ziemią. Po nadejściu pierwszych mrozów dosypywano ziemi i okładano przywiezionymi z kopaniska badylami kartofli. Z reguły na takich kopcach w jednym lub dwóch punktach wstawiano drewniane skrzynki, tworzące swoistego rodzaju kominy wentylacyjne. Potem w trakcie zimy tato, albo okrywał dodatkowo, albo odkrywał tak zgromadzone dobro.

W zależności od liczby zbieraczek, pogody i urodzaju kartofli, w ciągu jednego dnia zwoziliśmy od kilku do trzydziestu czasem wozów kartofli. Czasami, gdy nie było już co kopać, a dniówka się jeszcze nie skończyła, tata zakładał brony i bronował kopanisko /w moich rodzinnych strona używało się pojęcia „włuczyć", a „bronować" bardziej naukowo/, w tym celu do podwójnych lub potrójnych bron przywiązywał z tyłu postronek i co jakiś czas w czasie włocki podnosił brony, przez co pozostałości roślinne: łęciny „badyle" kartofli i chwasty pozostawały w jednej linii. Potem je obtrząsano widłami z ziemi i zwożono na podwórko by przykryć nimi kopce z kartoflami. Te dla których zastosowania nie znaleziono, składowano na polu bezpośrednio w kupki i palono. Czasem zdarzało się, że były na tyle suche, iż można to było zrobić od razu w czasie kopania, ale częściej była to praca na późniejszy czas październikowy, a nawet listopadowy.

Niezmiernie ważne w czasie kopania były posiłki. Którymś z wozów wracających na pole, po wysypaniu zebranych kartofli do piwnicy czy kopca, mama lub babcia przywoziła jedzenie i picie. Rozkładały wtedy obrus na miedzy lub przyległym trawniku, czasem na siedzisku z wozu. Kroiły placek, chleb i smarowały go smalcem, pasztetem lub konserwą mielonką. W garnuszkach lub szklankach podawano kawę i herbatę. Poczęstunek taki był wytchnieniem w pracy i czasem na rozmowy. Gadano o urodzaju tegorocznym, pogodzie, sąsiadach i sąsiadkach, cenach, wyjazdach, no … generalnie o wszystkim. Wozacy raczej nie jedli na polu, chwycili coś w garść i zjadali jadąc wozem z kartoflami na podwórko. Pamiętam swój pierwszy dzień kopań u wuja Groszka, kiedy wyznaczono mnie do zwożenia kartofli. Był to zaszczyt, a ja czułem się niczym dzisiejszy kapitan statku, albo co najmniej kierowca olbrzymiego TIR-a.

Kiedyś rodzice zakontraktowali jakąś odmianę kartofli. Obrodziły, a my mieliśmy je posortować i popakować w worki. Pracy było na wiele dni. Przesiadywaliśmy całą rodziną w szopie nad piwnicą odbierając te pożądane i wsypując je do worków. Na początku nawet mi się podobało, ale jak to dzieciak, po paru godzinach to już nuda. Rodzice wpadli jednak na pomysł, że w nagrodę za moją pomoc i nie marudzenie kupią mi taki metalowy samochodzik z przyczepą, który widziałem w sklepie i który mi się bardzo podobał. Zmotywowany pracowałem wytrwale, choć pamiętam że z czasem coraz bardziej docierało do mnie, że z tym samochodzikiem to ściema, bo kosztował strasznie dużo. Ale jakoś tak w pracę się wkręciłem, że wytrwałem do końca. Jakież było moje zdziwienie i radość niebywała, gdy tato wróciwszy wozem po odwiezieniu kartofli na skup z uśmiechem dał mi wymarzony samochodzik. Pamiętam jak niebywałym mi się wydało, że rodzice aż tyle pieniędzy wydali na moją zabawkę!

Późniejsze kopania były coraz częściej z udziałem kopaczek dwurzędowych napędzanych ciągnikami z SKR-u /Spółdzielnia Kółek Rolniczych/. Różniły się już znacznie od wcześniejszych. Ciągnik z reguły kopał rano już od 5, a czasem nawet 4. godziny, tak by wszystko było wykopane na czas przyjścia zbieraczek, czyli pomiędzy 8 i 9 rano. Czasami trzeba było za takim ciągnikiem chodzić z drewnianymi grabkami by odgrabiać kartofle z kolein po których potem znów jechał ciągnik. Samo zbieranie tym się różniło, że zbieraczki szły szeroką ławą, zajmując czasem i 20 wykopanych podwójnych rządek. Mężczyźni nosili pełne koszyki wysypując je na jadący równolegle wóz ciągnięty przez konia, a później z czasem przyczepę ciągniętą przez ciągnik. Takie zbieranie stwarzało warunki do ciągłych rozmów w całej grupie, albo ciszej po sąsiedzku. Często zbierałem wtedy kartofle na pełnoprawnych prawach i obowiązkach. Dawałem radę, choć mój lekko krzywy kręgosłup dawał się mocno we znaki. Mile wspominam rozmowy z rówieśniczkami w czasie takiego zbierania, bardzo mile.

Pamiętam jak jesienią, roku 1992 przywiozłem na weekend do swojego domu rodzinnego swoją dziewczynę – a jakże zafundowano nam kopanie. Zresztą zasadą było wtedy na wsi, że większe prace planowano na soboty, gdy chłopo-robotnicy mieli wolny dzień „na państwowym", a dzieci przebywające w internatach przyjeżdżały do domu. Moja przyszła żona, choć nie pochodzi z gospodarstwa, to starała się jak mogła, zbierając na równi z innymi zbieraczkami, i tego dnia wytrzymała tempo. Jednak rano dnia następnego wstać z wersalki jej się nie udało, tak ją bolał kręgosłup. Moja babcia śp. Stasia, ulitowała się nad nią i zakazała mi jej na siłę ciągnąć na pole. Zatem dojechała później, razem ze śniadaniem, połamana bardzo, ale z dobrą miną. Żarty towarzystwa oczywiście jej nie ominęły, że przyszła teściowa ją wykorzystuje ponad siły, ale … tak to już było na tych wykopkach.

Zupełnie inny koloryt miało sadzenie kartofli. Mama z babcią wczesną wiosną, z odkrytego przez tatę jednego z kopców wybierały sadzeniaki. Najlepsze były bulwy niewielkiej wielkości o średnicy 4-5 cm, ale kroiły też większe kartofle na pół lub nawet na 4 części. Tak przygotowane sadzeniaki sadziliśmy pod pług. Tato pojedynczym koniem orał pole płytką skibą, a my sadziliśmy z koszyków te przygotowane ziemniaki co ok. 20 cm równym rzędem, w śladzie po piętce pługa. Każdy miał wyznaczoną krokiewką swoją działkę. I tak mama z babcią miały największe, a ja z siostrą mniejsze. Z czasem babcia zaczęła coraz częściej pozostawać w domu, a ja z siostrą przejęliśmy jej zadania. W ciągu pół dnia sadziło się z reguły morgę kartofli. Rodzice starali się zasadzić wszystko przed świętami Wielkanocnymi, i tak się prawie zawsze udawało. Częste były wtedy jak pamiętam przelotne deszczyki lub nawet „śnieżyki". Kucało się wówczas pod wozem, który chronił co nieco. Szerokość pola do zaorania mierzyłem stopami, niecierpliwie czekając na koniec i zjazd do domu. Tato by zasadzić jedną rządkę kartofli musiał przeorać pole dwa razy: płytką skibą – w radlinę której sadziliśmy ziemniaki, i głęboką po przestawieniu pługa, która przykrywała kartofle. Z zasady kawałki pola przeznaczone pod rośliny okopowe wywożone były obornikiem, a ten wiadomo: ręcznie wyrzucony z obory, ręcznie załadowany na wóz, wywieziony, zrzucony na kupki, i ręcznie roztrzęsiony na polu. Pamiętam jak z siostrą żartowaliśmy nazywając wyrzucanie obornika, wtedy nazywanego zwyczajnie „gnojem" - „zrywanie parkietu". Moi rodzice sadzili od 4 do 6 mórg kartofli – dziś powiem że wiązało się z tym bardzo dużo pracy.

Gdy ziemniaki wzeszły, a ich liście pojawiły się nad ziemią należało je obsypać tzn. przy użyciu radła /taki mały pług odgarniający ziemię na dwie strony jednocześnie/. Zapobiegało to rozrostowi chwastów w tzw. międzyrzędzi dając fory kartoflom. Czynność ta była, o ile dobrze pamiętam, powtarzana jeszcze raz później. Czasem jednak chwasty tak urosły przed kopaniem, że zielsko to kosiło się kosą ręczną lub nawet kosiarką.

Zebranie kartofli po kopanisku, częściej bywało pracą samotniczą rodziny, niż końcowym etapem wspólnego kopania. Pamiętam takie rodzinne zbierania w 4 osoby. Tato włuczył, czyli bronował – myśmy z siostrą i mamą zbierali. Czasem paliło się łęciny, jeśli były suche, wrzucało średniaki kartofelki i na koniec zbierania poczęstunek był gotowy – z reguły jednak albo wpółsurowy, albo przepełniony czystym węglem. Jeśli kopanisko podlegało orce jesiennej to obowiązkowo za orzącym, koniem i pługiem jednoskibowym, ojcem - chadzało się z koszykiem wydłubując z roli pojedyncze kartofle. Po pół dnia chodzenia czasem uzbierało się worek, a czasem 6 worków kartofli. Traktowano ten zbiór jako darmowy prezent od natury, bo pracy własnej nikt nie liczył.

Moją wielką udręką w dzieciństwie było obieranie kartofli z kiełków, nim wsypało się je do parnika lub dało zwierzętom domowym. Praca ta była, szczególnie w wakacje istnym utrapieniem. Zamiast biegać z kolegami, grać w piłkę lub oglądać telewizję, trzeba było obierać te cholerne kartofle. Nie widziałem sensu w tej czynności, myśląc - kiełki to młode życie, więc i zdrowie zarazem. Trwałem w tym błędzie do ... wczoraj, gdy recenzująca niniejszy tekst koleżanka redakcyjna Danusia, uświadomiła mnie, że kiełki bulw ziemniaka zawierają bardzo szkodliwą dla zwierząt substancję – solaninę. I znów się okazało, że dawni ludzie choć nie uczeni w wysokich szkołach, to jednak wiedzę swoją mieli. Dodam, że należało je wytargać z tej przepastnej piwnicy, lub wydłubać z kopca by obrać z kiełków.

Fragment obrazu Jakuba Różalskiego.

Później jednym z moich obowiązków było parowanie kartofli. Wcześniej pamiętam doskonale jak babcia gotowała kartofle w głębokich żeliwnych garnkach, zwanych żeleźniakami, wpuszczanych głęboko w kuchnie tzw. fajerkowe. Zapach tak gotowanych kartofli nie był raczej sympatyczny w domu. Pamiętam jeszcze stary parnik – metalowy piec, opalany drewnem, ale dość wcześnie rodzice kupili taki na prąd. Wchodziło do niego ok. 3 i pół koszyka kartofli i wiadro wody. Włączał się automatycznie dzięki zegarowi czasowemu rano, tak, że ok. 7ej kartofle były uparowane. Należało najpierw odlać wodę, a potem zawartość wysypać do dużego koryta/skrzyni. Samo koryto z użyciem kopacki wyciągało się z pomieszczenia gdzie stał parnik na zewnątrz, gdyż wszystko to bardzo mocno parowało. Jego zawartość należało utłuc kopacką. Praca intensywna i wymagająca dużej energii, której rano budzący się człowiek w nadmiarze raczej nie posiadał. Do większości z tak utłuczonych kartofli, dodawałem plewy tj. pozostałość po omłotach seradeli i owsa. Była to wybitnie sucha masa, którą trudno mieszało się z pociapanymi kartoflami. Potem trzeba było jeszcze odciągnąć całe koryto, ważące ze 100 kg, pod ścianę i już można jechać do szkoły podstawowej oddalonej o ok. 4 km /z reguły rowerem, choć zimą autobusem/. Pamiętam przesmaczne takie kartofle z parnika jedzone z zimnym masłem i solą. Podbierało się parę takich i czasami jadło zamiast śniadania - pychotka.

W szkole średniej bardzo często odpowiadałem za nasypanie parnika kartoflami przyniesionymi z piwnicy. Choć nie byłem ułomkiem - wymagało to sporej siły. Lubiłem jednak tą robotę, bo w piwnicy tej były też rozłożone na kartoflach jabłka z drzew owocowych naszych i sąsiada – Pana Siejcy. Siadywałem często po pierwszych dwóch koszach sapiąc lekko, pośród bractwa kartoflanego – szczególnie zimą, i jedząc jabłka rozmyślałem o tym i owym.

Gdy już przy jedzeniu jesteśmy to warto głośno powiedzieć, że w tamtych czasach na wsi kartofle stanowiły podstawę kuchni, zaraz obok mleka i chleba. W moim rodzinnym domu zasadą było spożywanie na śniadanie zupy o nazwie „zalewajka" – proszę przypomnieć sobie Franka Dolasa w filmie „Jak rozpętałem II wojnę światową", z jakim namaszczeniem nazwę tej polewnicy wymawia, siedząc w więzieniu Legii Cudzoziemskiej. Zupa skądinąd prosta, albo i prostacka jakbyśmy dziś powiedzieli. Otóż gotuje się drobno pokrojone kartofelki w wodzie jako zupę, można dorzucić kawałki cienkiej kiełbaski, której końcówki się pięknie wybrzuszają. Gdy kartofle są ugotowane, dolewa się zakwas stojący w glinianym naczyniu, a sporządzony z mąki żytniej i pszennej, kwaszony od kilku dni. Czasem dodaje się jeszcze słodkiej śmietany. Po wlaniu na talerze zalewajkę można wzbogacić dwoma lub trzema łyżkami świeżo wysmażonych skwareczek z odrobiną cebulki – palce lizać. Po takiej zupie śniadaniowej robota w obejściu czy na polu szła że hej!

Oczywiście kopiec kartofli na obiad, pokraszonych podobnie jak zalewajka, czasem z kawałkiem ugotowanego mięsa z zupy, oczywiście z czym, ano z kartoflami. Do ziemniaków bywała mizeria, czasem jakiś kawałek kurczaka wyciągnięty z rosołu. Schabowy do tego zestawu zarezerwowany był jedynie na niedzielę. Rosół jadało się równie często z kluskami własnej roboty jak i kartoflami, lekko jedynie utłuczonymi. Bywały też placki kartoflane posypywane cukrem, albo placek ze startych kartofli, pieczony w piecu chlebowym w brytfannie, do którego mama dokładała kawałki mięsa wieprzowego – te z kostkami najlepiej smakowały. A cóż wieczorem? No najczęściej były to podgrzewane na patelni kartofle z obiadu, popijane zimnym mlekiem - pycha. Chleb, ten pieczony w domu, też zawierał dodatek ugotowanych kartofli.

Dziś kartofle sadzę na swoim warzywniaku – a jakże. Ostatnie trzy lata wspólnie z synkiem, pod szpadel, i to całe 100 sztuk rocznie! Cieszy gdy rosną zgodnie z odwieczną dla mnie tradycją.

Taki to był ten świat - mój i kartofla. Przepełniony przyjaźnią, miłością, i pracą oraz znużeniem i nienawiścią niekiedy.. Czasy się zmieniają, ale warto o tych minionych pamiętać, choćby po to, by doceniać naszą obecną codzienność.

Sławomir Rutkowski

Do artykułu prof. Jerzego Przybylskiego pt. „Przyczółek różański 1944/45”

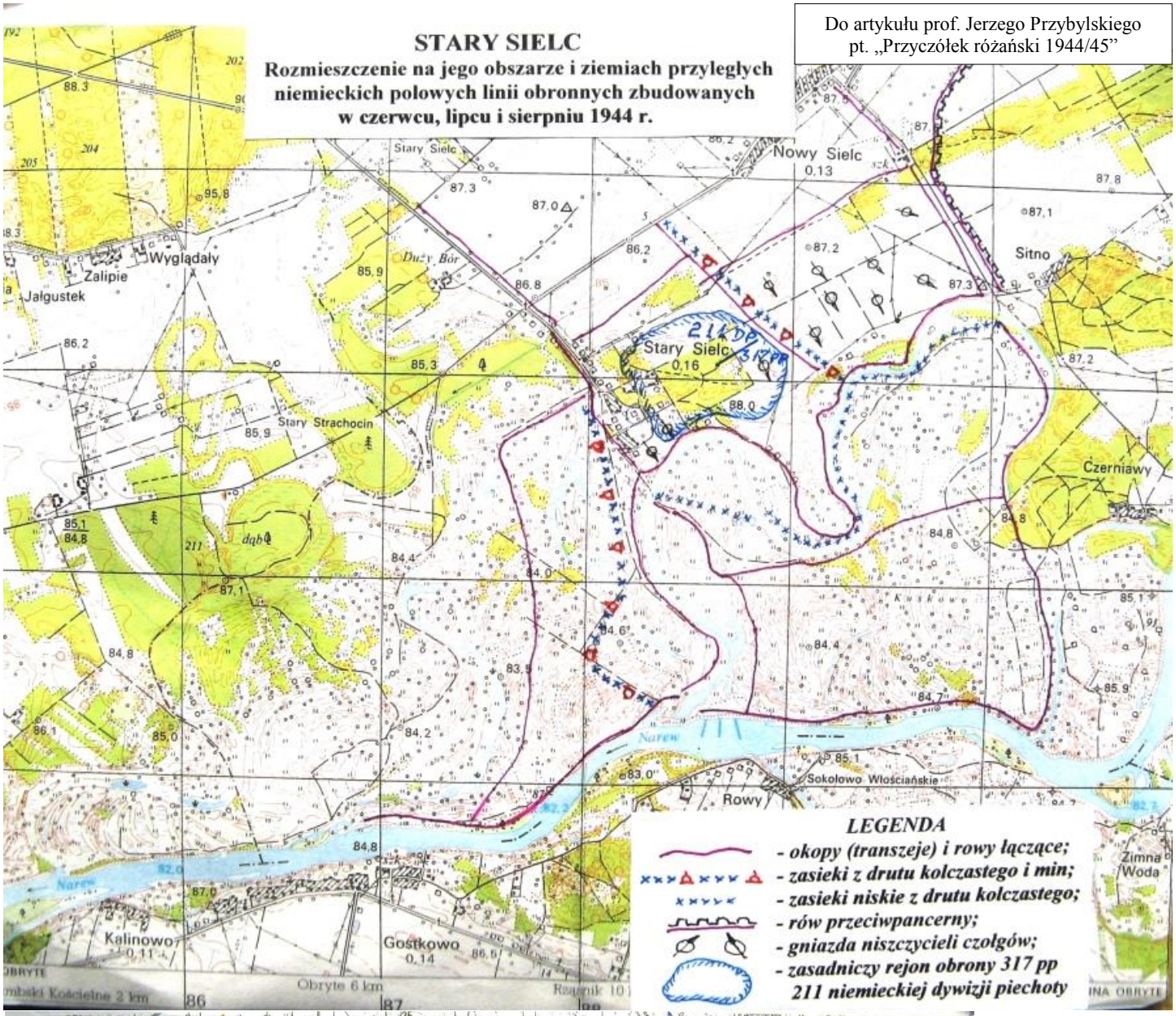

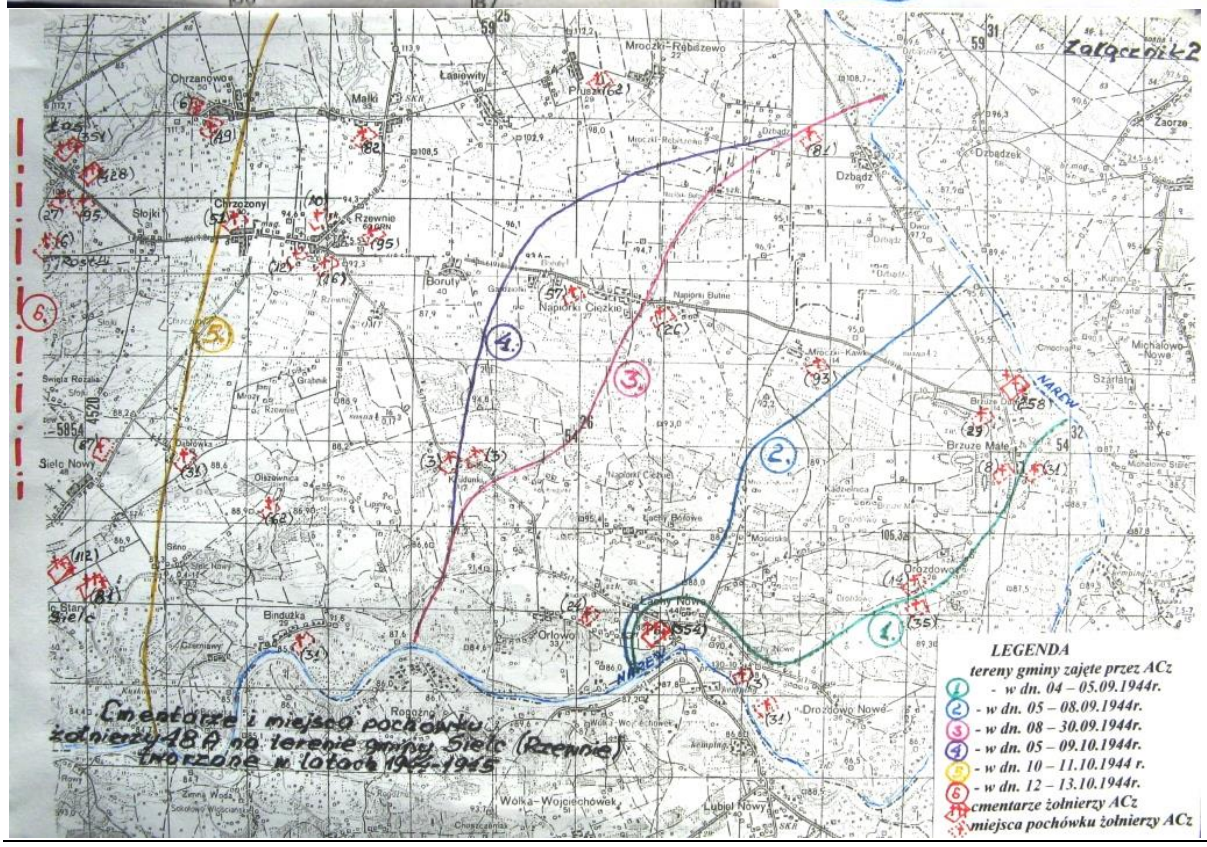

Do artykułu prof. Jerzego Przybylskiego pt. „Przyczółek różański 1944/45” oraz lokalizacja radzieckich grobów wojennych przed ich przeniesieniem na cmentarz w Makowie.

Do artykułu „Historia z kartoflem w tle”
Patrz również „Wieści znad Orzyca” Nr 9(89) z września 2014 r.

Do artykułu „Historia z kartoflem w tle” Patrz również „Wieści znad Orzyca” Nr 9(89) z września 2014 r.

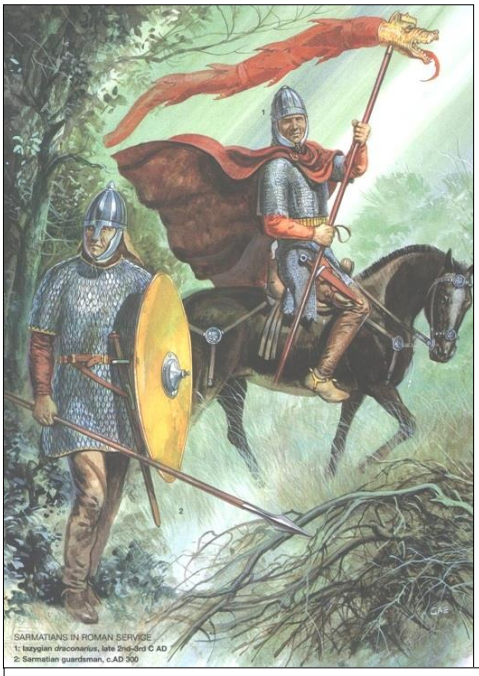

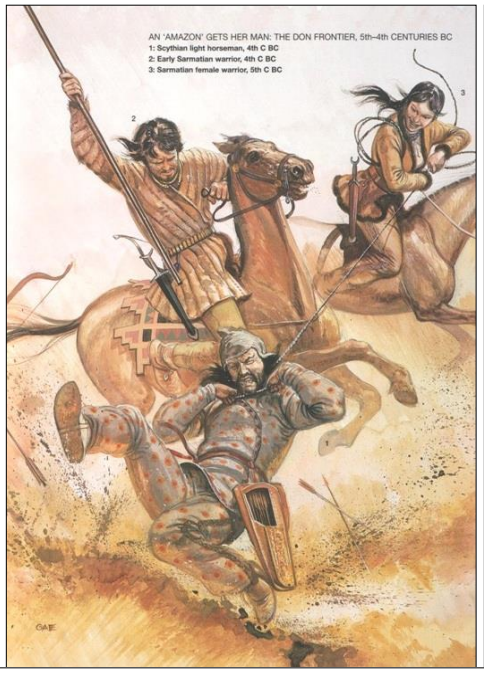

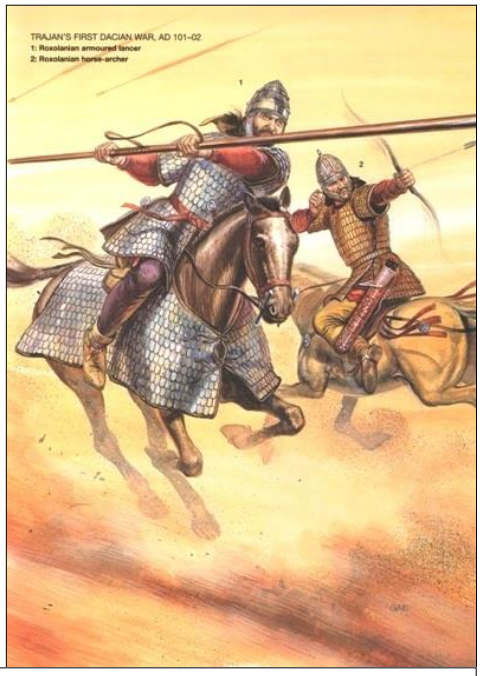

Do artykułu „Scytowie i Sarmaci”. Od lewej: 1. Sarmaci w armii rzymskiej. Brzeziński, Mielczarek. 2002. 2. Walka na stepie. Na drugim planie widać walczącą kobietę. Brzeziński, Mielczarek. 2002. 3. Ciężkozbrojni wojownicy sarmaccy. Brzeziński, Mielczarek. 2002.

Krasnosielcki Zeszyt Historyczny
bezpłatny dodatek specjalny do społecznego miesięcznika „Wieści znad Orzyca”, TPZK

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej, 06-212 Krasnosielc, ul. Rynek 40a, tel. 29 71 75 205
Nr konta TPZK: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu
Redaktor wydania: Sławomir Rutkowski kom. 796 030 115 rutkowski.plus@gmail.com
Wszechstronna współpraca redakcyjna: Tadeusz Kruk
Redaktor wydania zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji publikowanych tekstów, a także opatrywania ich własnymi tytułami. Poglądy wyrażane w artykułach są poglądami ich autorów, a nie wydawcy. Wydawca może wykorzystywać powtórnie lub udostępniać materiały wcześniej opublikowane przez TPZK.

Nakład: 1 200 egz. Druk: Drukarnia J.J. Maciejewscy, Przasnysz ul. Gdańska 1